R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

ŻYCIE

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

NA TLE WSPÓŁCZESNEJ EPOKI

(1809 – 1849)

BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

PRZEZ

FERDYNANDA HÖSICKA

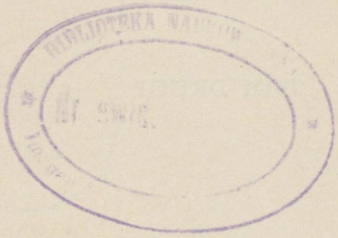
BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

TOM DRUGI

W KRAKOWIE
NAKŁADEM KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1897

2

~~17443~~
17507 2



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

KSIĘGA CZWARTA.

W SZWAJCARYI.

1833 — 1836.

ROZDZIAŁ I.

EGLANTYNA PATTEG.

Jezioro Leman. I. Pensyonat pani Patteg. Charakterystyka Eglantyny. Jej uczucie dla Słowackiego. Eliza Morin. Krytyka poezyi Słowackiego w *Revue Européenne*. Towarzystwo w Paquis. Polacy w Genewie. Tryb życia. Trzy oazy na pustyni jednostajności. Ostateczna praca nad *Lambrem*. *Godzina myśli*. Pisanie *Kordyana*. II. Psychologia Słowackiego w roku 1833. Spleen. Wspomnienia dzieciństwa. Tęsknota za krajem. Uczucie niepokoju. Potrzeba kochania.

»Wystawcie sobie jezioro, czyste i równe, jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po niem przepłynął zdaleka statek parowy, w kwadrans później widziałem fałd czarnej, rozbitej kołem wody. Fałd ten posuwał się zwolna, wspaniale; mijając łódkę mą, zakołysał nią zlekka, a skoro przeszedł i potoczył się dalej, czółno znów stało nieruchome na zwierciadlanej toni«. Jezioro to, jeżeli wiatr nie marszczy jego powierzchni, odbija w swej przezroczystej tafli cały krajobraz, krajobraz, który w dzień pogodny, słoneczny, mieniąc się w górze opalowym blaskiem śniegów na szczytach, w dole zaś — lśniącym szafirem Lemanu i szmaragdową zielenią winnic, niema poprostu równego sobie na świecie.

I.

Wśród takiej natury — pisał Słowacki do matki w niespełna rok po swem przybyciu do Genewy — trzeba być smutnym albo trzeba się kochać. On, niestety, może dla-

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

tego, że się nie kochał w nikim, że go od czasu, jak wyjechał z kraju, opanowała jakaś dziwna niemoc sercowa, jakaś niezdolność do pokochania kogoś, nie mógł się opędzić smutkowi (nawet w chwilach, kiedy pozornie był wesół), choć nie miał właściwie powodu uskarżać się na dolę swoją, bo przyznać musiał, że mu w Genewie było nie tylko lepiej znacznie, aniżeli w Paryżu, ale zupełnie dobrze niemal. Nie mieszkając w mieście samem, ale na przedmieściu, w Paquis, gdzie otoczony wiejską prawdziwie ciszą, wiódł żywot sielski zupełnie, myślał sobie nieraz, patrząc na śliczne góry, na cudowne widoki, na rozległe błękity fali, któremi nieustannie wzrok poił, że kiedyś, kto wie, czy tych dni genewskich żałować nie będzie; albowiem nie uwierzycie (pisał do Teofilów), ile ten obraz ma smutku i myśli: szum jeziora zaledwo słyszeć się daje, cicho, cicho. Tu wszystko cichą przybiera barwę: nawet wspomnienia wielkich ludzi (Woltera, Russa, Byrona i pani de Staël) są wspomnieniami cichego życia.

Dom, w którym mieszkał, wysoki na trzy piętra, szary, z zielonemi okiennicami, położony o kilkadziesiąt kroków od miasta, nad jeziorem — którego jednak dla innych domów z okien nie było widać — ukrywał się cały w ogrodzie, między lipami, świerkami i sosnami. Ogród ten, zawsze zielony, nawet w zimie, stroił się co roku, na wiosnę, w tysiące fiołków i pierwiosnków (które tu żółtego i różowego bywają koloru); kiedy w powietrzu tymczasem, przesyconem zapachem lip kwitnących, fruwały białe motyle, świegotały jaskółki, dzwoniły skowronki, brzęczały muszki i świerszcze. Spacerować wtedy w cieniu lipowej alei, patrzeć na Mont-Blanc śnieżny, widny na horyzoncie, a najczęściej wiankiem białej chmury okryty, i marzyć, pijąc wszystkiemi zmysłami »poezyę wiosny i szwajcarskiego powietrza«: to była rozkosz, którą upojony, nieraz pisał do swoich, że mogą mu jej pozazdrościć. Dlatego (prosił raz Teofilów) w domu waszym wiejskim, tak, jakeście mi przyrzekli, zbudujcie mały pokoik z dwoma oknami na wschód, a w ogrodzie posadźcie szpaler z kasztanów i jodeł na przemiany, aby mi przypominał aleję, po której teraz chodzę. Pokoik zaś, żeby mu przypominał ten, w którym mieszka obecnie.

Była to stancyjka niewielka, bardzo ładna, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, o dwóch oknach z małemi szybami — jak zwyczajnie w Szwajcaryi — w których stanąwszy, widziałeś dwa olbrzymie świerki stuletnie, sosnę, dąb stary, wiele krzewów, murawę gładką, jak kobierzec zielony, i klomb róż. Przez okna, ponieważ wychodziły na

wschód, zaglądało co rano, zimą i latem, wesołe słońce. Ono też co dnia budziło poetę ze snu. Przy jednem z okien stał stolik do pracy (najczęściej zawalony papierami); przy stoliku — ogromny fotel aksamitny, w którym osoby Słowackiego nie było widać z tyłu, gdy siedział; dalej biurko czeczotkowe, kilka krzeseł, półka na książki, zegar z kukułką, piec okrągły i łóżko. To ostatnie, zwyczajem szwajcarskim, ukryte za firankami, tworzącemi nad nim rodzaj *ciel de lit.* »Zrazu firanki były mi obojętne, teraz przyzwyczaiłem się do nich i lubię je. Kiedyś, wróciwszy do kraju starym kawalerem, urządzę sobie podobne«.

Tymczasem, ponieważ nie zanosiło się bynajmniej na powrót, błogosławił Opatrzność, że go zaprowadziła pod dach *pension'u* pani Patteg, osoby dobrej niezmiernie, już niemłodej, która wraz z córką swą, Eglantyną, wszystkiem trudniącą się w domu, starała się dlań czynić to samo, jak mówiła, co chciała, ażeby dla jej oddalonego syna uczyniono. W słowach tych nie było przesady. Pokochała go bowiem istotnie, jak syna, tak dalece, że raz nawet w poczciwości swej wyraziła się, że chciałaby, aby... zachorował, dlatego poprostu, aby mu dać dowody swej troskliwości i przywiązania, które w innych okolicznościach nie zawsze »na scenę wystąpić mogą z równym blaskiem«. Na szczęście, poeta, zdrów i czerstwy, jakim może nie był dotąd nigdy (co miał niewątpliwie do zawdzięczenia łagodnemu klimatowi szwajcarskiemu), o możności zachorowania ani myślał. Pani Patteg swoją drogą czuwała nad jego zdrowiem, jak matka, starając mu się we wszystkiem dogodzić, wypytując ciągle o gusta i chęci, etc. Troskliwość ta z jej strony, zarówno jak i to postępowanie »nader delikatne i niepospolite«, rzadko spotykane u osoby obcej zupełnie, aż go niekiedy wprawiało w kłopot. Zdarzało się nawet, że, starając się go rozerwać czemkolwiek i rozweselić, kiedy był smutny i osamotniony, osiągała skutek wprost przeciwny. Raz naprzykład, kiedy Eglantyna wyjechała na czas jakiś do starej i chorej ciotki swej w Lyonie, ona widząc często Słowackiego, że nie ma do kogo słowa przemówić, zaczynała go »nudzić« rozmową o rzeczach, które o ile mogły być zajmującemi dla niej, o tyle w nim żadnego nie budziły interesu. »Ona myśli, że kiedy nic nie gadam, to smutny jestem, i nie wie, ani się domyśla, że przymus gadania jest dla mnie przykrym w teraźniejszych czasach. A jednak przymuszam się, bo ona mię kocha«.

Niemniej, aniżeli pani Patteg, chociaż inaczej, bo inną — od macierzyńskiej gorętszą nierównie — miłością, pokochała go córka jej, Eglantyna, panna niemłoda już, trzydziesto-

letnia mniej więcej, mimo to ładna (»piękna i rozumna«, jak się o niej wyraża pani Orpiszewska) i bardzo miła w obejściu, choć pokazywały się w niej czasami wady starej panny. Wykształcona, oczytana, trochę literatka (w listach szczególniej, które były równie długie, jak sentymentalne), wielka przyjaciółka Polaków, skromna, praktyczna, gospodarna, uczynna, bezinteresowna, łagodna i, jak większość kobiet ówczesnych, trochę egzaltowana, czyniła wszystko, co mogła, by tylko lokatorowi swemu, do którego się przywiązała wkrótce, jak siostra i »bardziej może, niż siostra«, pobyt w Genewie uprzyjemnić, urozmaicić. Na szczęściu, a względnie zadowoleniu jego zależało jej niemniej, aniżeli na własnem, a *Monsieur Loully,* jak nazywała Juliusza, umiał to ocenić. »Nie uwierzysz, mamo, jaki to jest mój Stróż-Anioł ta Eglantyna«, pisał o niej Słowacki do matki, a nazywając ją tak, oddawał jej tylko sprawiedliwość, trudno bowiem, zwłaszcza na obcej ziemi, w dali od swoich, znaleść istotę, któraby tak czuwała nad kimś, jak ona nad nim. Zdaniem pani Orpiszewskiej, była Eglantyna poprostu jego Opatrznością. Nie było życzenia, któremuby się nie starała zadosyćuczynić, albo któregoby nie uprzedziła. Przyjemność jemu wyrządzona stawała się tem samem i przyjemnością dla niej, tak samo, jak ją zasmucał smutek dostrzeżony na jego czole, i jak się radowała, kiedy jemu radość jaka przypadła w udziale.

Z uczuciem tem nie uważała nawet za stosowne ukrywać się przed nim; przeciwnie, zdradzała się z niem na każdym kroku, przy każdej sposobności. A sposobności takich przy wspólnem pożyciu pod jednym dachem nie brakło. Jeżeli widziała, że się nudził, starała się z nim bywać u swoich znajomych, gdzie go — wtrąćmy nawiasem — ze znaczną przyjmowano attencyą, jako sławnego poetę polskiego, co znów bardzo przyjemnie łechtało jego miłość własną. Czasami, ażeby mu i pod tym względem zrobić ułatwienie, zapraszała do siebie kilkanaście osób, panien i młodzieży, ażeby miał z kim zabawić się i potańczyć. Jeżeli pogoda albo inne względy nie pozwalały na wyjście z domu do miasta, grywała z nim w karty, w bostona, to bowiem asorbowało go i chwilowo przynajmniej odpędzało cisnące mu się do głowy czarne myśli. Kiedy go jaka zła wiadomość zgryzła, albo list jaki zasmucił, ona jedna umiała mu z twarzy wyczytać zmartwienie; musiał się jej w takich razach wyspowiadać ze wszystkiego, a ponieważ przyznawał sam (w listach do matki), że po każdej spowiedzi takiej doznawał uczucia ulgi, nie miał więc dla niej tajemnic. Podobnie i Eglantyna zwierzała mu się ze wszyst-

kiego, mówiąc nieraz, że żadnej ze swych przyjaciółek, tego, co jemu, nigdy nie mówiła. Tak np. powiedziała mu raz, że gdyby umarł, ona-by serce jego w urnie srebrnej piechotą do kraju poniosła. Tymczasem, dopóki się cieszył kwitnącem zdrowiem, ażeby mu okazać zainteresowanie się swoje wszystkiem, co miało związek z jego narodem, z jego ojczyzną, uczęszczała pilnie — najchętniej z nim razem — na publiczne kursa historyi polskiej, wykładane przez jednego z Genewian, które jednak pod względem dokładności, jak zapewnia Słowacki, dla człowieka obznajmionego z niemi, niemało pozostawiały do życzenia.

Bardziej jeszcze, aniżeli dzieje Polski, »pełne błędów i skaleczonych imion«, które dopiero Juliusz musiał później korygować w domu, interesowały ją losy jego rodziny, szczególniej matki, którą, dzięki rozmowom o niej z synem, choć nie widziała jej nigdy, pokochała jak córka, jak przyjaciółka, do tego stopnia, że jej pani Becu aż śniła się nieraz. Kiedy widziała — niekiedy przez uchylone drzwi — że *Loully* pisze list do domu, prosiła go zawsze, ażeby nie zapomniał matce swej od niej i od pani Patteg »tysiąc rzeczy powiedzieć«. Z czasem zaczęła i ona pisywać do Krzemieńca [1]). Zrazu dopisywała się tylko do listów swego »brata«, najpochlebniejsze zawsze wydając o nim świadectwo przed matką; później pisywała osobne listy (nawet po wyjeździe Juliusza z Genewy). Słowacki, ceniący w niej przywiązanie to bardzo wysoko, umiał być wdzięcznym: pisząc do matki, prosił ją często, ażeby napisała po francusku i do jego gospodyń także. Zdarzało się też, że niektóre listy z domu tłómaczył Eglantynie, spacerując z nią po ogrodzie i, jeżeli to była jesień, słuchając szmeru spadających liści.

Kiedy nadchodziły urodziny lub imieniny poety, pierwsza, nie zapominając o nich nigdy, śpieszyła z wiązaniem Eglantyna. Dnia 23 sierpnia 1833 roku (a były to pierwsze jego urodziny, jakie obchodził w Genewie) dostał od niej złotą obrączkę z napisem *23 Aout 1833* we środku. Zażenowany podobnym upominkiem, nie chciał go przyjąć na razie; wobec nalegań jednak ze strony Eglantyny, która jedyna w całym domu i w całem mieście pamiętała o jego urodzinach, trudno było odmówić stanowczo; przyjął więc. Bądź co bądź zadziwiło go to niepomiernie, że tak pamiętała o tych urodzinach. Mówił o nich raz jeden w zimie, później zaś, zapytywany o nie kilkakrotnie, nigdy nie chciał

[1]) Zob. *Tyg. illust.*, 1892, Nr. 106, 107, 108.

powiedzieć. Obrączkę tę, wraz z pierścionkiem, niegdyś mu podarowanym przez babkę, nosił Słowacki odtąd na jednym palcu. Nadmienić wypada, iż dnia tego, zbudziwszy się rano o 7-ej, spostrzegł poeta nad sobą rękę (była to, jak się okazało, ręka Eglantyny), która, odchyliwszy firanki, rzuciła mu na łóżko bukiet kwiatów, z samych róż! Parę miesięcy temu, kiedy powróciła z Lyonu, przywiozła mu stamtąd na pamiątkę bardzo ładny scyzoryk, oraz prześliczną kieskę na pieniądze, »z największym wytworem« przez damy lyońskie haftowaną. Że przez cały czas, gdy bawiła w Lyonie, pisywała do niego długie listy, »bardzo miłe i sentymentalne«, rozumie się samo przez się.

Wszystko to, razem wzięte, nie mogło czasami poecie nie dawać do myślenia. Jest-że to przyjaźń jedynie, spokojne przywiązanie siostry do brata, czy miłość? Otóż nie ulegało wątpliwości najmniejszej, że o przyjaźni nie mogło tu być mowy, a przeświadczenie to nieraz przyprawiało Słowackiego o wyrzuty i skrupuły. O ile bowiem z jednej strony pewny był, że się Eglantyna w nim zakochała, o tyle z drugiej strony nie starał się nawet wmawiać w siebie, że i on ją kocha. Nie, nie kochał jej, stanowczo! Miała nad nim »panującą władzę siostry«, ale i na tem koniec. Kiedy wyjechała, było mu wprawdzie nudniej trochę, lecz tęsknotą uczucia tego nazwać było niepodobna. Na listy jej, jeżeli odpisywał »w podobnym guście«, to czynił to głównie ze względu na nią, z obawy, ażeby jej listem chłodniejszym, t. j. szczerszym, poprostu przykrości nie sprawić; a powtóre, bawiło go takie sentymentalne »skracanie sobie czasu« stylem romansów pani de Staël lub *Nowej Heloizy*. Żeby mu jednak listy Eglantyny »nadzwyczajne« przynosiły szczęście, tego nie mógł powiedzieć żadną miarą. Ponieważ »urozmaicały« mu nieco jednostajność życia, jakie prowadził w Paquis, oczekiwał więc każdego, »jak małej jakiej nowości«. Ale też i nic więcej. Miał przynajmniej — powiada — w godzinach poczty wyglądać czego. Gniewał się, kiedy listonosz z pustemi rękoma przechodził koło ich domu; myliłby się wszakże, ktoby sądził, że go to choć cokolwiek wytrącało z równowagi. Wiedział zresztą, że list, którego się spodziewał dziś, przyjdzie jutro, a najdalej pojutrze! W gruncie rzeczy były mu listy te dość obojętne.

Gdybyż o tem wiedziała Eglantyna, ona, która w Juliuszu znalazła swój ideał, swoje bożyszcze, i która łudziła się czasami, że jest kochaną! Wygnaniec, skazany na życie tułacze, bez nadziei powrotu do kraju, poeta, z wielkim talentem podobno, miły w obejściu, wykwintnych arysto-

kraty cznych manier, łagodny, pracowity, ładnie — z uczuciem — grający na fortepianie, malujący piękne pejzaże, cichy, smętny, melancholijny, a nadto przystojny, interesujący, sławny, nie dziw, jeżeli potrafił rozpłomienić ku sobie serce dziewczyny, która niemłoda wprawdzie, ale piękna jeszcze, a tem samem nie pozbawiona praw do życia, do szczęścia, chwyciła się tej miłości, jak deski zbawienia, przekonana, iż znajdzie w niej zbawienie i odrodzenie.

W podobnem zupełnie, co Eglantyna, położeniu, znalazła się w tymże czasie przyjaciółka jej, panna Eliza Morin, córka jednego z pierwszych w Genewie doktorów, a urodzona z matki Włoszki, dzięki czemu nietylko, że śpiewała »prześlicznie« metodą włoską, lecz otrzymała jeszcze w darze od natury ogromne, czarne jak lawa, oczy Wenecyanki, a z oczyma — serce gorące i spragnione kochania, jak łabędź wody. Słowacki zapoznał się z nią w domu pani Patteg, gdzie panna Eliza, bywała razem z matką dosyć często, zarówno w dzień dla zwykłej pogawędki, jak i na urządzanych przez Eglantynę panieńskich herbatkach tańcujących. Otóż wieczorki te, pomimo woli gospodyń, dały początek sielance miłosnej poety z panną Morin. Po jednej z takich herbatek, kiedy się miano rozchodzić, Słowacki, który, jako domowy, pomagał damom przy ubieraniu się w przedpokoju, szczególną zawsze pieczołowitością otaczał pannę Elizę. Dlaczego? Poprostu dlatego, że, jak mówi, podobał mu się jej kapelusz, który, lubo do innych podobny, odróżniał się przecież gustowną, na czoło spadającą koronką czarną. Gdy się w niego ubrała, podobna była, zdaniem Słowackiego, do świeżej róży rozkwitłej na oknie gotyckiem. Ztąd poszło, że Juliusz po niejakim czasie zaczął wraz z paniami Patteg bywać w domu pani Morin »i tak się zaczął prędko romans kleci«, romans, w którym, niestety, serce Juliusza, jak zwykle, żadnego nie brało udziału. Swoją drogą lubił bardzo Elizę, z przyjemnością słuchał jej śpiewu, i chętnie ją zawsze witał, kiedy przyszła.

W sercu panny tymczasem, nieposądzającej interesującego lokatora pani Patteg o bierność, zaczęło się uczucie dla niego z dniem każdym rozwijać coraz silniej, aż wreszcie, wezbrawszy nadmiernie, nie potrafiło ukrywać się dłużej, przejawiając się w taki naprzykład sposób, że panna zaczęła dawać poecie *rendez-vous* w kościele protestanckim, w którym każdej niedzieli o pewnych oznaczonych godzinach bywała z matką na kazaniu i do którego i on, za jej namową, choć nie czuł pociągu do protestantyzmu, zaczął teraz uczęszczać regularnie. Na szczęście dla Elizy, a raczej

na jej nieszczęście, przypadł na ten czas właśnie wyjazd panny Eglantyny do Lyonu. Słowacki pozostał sam; a że »glina, z której go Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiązał doń serca panien«, więc i panna Eliza Morin, nie mogąc się oprzeć temu magnetycznemu pociągowi, odwiedzała *pension* pani Patteg o ile się tylko dało jak najczęściej: z początku dwa razy w tygodniu, po pewnym czasie co dwa dni, a w końcu codzień. »Dlaczego nas odwiedza?« pytał Słowacki w jednym z listów do matki. »Zapewne nie dla widzenia starej pani Patteg«. Poeta tymczasem, widząc w swej wielbicielce »wiele dowcipu i miłości«, a i smutku niemało, ujęty wyrazem dobroci i spokojności, jaki się na jej pięknej twarzy malował, lubił z nią »tracić czas« na długich rozmowach (rozmowach, które były długim szeregiem wynurzeń ze strony Elizy) i spacerując po ogródku, obrywać sentymentalnie stokrotki, pytać je o różne rzeczy i wierzyć im, albo nie wierzyć. Raz, gdy Eliza nie przyszła przez cztery dni, chcąc jej dać do zrozumienia, że mu tęskno bez niej — bo istotnie doznawał chwilami tego uczucia — wstał rano, poszedł do miasta i kupił dwa pęki kwiatów. Powróciwszy do domu, rozwiązał je, ułożył na nawo w jeden bukiet, po swojemu t. j. tak, jakby je ułożyła pani Becu, poczem zerwał w ogrodzie dwie małe stokrotki, i włożywszy je w bukiet, który się teraz bardzo okazale przedstawiał, posłał go pannie Morin; nie od siebie jednak, ale od pani Patteg. Przypomnienie to było skuteczne: przyszła z matką wieczorem. Kiedy poszli do ogrodu, zostawiając starsze panie same w pokoju, przyznała mu się, że zła była na te stokrotki, (bo znalazła je odrazu, choć były w tysiącu ukryte) nieprzychylny bowiem wydały jej wyrok [1]). Rozkoszne dziewczę! »Zawsze (pisał Słowacki do matki) mam po niej mnóstwo słów cichych, łagodnych i smutnych, z których tak widna miłość, że jej nie chcę zapytać, czy mnie kocha?« Dla tej samej przyczyny, kiedy mówiła mu, że była smutna przez cztery dni, nie chciał jej pytać: dlaczego? Zapy-

[1]) Ażeby zrozumieć ten ustęp, znać trzeba piosneczkę, którą dziewczęta szwajcarskie, obrywając listek po listku margerytki, śpiewają na nutę walca; piosenka ta brzmi, jak następuje:

Il m'aime un peu, beaucoup
A la folie
Par fantaisie!
Il m'aime un peu, beaucoup,
Passionément
Pas du tout!

tana zaś, co robiła wczorajszego wieczora, odpowiedziała: »Tak mi było smutno, że położyłam się o 10-ej i czytałam«. Jaką książkę? Nowy Testament. »Kiedy jestem smutna, mówiła, nic innego czytać nie mogę«. Potem ciągnęła dalej: »Dziś rano obudziwszy się, byłam zdziwiona, że mi wesołe przychodziły myśli, i przeczułam, że dzień ten będzie szczęśliwy dla mnie«. Jakoż w parę godzin później przyniesiono jej kwiaty.

Oprócz Elizy Morin i jej matki, poznał Słowacki u pani Patteg i dwie inne panie Morin (najniezawodniej krewne panny Elizy), żonę i córkę doktora Morin, jednego z bardziej wziętych lekarzy miejscowych. O ile jednak z Elizą i jej matką łączyły go ścisłe węzły serdecznej sympatyi, o tyle *Mademoiselle Lina*, zarówno jak i pani doktorowa, trochę przesadzona sawantka, nie bardzo mu się podobały. Właściwie miał im do zawdzięczenia jedną tylko przyjemniejszą chwilę, na samym początku swojego w Genewie pobytu, kiedy po jednym z wieczorków tańcujących, wyprawianych przez panią Patteg, zagadnęła go pani doktorowa — snać dobrze nieświadoma jeszcze jego nazwiska — czy zna poezye niejakiego pana Juliusza Słowackiego? Młody N. N. bowiem mówił jej dzisiaj, że w jednym z dzienników francuskich czytał o nich temi dniami długi i bardzo pochlebny artykuł. Oświadczywszy pani Morin, nie bez przyjemności, że musi tu być mowa o nim chyba, ponieważ on jest właśnie Juliuszem Słowackim, udał zrazu, że go wiadomość ta niewiele obchodzi; nazajutrz jednak, zaciekawiony niepomiernie (w nocy aż spać nie mógł), pobiegł do miasta, do *Societé de lecture*, gdzie znajdowały się wszystkie mniej więcej dzienniki francuskie, przejrzał kilkanaście, aż w końcu, wziąwszy do ręki *Revue Européenne*, zeszyt styczniowy (z roku 1833), znalazł w nim, oprócz wspomnianej recenzyi jeszcze tłómaczenie *Araba* i pieśni *Bogarodzica*, tudzież jedną scenę z *Maryi Stuart*, (scenę pomiędzy Duglasem a Maryą).

Z bijącem sercem zabrał się poeta do czytania tego artykułu o sobie, choć, przeczytawszy pod nim nazwisko L. Lemaitra, swojego dobrego znajomego z Paryża, z góry mógł być pewny, że spotka się tu z »całą litanią pochwał« i komplementów. Jakoż nie zawiódł się pod tym względem: recenzya była napisana dlań »bardzo życzliwie«, a tłómaczenie »wcale niezłe«. Pierwsza pochwała dostała się pieśni *Bogarodzica*, o której powiedziano było między innemi, że, kiedy się ukazała, »przypisywano ją kilku znakomitszym poetom polskim, ponieważ nie znano autora«. Mówiąc o znakomitszych poetach polskich, miał niezawo-

dnie Lemaitre na myśli autora *Konrada Wallenroda,* o którym wspomniał o kilka wierszy niżej, mówiąc, że wydane świeżo *Poezye* Słowackiego »mianują go w Polsce współzawodnikiem Mickiewicza i są kamieniem węgielnym wielkiej sławy literackiej«; autor ich bowiem, liczący sobie zaledwie dwadzieścia dwa lat, »rokuje ogromne nadzieje na przyszłość«. Dalej następował rozbiór *Żmii,* przypominającego zdaniem Lemaitre'a *Dziewicę z jeziora* Walter Scotta, a którego zasługa cała, w braku intrygi, leży w szczegółach, w następstwie scen malowniczych i pełnych życia. »Słowacki jest wyborny w opisach, lecz nie opisuje on przedmiotów, ale roztacza przed oczyma czytelnika obraz pełen efektów świetlanych, cieni i wypukłości. Może nowy kierunek (powiada Lemaitre), powołany przez Słowackiego do życia, przyoblecze się u niego z czasem w kształt większych utworów, które mu pozwolą, niby nowemu Walter Scottowi, ukazać w świetle poezyi cały naród, podobny szkockiemu, naród wojowniczy, obdarzony wyobraźnią i uczuciem, którego pieśni smętne żyją w Polsce po dziś dzień, podobnie jak w Hiszpanii stare romanse Bardów«. O dramatach Słowackiego, zawartych w drugim tomie, pisał Lemaitre, że »nie mogą być w kraju swoim z niczem porównane«, albowiem dotychczasowe dzieła dramatyczne polskie, lubo wyszły z pod pióra najznakomitszych pisarzów starej szkoły (klasyków), choć bardzo piękne, nie tworzyły teatru narodowego. Dramaty Słowackiego tymczasem, jakkolwiek nie bez wad, mogą być uważane za szczęśliwą próbę stworzenia teatru narodowego. Pierwsza tragedya Słowackiego, *Mindowe,* jako historya ponura, pełna zbrodni, przyodziana w szaty pogańskie, mogła być »podstawą wielkiej epopei dramatycznej, podobnej do dramatów historycznych Szekspira«. W *Maryi Stuart,* która zdaniem recenzenta jest raczej poematem dramatycznym, niż tragedyą, »zachwyca nas rzucona niejako w poprzek dramatu postać Nicka, błazna królewskiego. Szczegóły jego śmierci szlachetnej wywołują żywe i głębokie wzruszenie«. *La scène où Rizzio insulte Douglas en presence de la Reine, rappelle la scène du* Cid.

Obok tej jednakże »litanii pochwał« były i zarzuty, (zamilczane przez poetę w liście do matki). Przedewszystkiem, pisał Lemaitre, daje się w poezyach Słowackiego odczuwać jeden błąd ogólny: brak silniejszej akcyi, z czego wynika nieodbicie »brak zainteresowania treścią«, tak, iż życzyć należy autorowi, aby po tem pierwszem wyładowaniu swej siły, nauczony doświadczeniem i radami krytyki, zwrócił w przyszłości uwagę »na zajmującą akcyą, która

jest najpopularniejszym czynnikiem powodzenia«. Brak mu tylko tej jednej strony artyzmu. Czytając słowa powyższe, nie wyciągnął z nich Słowacki zdaje się logicznego wniosku, z łatwością dającego się wyczytać pomiędzy wierszami, wniosku, który był bardzo dlań niepochlebnym, pozwalał się bowiem domyślać, że poematy Słowackiego uważał krytyk za nieco nudne, że pozbawione »zajmującej akcyi«, cierpiały głównie na »brak zainteresowania treścią«, czyli, że nie interesowały sobą czytelnika, tak życzliwego nawet, jak autor niniejszej recenzyi. Słowacki na domysł ten nie wpadł i upajał się tem, co Lemaitre przytaczał na usprawiedliwienie tego ogólnego braku w jego poezyach, a co było tylko łagodną oliwą na zadaną poprzednio ranę. Jeżeli utwory Słowackiego, pisał krytyk, nie dość potrafią czytelnika zainteresować treścią swoją, wskutek braku zajmującej w nich akcyi, to błąd ten był może nieuniknionym. »Słowacki uległ przedewszystkiem gwałtownej potrzebie tworzenia. Pod wpływem bogactwa siły twórczej, pełen niecierpliwości, pragnął rozlać fale poezyi, które kotłowały się w jego duszy, wskutek czego nie mógł zbyt wielkiego kłaść nacisku na przedmiot i plan utworu. Pierwsze lepsze ramy wystarczają mu; oprawiając w nie swoje skarby, czyni to bez nadmiernego współudziału refleksyi. Opieszałość tę jednak okupuje tyloma pięknościami, że można mu ją śmiało wybaczyć«.

Upojony, odurzony tego rodzaju pochwałami, po odczytaniu ich kilkakrotnem, tak, iż umiał je prawie na pamięć, został się Słowacki jeszcze czas jakiś w czytelni, ażeby zobaczyć, czy też i inne osoby na artykuł ten zwracają uwagę. Jakoż nie doznał zawodu pod tym względem. Zdarzyło się bowiem, że takich, co recencyę tę w obecności poety dnia tego czytali, znalazło się kilku. Jakiś jegomość nawet, dobywszy pugilaresu, zapisał sobie jego nazwisko, nie wiedząc naturalnie, ani przypuszczając, że człowiek noszący to nazwisko, stał przy nim, o kilka kroków. Powiada Słowacki, że go nadzwyczaj ta scena zabawiła. Nazajutrz, bo nie mógł się oprzeć pokusie, żeby raz jeszcze nie przeczytać owego artykułu o sobie, zastał, w chwili, kiedy wchodził do czytelni, samego pana doktora Morin, który, zapewne przez żonę tu przysłany, siedział nad rozbiorem jego poezyi [1]).

[1]) Zob. *Tygodnik petersburski*, z r. 1833, korespondencya z Dorpatu, cytowana u Klemensa Kanteckiego, *Dwaj Krzemieńczanie* II, 252. Po wyjściu tej krytyki L. Lemaitre'a, w osobnem odbiciu książkowem, pomieścił o niej

Ale sceny w rodzaju powyższej, albo owej z Elizą Morin w ogródku, były tylko, jakby rzadkiemi oazami wśród głuchej pustyni monotonnego trybu życia, jakie Słowacki zmuszony był, chcąc nie chcąc, prowadzić w Szwajcaryi; z Elizą Morin bowiem, jak i z Eglantyną Patteg, wiązały się dlań jedynie »wspomnienia cichego, jednostajnego życia nad jeziorem«; a to nie mogło mu z natury rzeczy wystarczać. Kochany przez nie, podobnie, jak Szczęsny Kossakowski w *Horsztyńskim* przez Amelię i Marynę, odpłacał im za miłość ich nie miłością wprawdzie, bo tej anioł nie nawiedzał go jakoś, ale przyjaźnią i sympatyą braterską, z czego w każdym razie taką wynosił korzyść, że mu to choć w części wypełniało ową wiecznie prześladującą go pustkę. Prócz nich nie miał w całej Genewie nikogo, z kimby mógł być wylanym i szczerym, z kimby w zażylszych pozostawał stosunkach.

Towarzystwo, zapełniające w ciągu lata *pension* pani Patteg, składało się zawsze z różnojęzycznego tłumu cudzoziemców, przeważnie Anglików, szukających tu nad błękitnemi wodami Lemanu świeżego powietrza i rozrywek: cała galerya postaci nieciekawych, prozaicznych, banalnych, z któremi nie miał nic wspólnego; *des Lebens flach alltägliche Gestalten,* jakby je nazwał Schiller. Pani Uwaroff, żywa i krzycząca, zwracająca na siebie powszechną uwagę Genewian jaskrawością swych sukien; — jej córka, posiadająca sztambuchy, w których włoscy artyści, stosując się snać do gustu właścicielki, wszystko jaskrawemi kolorami malowali, i śpiewająca różne pieśni (i polskie między innemi), a robiąca zawsze trzy omyłki w każdej aryi, nigdy mniej ani więcej; — jej cała rodzina, złożona z braci i sióstr, których jedyną charakterystyką było, że nie sprawowali się cicho, i mówili różnymi językami; — nabożny i dziecinny Anglo-Szkot, który, ledwo przyjechał, zaraz kupił sobie siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogrodzie; — Anglik-oryginał, łysy, z ogromnym nosem, wiecznie w spo-

---

Pielgrzym polski z dnia 25 lutego 1833 r. (»Naruszewicz«, str. 4) następującą wzmiankę bibliograficzną:

— *Notice sur les poésies de Jules Słowacki par L. Lemaitre. Paris, 1838, 8°, pag. 16.* Rozbiór ten poezyi Słowackiego, umieszczony w *Revue Européenne* (w styczniu) zawiera piękne tłómaczenie *Bogarodzicy* i poematu *Arab* na język francuski. P. Lemaitre należy do małej liczby tych przyjaciół Polski, co szczerze pragnąc pracować dla Jej dobra, z poświęceniem oddają się nauce literatury i języka naszego. Do rzędu tych osób należą: hr. Montalembert, Bune, Roger, Boyer-Nische, Burgaud des Marets i M. A. Jullien.

Autorem tej wzmianki mógł być Mickiewicz, który w *Pielgrzymie polskim* prowadził dział literacki.

dniach nankinowych i w tabaczkowym fraku, trochę głuchy i głupkowaty, całą sławę swoją fundujący na dobrem graniu w wista i łający, jeżeli który z graczów słowo przemówił, jak gdyby o wielkie sumy chodziło, choć nie grano nigdy wyżej, jak po 5 sous za punkt; — Mr. Hamilton, ładny chłopiec, zawsze pięknie ubrany i pełen pretensyi; *la comtesse* Seidwitz, stara urożowana arystokratka, co dnia w innej sukni, zawsze wygorsowana — choć liczyła sobie 65 lat wieku — z ogromnym krzyżem dworu wiedeńskiego, zawieszonym na ogromnej kokardzie, przy boku, lubiąca kalembury i chodząca zawsze w towarzystwie papugi [1]), służącej Niemki i lokaja Niemca, noszącego za nią dwie poduszki, które kładł, »gdziekolwiek baba usiąść zamierzała; — pan Wolff, pastor anglikański, wysłany z Anglii, aby ludzi na metodystów nawracał, okrąglutki i pulchniutki, »z jezuicką miną« spożywający pokarmy i uśmiechający się wciąż »uśmiechem jezuickim« do swojej chudej żony; — pani Potopoff, wdowa, ładna jeszcze i nie wątpiąca o swoich wdziękach kobieta (choć miała w Rosyi córkę dorosłą), zawsze w zielonej sukni i w kokoszniku [2]); — jej kuzynka, panna Aneta, dobre i proste dziewczę; — pan Szaszin, kuzyn pani Potopoff, nie mówiący po francusku, tylko po rosyjsku; — pan Speaze, »doskonale nudny« Anglik, wysoki jak dzida, oponent z zasady, po całych dniach grający na gitarze pierwszą lekcyę ze szkółki; — cały legion Anglików, z których wielu nie czytało Byrona, a często o nim nie wiedziało wcale; — Angielki — z wyjątkiem jednej — wcale nie sentymentalne, choć smukłe i szczupłe: — oto sylwetki ludzi, którzy jak cienie w czarnoksięskiej latarni, przewijały się latem przez *pension* pani Patteg i z któremi, chcąc nie chcąc, zmuszony był, jak powiada, »grać tragikomedyę życia«. Czy mógł, spędzając czas w ich towarzystwie, wielkiej doznawać przyjemności? Oczywiście, że nie. Chyba, żeby się dostroił do ogólnego kamertonu tych »zjadaczów chleba«. A do tego najmniejszej nie zdradzał nigdy ochoty. Całe szczęście, że ta hałaśliwa »wieża babilońska«

[1]) Ta papuga pani comtesse de Zeidwitz, papuga, o której wiemy z listów Juliusza, że »kilka słów z okna krzyczała«, pobudziła Słowackiego do napisania owej drastycznej sceny z papugą u Papieża w *Kordyanie*. [2]) Ta pani Potopoff znalazła się zczasem w *Nowej Dejanirze (Niepoprawnych)*, gdzie w akcie I-m, scenie V-ej hrabina pyta o nią majora:

Hrabina. A pani Potopoff?
Major. Przy czaju, w zielonej sukni.
Hrabina. I zawsze w zielonej?
Major. I w kokoszniku.

nie trwała długo, i że z nadejściem jesieni cicha posesya w Paquis opróżniała się znów aż do następnej wiosny.

Pomiędzy Polakami, chociaż ich liczba dość spora bawiła podówczas w Genewie (emigrantów lub studentów uniwersytetu, uczęszczających na wykłady Michelet'a, Sismondi'ego i Rossi'ego), nie znalazł żadnego, z którymby był na tak przyjacielskiej stopie, jak np. z owym biednym suchotnikiem paryskim, Zienkowiczem, o którego śmierci doniesiono mu niedawno z Paryża, a który podobno w ostatnich czasach częściej miał na ustach jego, Słowackiego, imię, aniżeli rodziny swojej. Jedyni, z którymi przestawał bliżej i komunikował się częściej, Juliusz Grużewski, mający tu do spółki z Czechem Czapkiem fabrykę zegarków [1]), Regner, niegdyś guwerner przy młodym Ogińskim, bracia Miączyńscy, Aleksander i Włodzimierz, niejaki Darowski, i Edward Mokrzecki, dawny znajomy-rówieśnik z czasów jeszcze wileńskich, ludzie poczciwi i zacni, ale za prozaiczni, jak dla Słowackiego, nie zawsze go rozumieli, tak samo, jak i on nie zawsze ich zrozumieć był zdolny. To też wogóle trzymał się trochę na uboczu i choć, jak sam to przyznawał, nadewszystko brakło mu przyjaźni, to przecież w zawieraniu jej był trudny i ostrożny, zawiódłszy się bowiem raz na człowieku tak zdawało się pewnym, jak Michał Skibicki (który po jego wyjeździe z Paryża splamił się jakąś brzydką malwersacyą pieniężną i uciekł do Wiednia), niezupełnie dowierzał ziomkom swoim na obczyźnie zamieszkałym, ponieważ zdarzało się często, że nie zawsze wskutek biedy potrafili utrzymać się na prostej ścieżce. »Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych«. W braku przyjaciela, położył całą ufność w Eglantynie; z rodakami zaś, jakkolwiek przyjemnie mu było rozmawiać po polsku, przestawał nie więcej, aniżeli tego wymagały stosunki towarzyskie. Do domów polskich, jak np. hrabstwa Bernardowstwa Potockich, także nie chciał pójść pierwszy, a to z różnych powodów.

W podobnych żyć przymuszony warunkach, nie dziw, jeżeli skarżył się czasem na jednostajność życia i jeżeli mu

[1]) Zob. o nim u Wł. Mickiewicza w *Żywocie Adama Mickiewicza*, t. II, str. 465. Firma tej »rękodzielni zegarmistrzowskiej« była Patek i Czapek. Zob. *Dziennik narodowy* (emigracyjny) Nr. 140 z r. 1843. Odezwa Patka i Czapka do ziomków, datowana z Genewy d. 7 listopada 1843 r. O Grużewskim zob. w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego* z r. 1839 w rubryce adresów emigrantów, po za Paryżem i granicami Francyi zamieszkałych. »Juliusz Grużewski. Genève (Suisse)«.

się zdawało niekiedy, że wegetuje tylko, nie żyje. Miewał wprawdzie i takie chwile, że ta otaczająca go cisza wiejska działała nań, jak balsam, tak, iż roił sobie, że oto osiadł już na wsi, aby odpocząć po trudach życia; spokój ten nie zawsze mu wystarczał. »To niepodobna (myślał sobie), aby moje życie, tak młode, miało już być bez przyszłości«. Na zmianę tymczasem nie zanosiło się bynajmniej: dni, tygodnie i miesiące całe płynęły jedne po drugich podobne do siebie, jak koszarowe okna, nie urozmaicone żadnym interesującym wypadkiem, żadną sceną niezwykłą. »Żadnych nie mam nowin (pisał): nudno wszędzie i głucho«. Listy do matki były więc z konieczności »próżne« najczęściej i — jak mu się zdawało — wszelkiego pozbawione interesu. »Odbierając takie próżne listy, może pomyślisz, mamo moja, że ci szczegółów życia nie piszę; wierz mi, moja droga, że od dwóch miesięcy nie było dnia, któryby się od innych różnił czemkolwiek«.

Rano wstawszy (a sypiał długo, mając dużo wolnego czasu, i najczęściej aż do 10-ej zalegał łóżko) schodził na śniadanie. W lecie tylko, w wielkie upały, ażeby się ochłodzić na cały dzień, wstawał o 6-ej i biegł do kąpieli w jeziorze, pod drzewami pięknego ogrodu. Po śniadaniu, o 11-ej, szedł do miasta, do biblioteki publicznej, gdzie były wszystkie dzienniki (francuskie przynajmniej) i pisma peryodyczne. Z gazet, których codzień mnóstwo, jak powiada, czytał, wiedział doskonale, co się dzieje w Europie, w świecie literackim i politycznym. Z biblioteki, gdzie czytywał także różne dzieła — najwięcej z zakresu filozofii i poezyi — wychodził na miasto, załatwiał sprawunki i, jeżeli miał chęć po temu, odwiedzał znajomych; najczęściej jednak wracał do domu, gdzie, o ile nie zasiadał do pracy, albo grał na fortepianie, fantazyując sobie na tematy różnych aryi z oper (największą przecież przyjemność sprawiał mu polonez Sokołowskiego), albo wychodził z książką na spacer, do ogrodu lub nad jezioro. Jeżeli poszedł nad jezioro, spotykał często starego Maurycego, niegdyś przewoźnika Byrona, o którym lubił, żeby mu stary opowiadał różne, bardzo charakterystyczne niekiedy, anegdoty: o tem naprzykład, jak raz z autorem Manfreda trzymał zakład o luidora, który z nich prędzej przepłynie jezioro, i jak któregoś dnia, przegrawszy zakład — bo nie mógł się tak, jak Byron, pokrzepiać koniakiem, który poecie wlewano łyżeczką do ust — zmusił lorda do przyjęcia od niego luidora. W gawędach tych znajdował Słowacki wielką przyjemność. Lubił też, wynająwszy czółno, pływać niem po jeziorze, wypłynąć daleko, daleko od brzegu i, złożywszy

wiosła, marzyć dopiero, zapatrzony w niebo i w prześliczne góry dookoła. Podobnie lubił marzyć Shelley wśród szafirowych bezmiarów morza Śródziemnego. Ale przejażdżki takie (Byron gustował w nich również, kiedy mieszkał nad Lemanem) możebne były jedynie w dnie pogodne, letnie, bez wiatru; w upał lub deszcz innych należało szukać rozrywek. O 4-ej obiad. Na odgłos donośnego dzwonka schodziło się towarzystwo całe do salonu — albowiem zawsze prawie mieszkał ktoś jeszcze u pani Patteg prócz Słowackiego — do salonu, skąd się następnie udawano do sali jadalnej, o której wypada powiedzieć dla dokładności obrazu, że była ozdobiona w rogach dwoma posągami gipsowemi: jeden wyobrażał Apollina belwederskiego, drugi — jakąś Wenus. Po obiedzie, jeżeli były jakie *misses*, grywał z niemi w wolanta lub w *cerceaux*, a podczas gry takiej dochodziło nieraz do walki, z powodu, iż on w zabawaah tego rodzaju do niebywałej z czasem doszedł zręczności i wprawy, panny zaś nie chciały mu w żaden sposób przyznać nad sobą wyższości; kończyło się na tem, że zrywano róże i obrzucano się niemi wzajemnie. Pyszne lekarstwo na spleen! O 9-ej pijano herbatę, po której »wszelka wolność wyjścia prędkiego lub bawienia się z damami w salonie« przy kominku, pozostawiona była każdemu. Kto chciał, odchodził, kto chciał, zostawał. Słowacki nie był nigdy przeciwny spędzaniu wieczorów w towarzystwie. Owszem, rozrywało go to, zwłaszcza, że na t. zw. *soirées dansantes*, co pewien czas urządzanych przez panią Patteg, grywał pierwsze skrzypce, zarówno w tańcu, w którym celował, w mazurze szczególniej, jak i w konwersacyi, którą, jeżeli był dobrze usposobiony, wprawiał Szwajcarki poprostu w zachwyt. Panny nie mogły go się dosyć nachwalić, a młodzież mu zazdrościła. Z początku bawiły go te salonowe sukcesy; później zobojętniał na nie, jak i na wszystko, tak, iż wolał czasami grać do tańca, aniżeli samemu hasać. Teatr, »szkaradny« w ogóle, i grywane w nim przez lichych aktorów sztuki, przeważnie operetki i wodewile, żadnego dla niego nie przedstawiały uroku. Żeby to jeszcze był teatr polski! Nierównie większą znajdował przyjemność w czytaniu Anglikom na głos Szekspira lub w urządzaniu wraz z Eglantyną, teatrów amatorskich, w których, jeżeli sam nie brał udziału (choć wybornym był aktorem), to brał na siebie mniej utrudzającą pamięć rolę suflera. Najczęściej jednak schodziły mu wieczory na graniu w szachy lub w bostona. Nawiasem mówiąc, nie miał szczęścia do kart: zawsze przegrywał.

Życie takie, płynąc wciąż równem korytem, »bez ża-

dnej zmiany, ani nawet nadziei zmiany«, sprowadziło za sobą, w zimie zwłaszcza, kiedy dom pani Patteg, opustoszały, cichy, pustynią się zdawał, pewnego rodzaju odrętwiałość psychiczną, z której oczywiście, niby strumień ze źródła, wypływał spleen, oraz pragnienie czegoś nowego, jakiegoś ruchu, jakichś wzruszeń niezwykłych, czegoś jednem słowem, coby mogło się stać pokarmem dla wyobraźni.

Od czasu, jak zamieszkał w Genewie, zdarzyło mu się trzy razy wszystkiego odmiennych nieco doznać wrażeń, a choć były to wrażenia tak nikłe, że w innych okolicznościach nie wyryłyby mu się w pamięci, to przecież dziś, kiedy i takich mógł wyliczyć kilka zaledwie, wspominał je bardzo mile.

Raz, kiedy rodzina pani Uwaroff mieszkała jeszcze w Paquis, wybrał się z nimi na spacer, w góry, otaczające jedną stronę Genewy. Damy jechały w dwóch wynajętych powozach, on zaś towarzyszył im konno obok. Przybywszy tak, aż do stóp Salève, wsiedli wszyscy na osły. Jemu dostał się biegun największy i najmocniejszy, prowadził więc cały orszak, »orszak wesoły, śmiejący się, błyszczący różnemi kolorami sukien damskich«, co na tle turni skalistych i wijącej się nad przepaścią drogi wyglądało zdaleka nadzwyczaj malowniczo. Na górze, przed oberżą, na długim stole z desek, w cieniu grusz i jabłoni, spożyto wiejskie śniadanie, napawając się jednocześnie widokiem na ogromną dolinę, na kręty Rodan, błyszczący w słońcu, niby wąż srebrny, na szafirową — a matową z góry — taflę jeziora, na Genewę, łąki, wsie i miasteczka: widok nieporównany przez to, że ujęty w liściaste konary drzew, niby w ciemno-zielone ramy. Był to dlań piękny dzień!

Drugi raz — a uczynił to ze względu na pewną Angielkę — wybrał się w licznem towarzystwie Anglików do Cologny, ażeby obejrzeć dom, w którym mieszkał Byron przed kilkunastu laty. Z wycieczki tej najprzyjemniejszy był powrót, powrót przy świetle księżyca, łodziami, wśród uśpionej natury alpejskiej. Jezioro, skąpane w mglistych, seledynowych półtonach, jakby senne, robiło wrażenie jakiejś legendowej, zaczarowanej krainy wróżek; księżyc przeglądał się w wodzie, w głębi widniała Genewa, migająca różańcem oświetlonych okien i latarni; słowem, przejażdżka, jak wymarzona. »Taki spacer byłby zachwycający z miłemi osobami«, przy boku kobiety kochanej i kochającej. Jego serce, niestety, było puste.

Trzecim razem, jako w uroczystość imienin jego »kuzynki«, przypadającej, jak wiadomo, na dzień 29 listopada,

wybrał się w gronie kilkunastu znajomych na wieś, pod góry genewskie, na obiad. Kiedy jechali, ciężkie, ołowiane chmury zaległy horyzont. Sam tylko Mont-Blanc biały świecił się od słońca, jak śnieżny posąg. Nim dojechano do miejsca, lunął deszcz. Gdy ustał, »najśliczniejsza« tęcza zatoczyła nad wodami jeziora swój różnobarwny krąg. Tęcza ta była później, przy szampanie, treścią ody, zaimprowizowanej przez Juliusza na usilne prośby towarzyszów, którzy, rozentuzyazmowani nią, kiedy skończył, klaskali w ręce, całowali go, ściskali. Potem, po szeregu toastów, wychylonych na cześć poety, pito zdrowie solenizantki, potem zdrowie pani Becu, aż wreszcie po serdecznem staropolskiem »kochajmy się!«, zaintonowano poważnie: »Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny!« Była to poprostu chwila rozczulająca. Ta prastara pieśń pobożna, śpiewana przez kilkunastu młodych ludzi, wygnańców na obcej ziemi, miała w sobie »coś ogromnego«. Stojąc tak, oparci na dłoniach, dokoła stołu, podobni byli (tak im się przynajmniej zdawało wszystkim w tej chwili) do owych prostych a szczerych towarzyszów Pułaskiego i księdza Marka, z którymi w jednych szeregach walczył także i bohater melancholijnej tragedyi Słowackiego, Imci pan Ksawery Horsztyński, dawny Konfederat Barski [1]).

Zresztą przykrzyło się poecie nad Lemanem i bardzo być może, iż z samych nudów popadłby w melancholię, gdyby nie »kraina marzeń i rojeń«, która go silniej, niż kiedykolwiek, oddzielała od świata. Jej zawdzięczając, skoro nadeszła jesień, nie mógł się zbytnio uskarżać na nudę: z początku zajęty był ostatecznem wykończaniem rozpoczętych jeszcze w Paryżu *Lambra* i *Dumy o Wacławie Rzewuskim*. W tymże czasie napisał poemat o swojem dzieciństwie, *Godzinę myśli*. Pracując nad niemi, więcej przebywał myślą w Krzemieńcu i Wilnie, z Ludwikiem Spitznaglem i Ludwiką Śniadecką, aniżeli w Szwajcaryi z Eglantyną, Elizą i innemi »panienkami«, których słowa mu, jak powiada, wchodziły przez jedno ucho, a wylatywały przez drugie. Po napisaniu tych poematów, wysłał je do Paryża, do drukarni panien Pinard, co, jak wyobrażał sobie, będzie przypomnieniem o nim Corze. »Pisano mi z Paryża, czytamy w jednym z listów do matki, że mię

[1]) Chwila ta była przytomną w pamięci Juliusza, kiedy w półtora roku potem pisał swojego *Horsztyńskiego*, a mianowicie te słowa;

Szczęsny. Panie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować w poezyi, nie umiesz czuć wdzięku.

Horsztyński. Lubię hymn: »Święty Boże, Święty mocny!«

Cora zawsze wspomina. Druk mego *Lambra* przypomni jej, jak niegdyś, drukując poezye, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny: będzie jej trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma«.

W maju (1833 roku) wyszedł wreszcie *Lambro*, stanowiąc wraz z *Dumą o Wacławie Rzewuskim* i *Godziną myśli* tom III »Poezyi Juliusza Słowackiego«. Wrażenie, jakie ten tomik uczynił wśród Polaków genewskich, wypadło dla autora — jak mu się wydawało — więcej niż pochlebnie. To samo dało się powiedzieć i o Lwowie, gdzie *Rozmaitości lwowskie*, niezawodnie z inicyatywy Augusta Bielowskiego, najprzód, w Nr. 30 z d. 27 lipca (1833) doniosły o ukazaniu się tego tomu w handlu księgarskim, przyczem wspomniały, że między drobnemi poezyami, wydrukowanemi w tym tomie, »celuje pięknością prawdziwie wzorowego wysłowienia *Duma o Wacławie Rzewuskim*«; a następnie, w jednym z najbliższych numerów, podały »Wyjątek z poematu J. Słowackiego, p. t. *Lambro*«, poprzedziwszy go kilkoma życzliwemi słowami objaśnienia [1]). Co ważniejsza, to, że i księgarze, a w ich liczbie i sławny Korn z Wrocławia, zażądali znaczniejszej liczby egzemplarzy *Lambra* w komis. W Paryżu rozprzedaż tego III-go tomu także szła raźno. Dość powiedzieć, że pierwszego dnia po wyjściu książki — jak mu donosił Januszkiewicz — rozkupiono tyle egzemplarzy, że wróciła się połowa kosztów wydawnictwa: była nadzieja, ze wkrótce wyprzedaż pokryje cały nakład. Każdy list Januszkiewicza przynosił pomyślne pod tym względem nowiny, których wierzytelność była zawsze poparta tak przekonywającym dowodem, jak pie-

---

[1]) Oto rzeczone objaśnienie, w dosłownem brzmieniu: »Lambro, korsarz grecki, zaprzysiągłszy Turkom nienawiść, z kochanką po wschodnich kołuje morzach, a gdy ta bada jego tajemnice uczucia, (on) *jak drugi korsarz Byrona*, uchyla przed nią zasłonę swego serca, *tak jednak mglisto i ciemno*, jak są myśli skalanego zbrodniami człowieka, który, podobnie aniołom strąconym, rozpamiętywa o swych dawnych cnotach«. Autorem tej wzmianki będzie prawdopodobnie August Bielowski. *Rozmaitości Lwowskie* przedrukowały z *Lambra* dwa rozdziały z księgi pierwszej, VIII i IX.

Lambro Słowackiego, jako nie osnuty na temacie, wyjętym nie z dziejów ojczystych, nie podobał się Sewerynowi Goszczyńskiemu (tak, jak zdanie Słowackiego, wypowiedziane w przedmowie o warunkach narodowości w poezyi, nie trafiło do przekonania pisarzy, zajmujących się podówczas krytyką). W rozprawie swej o *Nowej epoce poezyi polskiej*, ogłoszonej bezimiennie w krakowskim *Powszechnym Pamiętniku Nauk i Umiejętności*, z r. 1834 (a więc napisanej wkrótce po wyjściu *Lambra*), pisał o tym poemacie tonem prawie pogardliwym, co następuje: »Nad dziełami *obcej osnowy*, jak *Lambro*, nie nasza rzecz zapuszczać się w uwagi«.

niądze za rozprzedane egzemplarze. Tym sposobem nie upłynęło sześć miesięcy, a poecie wróciło się z *Lambra* 1767 franków [1]). Takiem powodzeniem nie mogły się poszczycić nawet *Dziady* Mickiewicza, pomimo, że o nich pisano więcej i lepiej, aniżeli o III-m tomie Słowackiego. Właściwie nie pisano o nim wcale. Jedyny, który o tym poemacie, a raczej o przedmowie do niego, zabrał głos, był sprawozdawca literacki *Pielgrzyma polskiego* (wydawanego przez Januszkiewicza, któremu Słowacki dał w komis swoje dzieła). Kto był tym sprawozdawcą? W przekonaniu Słowackiego był nim Mickiewicz, który (zdaniem Juliusza) dotknięty »krótką a gryzącą« przedmową do *Lambra,* zemścił się w *Pielgrzymie polskim,* »ale dość niezgrabnie«: mianowicie »obciął« wyjątek z tej przedmowy, »ale tak obciął, że mu nadał całkiem inne znaczenie«. W postępku tym (wciąż zdaniem Słowackiego), było dużo »złej wiary«, co zresztą Słowackiemu wszyscy przyznawali, którym ten artykuł *Pielgrzyma* przeczytał [2]). Czy artykuł ten, a raczej drobną wzmiankę dziennikarską, pisał istotnie Mickiewicz, jak o tem był przekonany Słowacki? Trudno odpowiedzieć stanowczo. Ale są poszlaki, że rzeczywiście on był autorem tej wzmianki. Wprawdzie Januszkiewicz (po 43 latach) utrzymywał, że autorem tej wzmianki był Bohdan Jański, ale to nie jest żaden dowód, bo Januszkiewiczowi, jeśli chodzi o Słowackiego, nigdy wierzyć nie trzeba [3]). Pan Władysław Mickiewicz, w swojej książce o Ojcu, utrzymuje, że Mickiewicz nigdy do *Pielgrzyma* nie pisał o rzeczach literackich, co jest nieprawdą, bo pisywał [4]). Kto wie,

---

[1]) Zob. L. Méyeta *Rachunki księgarskie Juliusza Słowackiego (Świat*, Nr. 21 z d. 1 listopada 1893, str. 488). »Ogólny dochód wynosił 2367 fr., z czego potrącając przysłane (poecie) przez matkę 600 fr.. wypadnie za książki do końca 1833 r. i w sześć miesięcy zaledwo po wyjściu tomu III-go — 1767 fr. Wprawdzie przyjmując koszt druku na 2577 fr., braknie jeszcze do pokrycia wydatków przeszło 800 fr., lecz rezultat ten należy uważać *za bardzo dobry*, bacząc *na krótki przeciąg czasu i na nieprzyjazne podówczas warunki, towarzyszące książce wyszłej po za granicami kraju*«. [2]) Na liście »Prenumeratorów *Pielgrzyma polskiego*«, wychodzącego w Paryżu od 4 listopada 1832 r. do 1 kwietnia 1833 r., figuruje między innymi i »Juliusz Słowacki«. W »Prospekcie *Pielgrzyma polskiego*«, wydanym przez księgarnię E. Januszkiewicza, figurują około 20 marca 1833 r. w inseratach »Poezye Juliusza Słowackiego, tomów 3, Paryż 1832, franków 15«. [3]) W liście do Ant. Małeckiego. Zob. Juliusz Słowacki, wyd. drugie, t. I, str. 225. [4]) P. Władysław Mickiewicz utrzymuje, że Mickiewicz nigdy o Słowackim nie pisał, że w *Pielgrzymie polskim* »jedną *jedyną* ogłosił recenzyę: Pamiętnika pułku jazdy wołyńskiej«. Temu twierdzeniu zaprzeczają listy Mickiewicza, który raz (w kwietniu 1833 r., a więc właśnie w czasie, kiedy wyszedł *Lambro)* pisze do Garczyńskiego: »Niektóre poezye drobne puszczę w dziennik *Pielgrzyma*, **w którym piszę artykuły**«. A w maju, tegoż roku pisze do Garczyńskiego: »Umieszczę w *Pielgrzymie* artykuł o pierwszym tomie«. Wzmianka

czy podejrzenie Słowackiego nie było oparte na podstawie jakiej dobrej informacyi. Skoro wiedział napewno, że Mickiewicz »o dziełach literackich w pisemku pisał«, to musiał to pisać na pewnej podstawie. Cokolwiekbądź, czuł się tą krytyką swej przedmowy do *Lambra* dotknięty boleśnie, ktokolwiek ją napisał: Mickiewicz czy Jański.

W takiem usposobieniu, kiedy nadeszła jesień 1833 roku, zabrał się poeta do pracy nad *Kordyanem,* mającym stanąć według wyraźnego zamiaru autora, jako przeciwstawienie, obok trzeciej części *Dziadów* i mającym nadto, świetnością swą, zrehabilitować panią Becu, jako wdowę po doktorze Becu, tak zniesławionym w tym poemacie Adama. »Nic mi nie pozostaje, pisał o tem Słowacki do matki, myśląc o *Kordyanie,* jak okryć ciebie, matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię *inne pociski ludzi* dojść nie mogły«. To był uboczny cel, z jakim Słowacki wziął się do pisania *Kordyana.* Utwór ten, skomponowany na wielkie rozmiary »trylogii dramatycznej«, a pisany *con amore* dzięki myśli współzawodnictwa z twórcą *Konrada Wallenroda,* do tego stopnia zaprzątał sobą imaginacyę i całą istność Juliusza, że aż go tem samego rozśmieszał. Istotnie, roztargnienie poety w tych czasach dochodziło kulminacyjnego punktu. Któregoś dnia np., płacąc szewcowi za buty, zapłacił nie tyle, ile mu się należało, i wyszedł ze sklepu. Dopiero w kilka minut potem przypomniał sobie nagle, ile zapłacił, i naprawił popełnioną omyłkę.

Niestety, po takich dniach weny pisarskiej, kiedy to mu płynęło z pod pióra po sto i więcej wierszy dziennie, następowała reakcya znużenia i wyczerpania umysłowego, dni, w których był »jak Turek po wytrzeźwieniu się z opiumu, zupełnie zimny i prozaiczny«. Wtedy czytywał. Mając prawo, jako członek genewskiego Towarzystwa literackiego, brać książki do domu, za co płacił 50 franków rocznie, otaczał się, jak Faust, mnóstwem »dzieł filozofi-

---

o *Lambrze* Słowackiego ukazała się w *Pielgrzymie polskim* z dnia 26 maja 1833 r. (szósty półarkusz, str. 23). Dowód to, że w tym czasie Mickiewicz najwięcej pisywał do *Pielgrzyma* a zresztą (jak słusznie zauważył p. Biegeleisen) Mickiewicz był pisma tego współredaktorem, nadającym mu ton i kierunek. Gdyby się więc z artykułem Jańskiego (jeśli go rzeczywiście pisał Jański) nie zgadzał, byłby postąpił *inaczej,* (t. j. nie puściłby tej wzmianki do druku). Nieprawdą jest zresztą, jakoby Mickiewicz w *Pielgrzymie polskim* jedną tylko ogłosił recenzyę (zob. Władysław Mickiewicz, *Op. cit.*, II. 222). Dowodów, że pisywał, i to specyalnie o rzeczach literackich, zawsze *nie podpisując* swoich drobniejszych lub obszerniejszych wzmianek, znajduje się aż nadto w życiorysie *Księdza Hieronima Kajsiewicza*, skreślonym przez Bronisława Zaleskiego (Poznań 1878 r.). Zob. str. 20, 27.

cznych«, jak np. dziełami Platona (w tłómaczeniu francuskiem) i historycznych, szczególniej dotyczących rzeczy polskich, jak np. Rulhière'a *Histoire de l'anarchie en Pologne* [1]), zapiski Dumouriera itd. i siedząc w swoim fotelu staroświeckim, zaczytany, paląc fajkę, przy trzaskających na kominku drewkach, przepędzał tak całe ranki i popołudnia, a niekiedy i wieczory, o ile na to pozwalała Eglantyna. W ostatnich czasach [2]) otrzymał wreszcie z domu z takiem upragnieniem od kilku już miesięcy oczekiwane dzieła Kochanowskich, Jana i Piotra; tego ostatniego w pierwotnem wydaniu, gotyckiemi literami. Nie mógł się niemi dosyć nacieszyć. Zwłaszcza *Treny* podobały mu się niezmiernie.

Niesposób jednak trawić dni całych na czytaniu. I po tem następowała reakcya. Cóż wtedy? Wtedy przychodziła kolej na zniechęcenie, na spleen. Przez czas trwania takich »tygodniowych spleenów« nic go nie bawiło, nie cieszyło, a wszystko — nawet i Eglantyna czasami ze swojem przywiązaniem — drażniło, niecierpliwiło. Smutny i posępny, z »ponurą walką myśli na czole«, opryskliwy dla najbliższego otoczenia, rozkapryszony, sam nie wiedzący czego chciał, miejsca sobie nigdzie znaleść nie mógł i, patrząc na świat przez zakopcone szkła swojego ponurego — chwilowo — usposobienia, widział go, naturalnie! szarym i bezbarwnym. O Genewie wyrażał się, że nudna; o arystokracyi genewskiej, złożonej z kupców, żegarmistrzów i metodystów (uważających np. teatr, za zgubną i zakazaną zabawę), że śmieszna; o Anglikach, mieszkających u pani Patteg, że nieznośni; o »rezonowaniach« pana Wolffa, że głupie itd.

Promiennemi, poetycznemi, i »pełnemi kolorów«, wydawały mu się jedynie wspomnienia Krzemieńca i Wilna. Wspomnienia te podczas takich »dni samotnych« rozpacznych, często nawet w chwili, kiedy »grając rolę wesołego chłopca«, prowadził tańce (bo trudno było nie brać udziału w zabawie), tłumem cisnęły mu się do głowy i napełniały »puste serce«, przywodząc na pamięć różne obrazy dzieciństwa, tych lat, prawdziwie sielskich, anielskich, w porównaniu z którymi teraźniejszość, wiek męski, była wiekiem klęski, zawodów i rozczarowań. »Prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinnna się nam piękniejszą, niż była, wydawać«. A jednak wydawała mu

---

[1]) W dziele Rulhère'a mógł Słowacki znaleść niejeden motyw do *Horsztyńskiego*, Akt I, scena II. [2]) W listopadzie 1833 roku.

się piękniejszą i, co gorsza, wszystko ją przypominało. Wysmukłe sosny ogrodu zmuszały do myślenia o innych dniach »przepędzonych między sosnami«. Słowiki, ukryte w gąszczu i zawodzące swe płaczliwe trele, przypominały pogodne noce litewskie. Aleja lipowa przypominała inny szpaler. Róże pachniały tak samo, jak te, które niegdyś zrywał dla Ludki. Nawet ten śmieszny Angloszkot, który z siatką na motyle uwijał się ranki całe po ogrodzie, przypomniał mu boleśnie jego dzieciństwo, Mickuny, Wilejkę, lasy sosnowe i »jeszcze coś« [1]). Kiedy grał w bostona, zdawało mu się nieraz, że widzi ojca swego, Rustema i Bogatkę, siedzących przy zielonym stoliku.

Za to, patrząc codziennie na biały wierzchołek Mont-Blanc'u, myślał o teraźniejszości i Malczewskim, z którym miał, jak sądził, dużo podobieństwa: tylko, że jego »dotychczas burza jeszcze nie złamała«, ani duma nie zabiła; choć zaczął już w sobie dostrzegać różne wady, jakich nabywa serce tułacza: już się np. ani do miejsc, ani do osób, z któremi żył, nie przywiązywał tak silnie, jak w dzieciństwie. Widocznie, że się przerabiał powoli na »obywatela świata« i to mu niemało smutku napędzało do serca. Wielką prawdę wypowiedział Dante, mówiąc:

O, szczęsny, szczęsny, co się rodzi,
I nigdy w życiu za obręb graniczny
Swoich zegarów miejskich nie wychodzi [2]).

Słowa te wielkiego florentczyka stały Słowackiemu zawsze na myśli (bo miał je wyryte w pamięci ognistemi zgłoskami owego napisu nad bramą piekielną u Dantego), ile razy się przysłuchiwał bijącym zegarom genewskim; uważał, że w głosie ich było coś dziwnego. Niektóre dzwonią zwolna i ponuro; inne wybijają coś nakształt uciętego

---

[1]) Zob. *Listy*, t. I, str. 122 i por. z tem następujący ustęp z *Horsztyńskiego*, akt II, scena IV:

Amelia. Otóż będę mówiła słowami mego serca. Ty taki dobry dla swojej siostry; pamiętam te chwile, kiedy dziećmi będąc, razem biegaliśmy po nadwilejskich łąkach za motylami wiosny; kiedy jesienią w zasypanych liściem alejach lubiliśmy chodzić razem i dumać.

Por. także *Beniowski*, pieśń IV. (Wspomnienia Ludki).

[2]) Słowa te, z *Boskiej komedyi* wyjęte, przetłómaczył (w roku 1842) sam Słowacki. Zob. *Beniowskiego*, część II, pieśń X (oktawa druga). Renè Chateaubrianda powiada: »Szczęśliwi ci, co ukończyli wędrówkę, nie wychodząc nigdy z portu, i co nigdy, jak ja, nie wlekli dni marnych po ziemi«. W *Atali* Chateaubrianda czytamy podobne zdanie: »*Heureux ceux qui n'ont point vu la fumée des fêtes de l'étranger et qui ne se sont assis qu'aux festins de leurs pères*«.

kuranta, ulubioną zapewne piosnkę jakiegoś zegarmistrza, który przed stu laty ją śpiewał i potem śpiew swój wszczepił w starą wieżę kościelną. Więc dziś zegarmistrz w grobie spoczywa, a wieża powtarza co godzina jego ulubioną melodyę. Ludzie, którzy się tutaj urodzili, muszą być smutni, ile razy oddalą się tak daleko, że już tej pieśni nie słychać«. Szczęśliwy, kto nigdy z oczu komina ojcowskiego nie straci, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa na którem wyrózł«. Jemu los szczęścia tego odmówił i skazał na tułactwo, na wieczną tęsknotę za krajem, za rodziną, i na ciągłą — straszniejszą jeszcze od tej tęsknoty — niepewność: ażali wróci kiedykolwiek do swoich umrzeć pomiędzy nimi, czy też sądzone mu na obczyźnie życie zakończyć? Pytanie to było dla niego prawdziwem *to be or not to be*. Kiedy z nastaniem wiosny, widział jaskółki ciągnące na północ, miał w oczach łzy. Kiedy go Eglantyna poprosiła, ażeby jej wymalował jaki pejzaż na pamiątkę, namalował widok Krzemieńca, z ławki pod topolą w botanicznym ogrodzie. Wszystko, co pochodziło z kraju, było mu drogie podwójnie, dlatego tylko, że z kraju. Kiedy się przyszło rozstawać ze staremi koszulami, kupionemi w Wilnie, smuciło go to rozłączenie tak, jakby się żegnał ze starymi przyjaciółmi. Do nowych koszul, które sobie sprawiał obecnie za pośrednictwem pani Patteg, już się tak nie przywiąże! »Wszystko, co otacza człowieka, odmienia się, jak liście na drzewie — pisał pod tem wrażeniem — wkrótce oprócz kilku książek nic nie będę miał z kraju, nic dawnego przy mnie nie zostanie«. Pod wpływem tego uczucia tęsknoty, chcąc sobie sztucznie wytworzyć atmosferę, któraby mu przypominała dom, nauczył swoje gospodynie robić chłodnik, ale nie bardzo w nim smakowały. Na Wielkanoc uczył je pieczenia bab.

Z tem uczuciem, które Niemcy tak poetycznie *Heimweh* nazywają, szło nierozłącznie w parze pokrewne mu smutkiem inne, niemniej bolesne: tęsknota za matką. »Matko moja — pisał raz do niej w chwili zwątpienia — ty nie wiesz, ile przez to oddalenie zebrało się w sercu mojem łez i miłości dla ciebie«. Nieraz, czytając list od niej, doznawał złudzenia, że chodzą razem po ogrodzie krzemienieckim, że słyszy imię swoje, jej wymawiane głosem. Kiedy mu raz obiecała przysłać jaką pamiątkę, prosił o miniaturę jej (z portretu, który odmalował Kłembowski); patrząc na nią w »smutnych godzinach«, będzie sobie przypominał szczęśliwe lata dzieciństwa. Tymczasem nie chciał się pozbywać nawet niektórych nałogów, które odziedziczył po matce, a z których nieraz śmiano się w Paquis.

Tak np. powziął zwyczaj, jeszcze dzieckiem będąc, długiego chodzenia w kółko po pokoju. Zrazu, widząc go krążącego, »jak gwiazdę«, około marmurowego stołu, myślano, że używa agitacyi dla zdrowia, albo że wiersze składa. Nikomu bowiem przez myśl nie przeszło, że jest to tylko nałóg familijny, uprawiany jedynie dla dogodzenia niespokojności nerwów. Najczęściej, podczas takiej przechadzki, nie myślał o niczem: najwyżej o tem, że gdyby mu kiedy wypadło mieszkać z matką, salonik przyszłego ich domku musiałby być dosyć obszernym, ażeby mogli dwoje krążyć i wymijać się łatwo. Tymczasem śniła mu się matka bardzo często, a jeśli się zdarzało niekiedy, że przez czas dłuższy nie widywał jej we śnie, zaczynał myśleć o niej, zasypiając, który to sztuczny środek przywoływania upragnionego snu nie zawsze zawodził.

Za najbliższymi krewnymi, jak dziadek i babka, albo Teofilowie Januszewscy, tęsknił również. Każde przypisanie się dziadka w liście do matki, przyprawiało go o rozczulenie. Cóż dopiero, jeżeli się dziadunio przypomniał wnukowi swemu wierszem. Niemniejszą radość sprawiały mu »brzuchowate litery« Hersylki. Czasem, w dzień dżdżysty, wyjmował z szuflady dawne listy, od matki, od Teofilów, od przyjaciół paryskich, a każdy świstek papieru budził w nim całe szeregi wspomnień. Między wieloma »łzy wyciskającemi relikwiami«, chował małą książeczkę Ludwika Spitznagla, pełną rysunków i wierszy.

Teraźniejszość taka, której jedyną osłodą były wspomnienia z lat ubiegłych dawno, musiała z konieczności wyjaławiać serce i budzić obawy o przyszłość. Całe szczęście, że ją Słowacki uważał tylko »za czas czyścowej próby«, do której końca, jak mniemał, każda zbliżała go chwila.

Nadzieja ta jednakże nie była zdolną pomimo wszystkiego rozpędzić dręczącej go od dłuższego już czasu niespokojności, która, zdawało mu się, miała »jakąś twarz ludzką i bladą«, a z którą musiał walczyć, jak z domowym wrogiem, zaprawiała mu bowiem wszystko goryczą, w nocy odbierała sen, w dzień smak pokarmom. Często, zatrudniony czytaniem, albo jaką »cichą pracą«, zrywał się nagle, jak waryat, i zaczynał chodzić szybkiemi krokami po pokoju, z rozpalonem czołem, jak gdyby ją ujrzał, tę niespokojność, wyrastającą raptem z kart książki. Rozigrana imaginacya unosiła go wówczas, jak rozbiegany rumak, i rozsadzała mu czaszkę najstraszniejszemi częstokroć obawami i podejrzeniami. I tak np. zdarzały się dni, w których mu spokoju nie dawała dziwna jakaś, niczem nieuzasadniona trwoga o los i życie jego najbliższych, o życie

matki i o swoją przyszłość w razie, gdyby został sierotą na łasce stryja [1]), który był jego opiekunem, a który go nieraz »odepchnął od siebie wymaganiem uszanowania«. Co począłby wtedy? Byłby »zupełnie niemy«, opanowałaby go bowiem niemoc jakaś, któraby mu nie pozwoliła ujmować się zbytnio za swoją sprawą. Z ustami, zakneblowanemi przez dumę, nie upominałby się o nic, a wówczas, nie wątpił — w godzinach spleenu i mizantropii — nie omieszkanoby go skrzywdzić, zostawiając na łasce Opatrzności. Z kolei rodziły się innego rodzaju myśli, tym razem jemu nie przynoszące zaszczytu, mianowicie: poczucie swej niezaradności. Żył z tego, co miał od matki, to znaczy, że był dla niej ciężarem, ponieważ, ażeby jemu nie zbywało na niczem i żeby mógł sobie żyć, nic nie robiąc, a przynajmniej nie zarabiając na własne utrzymanie, ona musiała sobie odmawiać wszystkiego, musiała nosić stary, podarty szlafrok, mieć zimno w mieszkaniu, chodzić piechotą, kiedy dawniej jeździła koczykiem, ograniczać — przez oszczędność jedynie — swoje stosunki towarzyskie itd. Wyrzuty podobne nie przestawały go ścigać; prześladowany niemi a tak samo, jak szekspirowski Hamlet, obezwładniony chorobą woli, skąd wynikała niemożność zdecydowania się, niezdolność powzięcia jakiegoś stanowczego zamiaru, budował w imaginacyi swej — i zawsze tylko w imaginacyi — najfantastyczniejsze zamki na lodzie, najdziwaczniejsze i najekscentryczniejsze, prawdziwie poetyczno-niepraktyczne projekty, z których naturalnie żaden (może i na szczęście dla poety) nie miał przyjść do skutku. Jeden z takich projektów np. polegał na porzuceniu Genewy i domu pani Patteg, gdzie mu się przykrzyło niejednokrotnie, i na zamieszkaniu, skoro mu się fundusze uszczuplą, gdzie w »wieśniaka szwajcarskiego domu«. O »zwierzęce wygody życia« — tłómaczył sobie — nie dbał, mogłoby mu więc być w takiej chacie pasterskiej bardzo dobrze (zupełnie jak w sielance Gessnera). Swoją drogą, kiedy się z planem tym zwierzył przed Eglantyną, uznała go za trochę komiczny. Czasami, w chwilach »najokropniejszej niespokojności«, połączonej z wyrzutami, marzył (bo zawsze *marzył* tylko) o czemś pośredniem pomiędzy *pensionem* w Paquis, a »wieśniaka szwajcarskiego domem«. Wtedy zdawało mu się, że ulżyłby ciężaru matce, gdyby się przeniósł bądź »do jakiego cichego miasta Włoch«, bądź do południowej Francyi, bądź do Niemiec, gdzie można żyć podobno spokojnie

[1]) Erazma Słowackiego.

i tanio, bądź do Galicyi, do Lwowa lub Krakowa. Najchętniej powróciłby na Wołyń, ale to było niemożebne. Wszystkie te projekty, jeden niepraktyczniejszy od drugiego, wynikały poprostu z chęci przenoszenia się od czasu do czasu z miejsca na miejsce. Słowacki, który nie wiedział, że ludzie nerwowi, jak on, nigdzie popasać długo nie lubią, zapatrywał się na to inaczej, mianowicie: widział w tem rodzaj poświęcenia. Czasami znów, a ciągle pod wpływem owych wyrzutów, postanawiał, ażeby ulżyć matce, wziąć się do pracy, do jakiegoś praktycznego zajęcia; ale, jak zwykle u niego, kończyło się wszystko na szlachetnych zamiarach. I pomimo, że taka »chęć czynniejszego życia« [1]), właśnie za sprawą owych wyrzutów sumienia, ogarniała go dosyć często, zawsze mu ostatecznie opadały skrzydła, zawsze koniec końców do jednej dochodził konkluzyi, że nic mu nie pozostaje, tylko »cicho siedzieć, myśleć i pisać«. I głowę włożywszy pod skrzydło, jak się wyrażał, znowu, »jak łabędź senny«, zasypiał na czas jakiś. Niestety, błogie to *dolce far niente* zamącała wciąż owa niespokojność o los »oddalonych osób«, ów »jaskółczy niepokój«, które mu ciężyły na sercu [2]). Co tam się w tej chwili dzieje w Krzemieńcu? Czy wszyscy zdrowi? Dlaczego nie piszą? Co to

---

[1]) Podobny stan psychologiczny, wzorując się oczywiście na własnych uczuciach, opisał Słowacki doskonale w *Horsztyńskim*, (zob. akt I, scena I), gdzie Amelia — w sposób nadzwyczaj delikatny — wyrzuca Szczęsnemu »nieczynne życie«, z którego ojciec (hetman) chce go »obudzić« i »wyrwać«. Na podobną »samotność i nieczynność« życia uskarża się Hamlet-Szczęsny bardzo często. Nic ciekawszego, jak śledzić to odbicie się chwilowego usposobienia poety w jego utworach (pozornie najobiektywniejszych). [2]) Por. *Kordyan*, akt I, scena I. W scenie tej opisał Słowacki siebie nad jeziorem Genewskiem. Widzimy tam bohatera tragedyi, leżącego pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu (myślał tu Słowacki o lipach w Paquis). Z jednej strony widać dom wiejski, z drugiej ogród, za ogrodzeniem dziedzińca staw (jezioro Genewskie), pola i lasy sosnowe. Tych samych słów używa Słowacki w listach do matki przy opisie »domu wiejskiego« w Paquis. Monolog zaś, który w tej scenie wypowiada Kordyan, to monolog Słowackiego w jesieni roku 1833. Dość porównać z nim list Słowackiego do matki z dnia 17 października 1833 r. »Nie możecie sobie wystawić — pisze tam między innemi Słowacki — jaki wdzięk ma tutejsza jesień: dotąd czas najpiękniejszy: słońce świecąc na wpół pożółkłych liściach, zdaje się być bardzo złociste i piękne, murawy nie tak, jak u nas, spalone i bez życia« itd. Podobny obraz roztacza przed nami Kordyan, tyle tylko, że nam go opowiada jeszcze poetyczniej.

Ten staw (jezioro genewskie) odbite niebo w sobie czuje
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła,

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

jest, że już tak długo nie miał od nich listu? Czy nie chorzy? A może ich jakie nawiedziło nieszczęście? Podobna niepewność, od której każda pewność byłaby niewątpliwie znośniejszą, wprawiała umysł jego w stan nieustannego napięcia i ciągłego oczekiwania jakiejś wieści smutnej, jakiegoś ciosu bolesnego, jakiejś fatalnej wiadomości z domu. Największe z tego powodu katusze cierpiał w godzinach poczty, pomiędzy jedenastą a drugą.

Widząc to Eglantyna, całe ranki nieraz przepędzała na dziedzińcu, czekając listonosza. Często, widząc go, mijającego dom, biegła za nim, lękając się, czy przypadkiem nie zapomniał wstąpić. Poczciwa!

Poczciwość tę umiał w niej Słowacki oceniać należycie, tak samo, jak doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że poczciwość ta nietylko we wrodzonej dobroci i szlachetności serca, ale i w miłości także miała swe źródło. A jednak, pomimo wszystkiego, nie mógł jej kochać, choć nigdy może takiej, jak dziś, nie uczuwał potrzeby kochania.

Oddawna, bo od owego dnia, w którym po raz ostatni widział się i pożegnał — może nazawsze — z Ludką Śniadecką, trawiła go namiętna żądza wrażeń serdecznych, wrażeń, w którychby nietylko głowa jego, czyli imaginacya, ale i serce żywy brało udział. A nie doświadczył

Ciche wyrzekła słowa do drzew: Gińcie drzewa!
Zwiędły, opadły.
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa;
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów skonanie
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa...
Cicho: słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie, (symfonia czysto szwajcarska)
Idą trzody po trawie, chrzęszczącej od szronu, i t. d.
Oto ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści:
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy (liści uwiędłych).
...Boże, zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel życia wyprorokuj...
Nudzę się...

Na podobny spleen cierpi także i Szczęsny Kossakowski (w *Horsztyńskim*, napisanym w dwa lata po *Kordyanie*):

Amelia. Smutny jesteś, zdziwaczałeś.
Szczęsny. Nudzę się.
Amelia. Szukaj zabaw.

Można być pewnym, iż w podobny sposób przemawiała do Słowackiego nieraz Eglantyna. Echo tych jej rad odbiło się w liście poety do matki dnia 20 lutego 1834 r., gdzie czytamy między innemi, co następuje: «Z nikim tu nie żyję, nie mam siły poszukiwać zabaw« itd.

dotąd podobnego uczucia ni razu. Co to są prawdziwe »przyjemności uczuć«, nie wiedział. Znał tylko »przyjemności wrażeń«. Bo, że dziecinne przywiązanie do Ludki było więcej miłością studenta-poety, który się naczytał poematów Byrona, *Dziadów* Mickiewicza i sonetów Petrarki — o ile je mógł znać z przekładów — i któremu się przywidziało, że i on także, jeżeli ma być wielkim poetą, musi mieć swoją Beatrice, podobnie, jak miał Petrarka Laurę, Tasso Eleonorę, a Mickiewicz Marylę: o tem już nie wątpił, choć wstyd mu się było do tego przyznać, jeżeli nie przed samym sobą, to przynajmniej przed matką; co zresztą ani na moment postaci rzeczy nie zmieniło. Fakt, że mu się od niejakiego czasu boleśnie uczuć dawała pewna pustka sercowa i że pożądał miłości, miłości prawdziwej, ludzkiej, a nie literackiej, jak jego pierwsza miłość, fakt ten rzucał się w oczy i nie pozostawiał żadnych wątpliwości. »W takim czarującym kraju, pisał raz w tem uczuciu do matki, potrzeba mieć tylko serce napełnione i spokojne; ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu nie miałem«. Dlatego był smutny zazwyczaj, dlatego tak częstym podlegał spleenom, ponieważ nie miał nikogo, żadnej »miłej osóbki«, coby go »trochę zelektryzowała«, ponieważ nie znalazł — choć szukał — takiej istoty, coby go podniosła nieco i ożywiła, coby mu ducha »odpromienić« była zdolna, słowem, którąby pokochał naprawdę. Jeszcze takiej na drodze swego życia nie spotkał: wszystkie kobiety, w których duszy on płomień miłości rozniecić potrafił, pozostawiały go niewzruszonym, zimnym, obojętnym: nie kochał żadnej. I to było źródłem jego melancholii! Wierzył, że sama obecność w sercu miłości już wypełnia życie, już daje pokarm, i jest sto tysięcy razy więcej warta, niż pustka i nicość życiowa: cóż dopiero dla poety, dla artysty, którego — jak powiada Sienkiewicz — *fachem* jest kochać; albowiem sztuka istnieje przez miłość jedynie i przez kobietę. On tymczasem, choć pragnął taki »zwodniczy postrzał amora« — jak mówi Dante — poczuć w swem sercu, nigdy, jak żyje, nie kosztował miłości naprawdę. Dusza jego była spragniona kochania, łaknęła szczęścia we dwoje, czegoś, coby ten głód uczuciowy zaspokoiło. Na wszystko wtedy, przypuszczał, innemiby poglądał oczyma. Ta cudowna przyroda alpejska, strojna w szklistości lodowców i błękity jezior, inaczejby przemawiała do niego: nie byłyby to już w jego oczach wspaniałe tylko, ale puste ramy, bez żadnego wewnątz malowidła, lecz byłby przepiękny, wymarzony obraz raju, »bo prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych«. On, niestety, nudził się w tym raju, jak

Adam w szóstym dniu stworzenia. A czemu? Bo w Edenie tym nie było jeszcze Ewy, bo »wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać. Na mnie tymczasem (własne jego słowa w jednym z listów) Bóg rzucił jakieś przekleństwo: na drodze, którą idę, stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żywi okruszynami uczuć«.

Takim zastała Słowackiego jesień roku 1833.

ROZDZIAŁ II.

MARYA WODZIŃSKA.

Willa przy ulicy Beauregard. I. Marya Wodzińska i jej rodzina. Atmosfera w domu Wodzińskich. Książę Ludwik Napoleon. Pierwsze wrażenie Słowackiego. Fatalny list. *Kordyan*. Wielkanoc 1834 r. Wyjazd Eglantyny. *Pont du Mont Blanc*. Prologomena przyszłej miłości. Pogoda umysłu. Rozczytywanie się w dziełach Jana Kochanowskiego i Platona. »Trzeba się kochać« (1834). II. Wycieczka w Alpy. Towarzystwo. Wyjazd z Genewy. Villeneuve. Bex. Zwiedzanie salin. Droga przez Simplon. Klasztor św. Bernarda. Louèche-les-Bains. Na szczycie Gemmi. Lodowce. Interlacken. Giessbach. Lauterbrunn i Grindenwald. Faulhorn. Wodospad Aary. Lucerna. Kaplica Tella. Na Rigi-Kulm. Powrót do Genewy (31 lipca — 20 sierpnia). III. Zbliżenie się do rodziny Wodzińskich. Geneza *Mazepy*. Wychodzi *Pan Tadeusz*. Pomysł sześciu kronik dramatycznych. *Balladyna*. Stosunek do Maryi. Myśl o ożenieniu. Zabawy u Wodzińskich, »Prawie familijne« wieczorki. Poświęcenie pomnika J. J. Rousseau. Wiersz w sztambuchu Maryi (1834 — 1835). IV. Zżycie się z Wodzińskimi. Pamiętny bal. Romans się zaczyna kleić. Pierwszy pocałunek. Rozmowy o rzeczach anielskich. Obiad wiejski. Powrót w czasie burzy. »Różowe sprzeczki«. Stokrotki. Rojenia o »młodej, ładnej i *bogatej* żonie«. Zazdrość i choroba Eglantyny. Pożegnanie z Maryą. Wyjazd do Veytoux. Wyrzuty sumienia (1835).

Położona wśród czarującej okolicy, nad jeziorem, w ogrodzie, na wzgórzu, którego zbocze, zstępując aż do szafirowych wód Lemanu, tworzyło szereg malowniczych tarasów, willa przy ulicy Beauregard [1]), w której od roku 1832 mieszkała pani Wodzińska, zwracała na siebie uwagę przecho-

[1]) »*Ce fut à Genève, dans une villa, dont les jardins descendaient en terrasses jusq' au lac bleu*«. *Comte Wodziński (Antoni) »Les trois romans de Frédéric Chopin«, Paris, 1886.*

dniów przez to szczególniej, że o pewnych godzinach słychać było, przez jej otwarte okna, czarowne dźwięki chopinowskich mazurków i nokturnów, z niepospolitą oddawanych maestryą. To panna Wodzińska grała na fortepianie.

I.

Była to panna nie piękna, choć nie tak znowu »bardzo brzydka«, jak się wydała Słowackiemu, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył. Wysoka, pełnej tuszy, (kto wie nawet, czy nie zatęga trochę, jak na przyszłą heroinę poematu *W Szwajcaryi*), niepospolicie rozwinięta, nietylko duchowo, ale i fizycznie, choć liczyła sobie rok 15-ty dopiero; brunetka o matowo białej cerze Włoszki, o włosach czarnych, jak heban, połyskujących jak jedwab, a tak długich, że, kiedy je rozpuściła, mogła się niemi nakryć, niby płaszczem; o prześlicznych czarnych oczach, cudownie oprawnych, oczach, które, pełne ognia i życia, »odbijały wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy«; o rysach twarzy wydatnych, niezupełnie regularnych — *lez nez était fort* — posiadała »coś niewypowiedzianie uprzejmego« w całem ułożeniu, coś, co się zwykle mianem wdzięku niewieściego określa. Ci, co ją znali, wyrażają się zgodnie, że »piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar«. A że posiadała nadto »mnóstwo talentów«, więc niemałego musiało jej i to także dodawać uroku. Jako córka magnata — Wodzińcy bowiem zajmowali wtedy w społeczeństwie stanowisko magnackie — otrzymała wychowanie staranne nadzwyczaj, polegające głównie, stosownie do ducha czasu, na rozwijaniu stron artystycznych w kobiecie, kosztem praktycznych. Kształcona w domu, prywatnie, przez cały legion różnych metrów, guwernantek i bon, których w Służewie, jej wsi rodzinnej, znajdowało się zawsze kilkoro, uprawiała ze znacznem powodzeniem prawie wszystkie sztuki piękne: poczynając od muzyki, a kończąc na malarstwie, do którego, jako amatorka, miała bardzo sympatyczny talencik. Pejzarze, a nawet portrety, co już nie jest rzeczą łatwą, malowała wcale dobrze. Jeden z najlepszych wizerunków Chopina, jaki posiadamy, wyszedł z pod jej ołówka [1]). Zrobiła też (podobno, że bardzo trafiony) portret Eglantyny Patteg,

[1]) *Echo muzyczne*, Nr. 7, z d. 13 lutego 1892.

który nam może z czasem pozwoli uprzytomnić sobie nieznane dotąd rysy tej »siostry genewskiej« Juliusza [1]). Śpiewała nie gorzej, niż rysowała, i jeżeli altowym głosem swym nie czarowała słuchaczów, jak syrena, albo pani Delfina Potocka naprzykład, to wrażenie przecież, jakie robił jej śpiew, zawsze było bardzo dodatnie: wszyscy godzili się na jedno, że miała głos »śliczny i dźwięczny«. Na poezyi znała się — już wtedy w Genewie — równie dobrze jak na muzyce; na muzyce zaś, jak wiadomo, rozumiała się, jak prawdziwa artystka: oprócz wykonawczego bowiem, posiadała jeszcze i niemały talent kompozytorski, talent, którego sobie nie lekceważył nawet Chopin. W chwilach wolnych (od lekcyi, któremi jeszcze była wtedy, jak sama powiada, obarczona) komponowała różne sentymentalne walce *à la* Chopin i nokturny *à la* Field, a z tych niektóre udawały się jej wcale nieźle. Dość powiedzieć, że jeden z takich »ładniuchnych tematów« (wyrażenie Chopina) przesłany panu Fryderykowi do Paryża, tak dalece trafił mu do przekonania, że go »zaraz tego samego wieczora« wziął za temat do improwizacyi w jednym z salonów, jak się do tego sam w liście swoim z dnia 18 lipca 1834 roku do Feliksa Wodzińskiego przyznaje. Zapewne, że niepoślednią w tem rolę odgrywała młodzieńcza i egzaltowana miłość młodego maestra dla »panny Maryni, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło«, ale bądź co bądź nie musiał to być temat zupełnie błahy i bez wartości; w przeciwnym razie nie nazwałby go Chopin »ładniuchnym«. Co zaś do jej talentu wykonawczego, to zaprzeczyć się nie da, że była to prawdziwa zdolność z bożej łaski, zdolność, rozbudzona jeszcze w zaraniu przez Chopina, z którym »Marynię« od dzieciństwa łączyły węzły zobopólnej sympatyi i zażyłości, (sympatyi, która była pierwszą miłością obojga), zdolność, którą ostatecznie rozwinął John Field. Ten ostatni, jak o tem wiemy z listów Słowackiego, będąc w Genewie, dawał przez czas jakiś pannie Wodzińskiej lekcye gry na fortepianie.

O skończonem wirtuozostwie tej gry świadczy między innemi następujący fakt. W godzinach, w których ćwiczyła się w muzyce, pod oknami willi, na ulicy, stawał co dnia prawie młodzieniec pewien, któremu przysłuchiwanie się tym pięknym melodyom Grottgera polskiej muzyki wielką snać sprawiało przyjemność, skoro zdarzało się niejednokrotnie, że stał tak, zasłuchany i nieruchomy, z cygarem

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1893, V, 206.

w ustach, dopóty, dopóki muzyka nie ucichła. Młodzieńcem tym, zawsze wytwornie ubranym, a ujmującym swojem melancholijnem wejrzeniem, był przyszły twórca drugiego Cesarstwa we Francyi, książę Ludwik Napoleon, mieszkający wtedy w Genewie, na wygnaniu. Z domem Wodzińskich, u których bywał często, łączyły go stosunki przyjaźni (przyjaźni, którą miłych znajomych genewskich zaszczycać nie przestał wówczas nawet, kiedy zasiadał na tronie). Dla panny Maryi, jako interpretatorki utworów Chopina i Fielda, był — jak i wszyscy zresztą — z niekłamanem uwielbieniem. W rozmowach o niej, nie nazywał jej nigdy inaczej, tylko *la brune fille d'Euterpe.*

Mianem tem zaczęło ją wkrótce nazywać całe miasto, ile, że nie było po pewnym czasie koncertu w Genewie na cel dobroczynny, ażeby do łaskawego w nim współudziału nie zaproszono panny Wodzińskiej. Po koncertach takich, na których ją, prosząc o nadprogramowe dodatki, rzęsistemi zawsze darzyła publiczność oklaskami, dziękował jej nieraz — w imieniu różnych instytucyi filantropijnych — sam prezydent miasta [1]).

Oprócz powyższych — artystycznych — otrzymała panna Maryanna w darze od natury jeszcze jedną zdolność: umiała się podobać. Nie można powiedzieć, żeby była kokietką; nie, kokieterya nie leżała w jej usposobieniu. Mimo to szczęście do mężczyzn miała zawsze nadzwyczajne, już w Genewie nawet, choć, jak się nas dzisiaj zapewnić stara, »nie myślała wtenczas o miłości, lecz o nauce«. Przeróżne lekcye — powiada — cały mój czas zabierały. Nie byłam dorosłą panną, za takową nie uważałam się sama i w oczach świata nie uchodziłam. A jednak potrafiła niechcący może, rozmarzyć sobą Chopina, w Służewie jeszcze, na parę lat przed przybyciem do Genewy, a że tak było, tego aż nadto wyraźnie dowodziły — pomiędzy wierszami — jego listy, pisane teraz z Paryża, gdzie stale zamieszkiwał, listy, pisane do matki, albo do braci »Maryni«, a w których »pannie Maryi« kazał conajmniej »kłaniać się bardzo elegancko z uszanowaniem«. W podobnem położeniu, jak Chopin w Służewie, znalazł się obecnie w stolicy szwajcarskiej młody hrabia de Montigny, Francuz, który bywając częstym gościem w willi przy ulicy Beauregard, tak się w czarnobrewej córze Euterpy zakochał, że się o nią w ciągu roku 1833 i 1834 dwukrotnie aż oświadczył! Fakt ten służyć może za dowód, że chopinowska *mademoiselle Marie,*

---

[1]) *Les trois romans de Fr. Chopin*, 238.

choć »obarczona« lekcyami, dość znajdowała czasu pomiędzy jedną lekcyą a drugą, ażeby się niektórym ze swoich znajomych zakraść do serca i stać się panią ich wyobraźni. Przypuszczam nawet, że nie musiało jej to wcale z wielką przychodzić trudnością; na to bowiem, ażeby rozmarzyć sobą, wprawić w zadumę, a w końcu zachwycić i podbić sobie kogoś zupełnie, wystarczało jej poprostu zasiąść do fortepianu. Wiedziała, że grą swoją »entuzyazmowała słuchaczy«! W rozmowie, którą równie biegle, jak po polsku, prowadziła po francusku, po angielsku i po włosku, także potrafiła, jeżeli tylko chciała, w najwyższym stopniu dodatnie czynić wrażenie: podbijała sobie każdego, na kim jej zależało, ażeby mu się podobać, głosem swoim, który »dźwięczał dziwną harmonią«, swoim »czarującym uśmiechem«, opromieniającym owal twarzy, i swemi czarnemi oczyma nakoniec, w których, jakby powiedział Słowacki, »całym pękiem Kupido trzymał naježone strzały«, a w które wpatrując się, zapominano, jak zapewnia p. Antoni Wodziński, o nieklasyczności innych rysów, o linii nosa zbyt ostro zarysowanej itp.

A można z nią było mówić o wszystkiem, bo — że użyjemy wyrażenia osoby, znającej ją dobrze — rozumek miała niepospolity. Biegła w rzeczach sztuki i piękna, wysławiająca się gładko, z natury skłonna do egzaltacyi — nigdy jednak nie graniczącej z przesadą — nie dziw, że była niebezpieczną, tembardziej, że wzdychających do niej amantów lubiła zbywać »wesołą obojętnością«, co dolewało jeszcze oliwy do ognia, albowiem równało się nieczułej igraszce kotki z myszą. Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że oprócz polskiej płynęła w jej żyłach także i włoska krew (p. Wodziński utrzymuje, że odziedziczyła ją Marya po babce, jednej z tych Orsettich, którzy opuściwszy swój pałac rodzinny w Medyolanie, ze świtą królowej Bony (?) przywędrowali do Polski)[1]), i że ów temperament artystyczny, który ją przedewszystkiem cechował, miał tem samem źródło swe w słonecznej ojczyźnie Palestriny i Mercadantego, Rafaela i Tyciana, Sforzów i Medyceuszów.

Jednem słowem, zakochać się w takiej pannie, zwłaszcza, jeśli się było młodym i — jak Słowacki w owym czasie — stęsknionym za uczuciem miłości, nie należało do niepodobieństw; przeciwnie, było koniecznością poniekąd; bo — jak powiada p. Antoni Wodziński — »był to kwiat nawpół roztwarty, pełen woni, świeżości, blasku«,

---

[1]) *Les trois romans de Fr. Chopin*, 223.

a przytem miała Marya, zdaniem tegoż autora, »wszystko, co takiego człowieka, jak Słowacki, pociągnąć mogło i musiało: wykwintne wychowanie, wdzięk dziewiczy, duszę, która go była w stanie zrozumieć, inteligencyę żywą, zamiłowanie do sztuki, a wreszcie... ten urok, jaki nadaje pierwszorzędne stanowisko społeczne, urodzenie, majątek, formy i stosunki światowe«. Wiadomo zaś, jak Słowacki był na to czuły, z jaką łatwością tego rodzaju wpływom podlegał.

Oprócz panny Maryanny — bo tak ziomkowie nazywali czarnobrewą córę Euterpy — miała tu pani Wodzińska przy sobie dwie córki: średnią, Józefę (późniejszą panią Kościelską, matkę dziś powszechnie znanego posła) i najmłodszą, Teresę, wówczas dziecko trzyletnie, (która w roku 1852 poślubić miała kuzyna swego, Leona Wodzińskiego, dziedzica dóbr Białobrzegi i Sucha w radomskiem); oraz trzech synów: Kazimierza, Feliksa i Antoniego. Ten ostatni bawił do niedawna w Paryżu. Ojciec ich, Wincenty, bogaty obywatel-magnat z Kujaw, gdzie posiadał jeden z najpiękniejszych majątków w Królestwie, pamiętne w życiu Chopina Służewo, bawił tymczasem w kraju, rodzinę swoją w Genewie odwiedzając tylko co parę miesięcy. Wesołość, panująca w uroczej willi przy ulicy Beauregard, podwajała się wtedy; choć i w zwykłych warunkach smutno nie bywało tu nigdy; pani Wodzińska bowiem, nieskrępowana względami materyalnemi, prowadziła dom otwarty, który stał się niebawem ogniskiem genewskiego *high-life'u*, gdzie »niemal codziennie« gromadziło się nietylko towarzystwo polskie, ale i przedniejsze rodziny z miejscowej *élite de la société*. Z Polaków, stale mieszkających w Genewie, bywali tu: pani Klaudyna z Działyńskich Potocka [1]); pani Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu, której córka Wanda, późniejsza pani Tomaszowa Potocka, szczególnie się przyjaźniła z Maryą i swatać ją chciała ze swym krewnym, Darowskim (czyli, że oprócz Chopina i hr. de Montigny miał Słowacki z czasem jeszcze i trzeciego rywala), jenerał Gruszewski, nieodstępny przyjaciel pani domu; bracia Miączyńscy, Aleksander i Włodzimierz; sporo młodzieży uniwersyteckiej polskiej — ponieważ z młodymi Wodzińskimi, także uczęszczającymi na niektóre wykłady, łączyły ją stosunki koleżeńskie — i wiele innych osób, szczególniej szlachty emigrantów, zatrzymujących się w Genewie dla obejrzenia Lemanu i okolic; albowiem kto tylko

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1893, IV, 202.

z ziomków zawadził o Genewę, każdy prawie znajdował w domu pani Wodzińskiej gościnne przyjęcie. Między innemi zatrzymał się tu raz i Adam Mickiewicz podobno »w przejeździe do Włoch«, wywarłszy osobą swoją i powagą głębokie na Maryi wrażenie [1]). Z obcych należeli do stałych gości pani Wodzińskiej: państwo Saladin, których córka, uwielbiana przez najmłodszego z braci Wodzińskich, a słynna z wdzięków, stała się głośną za czasów drugiego Cesarstwa hrabiną de Pourtales; niektórzy znakomitsi profesorowie uniwersytetu genewskiego, jak Bonstettin i Sismondi; i wreszcie, obok znacznej liczby dystyngowanych Anglików i Angielek, wspomniani już: młody hrabia de Montigny, zakochany w Maryi, jak Filon, i książę Ludwik Napoleon. Ten ostatni, mało mówiący, nadzwyczaj uprzejmy, był namiętnym tancerzem. Kiedy wieczorami po skończonej kolacyi młodzież zaczynała tańczyć, on należał zawsze do tych, co tańczyli najwięcej: szczególniej z panną Maryanną, z którą ogromnie lubił upajać się szalonym wirem galopady. Bo marzycielska jego natura nie znajdowała upodobania w miarowym sentymentalnym walcu [2]). Do grona domowników zaś, bardzo licznego, należeli między innymi: Mr. Basclop, metr angielskiego języka, T. Field [3]), nauczyciel muzyki, oraz dwie guwernantki: panna Mallet, Fran-

---

[1]) Nie mamy prawa nie wierzyć panu Wodzińskiemu (choć z podanych przezeń wiadomości niejednokrotnie korzystać należy z całym krytycyzmem), ale zapytać się godzi, jaki tu »przejazd do Włoch« Mickiewicza ma on w tym razie na myśli. O pierwszym bowiem z r. 1829 nie może być mowy, w danym wypadku przynajmniej, ponieważ rodzina Wodzińskich bawiła w Genewie dopiero od roku 1832. Podczas bytności pani Wodzińskiej w Genewie (1832 — 1835) przejeżdżał tędy Mickiewicz raz tylko jeden, w lipcu r. 1833, z umierającym Stefanem Garczyńskim; wtedy jednak (możemy być pewni) nie »stanął w progach« domu przy ulicy Beauregard, albowiem — jak o tem wiemy z dzieła p. Wł. Mickiewicza o ojcu, II, 274 — z domu prawie nie wychylał się, prawie żadnego z szwajcarskich dobrych znajomych nie odwiedził (pani Wodzińska zresztą do liczby ich nie należała nigdy), z Polaków widział tylko Karola Edwarda Wodzińskiego, który, dodać wypada, był jedynie znajomym pani Wincentowej Wodzińskiej. Zob. jego *Wspomnienia z włóczęgi po Europie*, cyt. u Wł. Mickiewicza, II, 274. »W Genewie (w r. 1833) zastałem naszego poetę, Adama (Mickiewicza), który tu przybył z Bex z Garczyńskim, także poetą. Mają razem jechać do południowej Francyi, a może do Neapolu, gdyż Garczyński, chory na suchoty, mocno już zaawansowane i Adam (Mickiewicz) nie ma nadziei dowiezienia go na miejsce. Naszych w Genewie bawi niewielu. Mieszkają tu ciągle: pani Wodzińska z Sandomierskiego z całą familią, której część poznałem, Bernardowie Potoccy, Jelski, Juliusz Grużewski, Mokrzecki, poeta Słowacki, Miączyńscy z Wołynia itd. [2]) *Bibl. Warsz.*, 1893 r., IV, 203. [3]) Nie był to jednak ów słynny kompozytor, twórca nieśmiertelnych nocturnów (na których wzorował się Chopin), temu bowiem było na imię John. Słowacki przecież, pisząc do matki o pannie Wodzińskiej, że »Field, będąc tu (w Genewie), dawał jej lekcye na fortepianie«, miał Johna Fielda na myśli.

cuzka, i *miss* Wagner, Angielka, niezwykłą odznaczająca się pięknością.

Tym sposobem, w salonie pani Wodzińskiej — w salonie, z którego okien najcudowniejszy roztaczał się widok na jezioro, na okoliczne góry, na niedokończony jeszcze *Pont du Mont Blanc* i na niewielką wysepkę J. J. Rousseau w pobliżu, pośrodku której wznoszono właśnie pomnik dla uczczenia pamięci autora *Nowej Heloizy* — wesoło bywało zazwyczaj i gwarno: tańczono, muzykowano, bawiono się w gry towarzyskie, przy czem obejść się nie mogło naturalnie, ażeby sutych raz po raz nie palono ofiar na okwieconym ołtarzu płochego (a tak wszechwładnego dziś) bożka flirtu.

Rozumie się samo przez się, że szczególnemi przywilejami — oprócz arystokracyi — cieszyli się tu artyści; nie było pomiędzy nimi tylko poety. Na jednym z wieczorów wszakże, w połowie listopada 1833 roku, znalazł się na salonach pani Wodzińskiej także i poeta. Był nim Juliusz Słowacki.

Na wieczorze tym grała panna Maryanna na fortepianie, a że grała »ślicznie« metodą Fielda, więc gra jej była Słowackiemu »bardzo miłą«, ile, że przypominało mu to czasy wileńskie i grę Ludki [1]). Wykonawczyni jednak sama nie zrobiła na nim powierzchownością swą wcale dodatniego wrażenia; przeciwnie, wydała mu się poprostu bardzo brzydką, może dlatego, że podobna trochę z twarzy do Ludwiki Śniadeckiej, nie mogła się z nią mierzyć pod względem urody [2]).

---

[1]) »Żałowałem bardzo, że nie mogłem słyszeć bawiącego teraz w Paryżu Fielda. Jest on zawsze ulubieńcem moim w muzyce. Lubię wszystko, co się wiąże ze wspomnieniami«. Aluzya do tego, że Ludwika Śniadecka grywała utwory Fielda. [2]) »W tym miesiącu miałem kilka wieczorów: (między innemi) wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i dwiema (?) córkami: starsza, dorosła już panna, ale bardzo brzydka, gra ślicznie na fortepianie. Field, będąc tu, dawał jej lekcye, i gra zupełnie Fielda metodą, więc gra jej bardzo mi miłą była«. Ustęp powyższy jest bardzo znamiennym. Widać z niego bowiem, że z całej rodziny Wodzińskich największą uwagę z jego strony zwróciła na siebie zaraz pierwszego wieczoru panna Maryanna. Kiedy pani Wodzińskiej, jej młodszej córce i synom poświęca tyle słów tylko, ile koniecznie na wyliczenie ich (n. b. niedokładne) potrzeba, o »starszej córce« rozpisuje się w trzech wierszach. Widocznie, że najsilniejsze na nim zrobiła wrażenie. Że ją nazywa »bardzo brzydką«, to niczego nie dowodzi. Nie zapominajmy, że i Chopin, kiedy poznał panią George Sand, pisał o niej: »Poznałem wielką znakomitość, panią Sand. Ale twarz jej niesympatyczna nie podoba mi się: jest w niej coś odpychającego«. A jednak po pewnym czasie potrafiła go ta niesympatyczna na pierwsze wejrzenie kobieta opętać swoją miłością i »zapomniał, że piękną nie jest«. To samo czekało i Słowackiego.

Cokolwiekbądź, wieczór ten, lubo należał bezsprzecznie do przyjemniejszych, jakie się Słowackiemu spędzić zdarzyło, odkąd bawił w Genewie, nie wyrył się w pamięci jego zbyt głęboko.

Winien był temu głównie *Kordyan,* którego ostateczne wykończanie i przepisywanie na czysto, do tego stopnia absorbowało poetę, że — jak się sam wyraził — życie i rzeczywistość puszczał lekkomyślnie mimo siebie. Dziwne usposobienie zaiste! Świat realny, prawdziwy, dotykalny, ze wszystkiemi swojemi powabami, z całą poezyą natury, z całą przewagą jawy nad snem, musiał ustąpić przed marzeniami: ludzie żywi, istniejący, musieli ustąpić miejsca postaciom fantastycznym, urojonym, wyśnionym, wysnutym z bujnej imaginacyi! Ale taką już była natura Słowackiego! Imaginacya, marzenie, fantazya, urojenie, brały u niego zawsze górę nad rzeczywistością. Imaginacya była dlań często źródłem szczęścia i nieszczęścia, radości i zgryzot. Co dziwniejsza, to, że sobie z tego najdokładniej zdawał sprawę, tak, iż zdawało się nieraz, że wierzył w chwilowe szczęście, choć wiedział dobrze, iż jest to szczęście urojone. I »prawdziwie — pisał raz — że jestem szczęśliwy tą władzą twórczą urojonych wypadków, szczęśliwy każdego wieczora, kiedy piszę, kiedy chodzę po suchych liściach ogrodowej alei«. I dziwić się wobec tego, że poeta-artysta większą w nim grał rolę najczęściej, aniżeli mężczyzna-człowiek, i jeżeli, jak się wyraził w jednym z listów do matki, układanie kamyków na własny grobowiec wystarczało mu najzupełniej.

Nie inaczej miała się rzecz i tym razem. Z głową nabitą swojem »wielkiem dziełem«, dziełem, które powinno być ostatecznym i śmiertelnym ciosem w jego achillesowej walce z autorem *Dziadów,* a którem, jak mniemał, Bóg sam go natchnął, nie pozwalał poprostu myśli swej zaprzątać się rzeczami tak błahemi, jak czarne oczy jakiejś pięknie na fortepianie grającej panny. Jakoż skończyło się na tem, że »wszystkie przyjemności życia mijały go i obchodziły kołem, mówiąc: »Nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy«. I było mu z tem dobrze nawet, tak dalece, że nie mógł czasami zrozumieć, jak inni ludzie bez takich wrażeń żyć mogą; i zdawało mu się, że chleb, który spożywają, musi pachnieć nicością.

W niemałej także mierze do tego, że wspomnienie przyjemnie spędzonego wieczoru przy ulicy Beauregard i ślicznej gry na fortepianie »Fielda metodą« zatarło mu się w pamięci bardzo rychło, przyczyniła się jeszcze i ta

okoliczność, że w tych właśnie czasach otrzymał poeta list z domu pełen niepomyślnych wiadomości. Przedewszystkiem donoszono mu w nim o śmierci babki. Wypadek ten wstrząsnął całą jego istotą moralną bardzo silnie: raz dlatego, że przywiązanie, jakie żywił dla zmarłej, było rzeczywiście gorące nadzwyczaj i szczere; a powtóre, że już na parę tygodni przed otrzymaniem tej bolesnej nowiny dręczyło go fatalne jakieś przeczucie nieszczęścia. Wiadomo zaś, że »tajemnicza władza przeczuć« była dlań zawsze przedmiotem medytacyi! Przeczucia te, choć niczem w zasadzie nie umotywowane — chyba brakiem od dłuższego czasu wiadomości z Krzemieńca — o taką go przyprawiały niespokojność, że nie mógł sobie poprostu miejsca znaleść nigdzie: raz, sam dobrze nie wiedząc czemu, nie jadł prawie nic, ile, że pokarmy zdawały mu się goryczą zaprawne; kiedyindziej nie rozumiał czytanej książki, choć silił się, żeby uważać; raz znowu, pisząc list do matki, który miała otrzymać w sam dzień swoich imienin, zaczynał ni stąd, ni zowąd płakać rzewnemi łzami, etc. Okazało się, że w chwili właśnie, kiedy on pisał ten list, w Krzemieńcu (jakby na potwierdzenie słów Hamleta, że więcej jest rzeczy na ziemi i niebie, aniżeli się ich śniło naszym filozofom) odbywała się eksportacya ciała starej pani Januszewskiej. Poprzedniego dnia, wieczorem, chodząc po pokoju, mimowoli wyobrażał sobie, że się przechadza po sypialni babuni, gdzie nad framugą drzwi wisiał biały z kości słoniowej Chrystus na czarnym krzyżu, i że, spacerując tak (zwyczajem familijnym) dookoła stołu, rozmawia z matką, którą, jak mu się zdawało, widział przez uchylone drzwi w przyległym pokoju leżącą na kanapie i oświeconą płomieniem rozpalonego świeżo na kominku ognia. Nie wiedział, że w tym samym pokoju, o tym samym czasie, stała na katafalku trumna ze zwłokami babki!

Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na jego wyobraźnię; tembardziej, że list ów zawierał oprócz powyższej i inne jeszcze, wcale nie pocieszające wiadomości: dość powiedzieć, że pisała go pani Becu pod świeżem wrażeniem przeczytania *Dziadów* Mickiewicza. Nadto znalazły się w liście tym takie wiadomości o Ludce (jakie? nie wiemy), że Słowacki, odpisując matce, tyle tylko w tej sprawie napisać był zdolny: »Ledwo wierzyć mogę wieści o Ludwisi; niepodobną mi się wydaje«.

Że tyle dyssonansów naraz, w jednym mniej więcej czasie, mogło zagłuszyć w poecie wspomnienie melancholijnej gry panny Wodzińskiej, odebrawszy mu na długo ochotę do poszukiwania rozrywek i przyjemności, to, wobec

nadczułej pod wielu względami natury Juliusza, było nieuniknione. To też nie wychylał się prawie z domu. U Wodzińskich bywał wtedy jedynie, kiedy go zaprosili. Ale i do nich, choć był to jedyny dom polski, jaki miał w Genewie, chodził, jakby z musu; powtóre, nie chciał im się narzucać. Swoją drogą, ile razy się wybrał, nigdy nie żałował: choćby dlatego tylko, że miał tam sposobność mówienia po polsku. Zmuszony prawie wyłącznie posługiwać się językiem francuskim, znienawidził go w końcu tak, że w teatrze nawet przestał bywać z czasem, albowiem, jak powiada, chciałby tu słyszeć ludzi mówiących po polsku.

Z ziomkami widywał się rzadko. Najwięcej i najchętniej przesiadywał w domu, w towarzystwie swoich gospodyń i familii młodszej córki pani Patteg, która z mężem swoim, bankierem w Genewie (w wolnych chwilach haftującym włóczkami) i z czworgiem dzieci sprowadziła się na zimę do Paquis, ażeby być bliżej matki i siostry. Słowacki polubił ich bardzo, na co zresztą, jako ludzie poczciwi i serdeczni — jak to Szwajcarzy — w zupełności zasługiwali. Był z nimi, jak brat, jak bliski krewny. Wieczorami, po obiedzie, grywali w wista; we dnie zaś, jeżeli mu się sprzykrzyło siedzieć samemu w pokoiku u siebie, schodził do nich, żeby się trochę popieścić z dziećmi. Najstarsza z nich, Mathilde, dziewczynka sześcioletnia, była jego — żoną. Uczył ją rysować, opowiadał jej — jak jemu opowiadano niegdyś — różne historye z Pisma świętego, albo też, przeszedłszy z nią do swego pokoju, zapalał fajkę, sadzał sobie dziecko na kolanach (czasami przychodziła i Eglantyna) i zaczynał dopiero ku najwyższej uciesze Matyldki, rozpowiadać różne najfantastyczniejsze historye[1]). O tem naprzykład, jak się z nią ożeni kiedyś, jak pojadą razem do Polski, która jest krajem prawdziwych cudów, piękniejszym od Szwajcaryi i wszystkich krajów świata. »Pojedziemy tam, mówił, prześliczną karetą, w której okna będą całe z różowych karmelków. W kraju naszym, który płynie mlekiem i miodem, na polach i łąkach, zamiast śniegu, leży cukier, a po Wiśle pływają statki, ukute ze szczerego złota, oświecone płomieniami zapalonego ponczu«. Dziecko, zaciekawione, z szeroko rozwartemi oczyma, wyrażającemi najwyższy wyraz zdziwienia, z ogromnem zajęciem i przejęciem słuchało tych opowiadań, a poeta i Eglantyna, je-

[1]) Zob. *Horsztyński*, stosunek Szczęsnego do braciszka Michasia. Sceny te (pisane w Genewie) są wyraźnie wzorowane na stosunku poety do małej Matyldki.

żeli była obecna, uśmiechali się do siebie[1]). Matyldka tymczasem, wywdzięczając mu się za to, zjawiała się przed nim często z bukiecikiem fiołków, prosząc, żeby je sobie na stole w swoim pokoju postawił (wiedziała bowiem, że lubił bardzo kwiaty, zwłaszcza fiołki), albo też obrębiała mu własnoręcznie chustki do nosa. Zupełnie, jak przystało na kochającą małżonkę! Jego bawiło to, i nieraz, gawędząc tak, ubolewał, że naprawdę żonatym nie jest. Bo nie ulega wątpliwości, że gdyby to od niego zależało, natychmiast pomyślałby o ożenieniu się. Osiadłby na wsi — myślał sobie — jak Kochanowski, i żyłby, jak on, szczęśliwy i spokojny, przy boku dobrej, kochającej żony, bo, jak powiada poeta, żona mężowym kłopotom zabiega

I jego wczasu we wszystkiem przestrzega;
Ona wywabić troskę umie z głowy
Słodkiemi słowy.

Ona dziateczki ojcowi podobne
Rodzi, skąd rosną pociechy osobne i t. d.

Kochanowski stał mu w tych czasach na myśli częściej, niż kiedykolwiek; od chwili bowiem, jak otrzymał z domu jego dzieła i *Jerozolimę* Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, nie rozstawał się z niemi prawie, rozkoszując się ich polszczyzną cudowną i zazdroszcząc Janowi »chaty, lipy, *żony i dzieci* i czasów szczęśliwych, w których żył«. Czegoby on nie dał za to — myślał sobie nieraz — ażeby módz podobny prowadzić żywot! Wtedy, był przekonany o tem, nie cierpiałby tak często, jak dziś, na napady *spleen*'u, aniby ogarniały go takie, jak dziś, zniechęcenie i nuda.

Wtedy też, można być pewnym, nie pisałby do matki, że biała karta papieru mogłaby być godłem jego, tłómaczem i najlepszym dziennikiem. »Wist, czytanie i dumanie, napełniają mi wszystkie godziny życia, i mogę powiedzieć (jak Mickiewicz w swoim pierwszym sonecie krymskim), że taka cisza koło mnie, iż słyszałbym głos od was«.

Szczęściem, zaczął się już w Paryżu, w drukarni panien Pinard, drukować *Kordyan*, którego przysyłano mu arkuszami do korekty. Była to obecnie jedyna jego przyjemność i rozrywka. Pierwszy arkusz odebrał, jakby na gwiazdkę, w sam dzień Bożego Narodzenia. Nawiasem mówiąc, dzień ten spędził dosyć smutno: wszyscy

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1874, I, 329, w *Kronice zagranicznej* pani Seweryny Duchińskiej, która się w r. 1874 widziała w Genewie z Eglantyną.

domowi wyjechali na wieczór, on został w domu, sam jeden, i z nudów robił korektę. (Rzecz dziwna, że ani dziś, ani na wilię nie otrzymał zaproszenia z willi Beauregard). Po Nowym Roku (którego to dnia pewno był u państwa Wodzińskich z powinszowaniem) otrzymał drugi arkusz, aż wreszcie na kilka dni przed Wielkanocą, ukazał się na półkach księgarskich *Kordyan,* wydany bezimiennie.

Okoliczność ta wpłynęła na humor autora bardzo pomyślnie, przynajmniej na czas Świąt wielkanocnych, które mu i dla wielu innych jeszcze względów przeszły weselej, aniżeli się mógł spodziewać. Przyczyniła się do tego mianowicie pani Wodzińska, która poetę zaprosiła do siebie (widocznie, że zaczynano się powoli przekonywać do niego) nietylko na Święcone, ale i na domową uroczystość pieczenia bab, które się jednak ku wielkiemu zmartwieniu gospodyni i jej córek nie udały, tak, iż musiano polskie baby zastąpić szwajcarskiemi plackami od Werrasa, pierwszego pasztetnika w Genewie. Mimo to niepowodzenie kuchenne, przeszło Słowackiemu tych kilka dni bardzo wesoło, a nie miał tego nikomu innemu do zawdzięczenia, tylko rodzinie Wodzińskich. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie robić nań musiał np. widok panny Maryanny, kiedy temi samemi paluszkami drobnemi, któremi z taką biegłością przebierała po klawiszach fortepianu, teraz miesiła ciasto. Nie mogło mu się to nie podobać. Scena ta (zapewne bardzo wesoła) zapisała mu się w pamięci tak żywo, że miał ją jeszcze przed oczyma, pisząc *Horsztyńskiego* [1]).

Po zimie, jednej z najłagodniejszych, jakie pamiętano w Szwajcaryi, ciepłej, południowej, ozłoconej pięknem słońcem, a ciągle pachnącej fiołkami, których poeta nieraz, w styczniu nawet i w lutym, zbierał w ogródku całe bukieciki (a kto wie, czy jednego z takich bukiecików nie ofiarował kiedy pannie Wodzińskiej), przyszła wiosna, zakwitły drzewa, zazieleniły się łąki, a dom pani Patteg, jak zwykle o tej porze, zaczął się napełniać mnóstwem nowych »zamorskich figur«, przeważnie Anglików, którzy, przetwierając się po korytarzach, biegając po schodach, hałasując, a nadto psując harmonię ogrodowej zieleni swojemi ubiorami ekscentrycznemi, poczęli niebawem drażnić i niecierpliwić spragnionego spokoju i ciszy poetę, tembardziej, że ludzi wykształconych, inteligentnych, nie było pomiędzy nimi zupełnie. Angielki zaś, im która ładniejsza — a były

[1]) Akt III, scena I.

dwie tym razem bardzo ładne — tem naiwniejsze, tem sztywniejsze.

Nie znajdując w towarzystwie tych ludzi żadnej przyjemności, zaczął ich Słowacki unikać w końcu i, zaryglowawszy drzwi od swego pokoju, czem jakby się odcinał od rzeczywistości, wracał znów do świata fantazyi: zaczął pisać tragedyę o Wallasie, szkockim rycerzu, którego przedstawiał jako najczystszego, najidealniejszego ze wszystkich bohaterów w dziejach narodów. Dalszych części *Kordyana* zaniechał tymczasem. Na odpoczynek czytał pierwsze romanse pani Sand i filozofów niemieckich. Zresztą marzył o Wallasie, spacerował po ogródku (o ile w nim nie było Anglików), przegrywał na fortepianie smutnego niemieckiego walca, którego niegdyś grywała pani Becu (a którego wrażenie, powiada, tak się pomięszało w jego myśli z opowiadaniem o Wallasie, że dziś po przez tęskną melodyę walca widział jak we mgle całą historyę Wallasa) i tak przeszła mu wiosna, maj.

Dnia 1 czerwca wyjechała panna Eglantyna do Paryża, do jednego z wujów swoich, ażeby z nim razem oglądać »dziwy paryskie«. Ranek jej wyjazdu był dla poety — jak to sam przyznawał — bardzo smutnym. Miała wyjechać o godzinie 4-ej z rana; a ponieważ dała mu do zrozumienia, iż wolałaby, ażeby on, nie kto inny, obecny był, kiedy będzie wyjeżdżała, przyrzekł jej więc, że ją obudzi o 3-ej. Jakoż nie położył się wcale spać, tylko czytał, leżąc na kanapie, aż do umówionej godziny. Kiedy powstał i wyjrzał przez zapotniałe od nocnego chłodu okno, już światło ranne, niebieskawo-szare, oblewało drzewa i murawy ogrodu. Cicho było wszędzie i szaro, jak o zmroku. Przeszedłszy na palcach przez pół-ciemne pokoje, podszedł do drzwi pokoju Eglantyny i obudził ją stukaniem. Po niejakim czasie wyszła ubrana. On czekał w sieni. Kiedy wyszli z domu przez rozwidniający się ogród, na drogę, którą miał przejeżdżać dyliżans, niebo na wschodzie już zaczynało się złocić różowym blaskiem; ptaki, dopiero co ze snu zbudzone, świegotały po drzewach (jakby zawodziły *Kiedy ranne wstają zorze);* a zimno poranku przejmowało jakiemś dziwnem, jakby elektrycznem, drżeniem. Wyszli na wzgórek, na którym zatrzymali się, oczekując powozu. Ze wzgórka, tuż przy drodze położonego, widziałeś całe błękitne jezioro; za niem — góry; a nad górami — biały, jakby senny, Mont-Blanc. Eglantyna płakała, jak dziecko, bo jakkolwiek jechała do Paryża, który pragnęła zobaczyć i gdzie ją czekał cały szereg rozrywek, to przecież z drugiej strony, na myśl, że jechała sama, że musi się na kilka

tygodni rozstać z Juliuszem, do którego się przywiązała jak siostra »i więcej może, jak siostra«, trudno się jej było powstrzymać od łez. Słowacki tymczasem stał milczący, z ponurą walką myśli na czole, z oczyma suchemi wprawdzie, ale niemniej, od Eglantyny, smutny; każda bowiem chwila taka, jak ta, budziła w nim jakieś odległe wspomnienia i stawała się dla niego, jakby zwierciadłem, które mu w zmięszanych kolorach ukazywało całe jego życie, całą przeszłość. Nadjechał w końcu dyliżans pocztowy, Eglantyna wsiadła, pożegnali się, woźnica zaciął konie, powóz potoczył się dalej, a poeta został sam jeden, jak słup, na zielonej, uperlonej rosą murawie, patrząc na ozłocone niebo. Po niejakiej chwili wzeszło słońce: najprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi, podobne do olbrzymiego pęku mieczów świetlistych, aż wreszcie cały krąg słońca wyjrzał z za gór. Zaróżowiły się śniegi po szczytach, zarumienił się Mont-Blanc, toń jeziora powlekła się fioletem, a każda kropla rosy poczęła błyszczeć jak rubin lśniący. Zegary miejskie zaczęły wydzwaniać piątą. Poeta wrócił do domu. Wszedłszy do swego pokoju, pozamykał okiennice i dziwnie posępnego doznał wrażenia, ujrzawszy na stole zapaloną lampę, a na kanapie — rozrzucone książki, które jeszcze czytał niedawno i które porzucił w nieładzie, idąc budzić Eglantynę; albowiem (powiada) było coś smutnego w powrocie myślą do kilku ubiegłych godzin [1]).

Po wyjeździe Eglantyny smutno mu było bardzo, przynajmniej przez pierwszych parę dni. Samotny, nie mając przy sobie nikogo, z kimby mógł tak otwarcie, jak z Eglantyną, rozmawiać, komuby się mógł tak, jak jej, zwierzać ze wszystkiego, co go chwilowo bolało, trapiło, leżało na sercu: chodził ponury po ogródku albo nad brzegiem jeziora i wyraźnie tęsknił za swoją »siostrą genewską«.

Ale znalazło się wkrótce na tęsknotę oną bardzo skuteczne lekarstwo. Były niem codzienne spacery nad wieczorem po nowo-wybudowanym moście, *Pont du Mont-Blanc,* który, rzucony przez zatokę jeziora — nieopodal ujścia Rodanu — tak, iż łączył z sobą dwa najpiękniejsze ogrody w Genewie, *Square des Alpes* i *Jardin Anglais*, stał się odrazu najmodniejszem miejscem promenady dla Genewian. Dla Słowackiego była to rozmaitość, tem przyjemniejsza, że spotykał się tu ze znajomymi ziomkami, a między innymi — można być pewnym — i z rodziną

[1]) *Listy*, I, 165, 166.

Wodzińskich także, którzy nie mogli przecież nie korzystać z tak modnego spaceru, będącego o pewnych godzinach rodzajem *rendez-vous* dla całego genewskiego *high-life'u*. A skoro tu bywali (a nie mogli poprostu nie bywać), trudno było nie spotkać się ze Słowackim, który o tych spacerach na nowym moście nie omieszkał nawet pisać w jednym z listów do matki, donosząc jej, że do jego regularnego życia przybyła dzięki temu jedna rozmaitość. Nie sposób też, ażeby spotykając się tu z Wodzińskimi, nie przystępował do nich, nie spacerował z nimi razem, nie asystował pannom, pannie Maryannie zwłaszcza, która, w miarę, jak ją poznawał bliżej, coraz bardziej zaczynała mu się podobać.

Albowiem, jak się miał o tem sposobność przekonać niebawem, była to panna, która na bliższem poznaniu nie traciła — jak się dziać zwykło najczęściej — ale, przeciwnie, zyskiwała: bardzo nawet. Inteligentna, żywa, sprytna, dowcipna, zapalająca się (z czem jej podobno było bardzo do twarzy), zwłaszcza, kiedy rozmowa toczyła się na temat sztuki, nie dziw, jeżeli poecie imponowała cokolwiek, który przyznać musiał, iż z tego rodzaju istotą spotykał się w życiu po raz pierwszy. A przytem mógł z nią o wszystkiem rozmawiać po polsku! Już to samo dawało jej przewagę i wyższość nad innemi pannami, a cóż dopiero, jeżeli się zważyło, że z panien tych ani jedna nie mogła się z nią mierzyć pod żadnym względem: ani Eglantyna, ani Eliza Morin, ani wszystkie Angielki razem. Wszystkie one, nawet te, które ją, jak Eliza Morin np., przewyższały urodą, robiły w porównaniu z nią wrażenie gąsek prowincyonalnych, a co gorsza, raziły brakiem wykwintu, wytworności w obejściu: prostota ich niekiedy zakrawała na pospolitość. Panna Maryanna tymczasem, jako pochodząca ze sfery tych ludzi, »dla których dobre wychowanie jest poniekąd potrzebą życia i drugą naturą«, była uosobieniem arystokratycznej dystynkcyi i wielkoświatowego poloru. Nie była ładna, to prawda: ale, rozmawiając z nią, cóż dopiero słuchając jej gry na fortepianie! zapominało się, że piękną nie była.

Niestety, wrażenie, jakie Słowacki robił na pannie Maryannie, było dalekiem od tego, jakie ona robiła teraz na nim. Przedewszystkiem raziła ją w nim — w pierwszych czasach przynajmniej — nadzwyczajna pewność siebie, z jaką się zachowywał wobec kobiet, a zwłaszcza panien, o których zdawał się być przekonanym, że nie ma takiej, któraby się nim zająć nie mogła. Z nią tymczasem, na nieszczęście dla Słowackiego, miała się rzecz wprost

przeciwnie: to nie była Cora Pinard albo Eliza Morin, albo Eglantyna wreszcie! Wyższa od niego stanowiskiem społecznem, wychowana w pojęciach arystokratycznych, zamiast mu się dać odrazu »jak szatanowi obłąkać« i bez zastanowienia, jak biedna Cora naprzykład, »popaść w jego szpony«, przeciwnie, traktowała go trochę z góry i nie robiła sobie nic ani z jego »małej sławy«, ani z jego tytułu poety, z którego on był tak dumny, iż się jej aż wydawał chwilami »troszkę śmiesznym«. Zbyt wiele pokładając w talencie swym zaufania, zbyt wysoko — zdaniem panny — ceniący siebie, a jako zdobywca serc niewieścich, przeceniający się stanowczo, nie wiedział Słowacki, że nikt w rodzinie Wodzińskich nie był nim zachwycony, a najmniej ze wszystkich panna Maryanna. »Świadomość geniuszu, pisze p. Wodziński, w jaskrawych występująca wyrazach, a także zarozumiałość, już czysto światowa, nie zjednywały mu ani serca, ani nawet należnego uznania. Co w nim także raziło, to nieukrywana niechęć, z jaką się wyrażał o Mickiewiczu«. Nie wiedząc, jak poważne miał Słowacki do tego powody, przypisywano to uczuciu najzwyklejszej zawiści literackiej. Jednem słowem, początkowe wrażenie, jakie robił Słowacki w domu przy ulicy Beauregard, było ni mniej, ni więcej, tylko ujemne: uważano, że jest poprostu »niesympatyczny«, zarozumiały, że tkwi w nim dużo z »fanfarona«, który, pretensyonalny z natury, a nadto »w humorze zmienny, jak dzień marcowy, to wymuszony, to znów ckliwy«, przez to samo już, że »odznaczał się nienaturalnością«, na względy Maryi, jak i jej całej rodziny, nie bardzo mógł liczyć. Jeden tylko Antoni Wodziński, który go znał dawniej, wstawiał się za nim, mówiąc: »Wy się o tem później dowiecie, a on już dziś czuje, że będzie wielkim poetą«.

Na szczęście dla Słowackiego, miała się ta niekorzystna opinia o nim w domu Wodzińskich zmienić wkrótce — wbrew twierdzeniu p. Wodzińskiego — na lepszą [1]).

---

[1]) Albowiem zaprzeczyć się nie da, cokolwiekby się o tem mówiło dzisiaj (ob. *Bibl. Warsz.*, 1893 r. IV), że Słowackiego do państwa Wodzińskich zapraszano bardzo często, że mu wymawiano, kiedy się przez dłuższy czas nie pokazywał *(Listy*, I, 209), że ulegano niekiedy jego wpływowi (sprowadzenie się rodziny Wodzińskich do domu pani Patteg), że nie bardzo mu to poczytywano za złe, jeżeli raz, w przystępie uniesienia, pannę Maryannę pocałował (we włosy)! Że się nań nie gniewano za to, najlepszy dowód, że tego wykroczenia poety przeciwko przyjętym formom nie starano się nawet zataić; przeciwnie, mówiono o tym fakcie, jako o rzeczy naturalnej zupełnie, tak dalece, że się tego p. Antoni Wodziński nie zawahał nawet opowiedzieć *coram populo!* Dziwi nas

Tymczasem Słowacki, nie domyślając się zgoła, że może się Maryi nie podobać i być w oczach jej »troszkę śmiesznym«, coraz bardziej zaczął się do niej przekonywać. Zauważył nawet, że jest niejakie podobieństwo pomiędzy Maryą a Ludką. Bo i ona, jak tamta, miała czarne oczy;

---

tylko, że zdarzenie to opisał p. W. inaczej w swojej książce, inaczej zaś w liście swym do p. Biegeleisena, ogłoszonym w *Bibl. Warsz.* W *Les trois romans de Fr. Chopin* czytamy bowiem: »*Un jour, entrant dans cette pièce, qu'elle seule illuminait à ses yeux, il se saisit de ses longues tresses soyeuses et les porta rapidement à ses lèvres. Personne ne l'avait aperçu, hormis celle à laquelle il voulait ainsi avouer son amour*«. W liście tymczasem do p. Biegeleisena (przeznaczonym do druku) znajduje się ta sama scena w taki opisana sposób: »Przytoczę tu tylko następujący epizod, podpatrzony i opowiedziany mi przez panią Kościelską (podpatrzony? jakże to pogodzić z francuskim tekstem, gdzie powiedziano wyraźnie, że *personne ne l'avait aperçu?*). Zebrało się dość liczne towarzystwo w domu babki, a ponieważ dzień był pogodny, goście rozprószyli się po ogrodzie lub zasiedli pod cieniem werendy (we francuskiej redakcyi zdaje się scena ta rozgrywać wieczorem, skoro w pokoju było ciemno, *qu'elle seule illuminait à ses yeux*). Z drzwi otwartych salonów dolatywały akordy: to Marya grała na fortepianie. Wtem do salonu wpada Słowacki, szybkim krokiem zbliża się do Maryi, przyklęka, składa pocałunek na rąbku jej szaty (we francuskiej książce opowiada p. W., że Słowacki ucałował warkocz Maryi, *il se saisit de ses longues tresses soyeuses et les porta rapidement à ses lèvres*), poczem drugiemi drzwiami opuszcza nagle salę. We francuskiej książce p. Wodzińskiego zdaje się to *nagle* trwać nieco dłużej, skoro Marya ma jeszcze dość czasu, ażeby się śmiać z poety i wyrazić mu swoje zdziwienie. *Elle en rit... Lui, cette être morose et grave, lui, ce desespéré de la vie, recourir à ses sentimentalités de berger!* Podobnych niekonsekwencyi zawierają relacye p. Wodzińskiego jeszcze kilka. We francuskiej książce o Chopinie, w owej wycieczce w Alpy (opisanej przez Słowackiego w liście z d. 21 sierpnia 1834 r.) bierze udział książę Ludwik Napoleon *(après une de ces excursions à laquelle prit part le prince exilé et aussi Jules Słowacki)*, kiedy w *Bibl. Warsz.* »książę Napoleon nie przyłączył się do turystów«. Nieścisłym także jest spis osób, biorących udział w tej wycieczce, podany przez p. Wodzińskiego. »Jeszcze rok przedtem odbyła się owa wycieczka po Szwajcaryi. Brali w niej udział: babka, synowie jej i córki, guwernantki, master Basclop, z obcych zaś nieodstępny jenerał Gruszewski oraz bracia Miączyńscy i naturalnie Słowacki (to *naturalnie* daje najlepsze wyobrażenie o stosunku Słowackiego do Wodzińskich)«. Otóż wiadomość powyższa jest mylną zupełnie, albowiem, gdyby w wycieczce tej brały udział rzeczywiście te wszystkie osoby, które wylicza p. W., wówczas towarzystwo składałoby się z 14 osób. Tymczasem Słowacki w liście, pisanym nazajutrz po powrocie z tej wycieczki powiada wyraźnie: »Towarzystwo nasze składało się z 9 osób: pani Wodzińska, dwie jej córki... przy pannach była guwernantka, Francuzka, panna Mallet, trochę podtatusiała i ciągle zajmująca się botaniką, trzech synów pani Wodzińskiej, jeszcze jeden młody Żmudzin (niezawodnie Darowski) i ja«. Z powyższego okazuje się, że ani master Basclop, ani »nieodstępny« jenerał Gruszewski, ani panna Wagner, ani obaj bracia Miączyńscy, (nie mówiąc już o księciu Ludwiku Napoleonie) nie brali w wycieczce tej udziału, lecz pozostali w Genewie, niektórzy, z nich, jak panna Wagner np., dlatego prawdopodobnie, aby pilnować trzeciej córki pani W., Tereni, która, jako trzechletnie dziecko, nie mogła swym starszym siostrom towarzyszyć w tak uciążliwej wycieczce.

Już to wogóle nie brak w liście p. Wodzińskiego (i pani Orpiszewskiej) ustępów, które, zestawione razem, żadną miarą pogodzić się z sobą nie mogą.

bo i ona, jak tamta, miała włosy krucze; bo i ona, jak tamta, miała rysy wydatne; bo i ona wreszcie, jak tamta, miała taki sam sposób grania na fortepianie »Fielda metodą«, z tą różnicą, że panna Wodzińska grała nieskończenie lepiej, aniżeli Ludwika Śniadecka, i że ją przewyższała nietylko pod tym jednym względem.

I tak np. ze wszystkiego, co opowiada dziś p. Orp. jeden tylko da się wyciągnąć wniosek: że się im Słowacki zawsze wydawał »troszkę śmiesznym« i »zarozumiałym«, raz dlatego, że chciał się mierzyć z Mickiewiczem, a powtóre, że nie uważano go wcale (jak to wynika z listu pani Orp.) za wyjątkowo uzdolnionego poetę. Wszak czytamy wyraźnie w liście pani Orp., że nie trzymano przy ulicy Beauregard zbyt wiele o talencie poetyckim Słowackiego, »drukowane bowiem były dopiero pierwsze trzy tomy poezyi i *Kordyan*, które, jakkolwiek zawierają niektóre piękne ustępy, wiele niżej (?) jednak stoją od jego późniejszych dzieł«. Takich przecież »niektórych pięknych ustępów« zawierały trzy pierwsze tomy Słowackiego i *Kordyan* aż nadto, ażeby go — rzeczywiście znając się na poezyi — za wielkiego uważać poetę. Bo kto napisał trzeci akt *Kordyana* (może najsilniejsza rzecz, jaką Słowacki stworzył), *Maryę Stuart* ze sceną śmierci Nicka, *Jana Bielckiego* i *Godzinę myśli*, ten nie może się żadną miarą wydawać »troszkę śmiesznym«, jeżeli się ma za poetę nietuzinkowego. Na dowód zaś, że nie zawsze wydawał się Słowacki w domu Wodzińskich »troszkę śmiesznym«, wystarcza przytoczyć następujący wyjątek z listu pani Orp. do p. Biegeleisena: »W salonie mojej matki zbierało się niemal codziennie polskie towarzystwo. Czas naszego powrotu do kraju zbliżał się, więc (i) rozstanie się z temi dobremi i przyjaznemi osobami na zawsze. Jednego wieczora, mając album z luźnemi kartkami, rozdawałam je z prośbą, aby mi co napisano. Jedną taką kartkę podałam Słowackiemu (temu »niesympatycznemu« Słowackiemu, którego jednak przychodzi tu mimowoli ochota zaliczyć do tych »dobrych i przyjaznych osób«, z któremi pannę Maryę czekało niebawem »rozstanie na zawsze«). On się zamyślił, potem przeszedł do drugiego pokoju, gdzie stało biurko mojej matki. Widzieliśmy, gwarząc dalej w salonie, jak chodził przez kilka chwil (widocznie, że budził jednak pewne zainteresowanie), potem usiadł i pisał. Gdy wrócił, wiersz przeczytał, wszyscy byli zachwyceni«. Nawiasem mówiąc, wiersz, który Słowacki wpisał do albumu, świadczy, że stosunek jego do Maryi był już w tych czasach bardzo *intime;* w przeciwnym razie bowiem, oczywiście, nie ośmieliłby się Słowacki napisać pannie takiego wiersza do sztambucha i jeszcze go potem na głos wszystkim przeczytać, wiersza, który jest prawie wyznaniem miłości. Powtóre, gdyby Słowacki był pannie i jej rodzinie rzeczywiście tak mało sympatycznym, jak to nam dziś bywa opowiadane, to można być pewnym, że aniby Słowacki tak często bywał w domu przy ulicy Beauregard, aniby pannie Maryi zależało na tem, ażeby mieć jego wiersz w swym sztambuchu.

Niemniejszą niekonsekwencyą grzeszy i następujące oświadczenie pani Orp.: »Cóż mam mówić o Słowackim, kiedy nic wiedziałam nawet, że mnie kochał. Ja wtenczas nie myślałam o miłości, lecz o nauce; przeróżne lekcye cały mój czas zajmowały. Nie byłam dorosłą panną, za takową nie uważałam się sama i w oczach świata nie uchodziłam«. Otóż ustęp ten pozostaje w niezgodzie z innemi ustępami opowiadania pani Orp. i p. Wodzińskiego. Przedewszystkiem nie mogła Marya nie wiedzieć, że jest przez Słowackiego kochaną, albowiem 1) dowiódł jej tego poeta aż nadto owym wierszem w albumie, nie mówiąc już o owym ukradzionym pocałunku, którym — jak powiedziano jest w *Les trois romans de Fr. Chopin — il voulait ainsi lui avouer son amour;* a 2) gdyby się Marya nie była domyślała wcale, że stała się panią marzeń Słowackiego, to w takim razie nie rozumiem twierdzenia jej bratanka, który utrzymuje, że »nie-

Na takie usposobienie poety przypada wyjście w Paryżu *Kordyana,* który jednak, rzecz nie do pojęcia dla nas, przeczytany w domu Wodzińskich — a czytany prawdopodobnie na głos przez autora samego — nie bardzo się podobał[1]). Cokolwiekbądź, zaczął się Słowacki w tych czasach komunikować z Wodzińskimi coraz częściej (raz nawet zaprosił młodych Wodzińskich na mały wieczorek do pani Patteg, na którym, jak powiada, zgrabnie się bardzo wydali przy ciężkich tancerzach miejscowych), a że, jako się rzekło, nie podejrzywał zupełnie, aby go panna Maryanna nazwać mogła po wielu, wielu latach »troszkę śmiesznym«, wpływał więc stosunek ten niemało na jego ożywienie.

W tymże czasie ukazała się w Paryżu, w piśmie emigracyjnem *Le Polonais*[2]), wydawanem w duchu konserwatywnym, w języku francuskim, przez Władysława Platera, życzliwa krytyka *Kordyana,* która na poetę, na jego humor, również musiała wpłynąć korzystnie. Autor tego artykułu, prawdopodobnie sam Władysław Plater, kolega szkolny

---

tylko, że się gorącą miłością nie odwzajemniała poecie, ale tego wzdychającego do niej bohatera (a więc nie uchodziło to jej baczności) zbywała wesołą obojętnością«. Nie rozumiem bowiem, jak można się nie odwzajemniać komuś gorącą miłością, skoro się o miłości z jego strony — nie wie? Powtóre, nie sposób o tej miłości nie wiedzieć, jeżeli się czyjeś westchnienia »zbywa wesołą obojętnością«, na to bowiem należy sobie przedewszystkiem zdawać z nich sprawę, czyli wiedzieć o nich; w przeciwnym razie, zbywanie czegoś wesołą obojętnością, o czem się nie wie napewno, że istnieje, byłoby conajmniej troszkę śmiesznem.

Nieprawdopodobnem również wydaje mi się powiedzenie: »ja wtenczas nie myślałam o miłości«, albowiem zainteresowanie się Maryi Chopinem wyprzedziło jej pobyt w Genewie o całych lat parę, co zresztą jest bardzo naturalnem, zważywszy, że Marya była nawpół Włoszką, że »płynęła w jej żyłach cząstka krwi włoskiej, więc się wcześnie rozwinęła umysłowo i fizycznie« *(Bibl. Warsz.*, 1893, IV, 207). To samo zupełnie da się powiedzieć i *à propos* wyrażenia pani Orp., ze »nie była dorosłą panną i za takową w oczach świata nie uchodziła«; w rzeczywistości bowiem musiała się rzecz mieć przeciwnie, skoro się hr. de Montigny zdążył w ciągu lat 1833 i 1834 aż dwukrotnie oświadczyć o rękę Maryi *(Bibl. Warsz.*, 203) i skoro córka pani Ossolińskiej, zaprzyjaźniona wtedy z Maryą, chciała ją koniecznie wyswatać ze swoim krewnym, Darowskim. Nie swata się panny, której się nie uważa za dorosłą, ani się o nią oświadcza dwukrotnie. Że zaś starszą córkę pani Wodzińskiej już za dorosłą pannę wtedy uważano, o tem świadczy list Słowackiego do matki z dnia 30 listopada 1833 roku, gdzie poeta, po poznaniu Maryi, pisze wyraźnie: »Starsza, dorosła już panna«. Niekonsekwencyą też jest utrzymywać w jednem miejscu, że Marya w Genewie nie dbała wcale o miłość, którą w sercu poety wzniecić zdołała (str. 204), w drugiem zaś (str. 203) »opisałbym panu dom, w którym mieszkała Marya, powiedziałbym, czy jeszcze zielenieją drzewa, w których szmerze uleciało tyle marzeń, szczęścia, *miłości*«.

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1893, IV, 207. »Wieczorami czytywał często paniom swoje utwory«. [2]) *Le Polonais, Journal des Intérêts de la Pologne, dirigé par un membre de la diéte Polonaise, Paris. 1834, vol. II, Bulletin littéraire, p. 187 — 8).*

Słowackiego, zaczął od oświadczenia, iż wie, z pod czyjego pióra wyszedł ten poemat. Oto początek rzeczonej recenzyi.

»*Kordyan* — taki jest tytuł poematu polskiego, świeżo ogłoszonego w Paryżu. Autor, człowiek zdolny, chciał zachować bezimienność. Przedmiot wzięty jest z historyi; ale pełen fantazyi. W nocy d. 31 grudnia 1799 roku, odbywa się sabat dyabelski na Łysej górze. Uderza pierwsza godzina XIX wieku; szatani obradują nad losami ludów. Zatrzymują się nad losem Polski i zabierają się do stwarzania osób, przeznaczonych do odegrania smutnej roli podczas rewolucyi listopadowej. Czytelnik odgaduje ich nazwiska przy pomocy znaków symbolicznych. Cały ten obraz *przypomina żywo* scenę pokuszenia, w której szatani tworzą Mirandę«.

W dalszym ciągu, streściwszy cały poemat scena po scenie, recenzent wygłaszał taką opinię:

»Chociaż z dzieła poznajemy autora, nie odsłonimy na razie tajemnicy. Jest to młody człowiek, dobrze znany między rodakami. Mamy już dowody jego talentu, a książka ta uprawnia do jeszcze większych nadziei. Cały poemat, pod względem ducha i formy, pod względem myśli i wykonania, rozpada się na dwie części. Są ludzie posiadający natchnienie, nie posiadający jednak artyzmu. Inni znowu wprawni w sztuce, nie mają talentu poetyckiego. Ani jedno, ani drugie nie może odnosić się do autora *Kordyana*. Nowy ten utwór, jak i pierwsze tegoż autora poezye, odznacza się bogactwem rytmu, czystością i siłą języka, i harmonią w wykonaniu. Poeta jedna sobie czytelnika przez śmiały sposób wyrażania swych myśli. Nie przemawia atoli do serca, nie sprawia głębszego wrażenia. Nie chcemy go sądzić według prawideł sztuki. Nie wspominamy o sposobie, w jaki rozwija akcyę. Przebaczamy mu nawet błędy historyczne. Talent może do pewnego stopnia usprawiedliwić kaprysy wyobraźni. Wolno jest poecie oddalać się trochę od prawdy: *Mendax poeta*. Chcielibyśmy tylko widzieć w jego utworach inną zaletę: a mianowicie naturalność. Zdaje się, że Muza autora *Kordyana* czerpała więcej z książek, aniżeli z natury i rzeczywistości. Dla tego jest nieco za teatralną. Ale Muza ta jest młodą, aby się zaś przekonać, czego po niej spodziewać się można, wystarczy przypomnieć *kilka prześlicznych miejsc, jakie mu podyktowało natchnienie*«.

W tym tonie była cała krytyka, której odczytanie o tyle sprawiło przyjemność Słowackiemu, o ile w tej krytyce nie widział jawnej niechęci, o którą posądzał wszystkich stronników Mickiewicza. Oto, co sam z powodu tej krytyki pisał do matki, w liście z d. 27 kwietnia (1834 r.): »Mój śpiew ostatni, jeżeli się nie podobał, to zadziwił. W jednem z pism, po francusku wydawanych, czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, o ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną mi partyą są — nieszczęściem — wszyscy poeci, na których czele stoi Adam, od tego bowiem, — w Paryżu jeszcze — sam pierwszy stronić zacząłem. Wielu jednakże, w Paryżu, przypisuje

pieśń moją Adamowi. Oto wyjątek z listu, pisanego do mnie: »Byłem przytomny, jak Ogiński atakował Adama, a kiedy ten się wypierał, że nie jest autotem dzieła, i że nie wie o niczem, odrzekł (Ogiński): »To przynajmniej wiemy, że pan chce to mieć tajemnicą«. W drugim liście pisze mi jeden ze znajomych (Eust. Januszkiewicz): »Z Memla dokąd egzemplarze posłałem, piszą mi o *Kordyanie* z wielkiem uniesieniem i biorą go za pracę Adama. Z tych doniesień widać, że pracę moją, bezimiennie wydaną, w wielu miejscach przypisują innemu; znając uprzedzenie naszych w tym względzie, nie jest mi niemiłą taka pomyłka«. Z tem uprzedzeniem, o którem tu wspomina Słowacki, nie zdradził się krytyk z *Le Polonais,* i to było wielką wygraną poety. Żałował tylko, że oprócz tej recenzyi, napisanej po francusku, żadne z pism polskich nie wspomniało o *Kordyanie.* Nawet *Rozmaitości lwowskie* przemilczały o nim. Prawdopodobnie przemilczeć musiały z powodu rewolucyjnej treści poematu, niebezpiecznej do roztrząsania — pod cenzurą. W emigracyi zaś, gdzie była możność pisania o wszystkiem, więcej się interesowano polityką, aniżeli poezyą, o której wogóle pisano niewiele, a o poezyach Słowackiego w szczególności. Po co mu robić sławę niepotrzebnie!

Cokolwiekbądź, jedno jest pewne, że poeta stał się weselszym od niejakiego czasu, rzeźwiejszym i pogodniejszym: tak dalece, że ostatecznie zaczął nawet nie taić tego przed sobą, że mu jest »dosyć znośnie na tym świecie«. Zapomniawszy o trapiących go jeszcze parę tygodni temu spleenach, przyszedł do wniosku, że uskarżanie się zbytnie na los byłoby co najmniej ciężkiem i nie do darowania bluźnierstwem z jego strony; przyznawał jednak, że się tak w żądaniach swoich ograniczył, iż »żadne błyszczące marzenia« nie śmią poprostu zakłócać mu spokojności. Co przez te »błyszczące marzenia« rozumiał, trudno zgadnąć; w każdym razie pocieszał się myślą, że jest tem, czem być powinien, sądził bowiem, że nie rozminął się ze swojem powołaniem i że zapełnia sobą, jak należy, »jedną małą kratkę na świecie«. Tak usposobiony, starał się o ile możności dążyć do różnowagi w życiu i do harmonii, które cechowały i taką klasyczną pogodą opromieniały np. humanistyczny w każdym calu żywot Jana Kochanowskiego: słowem, starał się teraz wytworzyć w sobie »filozoficzną piękność moralną«.

Pogląd ten zaszczepiły mu w duszę dzieła filozoficzne, w których się ostatniemi czasy rozczytywał, szczególniej zaś dyalogi Platona, które (we francuskim przekładzie nie-

zawodnie) najbardziej zdawały się zaprzątać obecnie umysł jego i wyobraźnię, ile że studyowanie ich podwójną sprawiało mu rozkosz: intelektualną i artystyczną (co nigdy dziełu naukowemu nie szkodzi). I nie można mu się dziwić! Platon-filozof, wspomagany przez Platona-poetę, jednego z największych artystów pióra, jacy żyli kiedykolwiek, musiał takiemu człowiekowi, jak Słowacki, w najwyższym stopniu trafiać do przekonania, musiał poprostu budzić zachwyt, nietyle filozoficzną może, ile artystyczną, poetyczną stroną swoich sympozyonów; a nauczając go o godności natury człowieka, o spokojności wewnętrznej, której — według niego — jeżeli są pozbawieni, próżno się ludzie starają o zewnętrzną, etc., nie mógł tem samem silnego nie wywierać wpływu na sposób myślenia poety.

Choć nie da się zaprzeczyć, że tę chwilową pogodę myśli zawdzięczał Słowacki w większej mierze, aniżeli filozofii Platona, fizycznemu zdrowiu, jakiem się cieszył od paru miesięcy, a na które doskonale oddziaływały zwłaszcza zimne kąpiele w Arwie. Jest to »zimno-lodowa« rzeczka o ćwierć mili od Genewy. W jednym z listów do matki pisze o niej Słowacki, że zdaje się płynąć cudowną wodą letejską. Od czasu bowiem, jak się w niej kąpał, zauważył, że jest nietylko na ciele silniejszy i zdrowszy, ale i na duszy spokojniejszy, weselszy.

Kąpiele te, nadzwyczaj orzeźwiające podczas upałów letnich, ogromną sprawiały mu przyjemność. Wychodził zawsze z domu o 2-ej. Łazienka, w której się kąpał, stała w małym ogródku, pełnym kwiatów. Do altanki, winną macicą obrosłej, w której odpoczywał po kąpieli, zaglądały malwy, jego ulubione kwiaty. »To dziwne — pisał o nich matce — że ja tak lubię malwy, które nie mają zapachu. Sądziliby ludzie, że jestem nieczuły zupełnie. Mamo moja, kiedyś mały nasz domek, biały jak śnieg, z zielonemi okiennicami, z czerwonym dachem, obsadzimy różnobarwnemi malwami; z tyłu będzie rosło kilka jodeł i kilka brzóz drżących; ścieżki będą wysypane żółtym piaskiem, a jaskółki nad gankiem gnieździć się będą. O, jakieby to szczęście było!« Tymczasem, dopóki o szczęściu podobnem mógł sobie marzyć co najwyżej, ile razy przyszedł się kąpać, zawsze, nim wskoczył do wody, leżał czas jakiś w altance, rozebrany, ażeby ostygnąć, i czytał przyniesioną z sobą książkę, najczęściej dyalogi Platona, które się jeszcze piękniejszemi wydają, jeżeli się je czyta na świeżem powietrzu, w dzień słoneczny, w cieniu drzew albo w takiej altance, ocienionej winem i umajonej malwami. O ileż lepiej rozumie się wtedy i odczuwa piękność takiego np.

ustępu jak ten, którym Słowacki, przetłómaczywszy go na polski, ozdobił jedną ze scen w *Horsztyńskim*: »Sokrates powiedział do Fedona: Gorąco dziś. Jeśli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień, a rozmawiając, nogi nasze zanurzymy w chłodnej wodzie. Poszli nad strumień. Widzę ich. Siedzieli na lekkiej pochyłości, okrytej bujną murawą. Fale żywe łaskotały ich stopy, platan · rozłożysty dawał cień przyjemny i słychać było śpiewanie koników polnych, które się kryły w trawie przed upałem południowym. Mówiąc o piękności, Sokrates porównał naturę człowieka do wozu, zaprzężonego dwoma końmi. Jeden, czarny, rwie się i pieni; drugi, biały jak mleko, opiera się zapałowi towarzysza. Woźnica złotemi lejcami poskramia sprzeczne zapędy obu. Czarny koń, to zmysły; biały, to dusza; woźnica, to rozum«. Rzecz prosta, że wobec takiej filozofii zbankrutować musiała w umyśle Słowackiego (choć zbankrutowała chwilowo tylko) filozofia nudy i zniechęcenia, której wyrazem był *René* Chateaubrianda (i Szczęsny Kossakowski w *Horsztyńskim*), filozofia, usiłująca dowieść, że nuda i zniechęcenie są dwiema najwybitniejszemi cechami ludzi teraźniejszych. Wniosek wprost powyższemu przeciwny — pod wpływem dzieł Platona i rajskiej malowniczości pejzażu szwajcarskiego w lecie — był nieuniknionym wynikiem zastanowienia; nie dziw więc, że pod tym względem znaczny nastąpił zwrot w zapatrywaniach Juliusza, w sposobie jego patrzenia na życie: zamiast, jak dawniej, obawiać się, żeby się wskutek ciągłego osamotnienia nie zamienić z czasem — w ostrygę, wszystko jedno, czy w zwykłą ostrygę, czy w piękną konchę perłową (o możliwości podobnej metamorfozy wyczytał w jakimś autorze angielskim), i zamiast, jak do niedawna jeszcze, uważać teraźniejszość za »czas czyścowej próby« jedynie, używanie dóbr tego świata do szczęśliwszych odkładając czasów: zaczął więcej, niż kiedykolwiek, sympatyzować z naturą, którą, jak powiada, czuł teraz do głębi duszy; z niej starał się czerpać natchnienie do pracy, ochotę do życia, na jej łonie szukając wytchnienia, ukojenia, spokoju wewnętrznego, harmonii. Nigdy też w tym stopniu, co dziś, nie odczuwał tak jej piękności, nie lubił z nią tak przebywać sam na sam. I gdyby nie przeświadczenie, że »wśród takiej natury koniecznie trzeba się kochać«, potrzeba »serce mieć tylko napełnione i spokojne«, kto wie, czyby mu na tym świecie nie było zupełnie dobrze. Niestety, w sercu jego wyrył ślepy los krwawemi zgłoskami Baltazara przeraźliwe słowo: pustka. Czy serce to obudzi

się kiedykolwiek? Trudno było przewidzieć. Dziś w każdym razie nie zanosiło się na nic podobnego.

II.

Jednego z ostatnich dni lipca zaproponowała Słowackiemu pani Wodzińska, wybierająca się z całą prawie rodziną na parę tygodni w Alpy Berneńskie, ażeby się przyłączył do ich grona. Projekt ten, oczywiście, trafił mu do przekonania odrazu; pojmował bowiem, że taka wycieczka w góry, w najromantyczniejsze, najcudowniejszemi legendami opromienione strony ojczyzny Tella, wzbogaciłaby jego wyobraźnię niezliczonem mnóstwem obrazów, co, dla poety, nieocenionym mogło być poprostu nabytkiem. To też, choć okoliczności nie bardzo sprzyjały tak kosztownemu bądź co bądź przedsięwzięciu, postanowił, nie bacząc na nic, skorzystać z okazyi i wybrać się. Widział wprawdzie, że Eglantyna (która po powrocie niedawno z Paryża, skąd mu przywiozła w upominku piękny kryształowy kielich, leżała chora w łóżku przez parę dni i teraz dopiero zaczynała zwolna przychodzić do siebie) nie bardzo chętnem na projekt ten spoglądała okiem — bo przykro jej było pomyśleć o nowem z Juliuszem rozłączeniu na parę tygodni — z drugiej strony jednak nie uważał tego za wystarczający powód, ażeby się do towarzystwa Wodzińskich nie przyłączyć. Jedynemi względami, które go w domu zatrzymać mogły, były względy materyalne, ale usunęła je pani Patteg, która przydała mu do jego wypróżnionej kasy potrzebną ilość franków, tak, iż droga była przed nim wolna zupełnie. Nawet Eglantyna przekonała się ostatecznie, że zawiele żądała od swego »brata«, kiedy nalegała nań, ażeby dla niej to zrobił i nie jechał. Wszak i jemu także należało się trochę rozerwać! Tak długo nie wychylał się nigdzie!

Skończyło się na tem, że dnia 31 lipca, na pokładzie statku, wypływającego z Genewy, o godzinie 9-ej zrana, w gronie rodziny Wodzińskich, panny Mallet i młodego Darowskiego (albowiem on był zdaje się owym ziomkiem ze Żmudzi, o którym wspomina Słowacki w liście do matki) znalazł się także i autor *Kordyana*. Ten ostatni, w bluzie płóciennej, haftowanej zielonym jedwabiem [1]), z mantel-

[1]) Ten to kostyum mają niezawodnie na myśli panie Kościelska i Orpiszewska (*Bibl. Warsz.*, r. 1893, IV, 203), opowiadając p. Wodzińskiemu, że

zakiem na plecach, przepasany czarnym pasem skórzanym, w białych szarawarach, w kapeluszu z białej i czarnej słomy plecionym, dość niskim, ale z ogromnemi skrzydłami, ozdobionym pąsową wstążką, w trzewikach na grubej podeszwie — umyślnie do chodzenia po górach — z wysokim, białym kijem w ręku (wyższym od niego), zakończonym u dołu kolcem żelaznym, podobny w tym kostiumie do sielankowego Filona, wyglądał tak młodo, że, jak powiada, dawano mu 15 lat wieku. Tak go zapewniano przynajmniej, przemilczając tylko, że w kostyumie tym nie tylko wyglądał bardzo młodo, ale i trochę śmiesznie, i że przez pryzmat tego komicznego wrażenia miano się mu przypatrywać dłużej znacznie, aniżeli trwała wycieczka. Nie okazywano mu tego jednak, a on, niedomyślny, wszystkie komplementy, któremi go darzono, brał za dobrą monetę i przekonany był, że się w tym sielankowym kostiumie rzeczywiście podobał pannom. Tymczasem rzecz się miała przeciwnie.

Rozległ się wreszcie sygnał do odjazdu, zahuczała basowym swym, jakby zachrypniętym głosem, świstawka parowa, tak głośno, że aż echo odbiło się o skały Salève, zdjęto pomost, zwinięto liny, zakotłowała się woda pod kołami i parostatek, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu, odbił od brzegu. Niebawem minął Paquis (gdzie niezawodnie, powiewając chustką na pożegnanie, stała Eglantyna), potem wyjrzało Coppet, gdzie pani Staël mieszkała, po chwili jednakże i Coppet zasunęło się w głąb. Z kolei przepływano koło Lausanne; koło Ferney, nad którem świecił się w słońcu krzyż kościoła, wzniesionego Panu Bogu przez Voltaire'a; koło Clarens, skąd Saint-Preux, patrząc na skały Meilleries po drugiej stronie jeziora, pisał do Julii swe najpiękniejsze listy; potem ukazał się unieśmiertelniony przez Byrona zamek Chillon; aż wreszcie, po siedmiogodzinnej żegludze, wylądowano w miasteczku Villeneuve.

Z Villeneuve, dawnego Avencium, udano się dwoma wynajętemi powozami do sławnego (w Szwajcaryi) swojemi kopalniami soli miasteczka Bex, dokąd zawitano już o zachodzie słońca i gdzie zanocowano. Na tem zakończył się pierwszy dzień »wojażu«, dzień wesoły od początku do końca, od chwili, kiedy się rano zeszli wszyscy w przystani, aż do chwili, kiedy sobie po wieczerzy, spożytej w Bex,

---

»w pamięci ich tkwi dotąd wspomnienie płaszcza płóciennego z peleryną, ozdobioną z brzegu zielonym haftem«.

w jednym z tamtejszych domów zajezdnych życzono wzajemnie dobrej nocy. Podróż statkiem parowym, przy najpiękniejszej pogodzie, pod dachem płóciennym ochraniającym od słońca, przy jednostajnym szumie rozbijanej kołami wody, wśród powodzi światła dookoła, wśród najcudowniejszych krajobrazów (zeszpeconych jedynie, zdaniem Słowackiego, mnóstwem winnic, okrywających wszystkie wzgórza nadbrzeżne, a »nudnych dla wzroku«), podróż, urozmaicana śpiewami i śmiechem, rozmowami wesołemi i poważnemi naprzemian, osładzana cukierkami, a dzięki zapasowi prowiantów obfitująca w liczne gastronomiczno-gambrynusowskie *intermezza,* wpłynęła na humor i usposobienie wszystkich o tyle dodatnio, iż życzyć sobie należało, ażeby reszta podróży w podobny przeszła sposób.

Nazajutrz od samego rana, zaraz po śniadaniu, udano się do miejscowych kopalni. Kopalnie te, jak nasze w Wieliczce, ciągną się pół mili pod ziemią. Zwiedzanie ich, w płaszczach płóciennych, z kagankami żelaznemi w rękach, wśród ciemności korytarzów, wąskich i wilgotnych, przypominających kręgi dantejskiego Piekła, bardzo silne na wszystkich zrobiło wrażenie, a najsilniejsze zdaje się na Słowackim, który powiada, że »było w tej podróży prawdziwie coś uderzającego imaginacyę, zwłaszcza prochem rozsadzane skały«. Reszta dnia upłynęła na oglądaniu samego miasteczka Bex i okolic, które są bardzo malownicze.

Ze świtem następnego poranku wyruszono w dalszą drogę: pani Wodzińska z córkami i panną Mallet — powozem; mężczyźni pieszo, obok. Pogoda była, jak wymarzona; góry, oświetlone wschodzącem słońcem, prześliczne; humor doskonały. Panna Mallet, stara panna, »trochę podtatusiała«, nie mogąca spokojnie usiedzieć w powozie, dostarczała młodzieży, swojem zamiłowaniem do botaniki i swoją puszką zieloną do zbierania owadów i roślin, niemało tematu do złośliwych konceptów i żartów; panny Józefa i Marya (bo najmłodsza ich siostrzyczka, Terenia, została w domu pod opieką pana Basclop i pięknej miss Wagner) uśmiechały się do siebie, ile razy spojrzały na Słowackiego i na jego płócienną pelerynę z haftem (gdybyż o tem wiedział Słowacki!); najmłodszy z synów pani Wodzińskiej, który z rozpaczy, że panna Saladin nie brała udziału w wycieczce, wziął na siebie rolę pajaca, pobudzał raz po raz towarzystwo całe do śmiechu; najstarszy, Antoni, smętny i zamyślony, bo »stracił niedawno i pochował w grobie kochankę«, uchodził w oczach wszystkich za »osobę melancholijną towarzystwa«; autor *Kordyana,* ani

przypuszczając, że panny, kiedy się nie patrzył na nie, żartowały sobie na temat jego peleryny, nie szczędził im komplementów, szczególnie pannie Maryannie, która, uważał, bardzo »miłą« była i zajmującą (pani Wodzińska wydała mu się także »bardzo miłą osobą«): słowem, wycieczka zapowiadała się jaknajlepiej, bo »różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię«. Zbierano kwiaty, botanizowano, podziwiano piękne widoki, śpiewano różne pieśni, co Słowackiemu dało pochop, że i on nie został w tyle za innymi, lecz, ośmielony przykładem towarzyszów, śpiewał również [1]); i tak przez całą drogę aż do Martigny, gdzie przenocowano i skąd, znowu o świcie, jak poprzedniego dnia, wyruszono dalej.

O wschodzie słońca, kiedy Martigny dawno zniknęło już z oczu, a zaczynała się słynna, przez Napoleona wykuta droga na Simplon, droga, biegnąca pomiędzy dwiema olbrzymiemi ścianami skał, nad przepaścią i nad rwącym strumieniem, huczącym na dnie przepaści, spotkano pogrzeb wiejski. Kilkoro ludzi w łachmanach i ksiądz, przodem idący, stanowili cały orszak, a śpiew pogrzebowy, zagłuszany szumem potoku, prawdziwie hamletowe nasuwał myśli, przynajmniej Słowackiemu [2]), któremu ta żałobna gromadka przypomniała owe pogrzeby wiejskie, przez step ciągnące na cmentarz, jakie widywał niegdyś dzieckiem będąc, w Wierzchówce na Podolu [3]). Albowiem, dziwna rzecz, podczas wycieczki tej ciągła zmiana miejscowości sprawiała często, że upatrywał w nich raz po raz podobieństwa ze swemi stronami rodzinnemi. »Nigdy (powiada) tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną; różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mię, jak wierne przyjacioły; różne zapomniane piosnki cisnęły mi się do ust moich; było mi smutno i miło«. Dzięki wspomnieniom tym, ponieważ nic nie rozmarzyło go tak, jak powrót myślą do lat dziecinnych, bywały chwile, w których i on »ponury« i zamyślony, stawał się obok młodego Antosia Wodzińskiego »osobą melacholijną towarzystwa«. Chwile takie nie trwały jednakże długo na szczęście, tak, iż poeta, nowemi ciągle zajęty widokami, nowemi wsiami, które mijano, nowemi ludźmi — przeważnie ubogimi — których spotykano, nie miał poprostu czasu na rozpamiętywanie rzeczy minionych: zbyt na to była interesującą i pogodną teraźniejszość, która, cho-

---

[1]) List z dnia 21 sierpnia 1834 r. [2]) *Beniowski*, Cześć druga str. 93. [3]) Tamże.

ciażby tylko jako panorama, świeżemi wciąż poiła wzrok obrazami.

W ten sposób dotarto szczęśliwie, bez żadnych przygód, do wsi Bourg St. Pierre, od której począwszy, resztę drogi odbywano pod przewodnictwem *guide'*ów, na mułach. O godzinie 5-ej wieczorem wjechano w krainę lodów i śniegów, mając z boku lodowiec de Menouve, aż w końcu, między skałami, w ciemnem już, mglistem powietrzu, osamotniony wśród dzikiej okolicy górskiej, ukazał się słynny klasztor św. Bernarda, kres pierwszej części podróży.

Przed klasztorem, na ganku, oczekiwał już gości ksiądz gwardyan, w czarnym habicie. Na dziedzińcu, nieopodal, leżał ogromny pies. Za klasztorem, w którego kilku oknach świeciło się, błyszczało, oprawione w skalisto-śnieżne ramy, jezioro Champey, czarno-ołowianego koloru.

Klasztor sam, nazewnątrz jak i wewnątrz, wydał się Słowackiemu zachwycającym poprostu. Jako mury, jako budynek, jako siedziba, położona wśród wiecznych śniegów i zamieszkana przez ludzi, uciekających od burz i pokus życia, a oddanych Bogu, dobrym uczynkom, modlitwie i wzniosłej kontemplacyi, żyjących duchem, nie ciałem, zrobił na nim przybytek ten (w r. 962 przez św. Bernarda z Mentony założony) bardzo podniosłe w pierwszej chwili wrażenie. »Niestety, ludzie nie odpowiadają często wielkości powołania». Refleksya ta nasunęła się autorowi *Mnicha* przy wieczerzy, podczas której panował jego zdaniem ton zbyt świecki. Dla niego, który w swej wyobraźni poetyckiej identyfikował pojęcie zakonnika z pojęciem ascety, brakło tu przedewszystkiem tej atmosfery mistycznej — podczas wieczerzy przynajmniej — którą spodziewał się znaleść w klasztorze. Ksiądz-gwardyan np. wprawił go w zdumienie swojem zachowaniem się światowem, które mogłoby zwrócić na siebie uwagę »nawet na dworze Ludwika XIV«. Że zaś i inni braciszkowie nie ustępowali pod tym względem swemu przełożonemu, więc skończyło się na tem, że wspaniały refektarz gotycki — śmiało mogący służyć za tło jakiejś romantyczno-ponurej scenie z poematu Byrona lub romansu Walter-Scotta — przeobraził się ku niewymownemu zdziwieniu poety w jakiś wielkoświatowy salon z czasów Ludwika XIV, w którym towarzystwo, malowniczo ugrupowane dokoła wielkiego stołu przy świetle lamp i trzaskającego na kominku ognia, »śmiechem i żartobliwą rozmową odstraszało wszelką myśl wzniosłą i smutną«.

Po skończonej wieczerzy udano się na spoczynek: damy, jako niemające prawa nocować w obrębie murów

klasztornych, do przyległej *dependence St. Louis*: mężczyźni do przeznaczonych dla siebie cel, zimnych, jak lodownie.

Nazajutrz, rano, zaraz po śniadaniu, obejrzano wszystkie osobliwości miejscowe, poczynając od kościoła, gdzie jest piękny pomnik jenerała Dessaix, a kończąc na t. zw. *morgue*, czyli małym domku w pobliżu klasztoru, gdzie bywają składane trupy znalezionych w górach — pod śniegiem najczęściej — wędrowców. »Okropny widok! Zmarzłe ciała mężczyzn i kobiet siedzą i leżą w różnych pozycyach, jedne do szkieletów podobne, drugie czarną skórą powleczone«.

Z góry św. Bernarda udano się znów z powrotem do Martigny, zkąd po dwóch dniach pieszej podróży doliną Rodanu, »wśród uśmiechającej się krainy wiosny«, zatrzymując się po drodze w różnych wsiach, miasteczkach, oberżach i szaletach pasterskich, dotarto do sławnej miejscowości kąpielowej Louèche-les-Bains, gdzie przenocowano.

Z Louèche zrobiono wycieczkę na górę Gemmi. Trzy godziny jechać na nią potrzeba na mułach, a tak jest stercząca, że, przypatrując się jej, łatwiej pomyśleć o jakiejś ścianie prostopadłej, aniżeli o górze. Droga, w zygzak wykuta, ciągle wisi nad przepaścią. Szeroka cztery stopy zaledwie, tak, iż dwom mułom wyminąć się na niej trudno, wyżłobiona w granicie, na podobieństwo rynny, w ten sposób, że idąc nią, zawsze się ma jakby sklepienie nad głową (w dni dżdżyste chroniące od deszczu, który tu nie ma przystępu) wznosi się piętrami coraz wyżej, a tak przedziwnie, że dwaj podróżni, oddaleni od siebie nieraz o jakie sto kroków, już się nie widzą wzajemnie, ponieważ literalnie stoją jeden nad drugim. Widok zewsząd, z każdego zakrętu, piękny nie do opisania. Stanąwszy na szczycie (co się wydaje w wprost niemożebnem, jeżeli się górze Gemmi przypatruje z dołu), obejmuje się jednym rzutem oka: całą dolinę Rodanu i całe pasmo Alp Berneńskich i Ober Wallis, nad których śnieżnemi wierzchołkami, tak efektownie rysującemi się na turkusowem tle nieba, króluje dumna Mont Rosa. W dole, u samego podnóża góry, na zielonej równinie jaśnieje w słońcu miasteczko Louèche, a jak powiada Słowacki w liście do matki i Teofilów, »żadne opisy nie odmalują wam zieloności szmaragdowej, którą widać w dolinie, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego koloru, tych gazowych chmur, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem!« I nietylko widział, ale oglądał w miłem towarzystwie osób, w otoczeniu których czuł się, jak między

swoimi, i z którymi — w rodzinnej mowie — dzielić się mógł wszystkiemi odbieranemi wrażeniami, wszystkiemi myślami, jakie mu się przesuwały przez mózg, wszystkiemi zachwytami, jakich doznawał. A doznawał ich przecież na każdym kroku!

Ze szczytu góry Gemmi, po obiedzie w hotelu Wildstrubel, położonym tuż pod wierzchołkiem Daubenhorn'u na wysokości 2,952 metrów nad poziom morza, poczęto zmierzać — pod wodzą przewodników — w kierunku północnym, drogą dziką, pustynną, pomiędzy skałami, gdzieniegdzie pokrytemi białemi szmatami śniegów, i znów w przeciągu paru godzin nie widziano dokoła siebie nic, tylko skały, śnieg, niebo i granatowo-czarne jeziora, przeważnie zamarznięte jeszcze do połowy, po których pływające kry dziwnie ponuro i złowrogo odbijały swą śnieżną białością od ciemno-błękitnej tafli wody. Przechodząc tędy, mimowoli doznajesz złudzenia, że błądzisz po jakiejś zimnej, bezludnej krainie śmierci. Całe szczęście, że, jakby w nagrodę za to przygnębiające uczucie, z chwilą, kiedy się staje na dole, po przeciwnej stronie góry Gemmi, zaczyna się istna ziemia obiecana, pełna zieleni, drzew najpiękniejszych, łąk kwietnych, rozbrzmiewająca szumem potoków, kaskad srebrnych, z gór spadających, szaletów prześlicznych, etc., rozmarzająca melancholijnem dzwonieniem trzód, rozśpiewana jodlowaniem pasterzy i pasterek, skąpana w powodzi światła i ciepła.

Wśród takiej arkadyjskiej prawie okolicy, trzymając się wciąż wybrzeży Kanderu, dochodzi się aż do jeziora Thun. Nad jeziorem, u samego ujścia Aary, strasznie szumiącej i błękitnej, leży miasteczko Thun, w którem się zatrzymano na nocleg, ażeby o świcie następnego dnia wsiąść do łódki i przepłynąwszy na drugą stronę jeziora, dostać się po dobrym kwadransie drogi biegiem Aary — na podobieństwo kanału łączącej jeziora Thun i Brienz — do Neuhaus, zkąd już powozami jedzie się do słynnego Interlacken, najbardziej malowniczego zakątka Szwajcaryi.

Z Interlacken, gdzie w banalnem towarzystwie licznych turystów-Anglików, grasujących tu, niby szarańcza, podziwiano przedewszystkiem widok na Jungfrau, zrobiono wycieczkę (zdaje się nazajutrz dopiero o wschodzie słońca) łódkami przez jezioro Brienz do sławnej kaskady Giessbach.

Z czeluści czarnej, niebotycznej skały Schwarzhorn'u, szumiąc przeraźliwie, wypada nagle gwałtowny, spieniony potok, który, zlatując z wysokości kilkuset stóp, roztrąca się o najeżone głazy, poczem natychmiast, z szalonym, iście piekielnym łoskotem, podobnym do nieustannego grzmotu,

w dalszej gubi się otchłani. Takie jest pierwsze piętro kaskady, a piętr takich, zanim woda ze szczytu przeleje się do jeziora, jest siedm: każde inne, każde w swoim rodzaju najpiękniejsze: tam widzisz białą strugę wody, spadającą pionowo, niby wysmukła, kryształowa kolumna; tam potok zwija się w wir, z którego, jak z wypełnionej czary, spływa na niższy stopień kilkoma »warkoczami«; aż wreszcie, przy spływie z drugiego piętra na trzecie, woda ciska się w przepaść z takim pędem, że się wygina w przedziwny, do szlannej bani podobny obłęk, pod którym, nie zamoczywszy stopy, przejść można na drugą stronę potoku i, jak przez ruchomą kratę z roztopionego srebra, patrzeć na całą okolicę: na błękitne wody jeziora Brienz, na malownicze ruiny zamku Ringenberg, na pobliskie góry, lasy i wsi [1]). Na niższych piętrach zielenią się łąki i leszczynowe lasy [2]), wśród których wodospad, ujęty jakby w szmaragdowe ramy, pieniąc się i hucząc w kamienistem łożysku, to przedzierając się przez ciasne otwory w skałach, lub rozpryskując się o nie w krople brylantowego deszczu [3]), podobnego do białej, srebrzystej mgły, w coraz to inny sposób zachwyca oko wędrowca, aż nakoniec rozstrzelony na kilkanaście odnóg, spleciony i skłębiony, gubi się w nurtach jeziora. W dni słoneczne — a w taki dzień słoneczny właśnie był tu Słowacki z Wodzińskimi — zawisa ponad wodami Giessbachu, prawdziwie czarodziejskiego dodając im uroku, najcudowniejsza tęcza, która »na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza«.

Widok »warkoczy« Giessbachu, srebrzących się wśród bujnej zieleni leszczyn i świerków, przypomniał Słowackiemu Zofiówkę, gdzie po raz pierwszy w życiu, dzieckiem będąc, oglądał podobne, choć sztuczne i nie tych rozmiarów, kaskady i gdzie z takiem »rozemdleniem serca«, zasłuchany w szum spadającej wody, marzył o Ludwice Śniadeckiej. Z kolei — na zasadzie prawa kojarzenia się wyobrażeń — przypomniały mu się Julinki, Wierzchówka, jarzębiny, rosnące nad brzegami Ikwy etc. etc.

---

[1]) I była z kaskad kryształu zasłona. *(W Szwajcaryi,* XIV).

[2]) O gdybym ja wiódł panią do kaskady,
To tak, jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Wśród leszczyn Giessbach lub śród laurów Terni.
(Z wiersza do pani Bobrowej.)

[3]) ...w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło:
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami. *(W Szwajcaryi,* X).

Po obejrzeniu Giessbachu rozłączył się Słowacki z częścią towarzystwa; damy bowiem, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych górach, zrezygnowawszy z piękności Grindelwaldu i Oberhassli, postanowiły z Interlacken udać się powozem do Lucerny, i doczekawszy się tam »chłopców«, przez których rozumiały i Słowackiego także, wracać razem — znowu powozami — do Genewy. Jakoż stało się, jak zadecydowano: panie wróciły do Interlacken, »chłopcy« zaś, »trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskanej swobody«, ruszyli pieszo przez góry w kierunku Lauterbrunn, odkąd począwszy, zaczął ich wojaż karmić najcudowniejszemi widokami dolin różnych, lasów, kaskad, strumieni, lodowców.

Nic piękniejszego naprzykład, jak droga z Interlacken do wioski Lauterbrunn, przez wąwóz tego imienia. Szosa ciągnie się wzdłuż brzegu rzeki Lütchine'y, do której z niesłychanym szumem wpada ze wszystkich stron niezliczone mnóstwo strumieni i strumyków, potoków i zdrojów. Ztąd nazwa miejscowości, ponieważ Lauterbrunn oznacza po niemiecku: same źródła. W końcu wąwozu znajduje się sławna kaskada Staubbach. Widziana z przodu — a widać ją już z ganku oberży w Lauterbrunn — podobna jest do wspaniałego welonu, poruszanego wiatrem, a to z powodu, że woda jej, nigdzie się prawie o skały nie obijając, spada z wysokości ośmiu stóp, zmieniona we wstęgę mgły białej, lecącej na dolinę, nad którą, niby olbrzym śnieżny, króluje przepiękna piramida góry Jungfrau.

Bardziej jeszcze, aniżeli dolina Lauterbrunn, podobała się Słowackiemu dolina Grindelwald. Jedną z osobliwości jej, która wielki wzbudziła podziw w przyszłym autorze poematu *W Szwajcaryi*, są dwie rzeki lodów, zachodzące aż na sam środek przestronnej równiny, tak, że promienna ich białość, chwilami oślepiająca poprostu od słonecznego blasku, nadzwyczaj efektownie odbija od jaskrawego kolorytu usianych kwiatami łąk. Tam też, dzięki szczęśliwemu (dla podróżnych jedynie) przypadkowi, udało się Słowackiemu widzieć spadające z gór lawiny, czyli t. zw. awalansze. »Huk, podobny do piorunu, rozlega się po dolinie, ile razy bryła śnieżna oderwie się z czoła gór«.

Największe jednak, prawdziwie niezapomniane wrażenie zrobił zdaje się na poecie lodowiec Wetterhornu, przez mieszkańców Grindelwaldu powszechnie »większym« nazywany, a obfitujący w widoki, jakby z jakiegoś fantastycznego świata baśni. Najeżony z zewnątrz piramidami olbrzymich złomów lodowych, w najdziwniejsze połamanych kształty, przenosi wyobraźnię widza — o zachodzie słońca

zwłaszcza, kiedy lodowiec cały wygląda jakby się palił miejscami — w podbiegunowe strefy wiecznych mrozów; wewnątrz zaś, pod spodem onej masy lodu i zlodowaciałego śniegu, obfituje w tego rodzaju groty lodowe, że opisać ich ani wymalować nie sposób: światło słoneczne, przeświecając przez rozpostarte nad głową niebieskawe sklepienie z lodu, sklepienie, które chciałoby się porównać do jakiegoś kryształowego, drogiemi kamieniami nabijanego sufitu, załamuje się w niem w najprzecudniejsze tęcze, niby w milionach pryzmatów; wszędzie »ze sklepienia łzy spadają duże, a we łzach sylfy z jasnością ogromną deszczem spadają«. Pod stopami czernieje przepaść, na której dnie szumi potok, podrywający lody [1]).

Zwiedziwszy grotę, z której wychodząc, ma się odrazu przed oczyma, jak na dłoni, całą dolinę Hassli, uśmiechniętą, zieloną, kwitnącą, zdecydowano się pójść na Faulhorn, gdzie jeszcze, jak do owego czasu, niewielu było podróżników, a zkąd, jak zapewniali przewodnicy, niezrównany ma być widok na Alpy. Jakoż następny już zachód słońca zastał Juliusza i jego towarzyszów na szczycie Faulhornu, przed oberżą, która jest (a przynajmniej była wtedy) najwyższem mieszkaniem w Europie. »Wojażerowie, chcąc patrzeć na okolicę, muszą wychodzić z domu kołdrami okryci. Mróz nam dopiekał, ale też jaki widok! O zachodzie słońca mgły nas owiały i staliśmy na szczycie góry, jak na pokładzie płynącego do nieba okrętu. Zaczerwienione słońce było niżej, aniżeli my, a jeszcze miało drogę do przebycia, nim zaszło. Za nami, z mgły, wychodził ogromny szereg gór śnieżnych — Wetterhorn, Finsteraarhorn, Jungfrau i mnóstwo innych: — niktby w godzinę nie porachował ich szczytów, a wszystkie były czerwone od słońca, ogniste, jakby rubinowe. Nocowaliśmy w oberży. Zrana widzieliśmy wschód słońca, czysty, bez żadnej mgły. Przepaście, błyszczące jeziora, cała Szwajcarya leżała pod nami, widna, jasna. A jaka cichość dokoła!« Mimowoli przychodziła na myśl ostatnia tercyna z pierwszego krymskiego sonetu.

Z góry Faulhorn puszczono się raz jeszcze do czarujących dolin Ober-Hassli, aby zobaczyć spadek Aary, »gdzie Aar wody błękitnemi spada«, i źródła Rodanu,

Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;

---

[1]) *Listy*, I, 179. Tę grotę (widzianą jednak po rozstaniu się już z Maryą) miał Słowacki na myśli, kiedy pisał strofę VII poematu *W Szwajcaryi:*

»Raz mię ów Anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty«.

Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.

Przenocowawszy następnie — już po raz czwarty — w zimnej oberży pośrodku śniegów Grimsel, »śliczną drogą świętego Gotarda«, przez Andermatt, gdzie oglądano słynną Teufelsbrücke, skierowano kroki wzdłuż brzegów Reusse'y w kierunku Altdorf, gdzie Wilhelm Tell strzelał z łuku do jabłka na głowie swego dziecka. Dziewiątego dnia wreszcie, licząc od owych dni rozstania się z damami w Interlacken, nastąpiło spotkanie się z niemi nad brzegiem »najpiękniejszego« Jeziora Czterech Kantonów, w Lucernie. Okazało się, że damy bawiły tu od tygodnia przeszło, niespokojne o »chłopców«, czy im się co złego nie stało w drodze, że tak długo dawali na siebie czekać. Obawy te jednak były płonne, chłopcy bowiem, lubo zdrożeni, wracali zdrowi i w brylantowych humorach. Jeden tylko Słowacki usposobiony był smętniej.

Nazajutrz zrobiono wycieczkę czółnami do kaplicy Tella, ukrytej »w cieniu ze skał i pod wieńcem borów«, a wystawionej w miejscu, gdzie legendowy oswobodziciel Szwajcaryi, uwolniony z okowów, wyskoczył na brzeg, łódź z Gesslerem odepchnąwszy nogą na rozszalałe od burzy jezioro. Słowacki, nie zdając sobie sprawy, czemu jest smutny dnia tego i do zadumy skłonny, nie podzielał wesołości reszty towarzystwa; i kiedy inni, wysiadłszy z czółen, z zajęciem oglądali naiwne freski, zdobiące ściany kaplicy Tella, a przedstawiające najdramatyczniejsze chwile z dziejów oswobodzenia Szwajcaryi, on, zadumany i nastrojony tęsknie, melancholijnie, siedział na progu, przed kaplicą, i patrzył w wodę, przypatrując się, jak na »swawolnej i ruchomej« fali mienią się tu i owdzie »plamy od sosen, co się kołyszą na niebie, i od skał cienia«. Wtem — wnosząc z wiersza *Na Nilu* — o dziwo! podniósłszy oczy, spostrzegł, że panna Maryanna, »jak przywabiony gołąb' białością smutnego ptaka«, siedziała nad nim [1]).

I długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem, dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej.

---

[1]) Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb' białością smutnego ptaka
Na pustym domie.

*(Na Nilu, Do***)*

Od chwili tej, dziwna rzecz! wesołość odbiegła go zupełnie: pierś wzbierała westchnieniami i nieuchwytnemi pragnieniami; w głowie paliło się od tysiąca sprzecznych myśli; do oczu cisnęły się łzy, często bez najmniejszego — na pozór — powodu. I tak np., kiedy się następnego dnia wybrano na Rigi-Kulm, zkąd widok na Alpy rozleglejszy jeszcze, aniżeli z Faulhornu, ale mniej piękny, góry bowiem, widziane z oddali, »nie przerażają wielkością swoją rozumu, a nawet imaginacyi człowieka«: on, zamiast iść w ślady swoich towarzyszów i, jak oni, z zachwytem patrzeć na wschodzące nad Szwajcaryą słońce, patrzał na nie wzrokiem osłupiałym, błędnym, »bez przerażenia« i, jak powiada, mimowolnie płakał, nie wiedząc nawet, czemu... Czemu? Dlatego zapewne, że mu spokoju nie dawała myśl, trapiąca go już od niejakiego czasu nieustannie, myśl, że »wśród takiej natury trzeba być smutnym albo trzeba się kochać« i że to życie tułacze, jakie pędził, »mogłaby tylko miłość rozświecić«. Myśl ta wyciskała mu łzy i czyniła wyjątkowo czułym na wszystko. Rozczulała go cichość i małość chat, rozsianych po dolinach i zboczach gór, między zwierciadełkami kilkunastu jezior; rozczulał widok tego szmatu ziemi, który on, stojąc na szczycie, nad przepaścią, wyżej od wychylającej się z za widnokręgu kuli słonecznej, ognistej, jakby z miedzi, ogarniał jednym rzutem oka, a który był jednak całą ojczyzną Szwajcarów.

W takiem usposobieniu powrócił Słowacki dnia 20 sierpnia przez Bern do Genewy, do domu pani Patteg, do swojego ogródka nad jeziorem, do swojej altanki, do swoich kąpieli w Arwie. Niestety, ponieważ wrócił smutny i z sercem, wprawdzie nie przeszytem jeszcze na wskroś, ale draśniętem już zlekka zatrutym grotem Amora, choć nie przypuszczał wcale, ażeby to mogło być smutku jego przyczyną, wszystko zaczęło go tu razić, drażnić. Przyjemność sprawiło mu tylko pierwsze powitanie z Eglantyną i p. Patteg. Zresztą, patrząc na otaczający go świat przez zakopcone szkła owej »tęsknoty i ponurego smutku«, które — jak się uskarża przed matką — wycieczka ta zostawiła mu w sercu, wyobrażał sobie, że na drogę jego rzucił Pan Bóg same »serca z kamienia«, samych ludzi zimnych, niezabawnych, niedowcipnych, nieczułych. Atmosfera *pension'u* pani Patteg, pełnego o tej porze cudzoziemców, »ludzi, którzy się na chwilę poznają, aby się znów rozłączyć i zapomnieć o sobie«, oddziaływała nań przygnębiająco, pobudzając do przeczuć, które go ostatecznie do reszty wtrącały w otchłań spleen'u. Z wyjątkiem jednej może Eglantyny i jej matki, o których życzliwości i czułości dla siebie nie

mógł poprostu wątpić, widział we wszystkich, a bardzo być może, iż w pannie Maryannie przedewszystkiem, »serca z kamienia«, obojętność i lodowaty chłód. Przekonany — na szczęście chwilowo tylko — że nikomu na nim nie zależy naprawdę, że w nikim nie budzi współczucia jego nieszczęśliwa, dantejska dola tułacza, który, nie mogąc powrócić do swej rodzinnej ziemi, musi wciąż deptać obcych ludzi łany, porównywał się do kamiennego słupa na drodze, przy którym różni przechodnie zatrzymują się na chwilę — albo nie zatrzymują się nawet — aby wyczytać niezrozumiały dla nich napis, i ruszają dalej.

Przeświadczenie to, po części uzasadnione, trapiło go, jak zmora, a zarazem o dziwny jakiś, nieusprawiedliwiony niczem napozór przyprawiało niepokój; przedewszystkiem zaś, gdziekolwiek się obrócił, prześladowały go wspomnienia tej wycieczki z Wodzińskimi, w towarzystwie owej »czarnobrewej panienki«, której ani osobą swoją, ani talentem nie imponował. Noclegi w oberżach, popasy w szaletach, dzwonki pasących się trzód, szum wodospadów i strumieni, Anglicy przy *Table d'hôte* w Interlacken, śpiew ptaków w dolinie Hassli, pieśni szwajcarskie przy akompaniamencie gitary i cytry, piękne Szwajcarki w Rougemont, (wsi, słynnej z piękności kobiet), zakonnicy z klasztoru św. Bernarda, rozmowy z Maryą przez drogę, zachody słońca, podczas których ona »od Alp na śniegach różowych różowa«, stała przy nim, jak Astarte przed Manfredem, kaskada Giessbach, przy której widział ją »pod jasną tęczy różnofarbnej bramą«: wszystko to majaczyło mu przed oczyma, nabierało szczególnego jakiegoś poetycznego uroku, rozmarzało, świadcząc niezbicie, że »za tym zmysłem, co kochać przymusza«, zaczynało już iść zwolna w ślady także i serce poety, a za sercem — dusza.

III.

Z nadejściem jesieni, Słowackiego ulubionej pory roku, wstąpiła mu w duszę pogoda. Byłżeby to wpływ budzącego się w nim uczucia miłości, tej miłości, w którą wierzył, że ona jedna tylko mogłaby cokolwiek to mroczne życie tułacza rozjaśnić? W każdym razie, kąpiąc się w ciepłych promieniach słońca, które jakby złotawym pyłem przesycało powietrze, i chodząc po ogrodzie, wsłuchany w melancholijny szelest spadających liści, pożółkłych i, rzekłbyś, pachnących jesienią, czuł jakąś błogość dokoła siebie

i spokój. Usposobienie jego, tak zmienne zazwyczaj i tylu sprzecznym wpływom podległe, stało się podobnem do gładkiej toni Lemanu, i już się nie nudził tak, jak np. rok temu o tej samej porze. Pustka, która go do niedawna jeszcze prześladowała swoją czczością, wypełniła się (czem się jednak wypełniła, tegoby może powiedzieć nie umiał); towarzystwo ludzi, w których niedalej, jak przed pół rokiem, na wiosnę, widział bezmyślnych tylko »zjadaczów chleba«, o których wątpił, żeby ich kiedy w »aniołów« przerobić było można, zaczynało mu się przykrzyć coraz mniej, a ponieważ obcując z nimi, niemałe miał powodzenie, zwłaszcza u dam, zaczął więc udzielać się chętniej, niż dawniej, i korzystajac z opinii »uczonego i przyjemnego człowieka«, uprzyjemniać w ten sposób życie sobie i drugim.

Ale, dziwna rzecz, jakby zadawalniając się tem, że go Anglicy, zamieszkujący pensyonat pani Patteg, uważali »za cudowne prawie zwierzę, które z równą biegłością kilkoma włada językami«, od towarzystwa ziomków, a zwłaszcza od domu Wodzińskich, zdawał się stronić. Czemu? Trudno zgadnąć. Co pewna, to, że w willi przy ulicy Beauregard, odkąd powrócił do Genewy, nie pokazywał się często[1]), bywając wtedy jedynie, kiedy go zapraszano. Czy miał w tem jakie wyrachowanie? Bo że się odtąd rodziną Wodzińskich więcej interesował, aniżeli dawniej, o tem świadczą dostatecznie jego listy do matki, między któremi, począwszy od tego, gdzie opisuje swój »wojaż« po Alpach z Wodzińskimi, aż do chwili wyjazdu ich z Genewy, nie ma takiego, w którymby nie znajdowała się o nich krótsza lub dłuższa wzmianka. Z drugiej strony, wątpliwości zdaje się również nie podlegać żadnej, że w niebardzo pochlebnej zrazu opinii Wodzińskich o nim nastąpił pewien zwrot na jego korzyść, co pozwala się domyślać, że wycieczka w gronie ich odbyta (pomimo owej peleryny z zieloną wypustką), nie zaszkodziła mu w oczach dam, zarówno pani Wodzińskiej, jak i jej córek, nie mówiąc już o synach. W przeciwnym razie bowiem, można być pewnym, zapraszanoby go na ulicę Beauregard coraz rzadziej. Tymczasem faktem jest, że zaproszenia ztamtąd otrzymuje Słowacki w tych czasach coraz częściej i że w stosunku jego do rodziny Wodzińskich coraz większą zaczyna grać rolę serdeczność, »prawie familijna«.

W miesiąc niespełna po powrocie do Genewy wypra-

[1]) Od powrotu mego do Genewy nie często widuję się z towarzyszami podróży (list z dnia 28 września 1834 r.).

wiła pani Wodzińska podwieczorek za miastem, na który otrzymał zaproszenie także i Słowacki, a na którym ułożono, że kiedyś, jeżeli się wszyscy — da Bóg — zjadą zczasem szczęśliwie w Warszawie, pani Wodzińska wyda bal kostiumowy, na który każdy z uczestników wycieczki — ciągle snać dostarczającej tematu do rozmowy — przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube, gwoździami nabijane trzewiki, w których chodził po skałach. Projekt ten bardzo się wszystkim podobał. »Jakieby to było smutne i zachwycające uczucie, po dziesięciu lub dwudziestu latach ubrać się tak, jak się człowiek ubierał za młodu, będąc na obcej ziemi! Jak miłoby było winszować sobie wtenczas przebytych bied i młodym ludziom o przeszłości rozpowiadać!«

Równie dobrze, jak na tym podwieczorku, bawił się później Słowacki u Wodzińskich na wielkim balu, na którym znajdowały się wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie, między innemi i pani Bernardowa Potocka, właścicielka starego Konstantynowa: wogóle cała tutejsza kolonia polska. Tańczono do białego dnia; Słowacki zaś, jako mazurzysta, bynajmniej nie pozostawał w tyle za innymi: tak dalece nawet, że mu któraś z dam (a bardzo ładne podobno i różowe usteczka wymówiły te słowa) powiedziała: »Znać, że pan z Wołynia Wołynianin, bo po wołyńsku tańcujesz mazurka«. Na co Słowacki, nie chcąc Wołyniowi ujmować sławy, jaką z jego tańca odnosił, odpowiedział z ukłonem: »Ha, prawda, że my, Wołyniacy, to dziarskie chłopcy«. A trzeba było widzieć — powiada w liście do matki — jego cienką postawę, aby sobie wystawić, jak mu te słowa junackie były do twarzy.

Tego rodzaju bale i podwieczorki, na których rozmawiać i tańczyć z panną Maryanną aż nadto miał sposobności, nie pozostawały oczywiście bez wpływu na rozwój jego uczuć dla niej.

O tem zaś, jak go ożywiały i jaki powracał z nich podniecony psychicznie, świadczy wymownie tragedya o Mazepie, której pomysł zrodził mu się w głowie po powrocie właśnie ze wspomnianego balu u Wodzińskich. Wytańczywszy się na tym wieczorze, wrócił — powiada — do domu, a ponieważ to była zwykła pora roku — jesień — w której go już od lat czterech regularnie napadała »poetyczna kanikuła«, zaczęły mu zaraz tego samego dnia (bo wrócił nad ranem) snuć się po mózgu, jak Fantazemu, jakieś mary, jakieś światła, jakieś cienie: Wojewoda, zazdrosny jak Ottelo lub mąż Indyany z powieści pani Sand, a zawzięty jak Wojewoda z *Czatów* Mickiewicza; Amelia,

żona wojewody, podobna z twarzy do pięknej i młodej macochy schillerowskiego *Don Karlosa,* jak tamta nieszczęśliwa i smutna; Zbigniew, syn wojewody, zakochany w swej macosze, której mu tak samo kochać nie było wolno, jak nie wolno było René'mu Chateaubrianda kochać się w swojej siostrze, (to samo, co i wojewodzina, noszącej imię); za nimi, na drugim planie, cały orszak postaci charakterystycznych, posuwających akcyę dramatu: król Jan Kazimierz, w czarnym, szwedzkim stroju, wzorowany na molierowskim *Świętoszku;* Kasztelanowa, cała w koronkach i fiokach; dalej dworzanie wojewody, Imci panowie: Chmara, Pasek i Chrząstka; a wreszcie, na czele tej barwnej kawalkady — pan Mazepa, w wykwintnym stroju królewskiego pazia, młody, przystojny sowizdrzał, pełen fantazyi i junackiego animuszu, słowem, bardzo podobny do samego Słowackiego, jakim był przed paru godzinami na owej zabawie tańcującej u pani Wodzińskiej [1]).

W ten sposób w przeciągu kilkunastu dni powstał *Mazepa,* ten najsceniczniejszy dramat polski, napisany, jeżeli się tak wyrazić można, jednym tchem, od pierwszego do ostatniego aktu. Skończony jednak, choć nieprzepisany na czysto, ponieważ imaginacya poety palić się już zaczynała do innych, nierównie świetniejszych pomysłów, zamiast pod prasy drukarskie, na których »posmarowanie« brakło chwilowo funduszów, musiał pozostać w tece autora, z której było mu przeznaczone dostać się w kilka tygodni później do ognia w kominku, ażeby potem, po prześciu takiej próby czyścowej, odżyć nanowo, jak Feniks, i wydostać się na widok publiczny dopiero po upływie lat sześciu, i to najniezawodniej w zmienionej znacznie formie.

Fantazya poety nie zasypiała przecież, choćby dlatego tylko, że ją do twórczości pobudził wyszły niedawno temu *Pan Tadeusz.* Słowacki, przeczytawszy go, uchylił czoła: przyznał — w liście do matki — że są w tym poemacie, niepodobnym do żadnego z poprzednich utworów Mickiewicza, rzeczy prześliczne, jak np. gra Wojskiego na rogu, lub koncert Jankiela, że mnóstwo jest w tym »bardzo pięknym poemacie, podobnym do romansu Walter Scotta, wierszem napisanego«, ustępów natchnionych, napisanych z taką sztuką, z taką plastyką przedziwną, z takiem ciepłem serdecznem, że oprzeć się urokowi ich niepodobna, jakkolwiek byłoby się źle uprzedzonym do osoby autora.

---

[1]) Zob. Rozprawę prof. J. Tretiaka o Słowackim, w *Przewodniku naukowym i literackim* z r. 1881.

Nie przeczył też, że ze wszystkiego, co dotąd w języku polskim napisano, ta »powieść szlachecka«, choć jej bohaterka pasła gęsi, była arcydziełem największem, najgenialniejszem.

Lecz przeświadczenie to, niemały zaszczyt przynoszące Słowackiemu, albowiem okazuje się z tego, że był jednym z pierwszych, którzy się na wielkiej piękności *Pana Tadeusza* poznali odrazu (a nawet o Krasińskim tego powiedzieć nie można), nie przeszkadzało mu swoją drogą zazdrościć szczerze Mickiewiczowi tego arcydzieła; bo, przeczytawszy je, musiał przyznać, że walka z autorem *Pana Tadeusza,* musi się odtąd dla każdego z poetów polskich stać nierówną, że musi się zawsze skończyć porażką przeciwnika, choćby nim był nawet on, Słowacki. Po *Dziadach* można się było jeszcze w najlepszym razie ważyć na *Kordyana;* po *Panu Tadeuszu* można było co najwyżej kapitulować. Albowiem wyobrazić sobie trudno, ażeby w tym rodzaju, co *Pan Tadeusz,* udało się komu napisać coś piękniejszego jeszcze, coś wspanialszego, coś, z czem na porównaniu *Pan Tadusz* by stracił, a przynajmniej nie wydał się doskonalszym, genialniejszym.

Cokolwiekbądź, dla niego było to zadanie nad siły; on bowiem ze swoim talentem, ze swoją organizacyą umysłową, nie zdobyłby się nigdy na taki poetyczny realizm, na takie artystyczne odtworzenie rzeczywistości. Ta ostatnia była zawsze jego słabą stroną, jego piętą achillesową: a że sobie z tego sam sprawę zdawał najdokładniej, dowodem list do autora *Irydiona,* umieszczony na czele *Lilli Wenedy,* w którym powiada wyraźnie, że ile razy zetknie się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mu skrzydła.

Zupełnie przeciwnie miała się rzecz z Mickiewiczem: ten, ile razy czuł realny grunt pod sobą, ile razy odtwarzał życie, zdobywał się na arcydzieła. Kiedy mu wypadło, jak w *Dziadach,* tworzyć sceny fantastyczne, marzone, nie realistyczne, dawał dowody, że wyobraźni nie miał bujnej i że pod tym względem można go pobić bardzo łatwo, jeśli się jest Słowackim. Tak jest! Wyzwany na rzeczywistość, na realizm, Mickiewicz należy do niezwyciężonych, jak Achilles; ale wyzwany na fantazyę, na wyobraźnię, przestaje być niezwyciężonym Achillem, albowiem tu odsłania się jego słaba strona, jego achillesowa pięta. Na to zaś, ażeby utrafić w nią, jak to się udało niegdyś Parysowi, trzeba mieć po swojej stronie Apolla, trzeba mieć wielką wyobraźnię! A tę on miał!

Od podobnego przeświadczenia do pomysłu »sześciu kronik dramatycznych«, osnutych na tle przedhistorycznych,

legendowych dziejów Polski lechickiej, był już jeden krok tylko. »Od czego bowiem — słowa są prof. St. Tarnowskiego — czarowna władza imaginacyi, od czego intuicyjna zdolność odgadywania rzeczy dawno przeszłych, wyobrażania sobie nieznanych i niewidzianych. Gdyby też np. udało się wykraść jaką tajemnicę przedpiastowskich jeszcze czasów? Gdyby w ciszy ducha usłyszeć lot tego orła, którego gniazdo znalazł Lech, albo aniołów, kiedy z nieba dążyli do chaty kołodzieja? Gdyby też zgadnąć, jak to było, kiedy on swoich gości miodem częstował, albo do czego mógł być podobnym ten tyran zły, a tchórzliwy, co wytruł stryjów i braci, a przed ludźmi ze strachu uciekł na wyspę, jak rzymski Tyberyusz na Capreę? Jaki był jego pierwotny zbytek, jaki rodzaj rozpusty, jakie okrucieństwo? Albo ten jakiś homeryczny król, pół chłopa, pół rycerza, co ze smokami walczył, jak Herkules? Albo ta jego córka, co się, jak Ifigenia, poświęciła tylko dobrowolnie!

Tak! Polska przedchrześcijańska, Polska Krakusów i Piastów, cała chłopska jeszcze, a już rycerstwem nęcona, z wójtami, którzy na wojewodów wyrastają, z wojewodami, którzy tak jeszcze do wójtów podobni, z pierwszemi brzaskami chrześcijaństwa, z pierwszemi szczękami rycerskiej zbroi, wśród spokojnego, łagodnego, cichego ludu i kraju, w którym najgłośniejszym tonem jest skowronek, brzęczenie pszczół i szum zboża na polu: to byłoby ładne! Ach, prawda, jakieby to mogło być ładne!

I dlaczegoż być nie może? Czy u nas już tak zatarły się wszystkie ślady wspólności z tymi starymi ojcami, że już w naszej duszy nie zdołamy odszukać nic z tego, co było w ich duszach? czy bociany, skowronki, lipy i bławatki nie takie same? czy słomiane strzechy bardzo zmieniły styl swojej architektury? czy ludzie z długiemi włosami, w długich, szarych ubraniach, o ruchach powolnych i spokojnych, do tamtych już wcale nie są podobni, kiedy o zachodzie słońca wracają z pola lub w święto siedzą na progach domów i radzą? A w naszych duszach czy z ich łagodnej cichości, z ich biernej, dziecinnej dobroci nie zostało nic, po czemby pochodzenie i familijne podobieństwo poznać można? Poeto, patrz dokoła siebie, i w siebie: przypomnij wieś polską, jak wygląda: zastanów się nad polską naturą, którą znasz i widzisz, zajrzyj sam w siebie i staraj się dojść, co tam jest późniejszego obcego, historycznego, a co pierwotne i wrodzone. Czego nie dojrzysz, to odgadnij, domyśl się, dotwórz, któż to potrafi, jeżeli nie ty? i z Polski stwórz fantastyczną legendę. Odważnie, śmiało, nie bój

się pobłądzić: masz na tej drodze największe przykłady. Z takich czasów właśnie powstawały największe poezye, największe postaci: z mytycznych bohaterskich dziejów — tragedya grecka; z niepewnych, półbajecznych podań — Macbeth, i Hamlet, i Lear. Dlaczegóż ta przedhistoryczna przeszłość polska miałaby leżeć odłogiem? dlaczego ona jedna miałaby być pod względem poetycznym jałową? W każdym razie próbować warto: pierwszym na tem polu, nowym, oryginalnym, będziesz z pewnością, a gdyby ci się udało, gdyby się pokazało, żeś zdolny wskrzeszać postaci dawnej przeszłości?

I wyobraźnia, zachwycona tym obrazem i rozpalona tą piękną nadzieją, zaczęła roić i marzyć niespokojnie, zaczęła bujać i panować w tej przestronnej, a niczyjej krainie. I już zapragnęła zagarnąć ją całą: Lech, Krakus, Piast, to nie dosyć, to nie wystarcza, trzeba więcej, trzeba mi ich wszystkich, ujmę ich w ramy sześciu następnyeh obrazów, sześciu legend czy kronik poetycznych, odtworzę wszystko, wszystkich ich odgadnę, od tego przybysza, który musiał być zupełnie, jak król Jan w stanie natury (praszczur Sobieskiego), aż do tego Piasta, który musiał być bardzo podobny do tego lub owego wiejskiego gospodarza, którego dobrze pamiętam: a pomiędzy to wszystko wsunę sąsiednie drapieżne rycerstwo niemieckie, któremu się ci Polanie jeszcze dziwią, już trochę zazdroszczą: księży w grubych habitach z krucyfiksem w ręku, a z pytaniami katechizmu na ustach; biskupów, pół wojennych, pół apostolskich, w żelaznym pancerzu, pod złocistą kapą, na białych koniach i z infułami, połyskującemi do słońca: całe to wytworzenie się Polski chrześcijańskiej, szlacheckiej, historycznej, z pogańskiej, ludowej i ledendowej: wszystko to znajdzie się w tych sześciu obrazach« [1]).

Ale niestety, zarys wielki nie wypełniał się szczegółami, tak, iż nie było prawdziwego planu, choć był pomysł. Zeszedłszy w owe wieki Polski przedhistorycznej, znalazł się Słowacki w wielkiej próżni: nie zastał tam ani ludzi ani zdarzeń. Nie zrażał się tem wszelako. Powiedziawszy sobie, że z tej kopalni coś musi wydobyć koniecznie, postanowił wytrwać w raz powziętym zamiarze, choćby mu nawet przyszło wszystko z siebie wydobyć, choćby tę próżnię czasów piastowskich zaludnić musiał postaciami własnego wymysłu i dla postaci tych wymyślić zawikłania,

---

[1]) Ob. Dwa odczyty, miane w Poznaniu dnia 4 i 6 stycznia 1881 roku: *Balladyna* i *Lilla Weneda*.

uczynki, nazwiska. I tu zdało mu się nagle, że z labiryntu tego jest jednak wyjście, wystarcza tylko sięgnąć do poezyi ludowej, do ballad; bo jeżeli gdzie spodziewać się można zastać jakiś ślad owych czasów zamierzchłych, to właśnie w powieściach i podaniach gminnych; wyobrażenia, uczucia, sposób pojmowania świata, ztamtąd zaczerpnięty, najwięcej zbliżać się musi do tego, jaki nadać trzeba ludziom z epoki przedpiastowskiej. Z tą nitką Aryadny w ręku, przekonany, że to jest owo tajemnicze *Eureka*, które mu miało otworzyć wrota na ścieżaj do tej legendowej krainy, wziął do treści swego poematu jeden motyw z *Malin* Chodźki, o dziewczynie, która zabiła siostrę dlatego, iżby sama mogła zostać żoną rycerza, drugi z *Lilii* Mickiewicza i z *Świtezianki*, trzeci z szekspirowego *Macbeta*, czwarty z *Króla Leara*, piąty ze *Snu nocy letniej*: i tak powstała *Balladyna*[1]).

Ale, skoro po dwóch miesiącach — listopadzie i grudniu — usilnej, wytężonej pracy nad nią, skończył ją wreszcie i *Balladyna* stała się faktem, przyszły z kolei dni reakcyi okropnej, dni odrętwiałości, które, niestety przeciągnąć się miały aż do następnej wiosny, a podczas których takiego doznawał uczucia, jakgdyby natężone do niedawna jeszcze władze myślenia rozkręciły się nagle, jak struny instrumentu, i jakgdyby źródło imaginacyi wyschło w nim zupełnie. Że nieuniknionem takiego stanu następstwem był spleen, to przy znajomości natury Słowackiego nikomu nie wyda się dziwnem. Zmuszony będąc powrócić do zwykłej monotonnej ciszy codziennego życia i być znowu przez jakiś czas zwykłym śmiertelnikiem, którego mieszkania już nie nawiedzają żadne »idealne figury«, do którego nie uśmiecha się żadna »idealna piękność«, stał się odrazu podobny do ptaka ze złamanemi skrzydły, który, nie mogąc latać i zniewolony pełzać po ziemi, cierpi na nostalgię za swemi powietrznemi nadobłocznemi szlakami, po których mu tak dobrze było krążyć samotnie w promieniach słońca, gdzie mu tak jasno było dokoła, przestronno i świetliście, i gdzie nie potrzebował stykać się bezpośrednio z rzeczywistością, z prozaicznością życia. Nie umiejąc nagiąć się do niej, popadł »w głębszą, niż kiedykolwiek melancholię i obojętność« i zamiast szukać zabaw, zamiast żyć z ludźmi, zamiast unikać samotności, jak to nawet w jednym z listów do matki przed paru miesiącami obiecywał tej zimy uczynić, znowu zaczynał kumać się z mizantropią, znowu za-

[1]) Tamże, str. 27 — 33.

czynał poddawać się smutkowi, znowu zaczynał poprzestawać na towarzystwie swoich gospodyń, i znowu, kiedy przyszło dzielić się z matką wiadomościami o sobie, zaczynał się użalać na brak tematu.

Choć miałby może o czem pisać, gdyby chciał »zrobić ze skrytości swej ofiarę« i pisać o wszystkiem, co mu ciężyło chwilowo na sercu. Z tem jednak krył się o ile możności, nawet przed matką, jakkolwiek zapewniał ją niejednokrotnie, że nie ma dla niej tajemnic; i zapełniał listy swe takiemi np. błahostkami, jak przepis na układanie z kart kabały czyli passyansu; passyans bowiem stał się dlań teraz ulubioną wieczorami rozrywką.

Nauczył go się ciągnąć od pewnego Włocha, który, mieszkając u pani Patteg do późnej jesieni (inni jej lokatorowie rozjechali się już byli w październiku), albo mu opowiadał cuda o Włoszech, zwłaszcza o ich taniości, co było nie bez pewnej korzyści dla poety, ponieważ nabierał przy tej okazyi wprawy w język włoski, albo też, jeżeli sobie na razie nie mieli nic do powiedzenia — proponował mu *patience;* i tak schodził im cały wieczór. Czasem chadzali razem do teatru, nie często jednak, Słowacki bowiem, mając do wyboru między teatrem, złym i drogim, w którym się nudził zazwyczaj, a domową siestą w swoim pokoju, przy kominku, spędzoną na czytaniu Szekspira lub Dantego — bo w tych poetach rozczytywał się od niejakiego czasu najwięcej — decydował się prawie zawsze na ostatnią.

U Wodzińskich także bywał »nie często«, tłomacząc się, że zajęty pisaniem, nie mógł się bardzo długo oderwać od pracy; kiedy się nareszcie, po dłuższej niebytności na ulicy Beauregard, zjawił tam któregoś dnia, »wymawiali mu to zaniedbanie«, które przyznać musiał, że, jako w towarzyszu podróży, było conajmniej »dosyć niegrzeczne i dziwne« i nie dawało się usprawiedliwić chorobą spleenu.

A jednak, kto wie, czy zwalając niegrzeczność tę na karb spleenu, nie mówił mimowoli — prawdy; chodzi tylko o to, jaka była spleenu tego przyczyna? i co, oprócz zajęć literackich, mogło poetę wstrzymywać od częstszego odwiedzania domu Wodzińskich? Odpowiedzi na to pytanie szukać należy w liście Słowackiego do matki z d. 18 grudnia 1834 r., w którym pisze między innemi, co następuje: »Tego roku imieniny twoje, mamo, samotnie przepędziłem: złe dosyć nowiny wyczytałem zrana w pismach, a potem z różnych innych przyczyn tak mi smutno było, że natychmiast po obiedzie uciekłem do mego pokoiku, tak, jak mama zwykłaś czynić; zagasiłem świecę; mały ogień na kominku słabo mi przyświecał; samotny, milczący, myśla-

Biblioteka Akademii

łem o różnych czasach, o różnych wieczorach, a kiedy na zegarze uderzyła głośno nad moją głową siódma godzina, ogromna niegdyś godzina, łzy rzuciły mi się z oczu potokiem i chodziłem po pokoju i modliłem się i płakałem. Tego wieczora nie było we mnie ani iskry nadziei«. Czemu? Zkąd takie naraz zwątpienie? Czy miał może jakie niepomyślne wiadomości z domu? Nie, inny był powód tych łez, a poeta, choć nie chciał się do tego przyznać przed ludźmi i przed matką, przed sobą nie widział potrzeby robić z tego tajemnicy, że go o podobne rozdrażnienie przyprawiała panna Maryanna! Czyżby ją kochał?

Czy ją kochał, z tego sobie dziś jeszcze sprawy nie zdawał jasno; pewny był tylko jednej rzeczy, mianowicie: że mu nie była obojętną, że oczy jej wywierały na niego jakiś wpływ magnetyczny, że zależało mu na tem bardzo, aby się jej podobać, aby ją zaciekawić, zainteresować sobą, że przyjemnie mu było z nią rozmawiać, że go rozmarzała swoją grą na fortepianie, że z nikim tak chętnie, jak z nią, nie tańczył kadryla, że cieszył się, kiedy go wybrała w mazurze, że wobec niej jednej tylko czuł się niekiedy onieśmielony, i że przykro mu było, jeżeli go nie wyróżniała. A, niestety, nie wyróżniała go nigdy! Miała dlań zawsze »dużo wdzięku i dobrego serca«, ale tak samo, jak nim, a może i bardziej, interesowała się osobą księcia Ludwika Napoleona, albo Chopina, dla którego z niekłamanem zdawała się być uwielbieniem, a może i czemś więcej jeszcze. Jego powodzenie, jako kompozytora i wykonawcy, w Paryżu, jego z dniem każdym wzrastająca sława, jego stosunki z najarystokratyczniejszemi sferami stolicy świata, jego listy z nad Sekwany do braci jej, albo do matki (listy, w których tyle było zawsze o niej), jego kompozycye, któremi sypał, jak z rękawa, a z których każda słusznie uważana być mogła za najpiękniejszą w swoim rodzaju, rozgłos, jaki sobie zdobył w świecie muzycznym swojemi improwizacyami, wszystko to nie pozostawało bez wpływu na pannę Maryannę i na Słowackiego, którego miłość własna niemało na tem cierpiała, bo nie przyzwyczajony był do opozycyi, bo go drażnił opór, jaki w tym razie napotykał, bo nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby on, »syn pieśni, syn królewski«, mógł w sercu kobiety, przez siebie wyróżnianej, zajmować drugie miejsce. Lubiła go! To nie dosyć: on żądał nie przyjaźni, ale uczucia czulszego, takiego, jakiem zapłonęły dlań Cora, Eliza, Eglantyna! Panna Maryanna tymczasem nie postępowała ich śladem.

Tak przeszła zima. Mroźna i śnieżna, jak już oddawna

nie pamiętano w Szwajcaryi, a dla Słowackiego pełna wzruszeń, pokrewnych tym, jakich niegdyś, kiedy się kochał w Ludce, doznawał w Wilnie, przypominała mu ona raz po raz zimy wileńskie. Widok jodeł w ogrodzie oprószonych śniegiem i owego białego całunu, pokrywającego ziemię, jak puchem, budził w nim różne wspomnienia różnych zajazdów z dzwonkiem przed ganek Jaszuński, różne potyczki gałkami śnieżnemi, różne zabawy, kuligi itp. Cóż dopiero, kiedy część jeziora i niektóre kanały zamarzły i kiedy urządzono ślizgawkę!

O ślizgawce tej znajduje się w jednym z listów poety do matki ustęp pewien, po którego przeczytaniu dochodzi się mimowoli do wniosku, że nie zawsze musiała ona być mu w tym czasie na rękę. Ustęp ten brzmi: »Zima ta jednak była nadzwyczaj ostra, mieliśmy kilka dni śnieżnych i niektóre kanały zamarzły. Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że nigdy nauczyć się biegać po lodzie nie mogłem«. Musiałem wyznać? Komu? To pytanie zostawia Słowacki bez odpowiedzi, ale przypuścić wolno, że pomiędzy tą ślizgającą się publicznością znajdowali się także i młodzi Wodzińcy z siostrami, a w takim razie nietrudno sobie wyobrazić i Słowackiego, który, spacerując po lodzie bez łyżew, kiedy go panna Maryanna zapytała, czemu się nie ślizga wraz z innymi, »musiał wyznać, że nadto jest niezgrabny« itd. Swoją drogą, jeżeli się tak rzecz miała istotnie, musiało mu być przykro niezmiernie, kiedy, sam nie mogąc brać w zabawie udziału, widział swą »czarnobrewą panienkę«, ślizgającą się raz z młodym Darowskim, raz z księciem Ludwikiem Napoleonem, raz z zakochanym w niej hrabią de Montigny. Co się działo w duszy poety? Cokolwiekbądź można być pewnym niemal, że przyjemności mu widok ten nie sprawiał: pomimo, że wszystko to działo się na tle przepysznego pejzażu zimowego, na tle ubielonych śniegiem, jakby oprószonych cukrem, gór, na tle ciemno-granatowego jeziora, które zamarznięte przy brzegu jedynie, w głębi, o kilkaset kroków dalej, przecudownie odcinało się od ogólnej białości krajobrazu. Ale nie dajmy się unosić domysłowości.

Bardziej jednak, aniżeli sport łyżwiarski, zaprzątały mu głowę w ciągu tej mroźnej zimy innego rodzaju myśli, ze ślizgawką wszakże — o ile jej używała Marya — w pewnym, lubo dalekim bardzo, pozostające związku. Osamotniony najczęściej, dręczony spleenem, a przytem — choć nie chciał się przyznać do tego nawet przed sobą — raniony już przez figlarnego syna Afrodyty, porównując się

chętnie »do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jednem miejscu, aż nakoniec, znużony, wywraca się i usypia pod kominem«; w listach do matki uskarżający się bezustannie na brak »teraźniejszości dobrej, ani złotej nadziei«; przyznający słuszność Eglantynie, kiedy go nazywała spieszczonem imieniem *Pauvre Loulli* albo *Bon Loully:* nabrał w końcu przekonania, że byłoby dlań najlepiej, gdyby się ożenił. Z kim? Ze wszystkiego, co w kwestyi małżeństwa swojego pisał do matki, domyślać się można, że chętnie przekroczyłby zawysokie dla siebie progi willi Beauregard i ożenił się z panną Wodzińską. Bo jeżeli podobna myśl mogła się zrodzić w głowie Chopina, mogła się równie łatwo zrodzić także i w głowie Słowackiego.

Myśl o ożenieniu od dłuższego już czasu zdaje się kiełkowała mu w mózgu. Jeszcze 17 października 1833 r. pisał do matki, ażeby się uśmiechnęła, skoro będzie odczytywała te słowa: »Wrócę kiedyś, a jeżeli nie, to znajdę sobie zagranicą, ładną, dobrą, może nawet bogatą żonę. Będę miał synów, córki«. Najpiękniejszego wnuczka posadzi jej na kolana. »Tylko, matko, odpędzaj go od książek; niech nad śmiercią Hektora nie płacze, niech się nie uczy od Jowisza z *Iliady* zmarszczeniem brwi świat wstrząsać; daj mu zimną *Eneidę,* której Julek częstem czytaniem nie podarł; niech ze spalonego miasta uczy się z Eneaszem unosić Boga, matkę, żonę, dzieci; niech nic nie zostawia po sobie, czegoby mógł żałować«. Później, kiedy się zaczął rozczytywać w dziełach Jana Kochanowskiego, tak szczęśliwego w pożyciu z panną Podlodowską, tak piękne wiersze piszącego przy jej boku, pod lipą, zazdrościł mu mimowoli. W uczuciu tem utwierdzał go również i Chateaubriand, kładący w usta Amelii, siostry Rene'go, następujące słowa: »W małżeństwie możebyś znalazł ulgę na twoje utrapienie. Żona, dzieci zapełniłyby dni twoje. Bo któraż kobieta nie chciałaby uczynić cię szczęśliwym. Zapał twej duszy, piękność geniuszu twego, postawa twoja szlachetna i namiętna, twój wzrok dumny i tkliwy, wszystkoby ci zapewniło jej miłość i wierność«. Podobnych zapewnień nasłuchał się także i z ust Eglantyny niejednokrotnie, która, widząc go strapionym i smutnym, najczęściej może to samo, co Amelia René'mu, doradzała lekarstwo! Tylko że w radach jej było trochę egoizmu kobiety kochającej, którąby chętnie widziała, gdyby się ożenił — z nią; bo do związku z inną nie namawiałaby go z taką szczerością i serdecznością. On jednak marzył nie o takiej żonie, i dlatego uda-

wał przed Eglantyną, że nie domyśla się jej ukrytych myśli.

Wiadomość o ożenieniu Mickiewicza z Celiną Szymanowską i szczegóły, jakie mu donoszono, o ich pożyciu w Paryżu, pobudziły go również do marzeń w tym kierunku. »Co wieczora — pisał o tem matce — mnóstwo ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on, ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojemi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia«. Żona Mickiewicza grała podobno prześlicznie na fortepianie (choć pewnie nie piękniej od panny Wodzińskiej), a muzyka, zwłaszcza jeżeli się słucha osoby kochanej i kochającej, cóż dopiero żony, nieraz może dostarczyć natchnień poecie! Samo towarzystwo żony, z chwilą, kiedy to jest istota godna tego tytułu *żony artysty*, musi zbawienny pod niejednym względem wywierać wpływ na twórczość pisarza. Przykładem Wiktor Hugo, któremu żona i dzieci nie przeszkadzały bynajmniej być pierwszym poetą romantycznym Francyi. Za drugi taki przykład mógł służyć sławny historyk i profesor uniwersytetu genewskiego, Sismondi, którego spotykał często na wieczorach u pani Wodzińskiej. Żona jego, Angielka, nietylko, że była mu najlepszą przyjaciółką, kochanką i siostrą, ale tłómaczyła jeszcze na język angielski dzieła męża, przyczyniając się tem samem do rozpowszechnienia sławy człowieka, którego nosiła nazwisko. »Szczęśliwe małżeństwo, ocienione jedną laurową koroną!« [1]). Czemużby nie przypuścić, że i jemu Bóg poszczęści w wyborze i da za towarzyszkę życia istotę równie dobrą, równie inteligentną? Żyłby z nią wówczas jak ten pan Sobański, którego poznał niedawno u pani Wodzińskiej, a który, będąc człowiekiem dosyć bogatym, kupił sobie obywatelstwo w Szwajcaryi i żył spokojnie »z ładną i przyjemną żoną« w Vevey, nad brzegiem jeziora. Panna Maryanna ze swojem usposobieniem artystycznem, ze swoim talentem do muzyki, była jakby stworzoną na żonę dla niego. Ach! jakżeby był szczęśliwy, gdyby mógł z nią razem, jako jej małżonek, pod jaką lipą albo dębem, przed własną chatą, w rodzinnej ziemi — jeżeliby to było możebne — »marzyć i pisać marzenia, i gwarzyć z nią, i opo-

[1]) Wspomina o niej także J. U. Niemcewicz w swych pamiętnikach (*Dziennik pobytu zagranicą od d. 21 lipca 1831 r. do 10 maja 1841 r.*, t. I., str. 165). »Wieczorem u sir James Mackintosh poznałem się z Sismondim, autorem dziejów rzeczypospolitej włoskiej i Francyi. Słodki i grzeczny człowiek. Ożenił się z siostrą pani Mackintosh.

wiadać jej z zapałem swoje plany poetyczne«. Takie życie, spokojne, sielskie, dawałoby mu natchnienia pogodne, wolne od mizantropii byrońskiej i mógłby wtedy powiedzieć o sobie to samo, co włożył parę miesięcy temu w usta Kirkorowi z *Balladyny*, kiedy mu — stosując w myśli słowa te do siebie — mówić kazał:

Jam stworzony do ciszy wiejskiej
I prostoty. Niechby mi dościgał
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje, na rękach kołysał!
Oto się modlę. Ty mi zaś co roku
Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
Biały gołąbek i skrzydełkami
Przyniesie powieść pełną tych wielkości,
Co budzą uśmiech i dech pod lipami
Dają znaczniejszy. Król mi pozazdrości
Żony, i dziecka, i lipy, i chłodu
I snów pod lipą i złotego miodu[1]).

Żyliby sobie po sielsku, jak Teofilowie w swoim folwarku wołyńskim, i tak samo, jak oni o tej porze niezawodnie, wchodziliby co dnia w wiejskie, drewniane wrota; jak Teofilom, byłoby im widać gołębnik ich domu i słychać zapach lip w ogrodowej alei; sadyby im obradzały, żyta kłaniały się całym łanem, pszczoły dawały miód, a »Faunowie leśni« skakaliby, jak w *Sobótce* Kochanowskiego. On tymczasem, »wygrywałby na fujarce proste pieśni«, podczas gdy żona jego w wielkim słomianym kapeluszu na głowie (podobnym do tego, jaki panna Wodzińska miała na wycieczce w Alpy), zbierałaby sentymentalnie bławatki, karmiła drób — jak Zosia w *Panu Tadeuszu* — mając dla męża zawsze uśmiech na ustach i, jak

---

[1]) *Balladyna*, akt IV, scena II. Myśląc o różnych znajomych swoich, co się pożenili w ostatnich czasach, mógłby Słowacki pomyśleć i o A. E. Odyńcu. Jeżeli nie pomyślał o nim, to dlatego, że był zagniewany nań czegoś, że z nim od paru miesięcy zerwał wszelkie stosunki listowne. Co było powodem do tego żalu? Nie umiem powiedzieć. Zdaje się jednak, że ten Słowackiego żal do Odyńca pozostaje w niejakim związku z Trzecią częścią *Dziadów* Mickiewicza. Do przypuszczenia tego upoważnia następujący wyjątek z listu Słowackiego do matki: »Nauczony doświadczeniem, nie będę go (t. III poezyi) posyłał przyjaciołom do przedania. Drezno (gdzie mieszkał Odyniec) zjadło mi 50 egzemplarzy. Zapewne wesele Odyńca opędziło się niemi, bo mi od otrzymania tychże słowa nie odpisał. Dziwi mię to jeszcze mocniej, gdyż wiem, że list mój, z Genewy pisany, otrzymał. Mniejsza o to: ma on na sumieniu bardziej ciężką winę, i dziwię się, że do Ciebie, matko, śmie pisać. Brakowałoby Ci listu Mickiewicza!« Jest to wyjątek z listu, pisanego 24 kwietnia 1833 r., a więc w pięć miesięcy po wyjściu *Dziadów* Mickiewicza. Może Odyniec napisał gdzie jaki o tym poemacie artykuł, który się nie podobał Słowackiemu? Jest to kwestya godna wyjaśnienia.

powiada Kochanowski, »szacunek dobrej żony«. Zimą, kiedy wieczory długie, a roboty w polu nie ma, czytaliby razem Szekspira, Byrona, Dantego, Kochanowskich, i tak doczekaliby później starości.

Ta myśl o zawarciu ślubów małżeńskich, nie dawała mu teraz spokoju w nocy i we dnie. Dawniej, kiedy się nie czuł tak zdrowym i krzepkim, jak obecnie, i dopóki wyobrażał sobie, jak powiada, że go prędko z tej ziemi poetyczna konsumpcya albo »langory« zabiorą, nie układał żadnych planów ani projektów na przyszłość; dziś jednak, kiedy nabierał pewności niemal, że mu może długo na tym świecie bazgrać jeszcze wypadnie (jego własne wyrażenie), musiał pomimowoli szerszym trochę cyrklem życie swoje rozmierzać.

Niestety, miał tu na samym zaraz wstępie olbrzymią i niemożliwą prawie do przezwyciężenia przeszkodę: swoje opłakane położenie materyalne. Jedynym majątkiem, który posiadał, był jego talent, a to jeszcze na utrzymanie rodziny nie starczy; tak samo, jak nie upoważnia do starania się o rękę takiej, jak panna Wodzińska, bogatej panny; bo sława literacka, choćby największa, wymieniona na gotówkę, nigdy nie da wielkiej sumy. A ludzie dziś oceniają człowieka według jego dochodu rocznego! Wiedział o tem Słowacki doskonale i dlatego zdarzało mu się niejednokrotnie, iż ubolewał nad tem, że pochodził z rodziny literackiej, że miał ojca literata-poetę, po którym odziedziczył talent i brak zmysłu praktycznego. Gdyby nie to »nieszczęśliwe wydarzenie«, byłby: podobny do innych zjadaczy chleba, dbałby przedewszystkiem o żywot doczesny; sława po śmierci, choćby nieśmiertelna, nie zaprzątałaby jego umysłu, i kto wie, czyby mu z tem lepiej nie było i szczęśliwiej. Czasami znów marzyło mu się, żeby pojechać do Indyi, zrobić ogromny majątek, wrócić bogatym jak nabab milionowy, a to wszystko dlatego, aby kupić piękny pałac, osadzić w nim piękną żonę (do matki pisał, że ją-by w tym pałacu osadzić pragnął) i służyć jej na kolanach. Wtedy, jako taki nabab, mógłby w pałacu tym osadzić nawet pannę Wodzińską, o której rozmyślając temi czasy, pewno nieraz powtarzał głośno, jak gdyby stała przy nim:

Bo ja, ach! gdybym był także aniołem
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł rozrządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i lecieć,
I taką, jak ty, mieć moją na ziemi!

Zimny rozsądek jednakże radził planów tych zaniechać, o urzeczywistnieniu ich bowiem w obecnych warunkach mowy być nie mogło. Próżne pożądania! Szybkie zrobienie milionów w Indyach, kiedy nie było na podróż do Indyi, należało do mrzonek, zarówno niepoetycznych, jak i niepraktycznych, a pałac nababa, widziany przez pryzmat bujnej wyobraźni poety, robił na nim samym wrażenie zamku na lodzie!

Cóż więc pozostawało czynić? Co? Wyrzec się raz na zawsze osobistego szczęścia i żyć dla sztuki, w podobnych, jak dotychczas, niedostatkach i »kłopotach finansowych«.

Ale pogodzić się z myślą tą nie przychodziło Słowackiemu łatwo; a że skorym był do popadania z jednej ostateczności w drugą, począł przeto — na seryo zupełnie — zastanawiać się nad tem, czy mu przypadkiem Bóg nie przeznaczył miejsca w jakim cichym klasztorze; choć, z drugiej strony, czuł w sobie pewien brak »tej mistycznej pochodni, z którą w klasztorze mógłby się zamknąć i latać na skrzydłach wiary w jakąś błękitną krainę nieskończoności«. Gdyby nie to, kto wie, czyby dlań nie było najlepiej usunąć się raz na zawsze od pokus światowego życia; tembardziej, że to życie światowe, o ile go nęciło pewnemi swojemi powabami, jak np. szczęście w małżeństwie, o tyle w równym, jeżeli nie w wyższym stopniu ciężyło mu i nie wystarczało. Nie miał nikogo (pisał do matki, zapominając o Eglantynie), coby mu najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił; nikogo, coby przyjaźnie za rękę uścisnął, itd.

Wszystko to były skargi, pisane pod wpływem uczucia dla panny Wodzińskiej. Eglantyna, która go wciąż kochała jednakowo i która, jak zawsze, trochę mu się z miłością swoją narzucała, z samej natury rzeczy nie mogła być nadal jego powiernicą; nie mogąc zaś mówić z nią otwarcie o tem, co mu teraz takim ołowiem ciężyło na sercu, miał jej z dniem każdym coraz mniej do powiedzenia. W końcu zaczęła go nudzić i drażnić: swemi podejrzeniami — słusznemi zresztą — o nieszczerość z jego strony, swoją zazdrością. Domyślała się, że Juliusz oddał serce swe Maryi, że się z tem przed nią, przed Eglantyną, ukrywa, że ją zwodzi, że mu nie można wierzyć, kiedy się goretszych uczuć dla tamtej wypiera, etc. Ponieważ nie taiła się z tem przed nim, ale go nieraz — zbyt często — karmiła łzami »w codziennym podawanemi chlebie«, a poeta wyrozumiałością dla cudzych kaprysów i pretensyi się nie od-

znaczał, więc przyszła kolej na dysonanse, na sceny przykre dla obojga.

Skończyło się na tem, że poetę coraz większa zaczęła zbierać ochota wyjechania z Genewy: raz dlatego, żeby się odczepić od Eglantyny (to trywialne wyrażenie najlepiej określa jego zamysły), a powtóre, że wyleczyłoby go to zarazem ze wszelkich afektów dla Maryi. Wszak przestrzeń i czas są najzagorzalszymi nieprzyjaciółmi miłości; tak samo, jak najlepszem na nią lekarstwem — zdaniem Napoleona — ucieczka. Ale dokąd się przenieść? Tu nie mógł się zdecydować na wybór miejscowości: raz go nęciło Pau w południowej Francyi, raz Włochy, raz Hières na Rivierze, raz Clarens nad jeziorem genewskiem, raz okolice Lyonu. Najchętniej udałby się już z wiosną do Włoch, dokąd wybierali się właśnie Teofilowie razem z panią Becu [1]). Myśl połączenia się z nimi w Pizie, gdzie projektowano sobie spędzić lato, uśmiechała mu się podwójnie: raz, że zobaczyłby się z matką, do której był stęskniony oddawna, a powtóre, że wyjechałby z Genewy, gdzie mu już duszno być zaczynało. Ale projekt wyjazdu pani Becu zagranicę nie doszedł do skutku i trzeba było, zaniechawszy myśli o podróży do Włoch, pogodzić się z rzeczywistością genewską.

Z drugiej strony jednak, przyznać musiał, rzeczywistość ta nęciła go do siebie, jak syrena. Oderwać się od niej dobrowolnie przyszłoby mu z wielką trudnością, z wielkim żalem. Albowiem zaprzeczyć nie mógł, że dzięki zacieśniającym się coraz bardziej pod względem towarzyskim stosunkom z Wodzińskimi [2]), upływał mu obecnie czas w Genewie bardzo przyjemnie: nigdzie indziej nie znalazłby podobnej »prawie familijnej« atmosfery.

Wymowną jej ilustracyą, najlepsze rzucającą na nią światło (a oświetlającą ją inaczej zupełnie, aniżeli to czynią

---

[1]) Ob. *Ateneum*, 1892 r., II, 486. [2]) Dowodów na to, aż nadto znajdujemy w listach poety z tego czasu. »Zajęty pisaniem (pisze np. Słowacki d. 5 lutego 1835 r.) długo u nich nie byłem i wymawiali mi to zaniedbanie, które« itd., »Obudziłem się dziś rano dnia 30 września 1834 r.), aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna pani Wodzińskiej, który w imieniu swojej matki przyszedł zaprosić mię na wieczór«. W liście z d. 7 listopada znajdujemy szczegółowy opis tego wieczoru (str. 187, 188). W liście z d. 5 lutego mamy znowu obszerny opis wieczoru u pani Wodzińskiej (szarady). »Na jednym (wieczorze) u pani Wodzińskiej bardzo się dobrze bawiłem«. W innem miejscu, w tym samym liście, czytamy, co następuje: »Otóż tak bawiliśmy się na wieczorze naszym prawie familijnym. Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jej, niebrzydka, ale także ma wiele wdzięku i dobrego serca«. W następnym liście znajduje się już ów wiersz, wpisany Maryi do sztambucha.

późniejsze relacye strony przeciwnej) jest opisany przez Słowackiego w liście z d. 5 lutego 1835 r. wieczór u pani Wodzińskiej, na którym, jak i na wszystkich innych zresztą przy ulicy Beauregard, bawiono się doskonale, a którego punktem kulminacyjnym była gra w szarady. Słowacki dnia tego był w brylantowym humorze. Humor ten, nie przekraczający jednak ani na chwilę przepisów wielkoświatowego *savoir vivre'*u, tryskał co moment, jak rakietami, najzabawniejszemi konceptami, które zyskując aplauz ogólny, wszystkich raz po raz do serdecznego pobudzały śmiechu.

Oto kilka próbek. Podczas jednej z szarad wypadło poecie, przedstawiającemu Czas czyli Saturna, kosą z dwóch kijów złożoną i bardziej do cepów, aniżeli do kosy podobną, skosić trzech razem w kącie stojących — głupców towarzystwa. (W każdem towarzystwie znajdzie się zawsze takich kilku, przynajmniej trzech). Pragnąc im jakoś dolę osłodzić, poprzedził akt ten patetyczno-bombastyczną przemową, w której tłómaczył swoim przyszłym ofiarom, że są nadzieją przyszłości, ale że czas na nic, nawet na rozum, nie ma względu, i dlatego niechaj się z przeznaczeniem swojem pogodzą.

W bardzo piękną szaradę ubrano następnie wyraz: *Nonchalance.* Pierwsza sylaba *non* wywołała następującą bajkę (którą niezawodnie wymyślił i skomponował nie kto inny, tylko autor *Balladyny): Non,* rycerz zazdrosny, rozkazał żonie swej, kiedy wyjeżdżał razem z krzyżowcami do Palestyny, aby nikomu zamku nie otwierała, na każdą prośbę przybyszów odpowiadając *non* i zawsze *non.* To powiedziawszy odjechał. Wielu rycerzów przyjeżdżało do zamku, prosząc, aby im wolno było wejść do bramy, ale wierna Penelopa odpowiadała wszystkim: *non.* Aż zdarzył się w końcu rycerz jeden, który przewąchawszy rzecz, prosił pani, aby mu do zamku wejść zabroniła; na co otrzymawszy odpowiedź *non,* zdobył fortecę. Zazdrosny Otello tymczasem zginął w Palestynie. Druga sylaba *cha* taką wywołała opowieść: Pewne grono starych pań — najprawdopodobniej starych panien — miały prześlicznego i nadewszystko ukochanego kota. Otóż zdarzyło się, że im raz zginął faworyt. Zrozpaczone damy umieszczają zaraz szereg ogłoszeń po dziennikach, z dokładnym opisem powierzchowności swego ulubieńca, wskutek czego tysiące kotów poczęto znosić do ich domu. Opowiadanie to zillustrowano w ten sposób, że kotami była młodzież, a damami, poszukującemi swojej zguby, panny, a więc i panna Maryanna między innemi. Nie wiem, czy która znalazła, dodaje ironicznie Słowacki. Atoli najzabawniejszem było obrazowe

przedstawienie trzeciej sylaby *lance*. Wystawiono ogromne szranki, z tronem pośrodku, na którym zasiadła królowa — panna Maryanna niezawodnie — rozdająca wieńce. Następnie dwóch rycerzów (Słowacki np. i jeden z młodych Wodzińskich) z poduszkami w ręku, zamiast tarcz, z papierowymi od głów cukru szyszakami na głowach, ze szczotkami od zamiatania, zamiast lanc, staczali bój zawzięty o wieniec zielony z rąk piękności i kruszyli dla niej kopie.

Wieczorki takie »prawie familijne« wyprawiała pani Wodzińska często. Słowacki, zapraszany prawie na wszystkie, zawsze się na nich, jak sam przyznaje, »bardzo dobrze bawił«. Gry towarzyskie, muzyka i taniec, spacery po ogrodzie lub moście nad brzegiem jeziora, a wszystko to na tle stosunku, »prawie familijnego«, wolnego od wielu krępujących ceremonii: oto w jaki sposób upływał teraz Słowackiemu czas w willi przy ulicy Beauregard.

Jednego z pierwszych dni marca odbyła się wielka w Genewie uroczystość: na pięknej wysepce, połączonej małym mostkiem z wielkim mostem jeziora, zrobiono prześliczny ogródek, przechadzkę i postawiono statuę J. J. Rousseau'a. Odsłonięcie tej statuy dłuta słynnego rzeźbiarza ówczesnego Pradier'a, odbyło się — wnosząc z listu Juliusza — z niezwykłą pompą. Cała ludność miejska wyległa na brzegi; na wysepce znajdowali się tylko wysocy urzędnicy, komitet budowy pomnika, wojskowi i armaty. W chwili, kiedy po odsłonięciu posągu, włożono mu na głowę złoty wieniec, zagrzmiały salwy armatnie, przeciągłem echem odbijające się następnie o brzegi Lemanu; potem przyszła kolej na mowy; aż w końcu, muzyka wojskowa zagrała taniec jakiś, wyjęty z napisanej przez J. J. Rousseau'a opery, i cała ludność, idąc za przykładem delegatów, zgromadzonych dokoła pomnika, zaczęła tańczyć. Słowacki przypatrywał się temu wszystkiemu z okien mieszkania Wodzińskich i widok tej figury kamiennej, która siedziała nieruchoma nad trzecią generacyą ludzi, weselących się dokoła niej, wzruszył go bardzo. »Oto, czem jest sława, myślał sobie, (a może i dzielił się myślą tą ze stojącą przy nim, przy tem samem oknie, panną Maryanną): ludzie starzy tańczą, jak dzieci, koło posągu człowieka, dawno zmarłego. Gdyby to wiedzieć można, czy ten człowiek wie o tem po śmierci?« Wieczorem, po skończonej uroczystości, byli wszyscy, t. j. cała rodzina Wodzińskich i Słowacki z nimi w teatrze, w którym dawano tego dnia operę Rousseau'a *Wieszczek wiejski*, oraz małą komedyjkę *à propos*, osnutą na tle życia autora *Nowej Heloizy*. W czasie antraktu znowu uwieńczono laurem białe popiersie wielkiego

fantastyka. Na dworze jednocześnie, pomimo dżdżystej pory — jak to w marcu — palono fajerwerki. Na ulicy, imię Rousseau'a noszącej, płonęły tysiące kagańców, a tłumy ludu snuły się po trotuarach. Słowacki, opisując tę uroczystość matce, w liście z dnia 7 marca 1835 roku, czyni to w taki sposób, iż mimowoli wyobraża go sobie czytelnik na tle tej iluminacyi, wmieszanego w tłum uliczny, w towarzystwie Wodzińskich oczywiście, kiedy po skończonem przedstawieniu wracał z nimi z teatru do domu.

Wkrótce po tej uroczystości spotkała Słowackiego miła nad wyraz niespodzianka: pani Wodzińska, nie mająca zamiaru wyjeżdżać ze Szwajcaryi prędzej, aż na jesieni, postanowiła na ciąg letnich miesięcy przeprowadzić się po za miasto i obrała na mieszkanie — do czego w niemałym stopniu przyczyniły się niezawodnie stosunki ze Słowackim — dom pani Patteg [1]). Że Juliusz wiadomość o tem przeniesieniu się Wodzińskich z niemałem przyjąć musiał ukontentowaniem, że sobie po takiem wspólnem pożyciu pod jednym dachem obiecywał niejedno i że nie bez otuchy pewnej i nadziei poglądał w tę niedaleką przyszłość, to było tak naturalnem, że aż się jemu samemu nawet nie mogło wydawać dziwnem. Fakt, że pani Wodzińska zdecydowała się nająć mieszkanie w domu pani Patteg (do czego, można być pewnym niemal, pierwszą inicyatywę dał Słowacki), fakt ten, istotnie wagi niemałej, napoił serce poety uczuciem niekłamanej wdzięczności dla pani Wodzińskiej. To też nie nadaje jej odtąd w listach innego przydomku, tylko »bardzo dobra dama«.

W pannie Maryannie także zacznie się coraz więcej dopatrywać »wdzięku i dobrego serca«. Jednocześnie atoli (rzecz znamienna i godna podkreślenia) w listach swych do matki stanie się poeta, tak wynurzony przed nią zwykle i otwarty, skrytym i zamkniętym. Skryty z natury, nie uczyni odtąd »ofiary ze swej skrytości« nawet wtedy, kiedy mu o sobie donosić wypadnie matce! Skąpy w słowa, co

---

[1]) »Przy końcu 1834 roku (pisze p. Wodziński) oczekiwano w willi Beauregard przyjazdu dziadka (Wincentego Wodzińskiego), z którym rodzina Wodzińskich, po kilkoletniem wydaleniu, miała powrócić do kraju. Wtenczas to babka, nie chcąc już zawierać dłuższej ugody z właścicielem domu, przeniosła się do pani Patteg (nie przy końcu jednak roku 1834, jak mówi p. Wodziński, ale w maju dopiero 1835 roku), utrzymującej w Genewie t. zw. przez cudzoziemców *Une pension de famille*. Tu więc najęła babka pierwsze piętro, a niebawem cały dom służył wyłącznie do użytku rodziny i domowników. Zatrzymał w nim jednak Słowacki swój pokój. Skutkiem tego nastąpiło większe zbliżenie się między głównymi lokatorami a przyjacielem Eglantyny«. *Bibl. Warsz.*, IV, 1893 r., 204.

więcej, nie zawsze szczery, będzie niektóre rzeczy umyślnie oświetlał inaczej, aniżeli się miały w rzeczywistości, zacznie najważniejsze wypadki swego życia pokrywać milczeniem, jakby się wstydził, albo też — co prawdopodobniejsze — nie śmiał do nich przyznać. Bo (myślał sobie niezawodnie) jeżeli, co daj Boże, sprawy pomyślny wezmą obrót, wtedy napisze o wszystkiem; w przeciwnym razie (a na wszystko należało być przygotowanym) lepiej jeżeli się matka nie dowie o niczem. Po co ją dopiero zwodzić napróżno i karmić obietnicami, które się mogą nie ziścić. Lepiej milczeć [1]), bo nie wiadomo, co może nastąpić. »A kto wie, *a może?* To dziwne słowo *może* ma czarujący dźwięk lutni Eola: każdy najmniejszy wietrzyk wygrywa na naszych myślach to słowo *może* i zawsze tylko *może:* to słowo musiało istnieć przed stworzeniem świata«. Cokolwiekbądź, o jednej rzeczy myślał bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnego *może,* mianowicie: że mu panna Wodzińska nie była obojętną; i jeżeli uczucia, jakie wzbudzała w nim, nie umiał jeszcze — a *może* nie chciał — nazwać po imieniu, to w każdym razie zdawał sobie z tego sprawę doskonale, że oprócz niej nie podobała mu się teraz żadna inna panna, czyli, że wszystkie przestały go interesować. Tylko ona miała dla niego jakiś urok, tylko ona posiadała jakąś magnetyczną władzę nad nim. Innych kobiet nie widział poprostu, nie zwracał na nie uwagi. Wszyscy np. koledzy jego, młodzi Wodzińscy między innymi, kochali się na zabój w jednej Angielce, do której to Armidy chcieli, ażeby i on poszedł, pewni, że skoroby ją ujrzał, zakochałby się natychmiast. Nie dał się jednak zaprowadzić, nie zależało mu bowiem

---

[1]) »...unikał przyznania się do serdecznych uczuć względem Maryi W.« »Słowacki po pierwszem widzeniu (panny Wodzińskiej), pisząc o niej do matki, powiada, że jest to panna dorosła, ale wcale nieładna. Później zmienił zdanie, jakkolwiek duma długo nie pozwala mu się przyznać do tego«. »Miłość zapewne już towarzyszyła mu w niej (wycieczce po górach) także, tylko, że była głębszą od innych, więc poeta nie przyznawał się do niej głośno«. Zob. Piotr Chmielowski, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.* Warszawa, (wyd. trzecie), str. 132 i 142. Wogóle skrytość pewna leżała w charakterze Juliusza. Sam się nawet przyznaje do tego w jednym z listów do matki, kiedy pisze: »Ty pojmujesz, matko, jak wielką z mojej skrytości robię ofiarę« itd. Tego samego dowodzi następująca strofka w *Beniowskim:*

Milcz serce, albo się strzaskaj echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone:
Uderzam ciebie w złości: milcz, szalone!

Tem skrytem usposobieniem poety należy sobie niejednokrotnie tłómaczyć lakoniczność odnoszących się do panny Wodzińskiej ustępów i — czytać między wierszami.

na niej ani trochę. Drugi raz, na jakimś balu »w domu jednego z panów włoskich«, widział trzy śliczne Angielki, które, jak powiada, wszystkim prawie głowy zawróciły, na nim tylko nie zrobiły żadnego wrażenia. Czemu? Bo w głowie jego »utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobnej do osiągnienia«.

I chodził wieczorami po ogrodzie, przy świetle księżyca, i słuchając śpiewu słowików, miał »jakieś uczucie samotnej dumy«, które go pocieszało i przynosiło mu ulgę. Po powrocie z takich przechadzek smutnych wracał do pokoju, zapalał lampę i, albo położywszy się nierozebrany na łóżku, puszczał wodze marzeniom — najczęściej o wycieczce z Wodzińskimi w góry — albo też czytał kilka rozdziałów z Biblii, którą miał teraz po polsku, w tłómaczeniu Wujka. Po nocach nie mógł sypiać. W głowie roiło mu się od różnych projektów na przyszłość, tak, iż dopiero nad ranem najczęściej otulał go Morfeusz swem nietoperzem skrzydłem. W ciągu dnia, nie zdolny skupić myśli o tyle, ażeby pisać i tworzyć, używał wiosny, spacerując nad brzegiem jeziora, i marzył. Marzenia były teraz głównem jego zatrudnieniem, a ograniczały się »do własnego byle gdzie domku«. Chciało mu się koniecznie »mieć coś swojego na ziemi, coś bardzo maleńkiego, coś bardzo pełnego kwiatów, drzew, zieloności« i żeby to wszystko opromienione było, niby słońcem, uśmiechami i spojrzeniami czułej, kochającej żony, szczebiotem dziatek. I znów stawała mu przed oczyma panna Maryanna, do której tęsknił, jeżeli się nie widzieli przez parę dni, i około której obecnie myśl jego krążyła nieustannie, jak księżyc około ziemi. I zdarzało mu się nieraz, że opadało go zwątpienie, że tracił wiarę w swoją gwiazdę przewodnią i że, niczego się już nie spodziewając dla siebie na tym biednym świecie »pomiędzy aktorami, grającemi smutną i głupią komedyę życia«, zadawał sobie niekiedy pytanie, czy nie najlepiejby było rzucić się w jezioro i raz na zawsze wszystkiemu koniec położyć. Na szczęście przypominało mu się w takich razach, że niebawem cała rodzina Wodzińskich mieszkać z nim będzie pod jednym dachem w Paquis, i wracał czemprędzej do domu, ażeby o ile możności dom ten i ogród przyozdobić na ich przybycie. Wielką bowiem zdawał się przywiązywać wagę do tego, ażeby się tu pannie Maryi podobało, ażeby zastała tu pięknem wszystko i miłem. W tym celu, nie szczędząc sił, ani pracy, kopał klomby, sadził kwiaty, naprawiał małą altankę w ogrodzie, ubierał ją winem i powojem [1]).

[1]) Zob. Leopolda Méyeta, List nieznany (?) J. Słowackiego z Genewy dnia

W zajęciach tych pomagała mu często Eglantyna, ale w stosunku Słowackiego do niej wielkie zaszły zmiany: miejsce dawnej czułości braterskiej, zajęła jakaś chłodna grzeczność dobrze wychowanego człowieka, grzeczność, nie zobowiązująca do niczego, a taka obojętna, że już się nawet w listach do matki ani słowa od niejakiego czasu nie pisało o pannie Eglantynie [1]). O pannie Wodzińskiej tymczasem i jej rodzinie były obszerne relacye w każdym liście; kiedy zaś poprosiła poety, ażeby jej w sztambuchu »kartkę białą zabazgrał«, napisał piękny, sentymentalny wiersz, pełen wspomnień z podróży po Alpejskich górach, wiersz, którego początek brzmiał, jak następuje, a którym, jak to dziś sama pani Orpiszewska przyznaje, wszyscy byli zachwyceni.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem;
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony;
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali;
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.

Po takim wstępie, napisanym odrazu, *ex promptu,* w przystępie natchnienia, a opisującym czarownemi słowy niedaleką przeszłość, następowało jakby smutne przeczucie przyszłości. Bo któż zaręczy, że ta przyszłość nie skończy się, dla jednej strony przynajmniej, mianowicie dla poety, tragicznie. Błądzili kiedyś razem po alpejskich górach i zachwycali się wspólnie pięknościami widoków natury; ale takie sielankowe podróżowanie po łąkach, gdzie »biją smutnie trzód zbłąkanych dzwony«, mogło bardzo łatwo — jeżeli nie musiało — wyryć się niezatartemi ślady w sercu mężczyzny. Cóż wtedy? Wtedy nie byłoby dziwnem? gdyby to serce pękło, po rozstaniu się z tą, dla której biło tak żywo wśród gór i dolin szwajcarskich. A ona? Jej nie możnaby się było dziwić nawet, gdyby wróciwszy po latach do kraju, zapomniała o swoim towarzyszu podróży po Alpach. Cóż naturalniejszego! Onby jednakże nie zapomniał i w końcu umarł z tęsknoty po niej. I dopiero, gdyby doszło kiedyś do owego balu, jaki pani Wodzińska obiecała z czasem wyprawić dla wszystkich, co brali udział w tej wycieczce,

---

1 kwietnia 1835 r. (*Ateneum*, 1892, II, 490), poprzednio drukowany w *Warcie* z roku 1883 r. w Nr. 447.

[1]) *Listy*, I, 181 — 208.

a na którym wszyscy mieli stawić się w tych samych kostiumach, w jakich chodzili po górach, dopiero wtedy dowiedziałaby się Marya — może przez ironię losu podczas mazura albo wieczerzy — że ów młody, z czarnemi oczyma towarzysz-poeta... umarł.

»Cichoż na jego grobie?« Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze...

IV.

Łudził się jednak Słowacki, kiedy sobie wyobrażał, że z chwilą sprowadzenia się Wodzińskich do domu pani Patteg, zaczną się dlań *die schönen Tage von Aranjuez:* panna Maryanna bowiem, pomimo owego wiersza, jaki jej poeta wpisał do stambucha, a który wyglądał trochę na nieśmiałe wyznanie miłości, zachowywała się, jak dawniej, t. j. nie zdawała się domyślać nawet w sercu Juliusza żadnego dla siebie głębszego uczucia. Swoją drogą zaprzeczyć się nie da, że w stosunku jej do niego zaszły niejakie zmiany na lepsze, chociażby takie tylko, jakie za sobą pociągały nieodbicie warunki życiowe. Przebywając dzień cały w jednym domu, do pewnego stopnia w jednem mieszkaniu (oprócz Wodzińskich bowiem, którzy zajęli pierwsze piętro, i Słowackiego, który miał swój pokoik, również na pierwszem piętrze, nie mieszkał nikt w tym czasie w domu pani Patteg, poprostu dla braku miejsca), razem zasiadając do śniadania, obiadu i kolacyi, nie dziw, jeżeli po niejakim czasie — niedługim — nadzwyczajnie tem samem zbliżyli się do siebie, jeżeli wyrodziła się ztąd pewna pomiędzy nimi poufałość, i jeżeli z poufałości tej, niby ze źródła, żywsza w końcu wypłynęła sympatya; bo, jak wiadomo, poufałość rodzi sympatyę.

O sympatyi tej ze strony Wodzińskich (a trudno przypuścić, żeby jedna tylko Marya stanowiła wyjątek pod tym względem) świadczy między innemi następujący fakt. Usłyszawszy kiedyś od poety, że, pisząc do wujostwa Januszewskich, wybierających się w podróż do Włoch, prosił ich, ażeby mu przywieźli z domu dzieła jego ojca, jeżeli im miejsce w pakach zostanie; i dowiedziawszy się później, że projekt spotkania się Słowackiego z krewnymi pod lazurowem niebem Italii nie dojdzie prawdopodobnie do skutku — z powodu trudności paszportowych — postarali się oni o kompletne wydanie pism Euzebiusza Słowackiego

i położyli je któregoś dnia na stole, tak, iż poeta, wszedłszy do salonu, nie mógł ich nie zobaczyć odrazu. Jakoż zauważył je istotnie w pierwszej chwili, a że leżały otwarte, gdzie był portret autora, umieszczony na czele pierwszego tomu; więc Juliuszowi, kiedy spostrzegł nagle, niespodziewanie zupełnie, tak dobrze znajome sobie rysy, tę twarz wesołą, pogodną i uśmiechniętą, łzy zakręciły się w oczach, albowiem zdało mu się, ze nieboszczyk przyszedł do niego z tamtego świata pytać go o życie, jakiem żył, i chciał mu zostawić naukę spokojności, jeżeli nie szczęścia.

A, niestety, niczego tak dziś Słowacki nie pragnął, jak spokojności, jak szczęścia! pomimo bowiem, że mu, dzięki sprowadzeniu się Wodzińskich do pani Patteg, upływał czas bardzo wesoło pozornie (przynajmniej miał z kim »pogadać, a czasem potańcować«), spokojności wewnętrznej, a tembardziej szczęścia, które przy braku spokojności właśnie jest niemożebnem poprostu, nie kosztował zupełnie. Gry towarzyskie, wspólne czytanie książek — przyczem Słowacki czytywał paniom i swoje także utwory — muzyka panny Maryi, spacery nad jeziorem, rozmowy w ogródku, zabawy tańcujące, ciągła możność mówienia popolsku, co na obczyźnie posiada urok podwójny, i atmosfera »prawie familijna«: wszystko to, rzecz dziwna, nie wystarczało mu, nie zadawalniało go, ciągle żądał czegoś więcej, ciągle trwał w przekonaniu, że nie znalazł jeszcze takiego towarzystwa, jakiegoby »duszą żądał« i że lubo znajdował często »roztargnienie i cichą wesołość«, czuł jednak, iż sercami ludzie ci nie lgnęli do jego serca.

Ostatnia uwaga odnosiła się głównie do panny Maryi, która, nie lgnąc jakoś sercem do serca poety, czyniła go przez to samo »nieszczęśliwym i nieczułym na wszelkie drobniejsze dobre strony życia, jakiem żył od pewnego czasu«. Przeciwnie, uważał, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu; we wszystkiem dopatrywał się złośliwej i niesprawiedliwej niełaski losu względem siebie. Kiedy czytał damom swoje poezye, wrażenie, jakie tem osiągał, dalekiem było od tego, jakiego się właściwie spodziewał. Czuł, że i te wystąpienia nie podnosiły wcale jego uroku. Jakoż rzecz miała się tak istotnie. Deklamując z emfazą pewną, i podnosząc głos, który, z natury głuchy i przytłumiony, dźwięcznym nie był, nie podobał się, a panny uważały, że był »troszkę śmiesznym«, kiedy, podnosząc oczy w miarę czytania, śledził wrażenie, malujące się na twarzach słuchaczów, przyczem, co gorsza, jakby oczekiwał oklasków z ich strony, oklasków i objawów podziwu. I tak na każdym kroku! Ogródek, który urządził przed domem

(a bardzo być może, iż pracował nad nim z myślą o Maryi), nie rósł coś, choć na słońcu, choć często polewany. Posiał rezedę, nie zeszła. Dlaczego nie zeszła? Człowiek rozsądny odpowiedziałby niezawodnie, że nasiona były niedobre; Słowacki widział w tem symbol swojego niepowodzenia. Podobnie miała się rzecz z altanką, po której obiecywał sobie wiele, a która, choć był to już koniec maja, nie zacieniła się jeszcze. Kiedy nadeszła Wielkanoc i pani Wodzińska postanowiła piec ciasto, tym razem według krzemienieckiej recepty pani Becu, upieczone baby okazały się ciężkie i zakalcowate. Słowackiego to zmartwiło, albowiem imaginował sobie, że wszystkiemu temu była winna recepta. Z wyjazdu pani Becu razem z Teofilami do Włoch, gdzie się poeta — z takiem utęsknieniem — spodziewał spotkać z nimi w Pizie, także nie wyłoniło się dla niego nic, prócz zawodu; pani Becu bowiem, w ostatniej chwili musiała zrezygnować z podróży i Teofilowie pojechali sami; wyjeżdżając zaś, napisali do niego list, kilka słów wszystkiego, tak bladym atramentem, że ledwo mógł rozpoznać ślady wyrazów, a potem, ślady te z wielką trudnością odczytane, o żadnych nie donosiły szczegółach. Chcieli, aby przyjechał do Pizy, lecz nie pisali kiedy? Donosili o jakimś zasiłku, lecz nie wymienili ilości. Żądali też, aby im kupił zegarek w Genewie, i przywiózł, a zapomnieli o rzeczy najważniejszej, mianowicie: że kupno podobne może wyczerpać ostatnie jego fundusze, i że bez grosza w kieszeni nie będzie mógł »z zegarkiem, ani na zegarku, jak na koniu, wędrować«.

Nie lepiej też szczęściło mu się podczas loteryi fantowej, urządzonej przez panią Wodzińską na korzyść przebywających w Genewie niezamożnych Polaków-emigrantów. Z 500 biletów 100 było wygrywających. On miał 5 i żaden nie wygrał! Wypadek ten, tak małoznaczny, że nikt inny nie zwracałby nań uwagi, a przynajmniej nie przywiązywałby doń tyle, co Słowacki, znaczenia, pozbawił go humoru i pewności siebie na cały wieczór tak, iż kiedy po skończonej loteryi fantowej zaczęto tańczyć, on brał już udział w zabawie jakby z musu. Źle uprzedzony dla wszystkich, próżen »tego zachwycającego uczucia budzącej się nadziei i słodkiej melancholii«, z jakiemi niegdyś suwał się po wileńskich posadzkach; mając w sercu żal do panny Maryi, od której żądał, ażeby go wyróżniała: nudził się raczej, aniżeli bawił, i kiedy reszta towarzystwa tańczyła ochoczo, on nie mógł się doczekać końca zabawy. Nawiasem mówiąc, z panną Wodzińską tańczył wieczoru tego mniej, niż kiedykolwiek, tańcząc — jak powiada — tylko

z temi prawie pannami, których nikt nie chciał wziąć do tańca, a więc z panną Eglantyną i niektóremi jej mniej zgrabnemi koleżankami. O godzinie drugiej po północy poczęli się goście rozjeżdżać. Zostało się tylko kilku młodzieży, którzy, z powodu, że bramy miasta jeszcze były zamknięte, nie mogli wracać do domu. Doczekawszy z nimi poranku (pani Wodzińska z córkami przedtem już udała się do swoich pokojów), kiedy go pożegnali (nareszcie!), kontent, że sobie poszli, znużony tym wieczorem, zaduchem salonów, blaskami lamp, smutny i rozdrażniony, czując, że nie będzie spał, choćby się nawet położył, wyszedł przed wschodem słońca na brzeg jeziora. W jakim celu? Nie wiedział sam. Wiedział tylko, że mu potrzeba powietrza, chłodu, że się w pokoju udusi, że mu krew bije do głowy i że mu jest źle na świecie, bardzo źle! Widok budzącej się ze snu natury, spokojnej i pogodnej, przez to, że tak olbrzymi stanowił kontrast z jego chwilowem usposobieniem, nie działał nań kojąco i, zamiast uspokoić, rozdrażniał raczej. Wody Lemanu były ciche, przejrzyste i błękitne. Zaróżowione szczyty gór przeglądały się w nich, jak w zwierciedle; rybki wyrzucały się na wierzch. To wesołe pluskanie się rybek, które noc całą przepędziły w cichej wodzie i nad rankiem szukały świeżego powietrza, pobudziło Słowackiego do rozmyślań na temat, że jednak w życiu tych stworzeń jest coś sprzecznego bardzo z huczną nocą człowieka. Marząc tak, zamyślony, patrzył na czerwieniejące niebo, aż w końcu uwagę jego zwróciły na siebie jakieś dwie biedne kobiety, które przyszły prać nad jezioro. Odgarnąwszy grabiami muł brzegowy i kamyki, rozrzuciły na trawie cały kosz prostej, brudnej bielizny, poczem wzięły się do pracy. Słowacki przyglądał się im w milczeniu i, dziwna rzecz! to prozaiczne zatrudnienie szczególnem przejmowało go wzruszeniem, jego, ubranego w stroju balowym. »Zmysły moje rozigrane — pisał o tej chwili do matki — zdolne były do przyjmowania najmniejszych wrażeń: spostrzegałem okiem prawie łzawem sprzeczności między celami życia różnych ludzi: prać bieliznę albo patrzeć na wschód słońca i topić się w marzeniach! Po jakiej ogromnej drabinie te zatrudnienia musiały wchodzić i schodzić, aby się spotkać na środkowym szczeblu! Prawda, mamo, że najszczęśliwsze rybki, które połyskały srebrną skrzelą w chłodnej wodzie?« I przypomniały mu się owe poranki i owe wschody słońca, na które patrzał ze szczytów Faulhornu i Righi, owe szczęśliwe i wesołe chwile, przeżyte z Maryą podczas podróży po górach, i zdało mu się nagle, że »gdyby nie było na świe-

cie poezyi, to już sama myśl, że człowiek, który, chodząc po ziemi, zebrał tyle jasnych i nadzwyczajnych obrazów i z niemi do grobu pójść musi, zrodziłaby ją«.

I znowu napadła go i opętała na czas dłuższy jego »domownica zwyczajna, melancholia«, i znowu począł pod wpływem tej melancholii układać projekty wyjazdu z Genewy. Dokąd? Wszystko jedno! Chociażby do Paryża, gdzie nawet przydałaby się jego obecność dla sprawdzenia rachunków z księgarzami, a zwłaszcza z Eustachym Januszkiewiczem, który go »zbywał niczem« i nie nadsyłał pieniędzy za rozprzedane tomy poezyi. Jakkolwiekbądź, byłoby mu tam, pod pewnym przynajmniej względem, lepiej, aniżeli tu, nad jeziorem, gdzie się truł tylko miłością. Czyż nie rozsądniej byłoby oddalić się i stracić z oczu Maryę raz na zawsze? Pewnem jest, »że potrzeba nieobecności, ażeby zatrzeć żywość wrażenia«, dopóki zaś pozostawać będzie w Paquis, wrażenie, jakie na nim robi panna Wodzińska, tylko się potęgować może z dniem każdym. Zapobiedz temu, przeszkodzić, położyć koniec, dopóki płomień nie rozpalił się zbyt silnie, radził mu instynkt.

Twój pożar jeszcze w maleńkiej iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił...
Uciekaj! Ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia; tobie uciekać potrzeba.
Wierzaj mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba!
Te wkrótce zetrą serce w proch: tak je znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą...
To się i tobie stanie.

Przeczucie to czyniło go coraz smutniejszym i niespokojniejszym, tak dalece, że miewał chwile, w których, jak sam przyznawał, z przerażeniem patrzył na zdrowie swoje i przyszłość. Dlaczego? »Zwykła niespokojność jaskółki, co się boi, aby się dom jej z gniazdem nie spalił, nim dzieci się wychowają«. Swoją drogą za punkt honoru uważał sobie nie okazywać nikomu zwątpienia, jakie mu toczyło duszę, i stłumiając wszelkie objawy ognia, który w nim płonął wewnątrz, grał rolę człowieka »zimnego« z taką maestryą, że go wszyscy, niekiedy nawet samej panny Maryi nie wyłączając, uważali »za żelazo bardzo zimne«. Tak nakazywała mu jego duma, jego ambicya. A jednak cierpiał przez to, z powodu tej dumy właśnie, i nieraz zrzuciłby z siebie chętnie ten żelazny pancerz udanej obojętności. »Zdaje mi się — pisał w tem uczuciu do matki — że Bóg kiedyś miał włożyć duszę moją w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wicher obrywa mu pióra; co niema przyjaciół i szczęśliwy, że sam patrzy na

słońce. Szkoda, że nie poszedł Stwórca za pierwszą myślą, że zrobił ze mnie posępne nic; takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach«.

Na szczęście jednak, zmęczony smutną rzeczywistością, znajdował ukojenie w świecie przeszłości, pisząc melancholijną tragedyę prozą, osnutą na tle smutnej historyi hetmana-renegata Kossakowskiego i jego syna Szczęsnego [1]). »Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku: poezyę« — mówi główny bohater tej chorobliwej trochę, ale przepięknej, choć pełnej zbyt wyraźnych reminiscencyj z *Hamleta* i *Renégo,* tragedyi, a słuszność tego aforyzmu stwierdzał autor najlepiej na sobie, ile że pisanie i zaabsorbowanie myśli tym utworem, w który Słowacki tyle włożył samego siebie, tyle własnej melancholii, tyle własnych myśli i uczuć, było mu jakby upustem, którym spływały jego ówczesne spleeny.

Podobnie balsamiczny wpływ, choć z wielu względów odmienny, wywierała nań także i muzyka, której, dzięki pannie Wodzińskiej, słuchał teraz co dnia godzinami całemi. Panna Marya, tak samo, jak i mistrz jej, Fryderyk Chopin, najchętniej grywała wieczorami, w ciemnym pokoju, oświeconym co najwyżej seledynowym blaskiem księżyca, szeroką smugą przez okno napływającym ze dworu (czasami przy akompaniamencie słowików, zawodzących swe trele w ogrodzie i przy melancholijnem dzwonieniu ciszy nocnej, przypominającej nokturn *Es dur* Chopina). Słowacki miał ten przywilej, że mu było wolno siedzieć wtedy nieopodal fortepianu i, słuchając, »kryć się do muszli serca swego, jak ślimak«. Sceny podobne, jakby wzorowane na cudnej elegii Alfreda de Musset, *Lucie,* powtarzały się co wieczór, tak, iż Słowacki, jak ów zakochany w Łucyi młodzieniec Mussetowski, również mógł powiedzieć o sobie:

...nous étions seuls, j'étais assis près d'elle,
Elle penchait la tête, et sur le clavecin
Laissait, tout en rêvant, flotter sa blanche main.

Któregoś wieczoru, kiedy siedzieli tak w salonie, bez światła, sami, we dwoje tylko, Słowacki, podniecony muzyką, tą, jak powiada Musset, *langue que pour l'amour inventa la génie,* podszedł zcicha na palcach do krzesła panny Maryi i nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi,

---

[1]) Prof. Małecki, wydając pisma Słowackiego pośmiertne, zatytułował dramat ten (zdefektowany): *Horsztyński.* Mnieby się zdawało, że daleko właściwszym tytułem byłby: *Szczęsny Kossakowski.*

oszołomiony uczuciem, wrzącem mu w piersiach, nie wiedząc sam, zkąd mu się wzięła ta śmiałość, pochwycił warkocz panny w obie ręce i wpił się weń namiętnie ustami, jak szaleniec. Panna Maryanna, widząc to, zmieszana zrazu, »sercem bijąca, brylantowa w oczach«, zerwała się z miejsca, nie wiedziała, co począć i dopiero, kiedy ujrzała przed sobą ze spuszczonemi oczyma poetę, który, jak zbrodniarz, nie miał siły wytrzymać jej spojrzenia, nie mogła się powstrzymać, ażeby nie wybuchnąć śmiechem. Co mu się stało? Oszalał, czy co? Zkąd mu się wzięła taka czułość? On, taki zawsze ponury i seryo, on, taki zawsze — jak mówił — zrozpaczony życiem, żeby się uciekać do takich sentymentalności pasterskich! Wszystkiegoby się spodziewała po nim, nigdy jednak, ażeby uczucia swe wyrazić był zdolny w podobnie pastersko-sielankowy sposób! *Lui, cette être morose et grave, lui, ce desespéré de la vie, recourir à ces sentimentalités de berger!*

Wypadek ten musiał jednak z natury rzeczy, dać trochę do myślenia pannie: przedewszystkiem pochlebiał jej, a to wystarczało najzupełniej, ażeby, ulegając delikatnym podszeptom swej próżności, od której, będąc kobietą, nie była wolną, zaczęła się odtąd osobą poety interesować więcej cokolwiek, aniżeli dotychczas. Do pewnego stopnia było to nieuniknione.

Ztąd poszło, że, sama nie wiedząc, kiedy i jak, stała się Słowackiemu życzliwszą. Miała pewność, że była kochaną przezeń, a to wkładało na nią jeden przynajmniej obowiązek: szanowania tego uczucia. Mogła mu nie być wzajemną, ale samo poczucie delikatności — wrodzone jej przecież — nakazywało mieć wzgląd na niego, pozwolić, ażeby się czasem łudził, być w obcowaniu z nim uprzejmą, łaskawą, na niejedno wyrozumiałą, słowem, nie rozdrażniać go, nie dawać powodu, żeby cierpiał, żeby się męczył niepotrzebnie. Kochał ją, to znaczy, że pragnął, ażeby i on był kochany; nie należało więc okazywać mu obojętności, ale, przeciwnie, starać się, ażeby chwilami niezupełnie tracił nadzieję. Trochę w nim nadzieję tę podsycać, doradzała nawet kokieterya! Kobieta bowiem, choć nie kocha, widząc jednak, że jest kochaną, wszelkich będzie dokładała starań, ażeby zakochanego w niej mężczyznę coraz silniej przykuwać do siebie: o tyle obojętny jej nie jest nigdy, żeby nie miała czuć się dotkniętą w swojej miłości własnej, widząc go, że stygnie i że coraz bardziej wraca do równowagi. Tego żadna nie zniesie apatycznie. Cóż dopiero, jeżeli to jest istota, w której żyłach płynie odrobina krwi włoskiej!

Tym sposobem doszło powoli do tego, że i panna Wodzińska zaczęła nieznacznie, ale stopniowo, zapływać »w kraj ideału« [1]). Na jakąkolwiek uczucie to zasługiwało nazwę, w każdym razie jedno jest pewnem, że panna Wodzińska była w tych czasach z większem dla poety zaufaniem, niż dawniej, że nie wahała się nawet zwierzać mu z wielu rzeczy, które miały pozór szczerości, choć wypowiadane były nieraz pół żartem, z uśmiechem na ustach. Raz np., kiedy, chodząc po lipowej alei ogrodu, rozmawiali o przyszłości, jaka ich czeka, i kiedy on pół żartem, pół seryo, ubolewał nad swoją, skarżąc się, że wkrótce zostanie sam, opuszczony, z sercem, trawionem miłością niewyznaną, z której uleczyć mógłby go chyba jeden tylko habit mnicha-Kartuza; ona, niby nic domyślając się, o co mu w danym wypadku chodziło, do czego robił aluzyę, kto był tą jego wybraną, pocieszała go — także pół żartem, pół seryo — że i jej również po przyszłości niewiele spodziewać się należy. Dlatego — mówiła — przyjechawszy do Służewa, przywdzieje czarną, żałobną sukienkę, zamieszka w pustelniczym domku nad rzeczką, odda się modlitwie, zajmie się leczeniem chłopów i nauczaniem ich dzieci, i żyć tak będzie w cichości dopóty, dopóki nie wyspowiada się kiedyś, po upływie szeregu lat przed mnichem pewnym, który dziś jeszcze mnichem nie jest wprawdzie, ale który nim pewno zostanie kiedyś. Można to było tłomaczyć sobie rozmaicie i albo do rozmów podobnych przywiązywać wagę, albo też uważać je za zabawkę, za zwykły, trochę sentymentalizmem zaprawny, flirt. Jak się na tę kwestyę zapatrywał Słowacki? Trudno odpowiedzieć stanowczo. W każdym razie, pisząc o tej rozmowie swej z Maryą do matki, opisuje ją tonem żartobliwym, jakim też była niezawodnie i w rzeczywistości także prowadzona. Cokolwiekbądź, o ile domyślać się można, że poeta w swoich »rozmowach o rzeczach anielskich« z Maryą nieraz musiał robić do tego aluzyę, że gotów przywdziać habit mniszy, jeżeli mu się z nią »nigdy, nigdzie połączyć« nie będzie wolno; o tyle pewnem jest, że na sentymentalne projekty swej »czarnobrewej panienki« zapatrywał się bardzo sceptycznie, z wielkiem niedowierzaniem: wątpił poprostu, czy panna Marynia, ze swojem usposobieniem żywem, długo byłaby zdolna prowadzić żywot pustelniczy; nie wątpił bowiem, że znajdzie się niebawem »jaki pan Podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze

[1]) »Panna Marya W., która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału«. *Listy*, I, 216.

opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi«, który jej z łatwością domek pustelniczy wybić z głowy potrafi, kiedy on tymczasem, biedny poeta-wygnaniec, nie będzie mógł »kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów«. A kiedy go panna zapewniała, że się myli, że nie zna jej, jeśli przypuszcza, że pierwszy lepszy jakiś podkomorzyc miałby w niej zatrzeć »kartuzowe wspomnienia« genewskie, on wiedział, co o tych zapewnieniach myśleć, albowiem przekonany był, że »młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności«. Po pannie Wodzińskiej zaś, o ile ją poznać zdołał, nie spodziewał się również, ażeby mogła stanowić wyjątek pod tym względem. Jakoż przewidywania jego miały się z czasem sprawdzić w zupełności.

Mimo to przeświadczenie jednak, przeświadczenie, które wskazuje wyraźnie, że na rolę swoją w stosunku do Maryi zapatrywał się z krytycyzmem pewnym, zapominał często, że po sielance tej nie może się on dla siebie żadnej spodziewać przyszłości i, hołdując horacyuszowskiej zasadzie *Carpe diem*, z rozkoszą poddawał się urokowi, jaki dlań miała chwilowo teraźniejszość; a że mu się panna z dniem każdym podobała coraz bardziej, więc

Z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!...
I mogła była, co chce, robić ze mną!...

Któregoś dnia, korzystając z prześlicznej pogody, przejechali wszyscy, pod przewodem pani Wodzińskiej, na drugi brzeg jeziora, na obiad wiejski. Był to jeden z najpiękniejszych dni w życiu poety. Kiedy jechali w tamtą stronę — paroma łódkami — roztaczał się dokoła nich, w całym majestacie i przepychu kolorów, najcudniejszy pejzaż alpejski: śnieżne, jak opale mieniące się lodowce, rzucone na turkusowy ekran nieba włoskiego; olbrzymia, szafirowa tafla jeziora, lśniąca pod światło słoneczne, jakby posypana dyamentami; po brzegach, gdzie spojrzeć, wszędzie istny eden zieleni; w powietrzu zaś, w promieniach słońca, mnóstwo jaskółek i motyli. Na takiem tle, przybrana w lekką, perkalikową sukienkę, w dużym słomianym kapeluszu, nie dziw, że się Słowackiemu wydawała panna Maryanna »tak lekką, że na fale wejść mogła, a staw, nierozbity, nosiłby nóżki jej« oraz, że rozbawionemu w tem towarzystwie co chwila przychodziła ochota zawołać: »Prawdziwie, że ta ziemia, to raj dla szczęśliwych!« Stanąwszy

u celu, towarzystwo całe, chroniąc się przed upałem, zasiadło u drewnianego stołu, w cieniu olbrzymich platanów. Przedtem oglądano w sadzawce restauracyjnej, w środku ogrodu, żywe ryby, które skazane na ogniste *autodafe,* miały się po niejakim czasie ukazać na półmisku, usmażone. Po obiedzie, podczas którego przywiezione z domu wino ciekło obficie, »jak w Kanie Galilejskiej«, grano w zająca, przyczem młodzież, upoważniona przez damy, pozrucała surduty i fraki; a kiedy się zając uprzykrzył, puszczano kaczki, (t. j. płaskie kamyki, które się rzuca w ten sposób, ażeby, ślizgając się po wodzie, jak największą ilość razy odbiły się od jej powierzchni). Tak przeszło kilka godzin. Kiedy zaczęto myśleć o powrocie do Genewy, niebo, dotychczas pogodne i błękitne, zaciągnęło się ołowianemi chmurami, zerwał się wicher, zaszumiały drzewa, jezioro pociemniało, sposępniało nagle, aż w końcu zaczęło się marszczyć, pienić, wzdymać i pomrukiwać złowrogo: zanosiło się na burzę. Nie zwłócząc tedy, ażeby, o ile możności, przed deszczem zdążyć do domu, powskakiwano do czółen i, nie bez humoru, ani dobrej myśli, odbito od brzegu, w tem przeświadczeniu, że *audaces fortuna juvat.* Tymczasem wiatr zamienił się wkrótce w szalony wicher; chmury, które zdawały się zniżać, stawały się coraz czarniejsze, a grzywy bałwanów — coraz bielsze i bujniejsze; czółnami zaczynało kołysać coraz bardziej, tak, iż chwilami woda z jeziora dostawała się przez burt do wnętrza; wiosła często, zamiast fali, rozbijały powietrze; po niejakim czasie, kiedy o zawróceniu się mowy już być nie mogło, poczęło grzmieć; zrobiło się ciemno, jak o zmroku; błyskawice poczęły raz po raz pruć zygzakami powietrze; do domu zaś nie było blisko.

Ale Opatrzność czuwała widocznie nad wesołą drużyną, bo nie dopuściwszy, ażeby zmokli, pozwoliła im dobić szczęśliwie do brzegu, bez szwanku, bez kropli deszczu. Ostatecznie, ponieważ przejażdżka taka, pod grozą burzy, nie była pozbawiona emocyi, zachowali z niej — na długo — bardzo przyjemne wspomnienie. »Ładny był spacer, wesoły dzień: nikt nie zasmucił się, ani stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza; nikt się nie lękał gromu Boga; wszyscy byli razem, aż do wieczora«.

Kiedy pozostawali w domu, w Paquis, zdarzało się im często, że spacerując po ogródku przed domem, »niczem nie strwożeni, sami« coraz silniej utwierdzali się w przekonaniu, że

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić:

tak samo, jak miło jest niekiedy

> Zabłądzić pod lipowe cienie
> Z kwiatkami w ręku i, patrząc ukradkiem,
> Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
> Kocham, i pani kochasz mię...

Czasem, gdy ich »różowa poróżniła sprzeczka«, bo o takie »sprzeczki różowe« u zakochanych nietrudno, zwłaszcza, gdzie, jak w danym wypadku, mężczyzna nie jest pewny miłości kobiety, albo, kiedy im »zgody ciągłe zabraniały świadki«, porozumiewali się pomiędzy sobą za pomocą stokrotek, obrywanych niby od niechcenia, dla siebie wyłącznie, uśmiechając się raz wesoło, raz smutnie, stosownie do tego, co mówił kwiatek: »nie«, czy »troszeczkę [1]).

Tak upływały im dnie całe i tygodnie. Którejś niedzieli, pod koniec czerwca, w czas sianokosu, korzystając z okoliczności, że murawę ogrodu pani Patteg zalegały rozrzucone kopy skoszonego przed paru dniami siana, zaproponował ktoś, ażeby urządzić rodzaj majówki, t. j. spędzić kilka godzin pod gołem niebem, nie dalej wszakże, jak przed domem, w ogródku, na sianie. Myśl ta, rzucona w porę, uzyskawszy aprobatę wszystkich, rychło zamieniła się w czyn, a że pogoda była jak wymarzona, więc popołudnie to, przeleżane na sianie, przegawędzone, prześpiewane, przedeklamowane i przedowcipkowane, zapisało się w pamięci Słowackiego, jako jedno z najprzyjemniejszych, najbardziej sielskich. »I tak — powiada Słowacki — leżeliśmy całą niedzielę, panie, panny i chłopcy, święcąc dzień Boży, nie myśląc o niczem, odurzeni zapachem umarłej i zabitej trawy, odrzucając tę myśl, że człowiek przechodzi jak trawa i kwiat polny«, że wszystko na tym świecie — a więc i miłość także — musi mieć swój koniec, że wszystko, jak trawa, więdnie i usycha, podcięte nieubłaganą kosą czasu, że nic, a przedewszystkiem szczęście nie trwa wiecznie, nie ciągnie się w nieskończoność.

Refleksye podobne, choć było mu na razie wcale dobrze, chwilami nawet »wesoło bardzo«, nasuwały się teraz poecie o wiele częściej, niż dawniej; a górę nad niemi

---

[1]) Por. wiersz p. t. *Stokrótki*, (pisma pośm. t. I, str. 27. Wydanie drugie, z r. 1885).

> Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
> A zgody ciągłe zabraniały świadki,
> Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki
> Jeden mówił *nie*, a drugi *troszeczkę*.

BIBLIOTEKA NARODOWA ... Ossolineum ... Wierzewskiego

brała jedna przedewszystkiem: myśl o przyszłości, połączona z dręczącą go niepewnością: jaka też będzie ta przyszłość? Czy sądzone jest Maryi odegrać w niej jakąkolwiek rolę? czy też, przeciwnie, ta pogodna atmosfera, którą oddychał obecnie, rozwieje się lada dzień, jak owe mgły poranne, i nie zostanie mu nic z tej całej idylli, prócz goryczy doznanego zawodu i upokorzenia? I znowu, jak parę miesięcy temu, poczęły się w nim budzić pragnienia życia we dwoje, w towarzystwie »młodej, ładnej i bogatej żony«, pragnienia, które go opanowały w krótkim czasie tak silnie, że ukryć się z niemi nie był nawet zdolny przed matką, choć zwykle skryty był pod tym względem i nie skory do wynurzeń [1]). Oto co pisze w liście do niej w czerwcu 1835 roku: »Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja! Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę, a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o! z takiemi wykrzyknikami konają osoby w moich tragedyach; z takiem długiem westchnieniem kona... moja nadzieja! Byłem u panny Lenormand, obrywałem tyle razy margerytki, zdmuchiwałem cykorye, wiązałem trawy, szukałem czterolistnej koniczyny i dotąd nie wiem, co mię na świecie czeka. Zdaje mi się jednak, że musi coś czekać«.

Wątpliwość ta zatruwała mu najsłodsze chwile uniesień i wesela, a spotęgował ją jeszcze, i to w stopniu bardzo wysokim, przyjazd do Genewy Wincentego Wodzińskiego, który tu przybył, ażeby razem z żoną i z dziećmi wracać wkrótce do kraju, do Służewa. Dla Słowackiego była wiadomość ta bardzo »smutnym wypadkiem«, a dzieląc się nią z matką, pisał w strapieniu swojem, co następuje: »Mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce *porwać* ztąd całą rodzinę. Szczęśliwi! Wracają!

---

[1]) Rzecz dziwna i dobrze malująca duszę Słowackiego, że o dotychczasowych swych miłostkach pisze matce otwarcie, nic nie obwijając w bawełnę, dlatego, że się nie kochał szczerze, tylko bawił. Tu (z Maryą Wodz.) w głębiach serca, jak w pieczarach perskich, tlił się żywy ogień miłości, niepokalany ludzkiem okiem i słowem. Była to miłość pełna dziecięcej naiwności i dziewiczego wstydu. To też nigdy o niej wyraźnie nie mówi: kryje ją, jak sam powiada, w mistyczne obsłony; rzadko tylko pierś wezbrana mimowoli buchnie płaczem serdecznym. Głębokość swego uczucia spostrzegł poeta prawdopodobnie w chwili dopiero, kiedy jego ukochana miała odjeżdżać... na zawsze. Smutnym był, nieokreślenie smutnym itd., itd. Ob. *Atenæum*, 1887. »J. Słowackiego listy do matki« przez S(edlaczek).

Wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście (którego mu nie kosztować), żenić synów (czego im szczerze zazdrości), wydawać za mąż córki (czyli oddać Maryę, którą on kocha i która jego »pierwszą miłością« pokochała[1]), nie jemu, ale komu innemu!!!), zasadzać ogrody, siać zboża, budować i przebudowywać domy, patrzeć na zachód słońca, wyjeżdżać do lasów na herbatę z przyjaciółmi, z wiejskiem sąsiedztwem. Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza. Bo i nad cmentarzem chce mi się często powiedzieć, jak Luter, patrząc na groby w Worms: *Invideo, quia quiescunt!* Zazdroszczę, bo cicho spoczywają. Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku?« Ojciec Maryi, dumny magnat, marzący o świetnej partyi dla swojej starszej córki (co go później skłoniło do dania odmownej i stanowczej odpowiedzi Chopinowi, gdy go się ten »grajek« poważył prosić o rękę Maryi), ojciec jej zachowaniem się swojem, wyniosłem i nieprzystępnem, do żadnych nie upoważniał nadziei; przeciwnie, takie robił wrażenie, że gdyby mu się człowiek z taką, jak Słowacki, pozycyą oświadczył o rękę Maryi, gotówby się nawet nie oburzyć, ale poprostu roześmiać. Dlatego nie pozostawało poecie nic innego, tylko wszelkich pozbyć się złudzeń raz na zawsze. Za wysokie progi! A powtóre, nie był pewny miłości panny, która o ile z jednej strony dużo mu w ostatnich czasach okazywała życzliwości i przyjaźni, o tyle z drugiej niemniejszą okazywała życzliwość młodemu Darowskiemu, a oprócz tego pozwalała kochać się w sobie młodemu hrabiemu Montigny: najlepszy dowód, iż ten, oświadczywszy się o nią raz, napróżno, próbował niedawno szczęścia po raz wtóry, niestety, znowu z tym samym skutkiem. Mimo to nie przestał bywać w domu pani Wodzińskiej, co należało sobie tłómaczyć, iż pomimo dwukrotnego niepowodzenia nie zraził się i miał nadzieję, że, oświadczywszy się po raz trzeci o rękę panny, będzie przyjęty ostatecznie. Słowacki, który o tych konkurach Darowskiego i hrabiego de Montigny nie mógł nic wiedzieć, musiał się tem trapić podwójnie, czuł bowiem, że rywale ci, choć on ich zaliczał bez ceremonii do głupców towarzystwa, mieli więcej szans, ażeby się módz oże-

---

[1]) »Mówią, że się Chopin z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą, żenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni (należy położyć nacisk na to, że Słowacki nie mówi tu »z miłości dla mnie«, tylko »z przyjaźni dla mnie«) dla mnie itd. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka, podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało«. Zob. *Listy*, II, 34.

nić z Maryą, aniżeli on. Że refleksye podobne nie wpływały na humor jego dodatnio, rozumie się samo przez się; to też, pisząc do matki, w następujący sposób streścił swoje ówczesne usposobienie: »atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału, przerżnięta rzeką łez«.

Na podobną wyspę, nie ideału, ale gorzkiej rzeczywistości, przerżniętą głębszą nierównie rzeką łez, wyrzuciły losy i Eglantynę Patteg, która, osiadłszy na niej, jak rozbity okręt na mieliznie, stała się pastwą najsroższych katuszy moralnych, przez jakie kobieta kochająca przejść może wogóle w życiu. W duszy jej bowiem, od chwili, kiedy się rodzina Wodzińskich sprowadziła do Paquis, zaczął rozgrywać się bolesny dramat psychiczny, tem boleśniejszy, że nie wolno mu się było ujawniać na zewnątrz; a jak powiada Bourget, *les vrais drames du coeur n'ont pas d'événements*. Jak gdyby chcąc Słowackiemu dowieść słuszności jego aforyzmu w *Horsztyńskim* (którego kreślił właśnie ostatnie sceny), że »ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do słowa *ja*, oprócz kobiet, które przywiązują się czasem do słowa *mój*«, kiedy spostrzegła — a z przerażeniem zrobiła poraz pierwszy to odkrycie — że poeta, do którego sobie ona dotychczas wyłączne rościła prawo, odwraca się od niej, że sercem swem i wyobraźnią skłaniać się poczyna w inną stronę, w stronę panny Wodzińskiej, że jej, Eglantynie, zejść wypadnie chcąc nie chcąc na drugi plan, że towarzystwo jej, wobec tamtej, przestanie wkrótce posiadać dlań jakikolwiek urok, i że z podobną, jak Marya, rywalką, młodszą, bogatszą, wykształceńszą, inteligentniejszą i świetniejszą pod każdym względem, a do tego jeszcze Polką, dla takiej, jak ona, prostej, niemłodej, ubogiej i trochę pospolitej Szwajcarki, nie ma najmniejszych szans powodzenia, a może być tylko pewność bezsilności własnej, Eglantyna, kiedy się jej jasno sformułowało w umyśle niebezpieczeństwo utraty Juliusza, o którego przywiązaniu dla siebie w zaślepieniu swem — tak właściwem pannom starzejącym się — nie wątpiła, poczęła się trapić na samą myśl o tem i otworzyła do duszy swej przystęp najokropniejszemu ze wszystkich uczuć: zazdrości. Zazdrość ta, opętawszy ją raz, zabiła w niej spokój, wesołość, otuchę, nadzieję — słowem, wszystko, na czem zakwita szczęście: w nocy odbierała jej sen, w dzień apetyt, a w nocy zarówno, jak we dnie, prześladowała ją nieustannie najokropniejszemi podejrzeniami, najczęściej wszelkiej pozbawionemi racyi, podejrzeniami o brak dobrej woli, o nieszczerość, o złośliwość, o lekceważenie, o przewrotność, o niewdzięczność, o brak serca, o egoizm, o ra-

dość z cudzej krzywdy, z cudzych cierpień, z cudzego nieszczęścia. O wszystko to posądzała teraz Eglantyna zarówno Słowackiego, jak i Maryę, którzy, egoistyczni w swojej miłości, zdawało się jej, uknuli poprostu spisek przeciwko niej, jak gdyby dręczyć ją i męczyć szczególną im sprawiało przyjemność. Z natury imaginacyjna i skłonna do przywidzeń — o co u ludzi uczuciowych, a zwłaszcza u kobiet egzaltowanych nietrudno — często widziała więcej, aniżeli było. Kiedy np. zdarzyło się, że wyszli ze Słowackim i Maryą na spacer do ogrodu, chodziła z nimi, jak po rozpalonej podłodze; albowiem była gotowa przysiądz, że radziby się jej byli pozbyć (w czem może miała czasami słuszność). Jeżeli zdarzyło się niekiedy, że, idąc z nią, zapomnieli się i, zamiast po francusku, t. j. zrozumiale dla niej, mówili przez chwilę po polsku, z pewnością podejrzywała ich zaraz, że czynią to umyślnie, nie chcąc, ażeby rozumiała, co mówią. Bo kto wie, co sobie mówili? Może wyśmiewali się z niej? Może naradzali się nad sposobem, w jakiby zostać sami? Wieczorami, kiedy widziała, że Słowacki idzie do salonu, dokąd go nęciła obecność siedzącej przy fortepianie Maryi, powiedziałaby mu nieraz, jak zazdrosna Goplana rozkochanemu w Balladynie Grabcowi:

Niech słońce zagaśnie,
Jeśli mi ciebie kto wydrze, kochanku!
Ty jesteś moim, moim, moim wiecznie!
Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścionek,
Choćbyś miał księżyc, to ja go rozłamię!
Zagaszę księżyc, który cię prowadzi

do tej dziewczyny, która mi ciebie wydarła!

Ach! bądź mi wiernym! Błagam cię, zaklinam!
Na twoje własne szczęście! Ach! Zaklinam!
Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam wieczorem,
Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam, ja — każę!

Poeta jednak albo się nie domyślał istotnie, o co jej chodzi, albo też udawał, że się nie domyśla niczego i, jak Kirkor, szedł do tej chaty,

Gdzie mieszka uboga wdowa
I swe młode córki chowa,

a biedna Eglantyna nie miała, jak Goplana, na rozkazy swoje ani Chochlika, ani Skierki, którzyby »pracowali na jej szczęście«, którzyby sprawili, żeby się Marya znowu wydała poecie »bardzo brzydką«, którzyby jej nie dali »prześlicznie grać na fortepianie«, którzyby zalepili Słowa-

ckiemu uszy woskiem, ażeby się nie rozmarzał denerwującemi melodyami Chopina, którzyby potrafili dokazać tej sztuki, ażeby pociski Amora, wymierzone w serce Juliusza, chybiały celu, i którzyby wreszcie posiadali moc skierowania serca tego ponownie ku niej, ku Eglantynie. Nie mając takiej władzy nad nim, nie omieszkała mu przynajmniej dawać przy lada sposobności do zrozumienia, ile cierpi z jego powodu, ile ją to jego sprzeniewierzanie się jej kosztuje, a kiedy on, rozdrażniony tem i zniecierpliwiony, a i znudzony czasami, bo przedewszystkiem nudziły go te narzekania, usiłował jej wytłómaczyć, że nigdy nie żądał od niej niczego więcej, tylko, żeby mu dała nieco »przyjaźni i ciszy«, ona mu w odpowiedzi na to »łzy w powszednim podawała chlebie« i jęcząc z jękiem mówiła: »Niech słyszy« [1]). Rozdrażniony tem wszystkiem Słowacki, zaczął jej poprostu unikać, a jeśli się udało jej kiedy zatrzymać go z sobą czas jakiś, wymawiał jej, że mu tylko »serce krwawi« niepotrzebnie, i że, zamiast być dlań balsamem, jakby przystało na kochającą siostrę, w chwilach, kiedy się otwiera »serca jego rana«, ona leje w nie »żółciowe gorycze«, niepomna, że takiem postępowaniem nikt sobie jeszcze czyjejś miłości nie zaskarbił.

Skończyło się na tem, że Eglantyna wskutek tych wszystkich przejść »poczęła schnąć«, blednąć, mizernieć, aż wreszcie »niebezpiecznie« zachorowała. Widząc to, Słowacki, i wiedząc, że przyczyną choroby tej nie jest kto inny, tylko on i jego miłość dla Maryi, a dla Eglantyny obojętność, bolał nad tem szczerze i »cierpiał«. Bo jakkolwiekbądź, żal mu było biednej »siostry genewskiej«, od której tyle dobrego doświadczył, a której za jej przywiązanie bezgraniczne odpłacał teraz złorzeczeniami i niejednem przykrem słowem. Z drugiej strony, ponieważ miłość jest zawsze egoistyczną, nie widział powodu zmieniać sposobu swojego postępowania z Maryą, pomimo, że obecność ojca jej paraliżowała ich często i krępowała; więcej nierównie, aniżeli niedomagania i łzy Eglantyny.

Ale podobny stan rzeczy nie mógł trwać długo i jakieś rozwiązanie kwestyi musiało nastąpić koniecznie. Przy-

---

[1]) Por. *Przekleństwo* (Do Eglantyny) Pisma pośm., I, 26, 27. Por. również Piotr Chmielowski, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego*, str. 134 w wyd. trzeciem (»...dramat, jeżeli to tylko było dramatem (?), rozgrywał się nie na powierzchni, ale w głębi uczuć...«), oraz Seweryna Duchińska, *Op. cit.*, str. 338. (»To jednak pewna, że dramat, który odbył się wtedy w duszy trzech istot, pełniejszy był, wyższy nastrojem duchowym, nad wszystkie dramata, jakie stworzył geniusz naszego poety«).

śpieszyła je zdaje się pani Patteg, która »domyślała się, o co rzecz idzie«. Cokolwiekbądź, Słowacki, widząc, że wszystkiemu winien jest on, że chcąc mieć czyste sumienie, należy »postąpić sumiennie« i oszczędzić Eglantynie dalszych powodów do martwienia się, zdecydował się po niemałej z sobą walce przeciąć pasmo tej kabały i opuścić niezwłocznie Paquis, choć przyznawał, że żal mu było rozstawać się teraz z tym domem, gdzie ostatniemi czasy czuł się tak dobrze, gdzie się do niego uśmiechać zaczęło szczęście, gdzie zostawiał wszystko, co go chwilowo przywiązywało do życia, co miało dlań powab i urok. Niestety, okoliczności składały się tak fatalnie, że względy osobiste musiały ustąpić na bok, albowiem nie o niego tu chodziło, lecz o kobietę, której dręczyć dłużej nie miał poprostu sumienia. Dlatego powziął stanowczy zamiar wyjechania.

Ale dokąd? Wybór miejsca nie grał w tym razie żadnej roli. Chodziło o to tylko, żeby wyjechał z Genewy, żeby się usunął z oczu Eglantynie, żeby się nie mógł widywać z Maryą. W tym celu obrał sobie na miejsce pobytu Veytoux, niewielkie miasteczko, położone na drugim końcu jeziora, niedaleko Villeneuve.

Spakowawszy rzeczy, będąc już gotowym zupełnie do odjazdu, poszedł się pożegnać z Eglantyną i obwieścić jej przy tej sposobności, że wyjeżdża. Pożegnanie z Maryą odłożył na ostatnią chwilę, albowiem wiedział z góry, ile go pożegnanie to kosztować będzie.

Eglantyna, kiedy się dowiedziała, o co chodzi, w żaden sposób przystać nie chciała na propozycyę matki i zaklinała poetę na wszystko, aby został, tłómacząc, że woli go takiego nawet, jakim jest dla niej obecnie, aniżeli nie widzieć go wcale.

— Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję,
Jak nad przepaścią jaką, sama jedna
I opuszczona wiecznie, o, ja biedna!
Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca,
Siostra i matka razem — i służąca!
Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, tej bolesnej rany,
Którą mi dajesz w serce...

Jakoż była istotnie przyczyna, że się Słowacki oddalał teraz, tak nagle, ale mówić o niej z Eglantyną, rozwo-

dzić nad nią długo, nie pora była obecnie. Mógł jej dać do zrozumienia, że wyjazd ten wyjdzie *jej* na dobre, że nie powinna go zaklinać, aby został, bo-by na tem *ona* wyszła najgorzej, ale wyjawić jej całą prawdę, bez obsłonek, nie miał poprostu sumienia; tembardziej, że gdyby powiedział otwarcie, dlaczego wyjeżdża, nie mógł być pewnym, żali się pohamować zdoła i czy jej nie zacznie tego swojego bądź co bądź poświęcenia się dla niej wyrzucać. Albowiem w duszy, pomimo całego współczucia, jakie w nim budziła swoją niedolą, złorzeczył jej (dowodem rzucone jej później *Przekleństwo);* ponieważ nikt inny, tylko ona »wydzierała mu ostatnie godziny szczęścia jego na ziemi«, ponieważ nikt inny, tylko ona »wypędzała go na samotność«, ponieważ nic innego, tylko jej pretensye niczem nieuzasadnione w gruncie rzeczy (bo nigdy jej nie mówił, że ją kocha) skłaniały go do wyjazdu, bo gdyby nie te względy, jemu aniby przez myśl przeszło opuszczać Paquis i pozbawiać się dobrowolnie paru tygodni przy boku Maryi, któraby mu była »siostrą na wygnaniu ziemi«.

Pozostawiwszy Eglantynę we łzach [1]), albowiem nie robił z tego tajemnicy, iż żegna się z nią »na wieki«, poszedł pożegnać się z Maryą, a pożegnanie to, dla innych zupełnie względów, także nie musiało być dla niego mniej bolesnem, aniżeli chwila rozstania z Eglantyną; gdyż o ile tam współczucie i poszanowanie cudzego nieszczęścia nie pozwalało mu przyznać się otwarcie, czemu się żegna, o tyle tu nie pozwalała na to miłość własna; nie mógł się jednak oprzeć nieprzezwyciężonej poprostu chęci dania przynajmniej do zrozumienia Maryi, że ta chwila rozstania się z nią, na zawsze prawdopodobnie, niejedną pociągnie za sobą chwilę tęsknoty i żalu w jego życiu, a co będzie tego powodem, o tem on wyraźnie powiedzieć nie może: niech się sama lepiej wszystkiego domyśli. Ona tymczasem nie domyślała się niczego, a przynajmniej nie chciała się domyślać [2]).

Po tej przykrej dla niego scenie pożegnania z Maryą, jeszcze »nim księżyc zabłysnął wieczorem« wiózł już poetę

---

[1]) »Płakałem, wyjeżdżając, płakany. Przy odjeździe taki smutek, taka nuda mię opadła, że zakazałem, aby mi przysyłano książek. Wziąłem tylko kilku moich ulubionych autorów«. *(Listy*, t. I, 218, 222). [2]) Oto, co o tej chwili pisze dziś pani Orpiszewska: »Nie zwracałam uwagi nawet(?), żeby Słowacki był mną zajęty, jak to później twierdzono. Opuścił on Genewę na parę miesięcy przed naszym wyjazdem. Przy pożegnaniu mówił wprawdzie o żalu i tęsknocie... Powiadano mi potem, iż wyjechał dlatego, że Eglantyna Patteg, późniejsza hrabina (?) de Louppé była o mnie zazdrosną. Bardzo mię to zdziwiło«. *(Bibl. Warsz.* 1893 r., IV, 208).

dyliżans pocztowy wzdłuż lewego brzegu jeziora drogą ku Villeneuve. Noc była jasna, miesięczna, ciepła: prawdziwa noc letnia. W naturze panował spokój, cisza, i słychać było tylko jednostajny pomruk fali, opłókującej brzegi, i turkot powozu, pomięszany z tententem kopyt końskich. Blada światłość księżyca kładła się na wodzie migotliwą, srebrną kolumną i, co szczególne, niepokoiła Słowackiego, który, »wzburzony«, z rozpalonem czołem, takiego doznawał uczucia, jakby uciekał i, co gorsza, jakby uciekał prześladowany wyrzutami sumienia [1]). Zdawało mu się ciągle, przez całą drogę, że widzi Eglantynę, jak »niema płaczem, za nim wyciągała ręce«, a on odpychał ją od siebie, »jakby się ta kobieta do stóp jego kładła«; że dostrzega jej postać schorzałą i bladą, jak biegnie za nim po smudze światłości księżycowej; że słyszy jej głos, jej łkanie, jej słowa, które mówiły: Otom jest »oszukana, przeklęta, zabita!« I, jak powiada, »próżno się zatokami wężowemi kręcił«: głos ten, pełen rozpaczy, leciał za nim wszędzie i nie przestawał mu brzmieć w uszach ani na chwilę. Próżno starał się przekonać sam siebie, że ostatecznie walczy tylko ze złudzeniem; próżno powtarzał na głos:

Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro!
Wszak tu jęk nie dolecі, wszak łez nie zobaczę:
To jezioro, to fala, to nie ona płacze!

Nic nie pomagało! Głos sumienia buntował się przeciwko tym sofistycznym perswazyom rozsądku i dręczył go przez całą noc, aż do samego Veytoux. Nadto trapiła go jeszcze niewypowiedziana tęsknota za Maryą, a oprócz tęsknoty — smutne przeczucie, graniczące niemal z pewnością, że już nie zobaczą się nigdy.

---

[1]) Zob. wiersz p. t. *Sumienie*. Pism pośm. t. I, str. 33.

ROZDZIAŁ III.

OSAMOTNIENIE I TĘSKNOTA.

Położenie Veytoux. I. Mieszkanie poety. Jego uczucia. Usycha z żalu, omdlewa z tęsknoty. *Rozłączenie. Stokrótki. Przekleństwo. Wspomnienie Laury.* Minister protestancki. Geneza *Lilli Wenedy*. Filozofia sztuki. Zamek Chillon. Poemat Byrona. Przyjazd Eglantyny do Veytoux. Wiadomości o Maryi. Powrót do Genewy. II. Jesień roku 1835. Kajocki. Stosunek do Eglantyny. Modlitwy o paszport do Włoch. Przedostatnia scena z Eglantyną. Pożegnanie. Wyjazd do Rzymu (luty 1836 roku).

»Nic piękniejszego, jak okolica, w której żyję!« pisał Słowacki do matki, we wrześniu, po dwóch miesiącach pobytu w Veytoux, które, jako miasteczko, położone na zielonej równinie, na południowym krańcu jeziora Genewskiego, w najbliższem sąsiedztwie zamku Chillon i skał Heloizy, nie dziw, że swoją wiejską spokojną pięknością czarowało i rozmarzało poetę. »Na jasnych i wodnistych łąkach wzniesione (opisał je w kilka lat później Słowacki w jednym z swoich przepięknych listów *Do autora Irydyona),* z pod czarnych gór uśmiecha się wiosenną zielenią, z pod gór, które, podobne legionowi rzymskiemu, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprószyć... Co? Kilka małych domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rzęd ciemnych drzew kasztanowych, które — jesienią — owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych, mnóstwem owoców spłonione«[1]). Stoki gór, jak wszędzie

[1]) Zob. *Lilla Weneda*, List II Do autora *Irydyona*.

nad Lemanem, porosłe winnicami; w górze śnieżne wierzchołki sławnych dzięki romansowi Rousseau'a skał Meilleries, mieniące się w słońcu na podobieństwo perłowej macicy: słowem, widok nie do opisania. Ludzie, którzy widzieli Neapol i Helespont, mówią, że piękność krajobrazu Veytoux, w niczem nie ustępuje tamtym. I kto tu nie był, ten, jak się wyraża Słowacki, próżno będzie krajobrazy tworzyć, »osrebrać je księżycem i promienić świtem«; bo nie wie, »że trzeba niebo zwalić i położyć pod oknami (domu, w którym mieszkał poeta) i nazwać jeziora błękitem«;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę:
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;

w czasie niepogody zaś »włosem deszczu skałom wieńczyć głowę«; a podczas nocy letnich, miesięcznych i widnych, widzieć wszystko »w księżycu odkreślone kirem«.

I.

Niewielki domek, w którym zamieszkał poeta, domek, taki ładny i jasny, że »zjadłoby« go się chętnie, stał na pograniczu pomiędzy Veytoux a sąsiednią wioską Oeglone, i był własnością wieśniaków, którzy za piękność jego kazali sobie dobrze płacić cudzoziemcom, przyjeżdżającym tu na zimę dla kuracyi winogronowej i dziwnie ciepłego klimatu. Słowackiego jednak nie »darli« tak niemiłosiernie, jak innych; przeciwnie, pomimo, że miał pokój, jak wymarzony, wynajmował go za cenę bardzo przystępną. Był to pokoik stanowczo najpiękniejszy ze wszystkich, w jakich Słowacki mieszkał kiedykolwiek w życiu. Słoneczny, pełen światła, z widokiem na zamek Chillon, widny o dwieście kroków, na winnice, na jezioro, »prześlicznie« umeblowany, czyściutki i wesoły, odwiedzany w ciągu dnia przez jaskółki, tłukące się czasem piersią o zwierciadło, służyłby Słowackiemu za rozkoszne gniazdko, gdyby nie smutek, nurtujący duszę poety, od chwili, kiedy wyjechał z Genewy.

Mimo złudzenia bowiem, niestety! optycznego tylko, że się dostał do raju, w gruncie rzeczy, jeżeli myślał czasami o raju, to jedynie w ten sposób, w jaki o nim myśleć musieli nasi pierwsi rodzice po wypędzeniu z Edenu; a w takim razie rola Anioła Gabryela, który go z Paquis »wygnał na samotność«, przypadła Eglantynie. Samotność

ta, przez to właśnie, że zaprawna smutkiem i melancholią, dokuczała mu najbardziej; i tu leży przyczyna, dlaczego mu się wszystko wydawało ciemnem i »mgłą tajemnem«. Patrząc na otoczenie »wzrokiem ponurym skrą i łzami«, myśląc nieustannie o Maryi, o której pozbawiony był wszelkich wiadomości, mógł z ręką na sercu powiedzieć o sobie, jak powiedział w swojej szwajcarskiej idylli, że

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.

Istotnie tak było: tęsknota za Maryą i rozłączenie z nią, co na razie potęgowało niezmiernie samo uczucie miłości, takim przejmowały go smutkiem, że, jak powiada, chciało mu się poprostu umrzeć. Słowa bowiem, które miał z czasem włożyć w usta Anhellemu, najlepiej określały jego własne uczucia, jakich teraz doznawał w Veytoux z powodu panny Wodzińskiej:

— Otom zobaczył anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; i dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej, jak ptak swojski, co się boi; i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko: jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

...Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła i wolałbym był wczoraj umrzeć.

Pod wpływem tego uczucia napisał Słowacki — pomiędzy 20 a 30 lipca — kilka »lirycznych kawałków«, które malowały stan jego umysłu w tych czasach, a które p. t.: *Rozłączenie, Przekleństwo, Stokrotki, Ostatnie wspomnienie* i *Chmury* należą do pereł liryki erotycznej polskiej.

Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Łudząc się chwilami w kwestyi uczucia, jakie dla niego żywiła Marya, wyobrażał sobie, że tak samo, jak on po niej, i ona tęskni po nim. W przeciwnym razie duma nie pozwalałaby mu tęsknić po niej.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.
A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,

to przecież

Znając twój dom i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ty jednak »próżno będziesz krajobrazy tworzyć«, bo, nie będąc nigdy w Veytoux, nie jesteś w możności wyobrazić sobie tej prawdziwej ziemi obiecanej, wśród której żyję i marzę o tobie.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich: kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze.
Dziś je widzę; widziałem zapalone wczora:
Zawsze mi świecą; smutno i blado, lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:
Lecz, choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Ale przeświadczenie, że i Marya tęskni za nim, nie umniejszało bynajmniej smutku, choć było w pewnym stopniu smutku tego niejaką osłodą. »Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei« błądząc po okolicy, myślał o niej tylko, niezdolny — chwilami — do myślenia o czem innem. Wszystko mu ją przypominało, a nic tak rzewnie, jak białe stokrótki, które zrywał teraz i obrywał listek po listku, tak samo, jak to czynił niedawno, w towarzystwie Maryi; i wszystkie jego smutki, jak powiada, »zbiegały się wtedy razem do białej stokrótki, co była siostrą stokrótek w alei«.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział...
I wiesz, co listek ostatni powiedział?

Oto, że jest jeszcze kochany przez nią. Nędzna pociecha! albowiem chociażby nawet tak było, wszelką pewność stałości ze strony Maryi zatruwała inna pewność: że się nigdy, nigdzie połączyć nie mają, że muszą się rozejść na drodze życia i o ile możności zapomnieć jedno o drugiem, bo nic im nie pozostaje innego. Niestety, serce nie sługa, jak powiada Mickiewicz, nie zna co to pany, i rozkazywać mu trudno. To też i Słowacki był wobec swego bezsilny, i dlatego, pomimo głosu rozsądku, który mu radził zaprzątać sobie umysł czem innem, poezyą np., przebywał najchętniej i prawie ciągle na owej »wyspie ideału, przerżniętej

rzeką łez«, i zdawało mu się wciąż, że czuje, jak pachną warkocze kochanki, że widzi promienny blask jej oczu. I znów, jak powiada w strofie XVIII-ej swojego szwajcarskiego romansu, ogarniały go, drżącego, płomienie, i nie wiedział gdzie iść

i gdzie oczy schować
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym?

I starał się siłą wyobraźni przywołać postać Maryi przed siebie; nie wiedział tylko, ile razy się tak myślą w przyszłości zagłębił, »jak sobie jej postać malować?«

Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,

jak Zosia w *Panu Tadeuszu,*

Chodziła, gdyby zaklęta królowa?
Czy, kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy, kiedy goni? czy, kiedy się chowa,
W księżyca blasku biała, lub wieczorem
Od Alp, na śniegach różowych, różowa?

W nocy, bywało nieraz, budził się, otwierał okno i stawał w niem, zamyślony, »słuchając różnych płaczów na dolinie« i zdawało mu się, że w szmerze fontanny, »co wiecznie jęczy zapłakanym szumem«, pomięszanym z sentymentalnemi serenadami słowików, słyszy głos jakiś, mówiący mu o niej. A że z konieczności nie było w tych tajemniczych nocturnach ani jednego słowa nadziei, bo nie mogło być, więc poeta, otwierający im serce, mógł tylko »o śmierć prędką modlić się z rozpaczą« w tem przekonaniu, że i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,

Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie.

Obok tej tęsknoty po utracie Maryi znalazło się w sercu Juliusza dosyć jeszcze miejsca na żal do Eglantyny, od której miał częste listy, a którą przeklinał teraz — nawet wierszem — za wszystkie »żółciowe gorycze«, któremi go poiła, dopóki nie wyjechał z Genewy. Pod wpływem tego żalu i tej urazy do biednej dziewczyny, która zdaniem p. Tretiaka »może jakiś czas karmiła się nadzieją, że zdoła pozyskać serce poety, a zobaczywszy, że to serce zwraca się ku innej kobiecie, nie umiała utaić swego żalu, a czasem gorzkiego powstrzymać słowa«, napisał Słowacki swoje słynne *Przekleństwo,* rzucone Eglantynie, w którem, wymawiając jej swój wyjazd do Veytoux, między innemi zape-

wnia ją, że, jeśli dziś »w samotności, okryty żałobą, oczy błędne obraca za każdym szelestem«, to niech nie myśli, ażeby o niej wtedy pamiętał. Nie! bo »czekam, ale nie ciebie! tęsknię, nie za tobą!« Przeciwnie,

Tej czekam, omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi;
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,
A nigdy serca mego nie umiała krwawić.

Nie zniosłaby też, ażeby się ktoś dla niej wyrzekał dobrowolnie »ostatnich godzin szczęścia swojego na ziemi«, aniby potrafiła dla dogodzenia własnemu egoizmowi »wygnać »kogoś na samotność wśród pustyni, samotność, która na niego wpływ wywierała zabijający, potęgując napady spleen'u, i przeciw której lekarstwa szukać musiał w nudnych rozmowach z pewnym ministrem protestanckim, jedynym człowiekiem, jaki — oprócz gospodarstwa-wieśniaków — mieszkał w tym domu.

Człowiek to był nie zły, do rzeczy, a jako świeży wdowiec z pięciorgiem dzieci, budzący niezwykłe współczucie. Szkoda tylko, że rozmowa z nim stawała się zawsze męczącą i nudną; jako pastor bowiem, należący do sekty metodystów, miał swoje dziwactwa, a nadto, jak każdy metodysta, starał się wszystkim, a więc i Słowackiemu, narzucić swoje przekonania, na które poecie, dumnemu ze swego katolicyzmu, trudno się było zgodzić. Ztąd dysputy, często ożywione bardzo, choć jałowe, bo Słowackiemu ani przez myśl nigdy nie przeszło, ażeby zostać metodystą.

Większą też, aniżeli w dyskusyach tych, znajdował Słowacki przyjemność w samotnych dumaniach i przechadzkach z książką w ręku, z Szekspirem lub Byronem, których czytał sobie *en plen air,* leżąc na miękkiej murawie, w cieniu drzew; uważał bowiem, że miło jest

Pójść nad jasne zdroje
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnej
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej.

Na jednym z takich spacerów, pod wpływem odczytanej świeżo pieśni trzeciej *Wędrówek Childe Harolda,* zrodził się pomysł do tragedyi, której bohaterką miała być początkowo Julia Alpinula, unieśmiertelniona w tem arcydziele Byrona, a której z czasem sądzone było przedzierzgnąć się w »pół-posągową« *Lillę Wenedę*[1]).

[1]) Ob. Wiktor Hahn, *Studyum nad genezą Lilli Wenedy* (Lwów 1894), oraz List II Do autora *Irydiona.*

Do tej »pół posągowości« zaczął teraz Słowacki więcej nierównie przywiązywać wagi, aniżeli mu się to czynić zdarzało dotychczas, do pobytu w Veytoux; pobyt ten bowiem stanowił poniekąd epokę w jego życiu, przynajmniej w jego przekonaniach i wyobrażeniach artystycznych. Przedtem lubował się w ponurym, chorobliwym Byronizmie, drapując się w urojone często i nieszczere cierpienia; obecnie zaszła w nim stanowcza zmiana pod tym względem, zmiana, ujawniająca się tem przedewszystkiem, że nagle, bez widocznego powodu »znienawidził« swoje pierwsze utwory. Czemu? Na to pytanie potrafił taką dać tylko odpowiedź, że wydawały mu się one dzisiaj nietylko chorobliwemi w założeniu, ale i nieudolnemi w wykonaniu. Jednocześnie poczuł w sobie raptownie »potrzebę większej doskonałości«, gdyż rozwinęło się w nim obecnie »jakieś nowe piękności uczucie«, uczucie, o którem nie wiedział jeszcze jak się ono przyoblecze w słowa; wiedział tylko, i z tego zdawał sobie sprawę najdokładniej, że cokolwiek napisze w przyszłości, już karty nowego dzieła będą jaśniejsze, pogodniejsze, pełniejsze równowagi moralnej; tak samo jak w słowach i stylu więcej będzie szczerości, łez, uczucia, a mniej pozy i retoryki, czem tak grzeszyły wszystkie jego utwory do *Kordyana,* i od czego nie była wolną nawet *Godzina myśli,* choć ten poemat lubił najwięcej ze wszystkiego, co napisał w Genewie, albowiem było w nim coś, co go jak gdyby kołysało »przeszłości dźwiękiem, jakąś cichą, dawną piosenką«.

Główną przyczyną tej szczęśliwej w Słowackim metamorfozy, która się i w ten także objawiła sposób (co świadczyło o pewnym stopniu dojrzałości umysłowej), że przestał nagle znajdować przyjemność w czytaniu powieści, oraz »w tłumie tych dzieł lekkich«, jakiemi dotychczas otaczał mniej więcej swój rozum, było, zaprzeczyć się nie da, zbliżenie się i częste przestawanie z naturą, z wszechstworzeniem. Sam przyznawał, że te trzy miesiące, przepędzone wśród najpiękniejszych widoków przyrody, wielką dlań były nauką, i że — dzięki tym krajobrazom egzotycznym, oświetlonym złotemi promieniami słońca lub seledynowemi księżyca, tym górom, temu jezioru błękitnemu, nabijanemu światłem, i tym wibracyom lodowców w upalne dni lipcowe — zmienił się do niepoznania w swoich poglądach na świat, a zwłaszcza na artystyczne sposoby jego odtwarzania. Te ostatnie były u niego aż do tej chwili w fazie fermentu, w fazie krystalizowania się, tak, iż można go było porównać do Schillera z epoki *Zbójców,* lub Goethego z epoki *Goetza von Berlichingen.* W Veytoux,

jakby za dotknięciem laski czarnoksięzkiej, miało się z nim stać to, co się stało z Schillerem, kiedy pisał *Don Carlosa,* co się stało z Goethem, kiedy zobaczył Włochy, co się stało z Mickiewiczem, kiedy zamknięty w celi bazyliańskiego klasztoru, z Gustawa przedzierzgnął się w Konrada. Podobna zmiana dokonała się teraz w Słowackim: z Kordyana (z pierwszego aktu) zrodził się nagle Anhelli.

A przyczyniła się do tego — oprócz wpływu natury — w niemałym także stopniu i samotność, ta, jak ją ktoś nazwał trafnie, najprzedniejsza geniuszów mistrzyni, samotność, która im pozwala skupić się w sobie, a której w starożytności wielu mędrców, a między innymi Chrystus i św. Jan Chrzciciel, szukali na pustyni, w dali od rozgardyaszu miast, od ciżby ludzkiej, od codziennej banalności życia. Taką pustynią dla Słowackiego było właśnie Veytoux. Odcięty od świata, od ludzi, a przynajmniej od znajomych, mając dni całe wolne przed sobą, nie potrzebując myśleć o jutrze, mógł z najzupełniejszą, niczem nie zamącaną swobodą oddawać się kontemplacyom, uważać »harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«; postrzegać, że sztuka powinna naśladować »tę dziwną wszystkiego jedność«; zastanawiać się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękiem natury, w nocy i we dnie, w pogodę i podczas burzy; widzieć ją zbliska błękitną albo chmurną; wsłuchiwać się w szmery potoków, w ciche szepty nocy, w melancholijną muzykę wieczoru, w dzwonienie skowronków, w śpiew słowików, w kumkanie żab, w plusk rybek, wyrzucających się nad powierzchnią wody, w nieuchwytne dla ucha rozmowy kwiatów i traw, w »rozpłakane« szumy fontanny: słowem, obserwować i patrzeć.

Raz, powiada, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miał wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze: tak, iż krajobraz cały zdawał się ożywiony duszą dzwonu, »jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga«. On tymczasem, zasłuchany, nie bez pewnej słuszności widział w tym obrazie, pełnym kolorów i dźwięków, niby wizerunek symboliczny tego, co czuł w danej godzinie: zamiast się modlić w kościele, słuchał z daleka między skałami dzwonu, co zwołuje spokojnych ludzi na modlitwę.

Podobnego rodzaju refleksye nasuwały mu się tu na każdym kroku. Oglądając zamek Chillon, podczas nocy, przy świetle księżyca (w dzień czytał nieraz *Więźnia Chylonu* Byrona, patrząc zbliska na mury zamku i więzień)

i słuchając śpiewania puszczyka, ukrytego w starej wieży, widywał czasami — podobnego doznając złudzenia, jak autor *Przedświtu,* na jeziorze Como — nieprzebrane tłumy mglistych, wymarzonych widm ludzi i rycerzy, z Boniwarem na czele, którzy ginęli niegdyś w tym zamku, a dziś zapomniani, odpoczywali snem wiecznym, obróceni w proch, z którego powstali, kiedy zamek ich tymczasem aż po dziśdzień stoi taki cichy w księżycowym blasku; i mimowoli rodziło mu się w duszy pytanie: za co ci ludzie ginęli? jaką była idea, w której imieniu padali śmiercią walecznych? i czy warto było nieść jej życie w ofierze, a często z życiem razem i osobiste szczęście? Pytanie to przez długi czas nie dawało mu spokoju, aż w końcu znalazł na nie odpowiedź. Było to pewnej niedzieli. Dowiedziawszy się, że w jednej z oberży na górze ma się odbyć bal, udał się tam o oznaczonej godzinie — bo smutno jest siedzieć samemu w domu w niedzielę — i dziwnego doznał wrażenia: na murawie, za którą, w dole, widać było błękitną taflę Lemanu, wieśniacy i wieśniaczki, wszyscy w malowniczych świątecznych strojach, tańczyli walca, a tak, że złudzonemu oku zdawało się, iż cały ten korowód tańczących uwija się nad brzegiem przepaści, z miejsca bowiem, gdzie stał poeta, przedewszystkiem rzucało się w oczy jezioro, widne tu zresztą wszędzie, z każdej ścieżki, z każdej doliny, z każdej góry. W głowie Juliusza, jak sam przyznaje, obudziły się dziwne myśli na ten widok. Nasamprzód ci ludzie, między którymi widziałeś mnóstwo pięknie zbudowanych mężczyzn i prześlicznych, zgrabnych kobiet, wszyscy bez wyjątku tacy weseli, rozbawieni, szczęśliwi, rozniecali tem szczęściem zazdrość w sercu, że nie wszystkim ludziom tak jest dobrze na świecie, jak im. Kiedy to tak będzie zawsze i wszędzie? — myślał sobie Juliusz. Ale jednocześnie obok tego uczucia zazdrości i zarazem politowania nad tymi, którzy podobnego szczęścia nie znają, rodziło się przypuszczenie: ażali ci średniowieczni rycerze Chillonu nie zapewnili zgonem swym szczęścia przyszłym pokoleniom, i czy nie oni temu winni, że nigdzie wieśniak nie jest tak szczęśliwy i bogaty, jak w tych stronach? Kto wie, czy owe więzienia Chillonu, czy te filary i pierścienie żelazne, do których przykuwano więźniów, nie są źródłem, z którego po wiekach wypłynął dzisiejszy dobrobyt ludu szwajcarskiego i jego wolność? Niejednokrotnie zastanawiał się nad tem Juliusz, a codzień, idąc na obiad do pobliskiego Montreux, i przechodząc koło ślicznego kościółka, otoczonego kwiatami, porosłego bluszczem, wijącym się po starych gotyckich ścianach, otoczonego murem, z którego

najpiękniejszy miałeś widok na jezioro, i położonego w ogrodzie z samych róż, jaśminu i błękitnych dzwonków; codzień, przechodząc tędy, powtarzał sobie: jak dobrze modlić się w takim kościołku! jak dobrze ludziom, którzy modlą się w nim od kołyski aż do grobu, którzy nie są zmuszeni, jak on, trawić najpiękniejszych lat życia na wygnaniu, depcząc »obcych ludzi łany«, wiecznie stęsknieni za ową ziemią obiecaną, na której się urodzili i wychowali, i której im żadna inna, choćby najpiękniejsza, zastąpić nie była zdolna.

I przestał wierzyć w możliwość szczęścia dla siebie na ziemi, bo szczęścia tego nie rozumiał na razie bez Maryi, i pragnął tylko jakiego cichego, małego domku przy Teofilach, z ogrodem, z jednym sługą, z szafą pełną książek, gdzieby mu dni upływały w spokoju i na pracy. »Bo czemże ja byłbym, pisał o tych swoich marzeniach do matki, gdybym stracił to okienko, przez które na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi. Teraz zdaje mi się, że jestem na coś potrzebny. Gdyby mi powiedziano, że nie, okryłbym się moim płaszczem i położyłbym się spokojnie do snu, pytając Boga, na co mi kazał grać rolę waryata na tym świecie?«

Cokolwiekbądź, »waryatowi« temu, dobrowolnie wyrzekającemu się wszelkich powabów szczęścia doczesnego, zaczynało się po niejakim czasie przykrzyć w Veytoux; »życie pustelnicze nad jeziorem«, tyle mające dlań uroku z początku, przestało go w końcu poetycznością swoją rozmarzać; tak, iż stopniowo, nieznacznie, począł tęsknić za swojemi dobremi gospodyniami genewskiemi, za panią Patteg, która go kochała jak syna, i nawet za Eglantyną, której niedawno jeszcze złorzeczył tak namiętnemi i niemiłosiernemi przekleństwy. Po upływie dwóch miesięcy, kiedy się dowiedział od Eglantyny właśnie, która umyślnie w tym celu przyjechała do Veytoux, że cała rodzina Wodzińskich [1]) opuściła ostatecznie Paquis i udała się do Drezna, (gdzie się Chopin oświadczył o Maryę i — nie został przyjęty) i kiedy go Eglantyna, nic nie wiedząca naturalnie o napisanem pod jej adresem »przekleństwie«, zaklinała ze łzami rzęsistemi w oczach, ażeby powrócił do nich, że ni-

[1]) Z wyjątkiem najstarszego syna, Antoniego, który nie mogąc wracać do kraju, udał się do Paryża, zkąd we dwa lata później wysłany został przez Ludwika Filipa z pułkiem lancyerów polskich do Hiszpanii. Tamże, ranny ciężko, otrzymywał serdeczne listy od Fryderyka Chopina, listy, z których, niestety, doszedł nas tylko jeden. Zob. w Biografii Schultza o Fr. Chopinie, str. 288 — 290.

gdzie mu nie może być tak dobrze, jak u nich, bo nigdzie otoczony nie będzie taką miłością matczyną i siostrzaną, nie mógł nie uznać całej słuszności tych perswazyi i, choć na myśl o powrocie takiego doznawał uczucia, »jak gdyby mu się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie kleiło«, to z drugiej strony przecież zasmucało go przypuszczenie samo, że ten dom, zkąd wyjeżdżał, płacząc, płakany, miałby mu być obcym tej zimy, że chcąc na swojem postawić i nie wrócić, musiałby znów nowych szukać ludzi, z nowemi oswajać się twarzami, kiedy tam uważano go, jak syna...

Bo zostać w Veytoux przez całą zimę było niesposób. Ciągła samotność skłaniała do melancholii i mizantropii. Nadto myślał i nadto się zachmurzał, będąc nieustannie sam, a że to nie zawsze dobry nań wywierało wpływ, z tego zdawał sobie sprawę doskonale. W Paquis tymczasem miał tyle samotności, ile chciał, miał jednak i możność pogawędzenia z ludźmi, potańczenia, słowem, rozerwania się. Kiedy na początku września zmuszony był wyjechać za interesami do Genewy na kilka dni, w sprawie paszportu do Włoch, zkąd go wciąż atakowali Teofilowie (Januszewscy), aby przyjeżdżał czemprędzej; i kiedy zamieszkawszy natenczas u swoich dawnych gospodyń, odetchnął znów tą samą serdeczną atmosferą ich domu, w którym przeżył dwa lata i gdzie mu dobrze było, gdzie spokojne wiódł życie, »jak we własnej rodzinie«, mimowoli ogarnęła go tęsknota za opieką i troskliwością, jakiemi go otaczały matka i córka Patteg, i gdyby mu nie było wstyd przyznać się do tego, kto wie, czyby tu już nie został całkiem. Jak zwykle o tej porze, *pension* w Paquis wrzało jeszcze licznem gronem cudzoziemców, w liczbie których znalazło się kilka ładnych Francuzek, z Paryża, gdzie grasowała właśnie cholera i zkąd schroniły się nad brzegi Lemanu. Towarzystwo ich, pomijając już inne względy, bardzo zachęcało do pozostania w Paquis. Przemógł się wszakże i, lubo niechętnie, powrócił do Veytoux. Po co? Sam nie wiedział. Chyba w tym celu jedynie, ażeby się nudzić i odbierać listy z Genewy, od Eglantyny (w których znajdowały się raz po raz i listy od Teofilów z Rzymu, oraz od matki, z Krzemieńca) listy, rozdzierające mu serce. Nie zawsze mógł to powiedzieć o listach Hersylki lub Teofila z Włoch, którzy zrozumieć w żaden sposób nie mogli tego, że on z powodu trudności paszportowych ruszyć się z miejsca nie może. Posądzali go nawet o skąpstwo i o brak ciekawości dla krajów nieznanych, jakby zapominali o tem, że sami mu w listach swoich pisali, że »nudzą ich bardzo

Włochy, a szczególniej Hersylkę«. On pomimo tego nie zrażał się i, przeciwnie z utęsknieniem marzył o klasycznej ziemi Italii, o lazurach włoskiego nieba, o blaskach tamtejszego słońca. Bo, pomijając już względy estetycznego piękna i korzyści, jakąby odniósł z tej podróży, jako poeta, znalazłby tam owo zapomnienie, o które modlił się Manfred, a któreby go uleczyło może po utracie Maryi. Albowiem wspomnienie jej towarzyszyło mu wszędzie i ciągle. Gdziekolwiek poszedł, gdziekolwiek »obrócił myśl biedną«, zawsze mu stawała na drodze, jak widmo senne, i przejmowała smutkiem. Cóż dopiero, kiedy z nadejściem jesieni, w październiku, zaczęły się deszcze i mgły, do reszty rozmiękczające nerwy i ostatecznie pogrążające człowieka w letejskich nurtach spleenu. Myślał wtedy, że oszaleje! W końcu ogarnęła go taka obawa, taki lęk jakiś, żeby go ta melancholia istotnie do szczętu nie zgryzła, że spakował któregoś dnia wszystkie manatki, siadł na statek parowy i wrócił do Genewy.

II.

»Wrócił więc Anhelli do jamy pustej i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było«; a patrząc na ten dom, w którym go, jak mu się teraz zdawało, panna Maryanna »kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode dziewczęta polskie kochają«, w którym z nią biegał po murawach ogrodu i w którym przeżył jedyne chwile »szczęścia swojego na ziemi«, śmiało mógł zastosować do siebie słowa jednego z bohaterów swoich: »O, tu mi był eden! Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia, hymnem anielskim! Drżę cały, kiedy myślę, i tego widziadła nie mogę teraz wygnać z pamięci, nie mogę!« I trudno mu było powstrzymać się chwilami od płaczu, bo — jak sam powiada w liście do matki z tego czasu — człowiek najszczerzej płacze, kiedy płacze nad sobą samym.

Tymczasem

> Jesień z liryzmem smutnym przyszły w parze
> Na jego duszę, niby dwaj grabarze,

i nietylko, że mu się w oczach ćmiło od łez, łez szczerych i serdecznych, ale go jeszcze dochodziło ze dworu smutne i jednostajne »płakanie drzew«, które, słońca wzywając daremnie, wdziały na siebie »z liścia złotego ubranie«. Jesień, zwykle taka piękna w Szwajcaryi, tego roku była

brzydka, chłodna, dżdżysta, tak dalece, że już w październiku okazała się potrzeba palenia w piecu. Czasami popadywał śnieg. Powietrze było wilgotne, przejmujące. Cała dolina napełniła się iście londyńskiemi mgłami, które, kręcąc się i wyjść z niej nie mogąc dla otaczających gór, mżyły wciąż drobnym, przedziwnie do spleenu usposabiającym deszczem (u nas nazywa się deszcz taki kapuśniaczkiem). Drogi zaległo błoto, a duszę Słowackiego — czarne, rozpaczliwe myśli. Mało wychodząc z domu, większość dnia spędzając samotnie i bezczynnie, zaczął z nudów, wyglądając przez zapotniałe szyby okien, układać w głowie różne sentymentalno-wyszukane metafory, przyrównywując naprzykład Genewę o tej porze do serca, które się samo w sobie zasklepia i, raz napełnione mgłami, nie wypogodzi się tak prędko, jak serca, co są na wszystkie cztery wiatry otwarte.

Jego serce, nie należące — jak mniemał — do liczby tych ostatnich, wypełnione melancholijnemi mgłami wspomnień o Maryi, podobnież zasklepiało się teraz samo w sobie, czemu należało przypisać, że jemu, który lubił takie poetyczne metafory, wydawały się one dzisiaj »smutnie śmiesznemi«, tem smutniejszemi, że oprócz metafor tych, nie dowcipnych zresztą, nic innego nie przychodziło mu jakoś do głowy. Dziwna rzecz! On, który każdej jesieni — od kilku lat przynajmniej — nawiedzany był przez jakąś nową myśl poematu, w tym roku miał wyobraźnię podobną do niezapalonej latarni. Nie mając zaś pod czaszką żadnego zmyślonego obrazu, mimowoli musiał oddawać się kontemplacyom na temat rzeczywistości.

A rzeczywistość ta wcale się nie przedstawiała świetnie. Kilka godzin gry na fortepianie, poprostu dla zabicia czasu, parę godzin lektury, po obiedzie, t. zn. nad wieczorem, kilka partyi wista, w którego *notabene* zawsze przegrywał: oto, jak mu upływały dnie całe. A towarzystwo? To składało się z jednego Anglika, jednego Francuza i jednego Polaka, niejakiego Kajockiego: trzech niedobitków z całego różnojęzycznego grona gości, co mieszkali u pani Patteg w ciągu ostatniego lata.

Najsympatyczniejszym z nich był ów Kajocki, bogaty Litwin, lubiący bawić się, trzymający konie i powóz, co poniedziałek wyprawiający wieczorki z tańcami, i mający wszystko, prócz zdrowia. Słowacki znał go z widzenia jeszcze z Wilna, z uniwersytetu. Mieli wtedy wspólną znajomą w Julce Saundersównie, córce profesora, w której Kajocki kochał się zapamiętale, a która umarła parę lat temu. Wspomnienie jej było ogniwem, które sentymental-

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

nego trochę Litwina miało teraz do Juliusza przywiązać bardzo silnie, był to bowiem jedyny człowiek na obczyźnie, z którym mógł o niej rozmawiać, który ją znał.

Towarzystwo Kajockiego, bardzo poczciwego zresztą i serdecznego chłopca, miało dla poety tę przynajmniej dobrą stronę, że dawało mu możność rozmawiania popolsku; bo gdyby nie on, nie byłby chyba Słowacki, jak ów rycerz z szekspirowskiego Ryszarda II-go, który, skazany na wygnanie, powiada: »Język mój teraz będzie mi niepotrzebny, tak właśnie, jak rozstrojona lira albo harfa, lub też jak sztuczny instrument, odemknięty i podany temu, co nie zna żadnych prawideł harmonii [1]). Bo, nie wychodząc prawie z domu i nie bywając nigdzie, ponieważ nie wszedł od czasu powrotu z Veutoux w żadne towarzystwo polskie, choć — jak sam powiada — bardzoby to łatwem było dla niego, jedynie z Kajockim miał sposobność w ojczystym porozumiewać się języku. Zresztą mówił wciąż po francusku. Stosunków z genewską kolonią polską nie odnawiał, dlatego głównie, że zwykle nudził się na wieczorach, a powtóre, że każdy taki wieczór kosztował go z ośm franków: mieszkając za miastem, musiał każdym razem brać powóz, kosztujący sześć franków, co wraz z rękawiczkami za dwa franki utwierdzało go dostatecznie w przekonaniu, że »kto się na wieczorach nudzi, ten nudów tak drogo kupować nie powinien«.

Wolał zostawać w domu i, w najgorszym razie, gawędzić z Eglantyną. W najgorszym razie? Tak jest, z Eglantyną bowiem nie łączył go już taki serdeczny stosunek, jak dawniej. Wspomnienie Maryi rzuciło przykry przedział pomiędzy nich, przedział, którego złagodzić, ani usunąć nie zdołała nawet miłość Eglantyny. Przeciwnie, pogłębiała go raczej. »Ty wydarłaś ostatnie godziny szczęścia mojego na ziemi«. Słowa te były wciąż w myśli Słowackiemu przytomne, ile razy Eglantyna stawała przed nim, ile razy zamieniali z sobą spojrzenia, ile razy zdarzyło się, że w rozmowie potrącili o wspomnienie Maryi, wspomnienie, które Eglantyna radaby chętnie wyrugować z pamięci Juliusza, ponieważ ono jedynie — czuła to instynktownie — mroziło tak stosunek jej do poety, ponieważ ono było źródłem tej rozterki moralnej, jaka nad nimi zawisła. Jakoż doszło do tego w końcu, że oboje unikali wspólnej

[1]) Por. z tem *Anhelli*, rozdział XV. »Oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami. Do kogóż mówić będę?«

rozmowy o Maryi, zrozumieli bowiem, że jest to zarówno dla niego, jak dla niej, niezabliźniona rana, która boli za najlżejszem dotknięciem. Lepiej więc nie poruszać jej wcale. Nie mogąc jednak mówić o tem, co go obchodziło najżywiej, zwłaszcza, że pozbawiony wszelkich wiadomości o Maryi, straszne cierpiał niepokoje, miał sobie teraz Słowacki wogóle z Eglantyną do powiedzenia bardzo niewiele, »pomimo tortury umysłowej«, jaką sobie zadawał. Eglantyna, która była za inteligentną, aby tego nie widzieć, bolała nad tem, trapiła się, płakała, ale muru głową przebić nie mogła; a że czasami, nie mogąc już dłużej ukryć tajonego bólu, wymawiała go Słowackiemu, wytworzyła się wskutek tego atmosfera tak duszna, tak męcząca, że im obojgu już oddychać nią dłużej było trudno.

Tylko, że istniała wielka między rozczarowaniami ich różnica; bo, choć jedno, jak drugie, doznało zawodu: on, wracając do Genewy, ona, odzyskując go znowu dla siebie wyłącznie (jak myślała), to przecież uczucia, przez jakie przechodzili w tym czasie, bardzo niewiele miały cech pokrewnych. Pomijając już, że ona go kochała, a on jej nie, że ona mu przebaczyła dawno, co ucierpiała z powodu Maryi (bo kobieta kochająca wszystko przebaczyć gotowa ukochanemu przez siebie mężczyźnie), a on jej raz powziętej do niej urazy zapomnieć nie mógł (bo mężczyzna zawsze bywa w takich razach bardziej zapamiętałym), to były jeszcze inne względy, które sprawę Eglantyny z dniem każdym pogarszały coraz bardziej. Przedewszyskiem nudził się Słowacki obecnie w jej towarzystwie. Powtóre, kochając go, narzucała mu się ze swoją miłością, co nigdy kobiecie nie wychodzi na dobre. Potrzecie drażniła go i irytowała, kiedy mu robiła wyrzuty, że jej w zamian za przywiązanie odpłaca zimną obojętnością, że nie jest już dla niej takim, jakim był dawniej. Słowackiego to niecierpliwiło i nie widział innego sposobu zakończenia tej tragikomedyi, tylko wyjechać z Genewy na zawsze, zejść Eglantynie z oczu.

Najchętniej, gdyby to od niego zależało, pojechałby do Włoch, do Teofilów. Cóż, kiedy, pomimo najusilniejszych starań, czynionych w Paryżu około uzyskania paszportu na wyjazd ze Szwajcaryi, pozwolenia tego w żaden sposób otrzymać nie mógł. Przyjaciele jego paryscy, do których pisał w tej sprawie i którzy się podjęli ułatwiać mu wszystko, tak mało zadawali sobie starania gwoli urzeczywistnienia swych obietnic, że nastąpiło przedawnienie i skończyło się na tem, że prośbę poety ostatecznie odrzucono. Teofilowie tymczasem, choć sami nieświetnie bawili się

w Rzymie, nie chcieli wierzyć, ażeby Juliusz istotnie wyjechać nie mógł, i posądzali go o opieszałość. On przecież miał czyste sumienie pod tym względem, bo prawdziwie, że poruszył wszystkie, jakie się dało tylko sprężyny, ażeby się wyrwać z Genewy, która »nudziła go już z bardzo wielu (wyżej wymienionych) przyczyn«; a powtóre, że niezmiernie wiele obiecywał sobie po tej podróży włoskiej. To też, kiedy stracił nadzieję odbycia jej w tym roku, przyznawał się otwarcie tak w listach do matki, jak i do Teofilów, że wielka mu przez to przyjemność ubyła w życiu, iż tej zimy spędzić z nimi razem nie może. Bo nietylko — pisał — że z rozkoszą marzył o tych kilku miesiącach wędrówki po ojczyźnie sztuki i piękna z dawno ukochanemi osobami, ale doznawał już »przeczuciem«, w imaginacyi, nowych wrażeń, smucąc się na dawnych ruinach, rozmyślając wśród gruzów ich nad wielkością wszelkiej potęgi ziemskiej itd.

Ale przykuty do miejsca, mógł rozmyślaniom tym oddawać się tylko w swej bujnej wyobraźni; z czego — wtrąćmy w nawiasie — Eglantyna w głębi duszy cieszyła się serdecznie. Nie kryła się z tem nawet przed Słowackim; bo i czemuż nie miałaby się do tego przyznać otwarcie, że na niczem nie zależało jej tak bardzo, jak na tem właśnie, ażeby on został przy niej, ażeby zniechęcony trudnościami, przestał w końcu »modlić się o paszport« i zrezygnował z wyjazdu. Słowacki jednak, jakby na przekór jej, skoro istotnie przestał wierzyć w możność zobaczenia się z Teofilami we Włoszech, począł układać inne plany, które znowu niweczyły cały gmach marzeń Eglantyny, wszystkie bowiem, jak gwiazdy około słońca, obracały się około wyjazdu z Genewy na wiosnę, do Brukselli, albo do Francyi południowej. Uskutecznienie tego projektu — tłómaczył Eglantynie — nakazywały mu poprostu względy na matkę, względy oszczędności. Życie w Genewie jest dla niego zakosztowne; nie może tyle wydawać nadal, musi się ograniczyć w wydatkach koniecznie. Nie może ścierpieć dłużej, ażeby, kiedy on ma ogień na kominku, matka jego sypiała w nieopalonym pokoju — ze względów oszczędności. Byłoby to egoizmem nie do darowania, godzić się z myślą, że się jest matce ciężarem, i pomimo tego przeświadczenia, wydawać więcej, aniżeli na to pozwalają fundusze. A on stanowczo, dotychczas przynajmniej, żył nad stan. Zarabia bardzo mało; książki, które wydał własnym nakładem — za otrzymane z domu pieniądze — nie przynoszą mu prawie nic, a choćby nawet przynosiły i więcej, to, »wystawiony na wszelkie szachraj-

stwa księgarzy«, których rachunków nigdy zrozumieć nie mógł, na dochód z tego źródła nie może liczyć żadną miarą. Dlatego postanowił przenieść się do jakiego tańszego kraju; dlatego, niechaj mu ona zarówno, jak i jej matka, nie biorą za złe, jeżeli dom ich za kilka miesięcy, a może i wcześniej, opuści itd.

Słysząc to Eglantyna, która instynktem kobiecym odgadywała, że nietylko te są powody, skłaniające Juliusza do opuszczenia Szwajcaryi, chciała koniecznie, aby mieszkał u nich nadal za połowę ceny; a kiedy po niejakim czasie (30 listopada) oświadczył, że z nastaniem wiosny, gdy śniegi potopnieją w górach, wyjedzie stanowczo, nieodwołalnie, ona »płakała, płakała, płakała«. Próżno starał się jej wytłómaczyć (a rozmawiali tego wieczora do pierwszej po północy), że nie jest jeszcze do takiej doprowadzony ostateczności, ażeby nadużywać przyjaźni biednej wdowy, która, ciężko pracując na kawałek chleba, z wielkim go ostatecznie zarabia kłopotem; Eglantyna zaklinała go wciąż, aby został, aby się poprostu ulitował nad nią, bo ona nie przeżyje rozstania się z nim (zapewnienie, w którem Słowacki widział tylko sentymentalną egzaltacyę starej panny), bo nie godzi się dla kaprysu poświęcać czyjegoś szczęścia, a może i życia itd.

W takiem usposobieniu zastała go zima w roku 1835, zima ostra, śnieżna i mroźna, dla niego zaś o tyle nieznośniejsza, że zmuszony kostnieć z zimna, wybić sobie z głowy nie umiał południowego słońca Włoch, o których marzył nieustannie, jak o ziemi obiecanej, a których, jeśliby nie miał zobaczyć, to jedynie dzięki niedbalstwu swoich paryskich przyjaciół. Nagle w połowie lutego 1836 roku, kiedy wszelką już stracił nadzieję wyjazdu do Teofilów i spotkania się z nimi pod lazurowem niebem Italii, przysłano mu niespodziewanie z Paryża z takiem upragnieniem i od tak dawna oczekiwany paszport, z którym w kieszeni, mógł jechać natychmiast. Jakoż nie zwłóczył. Pieniądze miał (oprócz dwustu rubli, które mu przysłali Teofilowie, otrzymał był jeszcze od matki niedawno świeży zasiłek), a że w długie pertraktacye z Eglantyną wdawać się nie chciał, postanowił więc, nie czekając, aż śniegi potopnieją, wyruszyć zaraz. I uczynił, jak zadecydował: spakowawszy rzeczy, pożegnał się ze swemi gospodyniami, podziękowawszy im za wszystkie dobrodziejstwa, jakich mu w ciągu tych trzech lat nie szczędziły; Eglantynie, dla której ten dzień rozstania z nim (przeczuwała, że na długo, jeżeli nie na zawsze) był najsmutniejszym dniem pewno, jaki miała w życiu, dał piękną szkatułkę, pełną drogich dla niego

pamiątek (był w niej między innemi stary, przywieziony z kraju, zegarek); poczem, obiecawszy jej, że będzie pisywał do niej, siadł do dyliżansu pocztowego i, nie przypuszczając, że opuszcza Paquis na zawsze, podążył do kraju, gdzie cytryna dojrzewa,

Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi...

KSIĘGA PIĄTA.

WANDERJAHRE.

1836 — 1838.

ROZDZIAŁ I.

W RZYMIE.

Początek niedokończonej powieści humorystycznej. Podróż ze Szwajcaryi do Rzymu. *Marya Krystyna*. Noc na morzu. Przybycie do Civita Vechia. Wylądowanie na ląd rzymski. Wschód słońca. Refleksye filozoficzne (22 lutego 1836). I. Hotel *Babuino*. Teofilowie Januszewscy. Franciszek Skibicki, »Polak, Szambelan Jego Cesarskiej Mości i Katolik«. Jego karykatura w *Nowej Dejanirze*. Psychologia Słowackiego w Rzymie. Doznane wrażenia i *Beniowski*. Słowacki i Rafael. *Causeries romaines* na temat sztuki. Portret Słowackiego, malowany przez Teofila Januszewskiego. Pejzażomanja. Znajomości z malarzami. Suchodolski i jego żona. Brzozowski. Stosunki towarzyskie. Ówczesna kolonia polska w Rzymie. Stosunek z »Filami«. Początki rozczarowania Rzymem. II. Znajomość z Zygmuntem Krasińskim. Psychologia Słowackiego i Krasińskiego. Różnica temperamentów i ideałów artystycznych. Co Krasiński myślał o Słowackim w r. 1836. Słowackiego uczucie dla Krasińskiego. *Irydion* i *Balladyna*. Wspólne przechadzki po Rzymie. Nad grobem Shelley'a i Keats'a. Rozmowy w willi Mills. Muzyka Konst. Danielewicza. Pani baronowa Richthoffen. III. Psychologiczna geneza tragedyi *Beatrix Cenci*. Dyssonanse w stosunku do Teofila i Hersylki. Przyjazd Gajów z Wilna. Wyjazd do Neapolu (5 czerwca 1836).

Przed kilku laty ogłoszono w *Warcie*[1]) fragment z niedokończonej powieści Słowackiego, którą poeta zaczął pisać około roku 1841, w Paryżu, a która, choć zaczęta tylko, bardzo wiele światła rzuca na pobyt Słowackiego w Rzymie, a zwłaszcza na jego podróż do Rzymu. Powieść jest trzymana w tonie humorystyczno-sarkastycznym, w tym samym, jaki cechuje *Nową Dejanirę*, napisaną w tymże czasie. Co ciekawsze, to, że w powieści tej, wido-

[1]) *Warta* z r. 1883, Nr. 452.

cznie pisanej w przystępie dobrego humoru, te same występują postacie, co w *Nowej Dejanirze,* z tą różnicą, że dwie córki hrabiego Respekta tutaj nazywają się Wanda i Marya, kiedy w *Nowej Dejanirze* noszą poetyczniejsze imiona Dyany i Stelli. I ów »Szambelan jego Cesarsko-królewskiej Mości i Katolik«, który tak rozśmiesza sobą czytelnika *Nowej Dejaniry,* występuje w tej powieści, a występuje plastyczniej i żywiej, bo opisany dokładniej, aniżeli w dramacie.

Powieść ta, w której Słowacki bardziej jeszcze, aniżeli w innych utworach swoich, »nie tworzył prawie nic, lecz przypominał» zaczyna się od bardzo zabawnej inwokacyi do gęsiego pióra, poczem poeta opisuje parowiec *Maryę Krystynę,* pędzący w noc księżycową z Genui do Civita Vechia, statek, podobny do »cudownej bańki mydlanej z różnych kolorów«, a wiozący nowy zastęp podróżnych, jadących do wiecznego miasta. Wśród tego kosmopolitycznego grona, które jutro już »rozsypie się i będzie po ruinach Rzymu łaziło«, stał — jak nam opowiada Słowacki — z cygarem w ustach, »pod warkoczem dymu ciemnego, na pokładzie zielono malowanym, oparty o poręcz statku czyli parochodu« bohater powieści, pan Alfons, emigrant, z »drzewa już — jak *Marya Krystyna* — na wszystkie ziemskie zapały i uczucia, rozkochany i przekochany i rozczarowany«, chwilowo zapatrzony w czarną tęczę dymu, buchającego z komina, tęczę gorącą jeszcze, pełną iskier, jak gdyby wyrzuconą z wulkanu. Czerwone iskry latały po niej, jak listki, a gwiazdy błękitne, migocąc przez nią, topniały w niej jak płatki śniegu, i gasły. Pomiędzy pasażerami tymczasem, których posągowa grupa stała na samym zadzie okrętu, toczyła się rozmowa o wynalazku pary, o kopule Św. Piotra, o grocie, gdzie psy zdychają, o synagodze w Livorno, o cygarach *della Fama,* rozmowa, której się pan Alfons przysłuchiwał z daleka, ale w niej nie brał udziału. A tymczasem »księżyc złoty, jak liczman *sinaeso,* rzucał ciche i melancholiczne światło, które w złote frendzle wieszało się po bałwanach morskich«.

Dla każdego, kto zna naturę talentu Słowackiego, odrazu przestanie być tajemnicą, że tym panem Alfonsem, smutnie zapatrzonym w owe »skry, ognia córki«, jest sam poeta, że to, co się w powieści odnosi do pana Alfonsa, w rzeczywistości odnosiło się do Słowackiego samego, który, jadąc z Genewy do Rzymu, jechał tą samą drogą przez Genuę i Civita Vechię, co i ów wymyślony bohater. Początkowo miał zamiar jechać przez Turyn, ale — jak powiada

w swej żartobliwej *Podróży na Wschód* — »dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn« i dlatego

leksza od rymu
Para mię gnała z Marsylii do Rzymu [1]).

Nareszcie ukazało się »czworograne miasteczko« Civita Vechia, za jego wieżami zaś, na pół zrujnowanemi, a stojącemi na cyplach, w morze zabiegłych, ujrzano brzegi Kampanii Rzymskiej, płaskie, ciemno surowego koloru, jakby umyślnie wygładzone, ażeby służyć »na podstawę ludzi wielkich i posągowych«. Statek przybił do brzegu, a *fachini* wzięli w opiekę cudzoziemców i »wola ludzka stała się zupełnie niepotrzebną«. Byli tacy, których aż pięciu *fachinów* odprowadzało do austeryi: jeden niósł tłomok, drugi pudełko od kapelusza, trzeci laskę, czwarty parasol, i t. d., Słowackiemu wystarczył jeden »na jednobagażową usługę«. Odchodząc od portu, poeta spojrzał raz jeszcze na stojącą u przystani *Maryę Krystynę,* i okręt ten, istne pieścidełko, ze złotą dziewicą na piersi, z oknami palącemi się odstrzałem zorzy różanej, wydał mu się istnem cackiem blasku, jakąś fantastyczną łodzią Tyberyusza albo matki Nerona, jadących do Caprei na ucztę. Ale to poetyzowanie rzeczywistości, o ile było możliwe w porcie, w pobliżu morza, zaróżowionego od zorzy, pod kopułą wspaniałego nieba włoskiego, o tyle musiało ustać, kiedy poeta wszedł do austeryi, gdzie należało pomyśleć przedewszystkiem o tak prozaicznej rzeczy, jak jedzenie. Ale poezya poezyą, a apetyt apetytem. Tymczasem apetyt dokuczał. Słowacki zadowolnił go »całą langusą [2]) z oliwą i z octem«, poczem najął sobie do Rzymu *veturin*'a.

Ruszyli w drogę, a poeta z pewnością tak samo, jak jego Alfons z powieści, »jechał przez pustą Kampanię Rzymską z tą myślą, że jedzie do Rzymu«. Ta myśl,

---

[1]) Pieśń I, strofa 10. Wynika z tego, że poeta jechał z Genewy na Marsylię, gdzie wsiadł na statek parowy. Po drodze zatrzymał się w Genui, zkąd podążył do Civita Vechia. Po drodze przejeżdżał koło Elby, o czem jest nawet humorystyczna wzmianka w omawianej powieści. Nadto statek zatrzymał się jeszcze w Livorno, gdzie poeta zabawił trzy dni. Później, po upływie roku przeszło, tak o tem pisał poeta, w liście z d. 11 lipca 1837 (II, 2): »Jestem w Livorno, w tym samym hotelu, gdzie 17-tu miesiącami przedtem (luty 1836) przebyłem trzy dni, jadąc połączyć się z Teofilami. Ten sam pokój mi dano«. Wracając ze Wschodu, w liście, na okręcie pisanym, na myśl, że wraca do Włoch, gdzie przed rokiem bawił z Teofilami, tak pisał Słowacki o tej podróży swojej do Rzymu (teraz, z Genewy): »Smutno mi do Włoch wracać, myśląc, że już ich (Teofilów) tam nie zastanę. Nie tak było, kiedym statkiem parowym gonił za nimi (z Marsylii). [2]) Wielki rak morski, rodzaj homara.

powstawszy w głowie poety, mimowoli nastrajała do pewnej melancholii, pobudzała do idealizowania natury; tembardziej, że ta natura i bez tego była pełna poezyi. Słońce nie wzeszło jeszcze, tylko nad morzem, za ruinami wież kwadratowych, za tłumem masztów okrętowych, unosiły się mgły poranne, przesłaniające horyzont. Maszty i żagle okrętów, słaniających się po fali, wydawały się »jako łabędzie stado, które ogarnął sen pod ruinami«; a kiedy, po chwili, obudził się wiatr lekki, który je pochylił w jedną stronę, robiły dantejskie wrażenie »girlandy dusz potępionych, gnanych w dalekie niebo«. Taki widok miał teraz Słowacki za sobą. Przed nim piętrzyły się szafirowe Apeniny, a u podnóża ich, w zieleni ogrodów, bieliły się pałace wiecznego miasta, »bezładnym kawałkom marmuru białego podobne«; w głębi zaś, ponad niemi, wyglądała kopuła kościoła Św. Piotra »i błyszczał krzyż brylantu miganiem«. Albowiem była to chwila właśnie, kiedy nareszcie »z czerwonych płomieni ukazało się słońce ogromne«, które z szybkością, wschodnim krajom właściwą, wyleciało niby olbrzymia kula z rozżarzonej miedzi; a skoro ten krąg mieniących się blasków rozpanował się na stepie, zdało się, że »uduchowione i w jedno ciało zbóstwione legie Rzymskie, jedną tarczą okryte, wyszły na spotkanie oczu łzami polskiemi zalanych«. Na widok ten, wzruszony myślą, iż się znajduje w środku trójkąta, którego bokami były: Rzym, morze i słońce! Słowacki — jak jego Alfons z powieści — kazał weturynowi zatrzymać się, wyskoczył z pojazdu, zwanego *Paretti,* wszedł na pobliskie wzgórze, a przystanąwszy na niem, chciał »obaczyć patrzącą w siebie myślą, o czem dumają stojące z marmuru posągi«. Lecz nie zobaczył nic, tylko wyniósł przekonanie, »że myśl, choćby obudzona widokiem największej na świecie rzeczy, jeśli nie czuje potrzeby zreasumowania się lub skondensowania się w słów krystalizacyę, staje się zupełnie rzeczą nieistniejącą na żadnym świecie. Ztąd postanowił strzedz się ludzi, którzy uchodzą za myślących, a nie wymyślili żadnej przemiany w materyi, żadnej sztuki kuglarskiej, z anatomii wykonanej«. Doszedłszy do tego smutnego przekonania, powrócił do swego weturyna, kazał mu jechać dalej, a sam, rozglądając się do koła, w miarę, jak się przybliżał do Rzymu, zaczął myśleć »o miłości dawnej, dziecinnej, o szkołach, gdzie go rzymskiej historyi uczono, aż nareszcie zobaczył wróbla i klasnął w ręce, z największym zapałem wołając: »Możeli to być, aby ten wróbel, którego ja widzę z kasztanowatem skrzydełkiem i czarnem podgarlem, tak samo

wyglądał dziś, jak wtenczas, gdy obraz jego malował się w gałce Brutusowej źrenicy? O naturo!« [1]).

W takiem usposobieniu dojechał Słowacki — dnia 22 lutego — do Rzymu [2]).

I.

W Rzymie spotkał się z Teofilami. Było to rozczulające spotkanie. Równo we dwa lata potem, wspominając tę chwilę, tak o niej pisał Słowacki do matki: »Dwa lata temu (d. 22 lutego 1836) wjeżdżałem do Rzymu, ściskałem Filów i odświeżałem u nich moje familijne uczucia: tak właśnie, jakbym kwiaty zerwane, i już uwiędłe, wstawiał do wody, aby głowę podniosły« [3]). Zamieszkano na *Strada Babuino*, w hotelu *Babuino* (którego »księga pasażerów, napełniona różnemi uwagami wierszem i prozą«, jeszcze w roku 1841 wywołała pogodny uśmiech na ustach Słowackiego). Teofilowie, dopóki byli sami, mieszkali »u Skibickich«; kiedy przyjechał Julek, zamieszkali z nim razem [4]).

---

[1]) Już w mistycyzmie pogrążony, pisał Słowacki, wspominając ten swój przyjazd do Rzymu: »Oto mię, Boże, przeraziła wielka moc rozwalin na dawnych polach Rzymskiego Cesarstwa: oczy moje szukały choćby jednej kolumny, któraby na źrenicach moich te same kształty nakreśliła, które się niegdyś malowały na źrenicy Cezara. Ale dzieła, ręką ludzi robione, odmieniły oblicza swoje; pomniki, na przetrwanie wieków stawiane, rozpadły się; krople rosy wyjadły oczy marmurowym posągom. Niepewny, czyli co widzę z kształtów, widzianych przed wiekami, ujrzałem wróbla, który zleciał na piaszczystą drogę i usiadł wśród rozwalonych grobowców. A duch mój wnet był pewny, że tenże sam rysunek piór, takie same czarne podgarle widziane były — przez legiony Warrusa«. Zob. *Geneza z Ducha*. [2]) Zob. List z Florencyi, datowany dnia 22 lutego 1838 r. (*Listy*, II, 26). [3]) *Ibidem*. [4]) Zob. *Kronika rodzinna* z r. 1885 str. 557. List Teofila Januszewskiego do pani Becu, datowany z Rzymu d. 21 stycznia(?) 1836 roku. »Julek od dwóch miesięcy(?) jest z nami. Mieszkamy razem, ma się rozumieć, już nie u Skibickich«. W tej wiadomości jest jakaś niedokładność, bo wiemy *napewno* (ze wspomnianego listu z Florencyi, z d. 22 lutego 1838 r.), że Słowacki przyjechał do Rzymu dnia 22 lutego 1836 r. Wynika z tego, że list T. Januszewskiego nie może być pisany d. 21 *stycznia* 1836 r., gdyż znaczyłoby to, że Słowacki już d. 21 listopada 1835 r. był w Rzymie, skoro dnia 21 *stycznia* 1836 r. pisał T. Januszewski, że »Julek od *dwóch miesięcy* jest z nami«. Jest to niepodobieństwo! Choćby dlatego tylko, że ostatni list, jaki poeta pisał z Genewy, nosi datę dnia 29 listopada 1835 roku, i że w liście tym, pisanym w dzień imienin pani Becu, Słowacki nic jeszcze nie wie, że niebawem wyjedzie do Rzymu; przeciwnie list jest pisany w tem przeświadczeniu, że »muszę na miejscu siedzieć«. Ostatecznie, jak o tem wiemy z pewnością, udało się Słowackiemu wyjechać z Genewy dopiero w połowie lutego 1836 roku, tak, iż do Rzymu przybył d. 22 tego miesiąca. Dowodzi tego (oprócz wspomnianego listu z Florencyi) jeszcze i list z Rzymu, datowany d. 21 maja 1836 r., a który zaczyna się od słów: »Ze smutkiem zapewne dowiesz się (mamo), że *po trzech miesiącach pobytu z Filami w Rzymie*« itd. Wszystko się składa na pewnik

Nie znaczyło to, ażeby — z chwilą przyjazdu poety — przestali się komunikować ze Skibickimi i całem kółkiem, z którem żyli Szambelan i pani Szambelanowa. Owszem, przyjazd Julka, którego Skibicki musiał znać jeszcze z kraju (mógł się z nim spotykać u swego stryja w Żytomierzu), w zupełności nie stawał na przeszkodzie, ażeby żyć z »Szambelaństwem« na takiej samej stopie, na jakiej wujostwo Słowackiego, pod nieobecność jego, żyli dotychczas. Przyjechawszy do Rzymu nie na kilka dni, ale na całą zimę, nie mogli stronić od towarzystwa, bo i w Rzymie można się nudzić, jeśli się nie ma znajomych albo się od nich stroni. Rozumieli to Teofilowie, a można być pewnym, że i Słowacki — z początku — nie miał nic przeciwko temu, ażeby się trzymać Skibickich; raz dlatego, że przyjemnie jest, mieszkając w obcem mieście, w atmosferze kosmopolitycznej, mieć towarzystwo polskie, módz rozmawiać po polsku; a następnie, że podtrzymując stosunki z całą ówczesną kolonią polską rzymską, która była dość liczna, żyło się z ludźmi, należącymi do najwytworniejszych sfer towarzyskich.

Szambelan Skibicki nie obracał się w innych sferach. Ożeniony z Heleną Drzewiecką, córką »pana Szefa« Drzewieckiego z Krzemieńca, bardzo bogaty, jako właściciel pięknego dziedzicznego majątku na Wołyniu, mający słabość do tytułów, próżny i przesadzony, był — szczególniej w oczach Słowackiego — najkomiczniejszą figurą ze wszystkich Polaków, wtedy przebywających w Rzymie. Przyszły autor *Nowej Dejaniry* nie mógł mu śmiesznostek jego darować: począwszy od tytułu »Szambelana Jego Cesarskiej Mości«, do którego Szambelan przywiązywał wielką wagę, a skończywszy na »czerwonej i oszczędnej peruczce«, którą sobie Szambelan zakrywał łysinę, wszystko w nim, nawet katolicyzm jego, podniecało sarkastyczny dowcip poety, który zrozumiał odrazu, że trudno o zabawniejszą figurę komiczną do komedyi lub powieści humorystycznej, aniżeli ten »Polak, Szambelan Jego Cesarskiej Mości i katolik«. Jakoż nie upłynęło pięć lat, a portret czyli karykatura »czerwono-rzadkowłosego Szambelana« znalazła się aż w dwóch utworach Słowackiego: w owej niedokończonej powieści rzymskiej i w *Nowej Dejanirze* [1]).

---

niemal, że list T. Januszewskiego, ogłoszony w *Kronice rodzinnej* nosi datę nie 21 *stycznia*, lecz 21 *kwietnia* 1836 r. To przypuściwszy, jesteśmy w posiadaniu owego *eureka*, które tłómaczy i rozjaśnia wszystko.

[1]) »Przy ruinach drzymie
Jeden Katolik-Polak i Szambelan

Tymczasem zwiedzano wszystkie osobliwości wiecznego miasta, a Słowacki, zachwycony Rzymem, na śmieszne strony Szambelana mniej zwracał uwagi. Jakie wrażenie zrobiła na Słowackim stolica katolicyzmu i papieztwa? Rozdział VII wspomnianej powieści, w której miały być, oprócz opisu podróży, »wypadki miłosne, awantury i filozofia«, zaczyna się od odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedź ta, trzymana w tonie żartobliwym, jak cały romans, brzmi, jak następuje: »Choćbyś *już* nie kochał (jak Słowacki, który od chwili rozstania się z Maryą Wodzińską był przekonany o sobie, iż jest »z drzewa *już* na wszystkie ziemskie zapały i uczucia, rozkochany i przekochany«), gdy cię na pustych

Jego Cesarskiej Mości, wielki filharmonik:
Rogaty złotą lirą Apollina,
Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik,
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa; młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą.
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pytagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojej szkolnej zasady nie łamie«.

Akt I, scena IX.

We wspomnianej powieści występuje Fr. Skibicki jako Szambelan Dafnis» a cały rozdział V jest poświęcony jego filharmoniczności. »Teraz, kiedy Alfons jedzie do Rzymu, radbym opowiedzieć, jak pan Szambelan Dafnis obaczył swoje złote okulary na nosie klarnecisty i współ-harmonicznego członka, i co ztąd wyniknęło... Powiem tylko, że szelmy Włochy posadzili Szambelana pod samym Apollinem, tak, że złote promienie, rozchodzące się z głowy bożka, zaczęły się rozchodzić w różne strony z Szambelana czerwonej i oszczędnej peruczki (w *Nowej Dejanirze* »rogaty złotą lirą Apollina«). A naprzeciwko siedział Włoch, ów sam *fachino*, we fraku, z klarnetem w gębie i w okularach (złotych Szambelana) na nosie. (Szambelan, gdy skończono kwartet, otworzył usta, może z reklamacią; wtem powszechne zrobiło się milczenie: Viceprezes, głosem zapraszającym, rzekł: *eh, canta, Signore, Eccelenza, eh, canta).* Takie było urządzenie sali filharmonicznej, podług wszelkich prawideł akustyki zbudowanej. Grano Donisetti'ego *La Lucia*, uwerturę ze *Sroki Złodziej*, patryotyczny chór z *Wilhelma Tella*. Pani Piccolini śpiewała aryę *I nobili sentimenti*, przez miejscowego artystę skomponowaną. Potem Towarzystwo zaprosiło Szambelana, żeby się dał słyszeć, co też Szambelan uczynił i odniesiony był tryumfalnie na rękach współtowarzyszy filharmoników z pochodniami do hotelu«. Przytoczyłem ten ustęp *in extenso*, bo musi to być jedno ze wspomnień rzymskich Słowackiego. Wynika z tego, że Skibicki był prezesem Towarzystwa filharmonicznego w Rzymie, do którego, prócz Szambelana, należało wielu Polaków, między innemi Aleksander Potocki, paru malarzy, z którymi się później zapoznał Słowacki, i wielu innych. Komizm Szambelana Skibickiego uderzał wszystkich, nietylko Słowackiego, ale i Krasińskiego. Oto, co o nim do Sołtana pisze autor *Irydiona*, (w liście z Neapolu, z d. 14 kwietnia 1835 r.): »Jeśli człowiek, który się *positif* urodził z łaski Pana Boga, chce się poetycznym wydać, to dziwolągi nadzwyczajne z siebie robi. Tacy ludzie tak robią poezyę, jak szewc kiepskie buty; tę jednak nad szewcem wyższość zachowują, że buty ciasne bolą nas, a ich śmieszność rozśmieszając nas, zdrowia nam przysparza«.

Rzymu ulicach odstrzelone od białych murów słońce wiosenne ogrzeje, gdy cię owionie i upoi zapach mocny kardynalskich i gdzieś za pałacami skrytych ogrodów, ten zapach mniszy, bukszpanowy i różany, kościelny i miłosny, choćbyś był płazem, uczujesz, że serce jest oddzielnym od natury ludzkiej zwierzęciem, z rodzaju zoophytów, które, paląc się ogiem nieznanym, krew ci, nóżkami wrosłemi w arterye, wysysa. O, wtenczas, jeżeli myśl twoja może powędrować do wnętrza którego ze starych pałaców i tam nakreślić sobie myśli ołówkiem rysy piękne, dziewicze, na pugilaresie imaginacyi: wtenczas uciekaj, bo nie znam niebezpieczniejszego grodu dla rozkochanego człowieka«. Czego dowodzą te słowa? Oto, że Słowackiego przez cały czas, jak bawił nad Tybrem, prześladowało wspomnienie Maryi Wodzińskiej; że o niej zapomnieć nie mógł [1]), i że sobie rysy jej bardzo często, błądząc po którym ze starych pałaców, kreślił »myśli ołówkiem na pugilaresie imaginacyi«; że, jak niedawno temu, w Genewie, myślą przebywał w Rzymie, *przeczuciem* doznając nowych wrażeń, tak teraz, w Rzymie, niemało przebywał myślą w Genewie, w Paquis i nad błękitami Lemanu, przy boku Maryi, której czarne oczy ścigały go aż tutaj, pod progi Watykanu, tak, iż myślał tu o nich więcej, niż przystało; więcej, aniżeli o rozumie kardynała Mai i poliglotyzmie kardynała Mezzofanti; więcej, aniżeli o Niebur'ze »który znał Rzym lepiej, niż Tacyt i chłop Transteweranin«; więcej, aniżeli o papieżu, »który jest chory na niewykurowanego polipa w nosie« (czem go, w przekonaniu poety, może ukarały nieba za bullę do biskupów polskich); więcej, aniżeli o ruinach Forum i Kapitolu.

Swoją drogą nie tracił czasu: co było do zwiedzania, zwiedzał: począwszy od słynnych akwaduktów rzymskich, które wzdłuż Kampanii Rzymskiej

> idą, jako tłum Samarytanek,
> Niosąc na głowie dzbany, korowody
> Dzbanów! lecz wszystkie — na głowach — bez wody [2]),

a skończywszy na malowidłach Rafaela i Michała Anioła, zdobiącemi Watykan i mnóstwo innych kościołów rzymskich. Oto wrażenie naprzykład, jakiego Słowacki doznał na widok rafaelowskich *loggi*'i, wrażenie, któremu poeta taki nadał wyraz w *Beniowskim*:

---

[1]) Rozdział VI wspomnianej powieści Słowackiego, zaczyna się od słów: »Miłości! Ty pewnie zagnieździłaś się w sercu mego Alfonsa« itd. [2]) *Beniowski*, Część II, str. 51.

I te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,
Lecz, o Jehowie będąc, *jest* Jehową,
Iskierką Jego treści dotykalną,
Ludzkim filarem wspartą i widzialną!

I kiedym w górę spojrzał, to przestrachem
Zdjęty myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem
I że kolumny są bez żadnych szczytów!
I chciałem myśli tytańskiej zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie, powtórzone, wisi boskie dzieło!
I trwa... A nasze co chwila zginęło!

Ten to »cudownie malowniczy gips« (freski Rafaela) miał w przekonaniu Słowackiego na myśli św. Jan, kiedy, mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie, mówił, że będą *zwinięte*,

Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte.
A Bóg światowi powie: »W gruzy syp się!«
A grobom powie: »Stójcie odemknięte!«
A tym sufitom: »Skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!« [1]).

Zwiedzanie kościołów, których w Rzymie, jak wiadomo, jest bardzo wiele, i bardzo pięknych, było niejednokrotnie głównym celem przechadzek po wiecznem mieście. Słowacki był zachwycony, zwłaszcza obrazami i mozajkami tych świątyń. W pieśni VII swojej *Podróży na Wschód* jest nawet jedna strofa, będąca poetycznem odbiciem tych wrażeń.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę, lub na sklep, gdzie *prix fixe*
Błyszczą klejnoty, lub do księżej celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfiks
Albo na rzymskich kościołów mozajki,
Lub na błękitny dym, rzucony z fajki.

Zwiedzając te kościoły i stare pałace rzymskie, kędy, jak powiada pięknie Krasiński, »przy obrazach Rafaela i gzymsach złoconych powój gruzów się rozplata«, wielbił geniusz nieśmiertelnego kochanka Fornariny (do którego portretu, przez samego Rafaela malowanego, podobną była trochę panna Wodzińska), godzinami całemi rozmawiał o nim z Teofilem, niemniej zapalonym wielbicielem mistrza

[1]) *Beniowski*, Część II, str. 49.

z Urbino, a za tło do tych *causeries romaines* służyły im bądź pyszne kościoły rzymskie, bądź Watykan, ze swemi renesansowemi *camera'*mi i *loggi'*ami. Zrazu, po obejrzeniu pierwszych obrazów Rafaela, doznał Słowacki małego rozczarowania: poprostu wyobrażał sobie więcej. Dopiero, kiedy się im przypatrzył raz i drugi, przekonał się, że jako prostota i jako wyraz są to rzeczy jedyne w swoim rodzaju, nieporównane z niczem. Nawet w Rafaelu z pierwszej epoki, kiedy nieśmiertelny twórca *Szkoły Ateńskiej* był jeszcze prerafaelitą tylko, nawet w tym Rafaelu począł smakować, zaczął się nim zachwycać, co zasługuje na podkreślenie, zważywszy, iż miało miejsce w r. 1836, a więc na całych lat 40 przed narodzeniem się kultu dla prerafaelizmu, na całych 40 lat przed Dantem Gabrielem Rosettim i angielskimi prerafaelitami; świadczy to bowiem, jak subtelną naturą artystyczną był Słowacki, jak rozumiał i odczuwał to, co się dopiero narodzić miało w 40 lat po nim, jednem słowem, jak znacznie — i pod tym względem — wyprzedził swoją epokę. Bo zaprzeczyć się nie da, że jak w jego dramatach, w takim *Horsztyńskim* np., nie brak scen, pisanych i pojętych w ten sposób, jak dziś pisze Maeterlink (z tą różnicą, że cały Maeterlink nie jest wart jednej sceny z *Horsztyńskiego),* jak cały szereg wierszy Słowackiego z epoki Towianizmu przypomina — i przewyższa — dzisiejszych dekadentów francuskich, pp. Mallarmé, Verlaine, Rimbaud, i wielu innych, tak i obecnie, w Rzymie, w roku 1836, stojąc przed obrazami Rafaela z czasów jego pierwszej maniery, mógł śmiało nazwać się jednym z pierwszych wielbicieli prerafaelizmu. Odbiciem tego zachwytu, doznanego w muzeum watykańskiem na widok płócien Rafaela, jest pewien ustęp z krytyki Słowackiego, napisanej w roku 1841 z powodu poezyi Bohdana Zaleskiego, a w której autor *Beniowskiego* pisał między innemi, co następuje: »Z całego poematu widać, że poeta chciał zachwycić prostoty, która ze szkoły malarskiej, katolickiej, włoskiej, a dziś małpiej tegoczesnej, niemieckiej (i protestanckiej) wypływa. Pierwsza — piękna — wyprowadzoną być może z watykańskiego obrazu Rafaela *pierwszej maniery,* gdzie z grobu Najświętszej Maryi Panny wykwita siedm lilii, a w koło stoją anieli, bardzo prosto odrysowani, ale cudownie pięknie. Kto pierwszy raz spojrzy, myśli, że to jakieś dziecko malowało, tak wszystko jest proste i niesztuczne: murawa bladozielonym pociągnięta kolorem, prawie bez perspektywy; dno niebios blade, jednostajne, jak turkus; ale kto się w twarze aniołów zapatrzy, powoli, powoli przestaje oddychać, zachwycony pię-

knością wyrazu i *małą a jednak dziwną* rozmaitością uczucia. Teraz Niemiec Overbeck, naśladując manierę Rafaela, trawy rysuje grynszpanowym, bladym kolorem, niebo zaciąga błękitem, aniołów robi podobnych do woskowych figurek, i taki blado-dziecinny postawiwszy obraz, sądzi, że dosięgnął najwyższego szczytu malarstwa« [1]). Zdaje się, że i Teofil Januszewski był tego samego, co i Słowacki, zdania o Rafaelu. Nie mogli się tylko zgodzić co do *Transfiguracyi*, tego największego może, choć rozmiarami najmniejszego, arcydzieła Rafaelowego pędzla, które artysta, umierając, kazał sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego będzie wystawione na widok publiczny — dowód, jak wysoko je cenił [2]). Teofil nie lubił tego obrazu; Słowacki przeciwnie, uwielbiał go.

Godzili się za to na jedno, kiedy Teofil przeniósł na papier rysy Słowackiego; portrecik ten bowiem, rozmiarami nie większy od *Transfiguracyi* Rafaela, należał bezwarunkowo do udatniejszych prac męża Hersylki. Słowacki, otrzymawszy go od Teofila na własność, zrobił z niego prezent Eglantynie, od której otrzymywał tu częste listy, miłe dosyć, bo »sercem pisane«. Portret ten, malowany akwarellą, przechowywała Eglantyna u siebie aż do końca życia. Oprawny w ramki wisiał zawsze w jej pokoju, pomiędzy portretami osób najdroższych jej sercu. Pani Seweryna Duchińska, która go widziała u niej jeszcze w roku 1874 [3]), taki nam daje jego opis: »Piękny to bardzo portrecik: rysy pociągłe, delikatne, nadzwyczaj regularne; wyraz oblicza smętny, zadumany; nie dopatrzeć najmniejszego zarostu. Z pod okrągłej czapeczki greckiej świeci wysokie czoło; po obu stronach wybiegają na skronie pukle ciemnych, wijących się włosów; oczy ciemne, szeroko rozwarte; wzrok głęboki, znaczący. Takim był Juliusz Słowacki w dwudziestym piątym roku życia, gdy przebywał w Genewie. Eglantyna podziwiała nadzwyczajne podobieństwo wizerunku. Rysy te same, jak w znanym medalionie dłuta Władysława Oleszczyńskiego; całość jednak więcej jeszcze przypomina portret Byrona w jego młodzieńczych latach«.

Już to wogóle malarstwo uprawiano teraz w Rzymie

---

[1]) *Warta* z 24 lutego 1884 r. str. 540. »Porównanie to, powiada Słowacki, zupełnie stosuje się do prostoty katolickiej *Przegrywek* (B. Zaleskiego)«. [2]) »Fil (Teofil Januszewski) nie lubił w Rzymie *Transfiguracyi*, a Rafael kazał ją sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego było wystawione na widok publiczny«. *Listy*, t. II, 123 (w liście z dnia 14 maja 1844 roku z Paryża). [3]) *Bibl. Warsz.*, 1874 r., I, 329.

z zapałem. Dziwna rzecz! Wszak i Goethe, kiedy bawił nad Tybrem, z zapałem oddawał się malarstwu. Toż samo powiedzieć można o Słowackim i o Teofilach: gdziekolwiek poszli, wszędzie — hołdując modzie swego czasu — brali z sobą pędzle i farby i, choć czytali już *Pana Tadeusza,* gdzie owo malowanie pejzażów tak komicznie charakteryzuje »ostatniego z Horeszków«, nie zdawali sobie sprawy, że i oni także z tą swoją pasyą pejzażową niemało przedstawiali tematu dla humorysty, kiedy malowali różne grobowce, ruiny, wodociągi, kaskady, cyprysy, laury etc [1]). A czynili to po części z zamiłowania, po części zaś i z nudów potroszę *pour passer le temps;* przebywając bowiem, od dwóch miesięcy przeszło, ciągle razem, wyczerpali w końcu temat do rozmowy, tak, iż zdarzały się chwile, w których nie było poprostu o czem mówić.

Z drugiej strony jednak zaprzeczyć się nie da, że niemałą pobudką do tej pejzażomanii było dla nich towarzystwo artystyczne, w jakiem przebywali często, towarzystwo dwóch malarzy, Brzozowskiego i Suchodolskiego, z którymi przestawali najwięcej, z którymi prawdopodobnie oglądali wszystkie muzea i galerye obrazów, i którzy oczywiście musieli tem samem jakiś na nich wywierać wpływ [2]). Przyczyniał się do tego w niemałym stopniu także i dobry ich znajomy z Podola, Aleksander Potocki, syn Szczęsnego i słynnej Greczynki Zofii, dziedzic Tulczyna i Zofiówki, sympatyczny oryginał, z niemniejszem upodobaniem, aniżeli grę na wiolonczeli, uprawiający malarstwo portretowe [3]).

---

[1]) Jedna z takich akwarelli Słowackiego, przedstawiająca (jak to sam na niej napisał poeta) »Grobowiec Nerona«, dochowała się do naszych czasów i jest własnością panny Barbary Beaupré w Krakowie. Reprodukcyę akwarelli tej podałem w swoim czasie w *Świecie* krakowskim, w Nr. 15 z roku 1889, na str. 348. [2]) O kolonii malarzy polskich w Rzymie znajduje się wzmianka w korespondencyi z Rzymu, pomieszczonej w *Trzecim Maju* z 31 maja 1841 r. (str. 104). »Pan Brzozowski, malarz, pracuje nad obrazem do kaplicy poznańskiej. Obraz ten przedstawia Chrobrego i Cesarza Ottona, klęczących przy grobie św. Wojciecha. Koło grobu stoją mnichy klasztoru, Benedyktyni, za klęczącymi (Chrobrym i Ottonem) giermkowie, rycerstwo polskie i niemieckie. Osoby są naturalnej wielkości, kompozycya doskonała. Znawcy powiadają, iż w żadnym z młodych artystów tak wielkiego nie upatrują, jak w panu Brzozowskim, talentu. Oprócz Brzozowskiego oddają się malarstwu w Rzymie (w r. 1840): Kuniewski, Weissenhoff, Chouppé, Lamocki. Wszyscy odkrywają (zdradzają) znakomite talenta: jedni co do kompozycyi, drudzy co do kopiowania«. [3]) Zob. o nim w *Listach* Słowackiego, II, str. 37. »Przyjechał tu (do Florencyi) wiolonczelista (Aleksander Potocki), który często w Rzymie do kwartetów Wańskiego używał. Jak zawsze oryginał. Dwa wieczory przepędziłem z nim w jego loży w teatrze, ma bowiem teraz lożę i wcale już nie tak skąpo żyje, jak pierwej, zawsze rysując portrety; zabawi to Filów; był w Rzymie i tam go zaraz jego olbrzymie nimfy otoczyły. Wański nasz w Anglii«.

Oprócz Brzozowskiego, przezwanego żartobliwie »wielkim pittorem koni« (bo istotnie same tylko malował konie), Aleksandra Potockiego i Suchodolskiego, męża bardzo pięknej i zalotnej żony, należeli do kółka Słowackiego i Januszewskich: Wański, skrzypek, znajomy ich jeszcze z Wilna, Zenon Brzozowski z Ukrainy, dobry znajomy Teofilów i pani Becu (matka jej była wielką jej przyjaciółką) i Aleksander Hołyński, młody obywatel z Białej Rusi z pod Witebska. W tem towarzystwie najwięcej spędzali wieczorów, bądź w teatrze, bądź na spacerach, bądź u Aleksandra Potockiego na kwartetach, do których, oprócz gospodarza domu, grającego na wiolonczeli, zasiadali: Wański, Januszewski, grający drugie skrzypce, i Suchodolski, grający na altówce. Inni, słuchając, zabawiali się tymczasem, każde na swój sposób: malarze rysowali karykatury (Brzozowski konie); Zenon Brzozowski i Hołyński rozmawiali z Hersylką, a Słowacki (że użyjemy wyrażenia, którego on nie znał) flirtował z panią Suchodolską, którą nazywał »swojem rzymskiem bóstwem«[1]), a której rola ta — sądząc z listów Słowackiego — bardzo zdaje się pochlebiała[2]). Na jednym z takich wieczorów wyrysował Suchodolski portret Słowackiego, »osobliwie trafiony, bardzo ładny i bardzo podobny«, portret, który sobie poeta obiecywał zachować do litografii, jeżeliby mu kiedy przyszło jakie wydanie poezyi swoich ozdobić *portretem autora*[3]).

Ale, jak wszystko na świecie, tak i towarzystwo to, a zwłaszcza ciągłe, po całych dniach, przebywanie z Teofilami, sprzykrzyło się w końcu Słowackiemu: straciło urok nowości. Zaczął się nudzić.

Niestety (jak o tem wiemy z *Naszych najserdeczniejszych* p. Sardou) najbliżsi, choćby to byli nawet bliscy krewni, nie zawsze bywają nam najmilsi (wie o tem każdy, kto ma liczną »familię«); tak samo, jak nie wystarcza być czyim krewnym, np. wujem, jak był Januszewski dla Słowackiego, ażeby nie tracić na bliższem poznaniu. O prawdzie tych słów przekonał się teraz Słowacki aż nadto dobitnie. Zapisując Teofilom »bez żadnej myśli«, jak powiada, wszystkie godziny swego życia, jadając z nimi razem śniadania, obiady i kolacye, spędzając w ich towarzy-

---

O Brzozowskim zob. w listach, t. II, str. 21. »Przejeżdżał tędy (przez Florencyę) malarz Brzozowski z Rzymu, jadąc do kraju, i prosił mię, abym się Filom kłaniał. Wielki *pittore* koni już dawno w swoich stronach; nic więc nowego. Skrzypek (Wański) do Anglii pojechał i nic o nim nie słychać«.

O Suchodolskim zob. *Listy*, t. II, str. 10.

[1]) *Listy*, II, 41. [2]) *Listy*, II, 10. [3]) *Listy*, I, 238.

stwie całe dnie i wieczory, na gawędce, w ostatnich czasach pustej najczęściej i prowadzonej tylko *pro forma,* żeby mówić, żeby nie dopuszczać do kłopotliwego milczenia, nic dziwnego, że się zaczynał nudzić i że, co gorsza, najbardziej go nudzić zaczynali oni, Teofilowie. Okazało się bowiem, że istniała między nimi — niedostrzeżona przedtem — głęboka przepaść moralna, przepaść, na domiar złego, pogłębiająca się z dniem każdym. Przepaścią tą była różnica usposobień. Słowacki, natura artystyczna *par excellence,* a więc nerwowa i kapryśna, z sercem »pełnem łez i boleści, przywykłem do jakiejś dzikiej samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia« (a takie zapiecowe życie właśnie uchodziło za ideał w oczach Teofilów) czuł się przedewszystkiem skrępowany. Przebywając od kilku lat ciągle za granicą, oddany samemu sobie, bez żadnej kontroli nad swoją osobą, zarówno jak i nad swemi czynnościami, odwykł już od tego, ażeby się przed kimś z czynności swoich tłómaczyć i opowiadać. Tymczasem »Fil« inaczej się na te sprawy zapatrywał. Widząc Słowackiego, że bierze kapelusz i wychodzi, mimowoli (może nie w tak złej nawet myśli, jak go o to posądzał Słowacki) zapytywał go: dokąd idzie? kiedy powróci? etc. Poetę, niezmiernie wrażliwego pod tym względem, irytowała ta opieka i ten »mentorski ton«, jaki w rozmowach z nim przybierał niekiedy mąż Hersylki. Zamieszkawszy u nich i wiedząc, że ma z nimi rok cały przepędzić, nie sądził, ani przypuszczał, że będą wymagali od niego, by ciągle z nimi i tak, jak oni w domu siedział, on, który przywykł prędko latać, czasem nic nie mówić, »a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonemu językiem imaginacyi«[1]). To pierwszy powód dysonansów, jakie się coraz częściej pomiędzy niego a Teofilów wkradać zaczęły. Drugim był marzycielski charakter Słowackiego, który, wymagając od rzeczywistości, żeby dorównała jego marzeniom, musiał w końcu zawsze doznać uczucia rozczarowania. Podobnie miała się rzecz i tym razem z Teofilami. Dopóki ich nie widział, tęsknił za nimi i marzył o spotkaniu; kiedy marzenie to stało się rzeczywistością, tęczowa bańka mydlana prysła i pozostały mydliny. Dopóki Teofilowie byli we Włoszech, a on w Szwajcaryi, wydawało mu się szczytem szczęścia spędzić z nimi czas jakiś razem pod włoskiem niebem; kiedy celu dopiął, zaczęły mu w zetknięciu z tą upragnioną rzeczywistością

[1]) *Listy,* I, 236.

opadać skrzydła, czuł się, jak ryba wyrzucona na piasek. Albowiem takim już stworzyła go natura, że w świecie ułudy czuł się, jak ryba w wodzie, kiedy rzeczywistość, życie realne, z konieczności prozaiczne, dusiło go i łamało mu skrzydła. To były prawdziwe przyczyny, dla których nie zawsze harmonizował teraz z Teofilami.

Ale był jeszcze trzeci powód, dla którego Słowacki pomimo najszczerszych chęci nie mógł być z Teofilami takim, jakim z nimi istotnie pozostawać pragnął. Oto przeczytał im któregoś dnia »wszelkie swoje prace«, a więc *Balladynę, Horsztyńskiego, Mazepę* i kilka scen z zaczętego, a niedokończonego *Wallasa* (zniszczonego następnie) i prace te »nie bardzo się im podobały«. Mówili, że dobre, ale szlachta nie zrozumie. Ten ich szlachecki gust, dowodzący, że i oni nie bardzo rozumieli, o co chodziło, wystarczał, ażeby ich Słowacki posądzać zaczął o instynkta, właściwe wszystkim pospolitym »zjadaczom chleba«, z którymi on, nie dziw, że nie miał nic wspólnego. Zauważył przytem, że zachwyty ich nad arcydziełami wielkich mistrzów dłuta i pędzla tchnęły afektacyą sztuczną, nie były szczere; i że szczersi byli w swoich listach do niego, kiedy mu tęskniącemu jeszcze za nimi w Genewie pisali, że »nudzą ich Włochy, szczególniej Hersylkę«. I takim ludziom myślał sobie, miała się podobać *Balladyna* albo *Horsztyński!* Nie obeszło się i bez tego również, żeby mu nie wymawiali czasem jego nieczynnego życia, żeby go nie namawiali do jakiegoś pozytywniejszego zajęcia, żeby mu nie starali się wytłómaczyć, że na poezye zawsze miałby jeszcze dość czasu w wolnych chwilach. Wszak i Teofil maluje, a przecież prowadzi obok tego gospodarstwo, co mu daje utrzymanie i to zadowolenie moralne, że nie jest nikomu ciężarem, ani potrzebuje czyjejś łaski. A były jeszcze i inne rzeczy, które ich dziwiły w Julku! Tak np. zrozumieć nie mogli jego szczególnego sposobu życia. Jak to można, ażeby młodzieniec w tym wieku, co on, prowadził się tak skromnie, tak ascetycznie, i wiodąc czystsze życie, niż inni, jeszcze w tem znajdował, jak mówił, jakąś dumną pociechę dla duszy. Dziwactwo! To też mieli go za oryginała nie do naśladowania [1]).

[1]) »boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostej dziewczynie, któreby mię w końcu mocy charakteru pozbawić mogło i do jakich szaleństw przywieść, mię, który dotąd na uwięzi trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem, jak inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie i że mię miał za ogyginała nie do naśladowania«. *Listy*, II, 42 (Florencya, 10 lipca 1838 r.).

Wszystko to, razem wzięte, ten sprowadziło skutek, że Słowacki począł tęsknić za cichem życiem, jakie prowadził w Genewie, i że najszczęśliwszy był, kiedy zostawiwszy Teofilów w domu, mógł samotnie przechadzać się po mieście, albo po okolicy, słowa do nikogo nie mówiąc i marząc o pannie Wodzińskiej. Pozbawiony wszelkich o niej wiadomości, »z dziwnem rozemdleniem serca« myślał o tych sielankowych dniach szczęścia w Paquis, kiedy to biegali razem po murawach, albo też »rozkochanych słów różaniec cedząc«, obrywali stokrótki; i tęskno mu było za tym »romansem«, za muzyką Maryi, za jej oczyma czarnemi; i marząc tak »pół senny« o tej przeszłości świetlanej, tak różnej od tej teraźniejszości tak nudnej, chociaż za tło służył jej Rzym, czuł zapach warkoczów swojej genewskiej Beatrice, pierś mu raz po raz wzbierała natchnieniem i nie wiedział,

gdzie iść, i gdzie oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym.

Oczywiście, że i ten Rzym papieski wtedy, przez taki oglądany pryzmat, wydawał mu się innym jakimś, nie takim, jakim go sobie przed przyjazdem tu wyobrażał. I zaczął się dopatrywać coraz więcej plam na jego słońcu, i nieraz chciało mu się, kiedy smutny i osamotniony błądził po ruinach Term Karakalli lub *Forum,* tak do nich przemówić:

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na toż to przysłał Bóg Atylli Syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry? A tam jednak glina
Z Grachów, i z duchów stoi obłok czarny
Na Coloseum. Księżyc je upiększa,
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z taką to koroną
Stoją ruiny czarne i zębate.
O prawda! że tam ptaszków pełne łono,
Że im powoje stanęły za szatę;
Że tam krzyż duma i gromnice płoną;
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam, biedny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec,

Rzuca się, pieni, klnie: *i Carbonari*
Krzyczy, *la gente d'inferno!* i zgrzyta...
Sam, jak hyena, jest albo wilk szary,
Na żar położy więźnia i wypyta:
Do domu nakształt dymu albo pary
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita.

Pieczenię zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią, uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
I z pyłu lice odsłoni pomnika,
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,
Przed kopytami tłumów Alaryka,
I nakrył dawne miasto, nim przybyli.
I jako ten grób, co się sam zamyka
Zniknęło, cudzej uchodzące właści,
I utonęło, przed mieczem, w przepaści!

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
Pyta się biedna, cicho: a co w Rzymie?
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
Czy macie jakie na grobowcu imię,
Abym go strzegła ja i nad niem stała,
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiem, co dola ludzi niepowrótna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj smutna.

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
I stawią znowu czołem na gwiazd wianek...

A kiedy zaszedł »od Tybrowej strony« do tego Rzymu dzisiejszego, ze starożytną Romą nic nie mającego wspólnego, do tego Rzymu prozaicznego,

co się myciem swej bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała:

wtedy znajdował go odartym ze wszelkiej poetyczności, ze wszelkiego majestatu Wiecznego miasta.

Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,
A w ręku suchy kwiat, z świeżego żłobu.
Nad nim ognistych smoków lecą chmury
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić — czartem albo gadem [1]).

W tem uczuciu, będącem czemś więcej jeszcze, niż rozczarowaniem, napisał raz Słowacki, powróciwszy z przechadzki po Kampanii, następujące terzyny?

Nagle mię trącił płacz na pustem błoniu:
»Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem!«
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

---

[1]) *Beniowski*, Część druga, Pism pośm. str. 49 — 51.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mię spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg: czy Rzym widziałem?

II.

Pisząc te ponure, iście Dantejską grozą nacechowane strofy, nie przeczuwał Słowacki, że niebawem innemi na ten sam Rzym poglądać będzie oczyma, że znajdzie się człowiek, który mu gród ten blaskiem swojego geniuszu oświeci, a oświeci tak, że to samo, co teraz — w przystępie spleenu — prozaicznem i małem, wyda mu się wspaniałem i poetycznem. Czarodziejem tym miał być Zygmunt Krasiński.

W jaki sposób, kiedy i gdzie zapoznał się z nim Słowacki? Odpowiedź na to pytanie bardzo łatwa: ponieważ mieli wspólnych znajomych, jak np. Aleksander Potocki, więc znajomi ci zbliżyli ich do siebie i poznali, wiedzieli bowiem, że zależało im na tem obydwóm, że zarówno Słowacki, jak Krasiński, radziby byli zabrać z sobą znajomość, chęć taka bowiem cechuje wszystkich młodych autorów.

Cechowała też i naszych poetów; choć nie ulega wątpliwości, że w danym razie ciekawość i ochota zabrania znajomości leżała przeważnie po stronie Krasińskiego [1]). Słowacki, nie lubiący w ogóle czynić pierwszego kroku (wszak nawet do Mickiewicza w Paryżu pierwszy pójść nie

[1]) Krasiński przybył w tym roku do Rzymu około 25 marca. W liście do Gaszyńskiego, datowanym z Florencyi, dnia 4 marca, 1836 r., pisze: »Dwudziestego marca wyruszę do Rzymu. (*Listy*, I, 78).

chciał), trzymał się zdaleka, na osobności, i choć dawano mu raz po raz do zrozumienia, że młody Krasiński, autor *Władysława Hermana*, *Agay Hana* i *Nieboskiej Komedyi*, i całe kółko, z którem żył, chętnieby go widzieli w swojem gronie, umyślnie »stronił« od nich, tak dalece, iż skończyło się na tem, że »wszyscy prawie musieli go pierwsi szukać w jego mieszkaniu« [1]).

Do kółka tego, oprócz Zygmunta, należeli: Konstanty Danielewicz, doktor, filozof i artysta-muzyk, a Krasińskiego już od szeregu lat przyjaciel i towarzysz podróży nieodstępny; Dr. Sauvan, z łacińska przezywany »Salvanusem«, a nie opuszczający Zygmunta, który rozdrażniony nerwowo i od dłuższego już czasu chory na oczy, potrzebował wciąż jego opieki: Adam hrabia Sołtan, przez wszystkich »pułkownikiem« nazywany; Stanisław Sołtyk, narzeczony znanej z życia Mickiewicza Henryki Ankwiczówny [2]); Otton Rajecki, młody sympatyczny Litwin, zagrożony suchotami, na które też umarł wkrótce; Roman Załuski, który niebawem przewiezie do Paryża rękopis *Irydiona* do druku; i wreszcie Aignez, budowniczy warszawski, który służył pod Kościuszką, a nie cierpiał francuzczyzny, choć sam francuskiego pochodzenia.

Te nowe znajomości wywarły na Juliusza wpływ zbawienny. Odtąd zdawało mu się, że innem oddycha powietrzem. Porwany wirem towarzyskiego życia, jakby odżył. Stał się poprostu innym człowiekiem. On, który niedawno jeszcze narzekał na zniechęcenie i nudę, teraz, dzięki temu, że mógł przestawać z młodymi, jak on, zapaleńcami, że prowadził z nimi »kawalerskie, biegające i cygara palące życie«, miał tysiące zachceń, tysiące »wielkich podlotów do nieba«, żałował, że nie tu upłynęła mu jego przeszłość.

Miał zaś metamorfozę tę do zawdzięczenia głównie Zygmuntowi Krasińskiemu, którego towarzystwo, jak sam przyznawał [3]), miało dla niego pod względem umysłowym

---

[1]) »Tymczasem przybyło tu wielu ziomków moich. Sami F(ilowie) powiedzą ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mię pierwsi szukać w mojem mieszkaniu i pierwsi robić znajomość«. Zob. list z Rzymu z d. 21 maja, 1836 r. [2]) Możebne jest, że Słowacki teraz, będąc w Rzymie, został przez Krasińskiego i jego towarzyszów wprowadzony do domu państwa Ankwiczów na *Via Mercede*. Do przypuszczenia tego upoważnia sztambuch »Ewuni«, w którym *własną ręką Słowackiego* znajduje się wpisana cała *Duma o Wacławie Rzewuskim*. Kiedyindziej, ani gdzieindziej nie miał Słowacki sposobności — o ile wiem — zetknąć się bliżej z rodziną Ankwiczów. Zob. ks. Jan Siemiński, *Ewunia*, Lwów, 1888 r. [3]) *Listy*, II, 30 (Florencya, 22 lutego, 1838). »Żal mi, że nie mam tu Zygmunta Krasiń-

»lekarskie, uzdrawiające skutki«. Albowiem był to pierwszy człowiek, który go rozumiał całkowicie i który uznawał w nim »ogrom poezyi«, jakim go obdarzyły niebiosa[1]). To też, kiedy byli razem, zdawało mu się, jak przepięknie powiada w owym liście do autora *Irydiona,* służącym za wstęp *Lilli Wenedzie,* »że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu«; i sądził, że »wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami[2]), które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem, jedną taką postać, jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma«. I przyznawał, że człowiek ten, młodzieniec o całe trzy lata młodszy od niego, miał dziwną władzę nad nim, i że ledwo się zjawił, niby jakiś »Archanioł wiary«, ledwo się poznać zdołali, odrazu zaczął z sercem jego dziwne robić »czary«[3]), tak, iż serce to, takie dumne i tak dla wszystkich zamknięte, przed nim jednym, jak na zaklęcie magnetyzera, otwierać się zaczęło, podobnie, jak się otwierało niegdyś przed Ludwikiem Spitznaglem, z którym Zygmunt miał wiele pod niejednym względem podobieństwa[4]). Pełen młodzieńczego zapału dla rzeczy piękna, umysłowo nad wiek rozwinięty, z iskrą geniuszu nad czołem, wykształcony, oczytany, biegły zarówno w rzeczach poezyi i sztuk pięknych, jak filozofii historyi, z niewysłowionym wdziękiem opowiadający o starożytnym Rzymie, o prądach, nurtujących społeczeństwa nowoczesne, o walkach arystokracyi z demokracyą, walkach, które z taką genialną intuicyą odmalował w swojej *Nieboskiej Komedyi,* wylany, szczery i pełen prostoty w obejściu, bez cienia zarozumiałości, a przytem (co najważniejsza, jak w danym wypadku) z ogromnem, niekłamanem uznaniem, w rozmowie przybierającem pozory uwielbienia, wyrażający się o wielkim talencie Słowackiego, jako autora *Maryi Stuart* i *Kordyana,* uznający w nim talent

---

skiego, którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie, umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki«.

[1]) Listy Z. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego, Rzym, 22 maja, 1836 r. (t. I, str. 80). [2]) Goplana w *Balladynie.* [3]) Zob. Wiersz Słowackiego do Krasińskiego: »Żegnaj mi, żegnaj Archaniele Wiary itd. [4]) Zob. Słowackiego *Listy*, I, 233. Oraz Odyńca *Listy z podróży*, t. IV. »Zygmunt (słowa są Odyńca) pod względem entuzyazmu serca ze wszystkich moich przyjaciół i znajomych przypomina może najwięcej Ludwika Spitznagla«.

ten bez żadnych zastrzeżeń, dowodząc śmiało, że »Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni«, nie dziw, jeżeli Słowacki przywiązał się doń wkrótce całem sercem, jak Telemak do Mentora, jak Shelley do Byrona, jak Schiller do Goethego.

Znali się z sobą niedługo lecz wiele,
I od dni kilku już są przyjaciele.

Jakoż pokochali się istotnie, jak bracia, z tą różnicą, że kiedy Słowacki nie zawahał się przyznać Krasińskiemu pewną wyższość nad sobą (co zresztą dowodziło tylko trafności i zupełnego braku zaślepienia w sądzie), Krasiński patrzał nań krytyczniej: widząc w nim mnóstwo przymiotów, nie zamykał przecież oczu na niektóre jego wady, tak człowieka, jak poety.

Jako poeta, wydawał mu się Słowacki nie zupełnie jeszcze... dojrzałym. *Kordyana* uważał za »poemat zapału, szaleństwa«, obfitującym w »pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia«. Swoją drogą, jako autor *Nieboskiej Komedyi,* widział w nim pewne dzieciństwa, którychby on np. nie popełnił nigdy. *Maryą Stuart* uważał również za rzecz »znakomitą«. Mniej za to trafiały mu do przekonania takie Słowackiego utwory, jak *Mindowe, Bielecki, Lambro, Żmija,* których w liście swym do Gaszyńskiego, mówiąc o Juliuszu, nie wymienia wcale. W ogóle nie widział w nim dość »harmonijnej równowagi«, bez której niepodobna być wielkim poecie. Mimo to przepowiadał Słowackiemu, że »będzie wielkim«, skoro tylko ta poezya, którą go tak hojnie obdarzyło niebo, dojdzie do »harmonii muzycznej«, kiedy się nauczy »sztuczniej jeszcze godzić dysonanse z prawdziwemi dźwiękami«. »Dzisiaj — pisał o nim do przyjaciela swojego w Montpellier — brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż zdobędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza« [1]).

---

[1]) W miesiąc później, w odpowiedzi Gaszyńskiemu, który widocznie niezupełnie pisał się na sąd Zygmunta o Słowackim, nie chcąc w nim tak wielkiego ducha poetyckiego uznać, i powątpiewał o jego genialności (wszyscy byli tego zdania na emigracyi) pisze mu Krasiński, co następuje: »Mów co, chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą (widocznie, że mu Gaszyński, jak to zresztą i Mickiewicz uczynił w kilka lat później, odmawiał prawa i do tytułu poety!) i kiedyś imię jego świetnem będzie«. (Kissingen 12 czerwca 1836 r.).

Jako człowiek, wydał mu się Słowacki bardzo »miłym«, ale... Otóż tych *ale* widział w nim Krasiński, jako w człowieku, więcej nierównie, aniżeli w poecie. Przedewszystkiem uważał go za istotę kapryśną, złożoną z »dziwnych kontrastów«, bardziej nacechowaną przymiotami i wadami, właściwemi kobietom, aniżeli prawdziwie męzkiemi; i dlatego, jak się wyraził, nie chciałby go odgadywać, tak samo, jakby w żadnym przypadku także i liczyć na niego nie chciał. Czemu? Bo z »temi istotami obchodzić się trzeba, jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne; żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury«. Jak kobieta był Juliusz — w przekonaniu Zygmunta — awanturniczy wyobraźnią, a nerwami i całem ciałem tchórz. Dlatego zaliczał go do kategoryi tych poetów, którzy »nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą«, ponieważ nie czuć w nich silnego indywidualizmu, tak potężnego np. w Byronie, a którego pozbawieni w zupełności byli np. Goethe i Szekspir. To też Goethe, jak wiadomo powszechnie, był tchórzem, Szekspir nim być musiał [1]). Otóż takim »tchórzem« t. j. człowiekiem silnego indywidualizmu pozbawionym, zdawał się być i autor *Maryi Stuart,* któremu jednak natura brak ten, jak Szekspirowi i Goethemu, w inny wynagrodziła sposób. Bo zaprzeczyć się nie da, że tego rodzaju poeci, mniej będąc ludźmi, a bardziej światem, »więcej obejmują« za to, większą odznaczają się intuicyą, łatwiej wcielają się w innych, zdobywając się na obiektywizm, który w zdumienie wprawia każdego, kogo cechuje właśnie silniejszy indywidualizm. »Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt: rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają o godność osobistą«; słowem, są to ogromne siły duchowe, ale nie ludzie, nie charaktery, nie Zawisze.

Ta przewaga refleksyi w Krasińskim, refleksyi, nie prześlepiającej nawet w przyjacielu ani jednej wady, ani jednej ułomności charakteru, stanowiła też zasadniczą i kardynalną różnicę ich usposobień. (Nawiasem mówiąc, czy Krasiński pod względem siły charakteru o wiele przewyższał Słowackiego, i czy więcej miał »poezyi w działaniu«, to inne pytanie, które nie tu miejsce rozstrzygać). Bo nie ulega wątpliwości, że refleksya, rozsądek, logika, rozum, inteligencya, czyli wszystko to, na czem się opiera głównie

---

[1]) Listy do Gaszyńskiego, str. 22 (Wiedeń 20 listopada 1836 r.)

poezya *Irydiona, Przedświtu* i *Psalmów,* w życiu Słowackiego, zarówno jak i w jego twórczości nie odgrywały roli prawie żadnej. Przeciwnie, on je nawet lekceważył do pewnego stopnia, jak w *Balladynie* np., o której powiedział wyraźnie, że wychodzi na świat »obdarzona siłą wnętrzną urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi sadzone«. On nie wahał się powiedzieć sam otwarcie o tej tragedyi, pisanej »z aryostycznym na twarzy uśmiechem«, że zawarte w niej »tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy«; a nie wahał się dlatego, że przekonany był, iż »jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił, to *Balladyna* wbrew rozwadze i historyi, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i rozprószy mgłę dziejów przeszłości«. Pod tego rodzaju dowodzeniem nie podpisałby się nigdy Krasiński, który w swoich utworach, jak *Nieboska Komedya* i *Irydion* (już ukończony, choć jeszcze nie wydrukowany) przedewszystkiem i największą wagę przywiązywał właśnie do tego »porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie«, a które tak sobie lekceważył Słowacki. On, Krasiński, niczego się tak nie obawiał, jak tego właśnie, żeby napisane przezeń dzieło poetyczne, nie przeraziło przypadkiem »śpiących w grobie historyków i kronikarzy«, z którymi przedewszystkiem chciał być w zgodzie, a z którymi się tak mało liczył autor *Balladyny.* On, Krasiński, nie wierzył, ażeby »instynkt poetyczny« mógł być, jak się zdawało Słowackiemu, »lepszym od rozsądku« i żeby poemat w takich zasadach poczęty, mógł »wbrew rozwadze i historyi« rozprószyć mgłę dziejów przeszłości. I kiedy on, Krasiński, dążył do tego, ażeby to, co napisze, miało za podstawę rzeczywistość; Słowacki nie wstydził się przyznać, że ile razy tylko zetknął się »z rzeczywistemi rzeczami«, opadały mu skrzydła i był smutny, jak gdyby miał umrzeć [1]). Taką już była jego natura! Obdarzony od Boga wyobraźnią »tak różnobarwną i giętką«, jakiej nawet — co mu przyznawał Krasiński — Mickiewicz sam nie miał [2]), polegał głównie i jedynie na niej. O resztę się nie troszczył. Wyobraźnia ta, jedna z najpowiewniejszych, z najeteryczniejszych, jakie

---

[1]) List II do autora *Irydiona,* umieszczony na czele *Lilli Wenedy.*
[2]) Listy do Gaszyńskiego, str. 80, (cytowany już list z Rzymu z dnia 22 maja 1836 roku.)

wydała ludzkość, wyobraźnia, która potrafiła być fantastyczniejszą jeszcze od Szekspirowskiej, a która poetycznością swą dorównywała Shelley'owskiej, (jeżeli jej nie przewyższała) pozwalała mu z tęcz, girland, opali, dyamentów, nici babiego lata, promieni słonecznych i księżycowych blasków, wznosić czarowne zamki ułudy, które, lubo kruche, jak bańki mydlane, że grające wszystkiemi kolorami tęczy, zadawalniały go tem samem i czyniły pobłażliwym na różne usterki logiki, mogące »przerazić śpiących w grobie historyków i kronikarzy«. Zdawało mu się poprostu, że jeżeli coś »ma wnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty«: to już rzecz taka nie może być złą. Inaczej się na kwestyę tę zapatrywał Krasiński. Dla niego nawet fantazya, choćby najbujniejsza, ujętą być winna w karby logiki, »rozwagi i historyi«. Wszystko to, co poeta napisze, powinno być należycie umotywowane, tak, iżby na czytelniku robiło wrażenie czegoś rzeczywistego, tak, iżby czytelnik wierzył w możliwość, w prawdopodobieństwo opisywanych wypadków. Budować gmachy, choć najfantastyczniejsze, wolno poecie; obowiązkiem jednak jego jest pamiętać o fundamentach, które powinny być mocne i rzetelne, bo inaczej cały zaczarowany pałac może się zawalić, a poeta, jak budowniczy, obawiać się tego powinien najbardziej; pamiętać też należy i o tem także, ażeby mury nie były zbyt cienkie i kruche, zbyt filigranowe i z niedość mocnego stawiane materyału, bo nic łatwiejszego, jak, żeby się zaczęły rysować. O wszystkiem tem pamiętał zawsze Krasiński i dlatego poezya jego jest trochę ciężka, dlatego *Irydion,* choć logiczniejszy nierównie, aniżeli *Balladyna,* nie jest taki, jak *Balladyna,* poetyczny, nie posiada tego, co *Balladyna,* wdzięku.

O różnicy swoich talentów, różnicy, tak wielkiej, iż większej pomiędzy poetami wyobrazić sobie prawie niepodobna, przekonali się Krasiński i Słowacki najlepiej, kiedy sobie przeczytali wzajemnie: jeden *Balladynę,* drugi *Irydiona*[1]; a trudno określić ją piękniej i poetyczniej, aniżeli,

---

[1]) Z listu I do autora *Irydiona* (umieszczonego na czele *Balladyny)* wynika najwyraźniej, że Krasiński Słowackiemu *Irydiona* swojego przeczytał. Bo skoro Słowacki powiada w tymże liście, że »choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch *Irydiona,* któregoś ty pod krzyżem w Koloseum położył i nakrył złotymi

jak to uczynił Słowacki, kiedy dedykując Krasińskiemu *Balladynę* (niezawodnie »na pamiątkę« owych dni wspólnie spędzonych i przemarzonych w Rzymie) napisał, co następuje: »Tak więc, kiedy ty dawne, posągowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego; ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wieków wydobywam chóry prorockie, i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i aryostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie«.

To Juliuszowe przewidywanie owego smutnego dlań, a jak mniemał, nieuniknionego epilogu, rzuca bardzo sympatyczne światło na poetę i na jego miłość dla Krasiń-

---

skrzydłami anioła«; to należy rozumieć przez to, że owo jasne oświetlenie gruzów pałacu Nerona nastąpiło dla Słowackiego podczas jego bytności w Rzymie w roku 1836, nie później, kiedy się *Irydion* ukazał na półkach księgarskich, a kiedy Słowackiego już nie było w Rzymie. Z przedmowy St. Tarnowskiego do pism Z. Krasińskiego (str. XXXVI) wiemy, że »rękopis *Irydiona* przywieziony z Rzymu do Paryża przez ś. p. Romana Załuskiego, wyszedł z druku w roku 1836«, to znaczy, że teraz w r. 1836 miał Krasiński w Rzymie rękopis *Irydiona*. Cóż więc naturalniejszego, że go przeczytał Słowackiemu, chociażby tylko rewanżując się za to, że mu Słowacki przeczytał *Balladynę*. A że Słowacki w Rzymie Krasińskiemu *Balladynę* i inne swoje utwory przeczytał, o tem świadczy następujący ustęp z jego listu do matki (z Rzymu, d. 21 maja, 1836 r.): »Przeczytałem był wszelkie moje prace Filom, które się im niebardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi *z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem*« etc. Że im przeczytał *Balladynę*, którą uważał za swoje najlepsze z dotąd napisanych dzieł, o tem niepodobna wątpić. Wynika to także z owego wyrażenia Krasińskiego w liście do Gaszyńskiego, że »Mickiewicz nawet nie miał tak różnobarwnej i giętkiej wyobraźni«. Tej »różnobarwnej i giętkiej wyobraźni« dał właśnie Słowacki dowody po raz pierwszy w *Balladynie*, w scenach z Goplaną, Chochlikiem i Skierką. W poprzednich, już drukowanych utworach, jak *Marya Stuart*, *Mindowe*, etc. nie była jeszcze ta wyobraźnia Słowackiego tak »różnobarwną i giętką«. Najbardziej przekonywającym dowodem atoli, że Słowacki przeczytał *Balladynę* Krasińskiemu i jego przyjaciołom, jeszcze nim wyszła w druku, jest list Krasińskiego do Sołtana z Neapolu, pisany *w styczniu 1839 r.*, a w którym Krasiński, pisząc o Słowackim, nazywa go »autorem *Balladyny*«. W styczniu 1839 roku nie była jeszcze *Balladyna* ogłoszona drukiem. W liście do Jana Weisberga w Krakowie, datowanym *14 maja* 1839 r., pisze Słowacki, że drukuje właśnie *Balladynę*. Wynika, z tego również, że *Balladynę* znał i Sołtan także, co dowodzi, że Słowacki czytał *Balladynę* Krasińskiemu i jego przyjaciołom *w Rzymie*, w r. 1836. Tylko wtedy mógł ją poznać Sołtan, któremu Krasiński pisze o *Balladynie* w ten sposób, że niepodobna wątpić, iż i Sołtanowi była *Balladyna* i jej autor znanymi dobrze. »Jeśli będziesz mógł cokolwiek dowiedzieć się o matce autora *Balladyny*« itd., itd.

skiego, miłość, w której było coś kobiecego, coś, co mu serce napełniało bezwzględnem, bezgranicznem i bezkrytycznem uwielbieniem dla autora *Irydiona,* coś, co mu zamykało oczy na różne jego wady, coś, co mu nakazywało widzieć w nim jakiegoś »Archanioła wiary«, jakiegoś »serc wskrzesiciela«, słowem, jakiegoś człowieka wyższego, świętego, z którym mierzyć się nie uchodziło poprostu, albowiem nie był to tylko genialny poeta, jak Mickiewicz, lecz jeden z tych duchów wielkich, proroczych, Chrystusowych, z którymi obcowanie przynosi ukojenie. Dlatego chętnie i bez fałszywej skromności przyznawał niższość swą wobec Zygmunta, niższość, do której się nie poczuwał zupełnie w stosunku do twórcy *Pana Tadeusza* i *Dziadów.* Co innego z Krasińskim! W nim widział przedewszystkiem ideał człowieka — teraz przynajmniej w Rzymie — który mu był o tyle droższy, że pierwszy postawił go obok Mickiewicza, a nawet pod pewnemi względami przyznawał mu wprost wyższość nad nim. Tem podbił go sobie najbardziej, dzięki temu urósł tak w jego oczach. W Krasińskim [1]) znalazł Słowacki swojego pierwszego wielbiciela, dodajmy, szczerego zupełnie, wielbiciela, który go podziwiał za to, co stworzył dotychczas, a który nadto świetniejszą jeszcze przepowiadał mu przyszłość. Takiego człowieka nie spotkał dotąd Słowacki nigdzie.

Nie dziw więc, że mu był za to wdzięczny i że najszczęśliwszym się czuł, kiedy byli razem, kiedy mógł z nim rozmawiać, kiedy z ust jego słuchał »pełnych zapału pochwał«, kiedy Krasiński »w żywych i pasyonowanych rozmowach« nowe i nieznane mu dotychczas roztaczał przed

---

[1]) Dodać też należy, że oprócz Krasińskiego, pierwszy, który się na talencie Słowackiego poznał, był Konstanty Danielewicz. Oto, co pisze o nim Krasiński w liście swym do Słowackiego, który nie wiedzieć z jakiego powodu, w jednym ze swoich listów do autora *Irydiona* wyraził się o Danielewiczu z przekąsem (o kim się on wogóle z przekąsem nie wyrażał?!), nazywając go »mentorem i ochłodzicielem« Krasińskiego: »Zgromię cię tylko, Julu, za jeden frazes. Zkąd tobie, znawco natury, instynkcie chodzący i wnikający do wnętrza rzeczy i serc, zkąd tobie, poeto, przyszło tak grubo się omylić, w stosunku do jednej z najpiękniejszych, najnamiętniejszych dusz na ziemi! Mentorem i ochłodzicielem zowiesz przyjaciela mego! Gorzka zaprawdę wesołość! Pamiętaj jednak, że on pierwszy poznał się na *Balladynie* (w Rzymie). Poeto! kiedy ujrzysz blade lice i zasępione czoło, kiedy ci się wyda, że chłód powiewa z twarzy takowej: pytaj się strun lutni sto razy o rozwiązanie zagadki, bo może pod tym alabastrem wre *serce serc.* (NB. Na alabastrowej płycie, pokrywającej mogiłę Shelleya, jest napis *cor cordium*, serce serc). Nie pokazywałem mu tego zdania w liście twoim. On ci się szczerze kłania. On jest tu ze mną. W tym duchu jest ogromny rytm, ogromna miara muzyczna itd. (Listy Z. Krasińskiego, t. III, str. 7. Rzym, dnia 23 lutego 1840 r.).

nim światy, światy uczuć i myśli najwznioślejszych, i kiedy mógł powiedzieć o sobie, jak Kornelia Metella w *Irydionie:* »I jako prorok, i jako święty, on staje przedemną i mówi, a ja go słucham«. Jakoż doszło do tego w końcu, że Słowacki, odkąd się zaprzyjaźnił z Krasińskim, dni prawie całe spędzał z nim i z jego towarzyszami, biegając »po odległych spacerach« i zwiedzając wszystko, co było do widzenia w Rzymie, a z czem autor *Irydiona,* już czwartą spędzający tu zimę, doskonale był obeznany. Razem więc, czasami we dwóch tylko, a czasami w kilku, bo Danielewicz, Sauvan, Rajecki i Załuski najczęściej dotrzymywali im towarzystwa, byli w Coloseum, razem na Kapitolu, razem na *forum romanum,* razem w willi Mills; razem — prawdopodobnie — i na owym »małym cmentarzu koło Świętego Piotra«, gdzie się znajduje grobowiec rodziny Cenci'ch; razem mogli oglądać nieśmiertelne malowidła mistrzów odrodzenia; razem mogli podziwiać groźny majestat *Mojżesza* Michała Anioła[1]) i majestat cierpienia rodzicielskiego przy utracie dzieci w posągu Laokoona[2]); razem wreszcie, jak Hamlet i Horatio nad grobem Yoricka, przesiadywali — nieraz godzinami całemi — na cmentarzu protestanckim, nad mogiłami dwóch poetów angielskich, Shelley'a i Keats'a.

Miło leżeć na takim cmentarzu, pisał o nim Słowacki do matki; mały, kwardratowy, pod piramidą Cestyusza,

---

[1]) Sądzę, że czytelnik rad będzie znaleść tu, chociaż w przypisku, nieznany (a przynajmniej prawie nieznany) wyjątek z listu Z. Krasińskiego o *Mojżeszu* Michała Anioła: »Wracam z kościoła Św. Piotra *in vinculis.* Piękny był nadzwyczajnie dzień dzisiaj, a mnie było niezmiernie tęskno. Wyszedłem więc na miasto i napadła mię chęć zobaczyć arcydzieło Michała Anioła, owego *Mojżesza,* któregom niedawno razem z tobą oglądał. Pamiętasz ten biały, marmurowy kościół? Gdym zbliżał się do posągu, wielka pogarda, wielki gniew tych ust, odepchnął mnie. Prawdziwy to prorok, co niedawno z Jehową rozmawiał, a teraz na lud swój bezrozumny patrzy z całą wyższością rozumu i z całym żalem olbrzyma. »Boga wam przynoszę, Boga wy nie rozumieli, hańba i biada wam«. Tytan tak mówi. Co powie Chrystus później? To samo, ale inaczej zakończy: »Daruj im, Panie!« Miłość pogodzi niższe duchy ludzi z najwyższym Boga rozumem. W piersiach Mojżesza Jehowa się jeszcze sroży, jeszcze szydzi i piorunuje. Nic wznioślejszego nie znam od tego posągu. Apollo Belwederski blady przy nim. Wtem przybyli jacyś Francuzi. Zaczęli arcydzieło krytykować. Myśli ich wlazły na ten posąg, jak pchły, i skakały po posągu. Coś o brodzie gadali, brodę ganili i powtarzali co chwila: *bizarre,* tam, gdzie co chwila należało krzyknąć: *Sublime!* Wtenczas zrozumiałem jeszcze lepiej ten uśmiech pogardy wydłutowany na ustach posągu. Michał Anioł dla każdego krytyka gotową już w twarzy Mojżesza zamknął nagrodę: kazał tej twarzy pogardzać aż do końca świata«. (*Wyjątki z listów Z. Krasińskiego,* Paryż, 1860, str. 73, 74).

[2]) Oglądanie tego posągu wpłynęło niemało na utworzenie się z czasem w umyśle poety *Ojca Zadżumionych.*

dawnego Rzymianina, położony, dokoła »cichemi« grobami z białego marmuru zasiany. W jednym kącie cmentarza widać przezroczysty kląb cyprysów i innych drzew egzotycznych; zupełnie, jak gaik Elizejski w *Eneidzie* Wergiliusza, po którym błądzą cienie kochanków-samobójców. »Cóż, moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? Czy na krzemienieckim cmentarzu, pod śliwą babuni, nie będzie mi spokojniej«, aniżeli tutaj, na obcej ziemi obok tych poetów, zabitych przez edynburską krytykę? Tymczasem, zdrów i wesół, nie potrzebował się obawiać losu Keatsa, to jest przedwczesnej śmierci z suchot, i dobrze mu było rozmawiać nad jego grobem z Krasińskim: o poezyi angielskiej, o Byronie, a wreszcie i o tym ateuszu, Shelley'u, który utonął w zatoce morskiej około Spezzia, i którego zwłoki później, po wydobyciu ich z wody, Byron, przyjaciel jego, starożytnym obrządkiem greckim, podobnie, jak Achilles ciało Patrokla, spalił na stosie [1]).

Ulubionym także celem przechadzek dla nich, zwłaszcza wieczorem, była o niecałych parę wiorst drogi od Rzymu położona willa Mills, czyli, jak ją powszechnie nazywano, Willa róż [2]). Jestto ogród pełen róż i cyprysów,

---

[1]) Krasiński, bardziej od Słowackiego oczytany, znał utwory Shelley'a. Jeszcze w Genewie, będąc w roku 1830, jak o tem wiemy z *Listów z podróży* A. E. Odyńca, rozczytywał się w poezyach Shelley'a: »Dzisiejsza nasza lekcya wierszowania (pisze Odyniec o sobie i o Z. Krasińskim na str. 288, t. IV swoich »listów«) bardzo go nam przypomniała (Don Kichota). Zygmunt ma z sobą angielskie poezye Shelley'a, odznaczające się zwłaszcza rozmaitością i harmonią miary wierszowej. Radzę mu więc próbować tłómaczenia, z zachowaniem tych miar i rytmu, nie troszcząc się bynajmniej o... zachowanie sensu. Wynikły z tego takie dziwolągi, że aż kładliśmy się od śmiechu«. Na stronie zaś 311 i 312 pisze Odyniec z Meyringen, dokąd przybył z Mickiewiczem i Krasińskim wieczorem d. 24 sierpnia 1830 r.. że jeżeli »tak strasznie poziewa«, biorąc się do pisania listu, to nie należy tego przypisać ani fizycznemu znużeniu (gdyż dzisiejsze wycieczki nasze były tylko właściwie spacerem), »jak chyba czytaniu z Zygmuntem *Queen Maab* Shelley'a, a potem nader poważnej przez cały wieczór rozmowie o krytyce i moralności«. Owo ziewanie dowodzi (sądzę, że bardzo przekonywająco nawet), iż lektura poezyi Shelleyowskich nie bardzo przypadała do smaku Odyńcowi, zarówno jak i Krasińskiemu. W przeciwnym razie nie przypisywałby Odyniec jej głównie owej senności, jaka go ogarnęła już o godzinie 9 wieczór. Jakiekolwiek zresztą robił Shelley na Krasińskim wrażenie i cokolwiek opowiadał on Słowackiemu w Rzymie o autorze *Queen Maab*, jedno zdaje się najmniejszej nie ulegać wątpliwości, że rozmowy te z Zygmuntem o Shelley'u nad grobem ostatniego nie zachęciły Słowackiego do bliższego zaznajomienia się z dziełami autora *The Cenci*. Przynajmniej (jak tego starałem się dowieść w swoim czasie w artykule pod tytułem *O rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego)* niepodobna się w żadnem dziele Słowackiego dopatrzeć jakiegośkolwiek, chociażby najsłabszego nawet, wpływu poezyi Shelleyowskiej. [2]) «Chodziliśmy razem (z Zygmuntem) na spacery i najczęściej przepędzaliśmy wieczory w willi Mills«. *(Listy*, I, 233).

zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. »Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w sinej mgle tonął«, rozmarzeni ciszą nocną, panującą dokoła, i śpiewem słowików, mimowoli nakazującym myśleć o ogrodzie Kapuletów i o nieśmiertelnem pożegnaniu Romea i Julii, nie słyszeli nieraz, że zegary miejskie wydzwaniały północ: do tego stopnia dawali się porywać swoim rozmowom, które, »podobne do platońskich«, często kazały im poprostu zapominać o godzinie i że już pora wracać. Ale bo też na brak tematu do rozmowy nie mogli się uskarżać. Na pytanie zaś, co ich zaprzątało najbardziej? o czem dysputowali najwięcej? można odpowiedzieć bez wahania: poezya. Ta poezya, która zdaniem Krasińskiego, była »wiecznem przewidywaniem najwyższych form, jakie czy na ziemi, czy w niebie, przybierze kiedyś realne życie«[1]), a którą, zdaniem Słowackiego, wiek nasz uważał za najlepsze »lekarstwo na chorobę smutku«, poezya ta, a w szczególności to, co im nadawało prawo do tytułu poetów, t. j. ich dzieła, te, które napisali już, i te, które dopiero w przyszłości napisać zamierzali: oto główna oś, około której w ożywionych gawędach swych, prowadzonych »po szalonemu językiem imaginacyi«, obracali się najczęściej, bo z największem upodobaniem. Słowacki, któremu żądza sławy nie dawała spokoju, czem się różnił od Krasińskiego, opowiadał mu z zapałem o swoich projektach na przyszłość — a przyszłość tę widział w bardzo różowych kolorach — o swoich kronikach dramatycznych, których pięć jeszcze miało nastąpić po *Balladynie,* będącej pierwszą z cyklu; o tragedyach, jakie zamierzał napisać: o Krakusie, o Wandzie, o Ziemowicie, o Lechu, o Wallenrodzie, o Janie Kazimierzu, etc. »Cienie już różne ludzi niebyłych, mówił, wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków, a jedną po drugiej garstkę na świat wypychać będę; i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś, w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy

---

[1]) Zob. List Z. Krasińskiego do J. Słowackiego z Rzymu, z d. 23 lutego 1840 roku.

(jak w *Makbecie*), a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie: »Niestety!« A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku«. A kiedy w odpowiedzi na to Krasiński wyraził wątpliwość, czy przypadkiem z dzwonków polnych nie większa ozdoba ruinom, »niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta«, on wątpliwości tej nie podzielał i obstawał przy swojem, na twierdzenie Zygmunta takim odpowiadając argumentem: »O, nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta, bo choć róże, rosnące na ruinach pałacu Nerona, rozwidniły nam piękne te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Colosseum położył i nakrył złotemi skrzydłami anioła«.

Za tło do podobnych rozmów służyło im czasem i mieszkanie Konstantego Danielewicza, do którego przychodzili na muzykę. Danielewicz bowiem grał przepięknie na fortepianie, czem ich rozmarzał obydwóch i o »dziwne rozemdlenie serca«, jak powiada Słowacki, przyprawiał. Wpływ ten miała na nich gra Konstantego z dwojakiej przyczyny: przedewszystkiem, istotnie mistrzowska pod względem wykonania, nie mogła nie rozmarzać sobą takich dwóch natur poetycznych, jak Słowacki i Krasiński; powtóre, przypominała im najpiękniejsze, najczarowniejsze chwile, jakie mieli w życiu: Słowackiemu pannę Wodzińską, która miała podobny sposób gry, jak Danielewicz; Krasińskiemu panią Bobrową, z którą nieraz, jak obecnie ze Słowackim, słuchał muzyki Konstantego, a z którą trwający już od trzech lat przeszło romans *à la* Balzak (pani Bobrowa bowiem była *une femme de trente ans*, nieszczęśliwa w pożyciu z mężem, z którym miała dwie córki) był dla niego w tych czasach jedynie źródłem udręczeń i zgryzot [1]).

Bo nie należy zapominać, że oprócz tylu łączników duchowych, wiążących Krasińskiego ze Słowackim, był jeszcze i ten, nie mniej silny od tamtych, że obydwaj byli zakochani (choć każdy po swojemu), obydwaj stęsknieni za swemi kochankami, obydwaj pozbawieni wiadomości o nich, obydwaj trapieni niespokojnością z tego powodu i — jak to zakochani — obydwaj smutni najczęściej, a przynajmniej nastrojeni rzewnie, melancholijnie. U Słowackiego, u któ-

---

[1]) Por. moje studyum p. t. *Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego*, w studyach historyczno-literackich *O Słowackim i Krasińskim*, Kraków, 1895.

rego imaginacya większą grała rolę, aniżeli temperament, nie przejawiało się uczucie to zbyt gwałtownie: zresztą, skryty z natury, usiłował je tłumić w sobie i nie okazywać go o ile możności; ale u Krasińskiego, z którym rzecz miała się przeciwnie, bo namiętny temperament w nim brał zawsze górę nietylko nad wyobraźnią, trapiącą go różnemi upiorami przeszłości, ale i nad zdolnością powściągania rozigranych nerwów; u Krasińskiego, choć również, jak Słowacki, starał się nie okazywać po sobie, jakie nim targają uczucia, nie zawsze walka ta z wewnętrznym demonem miłości uchodziła baczności obecnych. Cierpiąc »w głębi ducha«, zdarzało się niekiedy, że z dziwnym, niewymownym wstrętem, jeśli przypadkiem w czytaniu szukał zapomnienia, odrzucał książkę, której i tak nie rozumiał, i znowu tonął w tej »próżni bez imienia, bez granic«, która go otaczała. Czasami znów, kiedy, leżąc na sofie, słuchał muzyki Konstantego, powstawał nagle »w jakiejś rozpaczy, obudzonej pięknością dźwięków« i prosił przyjaciela, ażeby przestał grać. Tak »drżał na pewne wspomnienia!« A jednak, choć cierpiał z ich powodu, puszczał im czasem serce, jak powiada, ażeby po niejakim czasie znów odsuwać je od nich, tysiącom myśli powtarzając, jak Kartuzi: *Memento mori.* Zdarzało się też, że grając w wista z towarzyszami (do których należał niekiedy i Słowacki), lub sam układając *passjans,* bo i tego używał sposobu, »pasując się z szyderskim, niewidomym losem«, rzucał ni ztąd, ni zowąd karty na stół i, płonąc gorączką od nagłego, spazmatycznego śmiechu, zaczynał ku niewysłowionemu zdziwieniu przyjaciół, zdziwieniu graniczącemu z osłupieniem, sypać żarciki jakieś, zgryźliwe i gorzkie, poczem zapadał ponownie »w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne« [1]).

Towarzystwo Słowackiego »ożywiało« go w takich razach najbardziej; Słowacki zaś, niewiedzący o właściwych powodach tego w przyjacielu swym rozdrażnienia (dyskrecya bowiem nie pozwalała ich Krasińskiemu wyjawiać), ażeby go rozerwać i sobie przytem myśl rozweselić, proponował mu w takich razach — odszukanie państwa Richthoffen, ażeby popatrzeć na piękną baronową, o której wiedział, że się podobała nietylko jemu, ale i Krasińskiemu. Jakoż »latali za nią, jak waryaty po willach włoskich, ażeby ją zobaczyć«, nie marząc o niczem, tylko o tem, żeby jej być przedstawionym. Wiedzieli, że jest Polką, choć mąż był Niemiec, słyszeli o niej, że ma być »bardzo miłą osóbką,

[1]) List do K. Gaszyńskiego, datowany z Rzymu d. 22 maja 1836 r.

wiele gadającą, z rodzaju naszych przymilających się, zwinnych kobietek warszawskich«, nie dziw więc, że mieli ochotę poznać ją, raz dlatego, że ładna, bardzo ładna, powtóre, że Polka, co jej w oczach ich podwójnego dodawało uroku, jednemu bowiem i drugiemu zdawały się Polki »z innego świata, lekszego, zgrabniejszego stworzeniami«. Nareszcie stało się pragnieniom ich zadość: Aleksander Potocki, jako dobry znajomy państwa Richthoffen, zarekomendował ich raz w ogrodzie Borghesych i nastąpiło rozczarowanie: »ideał, utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszem spotkaniem«. Swoją drogą zaczęli z czasem bywać u nich w domu; nazwisko Słowackiego, już »trochę znane«, pomogło mu, jak powiada, do otrzymania dobrego nader przyjęcia; za Krasińskim, o którym nie wiedziano, że pisze również, przemawiał tytuł hrabiego, przyszłego ordynata; i wywiązała się tym sposobem »milutka znajomość«, z której korzystali raz po raz, choć przyznawali, że lepiej się bawili, kiedy sami, we dwóch tylko, błądzili po ulicach albo okolicach Rzymu [1]).

Słowackiemu wszystko się wtedy wydawało piękniejszem, poetyczniejszem, i niejedno, na co, kiedy chodził z Filami, nie zwrócił był prawie uwagi, teraz, dzięki towarzystwu Krasińskiego, wprawiało go w ekstazę. Przy oglądaniu kościoła Świętego Piotra np., kiedy stali na dziedzińcu przed świątynią, pod owym obeliskiem między wodotryskami, zdało mu się któregoś dnia, — a było to w samo południe, kiedy (że użyję tu wyrażenia mojego przyjaciela, Kazimierza Tetmajera) »słoneczne zamyślenie świat ogarnęło cały«, że

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
Skrzydła fontannom i włos im ubiela,
Wyszły Anioły przewodnie, bliźnięta,
Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;
I tę kopułę, która już pęknięta,
Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem.

I Słowacki, patrząc na nią, mimowoli myślał sobie:

— Jej-bym nie zwalił gromem, echem, płaczem.

---

[1]) »Pomiędzy Juliuszem Słowackim a Zygmuntem Krasińskim ta *odpowiedność* rzeczy i to braterstwo były zapowiedziane (?), a nawet śmiercią stwierdzone. Są to *dwaj wodze* epopei polskiej, na czatach swoich stojący. Za ich dni, mieliż oni wojsko?« Zob. Cypryan Norwid, *O Słowackim*, str. 43. Cypryana Norwida uważają u nas niektórzy za pierwszego polskiego dekadenta. Rzeczywiście, jeżeli chodzi o bombastyczne nonsensy, dziwacznie a pretensyonalnie wypowiedziane, to wspomniana książka o Słowackim może być nazwana arcydziełem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasnolica;
Wysokość — z niebios równałem otchłanią,
Bo ta kopuła, to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią,
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawałnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny, na drodze.

Potem Bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom bladym rozpowiada:
»Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada,
Choć ja i wichry, moi towarzysze,
Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny się w nim zagnieżdżą łabędzie,
I orły będą w czerepie mieć dzieci«.
Tak mówił Perun... Ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świeci;
Dlategom bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,
I wy Piotrowych fontann Świteziank,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach, i ty, świata siło,
Krzyżu pokorny, i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem!
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem.

Strudzony byłem i smętny. Lecz znowu,
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
Do pieśni, ludzi malować i ziemię [1]).

III.

Jakoż powrócił istotnie »do swego narowu, do pieśni«, wyobraźnia jego bowiem, od chwili przyjazdu do Rzymu, jakby senna i rozleniwiała, poczęła teraz, niezawodnie pod wpływem pełnych zapału rozmów z Krasińskim, ożywiać się nagle, nowemi zapładniać marami, a ponieważ przebudzenie to nastąpiło w Rzymie, więc i obrazy, jakie zaczęła

[1]) *Beniowski*, Część druga, Pieśń VIII, str. 52, 53.

przesuwać poecie przed oczyma duszy, miały za tło Rzym, a za bohaterów — rodzinę hrabianki Beatrix Cenci, tej samej, której portret w białym zawoju, przez Guido Reni'ego, a jak głosiła legenda, w więzieniu, na parę dni przed śmiercią pięknej Beatrix malowany, oglądał niedawno w pałacu Barberinich.

Słowacki, który już, jak wiadomo, podczas pobytu swego w Paryżu zaczął pisać prozą, po francusku, dramat, mający za treść sprawę hrabianki Cenci, powrócił dzisiaj raz jeszcze do tego pomysłu, z postanowieniem, aby go opracować obecnie po polsku i wierszem, a pobudką pod tym względem, która i sam pomysł przekształciła gruntownie, były mu: legenda o hrabiance Beatrix Cenci, tej dziewicy czystej i nieskalanej, która w obronie swej czci, nie wahała się popełnić ojcobójstwa, legenda, którą w Rzymie słyszał opowiadaną kilkakrotnie, a którą mu raz po raz przypominać musiały różne, uświęcone nią miejsca, jak: Zamek Anioła i Pałac Cencich; Pałac Colonnów, których stary hrabia Francesco Cenci był stronnikiem; Pałac Orsinich, których »złość z Colonnami« była w swoim czasie równie głośną nad Tybrem, jak w Weronie, unieśmiertelniony przez Szekspira, spór między domami Montekich i Kapuletów; oprócz legendy zaś, ów portret Guido Reni'ego. Przypatrując mu się, »tej głowie cudownej piękności, spokojnej jako cyprys, nadto smutny, aby nim ruszył wiatr«, zachwycony tem anielskiem obliczem [1]), nieraz miał chęć powiedzieć, jak jego Giani w akcie drugim tragedyi. »Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci... W ziemię utopiłaś oczy rozwarte i chciwe. O, takie oczy nie widzą, lecz tworzą same obrazy i na utworzone patrzą z litością lub zamiłowaniem. A moje oczy w tej cudnej głowy oczach utonęły, jako w głębokiem morzu zachwycenia«. I stojąc tak przed tym obrazem, z pewnością przywodził sobie na pamięć koleje życia tej męczennicy, która mogła powiedzieć o sobie: »jestem, jako najbielsza z gołębic«, a która zginęła tak marnie; i litując się nad jej dolą nieszczęsną, tragiczną, jak trudno znaleść w historyi podobną, można być pewnym, że mimowoli zaczął myśleć i o swojej dawno zarzuconej sztuce francuskiej, przedstawiającej właśnie krwawe dzieje tej najbielszej z gołębic. Po niejakim czasie, myśląc o tej sztuce, przyszedł do przekonania, że gdyby ją dzisiaj, po pobycie w Rzymie i po widzeniu tego portretu, na nowo opracowywać przyszło, wziąłby się

[1]) Por. *Beatrix Cenci* Słowackiego, akt I, sc. IX, akt II, sc. I i IV.

do rzeczy inaczej zupełnie, aniżeli wtedy, w Paryżu. I tu zaświtało mu w głowie, że malarz, malujący portret kobiety tak czarującej, mógł się z łatwością zakochać w nim, a ona w nim. Bo czemuby nie przypuścić, że Guido Reni, kiedy malował portret córki hrabiego Cenci, był młody, piękny, namiętny. Jako taki, a przytem jako artysta, sławny w całym Rzymie, mógł wzbudzić afekt w czarującej hrabiance. Co za tragedya! Te dwie istoty kochające się na podobieństwo Romea i Julii, pragnące żyć razem i długo, marzące o raju na ziemi, o uściskach wzajemnych, o pieszczotach i pocałunkach upajających, te dwie istoty czułe i tkliwe, wyobrazić je sobie w sytuacyi, w jakiej znalazła się Beatrice, ojcobójczyni, skazana na śmierć przez ścięcie! Toż to motyw tragiczniejszy tysiąckroć, aniżeli historya Romea i Julii! Co za rozdzierająco smutny duet możnaby wysnuć z tego motywu! I Słowacki, zapaliwszy się do tego nowego pomysłu, dawniejszy, pierwszy, a mniej szczęśliwy, (jak mu się zdawało) zarzucił zupełnie i postanowił do tej okropnej tragedyi ojcobójstwa, wtrącić epizod oryginalny, mniejsza o to, że dowolny i z legendą niezgodny, epizod, który na podobieństwo złotego pęku promieni słonecznych, wpadających przez zakratowane okno do ciemnej celi więziennej i niosących z sobą świeże powiewy wiosny, przesycone zapachem róż i fiołków, miał nieco rozjaśnić ponure karty utworu i dodać mu poetycznego uroku [1]).

Pomysł jednakże, o ile przyszedł łatwo, o tyle dojrzewał zwolna, jakby oporem: nie przyoblekał się w konkretne kształty. Poeta nie mógł jakoś »zobaczyć« swojej tragedyi: nie »widział« jej. Może dlatego, że nie mógł się skupić dostatecznie, że zamało miał spokoju w Rzymie, że zabardzo go absorbowały stosunki towarzyskie. Dość, że do pisania, pomimo najszczerszych chęci, nie przyszło i sprawa Beatrix Cenci odłożoną została na później, do lepszych czasów.

Nie miało to znaczyć, ażeby obecne czasy nie zasługiwały na miano dobrych, choć z drugiej strony przyznać trzeba, że obok pięknych, harmonijnych akordów, jakie poeta miał do zawdzięczenia Krasińskiemu, który niestety, wraz z Danielewiczem i Sauvanem jednego z ostatnich dni maja opuścił Rzym, udając się do Kissingen, zkąd przyrzekł mu pisywać; że obok akordów tych, a po części,

---

[1]) Por. z tem mój artykuł p. t. *Beatrix Cenci, czyli o rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego.* Studya historyczno-literackie *O Słowackim i Krasińskim*, Kraków, 1895.

i głównie nawet, z powodu tych akordów właśnie, szły w parze jednocześnie i dysonanse.

Przyczyną dysonansów tych, które poecie obrzydziły pod koniec nawet Rzym, byli Teofilowie. Ci ostatni czuli się poprostu pokrzywdzeni i trochę obrażeni w swojej miłości własnej. Czemu? Widząc, że Julek, od chwili, kiedy się zapoznał z Krasińskim i jego towarzyszami, coraz chętniej zaczął nie bywać w domu, przekładając widocznie nad towarzystwo swoich krewnych najbliższych »kawalerskie, biegające i cygara palące życie« przyjaciół młodego Krasińskiego, że go ci powoli wszystkiemi sposobami starali się przyciągnąć do swoich mieszkań (mieszkanie państwa Januszewskich tak było połączone salonem z pokoikiem Słowackiego, że nie mógł kolegów swych »bez żenowania« ugaszczać u siebie, chociaż się wszyscy zapoznali z Teofilami) i że powracał od nich często po północy dopiero, a niekiedy nad ranem; widząc to, nie dziw, że mieli do niego żal z tego powodu i że mu nawet po niejakim czasie zaczęli to wyraźnie okazywać. Pan Teofil, jeżeli się zdarzyło przypadkiem, że Julek powrócił do domu nie w nocy, jak zwykle, ale przed wieczorem, okazywał się »z zimną twarzą«; często, przyszedłszy ze spaceru, a widząc Julka u siebie, nie witał się z nim wcale, tylko szedł prosto do okna i nie zaczynając pierwszy rozmowy, (co znowu niecierpliwiło Juliusza) pogwizdując sobie, z rękoma w kieszeniach, z nosem spłaszczonym o szybę, wyglądał na ulicę; a że poeta również nie myślał czynić w takich razach pierwszego kroku, więc upłynęło nieraz sporo czasu, zanim się ostatecznie jeden z nich — najczęściej Teofil — zdecydował przerwać to denerwujące milczenie. Nawiasem mówiąc, podobnego rodzaju nieme sceny zniechęciły Słowackiego do reszty od siedzenia w domu. Oczywiście, że to nie polepszało sprawy i że i tak już duszna atmosfera pomiędzy poetą a wujowstwem zgęszczała się coraz bardziej. Słowacki, widząc, że »stracił ich serce«, jakkolwiek przyznawał, że było w tem niemało i jego winy, to przecież z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że najwięcej do kwasów tych przyczyniła się »skłonność do złego humoru« wuja, który nudząc się sam z żoną, chciał (także dziwna pretensya!) żeby się wszyscy nudzili z nim razem! Gniewało go poprostu, że się Słowacki bawił gdzieindziej, i że znajdując nudy w domu, szukał zabawy poza domem. Hersylka, oczywiście, stała po stronie męża, więc i ona robiła Julkowi różne miny, które go doprowadzały do pasyi.

Taki stan rzeczy trwał kilka tygodni. Skończyło się

na tem, że Januszewscy postanowili dnia 23 maja wyjechać z Rzymu do Neapolu, a ponieważ nie bardzo namawiali Słowackiego, ażeby jechał z nimi — skoro się nudzi w ich towarzystwie — nie pozostawało mu więc nic innego, tylko unieść się ambicyą i zostać. A nie uśmiechało mu się to wcale. Zostawał bowiem sam jeden. Krasiński wyjeżdżał lada dzień [1]). Z nim razem jechali Sołtan, Danielewicz, Salvanus, Rajecki. Inni także się rozjeżdżali w różne strony. Hołyński i Brzozowski wybierali się wkrótce do Neapolu. W Rzymie zostawali się tylko państwo Richthoffen, jedyny dom, w którym mógł przepędzać wieczory. Wieczory! Ale co począć z dniem całym, w tropikalne upały, jakie się teraz zaczynały nad Tybrem? W Neapolu chłodniej od morza. Ale nie! nie pojedzie do Neapolu! zostanie w Rzymie! Jakoś to będzie! Musi być dobrze! Rano, o godzinie 7-ej będzie wychodził na spacer, aby się cokolwiek chłodem orzeźwić; potem zajdzie do kawiarni; potem, około 10-ej wróci do domu i w płóciennej bellezie, pozapuszczawszy żaluzye, będzie marzył i... gryzł się zapewne aż do godziny 4-ej, o której wyjdzie na obiad, po obiedzie na spacer, a po spacerze... Po spacerze, jeżeli nie wróci do domu, ażeby spędzić wieczór samotnie, to pójdzie z wizytą do pani Richthoffen, u której pierwszy raz w życiu będzie się starał »być jak domowym i wyrobić sobie prawo przychodzenia nawet co dnia«. W ten sposób, myślał sobie, upłynie mu szereg »dni samotnych«, po których nie wiedział jeszcze, co zrobi. Swoją drogą spoglądał w tę niedaleką przyszłość bez otuchy i »z przerażeniem« pewnem. »Bo wystaw sobie droga (pisał w tem uczuciu do matki) życie takie: wymaluj sobie myślą naokoło młodego chłopca Rzym, spiekły upałem przez dzień cały, bez drzew, bez zieloności, i pomyśl, co on będzie robił«. Dlatego przejmował go strach mimowolny, kiedy patrzał na mieszkanie, w którem mu samemu zostać wypadnie; dlatego modlił się, ażeby mógł pisać przynajmniej, ażeby imaginacya przyszła mu w pomoc i zapełniła jakiemi marzeniami te puste dni, które go czekają; ażeby się ulitowała nad nim, albowiem ona jedna, ta »szalona władza tworzenia« jest jego aniołem-stróżem, albowiem bez niej, doprawdy nie wie, coby począł na świecie.

Obok tego trapiło go i inne jeszcze uczucie. Oto, było mu przykro poprostu, że w ten sposób rozstaje się

[1]) D. 11 czerwca był już w Kissingen. Zob. list do Gaszyńskiego z d. 12 czerwca 1836 r. »Wczoraj przybyłem do Kissingen«.

z Teofilami, że wyjadą rozżaleni nań, rozczarowani i jakby zawiedzieni, że nie był takim, jakim być należało, że nie zawsze był z nimi »dobrym i szczęśliwym w zarabianiu na miłość ich i przywiązanie«, że często, w rozdrażnieniu, dotknął które z nich boleśnie jakiem słowem niebacznem, choć może na to nie zasłużyli. Bo z drugiej strony trudno się im dziwić, że wymagali, aby więcej z nimi, aniżeli z kimkolwiek innym, przestawał. Wszak, jako jego krewni najbliżsi, mieli do tego prawo; zwłaszcza, że nie widzieli go tak długo i kto wie, czy, rozjechawszy się teraz, jeszcze kiedy zobaczą. Musiało ich to martwić, że »tak bliscy siebie«, nie mogli z nim być zawsze razem, że był jakiś przedział pomiędzy nimi a nim, przedział, do którego on postępowaniem swojem przyczynił się najbardziej.

I robił sobie Słowacki wyrzuty z tego powodu, i, jak powiada, cierpiał na tem.

Na domiar złego, przyjechał do Rzymu dawny znajomy jego, jeszcze z Wilna, niejaki Gaj, sławny niegdyś »sowizdrzał«, który teraz, ożeniwszy się, nietylko spoważniał odrazu, ale i znudniał. Co gorsza, to, że sam się do tego przyznawał otwarcie, tak dalece, że przybywszy do Rzymu — z żoną — i spotkawszy tu Słowackiego, oświadczył mu na samym wstępie radość z tego spotkania, ponieważ, jak się wyrażał, będzie przynajmniej miał włóczyć się z kimś po Rzymie, «bo on lubi gadać dużo i, jak sam powiada, potrzebuje koniecznie kogoś nudzić«. Ten Gaj doprowadzał go teraz swojem gadulstwem do rozpaczy. A nie było sposobu uwolnić się od jego towarzystwa. Żeby choć miał ładną żonę! Oprowadzanie go wtedy po wiecznem mieście i służenie za *cicerone,* o co się sam ciągle przymawiał, miałoby wówczas jakiś romansowy urok. Niestety, pani Gajowa traciła bardzo na porównaniu z Wenus Kapitolińską i w obcowaniu z poetą niewiele zdawała się dbać o to, ażeby być mniej nudną od męża. Sytuacya, w jakiej się znalazł Słowacki, była istotnie nie do pozazdroszczenia. Oglądać w takich warunkach, a w dodatku i w upał jeszcze, osobliwości Rzymskie (któregoś dnia zaprowadził ich na szczyt kopuły Św. Piotra), osobliwości, które się już widziało przedtem po kilka razy i to w przyjemniejszem towarzystwie, było równie przykrem, jak *ricordarsi del tempo felice nella miseria.*

Ale, jak mówi przysłowie, nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Okazało się bowiem, że i ten przyjazd Gajów miał wyjść w końcu Słowackiemu na dobre. Jakim sposobem? Bardzo prostym. Gajowie nie mieli zamiaru bawić w Rzymie dłużej nad dwa tygodnie; potem

wybierali się do Neapolu. Woleliby, naturalnie, pojechać tam w towarzystwie, zwłaszcza dawnych znajomych. A takimi znajomymi ich — od dziecka prawie — byli właśnie Teofilowie Januszewscy. Teofil przytem bardzo się lubił z Gajem. Żony ich także nie miały nic przeciwko sobie. Czyżby więc — proponował Gaj — nie było najprzyjemniej wybrać się do Neapolu razem? Myśl ta trafiła do przekonania Filom, tak dalece, że postanowili wyjazd swój odłożyć do 4-go czerwca, t. j. do święta Bożego Ciała, ażeby zobaczyć słynne procesye, poczem, razem z Gajostwem dopiero puścić się na południe [1]).

W ciągu tych dwóch tygodni udało się Słowackiemu odzyskać znowu serce Teofila i Hersylki. Nie potrzebując już dzielić się pomiędzy nich a Zygmunta i jego towarzyszy, zaczął im znowu okazywać więcej przywiązania, nie rozłączając się już z nimi, jak dawniej, przez cały dzień, razem chodząc na spacer, razem na obiad, razem wracając do domu wieczorem, razem dotrzymując towarzystwa Gajom, do których powoli zaczął się także przekonywać. Tym sposobem, na miejsce niedawnych dysonansów, znowu nastała zgoda, harmonia, przyjaźń, tak, iż kiedy 5 czerwca miano jechać do Neapolu, nawet mowy już nie było o tem, ażeby Słowacki został w Rzymie. Pojechali wszyscy razem, a w kilka dni później podążyli za nimi jeszcze Wański, Brzozowski i Hołyński, oraz Suchodolski, malarz, ze swoją piękną żoną.

---

[1]) »Otóż dla przechwalnej uroczystości Bożego Ciała, dla zabrania się z Julkiem i G(ajami) wyjechaliśmy z Rzymu 4 t. m.« (czerwca) itd. List Teofila Januszewskiego do pani Becu.

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

ROZDZIAŁ II.

W NEAPOLU I SORRENTO.

Hotel Vittoria. Widok z balkonu. Życie na ulicy Św. Łucyi. »Ciche przy białym księżycu rozmowy«. Tryb życia. Teatr neapolitański. Myśli o przyszłości. I. Teraźniejszość. Studya nad Dantem. Pompei i Herkulanum. *Grota di lazura*. Grób Wergiliusza. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Wycieczka na Wezuwiusz. Myśli o ożenieniu. Wspomnienia Genewy (5 — 22 czerwca). II. Wyjazd do Sorrento. Rozłączenie z Teofilami. Pragnienie samotności. Życie wiejskie. Młoda gospodyni i jej serenady. Sielanka w stylu *Elegii Rzymskich* Goethego. Spacery nad brzegiem morza z panią Suchodolską. Studya nad Szekspirem. »Pisałem trochę«. Pierwszy objaw zwrotu ku religii. III. Powrót do Neapolu (w końcu lipca). Psychologiczny zwrot w uczuciach dla Teofilów. Myśl o rozstaniu z nimi. Samotne medytacye na balkonie. »Ścigająca myśl« o Maryi Wodzińskiej. Zenon Brzozowski i Aleksander Hołyński wybierają się w podróż na Wschód. Namawiają do niej Słowackiego. Trzy tygodnie wahania. Wpływ Biblii na powzięcie stanowczej decyzyi. Pożegnanie Neapolu. Pierwsza pieśń *Podróży na Wschód*. Uczucia przed wyjazdem. Ostatni obiad z Teofilami. List do matki. Początek dziennika. Wyjazd z Neapolu (24 sierpnia 1836 r.)

W Neapolu [1]) zamieszkali w hotelu *Vittoria* przy *Via Santa Lucia del mare* Nr. 28, nad samem morzem: Teofilowie w jednym, Słowacki, obok nich, w sąsiednim pokoju.

[1]) O podróży z Rzymu do Neapolu pisze Słowacki tyle w swojej *Podróży na Wschód:*

...Do Neapolu zaś przywiózł mię veturyn.
Carozze jego i *cabrioletti*
Zalecam wszystkim: zowie się *Paretti*.
(Pieśń I, stanza 10).

O przygodach podczas podróży z Rzymu do Neapolu, o zatrzymaniu Januszewskich w karczmie Terracinie przez żandarmeryę papieską, tak, iż Gajowie ze Słowackim pojechali naprzód, oni zaś dopiero w trzy dni po nich przybyli do Neapolu, zob. List Teofila Januszewskiego do pani Becu (t. I, str. 244).

Mieszkanie to bardzo się podobało poecie, raz dla przepysznego widoku, jaki miał z okna, a powtóre, że okno to zarówno w jego, jak i Filów pokoju, wychodziło na niewielki balkonik żelazny w stylu *rococo,* balkonik, którym architekt »tkanki podrzeźniał pajęcze«, a na którym siedząc, doznawałeś złudzenia, że balkon ten »drży nad falami morskiemi«. W pobliżu bowiem, o kilkanaście kroków od hotelu, za »rybackich sklepów złotym wiankiem«, po drugiej stronie ulicy, błękitniała zatoka, ta ze wszystkich zatok na świecie najpiękniejsza, nabijana światłem słonecznem, upstrzona białemi i bronzowemi żagielkami łodzi łacińskich, zjeżona w porcie obok latarni morskiej smukłemi masztami okrętów, okolona amfiteatralnym półkręgiem jasnych domów nadbrzeżnych, stojących wzdłuż t. zw. *Chiai,* czyli głównej ulicy w Neapolu, uwieńczona w górze wielkim zamkiem królewskim Castello dell'Ovo i zakończona »ogromną mogiłą czarnych popiołów«, Wezuwiuszem, który, stojąc na straży z boku zatoki, plamił przeczyste szafirowe sklepienie nieba — nieba włoskiego — brunatnym pióropuszem dymu. Wszystko to, skąpane w oślepiających blaskach promieni słonecznych i wyglądające wtedy, dzięki żywości swego kolorytu, »jak bańka z mydła, wypuszczona przez jakiego trytona«, a jako pejzaż nie mające nic równego sobie, służyło za malownicze tło całemu szeregowi scen rodzajowych ulicznych, które, wysunięte na pierwszy plan, jeżeli się je obserwowało z balkonu Słowackiego — wszystkie bowiem rozgrywały się pod oknami hotelu Vittoria — o ile z jednej strony oszałamiały i denerwowały swoją hałaśliwością (już to wogóle hałaśliwość cechuje Neapol), o tyle z drugiej bawiły i interesowały widza, swoją werwą, swoją rozmaitością, swoim kolorytem i tą, prawdziwie neapolitańską wesołością. Rano, ponieważ ulica Św. Łucyi jest stanowiskiem marynarzy i lazaronów (co za typy przepyszne!) widzieli ich jak śniadają, jak oblegając stragany z ostrygami, makaronem i *frutti di mare,* targują się z przekupniami, hałasując przytem, gestykulując i wrzeszcząc, jak gdyby się paliło; o południu wygrzewał się ten »Dyogenesów lud« w słońcu, hołdując swej ulubionej zasadzie *dolce far niente;* wieczorem zaś, nieraz do późnej nocy, krążył koło butelki, baraszkował, grał w kości, śpiewał pieśń o świętej Łucyi, tańczył przy harmonijce, zalecał się do dziewcząt, jednem słowem nie zapominał o horacyuszowskiem *Carpe diem.* Za nimi tymczasem, w głębi, z za ciemnej sylwety Wezuwiusza wschodził biały księżyc, rzucając na zatokę srebrzyste pęki światła. Krater wulkanu ział krwawym słupem ognistym, który, wraz

z promieniami miesiąca, także odbijał się w morzu. Na wodzie, nabijanej pąsowemi i seledynowemi refleksami, płonęły ognie rybackie, jaskrawo oświecając trójkątne żagle łodzi. Od strony Neapolu, wzdłuż brzegu, na Chiai i Margelinie, zkąd, przytłumiony oddaleniem dochodził monotonny turkot powozów, widziałeś długi, gęsty różaniec latarni gazowych, podobny do różowych paciorków. Nad nimi, jak słońce pośrodku gwiazd, królował rzęsisty płomień latarni morskiej, co chwila zmieniający kolory: raz czerwony, jak rubin, raz zielony, jak szmaragd, raz niebieski, jak szafir, a raz znowu, jak opal, żółty. W powietrzu, podobne do błyskawic czarnych, fruwały nietoperze, a na ziemi, »jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię«, świeciły *lucciole* [1]).

»Czarowny widok, czarowne wieczory«, mawiał o takich chwilach Słowacki do siedzącego z nim na balkonie Teofila; i nie mieli dość słów na wyrażenie zachwytu swojego dla Neapolu.

Podobne *sjesty,* podobne »ciche przy białym księżycu rozmowy« balkonowe, z cygarem w ustach i spokojem w duszy, miały zarówno w poecie, jak i w jego wuju, ogromnych zwolenników. Januszewskiego zachwycał »zgiełk ludzi i tęcza, w jaką się ludzkie wiązały kolory nad błękitnawem morzem«; Słowacki znów, zamyślony, patrzał na Wezuwiusz,

aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I ztamtąd białe czoło obróci do świata;

i tak, na cichej pogawędce, raz po raz głuszonej gwarem ulicznym, dochodzącym z dołu, gwarem jednostajnym, ani na chwilę nie ustającym, a którego jedynem urozmaiceniem były »siarczaną wodą z hukiem wystrzelone korki«, schodziły im niekiedy całe długie wieczory. Za nimi, dla braku miejsca na balkonie, siedzieli we drzwiach Gajowie, pani Hersylia, Zenon Brzozowski, Hołyński, a czasem także i państwo Suchodolscy (choć wtedy Słowackiego bardziej, aniżeli błękit zatoki Neapolitańskiej, przyciągały do siebie magnetycznie »błękitne oczy« pani Suchodolskiej). Często

[1]) Z opisem tym krajobrazu neapolitańskiego por. Wiersz do Teofila Januszewskiego: »Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?« itd. (Pisma pośm., t. I, str. 36); *Podróż na Wschód*, Pieśń I. »Wyjazd z Neapolu« i Pieśń VIII, *Napoli di Romania;* listy Słowackiego do matki z Neapolu (t. I, str. 238 — 252), oraz list Teofila Januszewskiego do pani Becu (w listach Słowackiego, t. I, str. 243 — 246).

także, jeśli pogoda sprzyjała, wybierano się na spacer, na ludną promenadę, gdzie »rój mrówek lezie i rząd karet płynie« i gdzie wmięszani w »falę ludu, co z sobą po ulicach niosła osoby, *granem*[1]) widok płacące i krzesła«; i widokiem tym napawali oczy tak długo, dopóki im się to nie uprzykrzyło w końcu. Skoro się uprzykrzyło — a najwcześniej doznawał zawsze przesytu tego Słowacki — wracano do domu, na balkon, albo decydowano się pójść do teatru, na którym bywano dosyć często, (poprostu dla zabicia czasu, bo ani opery miejscowe, ani komedye nie stały na wysokości rzymskich chociażby, nie mówiąc już o paryskich i drezdeńskich). Słowackiego zaś, dziwna rzecz, nawet teatr nie bawił. »Bywam tu na różnych teatrach — pisał o tem do matki — na które mię najczęściej ciągną moi znajomi«. A więc trzeba go aż było wyciągać! »Opery tutejsze złe i nie bawią mię; komedya jeszcze gorsza, nudzi mnie«. Raz tylko, powiada, zabawił się dobrze w teatrzyku St. Carlino, gdzie przedstawiają małe sztuczki ludu neapolitańskiego w dyalekcie neapolitańskim. »Z teatru tego można poznać obyczaje ludności miejscowej«, i dlatego interesowały go przedstawienia tu dawane więcej, aniżeli jakiekolwiek inne. Zwłaszcza, że uczęszczało na nie oprócz pospólstwa, zajmującego parter i wyższe piętra, także i dobre towarzystwo: dużo cudzoziemców zwłaszcza. »Wszystko się śmieje, skoro się kurtyna podniesie. Nie zawsze jednak można trafić na dobrą sztuczkę. Prześmiawszy się czasem nad miarę, smutniejszy jestem potem, kiedy myślę o tej biednej mojej przyszłości«.

I.

Tymczasem teraźniejszość nie przedstawiała się najgorzej. Czas upływał dość jednostajnie wprawdzie, ale przyjemnie. Ponieważ w Neapolu — zdaniem Słowackiego — mało jest rzeczy do widzenia i wystarcza »poznać ogólnie fizyognomię tej stolicy«, a upały coraz bardziej dawać się zaczynały we znaki, większą część dnia przepędzano w mieszkaniu, przy zapuszczonych żaluzyach, w chłodnej — względnie — atmosferze pokojowej. Każdy wtedy zajmował się czem mógł.

Słowacki studyował Dantego. Właśnie udało mu się dostać niedawno nowe wydanie arcydzieła Alighierowego

[1]) Ówczesna drobna moneta neapolitańska.

z komentarzami. Komentarze te, jak się o nich dowcipnie wyraził w swojej *Podróży na Wschód,* dopatrywały się w *Boskiej Komedyi* mnóstwa rzeczy, o których można być pewnym, że się nie śniło autorowi.

Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu;
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu
I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł *majuskule,* to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni,
Niż Beatrice [1]).

W dni chłodniejsze robiono wycieczki w okolice: do Pompei i Herkulanum, które, rzecz dziwna, najmniejszego na Słowackim nie zrobiły wrażenia [2]); na Wezuwiusz, zkąd oglądano wschód słońca; do klasztoru Trenta Tre, do Sorrento, na wyspę Capri, do Portici, do grobu Wergiliusza, do słynnej *grota di lazura,* »gdzie światło wpada, jak z dziurki od klucza« i do której przez tę właśnie dziurkę od klucza wpływa się łódką wraz z przypływem morskim.

Grób Wergiliusza był ulubionym celem samotnych spacerów Słowackiego. Chociaż nie lubił *Eneidy,* to jednak ten grobowiec wielkiego poety starożytnego, ocieniony konarami klasycznego lauru, miał dla niego jakiś urok poetyczny. Zachodził też tutaj — z Dantem pod pachą — bardzo często i, siadając »w cieniu wirgilowego lauru« czytał, podziwiał piękność krajobrazu, (bo znikąd Neapol i zatoka nie wyglądają tak pięknie, jak ztąd), a najczęściej ani czytał, ani patrzył przed siebie, tylko marzył.

Już to wogóle marzenia grały w jego życiu neapolitańskiem bodaj czy nie najważniejszą rolę. Często, kiedy Teofilowie prowadzili się »jak para gołąbków« na miasto, na muzykę, a Gajostwo szli, jak druga para gruchających gołąbków, skupować lawy, szyldkrety i obrazki, on pozostawał w domu, sam jeden, na balkonie i »przemarzał« cały wieczór, siedząc w krześle, »jak śpiący«, przypatrując się różom w wazonie (bo był na ganku róży wazon), paląc fajkę i, jak powiada, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tytoniu. Różne obrazy! Jakie? On sam nie widział ich jasno, albowiem były to tylko senne przypomnienia, przypomnienia chwil błogich, świetlanych, a które go tu na każdym prześladowały kroku, wszędzie przywodząc mu

[1]) Pieśń 1, strofa 22, 23. [2]) *Listy,* 241, 242.

na myśl owe ciche, promienne i szczęśliwe dni genewskie, jedyne szczęśliwe, jakie miał w życiu. Gdziekolwiek poszedł, na cokolwiek patrzał, wszędzie i zawsze stawała przed nim ta przeszłość niedaleka, a niepowrotna, przeszłość, która teraz o tyle wydawała mu się piękniejszą, że ją widział przez tęczowy pryzmat wspomnienia, które jest, jak wiadomo, największym artystą i poetą, bo odrzuca wszystko, co brzydkie i przykre, a zachowuje to tylko, co piękne, wzniosłe, dobre, słowem, dodatnie. Patrząc na zatokę i Neapol, mimowoli, przymrużywszy oczy, widział owym wewnętrznym wzrokiem duszy... jezioro genewskie, tak samo, jak ta zatoka, błękitne i modre. Wezuwiusz kazał mu myśleć o śnieżnej kopule Mont-Blanc, którą z okien swojego mieszkania w Paquis widział tak samo po prawej stronie, jak tutaj ten »ponury kurhan popiołów«. Księżyc, wschodzący nad Wezuwiuszem, uprzytomniał mu owe ciche wieczory szwajcarskie, kiedy to, otworzywszy okno i stanąwszy w niem, wsparty o framugę, oczekiwał wschodu księżyca, mającego się wychylić niebawem z poza góry Mont-Blanc. Tylko, że tu wszystko wrzało dookoła, jak w ulu, kiedy tam niezamącona niczem panowała cisza. Ach, ta cisza! Jakże mu było tu za nią tęskno! A nie znajdował jej nigdzie. Chyba na szczycie Wezywiusza. Chociaż i tam nie miał spokoju, bo nawet i ta wycieczka w nocy, z pochodniami, po drodze pełnej lawy, tyle tylko posiadała dlań uroku, o ile mu przypominała ów »wojaż« po Alpach z Wodzińskimi. Na połowie drogi, kiedy się zatrzymali wreszcie przed małym domkiem pustelnika, gdzie mieli przenocować, (a było ich czterech, oprócz przewodników: Teofil, Gaj, Wański i on), nie dawały mu spać wspomnienia owego noclegu z całą rodziną Wodzińskich, i z Maryą! w klasztorze na górze Św. Bernarda. Pustelnik, częstujący ich chlebem, serem i winem *Lacrima Christi*, zdawał mu się mieć pewne podobieństwo z owymi zakonnikami szwajcarskimi, tak uprzejmymi dla dam i tak swobodnymi w obejściu z niemi... Kiedy im podano książkę podróżnych, nad którą, przeglądając różne podpisy, większą część nocy spędził bezsennie, przypomniało mu się, że i tam na górze Św. Bernarda, przeglądał taką samą książkę z podpisami podróżnych, tylko, że tamtą przeglądał razem z Maryą. Później, kiedy o świcie, zdrzemnąwszy się trochę, puścił się z towarzyszami w dalszą drogę na szczyt krateru, ażeby ztamtąd zobaczyć wschód słońca, myślał przez cały czas o tem, jak się rok temu w podobny sposób — tylko że nie po osypującym się popiele — wdzierał na górę Righi nad jeziorem Czterech kantonów. Skoro stanęli

na szczycie, nad ogromną przepaścią krateru, gdzie ciepłe powietrze wydobywa się z ziemi, jak z pieca, a stąpa się po gorących jeszcze żużlach, czerwonych jak węgle albo złotym kolorem siarki umalowanych, i kiedy nad tym prawdziwie piekielnym obrazem wzeszło wspaniałe słońce, on, lubo oczarowany pięknością tego widoku, przypatrywał mu się roztargniony, więcej bowiem, aniżeli o tym, myślał o innym wschodzie słońca, na Rhigi Kulm i na górze Faulhorn, i mimowoli zadawał sobie pytanie: czy go też ta gwiazda, tak często zastająca go na szczytach gór i tylokrotnie witająca pierwszego na ziemi, czy go ta gwiazda już zna trochę z twarzy? A obok takich pytań, przyzna każdy, że dziwacznych, przychodziły mu do głowy i różne inne jeszcze, niemniej dziwaczne myśli. Oto naprzykład; »czy nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby trumny złych ludzi, zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią, jak strumienie, i padały podziemnemi drogami do żaru wulkanicznego[1]). Gdyby się tak działo od stworzenia świata,

---

[1]) Zob. *Listy*, t. I, str. 242 (list z Neapolu, z d. 20 czerwca 1836 r.). Ten obraz trumien, oglądanych ze szczytu wysokiej góry, znalazł odbicie swoje w strofie XII poematu *W Szwajcaryi*, w owem przeczuciu nieszczęścia w chwili największego szczęścia.

I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy itd.

Nie od rzeczy też, sądzę, będzie i na to zwrócić uwagę, iż przeczucie to zaczyna bohatera *W Szwajcaryi* dręczyć w chwili, kiedy z ukochaną szedł na górę do staruszka celi (jak Romeo z Julią do celi Ojca Laurentego), ażeby ich rozgrzeszył i kochać ośmielił, ręce im stułą związawszy. Otóż bardzo być może, że obraz ten przyszedł poecie na myśl tutaj, podczas owej wycieczki na Wezuwiusz, podczas owego noclegu w domku pustelnika. Pustelnik ten przypomniał Słowackiemu Ojca Laurentego, i Romea i Julię, i tak powstała scena ślubu w poemacie *W Szwajcaryi*, scena napisana później (we Florencyi), a nie ulega żadnej wątpliwości, że napisana pod wpływem tragedyi Szekspira o nieszczęśliwych kochankach z Werony.

Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany
I dwa na straży ogromne brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle:
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.

Jestem prawie pewny, że pisząc to, wyobrażał sobie Słowacki ów mały domek pustelnika na Wezuwiuszu. Ażeby być mojego zdania, dość przeczytać

jużby się ludzie z tem tak oswoili, jak z płynieniem rzek, z kwitnieniem drzew i z lataniem ptaków«. Następnie, kiedy świeżym porankiem poczęli schodzić na dół, i kiedy się powtórnie zatrzymali przed celą śpiącego jeszcze pustelnika, cela ta, ocieniona lipami wydała mu się tak piękną i cichą, że sam zamieszkałby w niej chętnie. »Bo właściwie, myślał sobie, siedząc niemy i zamyślony na ławce kamiennej przed domkiem i patrząc na morze i na Neapol (co mu znowu przypominało widok z góry Righi na jezioro Czterech kantonów i Lucernę, na które patrzał razem z całą rodziną Wodzińskich), bo właściwie, to zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik, obdzierający podróżnych, ludzie powinniby zbudować klasztor dla ludzi smutnych, jak ja. Niechby ztąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo«. Możeby też wówczas ziściło się to, o czem raz rozmawiał w Genewie z panną Wodzińską, mianowicie: że przyszłaby tu kiedyś odbyć spowiedź przed pewnym mnichem-kartuzem, którymby był nie kto inny, tylko on. Jakże im dobrze było wtedy, kiedy takie prowadzili rozmowy, kiedy on, tak zawsze lękający się o tę przyszłość, dowodził jej, że nie jemu sądzone takiem »kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów«, ponieważ gotów je bardzo łatwo wybić pannie z romansowej główki — jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachetną układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi [1]). Kto wie, czy przewidywania jego nie sprawdzą się prędzej, aniżeli przypuszczali wtedy oboje? Kto wie? Jakieś fatalne pod tym względem przeczucia nie dawały mu już spokoju oddawna. Nikt zaś, tyle co on, nie miał prawa wierzyć w przeczucia, zwłaszcza własne. Tyle razy miał się sposobność przekonać o ich prawdomówności, szczególniej, kiedy zapowiadały jakieś nieszczęście.

A nieszczęściem byłaby dla niego dziś jakakolwiek niepomyślna wiadomość o Maryi, której czar trwał nad nim ciągle i której widmo senne, jak cień, szło za nim, morzem i lądem, na szczyty wulkanów i szczyty wierz kościelnych, nocą i rankiem, o każdej godzinie dnia. Ta myśl szalona, która mu niegdyś, w chwili uniesienia, powstała w głowie, myśl, że mógłby się z Maryą połączyć dozgonnemi węzły, prześladowała go sobą aż dotąd, owładnęła nim zaś tak silnie, że nie umiał się z nią ukryć nawet przed matką, do której pisząc teraz z Neapolu, przyznał

opis wycieczki na Wezuwiusz w liście Słowackiego do matki na str. 242 tomu pierwszego *Listów*.

[1]) *Listy*. I, 216 (Genewa, d. 30 czerwca 1835).

się otwarcie, że byłoby mu tutaj zupełnie dobrze, gdyby nie uczuwał wciąż braku jakiej podpórki. »Podpórką nazywa się u mnie... trudno mi to wytłómaczyć: jestto coś, co mię kocha, coś, co mię broni od myśli, że jestem samotny na świecie, jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, czy nie możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie? Trzebaby tylko z trzykroć majątku! Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów, ja miałbym także cichą i żaluzyami zielonemi zasłonioną pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potem może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potem niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!« Ten obraz i to pożądanie szczęścia rodzinnego tak dalece zaprzątały mu umysł, że nawet podczas swych rozmów wieczornych na balkonie z Teofilami, mówił z nimi o tem otwarcie [1]). A gdy był sam, kiedy np. wynająwszy łódkę, pływał nią po zatoce — co mu znowu przypominało owe samotne przejażdżki czółnem w dni jesienne po jeziorze Genewskiem — i kiedy, oddaliwszy się znacznie od brzegu, tak, iż wszystkie domy Neapolu robiły zdaleka wrażenie piany morskiej, leżącej na brzegu, zawsze roiło mu się jedno, mianowicie: żeby z tej białej piany »wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tem wielkiem zwierciedle błękitu«. Ale, niestety, wszystko to były tylko marzenia, o których urzeczywistnieniu nawet marzyć nie było mu wolno. Nie dziw więc, że wobec tego widziano go smutnym najczęściej i apatycznym, i na mnóstwo rzeczy obojętnym, które zdawało się, że powinny go sobą interesować. Oto, niedaleko szukając, kiedy byli w Pompei i Herkulanum, nad których pięknością unosili się wszyscy (a między innymi i szambelan Skibicki, który także po niejakim czasie przyjechał z Rzymu do Neapolu, i który wraz z żoną również przyłączył się do towarzystwa Filów), on chodził po tych, przed wiekami brukowanych uliczkach, pomiędzy temi grobowcami z dwóch stron i temi domkami bez dachów i sufitów, jak po spalonej wiosce, z cygarem w ustach, niezdolny do zachwytów, a skory do złośliwych

---

[1]) List z Florencyi z dnia 2 stycznia 1838 r. (t. II, str. 24). »Dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mnie ciągle: chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga moja, że jest to jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia. Gadaliśmy o tem z nimi nieraz, siedząc na balkonie domu św. Łucyi w Neapolu, czekając, aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez zatokę morską«.

uwag i obserwacyi. Ściany domów ze szczątkami malowideł czerwonych wydawały mu się podobne do urożowanych kobiet; o świątyni Izydy, słynnej ze swych wyroczni, wyraził się, że ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie strachu; małym cyrkiem teatralnym, w całości odkopanym, rozczarował się także, nie znalazł w nim bowiem, czego się spodziewał: przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, jak mu opowiadano, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Słynny dom poety, położony tuż obok domu rozpusty, gdzie mu usłużny *cicerone,* zaprowadziwszy go do najtajniejszych zakamarków, pokazywał różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki, rozbudził w nim tylko uczucie obrzydzenia: słowem, innemi na wszystko patrzał oczyma, aniżeli myślał, że patrzeć będzie, kiedy opuszczał Genewę. Dziwna rzecz! Skoro wyjeżdżał ze Szwajcaryi, wyjeżdżał z takiem lekkiem sercem, z taką niekłamaną radością w duszy, że wyjeżdża, że pali za sobą wszystkie mosty, łączące go z Paquis i z Eglantyną, której miłość już go męczyła tylko; a teraz, kiedy otrzymał list od niej (a pisywała często), uważał sobie dzień taki za szczęśliwy. Wspomnienie Genewy i cichego domku w Paquis szczególnego zaczęło dla niego nabierać obecnie uroku: poprostu tęsknił za niem i dałby wiele, żeby znów mógł powrócić do tego anhellicznego życia, które tak kojąco (jak mu się zdawało dzisiaj) oddziaływało na jego smutną duszę. »Myśl moja, pisał o tem swojem uczuciu do matki, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę«. Dlatego, pomimo, iż zachwycony był Neapolem i pomimo, że mu dobrze tu było z Teofilami, postanowił rozstać się z nimi na jaki miesiąc i wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Potrzebował przeżyć choć kilka tylko tygodni między drzewami, daleki od tego zgiełku brukowego, od tego hałasu, od tego nieustającego turkotu powozów, od tego ciągłego ruchu i rozgardyaszu, który o ile z początku bawi, o tyle w końcu nietylko nudzić, ale i denerwować zaczyna [1]).

[1]) »Ten krzyk ciągły, ruch i turkot powozów męczy i nudzi, a Julek jedynie dlatego uciekł z Neapolu, aby hałasu neapolitańskiego nie słyszeć«. (List Teofila Januszewskiego do pani Becu).

II.

Jakoż dnia 22 czerwca, w towarzystwie Filów, którzy nazajutrz powrócili do Neapolu, ażeby tam zabawić przez lipiec i sierpień aż do pierwszych dni września, oraz w towarzystwie Suchodolskich, którzy zamierzali dłuższy czas przemieszkać wśród ceglastych skał Sorrento (ponieważ mąż pięknej pani Suchodolskiej chciał wykończyć kilka pejzaży), wybrał się Słowacki do Sorrento, pożegnawszy ulicę Św. Łucyi i swój balkonik na cały miesiąc przynajmniej. O wcześniejszym powrocie nawet myśleć nie chciał, tembardziej, iż mu Teofilowie przyrzekli odwiedzać go tam od czasu do czasu.

I dobrze mu było w tem ustroniu. Życie wiejskie, jakie tu pędził, przypominało mu owe dni samotne, przepędzone w Veytoux nad Lemanem i to podobieństwo »dwóch chwil błędnego życia« miało dla niego dziwny powab. Wynalazł sobie niewielki pokoik, z którego nie widziałeś nic prócz gaju cytrynowego i morza. Za morzem we mgle oddalenia błękitniał Wezuwiusz. Gospodyni, od której mieszkanko to wynajmował, młoda i piękna Włoszka, powzięła do niego wkrótce wielką sympatyę, która się z początku przejawiać zaczęła romantycznemi serenadami na gitarze. Podobało się to Słowackiemu, który, jak wiadomo, lubił kruszyć serca niewieście i patrzeć, jak się miłosnym zapalają ogniem, chętnie więc, »oparty na murze, jak w obrazach włoskich lub flamandzkich«, słuchał tej cichej, melancholijnej muzyki, wiedział bowiem, co przez nią należy rozumieć i czego są te serenady dowodem. I tak się zaczął prędko romans klecić, romans, który, kto wie, czy nie natchnął przyszłemu autorowi *W Szwajcaryi* owej czarownej sceny w grocie lodowej podczas burzy. W każdym razie, czy była »grota posępna i ciemna«, czy była »trwoga w ciemności tajemna«, a przytem »razem niepamięć jakaś boskiej kary« i czy ich tam istotnie, jak Don Juana i Haidę, dzień szary »zastał z twarzą ognistą przy twarzy«, co wszystko pod lazurowem niebem Italii nie należy do nieprawdopodobieństw (przykładem Goethe i jego romans z bohaterką *Elegii Rzymskich),* jedna rzecz nie ulega wątpliwości, że były w romansie tym »księżycowzdychania«; że »młoda gospodyni« Słowackiego nietylko mu dawała serenady, ale go uczyła także czytać po włosku, co jest zawsze z niemałym dla kobiety połączone niebezpieczeństwem, jak nas o tem naucza smutna historya

Franczeski di Rimini; że oprócz tego starała się wmówić weń, iż lepszą od *Ojcze-nasz* modlitwą są wieczorne spacery pod rękę, przy świetle księżyca, etc [1]). Jak się skończyła ta idylla? Prawdopodobnie, jak wszystkie tego rodzaju sielanki: rozłączeniem i zapomnieniem.

Nieinaczej też, zdaje się, zakończyła się znajomość poety z piękną panią Suchodolską, z którą także lubił (to znaczy, że i ona lubiła z nim) podczas, kiedy mąż jej malował pejzaże, spacerować nad brzegiem morza, a której oczy błękitne w rok już po wyjeździe z Sorrento »bardzo słabo« pamiętał [2]).

Nie tak się rzecz miała z czarnemi oczyma panny Wodzińskiej, o których nie mógł zapomnieć i których spojrzenie ścigać go nie przestało i tu pomiędzy skałami w Sorrento. Jakże często myślał o nich, chodząc o zachodzie słońca nad morzem i słuchając powiewu wiatru, który wiejąc przez cały dzień od morza na ziemię, w godzinę zachodu obracał się nagle i, unosząc z sobą zapach drzew cytrynowych, gonił za słońcem, na bezmiary wód!

Pozatem upływał mu czas na czytaniu Szekspira, na przechadzkach po górach, na których spotykał zawsze mnóstwo »oryginalnych figur Niemców i Anglików, którzy, przyrośli na grzbietach osłów, jak Centaury mitologiczne, zachwycali się widokami Sorrento«; rano chodził kąpać się w morzu, w ciągu dnia zaś, kiedy słońce na dworze dogrzewało zbyt silnie, zamykał się w swoim pokoiku i próbował pisać trochę. Jakoż pisał trochę zapewne *Wacława* [3]), choć niewiele, upał bowiem działał mu paraliżująco na imaginacyę. To też nie przymuszał się bardzo do pracy, wiedząc, że to, co w takich warunkach powstanie, później go nie zadowolni, i wolał marzyć godzinami całemi

---

[1]) Pieśń I *Podróży na Wschód* (Wyjazd z Neapolu). [2]) Zob. List z Florencyi z d. 21 sierpnia 1837 r. (t. I, str. 10). Malarz (Suchodolski) z żoną wyjechali już przed moim tu (t. zn. do Florencyi) przyjazdem do kraju i już są podobno na miejscu. Żona p. malarza zapewne już zapomniała o naszych spacerach nad brzegiem morza w Sorrento. Ja także już bardzo słabo jej błękitne oczy pamiętam«. [3]) Zob. książki Ant. Małeckiego o J. Słowackim, t. II, str. 68, 69, 70. Nie zupełnie podzielam wyrażone tam zdanie prof. M., uważam jednak, że za częściową jego słusznością przemawia niejedno. O ile zaś pogląd mój na czas powstania *Wacława* różni się od opinii prof. M. w tej mierze, o tem przekonać się najłatwiej, porównywując nasze prace ze sobą. Obaj zresztą, na poparcie naszych hypotez, pozytywnych dowodów nie możemy przedstawić żadnych.

O czasie powstania *Wacława* zob. moje studyum p. t. *Anhelli* i *Trzy poematy*, drukowane w t. XXIV Rozpraw Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, 1895.

i myśleć, a niekiedy, jeżeli grające w pobliskim kościółku organy dochodziły do jego cichej celi, modlić się.

III.

W ten sposób upłynął mu w Sorrento cały miesiąc. Zabawiłby tu może dłużej jeszcze — do czego pewno zachęcano go bardzo podczas owych lepszych aniżeli *Ojcze nasz* księżyco-wzdychań — ale zbliżał się dzień wyjazdu Teofilów, wypadało więc ostatnie parę tygodni spędzić razem z nimi. Kto wie, kiedy zobaczą się znowu? W tym celu powrócił w końcu listopada do Neapolu (»trochę smutniejszy niż przedtem«, jak powiada w liście do matki), zamieszkał w tym samym pokoiku, co dawniej, z tym samym balkonem, i odtąd nie rozłączał się z wujowstwem ani na chwilę prawie. Odprowadziłby ich chętnie aż do Florencyi, gdzie i tak miał zamiar udać się na zimę, ale stawał temu w tej chwili na przeszkodzie brak funduszów, argument, wobec którego umilknąć musiały wszelkie zachcenia.

Ta myśl o mającem wkrótce nastąpić rozstaniu z Januszewskimi, którzy, szczęśliwi! wracali do kraju, w strony rodzinne, ażeby tam pędzić znów życie spokojne pomiędzy swoimi, kiedy on, sam jeden zawsze, nad morzem albo gdzieindziej w jakiej obcej miejscowości przebyć musi tak długie jeszcze lata, w wiecznej niespokojności o matkę, w wiecznej niepewności o przyszłość, myśl ta szczerym przejmowała go smutkiem i sam już nie wiedział, jak powiada, czego żądać na świecie, na tym tu biednym świecie, gdzie wszystko się kończy i wszystko się krzyżuje, jak te łódki, które widział na morzu, płynące różnemi drogami. Pod wpływem tego uczucia lgnął teraz do Teofilów więcej, niż kiedykolwiek. Rozmowy ich mimowolnie stawały się dłuższemi, ponieważ rozmawiano o domu, o najbliższych. I zdarzało się, że nieraz i północ zastawała ich tak gwarzących na balkonie. Teofilowie widząc, że Julek się do nich nawrócił ostatecznie, że żal jego na myśl o rozstaniu się z nimi istotnie płynie z serca, że mu rzeczywiście bliskość pożegnania boleśnie uczuwać się daje, powzięli dla niego także więcej nierównie sympatyi, aniżeli z początku; Teofil zaniechał owego »mentorskiego tonu«, który lubił przybierać dawniej; Hersylka nabrała przekonania, że jednak z tego Julka poczciwy chłopiec, o czem już wątpiła czasami, zwłaszcza w Rzymie, kiedy go tak z równowagi

wytrącało »słuchanie wujowskich nauk«; jednem słowem, o ile w początkach nie brak było w stosunkach pomiędzy nimi przykrych niekiedy dysonansów, o tyle teraz, kiedy się przychodziło rozjeżdżać, dziwnie harmonizowali ze sobą. Oni mu opowiadali o matce, o dziadku, o życiu jej, jakie prowadzi w Krzemieńcu, o jej stosunkach towarzyskich, o różnych osobach, które bywają u niej; on zaś, milczący i posępny, słuchał tego wszystkiego ze spuszczoną głową, »jak człowiek, który stara się każde słowo głęboko wryć w pamięć, bo wie, że ma znów zostać na długo sam ze wspomnieniami«. Często, kiedy wujowstwo, znużeni w końcu, udali się na spoczynek do siebie, on, podniecony rozmową z nimi, nie czując najmniejszej potrzeby snu, zamiast pójść za ich przykładem, przesiadywał jeszcze parę godzin na balkonie, patrząc, zamyślony, przed siebie i marząc. O czem? Najwięcej o owych latach, spędzonych w Genewie, które mu regularnie co dwa tygodnie przypominały listy Eglantyny, i o owych dniach szczęścia, które miał do zawdzięczenia pannie Wodzińskiej. Którejś nocy, kiedy tak siedział pogrążony w medytacyach na ganku, doszły go najprzód od strony morza wesołe dźwięki muzyki, poczem ujrzał na wodzie wielki, obwieszony mnóstwem różnokolorowych lampionów »bat« pełny ludzi, głośny od rozmów, śmiechów, śpiewów, a co chwila oblany zielonością ogni bengalskich, czerwonych lub zielonych. Było to towarzystwo, zaproszone na wieczór do jednego z bogatych cudzoziemców, który taką przejażdżkę gościom swoim urządził po kolacyi. Za statkiem tym, rzęsiście oświetlonym, płynęło kilka ciemnych łodzi, na których ulokowała się reszta towarzystwa — najszczęśliwsi! »Bo ileż to ściśnień dłoni (pomyślał sobie poeta, kiedy cały ten korowód weselny przepływał pod jego oknem), ile rumieńców noc pokrywa, a ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwiuszem nie zdradza światłem bladem ukradzionego szczęścia«. I przypomniała mu się owa wycieczka z Wodzińskimi na drugi brzeg Lemanu, na obiad wiejski, i ów powrót ztamtąd wieczorem, czółnami, przy boku panny Maryi [1]). Jakże się czuł wtedy szczęśliwy! I jakże różną wydała mu się teraz ta przeszłość w porównaniu z chwilą obecną. Dzisiaj wolno mu co najwyżej patrzeć z daleka z balkonu — jak z loży teatralnej — jak drudzy się bawią, jak, korzystając z ciemności, zamieniają wymowne uściśnienia dłoni, których nikt nie widzi i których się on jeden tylko domyśla, kiedy wówczas on sam

[1]) Zob. List z Genewy z d. 30 czerwca 1835 r. (t. I, str. 214).

był aktorem i sam pił z tej upajającej krynicy »ukradzionego szczęścia!« *Tempora mutantur.*

A jednak, gdyby mniej pamięci bólu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku,

toby mu może dobrze było w Neapolu: nie omdlewałby tak »z romantycznych cierpień«, jak omdlewał, aniby był tak »smutny życia nicością«, która mu wszędzie pokazywała pustynię, mówiąc: »tam ci lepiej będzie«. Wówczas też, kto wie, czyby mu tak trafiały do przekonania pokusy Zenona Brzozowskiego i Aleksandra Hołyńskiego, którzy, wybierając się w tych czasach w podróż do Ziemi Świętej przez Grecyę i Egipt, namawiali go gwałtem, ażeby jechał razem z nimi. To go rozerwie — mówili — to mu da możność uciec nietylko przed mrozami grudnia, ale i przed tą »ścigającą myślą«, od której się, jak powiada, uwolnić nie może [1]); oni zaś ze swej strony zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, ażeby mu możność zdecydowania się ułatwić. Nie ma odpowiednich na przedsięwzięcie takie funduszów? To jeszcze szkopuł najmniejszy: jeżeli się tylko zgodzi na przyjęcie pożyczki, to Zenon Brzozowski służyć mu nią będzie natychmiast. Tysiąc rubli może mu zakredytować choćby zaraz. Tak, — odpowiadał im na to Słowacki — pożyczyć łatwo, ale oddać? Nie, nie, stanowczo nie pojedzie. Niech jadą sami, a jego nie kuszą niepotrzebnie! On nie może sobie pozwalać na takie zbytkowne wojaże! Przyznaje, że podróż taką, zwłaszcza w tak miłem, jak ich towarzystwie, odbyłby bardzo chętnie. Nieraz nawet w snach dziecinnych marzył o niej razem z Ludwikiem Spitznaglem[2]) i Olesiem Chodźką, ale to jeszcze nie powód, ażeby marzenie to miało się zaraz przeobrazić w rzeczywistość. Z tylu marzeń już zrezygnował w życiu, że zrezygnowanie z tego, będzie tylko jednem więcej. Projekt mimo to uśmiechał mu się bardzo i dałby wiele, ażeby módz z propozycyi Brzozowskiego i Hołyńskiego skorzystać. Filowie, kiedy im o tych planach powiedział, odradzali mu je stanowczo. Uznawał w zupełności całą słuszność ich ro-

[1]) Zob. wiersz do T. Januszewskiego:

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.

[2]) Zob. *Roczniki Towarz. hist. liter. w Paryżu*, w artykule Aleksandra Chodźki z powodu książki prof. Małeckiego o Słowackim.

zumowania, a jednak chętnie podawał ucha namowom Brzozowskiego [1]).

Na takiem wahaniu się zeszło mu trzy tygodnie. Nadchodził koniec sierpnia. Termin wyjazdu zbliżał się z dniem każdym. Stało się nawet tak, że Hołyński pojechał naprzód do Aleksandryi, gdzie się miał spotkać z bratem swoim, Stefanem, i dokąd po upływie jakich dziesięciu dni miał wypłynąć z Neapolu Brzozowski. Czy wypłynie sam, czy też w towarzystwie Słowackiego, o tem jeszcze żaden z nich nic dziś pewnego nie wiedział. Nareszcie przyszedł czas i na Brzozowskiego. Ten, będąc już gotowym do drogi, nie omieszkał raz jeszcze powtórzyć swej propozycyi Słowackiemu. Słowacki nie wiedział: jechać czy nie jechać? Wobec odradzań Teofilów, namów i przyrzekań Brzozowskiego i własnej niemożności zdecydowania się, postanowił — w ostatniej prawie chwili — zdać wszystko na los szczęścia, podobnie, jak na decyzyę Szczęsnego Kossakowskiego, czy trzymać z ojcem, czy nie, miało wpłynąć *tak*, albo *nie* oberwanej przez Amelię margerytki. W tym celu, ponieważ wpadła mu właśnie pod rękę leżąca na stole Biblia, otworzył ją na chybi trafi, z mocnem postanowieniem, że zrobi, jak mu ta książka poradzi, i o dziwo! pierwsze zdanie, na którem oczy jego spoczęły, było: »Kościoły azyatyckie pozdrawiają was«. Wobec tego nie namyślał się już ani chwili dłużej, tylko zaczął pakować rzeczy.

Dla wyobraźni jego poetyckiej był wyjazd ten pod każdym względem nadzwyczaj pożądany: najlepszy dowód, że od pierwszej chwili, kiedy był pewny, że jedzie, poczęło mu się palić w głowie od różnego rodzaju rymów, obrazów; z góry już widział siebie na ruinach starożytnej Hellady, na piramidach, u grobu Chrystusowego, na równinach Maratonu, Salaminy i Troi, gdzie walczyli Milcyades i Temistokles, gdzie Hektor żegnał się z Andromaką, a Achilles opłakiwał zgon Patrokla; a że nie mógł o tem myśleć bez wzruszenia, bez uczucia radości w piersiach, więc nie upłynęło dwadzieścia cztery godziny, kiedy mu — nad grobem Wergiliusza — przyszedł pomysł pisania wierszem dziennika z tej podróży (Lamartine opisał swoje przygody z po-

[1]) Jakie wyjazd ten Julka i jego rozstanie z wujowstwem zrobiło na nich wrażenie, o tem informują nas bardzo dokładnie dwa wyjątki z listów Teofila i Hersylki do pani Becu, nie zamieszczone w zbiorowem wydaniu korespondencyi poety, a ogłoszone poraz pierwszy (z autografu) przez p. Biegeleisena w *Bibl. Warsz.* (1891, t. IV, 340) w jego pracy p. t. *Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód.*

dróży na Wschód także w formie dziennika), dziennika [1]), w którymby się znalazły opowiedziane wszystkie jakich doznał przygody, opisy natury, miejsc, przepraw morzem i lądem, na okręcie i na wielbłądzie, sylwetki spotykanych ludzi etc., a wszystko kreślone bezpośrednio po odebraniu wrażenia, pisane zaś lekko, zgrabnie, stylem brylantowym, fajerwerkowym, aryostycznie, o ile możności stylem byronowskiego *Don Juana,* z tą różnicą, że obok tego stylu *à la Don Juan* znalazło się dość miejsca i na melancholijny styl *Childe Harolda.* Pomysł ten wydał się poecie tak dalece szczęśliwym, że nie tracąc czasu — jak się zdaje — i korzystając z samotności, która mogła w tej chwili być jedyną jego towarzyszką przy mogile śpiewaka *Eneidy,* zaczął kreślić — ołówkiem — początek poematu, początek, który tak samo, jak *Childe Harold* Byrona, miał się zaczynać od klasycznej inwokacyi do Muzy. Byron zaczął swoje wędrówki od:

O Muzo, którą Grecy wywodzili z nieba itd.

Czemużby więc jemu nie było wolno, myślał sobie, zacząć swojej peregrynacyi od takiego np. żartobliwego wezwania:

Muzo, mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam Ciebie krótko,
Sentymentalna; bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia [2]) i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

Strof w rodzaju tej napisało mu się — według wszelkiego prawdopodobieństwa — odrazu kilkanaście. Tymczasem, o ile się domyślać wolno, słońce poczęło się zwolna chylić ku zachodowi, zatoka z błękitnej stała się fioletową; Neapol cały zarumienił się »skrawymi słońca zachodniego łuny«; w szybach okien zamku królewskiego nad miastem zdawały się płonąć dziesiątki krwawych słońc; a w powietrzu zawisła mgła złota, która owiewając cały krajobraz, czyniła

---

[1]) Dwa opisy podróży do Ziemi Świętej, sławne podówczas: Lamartine'a *Voyage en Orient* i Chateaubrianda *Itinéraire de Paris à Jerusalem* były znane Słowackiemu. [2]) Cała pieśń pierwsza podróży do Ziemi Świętej musiała być pisaną jeszcze przed wyjazdem z Neapolu. Dowodzą tego w sposób najzupełniej przekonywający wszystkie *futura,* ile razy poeta mówi o nastąpić dopiero mającym wyjeździe z Neapolu (»kończy się sierpień, bo z końcem sierpnia... puszczam się w drogę«, »jutro kuryerem wyjeżdżam do Lecce, Jutro więc zacznę śpiewać Odysseę«) i wszystkie ustępy o Neapolu, pisane najwyraźniej pod świeżem wrażeniem, na miejscu (»grobowca wieszcza widzę, jak nad głową«. »Wolę piekło Danta, właśnie je czytam podług nowych kluczy etc)«.

z niego jak gdyby fantastyczne widzenie jakiejś rajskiej, nieziemskiej krainy. Zdaje się, że zachwycony pięknością tego widoku, postanowił go zaraz Słowacki odmalować z natury i przenieść do swego dziennika.

O Neapolu! ty, niepożegnany,
Czekasz, aż Ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

O Neapolu! gdzie jest twoja dusza?
Bo duszą twoją nie jest ruch i życie!
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza.
A tyś na niebie i na fal błękicie —
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą,
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą,
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rzuca itd.

Tymczasem — wnosząc z powyższego opisu — złocisty krąg słońca skrył się za morzem; od zachodu powiał chłodny wietrzyk; w powietrzu zamigotały nietoperze; zatoka poczerniała; krajobraz poszarzał; płomieniste słońca w oknach zamku królewskiego pogasły; na Corso poczęto zapalać latarnie; na niebie błysnęła jedna, druga gwiazda; aż w końcu, z poza ogromnej mogiły czarnych popiołów Wezuwiusza, ukazała się srebrna tarcza miesiąca. Pod wrażeniem podobnej chwili mógł Słowacki napisać teraz następujące zwrotki:

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo,
Zamek podobny do sterczącej skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole,

Zczerniał przy fali migającej złocie;
A gdy na niebie szafirowem ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:
I z okien zamku błysła gwiazda jedna,
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinę zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie
Z oliwy bladej gałązki rwać będę,
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy:
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

Tymczasem żegnam was! »Niech śmierć będzie z wami!«

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku *Enejdą* etc.

Ale mrok wieczorny gęstniał — jak się zdaje — coraz bardziej i trzeba było, chcąc nie chcąc, wracać do domu.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko
A golf ubrany latarni przepaską...

Te i tym podobne wiersze mogły się snuć Słowackiemu po głowie, kiedy zaczął schodzić z góry. Myśl bowiem, raz nabrawszy rozpędu, mogła wciąż biedz niewstrzymana dalej, coraz nowemi niepokojąc poetę rymami, podsuwając mu tak ekscentryczne np. a efektowne i przez nikogo dotychczas nie użyte, jak: Szekspir i expir, *frutti di mare* i symarę, laur i Giaur, scenarz i Ojcze-nasz itp. [1]).

---

[1]) Do tego (zbyt powieściowego może) opisu owego wieczoru, w którym powstała pierwsza pieśń *Podróży na Wschód*, upoważniają notatki Słowackiego i szkice, pisane ołówkiem w osobnym kajeciku, a pisane wyraźnie pod wrażeniem, na miejscu. Tak naprzykład napisany jest ów wiersz nad grobem Chrystusa, zaczynający się od słów: »I porzuciwszy drogę światowych omamień«. Jest rzeczą pewną również, że Słowacki swoją *Podróż na Wschód* pisał w czasie podróży samej, co nawet nieraz w podziw wprawiało jego towarzysza, Brzozowskiego, który nie mógł zrozumieć jak można w podróży pisać. Zarzucał mu nawet, że więcej nierównie zdaje się interesować swojemi wierszami, pod świeżem wrażeniem doznawanych przygód i uczuć pisanemi, aniżeli samą podróżą, która go nie bardzo zdawała się bawić, przeciwnie, przeklinał ją nieraz wierszem w swoim opisie, np. kiedy mówi: »Spocząłem wreszcie, przeklinam podróże! Cztery dni konno po chwastach i skałach« etc. Że Słowacki swoją *Podróż na Wschód*, (obejmującą, jak wiadomo, tylko podróż po Grecyi, aż do chwili wyjazdu z Koryntu) pisał w trakcie samej podróży, tego dowodzi przedewszystkiem ta okoliczność, że (jak o tem pierwszy nas na podstwie raptularza poety poinformował

W kilka dni później była już — zdaje się — pierwsza pieśń poematu prawie skończona, a wolno się domyślać, że pisaniem jej, tudzież mnóstwem innych spraw nagłych tak był poeta zajęty, iż dopiero na kilka godzin przed wyjazdem, który nastąpił ostatecznie d. 24 sierpnia nad wieczorem, potrafił znaleść chwilę wolnego czasu (przed ostatnim obiadem, jaki miał spożyć w Neapolu w towarzystwie swojego towarzysza podróży, Teofilów, Gajów, Sudolskich i Skibickich), ażeby napisać do matki i donieść jej o tym wojażu.

List ten, pisany nie bez pewnej obawy, aby mu matka za złe nie wzięła tej podróży, miał głównie na celu uspokojenie jej, że przedsięwzięcie to, które się im tam w Krzemieńcu czemś nadzwyczajnem wydawać będzie, widziane z brzegu Śródziemnego morza wcale nie wygląda tak strasznie; a powtóre chodziło w nim jeszcze poecie, ażeby przekonać matkę, że podróż ta, dla niego, jako dla

---

p. Józef Tretiak w swej cennej, choć surowej dla Słowackiego i dla jego biografa rozprawie o książce prof. A. Małeckiego. *Przewodnik naukowy i literacki*, 1881 r., str. 278). »*Podróż na Wschód* pisaną była, a nawet przepisaną na czysto, jeszcze przed przybyciem poety do Aleksandryi» (prawdopodobnie w Hermupolis, stolicy Syry, jednej z wysp Archipelagu, gdzie Słowacki kilkanaście dni czekał na odpływający do Egiptu okręt); a powtóre — na co nikt nie zwrócił dotychczas uwagi — uniemożliwia wszelką wątpliwość pod tym względem sam Słowacki, kiedy w pieśni IX *Podróży na Wschód* powiada wyraźnie, iż od czasu, jak »znudzony uciekł z Europy, jak człowiek, co się na przyszłość sposobi, i chce przekonać ludzi, że coś robi«.

Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego... Ztąd mię częściej wita
Poetą — ten, co widzi, niż, co czyta.
Biorę na świadki te strofy ostatnie itd.

Nie chcę utrzymywać przez to, ażeby cytowane tu przezemnie dłuższe, do Neapolu odnoszące się wyjątki z pierwszej pieśni *Podróży na Wschód*, miały być już w tej t. j. swej ostatecznej formie napisane przy grobie Wergiliusza; chciałbym tylko przekonać czytelnika, (co, przyznaję, nie jest jak w danym wypadku łatwem bynajmniej), że pierwsze rzuty, pierwsze szkice do tej pieśni I-ej, powstały nie (jak utrzymuje prof. Małecki t. II, 89), po powrocie ze Wschodu, ale przed wyjazdem jeszcze do Aleksandryi, w Neapolu. Bo, powtarzam, nie należy zapominać, że Słowacki pisał ten poemat w formie dziennika i że nie napisał go odrazu, lecz kawałkami, pojedynczemi ustępami, w drodze. Niektóre ustępy tego poematu dopisał poeta lub przerabiał we Florencyi (np. ustęp o Ludce Śniadeckiej), inne, jak *Grób Agamemnona*, wykończył ostatecznie w roku 1839, w Paryżu.

Rękopis tego poematu, wraz z owemi notatkami, pisanemi ołówkiem, przeplatanemi rysunkami i akwarelami (widoki Grecyi, Kairu i ruin Egipskich, ostatnich najwięcej) wszystko razem w jednym sztambuchu, posiada p. Leopold Méyet w Warszawie. Najpiękniejsze z tych rysunków podał w heliograwiurowych reprodukcyach p. Biegeleisen w swojem najświeższem wydaniu dzieł Jul. Słowackiego (Lwów, 1894, t. 6).

poety właśnie, z ogromną może być korzyścią; bo chociażby tylko ustaliła moc charakteru — pisał — którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonej z trudami znacznemi, to już i z tego samego niemały może dla niego wyniknąć pożytek. A cóż dopiero, jeżeli się weźmie pod uwagę, że zobaczy nowe kraje, nowych ludzi, że będzie żył z nimi, że go wielbłąd karawany zaniesie do grobu Chrystusa. »Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potem, z sercem pełnem pamiątek i obrazów, wrócę do jakiej cichej, europejskiej samotności«. Tymczasem przesyła jej za pośrednictwem Teofilów małą pieczątkę z lawy, ozdobioną popiersiem Homera na końcu. Sam zaś jedzie zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych równinach Maratonu. »Wyznaj mi, droga, że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza, jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiej gałęzi usiędę«.

ROZDZIAŁ III.

W GRECYI.

Usposobienie Słowackiego, w jakiem się puszczał w podróż. Przyczyny melancholii Zenona Brzozowskiego (24 sierpnia 1836 r.). I. Cztery dni w Otranto. Przybycie do Korfu. Wspomnienia Odysseusza i Nauzykai. Druga pieśń »rymowego baletu«. Podróż statkiem parowym. Życie na pokładzie. Kapitan okrętu. »Hraf Salomon z Zante«, poeta grecki. Interesująca pasażerka. Noc na morzu. Skała Leukady. Wspomnienia Safony i Ludwiki Śniadeckiej. Itaka. Przyjazd do Zante. Pierwsze wrażenia Grecyi. Przyjazd do Patras. Odwiedziny u Kanarisa. Podróż brzegiem Lepantu. Nocleg w Vostizzy (12 września). II. Klasztor Megaspileon. Harmonie i dyssonanse. Droga do Tripolis. Arkadia. Chęć zwiedzenia Sparty. »Neapol w miniaturze«. Argos. Ruiny Mycen. Grób Agamemnona (18 września). III. Ruiny Nemei. Pobyt w Koryncie. Wyjazd w nocy do Kalamaki. Noc na łódce. Rozmowy z majtkiem. Legenda o harfiarzu z wyspy Scio. Wschód słońca nad Salaminą. Przyjazd do Aten. Tydzień w grodzie Minerwy. Medytacye na stopniach świątyni Jowisza (20 — 27 września).

A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
Więcej przed myślą moją.

Słowa te, włożone później, po latach, w usta Królowi-Duchowi, najdobitniej określają usposobienie Juliusza, w jakiem z towarzyszem swoim, Zenonem Brzozowskim, siadał w Neapolu do dyliżansu pocztowego, ażeby, dojechawszy nim do miasteczka portowego Otranto, puścić się ztamtąd morzem do Grecyi, z Grecyi do Egiptu, a z Egiptu do Ziemi Świętej. Bo zaprzeczyć się nie da, że — zawiedziony w swoich nadziejach, »nieszczęsny i błędny«, trawiony jakąś chorobliwą tęsknotą i nudą [1]), jakimś Werthe-

[1]) Tymczasem trudnię się mową sanskrycką
I z Europy znudzony uciekam,

rowskim *Weltschmerz*'em, z sercem przepełnionem wspomnieniami Maryi Wodzińskiej, o której myśl »ścigała« go zawsze i wszędzie, z sumieniem, niepokojonem wyrzutami najrozmaitszego rodzaju — dlatego »*z łakim smutnym zapałem* rzucał się w świat nieznany, pełny niebezpieczeństwa, gdy w Grecyi rozboje, a w Egipcie zaraza panowały«, ponieważ mu to ryzykowne (na owe czasy zwłaszcza) przedsięwzięcie opromieniała nadzieja, że tam, »w krainach południa«, znajdzie bezpieczne schronienie nietylko »przed mrozami grudnia«, których tak bardzo nie miał się czego lękać, ale i »przed *ścigającą* myślą«, przed ową »pamięcią bólu«, przed owemi nieuchwytnemi »zachceniami i marzeniami«, które go, jak Eumenidy Oresta, na każdym prześladowały kroku, a przed któremi nie umiał się — nawet pod lazurowem niebem Italii — w żaden sposób opędzić. Od chwili bowiem, kiedy się rozłączył ze swoją »panienką czarnobrewą«, jak w jednym z listów do matki nazywa pannę Wodzińską, nie mógł sobie miejsca znaleść nigdzie, zarówno w Rzymie, jak i w Neapolu, nie mówiąc już o Genewie (bo »miłość, prócz czystej miłości niebieskiej, wprowadza duszę w jakiś smętny zamęt«), a że doszukiwanie się we wszystkiem »smutków błahych, wątłych, kruchych«, leżało w naturze jego usposobienia — jak to sam przyznaje w *Grobie Agamemnona* — więc zdawało mu się, że wszędzie czeka go jedno i to samo: smutek. To też, kiedy mu Brzozowski i Hołyński zaproponowali, aby się wybrał na Wschód, uczepił się tej myśli, jak deski zbawienia, i wmówiwszy w siebie, że *wojaż* taki uleczy go z chronicznej choroby spleen'u, zdecydował się pojechać; za dowód zaś, że to właśnie, nie co innego, było główną do tego pobudką, posłużyć może, jak w danym wypadku, pierwsze zaraz *Canto* »Podróży z Neapolu do Ziemi świętej«, w którem, objaśniając czytelnika, »zkąd się wybrał, po co i dlaczego«, powiada między innemi, co następuje:

> Chrystusa dyabeł kusił i mnie kusi:
> Na wieży świata postawił *smutnego*
> *Życia nicością*, i pokazał wszędzie
> Pustynie, mówiąc: Tam ci *lepiej* będzie.

Albowiem, jak dotąd, było mu źle na świecie. Zgorzkniały wskutek tego, pełen niepokoju, pozbawiony równowagi moralnej, w wiecznych szamotaniach się, z nerwami

---

> Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
> I chce przekonać ludzi, że coś robi.
>
> *Podróż na Wschód*, Pieśń IX.

rozkiełznanemi, zniechęcony do świata do ludzi, do siebie wreszcie, trapiony »myślami ponuremi i ciemnemi«, jednem słowem, wykolejony z tej normalnej »prostej ścieżki«, o której mówi Dante, a którą toczyć się powinno życie człowieka, stał się pomimo woli skończonym typem bajronisty, a stał się nim tak dalece, że nawet ten »w rymowym balecie« rozpoczęty »Dziennik z podróży« miał swoim tonem, stylem, sposobem pisania etc., przypominać nie spokojne, klasyczne do pewnego stopnia, spencerowskie stance *Childe-Harolda,* albo melancholijne refleksye i pejzaże Lamartinowskiego *Voyage en Orient,* ale rozerwane, kapryśne, swawolne, rozhukane i żadnemi regułami poetyckiemi nieskrępowane oktawy *Don Juana.* Wiedział wprawdzie, że tak »ze śmiechu przeskakiwać w smutek

Jest wielkim błędem, charakteru wina,
A raczej nerwów rozkiełznanych skutek«,

ale i z tego zdawał sobie sprawę dokładnie, że być równym i klasycznym przy takich rozkiełznanych nerwach, jak jego w tym czasie, to zadanie nad siły [1]).

Na podobny brak równowagi ducha cierpiał także i jego towarzysz podróży, Zenon Brozowski, któremu życie zatruwała nieszczęśliwa miłość. Jak Słowackiemu panna Wodzińska, tak jemu zamąciła spokój poznana przed rokiem panna Aniela Moszczyńska, w której się zakochał, o którą się oświadczył i od której dostał rekuzę. Ta rekuza przyprawiła go o melancholię; ta rekuza sprawiła, że porzucił Florencyę i przeniósł się do Rzymu, a później do Neapolu; i ta rekuza wreszcie — na szczęście dla Słowackiego — była powodem głównym, dla którego zdecydował się razem z Hołyńskim odbyć podróż po Wschodzie. Może mu się tam uda o Anieli zapomnieć![2]). Z powyższego wynika, że i Brzozowski miał swoją »ścigającą myśl«, która go w dalekie kraje gnała, i że to podobieństwo niedoli, ta tęsknota po raju utraconym, ten obraz kochanki, zakrwawiający serca obydwóch, Zenona i Juliusza (choć ten nie dostał rekuzy) były tym węzłem psychicznym, tym łącznikiem duchowym, który ich w czasie tej desperackiej podróży spoił o tyle silniej. Wszak już Wergiliusz powiedział: *Solamen miseris socios habuissse malorum.*

---

[1]) Zob. J. Słowackiego Pisma pośm., I, str. 33, 37, 121, 122, 133, 179.
[2]) *Listy,* II, 45.

I.

W takiem usposobieniu, po czterech dniach męczącej podróży »kuryerem«, po długich i nudnych popasach w Lecce i innych miasteczkach włoskich, przybyli w niedzielę, dnia 28 sierpnia, do Otranto, gdzie im na statek kuryerski, przypływający tu co tygodnia i zabierający pasażerów do Korfu, wypadło czekać aż do piątku. Otranto jest miastem portowem, brudnem, jak wszystkie miasta włoskie, i jako takie, dla cudzoziemca, cóż dopiero dla poety, jak Słowacki, nie przedstawia najmniejszego uroku. To też nudził się tu bardziej jeszcze, aniżeli jego towarzysz, a że upał był nie do zniesienia, więc nawet chodzić po brzegu Adryatyku nie miał ochoty: siedział w hotelu przy zapuszczonych żaluzyach, i pisał drugie *Canto* swojej *Podróży na Wschód,* opisując w niem, w sposób heroi-komiczny, przeprawę z Neapolu do Otranto. Jednocześnie, w umyślnie na ten cel przeznaczonym albumie, zaczął pisać prozą dziennik dla matki. Ale porzucił ten projekt zaraz pierwszego dnia: wiedząc, że go »oktawa pieści, a kocha sykstyna«, wolał pozostać wiernym formie wiersza i nie zniżać się do prozy.

Na pełne morze wypłynęli, nareszcie! dnia 2 września; a ponieważ, jak mówi Chateaubriand (którego *Itinéraire de Paris à Jerusalem* nie był Słowackiemu obcym) biada temu, kto, jadąc do Grecyi, nie patrzy się na otaczającą naturę przez pryzmat dzieł Fenelona i Homera, więc i Słowacki, który się w tem nieszczęśliwem położeniu nie znajdował, ale, przeciwnie, na wszystko patrzył, nie jak impresyonista, ale jak romantyk, t. j. przez pryzmat wspomnień historycznych, przywiązanych do każdej miejscowości, widział teraz, płynąc po morzu, nietylko niebo i wodę, ale mu na samą myśl, że się znajduje na Adryatyku, stawały przed oczyma wyobraźni »Apollo, Nereidy i Wenus, wychodzące z morskiej piany; Alcybiades, Cezar, Cycero, Wergiliusz i Horacy, przeprawiający się przez to morze; Nauzykaa, igrająca z towarzyszkami; Andromaka, płacząca nad brzegiem fałszywego Symeontu« etc., etc.

Tak upłynęło dwa dni, bez nadzwyczajnych przygód, wśród spokojnego lazuru morskiego, pod turkusową kopułą nieba bez chmur, aż wreszcie, dnia 4 września, zarzucono kotwicę w Korfu, niegdyś wyspie Feaków, nieśmiertelnej pobytem Odysseusza u króla ich, Alcynousa, ojca Nauzykai[1]). Zabawiono tu cztery dni, zwiedzając miasto, które na

[1]) Zob. *Odysseja*, pieśń V — XIII.

Słowackim zrobiło »anglo-greckie« wrażenie, i którego jedyną ozdobą są: brudne i ciasne uliczki przedmieścia Kastràdhes, rynki, zawalone owocami i jarzynami, i ogród Królewski, niegdyś Alcynousa, z tarasem, z nieporównanym widokiem: na »tryumfalną melodyę błękitu« morskiego; na olbrzymie drzewa oliwne i pomarańczowe, na dzikie grusze z owocami, jak małe dynie; na palmy, agawy i mirty. »Na południe od miasta, za ogrodami, wznosi się nad samem morzem wysoki przylądek *Kanone.* Patrząc ztamtąd, ma się przed sobą górzystą wyspę, pokrytą oliwami i winem. Z płytkiej, jaśniejszym błękitem poplamionej wody, wyrasta biały dom, otoczony cyprysami i tak na morzu postawiony, że drzewa przeglądają się w wodzie, i cały ten piramidalny a maleńki obrazek zdaje się rzuconym tu dla wywołania nastroju cichej i szczęśliwie śniącej śmierci. Kiedy płynął tędy Ulisses, okręt utkwił mu na mieliźnie, potem skamieniał przez wieki i zarósł cmentarnemi drzewami; ztąd wysepka zowie się *wyspą Ulissesa.* Pośrodku wyspy widać białe mury jakiejś siedziby ludzkiej: to domek pustelnika, który na to, ażeby uprawiać swą winnicę na przeciwległej górze, codzień musi wbród — w czasie odpływu — morze przechodzić. Koloryt tego wszystkiego tak silny, obraz tak *pomyślany,* że Böcklin wydaje się naraz realistą; nawet rysunek tej pustelni przypomina *Wyspę umarłych*«. Tak mniej więcej w swoim wytwornym *Dzienniku z podróży po Grecyi* opisuje wyspę Korfu p. Józef Weyssenhof[1]). Słowacki opisał ją również — wierszem — w drugiej pieśni swojego »rymowego baletu«. Niestety, pieśni tej nie posiadamy. Dlatego trudno coś powiedzieć o jego pobycie na Korfu. Pewnem jest to tylko, że zdjął tu bardzo piękny widoczek — akwarelą — i że dnia 8 września w dalszą puścił się drogę[2]).

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklanny;
A jako z płaskiej wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu, młyńskiem bita kołem,
Wytryska piana; a dym leci czołem.

Pogoda była, jak wymarzona; wszyscy pasażerowie siedzieli na pokładzie, w cieniu płóciennej zasłony, rozpiętej na żelaznych słupkach; i kiedy ogień wrzał »zamknięty w drewniano-smolnem łonie wieloryba«, w oddziale

---

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1892 r., luty, str. 327. [2]) Podczas swej podróży po Wschodzie malował w ogóle Słowacki dużo pejzażów.

szej klasy, gdzie się znajdowali także Słowacki i Brzozowski, słychać było co chwila przerywany śmiechem wesoły gwar rozmowy. Słowacki był w doskonałym humorze, który się też objawić nie omieszkał w rozpoczętej teraz, po wyjeździe z Korfu, pieśni III *Podróży na Wschód*, opiewającej właśnie, z nieporównaną werwą i niemniejszym zasobem obserwacyi artystycznej, życie na statku parowym: od samego rana, kiedy po nocy przespanej w kajutach, »wychodzą różni

Na pokład statku zmytego podróżni;
Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać, jak krzewy;

aż do wieczora, kiedy

Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;

i kiedy

Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą«.

Rozkoszne *dolce far niente* było całodziennem zajęciem wszystkich. Rozmawiano, zabierano znajomości; mężczyźni starali się zbliżyć do dam, między któremi było kilka ładnych (jedna zwłaszcza); Brzozowski w nadskakiwaniu angielskim *misses* znajdował skuteczny balsam na swoje biedne, niepocieszone, a tak okrutnie przez pannę Moszczyńską zranione serce; a Słowacki nie dawał mu się pod tym względem wyprzedzić; z tą różnicą, że kiedy Zenon, w antraktach pomiędzy jedną rozmową a drugą, nudził się czasami, on pisał i opisywał swych towarzyszów podróży, kreśląc ich sylwetki lub karykatury, poczynając od kapitana okrętu, a kończąc na majtku, co »rudel obraca mosiężny». Oto, w jaki sposób opisał kapitana i jego stosunek do pasażerów:

Jako niegdyś płynął Jonasz święty
W łonie okrętu bez desek i miedzi,
Wesoło w licznem towarzystwie śledzi,
Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu,
Trawionych flądер, ostryg i czefalów;
Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami, jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry,
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

Drugą wyróżniającą się z tłumu figurą był poeta grecki, »hraf Salomon z Zante«, powracający (Słowacki nie wspomina: zkąd?) do swego rodzinnego miasta, czego mu

Juliusz zazdrościł, on, który wiedział, że okręt jego nie do kraju płynie. Niestety, ten szczęśliwy Pindar nowoczesnej a świeżo wyzwolonej Grecyi zdawał się być, jako człowiek, osobistością bardzo nieciekawą. Przedewszystkiem, zauważył Słowacki, że ten poeta, będąc człowiekiem bogatym (tak bogatym, iż podróżował aż z dwoma lokajami) miał wszystkie wady i śmieszności Geldhaba. Kiedy mu np. słabość morska zaczęła dawać się we znaki, prędko rękoma

Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Oprócz tego piewcy wolności greckiej, który w swoim surducie białym i takichże glansowanych rękawiczkach, wraz z tym »paszalikiem z usłużnych lokai«, robił wrażenie fanfarona, zwracali na siebie uwagę: jakiś sędzia zantejski, człowiek spokojny i poważny, mało wyróżniający się, i jakiś senator, starzec z twarzą Epikteta,

Z uśmiechem słodkim starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy;

ale były to wszystko postacie prozaiczne, codzienne, nie wzbudzające ani szczególnego interesu, ani sympatyi. Interesującą, bardzo nawet, i sympatyczną była jedna tylko, niemłoda już, ale jeszcze piękna »Safo jakaś«, nie szukająca znajomości z nikim, ciągle przesiadująca w kajucie, »sama, w kobiet sali«.

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistem okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych, i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.
Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a z wierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniej, niż żoną,
Więcej niż... Djabła! Niech dokończy zecer!
Że ją angielski porzucił oficer.

Smutek tej kobiety, widocznie cierpiącej i nieszczęśliwej, owiewał ją szczególnym w oczach Juliusza urokiem, i kto wie, czyby się do niej nie zbliżył, gdyby go tylko ośmieliła cokolwiek. Do ludzi smutnych, cóż dopiero do kobiet, zawsze go coś ciągnęło, ponieważ i on był *une âme triste,* ponieważ i on, kiedy nadeszła noc, miał swój cień, który szedł za nim, w ciemnościach nocnych biegł po

morzu »z przekleństwy i płaczem«, i który go płaczem tym przyprawiał o bezsenność. Wtedy, nie mogąc spać, z nudów, »bo przez noc całą, tak ciemną i mglistą, co robić«, gryzł, jak powiada, i kąsał własne serce, pozwalał się opadać wspomnieniom i różnym wyrzutom sumienia, od których nie był wolny, i żeby się im opędzić, żeby zapomnieć o nich, zasiadał do pisania swego poematu. I kiedy Zenon spał w najlepsze, śniąc o pannie Anieli Moszczyńskiej, on wstawał z posłania, ubierał się, wychodził na pokład, siadał na ławce i, zapatrzony przed siebie, w bezmiar fosforyzującego morza, otulonego gwiaździstym płaszczem cichej nocy letniej, układał sobie w myśli takie np. strofy:

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida, wyszło z morza głębi
Na usta, pełne liljowego kwiatu,
I znów, jak Wenus, na wozie z gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

W dzień znowu, kiedy pod wpływem promieni słonecznych rozjaśniło mu się w duszy, kiedy nad ponuremi wyrzutami sumienia, z powodu Eglantyny i tej »kuzynki« z listów, która się w rzeczywistości zwała Ojczyzną, brały górę świetlane wspomnienia Maryi, siadał rozmarzony na środku pokładu »w krześle rozłożystem« i myślał sobie, że

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie,
Po morzu cichem, jasno-lazurowem

i, znudzonemu banalnością pasażerów pierwszej klasy, przyglądać się podróżnym z drugiej i pisać o nich ołówkiem w notesie, co następuje:

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómoków pagórek
Żółtych i czarnych; a koło tej góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

Przy piersi matek rozpłakane dzieci;
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzelą...

I tej ciszy błękitu, tak rozmarzającej poetę, nie zamąciła przez cały czas przeprawy ani burza, ani dolegliwsza

chwiejba. Morze było spokojne, wygładzone, statek sunął szybko, jak po jeziorze (chwilami przypominało się nawet Słowackiemu jezioro Genewskie), a że trzymano się niezbyt daleko od brzegów, oko więc, zamiast się gubić wśród niezmiernej przestrzeni wodnej, mogło się pieścić raz po raz najczarowniejszym pejzażem, w rodzaju tego, jaki służy za tło podobnej do Afrodyte *Fryne* Siemiradzkiego, pejzażem, który, owiany mgłą oddalenia i osrebrzony srzeżogą, przypominał Słowackiemu, siedzącemu w krześle rozłożystem, majaczejące blichtry wybrzeży Lemanu. Później, kiedy minięto fortecę Santa Maura, która

> W starożytności zwała się Leukadą,
> I pod błękitnym unosi obłokiem
> Skałę wsławioną biednej Safo skokiem,

wyjrzały śnieżne szczyty Tajgetu, przyrównane przez Polybiusza do Alp, »lecz do Alp pod piękniejszem niebem«. Słowackiemu musiał być miłym ich widok, albowiem śniegiem ubielone wierzchołki gór przypominały mu Szwajcaryę. Odmiennego, bo nieprzewidzianego zupełnie wrażenia doznał za to na widok skały Leukady, która go pobudziła do myślenia nie tylko o słynnej poetce lesbijskiej, ale i o Ludwice Śniadeckiej, o jej sentymentalnej podróży do Konstantynopola po ciało Korsakowa, i to go natchnęło do napisania o niej kilku tak złośliwych sekstyn, że ich aż na tem miejscu przytoczyć niepodobna [1]).

Niedaleko po za »tykającą nieba« skałą Leukady widać wysoki przylądek Itaki i poziome grunty Cefalonii. Ale, przepływając nieopodal tego zakątka rodzinnego Ulissesa, daremno wytężał Słowacki wzrok, ażeby własnemi oczyma zobaczyć ten świat, na którym się rozgrywała akcya *Odyssei*. Nie widać już lasu na górze Nerei, ani ogrodów owocowych Laërtesa, ani Penelopy »w trosce i w żałości«, jak mówi Kochanowski, wyglądającej powrotu małżonka.

W końcu zawinął okręt do Zante, stolicy »złotej wyspy« tegoż nazwiska, zamieszkałej, jak głosi podanie, przez potomków Trojan. Znaczna część pasażerów, przybywszy tu, była w domu, a między innymi i ów poeta grecki, hraf Salomon. Szczęśliwy! myślał sobie o nim Słowacki, kiedy, wysiadłszy na brzeg, wszedł na mury fortecy, ażeby zobaczyć ztamtąd, jak Zante, szmaragdami siana,

---

[1]) Zob. *Podróż na Wschód*, t. I, str. 173.

W szczerych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona,
Z domkiem poety, hrabi Salomona.

Szczęśliwy! myślał sobie o nim Słowacki: powrócił do swego rodzinnego miasteczka i może usiąść na ławie przed własnym domem, używać spokoju i szczęścia. Ach! jakże miło musi być wieczorem, po zachodzie słońca, gdy ucichną gwary,

Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy,

usiąść sobie w swoich progach sielskich i marzyć dopiero i roić. Cóż za szalona różnica pomiędzy ich dolą! Kiedy tamten, szczęśliwy, wróciwszy z podróży, którą odbył dla przyjemności jedynie, w celu poczerpnięcia świeżych wrażeń, zastał swój ogród i drzewa,

Swoją kanapę, i okno na morze,
Swój miły stolik, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydlone łoże,

i może dziś jeszcze cieszyć się lub szlochać, patrząc na domek, gdzie kocha lub kochał; on, nieszczęśliwy wygnaniec, jak obłąkany ptak, błądzi po obcej ziemi, z tą niezachwianą pewnością, że nigdy mu nie będzie wolno powrócić do Ojczyzny, do swoich. Myśl o tem przejęła go takim na razie smutkiem, że powróciwszy na statek, w drodze do Patras, pierwszego miasta greckiego, temi słowy zakończył pieśń III swego »rymowego baletu«:

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia — płuce,
Ogniem pożarte, widziane oczyma,
Sny, straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym! Może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie Twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniej,
Niż gród Chrystusa!.. A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

Tymczasem wylądował w Patras (10 września), a że na wszystko przywykliśmy patrzeć przez pryzmat chwilowego usposobienia, więc i jemu przypomniał się tu z pewnością ów melancholijny wykrzyk Chateaubrianda, który,

stanąwszy po raz pierwszy na ziemi dawnej Hellady, pierwsze wrażenie, jakiego doznał, zamknął w tych słowach: »Ach, jakież myśli obudza widok opustoszałych brzegów Grecyi, gdzie nic nie słychać, prócz nieustannego szumu wiatru i jęku fali!« Szczęściem była mieścina ta położona u podnóża gór Tajgetu, niedaleko Parnasu, miejscem zamieszkania słynnego marynarza greckiego i jednego z bohaterów walki o niepodległość Grecyi, Kanarisa, który, jak wiadomo, zaproponował admirałowi Miaulisowi spalić flotę turecką w porcie Chio i dokonał tego dwoma brulotami z niesłychaną śmiałością, poczem obecnie, na starość, jako admirał i minister marynarki, dowodził w Patrasie grecką flotylą. Słowacki i Brzozowski poszli mu wyrazić swoje uwielbienie. Jako pochodzący »z kraju smutnego Ilotów«, nie dziw, że byli ciekawi zobaczyć tego, który jednak nie miał w historyi swego życia i swoich czynów bohaterskich ani Maciejowic, ani wyrzekł kiedykolwiek *finis Graeciae*. Sędziwy bohater z pod Chio, gdzie »żył niegdyś jako salamandra w ogniu brulotów«, mieszkał dziś spokojny w domku glinianym, »jak domek Ewandra«.

Dzikiemi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi; przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficiej powietrza, niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczułki z sosen i szczeliny
Wiodą na piętro... Wejście, pierwsza próba,
Już była dla mnie, jako sen Jakóba.

Cóż dopiero, kiedy staruszek dowiedziawszy się, w jakim do niego przybyli celu, zaczął im opowiadać (po francusku niezawodnie, albo za pośrednictwem tłómacza) o owej pamiętnej wojnie z roku 1820, o oblężeniu Missolungi, o lordzie Byronie i jego ostatnich chwilach; o Botzarisie, który, osaczony przez Turków, powziął myśl ocalenia Missolungi przez wycieczkę i w 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki, aż w końcu wielką rzeź w nim sprawiwszy, padł od kuli [1]); o rozpaczliwych walkach na lądzie z wojskami Ibrahima baszy, który

[1]) Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w baszy namiot wpadł — umarły!«
Podróż na Wschód, Pieśń IV, Grecya, str. 150.

Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak walająca się z gór piramida,

spadł na Grecyę; o tem, jak Zavellas, niby drugi Leonidas pod Termopilami,

W polach Klissowy z ośmią set człowieka
Zastąpił drogę dwóm baszom... i czeka;

o bohaterskiej śmierci Ypsylanta; o swojej nocnej wycieczce pod okręty tureckie, które mu się szczęśliwie podpalić i spalić udało etc.

Te odwiedziny u Kanarisa, o którym czytał jeszcze w Wilnie w *Kuryerze Litewskim,* kiedy był dzieckiem, uczyniły na Słowackim wrażenie nadzwyczaj silne i pobudziły go do myślenia, nietylko o bohaterach starożytnej i nowożytnej Grecyi, o Temistoklesie i Kanarisie, Leonidasie i Zavellasie, nietylko o ich walkach śmiertelnych, ale zwycięzkich w końcu, z Persami i Turkami, lecz i o naszych walkach o niepodległość, o bitwach pod Maciejowicami i Grochowem, o *Finis Poloniae* i tem wszystkiem, co niestety, przywodziło na myśl nie Salaminę i Maraton, ale Cheroneę!

Podobne refleksye miały mu się obecnie, podczas podróży po Grecyi, nasuwać raz po raz: gdziekolwiek się obrócił, wszędzie napotykał wspomnienia i ślady wielkich zwycięstw mniejszości nad większością, i mimowoli przeprowadzał paralellę pomiędzy zwycięstwami starożytnych i nowożytnych Greków, pierwszych nad perską, drugich nad turecką przemocą, a klęskami swoich pod Maciejowicami i Ostrołęką, pomimo, iż w obu bitwach tych nieprzyjaciel był słabszy o wiele, aniżeli pod Maratonem i Salaminą. Nie mógł się też w całej historyi roku 1831 doszukać ani jednego takiego czynu, jak czyn Leonidasa pod Termopilami, albo Zavellasa na polach Klissowy. Nie pamiętał o jednem tylko (istotnie, dziwne zapomnienie!) że jego nie było ani pod Ostrołęką, ani pod Grochowem, ani przy wzięciu Warszawy, i że w tym samym czasie, kiedy tam, za Wisłą, huczały działa nieprzyjacielskie i lała się krew bratnia, on, bezpieczny, przesiadywał w Dreznie, zajęty pisaniem swego *Żmiji,* w wolnych chwilach romansujący z ładną i sentymentalną córką swej gospodyni! A jednak, pomimo tego napisze niebawem *Grób Agamemnona!*

Z Patrasu, który, jako miasto, zrobił na nim wrażenie »rzędu domków i fraszek, poustawianych na dziecinnym stole«, a gdzie pod wpływem odwiedzin u »wielkiego Kanarisa«, wpisał do swego »dziennika« ultra-demokratyczno-demagogiczne »Credo«, z Patrasu puścił się Słowacki z to-

warzyszem swoim i przewodnikiem wzdłuż brzegu Lepantu ku Vostizzy. Jechali konno, po jednej stronie mając widok na morze (w dali majaczyło Missolungi), po drugiej — na góry, na szczyt Parnasu między innemi. Droga była skalista, miejscami urwista. Na czele kawalkady jechał przodem *guid*, za nim — Słowacki, za Słowackim — Zenon, a w końcu właściciele koni

Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apollina.

Najbardziej malowniczo jednak wyglądał przewodnik,

Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.
Na kapeluszu słomianym miał mycę,
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;
Gadał mozajką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko, a dzieckiem był prawie;
Śpiewał, jak konik polny śpiewa w trawie.

Atoli, pomimo tego śpiewu, przypominającego jakąś smętną melopeę, podróż sama przez się była dość nudna, a przytem dla nieprzyzwyczajonych do takiej jazdy »na cecorskiej szkapie« dosyć utrudzającą, zwłaszcza w skwar południowy. Przedewszystkiem nie było łatwo przyzwyczaić się do siodła mameluckiego, którego strzemiona szerokie, a puśliska krótkie, kurczą nogi jeźdźca, a kaleczą boki koniowi. Za każdem niewłaściwem poruszeniem kula od siodła uderza w piersi, a jeżeli pochylisz się w tył, wysokie zagięcie kulbaki potrąca krzyż. Jedyną dobrą stroną tych siodeł: że zlecieć z nich trudno. Nie mniej także dawały się we znaki popasy w tak zwanych khanach przydrożnych, gdzie trzeba było sobie samemu gotować żywność, samemu kupować i zabijać kury, czasem jagnię, bo takim to sposobem podróżowało się w tych czasach (a niekiedy i dziś jeszcze) po dawnej ojczyźnie Alcybiadesa i Aspazyi. A tymczasem upał dokuczał, słońce paliło; na spiekłych i rzadko rosnących krzewach unoszące się koniki polne umilkały za zbliżeniem się jeźdźców i dopiero, skoro przejechali, rozpoczynały nanowo swoje świegotanie; cząbry »smutne« gór spalonych pachniały silnie; morze, wygładzone, jak tafla, zdawało się drzemać; i słychać było tylko, oprócz jednostajnego odgłosu tententu koni i cichego świegotania świerszczów, śpiew przewodnika, który od chwili, gdy dosiadł konia, zaczął piosenkę i śpiewał ją przez całą drogę, o ile nie rozmawiał. Powiada Chateaubriand, że jest to najczę-

ściej długa, rymowana powieść, na liczne strofy przecięta; nuta smutna, przeciągła.

Słowackiemu to niewystarczało; dlatego, dla urozmaicenia sobie w jakiś sposób tej podróży konnej, obmyślał następną pieśń swojego »dziennika«; notował w pamięci różne zaobserwowane szczegóły; zmyślał koncepty na temat księcia Pücklera, którego opis podróży po Grecyi czytał właśnie, cieszył się, kiedy zrymował: książe Pückler z *c'est clair,* albo Strasburg z Likurgiem, albo rzekomą sól attycką z Momusa mycką; układał pojedyncze strofy, które później, podczas popasów, wpisywał do notesu; rozmawiał z Brzozowskim, którego nazywał swoim »ukochanym filozofem Zeno«; czasami znów, kiedy »wzrok na błękicie zginął«, myśl smutniejsza, jak powiada, przyszła go kołysać, myśl o Maryi, a chwilami nawet o Ludwice Śniadeckiej, o rzeczce, w której ją widział raz kąpiącą się, w cieniu wielkiej jarzębiny, na końcu jednej lipowej alei; i tak upłynął mu cały dzień 12 września, aż w końcu wieczorem zatrzymano się na nocleg w Vostizzy.

Nocleg ten, w ruinie jakiejś dawnej oberży, mającej »kształt kurnika«, bez okien, ze szparami w ścianach, »pajęczynami wybitych czarnemi«, niezatartemi zgłoskami zapisał się w pamięci poety. Ledwo przybyli na miejsce, ledwo spożyli — pociemku — wieczerzę, złożoną z czerstwego chleba i gorzkiego, jak piołun, bo zaprawnego żywicą, wina Krasso, ledwo się ułożyli do snu, na »dwóch napiętych, jak struny, krosienkach«[1]), zerwał się wiatr, który, świszcząc przez szczeliny, zdawał się grać na flecie; niebo pokryło się chmurami, a w końcu zaczął padać deszcz rzęsisty, który, przeciekając przez dach, zamienił wkrótce całę izbę w jeden prysznic. Słowacki, który, kąsany przez różne czarne zwierzątka, leżał z otwartemi oczyma, zawołał na chrapiącego już Zenona: »Ty śpisz, Eneaszu, a tu deszcz na nas leje się z dachówek!» Zbudził się Brzozowski, a kiedy poczuł, że moknie, choć zaspany i po całodziennej jeździe konnej zmęczony, musiał rad nie rad powstać ze swego

---

To były łóżka... Jeśli kto nie wierzy,
Tłómaczę jaśniej: to, na czem się leży.
Ach! leży tylko! Bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał.
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula, gdzie się go dotkniesz, tam kąsał (pchły)
Ach! jam się dotknął, i ogień mię złapał,
I byłem w piekle... Mój towarzysz chrapał.

Podróż na Wschód, pieśń VI, Nocleg w Vostizzy.

tapczanu i słuchać złorzeczeń Juliusza, który »więcej do czynu sposobny, niż słówek, wściekać się więcej zdolny, niż łzy ronić«, o tem tylko przemyśliwał: jak i gdzie się ukryć przed owemi strugami wodnemi, przeciekającemi przez sufit?

Szczęściem, że w ścianie, uwitej z sośniny,
Po obu stronach były dwie framugi
Ach! nie framugi — zaczęte kominy!

Po krótkiej naradzie uchwalili, że nie pozostaje im nic innego, tylko schronić się w tych framugach. Jakoż uskutecznili to natychmiast,

Oba, jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych, ktoby rzekł, że święci.

Z zapalonemi lampkami przy nogach, z rękami »pobożnie« złożonemi na piersiach, byli w tej chwili, zdaniem Słowackiego, podobni do owego posągu Tetydy w ogrodach Zofiówki, który »zakryty wody srebrzystej obrusem«, stoi sucho w wodnej samołówce. Porównanie to świadczyło o pewnym *Galgenhumor*'ze, w jaki popadli Słowacki zarówno, jak i Brzozowski, podczas tej nocy pamiętnej. Istotnie, nic innego nie pozostawało, tylko śmiać się i dowcipkować. Śmiali się więc i żartowali; i kiedy ulewa szumiała, a wiatr zawodził jakąś piekielną symfonję, oni »jak dwa posągi, oprawione w mury«, taką prowadzili rozmowę: »Czy żyjesz?« »Żyję«. »O czem ty marzysz?« »Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą«. »Nie słyszę: woda tak szumi, już mam mokre nogi«. »Cierp, a ja opiszę

Nasze cierpienia, ściągnięte bez winy
I sprzedam wiernie córkom Mnemozyny.

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszyczki kąpać, jak w Jordanie,
Tu, gdzie stoimy, ja ci przepowiadam,
Że stanie hotel, tu, gdzie w nurty wpadam.

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy, Eneja, Ulissa«.

Tak mówił Słowacki. Przerwał mu Brzozowski: »Ja się nudzę,

Stojąc w tej niszy, jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya *c'est ennuyeux en diable*,
Ja cały mokry, *mais c'est insupportable*.

W ten sposób upłynęła im cała noc w Vostizzy. Nad ranem, kiedy »Febus we drzwi Aurory uderzył«, ustał deszcz, słońce wzeszło pogodnie, zadzwoniły skowronki. Dzień, po całodziennej burzy, zapowiadał się piękny; powietrze było czyste, ożywcze; nad błękitami Lepantu, na niebie, »na chmury rozpłakanej włosach«, prześliczna tęcza ranna zataczała swój krąg różnobarwny; ruszono dalej. Celem wyprawy, do którego spodziewano się dotrzeć nad wieczorem, był klasztor Megaspileon. Drogę, z Vostizzy do tego klasztoru prowadzącą, opisał Słowacki w pieśni VII swojego »dziennika«, a opisał tak przepysznie, tak *à la Veronese,* iż trudno się oprzeć pokusie, ażeby niniejszych kartek nie przyozdobić dosłownem przytoczeniem tych dwóch mistrzowskich sekstyn:

A ty, poezyo, nie bądź więcej mniszką,
Ale opowiedz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem, pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz, błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatej gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie, w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie:
Jakeśmy orłów słyszeli krakanie.

II.

Klasztor ormiański Megaspileon, do którego przybyli po południu, klasztor, »gdzie niegdyś bronił się Lucyfer Mahometowi, tak długo, jak Iljon, albo jak nasza piękna Częstochowa, kulami ryta«, leży pośrodku wielkiej, głębokiej doliny, pośrodku której »z łona zielonych krzewin i cyprysów« wyrasta ścianą prostopadłą »skała złota«. Wjeżdża się na nią »ślimaczą drogą«, która, jak bluszcze kręta, węzłowata, prowadzi aż przed furtę klasztorną. Dokoła murów klasztoru, płaskiego jak wachlarz, bez wieży, bez dzwonnic, widnieją domki, krużganki, kominy, galeryjki i sine okienka miasteczka Megaspileon, które »ubrane w cyprysowe wieże«, robi zdaleka wrażenie kilkunastu gniazd jaskółczych, przylepionych do urwistej ściany. W chwili, kiedy tu wjeżdżali Słowacki i Brzozowski, wszystko, skąpane w promieniach słońca, zdawało się »lekkiem pajęczyny włóknem«. Skoro »karawana« ich zbliżała się do

klasztoru, usłyszeli obwieszczający mnichom przybycie pielgrzymów odgłos dzwonka. Słowacki zauważył nawet na ganku dzwoniącego mnicha. Po chwili, kiedy się zatrzymali przed furtą i pozeskakiwali z koni, otwarły się drzwi i wyszedł na powitanie archimandryta klasztorny. Słowackiemu przypomniało to ową chwilę, w której razem z Wodzińskimi stanęli przed klasztorem św. Bernarda w Szwajcaryi. Po krótkiej wymianie pytań i odpowiedzi, z których okazało się, że chodzi o możność przenocowania w obrębie murów klasztornych, archimandryta zaprosił podróżnych do siebie, do swojej celi. Przechodząc przez dziedziniec, widzieli mnichów w błękitnych szatach, z czarnemi brodami, snujących się »w słońca złotego połysku«, jak rój komarów albo mrówki; jedni modlili się tylko, chodząc, drudzy kopali, inni podlewali kwiaty, karmili ptactwo. Słowackiego interesowało niezmiernie to ciche życie klasztorne; nieraz bowiem, w chwilach zwątpienia i zmęczenia życiem, myślał o tem: czyby nie zostać mnichem.

Niestety, pobyt w klasztorze Megaspileon wzbudził w nim, pod niejednym względem, uczucia niesmaku. Kiedy po smacznym obiedzie, siedząc »w komnacie mniszej, otoczonej wkoło rzędem tureckich sof kwiecistej barwy« wdał się w dysputę z archimandrytą, kiedy, zapominając, że tematu tego nie powinien poruszać tutaj, w tym klasztorze wschodniego obrządku, wszczął rozmowę o papieżu i katolicyzmie we Francyi, i kiedy archimandryta, widocznie fanatyk, zaczął na Francyę, katolicyzm i papieża — rzucać gromy, przyszło pomiędzy nim a Słowackim i Brzozowskim, najniespodziewaniej w świecie, prawie do kłótni, żadna strona bowiem, nietylko, że się przekonać nie dała, ale i ustępować nie miała najmniejszego zamiaru. Kto ustąpił ostatecznie? Cokolwiekbądź, wszystko skończyło się, jeszcze przed zachodem słońca, powszechną harmonią i zgodą. Ale przykre wrażenie, odniesione chwilowo, nie zatarło się prędko... Oglądano klasztor, archimandryta opowiadał o oblężeniu klasztoru przez Ibrachima paszę, o walecznej obronie mnichów (których w tej chwili mieszkało tu trzystu sześćdziesięciu pięciu), o życiu klasztornem, o źródle cudownem, którem słynął ten klasztor, a że świadkami tej rozmowy było i kilku innych jeszcze zakonników, więc była doskonała sposobność bliższego poznania ich, ich sposobu myślenia, ich narowów, ich pobożności. Dziwna rzecz, ale na tem bliższem poznaniu nie zyskał w oczach Słowackiego żaden z mieszkańców tego klasztoru. Przedewszystkiem zdawało mu się, że życie takie

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić, lecz i orać trzeba,

było podobne »do próżniackiej chwili«. Powtóre, nie podobały mu się owe szpichlerze klasztorne, co »pod nogami, na skały urwisku, stały, ubrane w cyprysowe wieże«, a które swojemi rozmiarami kolosalnemi aż nadto wymownie świadczyły, że w tym przybytku, poświęconym modlitwie, nie o samej tylko modlitwie myślano... Następnie raziła go w tych »bezpłciowych owadach« (jak nazywa mnichów) ich chciwość na pieniądze, ich apetyt wreszcie, z jakim zasiadali do suto sastawionych stołów, do których on wolałby żeby zasiadało nie tylu »mnichów niegodnych, lecz wiele sierot płaczących i głodnych...« Kiedy mu, między innemi osobliwościami klasztoru, pokazywali wielką beczkę, *votum* chorego człowieka, którą — pełną wina — dał biedny za cudem odzyskane zdrowie, i kiedy się jeszcze chwalili z tego daru przed nim, ani im w głowie postało podejrzenie, że nimi pogardzał w tej chwili i że mimowoli myślał sobie: »Niech ich piekło spali!«... Na zapytanie: czemu przypisać to święte oburzenie, jakiem Słowackiego natchnął ten kilkunastogodzinny pobyt w klasztorze Megaspileon? można, zdaje się, z czystem sumieniem odpowiedzieć, że głównie przyczynił się do tego przysłany tu z Moskwy cudowny obraz Nikotuszki, i kult, jaki wzbudzał pomiędzy mnichami... Słowacki, w którym katolicyzm zawsze był dumny niezmiernie [1]), nie dziw, że się tem czuł urażony i że go odtąd wszystko tutaj razić zaczęło: nawet owe wygodne, do lenistwa zachęcające, miękkie sofy tureckie, na których »łonie« tak mu było przyjemnie, z cygarem w ustach, patrząc na słońce, błyszczące przez szyby klasztorne, snuć pasmo »marzeń mglistych...« O czem? Jużciż nie o ascetycznym żywocie w murach klasztoru. Prędzej o tureckich haremach...

Nazajutrz, dnia 13 września, po dobrze przespanej nocy na »łonie« sof tureckich, wyruszono ku Tripolisie, miastu, odległemu od klasztoru Megaspileon o trzy dni drogi konno. A droga to była, jak się okazało, męcząca, »z góry na górę, z boru do boru«. Ziemia — jak powiada Słowacki — nie ma tu czego złożyć w stercie; koń dzwoni w głazy, depce chwast, dziewanny;

Czasem, po drodze, w rozłożystym mircie,
Widać rudery tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet grecy smętni...

[1]) Zob. List, Florencyi, z d. 21 sierpnia 1838 r.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza...
Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze,
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blizko... I znów cisza wielka.
Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione,
Wdzięcznie błękitne, zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone
Jakimś obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niem duma.

Kraj, którym przejeżdżali, zwał się w starożytności Arkadyą. Teraz była to kraina, której widok na każdym kroku przypominał ów sonet krymski o Bagczysaraju, na którego ścianach powój »pisze Baltazara zgłoskami *ruina*«. Wszystko tu milczące i wyschłe. Nie widać owych arkadyjskich pasterzy i pasterek, a jeżeli co wydaje się ironią, to owe słowa Schillera: *Und ich war in Arkadien...* Droga nierówna i pełna rozdołów, wije się najprzód pustemi płaszczyznami, poczem zagłębia się w długą, kamienistą dolinę, którą dojeżdża się aż do Tripolisy. Jest to miasto nawskróś tureckie. Czerwone dachy, minarety i kopuły, domy pomalowane na zielono i czerwono, uliczki wązkie, po bokach nędzne kramy szalów, materyj łokciowych, żywności i wschodniej galanteryi: oto ogólny charakter tej mieściny, której jedyną, rzetelną ozdobą są istotnie przecudowne kobiety. Ich niebieskie oczy, wzrost wysoki, piersi jawne i piękność klasyczna świadczą aż po dziś dzień, że pochodzą z dawnej krwi Heraklidów. Niedarmo nazywa Homer Spartę »pięknemi niewiasty słynącą«. Sparta leży od Trypolisy o jeden dzień drogi. Słowacki miał wielką ochotę zwiedzić te miejsca, które były ojczyzną Agezylausza [1]) i Leonidasa, które widziały Menelaja i Helenę, jak podejmowali Telemaka, i na których tak przyjemnie byłoby deklamować głośno ów wiersz z *Odyssei*: »Spieszono się w pałacu króla: słudzy przyprowadzili ofiary, przynosili wyborne wino, a ich żony, z czołem ozdobionem czystą przepaską, gotowały biesiadę«... Cóżby to była za przyjemność przejrzeć się w przezroczych wodach Eurotasu, tej rzeki, nad której brzegami rozegrał się niegdyś najpiękniejszy romans Parysa z Heleną, najpiękniejszego młodziana z najpiękniejszą kobietą, której sama Wenus zazdrościła urody... Niestety, trzebaby na to poświęcić kilka dni, a czas naglił i, co gło-

[1]) Przypominam, że pomiędzy papierami pośmiertnymi Juliusza, znalazł się dramat w czterech aktach p. t. *Agezylausz*. (Warszawa, 1884 r.).

wniejsza, męcząca podróż konna w upał »przez wielkie pustynie, po głazach, chwastach i ruinach głuchych«, wyczerpywała sił ostatek. Trzeba więc było zrezygnować ze Sparty i przenocowawszy w Tripolisie, puścić się zamiast na południe, ku Sparcie, na północo-wschód — ku Nauplii nad morzem Egejskiem. Jakoż zawitano tam dnia 17 września, nad wieczorem. Słowacki upadał ze zmęczenia, za czem poszło, że wpadł w zły humor i że go w końcu (choć był to dopiero początek podróży) nic już nie interesowało. O tym jego niedobrym humorze daje najlepsze wyobrażenie początek pieśni VIII *Podróży na Wschód* (nieogłoszony w pismach pośm. Słowackiego) napisany bezpośrednio po przybyciu do Nauplii, a który brzmi, jak następuje:

Spocząłem wreszcie... Przeklinam podróże!
Cztery dni konno [1]), po chwastach i skałach,
Aż się Neapol włoski w miniaturze
Znalazł na morza Egejskiego wałach... [2])

Nauplia, w wiekach średnich, za czasów wojen krzyżowych, Napoli di Romania nazywana, jest miastem greckiem. Położona nad malowniczą zatoką, z fortyfikacyami Palamida na wierzchołku góry, z wysepką niedaleko brzegu, na której widać ruiny średniowiecznego zamku, z uliczkami wązkiemi, z domami wysokiemi, staroświeckiemi, ze sporym i dość ożywionym portem, ze straganami nad brzegiem morza, gdzie można dostać *frutti di mare*, robi istotnie wrażenie — jak ją nazwał Słowacki — Neapolu w miniaturze. Nie dziw więc, że przybywszy tu i zamieszkawszy w hotelu *Agamemnon*, jedynym w Nauplii, mimowoli przypomniał sobie pobyt swój w Neapolu, że mu się żywo uprzytomniły owe rozmowy wieczorne z Teofilem na ganku przy ulicy Santa Lucia, kiedy

Patrząc na księżyc i na sine domy
Łucyi wybrzeża, i na ciche morze,
Które się kładło przy złocistym wianku
Białych sklepików, [3])

siedzieli w wygodnych fotelach i, paląc cygara hawańskie, gawędzili do późna w noc.

O dwie wiorsty od Nauplii, z której wyruszyli naza-

---

[1]) Licząc od wyjazdu (13 września) z klasztoru Megaspileon. [2]) *Bibl. Warsz.* 1891, listopad, str. 338. [3]) Jest to wyjątek z wiersza, który Słowacki w *dziesięciu redakcyach* napisał w Nauplii. Wiersz ten był szkicem do napisanego później (w Aleksandryi 22 paźdz. 1836 r.) listu poetycznego *à la* Horacy do Teofila Januszewskiego. Zob. *Bibl. Warsz.* artykuł cytowany powyżej.

jutrz, dnia 18 września, znajdują się ruiny zamku Tiryus, stojące na pograniczu starożytnej Argolidy, a ponieważ powierzchowny rzut oka na te zwaliska olbrzymich bloków najzupełniej wystarcza, nie zatrzymano się tu długo, i Słowackiemu bowiem, i Zenonowi pilno było zobaczyć Argos, od którego oddzielała ich godzina drogi zaledwie, a które, jako ojczyzna »króla królów« Agamemnona, więcej budziło interesu, aniżeli resztki dzieła Protasowego. Niestety i tutaj czekało ich rozczarowanie, to zwykłe uczucie podczas podróży. Na miejscu dawnego Argos, wsławionego przez Homera i Eschyla, znaleźli wioskę, porządniejszą wprawdzie i ludniejszą od bardzo wielu w Morei, ale wioskę, która, pomimo schludnych domków, jakiemi się odznacza, pomimo żaluzyi i kwiatów w oknach, jakie się tu spotyka dość często, pomimo smukłych topoli włoskich, cytryn, pomarańcz i cyprysów, jakie ją zdobią, i pomimo malowniczego pejzażu, którym otoczona, morza z jednej strony, a z drugiej zaś gór Cynuryi i Arkadyi, niczem nie przypomina możnej stolicy Atrydów. To też popasali tu bardzo krótko, spiesząc szeroką, piaszczystą drogą, śród rozległych pól, do wioski Charvati, gdzie się oglądać zwykło ruiny dawnej świątyni Junony, t. zw. *Heräonu*. Przedtem, opuszczając Argos, zwiedzili prawdopodobnie stary amfiteatr tamtejszy, wykuty w żywej skale, a w którym, jak mówią, mogło się ongi pomieścić 20,000 widzów. *Heräon* — kilka kolumn korynckich wśród nagich pól — mógł do wyobraźni Słowackiego przemówić ślicznem podaniem, przywiązanem do tej świątyni, podaniem o dwóch braciach, Kleobisie i Boitonie, którym bogini, za ich poszanowanie i poświęcenie dla starej matki, udzieliła najlepszy dar, jaki można otrzymać na ziemi: śmierć łagodną i słodką [1]). Niewiadomo tylko, czy Giuliano — bo tak się nazywał przewodnik Słowackiego i Brzozowskiego — opowiedział im tę poetyczną legendę.

Po obejrzeniu *Heräonu*, zdąża się do zwalisk Mycen, które już leżą w górach korynckich. Okolica, którą przypada droga, nudna i pusta; gdzieniegdzie tylko, jak zwykle w okolicy niegdyś zamieszkanej, która nadto była widownią licznych wypadków, widać ślady dawnych murów, stosy gruzów, kamieni. Takim stosem gruzów jest także, między innemi, i słynny pałac Agamemnona i prowadząca doń — jeszcze sławniejsza — brama lwów. Zarówno ta brama, jak i ten pałac, nie robiłyby najmniejszego wraże-

[1]) Henryk Bartsch, *Listy z podróży po Grecyi i Sycylii*, Warszawa, 1875 r.

nia, gdyby nie myśl, że tutaj rozegrał się straszny dramat, który później Eschylos unieśmiertelnił w swojej *Orestei*, że tutaj odbyła się owa uczta, na której Atreusz ugościł brata swojego, Tyestesa, potrawą, przyrządzoną z mięsa dwóch małych jego synków, że tutaj wiarołomna Klitemnestra, do spółki ze swym kochankiem Aegistem, zabiła powracającego z pod Troi Agamemnona i biedną Kassandrę, że tutaj, mszcząc śmierci ojca, zabił matkę swoją Orestes. Gdyby nie te wspomnienia, nie byłoby po co przyjeżdżać do Myken. Nie więcej interesu przedstawiałby w zwykłych warunkach znajdujący się nieopodal pałacu słynny grób Agamemnona, słynny od chwili zwłaszcza, kiedy w nim było smutno Słowackiemu. Będący tu na kilkanaście lat przed Słowackim jeszcze Chateaubriand tak grobowiec ten opisuje: »Jest to pomnik podziemny, okrągłego kształtu; światło do niego dochodzi przez otwór w sklepieniu; zresztą niczem się nie odznacza; chyba tylko prostotą budowy. Wchodzi się doń przez rozkop, dotykający do bramy grobowca. Brama ta ozdobiona była pilastrami z niebieskawego marmuru, wyciosanego w górach poblizkich. Lord Elgin kazał otworzyć ten grób i wyrzucić ziemię, która jego wnętrze zawalała. Nizkie drzwi prowadzą z głównej izby do drugiej, mniejszej. Gdym się bacznie przypatrzył, poznałem, że ta druga izba jest prostem wykopaniem, zrobionem za obrębem grobowca; bo niema tam ścian murowanych. Małe drzwi były zapewne drugiem wnijściem do grobowca. Czy dawniej skrywał się on pod ziemią, jak rotunda w katakumbach w Aleksandryi? Czy też wznosił się nad ziemią, jak grób Cecylii Metelli w Rzymie? Czy był ozdobiony architekturą zewnętrzną i jakiego porządku? Wszystkie te kwestye pozostały niewyjaśnione. Nic nie znaleziono w tym grobie i nie jest nawet rzeczą pewną, iż to był grób Agamemnona, o którym wspomina Pauzaniasz«. O ileż piękniej, poetyczniej, plastyczniej wreszcie, opisał Słowacki ten »grobowiec sławy, zbrodni, pychy«, w którym Atrydów popioły »śpią pod świerszczów strażą»:

Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos. Ta bieli płótno,
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!
Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów; a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jak gdyby chciały nakazać milczenie,
Sykają... Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem, wielką pieśnią ciszy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie,
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go tu wróble lub gołębie
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza...

Na pytanie zaś, jakich uczuć doznał w tym grobowcu Słowacki, odpowiedź znajduje się w jednym z listów do matki, pisanym z Paryża w listopadzie roku 1839, i w *Grobie Agamemnona*. Oto odnośny wyjątek ze wspomnianego listu: »Czy wiesz, że ja siedziałem *sam jeden* całą godzinę w grobie Agamemnona, i myślałem o moich zbrojach blaszanych, zalewając się łzami, a świerszcze polne mówiły *csyt!* jak gdyby nimfy przeszłości, nakazujące milczenie« [1]). Ale nietylko o swojem dzieciństwie i zbrojach blaszanych, w których zdawało mu się, że jest Achillesem, myślał Słowacki w tej kopule podziemnej, »co krwią Atrydów zwalana okrutną«, jak o tem świadczy druga część *Grobu Agamemnona*. Pytanie tylko, czy miał słuszność, kiedy w tym potężnym wierszu, poczętym tutaj, pod wrażeniem tego grobowca Atrydów, rozżalony i rozgoryczony losem swoim, który mu kazał co najwyżej na grobowcach siadać

I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych

przyznawał się, że pochodzi z kraju smutnego Ilotów, z kraju, gdzie rozpacz nie sypie kurhanów, z kraju, gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych, zostaje smutne półrycerzy — żywych! [2]). Czy miał prawo, on, który z tego kraju, wtedy, kiedy ginęli »swobody obrońce«, wyjechał za granicę, kłaść w usta duchowi Leonidasa to upokarzające pytanie: »Wielu was było?« Czy miał do tego prawo on, któremu ten sam duch Leonidasa mógł bardziej upokarzające jeszcze zadać pytanie: »A ty, poeto, piewco *Hymnu do Bogarodzicy*, autorze *Ody do wolności* i *Pieśni legionu*

[1]) Listy, II, 58. [2]) Cokolwiekbądź przekleństwo to — jak zauważono słusznie — wypłynęło tylko z głębokiego uczucia miłości Ojczyzny, podyktowane przez wstyd i upokorzenie, że z łańcuchem na szyi, a piętnem helota w sercu, ujrzał się w Termopilach, u mogiły bohaterskich Greków, którzy woleli poledz, niż shańbić się niewolą.

Litewskiego, gdzieś był wówczas? Coś robił, kiedy grzmiały działa pod Grochowem, kiedy hufce nieprzyjacielskie wpadały zwycięzkie po trupach twoich współbraci w dymiące szańce Warszawy?...

Zapomnij, że jest długi wieków przedział!
Gdyby spytali tak, cóżbym powiedział?!...

III.

Z pól myceńskich, gdzie natchnienie Słowackiego dosięgło jednego z najwyższych szczytów, jakie mu wogóle osiągnąć było sądzone, zdążyli jeszcze na noc do Koryntu, po drodze obejrzawszy prawdopodobnie ruiny Nemei, miejsce słynnych w starożytności *igrzysk nemejskich* Juliusz od chwili, jak wstąpił w grób Agamemnona [1]), był smutny, skwaszony tak dalece, że to nawet, co tu zapisał — a przynajmniej zanotował — w swoim »dzienniku« zgoła było niepodobnem do pierwszych ośmiu pieśni tego »rymowego baletu«. Sykstyny, skreślone pod wpływem *Grobu Agamemnona* [2]), albo na widok żórawi, które »nad Koryntu górą rozciągnęły łańcuch ku północy« (a rzucone na papier najniezawodniej wieczorem, po przybyciu do Koryntu) jeżeli zasługiwały na jaką teatralną nazwę, to nie baletu — jakkolwiek ta nazwa tak trafnie charakteryzowała lekki ton poematu — ale tragedyi. Poeta mówi w nich wyraźnie o swojej »piersi ponurej« w tej chwili, o swego »serca niedoli«, o swojej »dzikiej tęsknocie«, o swojej »myśli posępnej i ciemnej«, o łzach, które tu miał w oczach, kiedy »wspomiał los swój« etc. Otóż, za przyjazdem do Koryntu [3]) »odbiegła mię moja tęsknota«, powiada:

Ztamtąd albowiem oko *tęskne* wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie;
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślone odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

---

[1]) Po Juliuszu Słowackim i Chateaubriandzie zwiedzili i opisali grób Agamemnona pp. Henryk Bartsch i Józef Weyssenhoff. Zobacz pierwszego l. cit., str. 90—91, oraz drugiego l. cit. w *Bibl. Warsz.*, str. 527. [2]) Pism. pośm., t. I. str. 177—183. [3]) Dnia 19 września.

Korynt sam, miejsce dawnych igrzysk isthmijskich, ustanowionych przez Tezeusza, a opiewanych przez Pindara, nie zrobił na poecie bardzo silnego wrażenia; bo, jak powiada w swoim wierszowanym dzienniku,

Korynt dzisiaj, to chatek gromady;
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,

które to »siedm kolumn dorynckich ze szczątkami architrawów u wierzchu« jest wszystkiem, co pozostało z owego świetnego grodu, o którym mawiali Rzymianie, że *Non cuivis homini contingit adire Corinthum*, a które już ślepy Homer nazywał »bogatym Koryntem«. Nie zmienił się tylko pejzaż, »jeden z najpiękniejszych krajobrazów na świecie«. Szczególniej, kiedy mu się przyglądać — jak Słowacki — ze szczytu t. zw. Akrokoryntu, gdzie za czasów staro-greckich stała świątynia Afrodyty Uranii, a dziś są jeszcze szczątki dawnego bizantyjskiego kościoła chrześcijańskiego, przez Turków zamienionego na meczet [1]). Słowacki, wszedłszy tu, kiedy się rozejrzał dokoła, wspomniał dawne arkadyjskie czasy sielanek pasterskich i mimowoli ogarnęła go nostalgia za tą idyliczną przeszłością...

W świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z zieleni zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzynki,
A na kolumnach ściętych małe chłopce,
Pasterze, w dudki z trzcin wycięte grali.
Kilka baranów sennych, i tam dalej...

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek.
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowemi
Takimi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy z wiejskiemi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny,
I pełny owiec cień każdej oliwy...
Tu duch przeszłości spokojność rozlewa
Na śpiące owce, na pasterzy twarze;
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny.

---

[1]) »A matką wszystkich kolumn ten kościółek.
Wszedłem«...
Pism. pośm., t. I, str. 184.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, winnice, będące źródłem bogactwa tej okolicy, rozpościerają świeżość i żyzność po całej przestrzeni. W dole bielą się gromadkami, pośród morw, pomarańcz i cyprysów, domy miasta Koryntu. Cały Peloponez leży, jak na dłoni. Międzymorze Korynckie wygląda, jak wązki pasek ziemi pomiędzy dwoma morzami. Ku północy sterczy Parnas, pokryty śniegiem: »w hełmie z błyskawicy,

Czuwa, i cicho sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą, jak tęcza«.

Ku wschodowi ciągnie się szczyt Helikonu, tworząc jakby podwójny garb wielbłąda. Nieco dalej świeci swoją spadzistą ścianą pasmo gór Gerania. W głębi, owiana mgłą oddalenia, majaczeje góra Hymettos, siedlisko słynnych pszczół z Hymetu, o których myśląc, pięknością tego widoku rozmarzony, żałował Słowacki, że nie jest tu — owiec pasterzem, panem tej winnicy, panem tej chaty, co stoi tam, nad morzem.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny,
Od moich owiec raniej, od jaskółki;
Do mnieby gołąb zlatywał metrwożny,
Z Hymetu by się zlatywały pszczółki,
I kładły miody w złamanej kolumnie.
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na takich i tym podobnych marzeniach, połączonych ze wspomnieniami Jazona i Medei, tudzież św. Pawła apostoła, który aż dwa listy napisał do Koryntów, upłynął Słowackiemu cały czas w Koryncie, zkąd, zabawiwszy tu do wieczora, na noc — a była to piękna noc księżycowa — ruszono do Kalamaki, maleńkiego miasteczka nad Lepantem. Przybywszy tam, już późnym wieczorem, ugodzono czółno, »kaik skrzydlaty«, którym, pod opieką pomyślnego wiatru i dwóch dzielnych majtków albańskich, spodziewano się nazajutrz dobić szczęśliwie do Aten. Tymczasem, kiedy łódź wypłynęła na morze, wypadało pomyśleć o spaniu. Jakoż Brzozowskiemu nie trzeba było dwa razy tego powtarzać, że pora powierzyć się Morfeuszowi. Słowackiego jednak, choć był zmęczony także, nie zdołało uśpić nawet chrapanie towarzysza. Wolał przy świetle latarki pisać, w antraktach zaś gawędzić z marynarzami. Oto wrażenia, które spisał podczas tej przeprawy:

Patrz, błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

Przez natchnione żagle księżyc blady
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady,
O maszt oparci. Złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty.
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Ten złoty blask księżyca i ta cisza nocna, zakłócana tylko klekotem fali, opłukującej burt łódki, usposabiały do marzeń i do słuchania bajek. Słowacki, rozmawiając ze starym majtkiem, potrącił o ten temat; okazało się, że stary marynarz nosił w pamięci swej obfity zapas podań miejscowych i że nie trudno było go nakłonić, ażeby opowiedział niektóre z nich. Jakoż opowiedział ich kilka poecie, a ten, usiłując odgadywać, czego nie rozumiał, słuchał uważnie, z przejęciem.

Jedna zwłaszcza legenda zrobiła na nim silne wrażenie, legenda o pewnym harfiarzu. »Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio — mówił majtek [1]), przyszedł raz nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi; a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Zniechęcony tem, rzucił harfę precz, daleko od siebie, a te fale, fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote narzędzie pieśni i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, lecz w głębi fal Egejskiego morza utonął«.

Tak upłynęła noc. Zaczęło świtać.

I zwolna wschód się oczerwienił siny.
Po nad Pireą powiał wiater świeży,
Łódź się wśród morskiej wzdrygnęła równiny,
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to pierwsza fala Salaminy:
Szła od mogiły, gdzie Temistokl leży,
Zatrzęsła łodzią, wkoło ją obeszła,
Zagrzmiała, jęknła żałośnie i przeszła...
A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania,
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce już było blizkie swego wstania [2]).

---

[1]) List I do autora *Irydiona* na czele *Balladyny*. »Pozwól, że pisząc do ciebie, zacznę od apologu, który mi opowiedziano nad Salaminy zatoką«.
[2]) Zob. *Podróż na Wschód*, pieśń IX, str. 118; Wschód słońca nad Salaminą; *Beniowski*, (dwa fragmenty z dramatu) Pisma pośm. III, 415.

Słowacki powstał. Tańczyły różane bryły fal, a droga okwiecała się świtem niebios, kiedy nagle, w ogromnej powadze, »jak król na dywanie«, buchnęło czerwone słońce. Ale, o dziwo! zamiast wstać z mogiły Temistokla, jak z mogiły Boga zmartwychwstający anioł blasku, siły, wyszło ztamtąd, gdzie był złoty tron nieprzyjaciela Grecyi, zkąd Xerxes patrzał na dzieło zniszczenia, zkąd widział, jak tył podawały floty perskie, zkąd przypatrywał się odwadze Greków! »O głupia gwiazda!« [1]), pomyślał sobie Słowacki i zaczął w duszy urągać grobowi, jeszcze pogrążonemu w ciemnościach, i morzu, które chodziło w łańcuchu; i obrócił się w stronę, gdzie stał niegdyś złoty tron dumnego władcy Persów,

Bo tak stać musiał, gdy ginęły floty,
I za kraj marli rozpaczni obrońce,
Xerxes na tronie tym, ubranym w słońce!

Wkrótce, już o zachodzie, ujrzano Ateny i Akropolis, zaróżowione od promieni słonecznych. Na widok tego grodu, w którym żyli Perykles i Aspazya, w którym tworzyli Fidiasz i Praxiteles, w którym nauczali Sokrates, Platon i św. Paweł, który słuchał złotoustej wywowy Demostenesa, który oklaskiwał tragedye Eschyla, Sofoklesa i Eurypidesa, który się śmiał na rubasznych komedyach Arystofanesa, Słowackiemu z pewnością silniej zabiło serce. Bo oto dojeżdżał do miasta, o którem tyle się naczytał w dzieciństwie, marząc zawsze, ażeby je zobaczyć kiedyś, ażeby powietrzem jego odetchnąć. I widział je teraz, bielejące nad błękitem morza, uwieńczone murami Akropolisu, które zdawały się doń uśmiechać, jak gdyby go, witając, zapraszały w gościnę. Na pierwszym planie widniał port Pyreus, zjeżony masztami okrętów, w głębi zaś, odbite od ciemnego tła gór Hymetu, błękitniało miasto, z białym pałacem królewskim na przodzie, z mnóstwem płaskich dachów, pomieszanych z cyprysami, minaretami, wieżami kościelnemi i ruinami.

Cały tydzień zabawił Słowacki w Atenach, od 20 do 27 września. Niestety, w teraźniejszym grodzie Tezeusza, oprócz ruin, śladów dawnej świetności, nie ma nic ciekawego do oglądania. Nowocześni ateńczycy, jak i nowoczesne gmachy ateńskie, najmniejszego nie budzą dla siebie

---

[1]) O słońce, złoty chaldejski bałwanie!
Jeśli ty wiesz, gdzie wschodzić.
(Beniowski, dramat.)

interesu. Dlatego też, kto tu nie umie oddychać atmosferą przeszłości, kto nie jest zdolny odtwarzać jej sobie w wyobraźni, ten wyjedzie z Aten rozczarowany, z uczuciem niesmaku. Słowacki wyjechał zachwycony. »Grecya — pisał do matki — pełna ruin przecudownych, podobała mi się bardzo i bardziej, niż Rzym, mię zachwyciła«. O tem zaś, że miał tu Ateny na myśli i Akropolis, niepodobna wątpić. Oglądanie takich cudów architektury, jak świątynia Minerwy, jak karyatydy Erechteijonu, jak szczątki Propyleów, jak kolumna Partenonu, jak świątynia Tezeusza, albo miniaturowa świątynia Nike Apteros (tem będąca w architekturze greckiej, czem paryska *Sainte-Chapelle* w gotyckiej) absorbowało go tak dalece, że nawet nie znajdował czasu na spisywanie swych wrażeń, na kontynuowanie swojego »rymowego baletu«, który, z chwilą przyjazdu poety do Aten, urywa się nagle. Godzinami całemi przesiadywał, sam albo z Brzozowskim (choć wolał sam), wśród pożółkłych marmurów Akropolisu, studyując pojedyncze odłamy rzeźb, pomiędzy któremi były może i fragmenty arcydzieł Fidyasza; wieczorami zaś, kiedy wstęp na Akropolis wzbroniony, lubił oddawać się medytacyom nieopodal, na stopniach olbrzymiej świątyni Jowisza Olimpijskiego. Zdarzało się nieraz, że go tu zastawał wschodzący z za gór Hymetu księżyc. Chwile te, na ruinach tego pizystratowego *Niedokończonego poematu* spędzone, niezatartemi zgłoskami zapisały mu się w pamięci. Jeszcze w liście swym z dnia 21 sierpnia 1837 roku pisał o nich z Florencyi do matki z widocznem rozrzewnieniem: »O, piękniej było, kiedym *sam* siedział przy księżycu między kolumnami olbrzymiego kościoła Jowisza u stóp Akropolis Ateńskiej: wiatr, przedzierając się przez te kolumny, grał na nich, jak na organie. O, wiele ja miał cudownych chwil w życiu! Na cóż więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojej duszy? Gwiazda, co mnie świeci, piękniejszą jest od wielu innych«.

Dopełnieniem tych słów, będących niezaprzeczenie doskonałem streszczeniem wrażeń, jakich poeta doznał pod turkusowem niebem Grecyi, jest następujący wiersz Słowackiego, skreślony około r. 1846, a będący wspomnieniem tej podróży po klasycznej ojczyźnie Fidyasza.

I byłem jeszcze tam, gdzie Ateńczyki
W lasach oliwnych gwarzyli poważnie,
Duchem być sądząc wodę lub płomyki,
A prawdą: przeciw nędzom stać odważnie.
Więc i tam, Panie, pod temi niebiosy
Turkusowemi, kiedym słuchał, blady,

Leciały do mnie różne prawdy głosy,
Jak echa od harf umarłej Hellady.
A jednak smętny odszedłem od echa
Partenońskiego, gdzie marmur różany
I gładki wiecznie z nieba się uśmiecha,
Jak Wenus w srebrne wracająca piany
Zkąd była wyszła kwiatem... [1])

---

[1]) *Przewodnik naukowy i literacki*, 1884, str. 228, *Z pamiętnika Juliusza Słowackiego*, przez H. Biegeleisena.

ROZDZIAŁ IV.

W EGIPCIE.

I. Wyjazd z Aten. Wyspa Syra. Hermupolis. Przepisywanie »rymowego baletu«. Wyjazd do Aleksandryi. Tydzień na morzu. »Smutno mi, Boże!« Aleksandrya. Pierwsze wrażenie Wschodu. Hotel *Pod złotym orłem*. Pierwszy wieczór w Aleksandryi. Wiersz *Do Teofila Januszewskiego*. Opisy Wschodu w *Beniowskim*. Kolumna Pompejusza. Igła Kleopatry. (27 września — 28 października). II. Wyjazd do Kairu. Wrażenie Kairu. List z Genewy. Wiadomość otrzymana »na piramidzie«, że panna Wodzińska idzie za mąż. *Odwiedziny Piramid*. Wiersz *Piramidy. Pieśń na Nilu. Rozmowa z Piramidami*. Nocleg w grobie Ramzesa. Powrót do Kairu. Towarzystwo Ziomków. Wyjazd do Teb. (28 października — 6 listopada). III. Podróż Nilem. Wiersz *Na Nilu*. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Jej imię »na piasku wilgotnym«. Denderah. Spotkanie z Hołyńskimi. Ruiny. Almee. Katarakta Nilu. Teby. Posąg Memnona. Powrót do Kairu. Powtórne spotkanie z Hołyńskimi. Używanie życia. Aleksander Hołyński i Arabka. Rozstanie z Hołyńskimi (6 listopada — 15 grudnia). IV. Droga przez pustynię. Nocleg w grobowcu Szecha. Przybycie do El Arish. Doktor Steble. Geneza *Ojca zadżumionych*. Opowiadanie dragomana. Burza. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Panna Malagamba. Wyjazd z El Arish (15 grudnia — 2 stycznia).

I.

Z Aten miano podążyć do Egiptu. Ponieważ okręt jednak, płynący do Aleksandryi (z Marsylii), nie zatrzymywał się w samych Atenach, tylko zabierał pasażerów, jadących z Grecyi, w porcie wyspy Syry, jednej z licznych wysp Archipelagu, od Aten odległej o kilka godzin drogi statkiem parowym; więc trzeba było, oczywiście, najprzód pojechać do Hermupolis, będącego stolicą i głównym portem Syry, i ztamtąd dopiero, doczekawszy się okrętu, że-

glować dalej. W tym celu, dnia 27 września, nad wieczorem, pożegnano gród, który *jest Tezeusza a nie Hadryana,* i obrawszy drogę na Syon, nazajutrz rano, o świcie, wylądowano w Hermupolis. Jest to jedno z najważniejszych miast Archipelagu. Położone nad morzem, na pochyłym brzegu, co je podobnem czyni do amfiteatru, z domami, obróconemi frontem do portu, tak, iż z zapadnięciem nocy miasto całe wygląda, jak gdyby było świetnie uiluminowane, z ulicami wązkiemi, brudnemi i stromemi, tak, iż ciągle prawie chodzić trzeba po stopniach kamiennych, z murami domów, pomalowanemi na zielono i niebiesko, co się bynajmniej nie przyczynia do upiększenia miasta, z ruchem na ulicach *par excellence* handlowym, prozaicznym, nie przedstawia Hermupolis dla człowieka, jak Słowacki, najmniejszego interesu. To też nudził się tam, jak na pustyni, i z pewnością dałby niemało za to, żeby się módz ztąd wydostać czemprędzej. Na nieszczęście okręt, z taką niecierpliwością wyczekiwany, dawał czekać na siebie. Z nudów tedy — bo co było robić — zaczął Słowacki — tutaj prawdopodobnie — przepisywać na czysto swój »rymowy balet« z podróży po Grecyi[1]). Jakoż zdążył przepisać dziewięć pierwszych pieśni, t. j. zdaje się wszystko, co miał napisane w brulionie, kiedy przyszła wiadomość, że okręt, mający zawieść ich do Aleksandryi, przybył nareszcie. Nareszcie! Jakoż zdaje się, że jeszcze tego samego dnia odbito od brzegu i, kiedy zapadła noc, Hermupolis skryło się w ciemnościach. Można być pewnym jednak, że zarówno Słowacki, jak i towarzysz jego, bez szczególnego utęsknienia żegnali się z tem miastem; dla nich bowiem żądnych wrażeń i rozmaitości, była to wyspa zabijających nudów, razem ze swoją stolicą.

Coprawda, to i na okręcie, podczas dziewięciodniowej przeprawy morskiej nie było wiele weselej; ale przynajmniej opromieniała ją myśl, że ich niebawem czekają cuda Afryki, że maluczko, a zobaczą Egipt, piramidy, ruiny Teb,

---

[1]) Prof. Józef Tretiak w swojej cennej ocenie książki prof. Ant. Małeckiego o Słowackim *(Przewodnik naukowy i literacki*, 1881 r., str. 278) powiada między innemi, opierając się na raptularzu poety z jego podróży po Wschodzie (raptularzu, będącym dziś własnością p. Leopolda Méyeta w Warszawie), że »*Podróż na Wschód* pisaną była, a na nawet przepisaną na czysto jeszcze przed przybyciem poety do Aleksandryi«. Ponieważ trudno przypuścić, ażeby Słowacki tej pracy przepisywania dokonał na okręcie, w czasie podróży morskiej do Egiptu, nic prawdopodobniejszego więc, jak przypuszczenie, że Słowacki poemat ten, dorywczo pisany w Grecyi, na czysto przepisał w Hermupolis, gdzie, literalnie nic nie mając do roboty, czekał na okręt od d. 28 września do 12 października.

Kair, katarakty Nilu, pustynię, etc. Swoją drogą, nie przeszkadzało to Słowackiemu dać się opanowywać smutkowi i owej tęknocie, która mu tak często, z lada powodu, czarnym kirem otulała duszę. Tak np. dnia 20 października, na kilka godzin przed przybyciem do Aleksandryi, kiedy o zachodzie słońca ujrzał stado bocianów, ciągnące z północy (może z Polski? — pomyślał sobie poeta) ku południowym strefom, zrobiło mu się w jednej chwili tak smutno, tak beznadziejnie, że nie brakło wiele, a miałby w oczach łzy. A ponieważ wzruszenia tego rodzaju, jakkolwiek przykre na razie, zawsze poecie lirycznemu wychodzą na dobre, więc i jemu przyszła niespodziewanie ochota przelania uczuć swych na papier; i w ten sposób powstał ów przepiękny *Hymn o zachodzie słońca na morzu,* owo nieśmiertelne »Smutno mi, Boże!«, które każdy z nas umie na pamięć[1]).

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą;
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Gdyby go zaś, piszącego te słowa, zapytał kto w tej chwili: dlaczego mu smutno? odrzekłby niezawodnie, co następuje:

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Bo nie ulegało wątpliwości, że główną przyczyną jego smutków i zwątpień była tęsknota za krajem rodzinnym, i owa niepewność, czy tam powróci kiedyś...

Kazano w kraju maleńkiej dziecinie
Modlić się za mnie codzień; a ja przecie
Wiem, że mój okręt — nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie!
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Tu jednak, na szczęście, uwaga Słowackiego nagle została zwrócona w inną stronę, tak, iż smutek, jaki nim

---

[1]) Pod wierszem »Smutno mi, Boże!« podpisał Słowacki własnoręcznie: »d. 20 październ. dopływając do Aleksandryi, 1836«.

owładnął chwilowo, musiał ustąpić wrażeniom konkretniejszym o wiele: zbliżano się do Aleksandryi. Świtało. Na horyzoncie, »jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek«, ukazała się ziemia. Zbudzony okrzykami marynarzy: »Ziemia! ziemia! ziemia!« Słowacki wyszedł na pokład, ciekawy widoku lądu, którego nie widział już od tygodnia przeszło (zwykłe uczucie w czasie podróży morskiej); a powtóre: miał zobaczyć po raz pierwszy Afrykę! Okręt, pędzony pomyślnym wiatrem, szybko pomykał naprzód; Aleksandrya zaczęła się coraz wyraźniej wyłaniać ze mgły. W końcu zaczęto rozróżniać pojedyncze gmachy, minarety, palmy, maszty okrętów.

Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołąbek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanej fali:
A to był pałac wielki Mahometa-Ali.
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Sterczą: to była Ali-Mahometa flota.

Niebo nad miastem rumieniło się brzaskiem przedświtu, co w języku Słowackiego, kolorystycznym i jaskrawym, jak pędzel Weroneza, nazywało się, że nad brzegiem »leżała niesplamiona purpura przedwschodnia«:

Na niej stada gwiazdeczek bladego lazuru,
I jedna tylko palma, na prawo, z marmuru,
Otoczona rojami nieśpiących wiatraków...

Tak ukazały się Słowackiemu brzegi afrykańskie, »smutne, jak powiada, obumarłymi południka śniegi zasypane, pod nieba sklepionego łuną, długą i rozciągniętą położone struną«. Niebawem wzeszło słońce, dzięki czemu matowy aż do tej chwili krajobraz ożywił się w mgnieniu oka; z obumarłej, długiej struny, wypadły na strop niebieski, »jak z boskiego łuku« wystrzelone, ogniste snopy strzał słonecznych; w powietrzu zamigotała jakby mgła złota, a w duszę poety, wraz z promieniami słońca, wstąpiła pogoda[1]).

Kiedy wysiadł na brzeg w porcie aleksandryjskim, »gdzie się jeszcze trzyma latarnia morska, świecąc puszczyków oczyma«, był już w brylantowym humorze; wszystko go bawiło, interesowało, pobudzało do śmiechu, a przede-

[1]) O tej podróży Słowackiego z Hermupolis do Aleksandryi wiemy bardzo niewiele. W Raptularzu swym (dziś własność p. Leopolda Méyeta) zapisał poeta o niej tyle tylko: »Syra. Kamienie. Wicher. Podróż morska. Brzegi znikają. Mgła. (Widocznie była mgła podczas podróży). Stado bocianów. Pod Aleksandryą zachód słońca. Hymn (Smutno mi, Boże!)

wszystkiem horda oślarzy, która »osiołkami drogę zwężoną przegradza,

Chwyta, piastuje, z ziemi podnosi i sadza
Na szybkolotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż, biegnąc, pod *Złotego orła* cię zapędzi.

»Złoty orzeł« to godło hotelu, do którego się wieść kazali, a który, położony niedaleko portu, posiadał z okien cudowny widok na morze, na bulwar i ruch portowy, co Słowackiemu przypomniało zaraz Neapol, jak tego dowodzi ów wzorowany na Lemartine'ie wiersz *Do Teofila Januszewskiego,* napisany drugiego dnia po przybyciu do Aleksandryi, a w którym Słowacki zaczyna opis tego miasta od opisu widoku z ganku hotelu Santa Lucia — w Neapolu:

Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?
Kto patrzy na rybackich sklepów złoty wianek? itd.[1])

Podobny »rybackich sklepów złoty wianek« widział Słowacki i z teraz okien hotelu *Pod złotym orłem;* z tą różnicą, że tutaj panujący na brzegu zgiełk odznaczał się jaskrawszym jeszcze, aniżeli w Neapolu, kolorytem.

---

[1]) Zwracam uwagę na podobieństwo tego wiersza *Do Teofila Januszewskiego* (napisanego w Aleksandryi 22 października 1836 r.) do wiersza Lamartine'a, jaki się znajduje w jego *Voyage en Orient.* Wiersz ten pisany na morzu »à M. de Moutherot, mon beau-frère«, brzmi, jak następuje:

Ami, plus qu'un ami, frère de sang et d'âme
Dont l'humide regard me suivit sur la lame;
A travers tant des flots jetés derrière moi
A travers tant de ciel et d' air, je pense à toi;
Je pense à ces loisirs que nous usions ensemble
Au bord de nos ruisseaux, sous le Saule ou je tremble;
A nos pas suspendus, à nos doux entretiens itd. itd.

(U Słowackiego: »Gdzie nasz lazurowy Golf i ciche przy białym księżycu rozmowy«).

Wiersz ten był zdaje się modelem, na którym się wzorował Słowacki, pisząc swoje wiersze *Do Teofila Januszewskiego*, »Piramidy. Dnia 2 listopada« w wyd. lw. Pism pośm. Słowackiego mylnie zatytułowany *Odwiedziny piramid)*. »Na szczycie piramid«. Słowacki czytał *Voyage en Orient* Lamartine'a. Dowodu na to dostarcza przedmowa do *Ojca zadżumionych* oraz list do matki z d. 22 lutego 1838 r. z Florencyi (»Tytuł mój pielgrzyma do Ziemi świętej bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie: *mogę czasem poprawiać Lamartina«).* Tem by się też wytłómaczyć dała horacyuszowska forma listu tych wierszy. Lamartine pisał w czasie podróży wiersz »à M. Moutherot, mon beau frère«; Słowacki, który mógł świeżo czytać Lamartina podczas podróży morskiej z Syry do Aleksandryi, umyślił, naśladując francuskiego »anioła błagi« (jak Lamartine'a nazywał stary Dumas) napisać podobny wiersz *Do Teofila Januszewskiego*, swojego wuja, a następnie *Do Aleksandra Hołyńskiego*, z którym miał się niebawem spotkać na Nilu. Zwracam uwagę, że zarówno list Lamartina, jak i listy Słowackiego pisane trzynastozgłoskowym aleksandrynem.

Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem,
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość
I szukasz zmrużonemi oczyma błękitu.

Wszakże, mimo tę »sytość duszącą« podobało się wszystko to Słowackiemu nadzwyczajnie: patrząc na te wschodnie ubiory, zawoje, burnusy, na te fellah'y etc., doznawał złudzenia, że się znajdował w poetycznym świecie Byrona i Moora; w każdym przechodzącym Arabie widział samych Korsarzów i Giaurów: każdą Arabkę uważał za poetyczną Zulejkę lub Gulnarę. Ich strój orientalny, ich twarze zakryte gazą, ich »oczy błyszczące, jako dwie gromnice, przez dwa białe otwory«, ich chód lekki, ich spojrzenia powłóczyste, wiodące na pokuszenie, a przywodzące na myśl »rzeczy złe i zdrożne, o których książki mówią już nabożne«, oddziaływały pobudzająco na jego wyobraźnię: był niemi zachwycony poprostu, tak dalece, że jeszcze w lat kilka potem pisał o nich w *Beniowskim,* co następuje:

Czasami wielkim robrontem skrzydlata,
Bowiem kobiety wschodnie chcą być grube,
Leci ogromna czarna trumna, chata,
Jak okręt, co ma parę albo szrubę
Ukrytą wewnątrz, i blisko przelata;
Ujrzałeś tylko widmo, czarną szrubę,
Oczy świecące przez dwa białe kółka;
Na dole głowę i ogon... osiołka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,
Oczyma tylko łysnęła: lecz okiem,
Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?
Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,
Że to jest ogień, który pod azbestem,
Pod niespaloną szubą i szlafrokiem
Płonie, i z drogi cię cnoty oddali,
A jeśli dotkniesz go, na popiół spali.

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous
Gdzieś na cmentarzu dane, dyable myli,
Cyprysowemu ją zostawisz drzewu
Cieszyć, i klniesz wiatr, co szubę odchyli,
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu,
Taki jest wybuch, że dla krotochwili
Wrócisz, i ogień hamujesz powoli [1]).

Ostatnia strofa świadczy, że zakwefione kobiety w Aleksandryi nietylko podobały się Słowackiemu (niezawodnie

[1]) *Beniowski*, Część druga (pieśń IX) Pisma pośm. I, 71, 72. Por. z tem wiersz *Do Teofila Januszewskiego.*

i Brzozowskiemu także), ale nawet, że naznaczał niektórym z nich *rendez vous* wśród ustronnej ciszy miejscowego cmentarza, czego jednak żałował później.

Niemniejszy zachwyt budziły w nim dziewczęta egipskie (etyopskie): najlepszy dowód, że ich nie przepomniał w swym poetycznym liście *Do Teofila Januszewskiego:*

Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wyprężona przy murach staje Egipcyanka,
Podobna Karyatydzie, w ścianę wmurowanej;
Jej koszula, posłuszna piersi z brązu lanej,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiąc się kaskada.

Wogóle pierwsze wrażenie, jakie odniósł z miasta i życia wschodniego, wypadło nader korzystnie pod każdym względem; wszystko mu się tu podobało: począwszy od owego różnojęzycznego gwaru na ulicach »gliną i rogożą sklepionych«, od owych »świecących sklepików« na bazarze; a kończąc na wielbłądach, owych »wschodnich ubogich krajów woziwodach«, a zarazem »okrętach pustyni«, z których każdy, »jako struś wygląda,

Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę
Przyjdzie i stanie, to skórzane boki
Leją fontanny dwie i dwa rynsztoki.

Niemniej bawił go widok osiołków, które, poganiane przez swych właścicieli, »gości po ulicach wożą«. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie »radosnych pełno tłumów i okrzyków«.

Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą,
Gdzie pełno leży zgubionych trzewików...
Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą
Drugim krwawnikiem brukowane błoto[1]).

Cały pierwszy dzień upłynął mu na zwiedzaniu starej arabskiej, i nowej europejskiej, dzielnicy miasta; wieczorem zaś, kiedy na niebo wytoczył się księżyc w pełni, przeobraziła się Aleksandrya odrazu — dla Słowackiego przynajmniej — w jakieś fantastyczne widzenie z *Baśni tysiąca i jednej nocy.* Poprostu nie spodziewał się znaleść takich cudów. Patrząc na te kopuły meczetów, na te wysmukłe

[1]) Przytoczone ustępy świadczą, jak Słowacki, podróżując, musiał obserwować i jaką miał pamięć doskonałą, skoro jeszcze w roku 1842, t. j. w sześć lat po powrocie ze Wschodu, tak żywo stało mu życie tamtejsze przed oczyma. Cała »ambasada krymska« *Beniowskiego* (pieśń VII, VIII i IX) pełna jest najpyszniejszych obrazów Wschodu, na które poeta patrzał w Kairze i w Aleksandryi, a któremi później przystroił swój fantastyczny Krym.

stożki minaretów, na te bramy saraceńskiej architektury, na te wystające okna (pomiędzy któremi były może i okna haremów?) zasłonięte drewnianem kratowaniem, bardzo misternem niekiedy, na te białe, wapnem malowane domy bez dachów, wzrok jego, zmęczony w ciągu dnia oślepiającym blaskiem słonecznym, nietylko wypoczywał teraz, ale i napawał się poezyą tego widoku; wszystko bowiem, w seledynowem świetle miesięcznem skąpane, miało w sobie coś rozmarzającego, nastrajającego niezwykle, poetycznie. Całe miasto było »w świateł roju«, jakby uiluminowane; nad drzwiami bazarów i sklepów, w sklepieniach bram, na krużgankach minaretów, w oknach domów, przed każdą sienią, wszędzie, jak okiem sięgnać, wisiały »różne z tureckiego łoju ramazynowe lampy«, które, mieniąc się swemi różnokolorowemi szybkami, wyglądały, »jak wieńce z kwiatów na szafiru łące«.

Bo minarety, co je w niebo niosły
Tak były lekkie, jakby swe kwiaty,
Bez żadnych łodyg i pni, same rosły
Albo latały; a tak był bogaty
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły
I odwracały się na bledsze światy:
Na morze, co swój włos jak owca wełni
I srebrem błyska; lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie
Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie
Tem milszy oczom, że nie był natrętny.

Powróciwszy do hotelu, choć »znużony temi arabskiemi gwary«, czuł się egzotycznością tej nocy wschodniej — tym razem prawdziwej — tak dalece podniecony, że, zamiast pójść w ślady swego towarzysza i udać się na spoczynek, zasiadł do pisania i napisał list *Do Teofila Januszewskiego,* list wierszem, w którym, patrząc przez otwarte okno »na port stary Wielkiego Aleksandra«, opisał, co dziś »widział i słyszał na wstępie«, a dodać należy w nawiasie, że opisał to wszystko po mistrzowsku, z plastyką, równą plastyce opisów w *Panu Tadeuszu.*

Nazajutrz, stosownie do wyrażonej w liście tym zapowiedzi, że

Jutro ujrzę pomniki, trumny, katakomby,
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków,
Od Egipcyan, przez Rzymian pobitych i Greków,

pojechali z Brzozowskim — na osiołkach — do słynnych ale-

ksandryjskich katakumb[1]); poczem zwiedzili kolumnę Pompejusza (jeden z największych monolitów w świecie, który, zdaniem niektórych uczonych, jest jedną z tych 400 kolumn, jakie podpierały niegdyś Stoę, należącą do słynnej biblioteki aleksandryjskiej, spalonej na rozkaz Omara), oraz słynny obelisk, t. zw. igłę Kleopatry, wówczas do połowy zagrzebaną w piasku, a obecnie zdobiącą jeden z placów Londynu. W czasach, kiedy ją oglądał Słowacki, można było po niej jeździć na osiołku.

II.

Po kilku dniach pobytu w Aleksandryi, skoro zwiedzili wszystko, co posiadała godnego widzenia, a co Słowacki opisał matce w obszernym liście (który jej, niestety, nie doszedł), puszczono się łódką, drogą wzdłuż delty Nilowej, do Kairu, dokąd bez żadnych przygód szczególnych przybyto dnia 28 października. Tutaj zabawiono tydzień przeszło. Kair, starożytna siedziba sułtanów egipskich, a dziś, po Konstantynopolu, największe miasto na Wschodzie, jest, jako takie, bardziej jeszcze, aniżeli Aleksandrya, typowy; nie dziw więc, że Słowackiego poprostu odurzył swoją atmosferą, jak haszyszem[2]). Sienkiewicz, w swoich egzotycznych *Listach z Afryki,* kreśli taki obraz ulic Kairu: »Na bocznych chodnikach przepychają się Arabowie, Beduini, Żydzi, Koptowie, Murzyni, Grecy i Anglicy; środkiem ciągną szeregi wielbłądów, wozy, zaprzężone w bawoły, i pojazdy paszów, z biegnącymi przed końmi saisami. Widzisz wszystkie barwy skóry i słyszysz wszystkie języki. Ruch i gwar taki, że w głowie się kręci. Pod akacyami przydrożnemi i pod palmami całe obozowiska; gromady kramów, barwne tkaniny, zawoje, stosy bakalij, pęki trzcin cukrowych, znów wielbłądy, znów stada osłów. Między niemi wrzaskliwy tłum przewodników: cały obraz w rażącym blasku lub czarnych cieniach, bez ogólnego tonu, o barwach lokalnych«. Za czasów Słowackiego było tak

---

[1]) O pobycie swym w Aleksandryi zanotował Słowacki we wspomnianym już raptularzu, co następuje: »Aleksandrya. Plac przy księżycu. Egipcyanki z czarami na głowach. Żebracy w czarnym belwedery. Na osłach kobiety. Wielbłądy z wodą, podobne do strusiów, lejących rosę (?) skrzydłami. Bieutz (?). Szwajcarzy. Zmiana duszy w suchotniku. Osiołki. Podróż do katakumb. Trumna. Obelisk. Ogród palmowy. List do matki. Muzyka arabska«. [2]) »Dnia 28 października przybyłem łódką do Kairu: pyszne miasto; piramidy z daleka widać było, pełno lasów palmowych, całe przedmieście w ogrodach«. *Listy*, I, 254.

samo. Świadczy o tem *Beniowski,* w którym życie na Wschodzie odbiło się tak poetycznie, a tak realnie zarazem, że aż nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego realizmu u Słowackiego, którego nadto chętnie lubimy posądzać o zbytek fantastyczności, kiedy on tymczasem, choć posiadał fantazyę, jakiej nie miał np. Mickiewicz, potrafił być, ile razy chciał, równie dobrym, jak twórca *Pana Tadeusza,* realistą w poezyi. Dowodem tego, chociażby owe opisy Wschodu w *Beniowskim,* najrealniejsze, a przytem, bez zaprzeczenia, najpoetyczniejsze, jakie skreślono kiedykolwiek. Na porównaniu z niemi tracą nietylko słynne *les Orientales* Wiktora Hugo, ale i wszystkie *orientales* Byrona, Moora i innych. Oto naprzykład opis tańca wschodnich Almei. Niech mi kto wskaże piękniejszy.

Na wszystkich twarzach była wielka radość;
Świateł tysiące, woń drogich korzeni,
I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość.
Almeje także, te córki płomieni,
W szat przeźroczystych osłonięte bladość,
Tańczą przy fontan lazurowych chłodzie
Blisko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą
Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe
Przez rozwidnione aleje przechodzą,
Lecąc przez słońca różnokolorowe.
W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą,
I szybkim tańcem zawracają głowę;
Królowa tańca, młodziutka dziewczyna,
Płeć miała żółto-ciemną, jak cytryna.

Włosy, jak węgiel, czarne. Indyanka!
Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,
Na głowie, nakształt kręconego wianka,
Koronę z chińskich jajek i latarek.

Muzyka także grała; muzykanty
Na rożnokwietnej siedzieli rogoży
U drzwi, i grali okropne drabanty,
Zachowując się z taktem jaknajgorzej.
Pomiędzy niemi siedział muzyk dworu,
Który w urzędzie był... turbator choru.

Więc śpiewał. Przy nim siedział cymbalista;
Przy cymbaliście siedział bardzo blizko
Skrzypak a raczej Orfeusz lutnista
Z wielką glinianą ostrunioną miską,
Na której szczypał struny nakształt Liszta,
Wysoko biorąc ton, a potem nizko;
Trzeci, co bardzo mały efekt czyni,
Na smyczku smyczkiem grał, jak Paganini.

Wszyscy z ogromną artystów powagą,
Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały
Muzykami jest, jak Mojżesza plagą
Skarany... [1])

Mimo całego blasku na tym dworze,
Gdzie wzlatywały tancerki-motyle,
Czuć było jakąś dzikość straszną; może
Mleko i świeże kotlety kobyle...

Mleko to stało w ogromnej amforze,
Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle,
Migały w różne ogniste kolory;
Ale kwas było gorzki czuć z amfory.
Dym także lulek w kłęby się olbrzymie
Mięszał...

Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety
Piją, i palą czarny tytoń *dżebel;*
U pasa noszą złote amulety,
Świat uważają ten za smutny szczebel
Do nieba. W myślach nie grzebią, jak krety,
Pod katolicki też nie biorą hebel
Mądrości; lubią wiersze pełne słońca
I poematy trwające bez końca.

Ale, zauważy kto może, to jest realizm poetyczny, to jest wspaniała *fantaisie-impromtu* na temat Wschodu, lecz nie realizm takiego *Pana Tadeusza* np., gdzie poeta poprostu *fotografuje* naturę, nie zamykając oczu nawet na szczegóły tak naturalistyczne, jak owe piegi i zmarszczki na twarzy Telimeny, albo ów brakujący ząb w jej karminowych ustach. Na taki, nie już realizm, ale naturalizm, któregoby się sam Zola nie powstydził, stać również i Słowackiego, który, zwiedzając osobliwości Kairu, pilnie *obserwował* wszystko, później zaś, pisząc *Beniowskiego,* kiedy sobie przypomniał te *choses vues,* nie zapominał bynajmniej i o różnych prozaicznościach, i nietylko, że nie zapomniał, ale nie wahał się nawet umieścić ich w poemacie, obok najczarowniejszych obrazów oryentalnych. Opisując np. ów taniec arabskich Almei, kiedy mu przychodzi mówić o tych, co się im przypatrują, o jednym powiada, że »siedział z cybuchem, jak z wosku, i *pół śpiący* był w zachwyceniu raju«; o drugim, że »kiwa tylko głową na te cuda i potakuje: czasem, jak z butelki, huknie mu z gardła *czkawką:* »Bóg

[1]) Cały powyższy ustęp jest poprostu opisem jednego z koncertów owej »muzyki arabskiej«, której poeta przysłuchiwał się w Aleksandryi i w Kairze. Bo nie zapominajmy, że w Raptularzu swym zanotował sobie między innemi, obok »podróży do katakumb, ogrodów palmowych« etc., także i »muzykę arabską«. Ob. *Bibl. Warsz.*, Warsz. 1891, IV, 342.

jest wielki!«; o innych wreszcie, że »czasem z brody gęstej *coś* dostaną

I wcale tego na pazur nie kładną
Ale puszczają wolno i z uśmiechem,
Bowiem zabijać rzecz żywą jest grzechem,

Z drugiej strony, zaprzeczyć się nie da żadną miarą, że Słowacki za bardzo był artystą i poetą, ażeby się przy swojej wykwintnej i niepospolitym smakiem estetycznym obdarzonej naturze lubować w tego rodzaju szczegółach, i że wolał, chodząc po ulicach Kairu, patrzeć na nie oczyma romantyka, aniżeli oczyma realisty wyłącznie, dla którego Wschód jest przedewszystkiem — niechlujnym. Wolał, chodząc wieczorem po mieście, uśpionem i oblanem światłem księżycowem, nabierać przekonania, że

Wszystko na Wschodzie ma ogromną ciszę,
Wszystko ze światła złotego ubranie:
Mury ze złota zdają się, choć gliną
Są oblepione i grożą ruiną.
Na murach dziwnej desenie lekkości
Przydają wieżom i ruinom wdzięku;
Wszystko się zdaje ze słoniowej kości,
Bo od Nimf było niesione na ręku
I postawione śród palm zieloności
Cudownie, śród harf aniołowych dźwięku,
Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała,
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

Trzeba być wielkim poetą, ażeby tak umieć patrzeć, ażeby mieć tak poetyczne na świat spojrzenie. Można być pewnym, że kto inny, Zola np. z obawy przed banalnością widziałby w Kairze tylko same stare i brzydkie, do wiedźm podobne, Arabki, które »w koszulach czarnych, z pod zasłony patrzące na świat dziko i jaszczurczo,

Siedzą na ziemi, jako czarne wrony,
Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą;
Spiewają dziwnie i dziwnymi tony
Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą
I palą dzikie bladym ogniem zielska.

Słowacki, obok takich starych, obrzydliwych Arabek, widział jeszcze poglądające nań ciekawie z za drewnianych okratowań okien »oczy panny lub mężatki«,

Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże,
I usta, czasem nie usta, lecz róże.
Ciekawość taka oczom pozwolona
Na Wschodzie, byle twarz zakryły samą.
Pokazać czasem wolno trochę łona
Przez rozciętego wskróś gorsetu bramę;

Ale twarz zawsze ściśle zasłoniona,
Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

Tymczasem, wcale nie przeczuwając jeszcze, że z przypomnienia tych wrażeń, w Kairze doznawanych, wysnuje kiedyś w *Beniowskim* najwspanialsze opisy Wschodu, zbierał teraz, jak pięknie powiada Klaczko [1]), »farby do swej weneckiej palety«, tej palety, która pod względem świe-

[1]) W swoim pięknym życiorysie Eust. Januszkiewicza (Kraków, 1874, osobne odbicie z *Czasu*), mówiąc o Mickiewiczu i Słowackim — przyczem wyraźnie staje po stronie pierwszego — powiada Klaczko między innemi, co następuje: »Słowackiemu, dla schronienia się przed gwarem, nie wystarczało, jak Mickiewiczowi »trochę zieloności« w jednej z okolic Paryża: jemu potrzeba było śniegów Alpejskich, lazurów Partenopy, piasków ziemi Mizraima. Tam szukał upojenia »słońcem i błękitem«, tam zbierał farby do swej weneckiej palety...« Podobne twierdzenie jest małą krzywdą wyrządzoną Słowackiemu. Bo niechaj sobie czcigodny autor *Wieczorów Florenckich* pozwoli zwrócić uwagę, że nie należy bynajmniej Mickiewiczowi tego poczytywać za szczególniejszą zasługę, iż, pisząc *Pana Tadeusza*, zadawalniał się »trochą zieloności« w Sèvres pod Paryżem. Czyż nie znał śniegów alpejskich lub lazurów Partenopy? Czyż nie dość miał sposobności napawać się widokami jezior i lodowców szwajcarskich podczas swojej podróży z Odyńcem w roku 1830? Czyż da się zaprzeczyć fakt, że Mickiewicz nierównie więcej zwiedził miejscowości w Szwajcaryi, aniżeli Słowacki? (Wystarcza porównać *itinéraire* podróży Mickiewicza po Szwajcaryi, opisany w t. IV. *Listów z podróży* A. E. Odyńca, z listem Słowackiego do matki z d. 21 sierpnia 1834, w którym opisuje swoją podróż po Alpach z Wodzińskimi, ażeby się przekonać o tem. Mickiewicz zwiedził np. całą dolinę Chamounix, lodowce góry Mont blanc (Mer de glaces), czego nie widział autor *W Szwajcaryi*). Czyż nie był dłużej znacznie, aniżeli Słowacki, w Rzymie i Neapolu? Czy nie miał sposobności, tak samo, jak Słowacki, »farby zbierać do dzieła«, nietylko w wiecznem mieście i nad lazurowym golfem partenopejskim, ale i w innych miastach i miasteczkach Italii, jak np. Wenecya, Medyolan, Bolonia, Padwa, Ferrara, że innych drobniejszych nie wspomnę, których Słowacki nie widział, w których nie był nigdy, nawet w przejeździe? A jednak, zaprzeczyć się nie da, że nie Mickiewiczowi, tylko Słowackiemu, zawdzięcza nasza poezya swe najpiękniejsze karty o Włoszech i Szwajcaryi. Bo, kiedy Mickiewicza pobudziła Szwajcarya jedynie do napisania — bardzo pięknego zresztą — wiersza *Na Alpach w Spliügen*, a lazury Partenopy do przetłómaczenia *Kennst du das Land* Goethego, to Słowacki napisał na tle śniegów alpejskich najpiękniejszy, jaki jest, poemat miłosny *W Szwajcaryi;* pod wpływem Rzymu skreślił dwadzieścia kilka natchnionych oktaw w drugiej części *Beniowskiego;* a lazury Partenopy odmalował z niezrównaną plastyką i świetnością kolorytu w pierwszej pieśni swojej *Podróży z Neapolu do Ziemi Świętej*. Z tego zaś, że zwiedził jeszcze piaski ziemi Mizraima, których nie był ciekawy Mickiewicz (choć, czy nie był ich ciekawy, on, autor *Farysa*, *Szanforego* i *Sonetów Krymskich*, tłómacz *Giaura* i arabskich rapsodów *Almotenabbi, that is the question)* to, zdaje się, tłómaczą go z tego zarzutu — jeśli to zarzutem nazwać można — opisy Wschodu, jakie nam dał w *Beniowskim*, opisy, od których piękniejszemi żadna nie może się poszczycić literatura, a przedewszystkiem *Ojciec zadżumionych*, który jest niezaprzeczenie jednym z najdrogocenniejszych klejnotów w koronie naszej poezyi, a któregobyśmy nie posiadali, gdyby Słowacki nie był »szukał upojenia słońcem i błękitem« wśród piasków ziemi Mizraima.

tności kolorytu nie ma sobie równej w całej literaturze polskiej. Kairem był zachwycony poprostu, oczarowany i upojony. Obok meczetów, w których to »dwurożu dyamentowe światło wiecznie mruga«, obok nieba, które w swej słonecznej pogodzie robiło na nim wrażenie »turkusowego szlaku«, podobały mu się szczególnie, tak samo, jak w Aleksandryi, damy wschodnie: zwłaszcza, kiedy siedząc na miękkich sofach lub na wzorzystych dywanach perskich, z nóżkami po turecku podwiniętemi pod siebie, paliły nargille: uważał, że im z tem bardzo było do twarzy [1]). Przeciwnie mężczyźni: ci wydawali mu się wprost śmiesznymi w takich chwilach.

Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem
Do ust im lazły, a oni je ssali,
Smakując bardzo te, co bursztynową
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

To też, nie dlatego zapewne, ażeby módz rozmawiać z Arabami, zaczął się Słowacki uczyć po arabsku. W przeciwnym razie bowiem, nie zapisywałby w swoim raptularzu takich słówek, których się widocznie uczył na pamięć, jak: *Dżament-Rois* — dziewczyna piękna; *Pus* — pocałunek; *Athem* — noc; *Ma sik el bel hajer* — dobranoc; *tarrah* — głowa obwiązana woalem; *sufa* — włosy splecione i opatrzone kulkami złota; *seblech* — płaszcz kobiecy, gdy wychodzą; *barezo* — zasłona muślinowa; itd. itd. Powyższe wyciągi z »Dykcyonarza arabskiego» świadczą aż nadto wymownie o płochej dość *arrière pensée*, z jaką się poeta zaczął uczyć po arabsku, i mimowoli, przeglądając je, czytelnik przypomina sobie owego młodego bałamuta, który, we Włoszech będąc, doskonale potrafił rozmawiać się wszędzie z kobietami, choć cały jego zapas słów włoskich ograniczał się do: *il baccio* (tytuł słynnego walca Arditi'ego), *Jo t' amo, Mia bella, Mia cara, Si non e vero e ben trovato, La donna e mobile, Lasciate ogni speranza* i *Quel giorno più non vi legemmo avante.* Zdaje się, że Słowacki w czasie swojej podróży po Wschodzie był trochę do tego bałamuta podobny; najlepszy dowód, że zwiedzając targ niewolników w Kairze, żałował bardzo, jak się do tego otwarcie przyznaje w jednym z listów do matki [2]), że nie jest »dobrze złotem nadziany«, albowiem przychodziła mu romansowa myśl: kupić sobie — jedną prześliczną Abisynkę, która była właśnie na rynku Kairskim do sprzedania, a za którą dawano już 1000 franków. On ani

[1]) *Listy*, I, 269. [2]) *Listy*, I, 255, II, 16, 17.

tyle, ani więcej dać nie mógł i dlatego, choć nigdy nie odczuł prawdy przysłowia francuskiego, że *la resignation est la plus désagréable de toutes les vertus*, musiał chcąc nie chcąc zrezygnować, jakkolwiek przyznawał później, że było to »jedyne i istotne zachcenie«, jakie miał przez cały czas podróży swojej po Wschodzie. Zdawało mu się, że potrafiłby się zakochać szalenie w tej nieszczęśliwej istocie, którejby wrócił wolność i któraby nikogo oprócz niego na ziemi nie miała — do zdradzenia. Przebrałby ją za pazia (myślał sobie, patrząc na nią) i byliby z sobą, jak nowy Lara z nową Gulnarą, jak Don Juan z uroczą Haidée, jak Wilhelm Meister z Mignon. Niestety, marzenia te musiały się rozbić o ową sumę 1000 franków, co, wnosząc z tonu, jakim Słowacki pisze o tem, musiało go na razie o niemały przyprawić smutek; okazało się bowiem, że piękna Abisynka zdołała urodą swą nadzwyczaj silnie oddziałać na jego wyobraźnię, tak, iż »na nowo jakiś wulkan zaczął w nim wybuchać«. Ale trzeba było sobie wybić z głowy uroczą niewolnicę i jakimkolwiek sposobem zatrzeć w duszy jej obraz.

Na pytanie, jakiego sposobu użył Słowacki w tym celu, dostarczyć może odpowiedzi druga część *Beniowskiego*; a mianowicie te z przytoczonych powyżej scen, w których bohater tej aryostycznej epopei podziwia wdzięk, z jakim powabne córy Wschodu palą nargille, lub czar, z jakim arabskie Almee przeginają się w tańcu. Można twierdzić napewno, że Słowacki pisząc te sceny, »nie tworzył prawie nic, lecz przypominał«. Na to zaś, żeby w Kairze, zarówno, jak i innych miastach wschodnich, widzieć taniec Almei lub »damy« palące nargille, trzeba było co najmniej uczęszczać pilnie do miejscowych *cafés chantants*...

Bo z wycieczki do piramid egipskich nie mógł stanowczo przyszły autor *Beniowskiego* wynieść takich wspomnień; tembardziej, że uczucie, jakiego doznał na widok trójkątnych grobowców faraonowych równało się prawie — rozczarowaniu. Być może, iż w niemałym stopniu przyczynił się do tego otrzymany teraz w Kairze list od Eglantyny Patteg z Genewy [1]), list, z którego dowiedział się, że

---

[1]) »Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce; potem ufam Bogu i spokojniejszy jestem... *Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze;* zresztą nie wiem wcale, co się dzieje ze znajomymi i z miłemi osobami« *(Listy*, I, 262). Krążyły wtedy pogłoski, z powodu spotkania się Chopina z rodziną Wodzińskich w Dreźnie i Maryenbadzie, że panna Wodzińska wychodzi za mąż... Eglantyna musiała coś o tem zasłyszeć w Genewie, nie zdołała się tylko dowiedzieć, kto stara się o Słowackiego Maryę? Widząc, że poeta bardzo się nią interesował (ach, wiedziała o tem Eglantyna aż nadto do-

panna Wodzińska »tfu! za mąż idzie...« Wiadomość ta, bardzo ogólnikowa, bo nie umiano mu nawet powiedzieć dokładnie, czyją żoną ma jego Marya zostać wkrótce, podziałała nań przygnębiająco. Zrazu wprawiła go we wściekłość, której echem jest owo »tfu!« w *Beniowskim;* a kiedy ochłonął z wściekłości, której źródłem, jak się domyśleć nie trudno, była zadraśnięta do żywego miłość własna, popadł w odrętwienie i smutek. Wspomnienie tej chwili znalazło z czasem poetyczny swój oddźwięk w następujących oktawach pieśni drugiej *Beniowskiego:*

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!«
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że... za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało, nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole;
Chyba mi posag położą na stole.

Wycieczkę do piramid w Gizeh odbyli Słowacki i Brzozowski w dniu 2 listopada. Droga wysadzona palmami, akacyami i kaktusami, wijąc się wśród egzotycznej wegetacyi starannie utrzymanych ogrodów, doprowadziła ich aż nad brzeg Nilu, gdzie łódkami miano się przedostać na drugą stronę rzeki. Pogoda pyła przepyszna »Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem« przesłaniała wschodzące słońce [1])

i łzy brylantowe
Zawieszała na palmach, a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnej ogrodu zieleni
Odchodziły gdzieś na Wschód...
Za Nilem widać było zieloną równinę.
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy;

brze), zakomunikowała mu wiadomość tę w liście. Można przypuścić nawet, że uczyniła to trochę w swoim własnym interesie...

[1]) Por. Słowackiego wiersz *Piramidy* (w wyd. pism pośm. t. I, str. 40, mylnie zatytułowany »Odwiedziny Piramid«).

Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy; dalej żółte piasków morze
I niebo blade, czyste, jak Ptolomeusza
Krąg z kryształu.

Nareszcie przeprawiono się szczęśliwie przez Nil. Słowacki, oczarowany widokiem z łódki, rysował »słowa bowiem, jak uważał, były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy«. Tem się też wytłomaczyć daje fakt, że odtąd w raptularzu poety więcej będzie rysunków — ołówkiem — niż poezyi opisowej. Nawiasem mówiąc, rysunki to, niektóre zwłaszcza, wcale udatne; niektóre z nich, jak np. widok grobu Agamemnona w Mikenach albo posągu Memnona o wschodzie słońca, świadczą o wielkiem poczuciu pejzażu, poczuciu, którego mógłby Słowackiemu niejeden naśladowca Morot'a pozazdrościć... [1]). To samo da się powiedzieć i o Juliuszowych opisach natury, które dowodzą, że oprócz Mickiewicza żaden z poetów polskich tak, jak Słowacki, nie rozumiał krajobrazu, z czego wynika, że żaden tak, jak on, nie potrafił malować słowami. Jego opisy Grecyi w *Podróży na Wschód* i wycieczki do piramid egipskich, nie mówiąc już o opisach Wschodu w *Beniowskim*, mogą być przeciwstawione tylko pejzażom z *Pana Tadeusza*, z któremi porównanie wytrzymują najzupełniej, przewyższając je nadto wenecką prawdziwie świetnością kolorytu [2]).

---

[1]) Rysunków tych z Grecyi, z Korfu, z Kairu, z Gizeh, z Memfis, z Palestyny i Syryi, zawiera raptularzyk Słowackiego kilkanaście. Dzięki uprzejmości p. Leopolda Méyeta miałem możność oglądania ich nieraz w ciągu pisania niniejszego studium. [2]) Oto, co o Słowackiego sposobie malowania natury słowami pisze w swoim rozbiorze książki prof. Małeckiego St. Tarnowski: (niezaprzeczenie najlepszy u nas znawca nietylko Krasińskiego, ale i Słowackiego): »Bez szczegółów albo bez całości, jednym ogólnym rysem, albo jednem uprzytomnieniem jednego drobnego szczegółu, wspomnieniem ziółka, wiatru, fali, Słowacki ma dar tajemniczy, że kilkoma słowami, jak na zaklęcie, daje nam odczuć to, co sto razy czuliśmy sami w naturze, tylko pod jego zaklęciem czujemy to wyraźniej, lepiej, a zwłaszcza piękniej. Przepyszne opisy natury u Mickiewicza są zupełnie inne; ten układa swój obraz, znać u niego zarys całości, znać ugrupowanie szczegółów, znać stosunek i związek pomiędzy częściami, słowem postępuje on systematycznie i porządnie, sposobem wypróbowanym oddawna, a którego pierwszym wynalazcą był może Wergiliusz. To pewna, że nie porównywając opisów, sposób opisywania był u Mickiewicza ten sam, co u wielu, co u Trembeckiego naprzykład: widzi on, przypatruje się, uważa i maluje, zachowuje się objektywnie, jak spektator. Słowacki, jeżeli się tak wyrazić można, pojmuje i przedstawia naturę lirycznie; daje jej na siebie działać, rozkoszuje się w jej wdziękach, zatrzymuje w pamięci to, co go najwięcej upoiło, co mu było najprzyjemniejszem, i ten jeden szczegół najczęściej, to jedno wrażenie, przenosi do poezyi. Ale też tak je przenosi, tak je w swoich słowach zamyka z całą świeżością, z całym blaskiem, że w tych słowach uwięzione i zaklęte, opada i opanowuje każdego, kto wstąpi w zaczarowane koło jego wierszy... Mickiewicz maluje naturę, Słowacki daje jej używać...« (*Profesora Małeckiego Juliusz Słowacki*, str. 262).

Na poparcie powyższego twierdzenia wystarcza przytoczyć chociażby ten ustęp z wiersza o piramidach, w którym Słowacki opisuje drogę od brzegów Nilu aż do piramidy Cheopsa.

Przez Nil cichy prędkimi przeprawiony wiosły,
Wysiadam. Już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid. Zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Drzew wysoko pod niebem koronami szumny,
Jak przysionek piramid, bogaty w kolumny,
Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...

I trzy godziny trwała pełna dumań droga,
I więcej, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.

Przepływałem jeziora, aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko. Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca... i do mnie.
Patrzałem na nie, potem na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich, na osiołku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

Bliżej (z pokorą wszystko opisywać muszę)
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,
A we środku spleciona z kilku palma jedna,
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biedna;
Jak szmaragdy się błyszczą, stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystym tej szerokiej gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu
Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu.
Myślałem, jak ten wąwóz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę?...

I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy
Wzniosłem czoło, spojrzałem górą ponad głowy
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobów, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierał,
Sfinks czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowej doliny.

Przed drzwiami, do nizkiego podobną pagórka,
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem: tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiej dziecięca mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

Po tym przepysznym opisie wrażenia, jakie na nim zrobiły piramidy, opisie, który wedle trafnego wyrażenia St. Tarnowskiego ma tę dziwną władzę, że daje nam nieledwie to bezpośrednie uczucie, jakiego się doznaje pod wpływem tego widoku, i który zadziwiającą plastyką wyrażenia przyprawia czytelnika o złudzenie, że jest to opowiadanie któregoś z bohaterów *Pana Tadeusza* (gdyż w wierszach tych, napisanych w Egipcie, poeta *maluje* naturę zupełnie na sposób Mickiewiczowski) — następuje niemniej świetnie skreślone opowiadanie o Beduinach, którzy, brązowi, w białych płaszczach, »jak grobowe sępy«, ujrzawszy podróżnych, podbiegli do nich, ofiarując im się na przewodników; bez przewodników bowiem, jeśli się jest cudzoziemcem, nie wolno oglądać piramid; powtóre jest niepodobieństwem poprostu zapuszczać się samemu do wnętrza grobowców, gdzie znalazłszy się wśród ciemnego labiryntu różnych przechodów, korytarzów i tuneli, w końcu zabłądziłoby się zawsze. Słowacki i jego towarzysz, poinformowani o tem, ugodzili się od razu z czterema *fellahami* i pod ich przewodnictwem zwiedzili wszystko, co było do widzenia. Zaczęto od t. z. komnat królewskich. Oto jak te części wyprawy opisuje Słowacki:

W ścianach piramidy
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i duszą i ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie: dłonie wzięli w kleszcze,
Trzeci lazł rakiem, świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał... I w ciemnościach mię gmachu pogrzebli
I ślizkimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królowej.*

I dalej korytarzem trumnianego ula
Pełznąc, obaczyłem się w sali trupa króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił...
Sarkofag próżny; ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta... [1]),

[1]) W dziesięć lat po tej podróży, w r. 1848, już pogrążony w mistycyzmie, przypomniał sobie Słowacki wrażenia, teraz doznane w Egipcie, i wrażeń tych używał jako wspaniałych illustracyj do swych poetycznych filozofematów na temat metampsychozy. Oto, co np. czytamy o piramidach i grobowcach Faraonów w Słowackiego *Wykładzie nauki:* »Helois o tem nie wiedziała, będąc Egipską królową i tworząc wiary milionowemu ludowi... Teraz oto, przy Karnaku, patrząc w zorze wieczorne, na Egiptu niebiosa, gdzie przy zachodzie słońca całe niebo w jedną kopułę tęczową zamienia się, a po niej wędrują girlandami bociany — patrząc, mówię, na owe zorze i smętne ptaków wędrownych girlandy i (na) złowrogą a jasną gwiazdę Lucipera, śni się już o nowej wierze... ... Takiemi upojona powieściami, ona, która już dawno pobudowała piramidy, te

Po wyjściu z zaklętych, okopconych lochów na powietrze doznał Słowacki dziwnego uczucia: przedewszystkiem wyszedł ztamtąd, »jak senny«, a powtóre, błądząc wśród ciemności, o których bez przesady mógł powiedzieć tym razem, że były *egipskie,* tak przywykł do nich, że kiedy się ujrzał nagle *en plein air*, zadziwiony był, powiada, i dniem, co świecił biały, i palm zielonością, i złotem oświeceniem piasków, i turkusowym kolorem nieba; a jednocześnie, nie wiedzieć, na zasadzie jakiej asocyacyi idei, przypomniała mu się Marya Wodzińska, która może w tej chwili — pomyślał sobie — spaceruje pod rękę ze swoim narzeczonym, tak, jak z nim niegdyś chodziła po ogródku w Pâquis. Przypomnienie to, niemiłe w tej chwili, zasmuciło poetę, tak, iż »westchnął z głębi piersi — za niczem« i mimowoli chciało mu się rzec do towarzysza:

Dopóki serce wre miłośnie
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz.
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat — satyrą!

Ale stłumił w sobie chwilowe uczucie żalu, i, zwróciwszy się do Arabów, zapytał: którędy się idzie na szczyt piramidy?

---

gwiazd teleskopy, chciwa, czy z ruchu gwiazd nie wyczyta nowych ducha tajemnic, kazała zawołać siedzące w lochach piramidowych Astronomy... Ci jej donoszą, że podług rachunków gwiaździańskich za trzy tysiące lat wszystkie gwiazdy po wielkim okręgu na swoje miejsca powrócą, że świat niebieki w tym samym kształcie oczom się ludzkim pokaże. Wtenczas (Helois) w ręce załamane klasnęła (i) do kochanka, męża i brata obrócona, wykrzyknęła: »Jeśli gwiazdy wrócą, to i my wrócimy!« Odtąd kazała wyryć na ścianach grobowca cały świata ówczesnego wizerunek — gmachy, łodzie, mosty, rzemiosła, kwiaty, nawet kuchni narzędzia — aby przy obudzeniu tak dalekiem dopomódz smętnej pamięci; kazała na obelisku tajemniczym językiem wyryć całą historyę siostrzanej miłości, chcąc ją mieć do odczytania po wiekach; kazała na zachowanie wiekowe ciał wynaleść wieczne balsamy; kazała z alabastru wykuć sarkofag na dwie osoby szeroki, i położyła się spokojnie do snu z bratem swoim, w trumnie przeźroczystej, z obeliskiem pełnym wyrazów miłosnych pod głową, pewna, że za trzy tysiące lat brata swojego zawoła po imieniu, i strząsnąwszy mu z czoła proch pocałowaniem, zapali leżącą przy ciele pochodnię i najpierwej kochanka do owej księgi miłosnych pamiątek zawiedzie. Otóż, moja Helois, właśnie po trzech tysiącach lat byłem w twoim grobowcu i przeszedłem cały korytarz w ziemię lecący. Widziałem po ścianach owe łodzie, mosty, kwiaty, na któreś ty patrzała; poznałem, że to twój grobowiec być musiał, albowiem piękniejszy nad inne, i więcej w nim turkusowych kolorów, i więcej tęczy na ścianach, i więcej dziewiczego rumieńca na bladym gruncie. A między owemi wizerunkami tam siedzi jeszcze ów król-harfiarz, w złotej koronie, brodą siwą dźwięczący po strunach, jedyny prawie obcy przychodzień, bo jest innego ducha wyobrażeniem. Cóż ci powiem? Patrząc na próżny sarkofag i na obelisk tajemniczy, i wiedząc, że to właśnie jest ów rok trzytysiącowy, przez was na zmartwychwstanie opatrzony, pytałem, czyście wy zmartwychwstali i gdzie jesteście?«

Pokazali mu lewy brzeg, nierówno zlany,
Z ciemnej, nie oświeconej promieniami ściany.

A ponieważ nie miano czasu do stracenia i trzeba było się śpieszyć, żeby nie znaleść się na szczycie o zmroku, ale być o ile możności jeszcze przed zachodem słońca z powrotem na dole, nie powstawał więc, tylko, nie namyślając się długo, znowu »Arabom oddał się ciałem, Bogu duszą«.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał;
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał,
I podawał mi ręce... I tak szedłem długo;
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy, a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były, jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.

A w końcu

W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

Ze szczytu widok wspaniały, nieporównany. Arabi stali cicho; Brzozowski usiłował jednem spojrzeniem ogarnąć cztery ściany piramidy, »spadzistym lecące potokiem«, ale napróżno; Słowacki, usiadłszy na najwyższym głazie, na którym siedząc, doznawał złudzenia, że siedzi na spiętych trzonkach czterech olbrzymich, rozpiętych wachlarzy, wodził wzrokiem dokoła, podziwiając piękność pejzażu w tej chwili, a nadto wsłuchiwał się w majestatyczną prawdziwie, żadnym najmniejszym szmerem niezakłóconą ciszę, która panując tutaj, pozwalała mu, jak powiada, słyszeć »czas i życie« t. j. miarowe tykanie zegarka kieszonkowego, i równe, spokojne bicie serca. Potem wyjął sztambuch, który miał z sobą, i zaczął notować szczegóły widoku, na który patrzył, a który później, w wierszu o piramidach, opisał następującemi słowy:

Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał *kształty Bogiem widziane:* był krągły;
Zdala Kair, Nil, łąki, daktylowe laski;
Bliżej pustynia, złotem oświecone piaski;
Bliżej trzy drzewa, figa, pod nią cieniu chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik...
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżej dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona, i Sfinks, i grobowce białe:
Ziemia widoma, wszystko dojrzane, lecz małe.

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak, że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.

Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu.

Ale, powiada Słowacki, większy jeszcze, aniżeli ten szkarłatny zachód słońca, był widok w jego myśli, widok na wypadki, którym się te piramidy przypatrywały w ciągu czterdziestu wieków; raz zdało mu się, że »Mojżesz krwią Nil zafarbował« i że »płynął czerwony wypadków posoką«; raz, że widzi Napoleona, jak rozpoczyna bitwę pod Embabeh, przypominając Francuzom owo słynne *quarante siècles;* a wreszcie, bo i o tem nie zapomniał, że oto, stojąc na szczycie tej najwyższej piramidy »depcze to, na czem czas zgrzyta« [1]). Jednocześnie uprzytomniła mu się w pamięci owa chwila w Rzymie, kiedy, razem z Gajostwem [2]) wyszedł na szczyt kopuły kościoła świętego Piotra, na który wchodząc, dziwna rzecz, wciąż myślał sobie, że kiedyś jeszcze będzie tak się drapał na piramidy, bo kto wie, czy błąkając się tak ciągle po świecie, i tam nie zabłądzi z czasem... [3]). Ani przypuszczał wtedy, że przeczucie to niczem nieumotywowane w owej chwili, sprawdzi się tak rychło. Tym sposobem — pisał w parę miesięcy później do matki: »Szczyt Faulhornu, kopuła św. Piotra, Wezuwiusz i piramidy, były to dla mnie najwyższe gałązki na drzewie, na których ja, biedny ptaszek wędrujący, przysiadałem na chwilę, aby odetchnąć«. Po piramidach jednak, przyznawał, choć zachwyciły go, spodziewał się jeszcze czegoś więcej: tak dalece, że pisząc o nich matce, nie zawahał się napisać, iż podobały mu się, iż rad jest z ich oglądania, ale — dodaje — straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła [4]).

Wśród takich i tym podobnych medytacyi zaczął, znów przy pomocy Arabów, schodzić na dół. Krąg słońca, które się coraz bardziej chyliło ku zachodowi, ciemniał z każdą chwilą, należało więc, chcąc nie chcąc, spieszyć się, ażeby przepłynąwszy i Nil, przed nocą jeszcze zdążyć na nocleg do wsi poblizkiej, »w Rhamazesa starym grobie« [5]). Kiedy płynęli Nilem, Słowacki, rozmarzony melan-

---

[1]) *Beniowski*, Część druga, str. 39. (wyd. drugie lwowskie). [2]) Zobacz »J. Słowacki w Rzymie, Neapolu Sorrento«, *Ateneum*, 1893, Grudzień. [3]) *Listy*, I, 237. [4]) *Listy*, II 254. [5]) Zob. *Pieśń na Nilu*. Pisma pośm. I, 47.

cholią zapadającego wieczoru, patrząc na niebieskawe opary, których błędne pasma snuły się nad wodą, otulając teraz, jakby muślinową zasłoną, palmy nadbrzeżne, piramidy i wsie okoliczne, mimowoli przypomniał sobie jezioro Leman i te sielankowe przejażdżki po niem, odbywane w towarzystwie Maryi; i na samo wspomnienie tych chwil taka tęsknota spadła mu na serce, że wyjął notes, ołówek, i napisał ową smutną, i dziwaczną trochę, *Pieśń na Nilu,* w której skarży się, że musi »serce kąsać nadaremno«, a w której powiada między innemi:

I jam cierpiał, i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił;
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz, jak łabędzie[1]).

Jednocześnie, patrząc na trójkątne sylwety piramid, tonące w sinej mgle wieczornej — na tle pąsowego szlaku nieba na zachodzie — wspomniał i drugą swoją kochankę, od której go również oddzielało tysiące mil: Ojczyznę. Jak w Grecyi, siedząc w kopule podziemnej grobu Agamemnona, »o smutnych losach zadumany swojej biednej Ojczyzny«, urągał jej, że »niewolnicą« będąc, niema władzy przekląć syna-bluźniercę; tak dziś, jakby żałował tamtego uniesienia, które go uczyniło chwilowo niesprawiedliwym — a nie godzi się kochającemu synowi być niesprawiedliwym i okrutnym względem rodzonej matki — zdjęła go litość nad nią, litość serdeczna i szczera, która jeszcze tego samego wieczoru miała znaleść swój wyraz w podniosłej *Rozmowie z Piramidami,* wierszu, w którym obok czterech innych, niemniej patryotycznem uczuciem natchnionych, znajduje się i ta strofa, jeżeli nie najpiękniejsza, bo wszystkie są jednakowo piękne, to w każdym razie najrzewniejsza:

Piramidy, czy wy znacie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem, i ostatek
Czary dolać — łzami matek?!

[1]) Por. z tem zakończenie poematu *W Szwajcaryi*:
»Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno,
I wszędzie mi źle, i wiem, że źle będzie.

— Wejdź tu, pochyl blade lice:
Mamy na te łzy łzawice.

Wiersz ten — mojem zdaniem — należy do najsilniejszych pomiędzy patryotycznemi utworami Juliusza; każda strofa brzmi w nim, jak patetyczne chóry tragików greckich [1]).

Słowacki tymczasem, znużony całodzienną podróżą, »jak trup, umęczony«, kiedy stanęli u kresu, nareszcie! w wiosce, gdzie mieli przenocować, myślał o jednem tylko, o wypoczynku. Już w czasie przeprawy przez Nil, kiedy mu przewodnik wskazał »glinianą chatę w głębi, z wiankiem ciernia i gołębi«, z przyjemnością projektował sobie, że tam przynajmniej »odzyska sen, odzyska moc« i spać będzie »z cichą twarzą, pod gołębi sennych strażą«.

Nazajutrz powrócono do Kairu. Ale ta jedna noc, »w Rhamezesa starym grobie« spędzona, nie pozostała bez wpływu na wyobraźnię poety. Historya tego króla i wodza, która w formie legendy krąży aż po dziś dzień pomiędzy ludnością miejscową i którą mu oślarz jego, Hanut, opowiadał podczas wieczerzy, przeniosła go odrazu w zamierzchłe wieki, w czasy świetnych wypraw wojennych Rhamezesa, i nie upłynęło kilka dni, kiedy Juliusz, jak jego Fantazy z *Nowej Dejaniry*, ujrzał cały korowód mar — przypominających mu owe figurki hieroglifowe na pomnikach egipskich — w których prócz samego Rhamezesa, poznawał jego żonę i siostrę, a przy ich boku przyszłego piewcę *Iliady* i *Odyssei* — Homera, dorodnego młodzieńca podówczas. Za nimi roiło się od wojowników, Beduinów, dworzan, murarzy, którym Rhamezes, powróciwszy z pola bitwy zwycięzkiej, polecił wznieść olbrzymi grobowiec. Dalej, niby wspaniałe dekoracye na scenie, widział prześliczne pałace i ogrody Rhamezesa; pyszne aleje Sfinksów, piramidy, świątynię Typhona, posągi Memnona, wysmukłe obeliski; a wszystko to — w poetyckiej fantazyi Słowackiego — służyć miało za tło tragedyi, jaka się roz-

[1]) Jest to, mojem zdaniem, jeden z najtragiczniejszych jęków ujarzmionego narodu. Jest coś Eschylesowskiego w tej *Rozmowie z piramidami*. Nadto należy ten wiersz uważać za rodzaj poetycznej rehabilitacyi Słowackiego za napisany niedawno temu *Grób Agamemnona*. W tamtym wierszu okazał się niewdzięcznym synem swej matki-ojczyzny-niewolnicy, którą odbiegł w chwili nieszczęścia i niebezpieczeństwa, myśląc tylko o własnem bezpieczeństwie; w tym wierszu okazał się znów czułym i kochającym synem, który ma dla swej matki-ojczyzny, oprócz gorzkich słów prawdy, które jej miał odwagę rzucić w oczy, także i słowa miłości i współczucia, nie mniej od tamtych wymowne. W każdym razie chwali mu się, że napisał nietylko *Grób Agamemnona* ale i *Rozmowę z piramidami*.

grywała w duszy siostry Rhamezesa. Ta ostatnia, trawiona fatalną miłością, jaką zapłonęła dla greckiego młodzianapoety, zakochanego, niestety, w innej, mianowicie, w żonie Rhamezesa, nie mogąc zostać jego małżonką, postanowiła umrzeć. Brat jej, Rhamezes, wybudował wspaniały grobowiec. W tym grobowcu pragnie być pochowaną. Zwierzyła się z tem siostrze, którą prosiła jeszcze, aby jej przy balsamowaniu nie wyjmowano serca, oraz, żeby historyę tej miłości nieszczęsnej wyryto na obelisku. Niczego nadto nie żądała, prócz śmierci lekkiej i bezbolesnej. Dlatego — w tragedyi Juliusza — miała umrzeć, jak Kleopatra, od jadowitego ukąszenia węża, którego sobie przyłożyła do piersi. Ale nie tu koniec tragedyi, bo sprawiedliwa Nemezis nie mogła nie pomścić śmierci tej egipskiej Julii, a ofiarą tej pomsty miał paść ten, dla którego umarła: Homer. Stało się tak, że Rhamezes, który go, jak Menelaus Parysa, gościnnie podejmował u siebie, dowiedział się o prawdziwej przyczynie samobójstwa swej siostry, a nadto... o romansie swojej żony z urodziwym poetą greckim, który tak niegodnie gościnności jego nadużył. Zabić go? Nie, tego nie mógł uczynić, bo nie godzi się nawet takiego gościa zabijać w swoim domu. Można go jednak osądzić i ukarać. Do tego przysługiwało prawo Rhamezesowi. Więc skorzystał zeń i oddał młodego barda pod sąd. Sąd ten odbył się przed statuami Memnona o zachodzie słońca, i zawyrokował, że słońce to oglądać ma dziś Homer po raz ostatni, zaraz po zachodzie bowiem — mają mu być wyłupione oczy, poczem może sobie wrócić do Grecyi, zkąd przyszedł. Jakoż pozbawiono go wzroku, i odszedł nieszczęśliwy młodzian, zawodząc smutny hymn do słońca, którego już nie ujrzy nigdy, i do żórawi, które wczoraj widział na niebie, a których mu już nie sądzono ujrzeć powtórnie. Na tem kończyła się pierwsza część poematu. Druga miała się dziać za naszych czasów, a sądząc z planu, jaki poeta — w Kairze prawdopodobnie — nakreślił [1]), wszystko w niej

---

[1]) Zob. *Bibl. Warsz.*, 1891, t. IV, 348. Nie mogę zaręczyć, czy istotnie taką miała być treść *Rhamezesa* Słowackiego. Nie da się nawet określić na pewno, czy miał to być poemat, czy też miała to być tragedya, rodzaj trylogii, której część pierwsza rozgrywać się miała w zamierzchłych czasach egipskich, część druga zaś i trzecia za naszych czasów. Cokolwiekbądź możnaby się w pomyśle tym dopatrzeć (prócz niewątpliwego wpływu mistycznych doktryn Swedenborga o wędrówce dusz) wpływu *Irydiona*, w którym również »Zakończenie« dzieje się w tysiąc kilkaset lat później, aniżeli poprzedzająca to »zakończenie« akcya. Cokolwiekbądź ciekawym i godnym zastanowienia jest pomysł tego *Rhamezesa*, w którym po raz pierwszy u Słowackiego dostrzegamy zarody jego późniejszego mistycyzmu, jego doktryny o »dawnych życiach«, doktryny, której

zasadzało się na idei metampsychozy. Duch młodzieńczego Homera, zamieszkał po trzech tysiącach lat w ciele mło-

---

wspaniałym wyrazem będzie zczasem *Król Duch*. Zanim jednak myśl Słowackiego przebieży tę olbrzymią przestrzeń, jaka dzieli pomysł *Rhamezesa* od rapsodów *Króla Ducha*, napisze poeta *Anhellego*, którego plan, (nie od rzeczy będzie napomknąć) naszkicowany został w czasie podróży na Wschód, niebawem po *Rhamezesie*.

Plan *Rhamezesa* skreślił Słowacki w następujący sposób: »Część I. Rhamezes po tryumfie postawił grób. Homer. Siostra i żona Rhamezesa. Aleja Sfinksów przy kościele Typhona. Samobójstwo, miecz pod kamieniem. Żal siostry. Każe miłości historyę wyryć na obelisku i serca nabalsamowanego nie wyjmować. Potem węża przykłada do piersi. I złożona w alabastrowym sarkofagu. Charon. Hymn dziewic. Sąd przed statuami Memnona. Monolog przy zachodzie słońca. Figura żórawi. Apostrofa do Memnona. Homer, odchodząc do Grecyi, śpiewa. Chór«.

Na podstawie powyższego planu starałem się odgadnąć treść tej pierwszej części *Rhamezesa*. Czym odgadł trafnie? Bardzo wątpię, bo, jeżeli czytanie hieroglifów nie jest zadaniem łatwem, to o tyle trudniejszem było moje: rekonstruowanie (jedynie zapomocą intuicyi) pomysłu, który nigdy nie był wykonany i którego jedynym śladem jest ten »plan«.

Oto dalszy ciąg tego planu: »Część II. Oślarz Hanut. Chata gołębiami otoczona. Zgon starej Arabki. Hanut widzi rozbicie sarkofagu. Góra nad Memnonem. Monolog młodego Araba. Żórawie. Przepływa Nil. Idzie do Karnaku. Aleja sfinksów zarosła palmami. Rozwaliny Typhona (kościoła). Pustelnik Tebaidy. Widzenie Hanuta całych Thebów przerwane śpiewem. Miecz Rhamezesa. Dziewczyna wiejska donosi, że ma gołębia, dziesiątak i osła, zabrane dla syna Baszy. Hanut przeklina. Rada z pustelnikiem. Idzie do Komir. Dowiaduje się, że syn Baszy zginął w płomieniach, właśnie o godzinie przekleństwa. Młoda Daphne uratowana od Beduinów. Dwa tysiące lat życia darowane dyabłu. Hym duchów. Część III. Oazir Sirah. Życie kochanków. Omdlenie miłości. Scena z dyabłem. Ostatnie tysiąc lat darowane. Miłość dla młodej Arabki, która piersią tłucze zwierciadło czarownika. Daphne daje kochankom życie nowe. Część IV. (tej części brak zupełnie). Zakończenie. Ogromna biesiada duchów w kościele Ipsabala. Śmierć Araba«.

Należy zwrócić uwagę, że w części II *Rhamezesa* miały znaleść pomieszczenie różne sceny, których sam poeta był w Egipcie świadkiem. Tak np. owa »chata gołębiami otoczona«, albo ów »zgon starej Arabki«, wspomniane są w *Pieśni na Nilu*, w owej rozmowie poety z Arabem (którym był niezawodnie ów »oślarz Hanut«):

Dalej łódko od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi.
Z wiankiem ciernia i gołębi.
Arab. O, nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.
Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,
Dzieci płaczą przy tapczanie,
Trup nie słyszy i nie wstanie.
Trupa trzeba ziemi dać
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

dego Araba, Hanuta, (oślarza Słowackiego), a »jego miłość do Arabki, która piersią stłukła zwierciadło czarownika«, miała wypełnić sobą ramy trzech następnych części utworu, aż wreszcie, po długim szeregu »omdleń miłości«, z których się składało całe »życie kochanków«, miało się wszystko zakończyć »śmiercią Araba«.

W dalszych częściach *Rhamezesa*, które z pierwszą wiązały się bardzo luźno (trudno nawet dostrzedz istotnego pomiędzy niemi związku), obiecywał sobie Słowacki wprowadzić i świat nadprzyrodzony duchów, dyabłów etc., co utwór ten uczyniłoby podobnym trochę do fantastycznych tragedyi Calderona, choć wątpić należy, czyby ta egipsko-arabska fantazya była jednym z piękniejszych liści w poetycznym wieńcu Słowackiego. Zdaje się, że i sam poeta powątpiewał o tem, skoro poprzestał na skreśleniu planu, nigdy nie wykonanego później.

Cokolwiekbądź, teraz, po powrocie do Kairu, nie miał czasu myśleć o *Rhamezesie:* zanadto go absorbowały życie i rzeczywistość, wesoło spędzane w gronie kilku rodaków [1]), stale tu przemieszkujących w Kairze, z którymi zwiedzali wszystkie osobliwości kairskie, a którzy, radzi, że mogą rozmawiać o kraju, o Europie, o Paryżu, o Francyi, o życiu emigracyjnem, o wspólnych znajomych wreszcie, czynili wszystko co mogli, ażeby im pobyt w Kairze uprzyjemnić.

Od nich też, jak się zdaje, dowiedział się Brzozowski o braciach Hołyńskich, którzy przed paru tygodniami już, nie mogąc się Zenona ze Słowackim doczekać, wyruszyli do Memfis i do pierwszej katarakty Nilu.

Poeta i jego towarzysz wybierali się tam również, a że czasu do stracenia nie mieli, więc dnia 6 listopada, wziąwszy na miesiąc łódkę z ośmiu marynarzami (którzy, jak powiada Słowacki, zupełnie byli na ich rozkazy, jak niewolnicy), puścili się Nilem, pod wodę, ku Tebom.

III.

Oto, jak tę część podróży opisuje Słowacki matce: »Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem, jak się przekonałem wkrótce, były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało oczy. Mnóstwo żórawi, lecących po błę-

[1]) *Listy*, I, 256.

kicie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy, wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut — d. 13 listopada — pierwszy krokodyl, leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się zbliska przypatrzeć: wszystko to tworzy teraz w imaginacyi sen bardzo piękny«. Istotnie, bywały chwile, w których mimowoli trzeba było sobie zadawać pytanie: rzeczywistość to, czy też jakiś sen rozkoszny, wywołany zażyciem haszyszu. Ta »szarfa Nilu«, tocząca swe gładkie, spokojne, a chciałoby się rzec, turkusowe wody, pośrodku najwspanialszych krajobrazów egzotycznych; to »niebo w słonecznej pogodzie«, które o południu zdawało się zniżać i drgać skwarem; te nieprzejrzane wydmy piaszczyste, na których żórawie i bociany »krzyczącemi stadami« siadały nieopodal rzeki, i na których tak przyjemnie było, chodząc z fuzyą, strzelać wodne ptactwo; te popasy w cieniu namiotu, przy rozpalonem ognisku, na którem pieczono świeżo ubite gołębie; te rozmarzające noce wschodnie, przy »księżycu późno wschodzącym«, poprzedzane takiemi zachodami słońca, o jakich wyobrażenia mieć nie może, kto ich nie widział, kto ich »czerwienią« się nie zachwycał; ten dobry humor marynarzy arabskich, śpiewających prawie nieustannie, albo ich lekceważenie rzeczywistego niebezpieczeństwa, kiedy usiadłszy na łopacie, jak na koniu, przepływali Nil, nie bojąc się krokodylów; te noclegi pod gołem niebem, usianem gwiazdami, ta burza nawet, która ich raz zaskoczyła i... omal nie zatopiła: wszystko to, tak się wyraził Słowacki, zakrawało na jakieś senne, fantastyczne widzenie, którego obraz nie zatrze się nigdy w pamięci. Nadmienić należy, iż na tle tego niezrównanego obrazu natury — istnej wizyi Edenu — ukazywała mu się chwilami czarnobrewa postać Maryi Wodzińskiej, której wspomnienie szło za nim krok w krok, nawet tutaj, a było tak silne, że go raz np., kiedy błądził samotnie po piasku nadbrzeżnym, skłoniło do wypisania wielkiemi literami na piasku, obok swojego imienia, również i imienia Maryi [1]),

[1]) Oto, co poeta sam zanotował w czasie tej podróży Nilowej: »Na Nilu. Dnia 6 listopada z Kairu. Szarfa Nilu. Palmy. Księżyc późno wschodzący. Wieczór. Z jednej strony czerwień zachodu, z drugiej dwa sępy na białej skale. Polowanie na piasku nad brzegiem rzeki. Południe. Skwar pustyni. Żórawie i bociany krzyczącem stadem siadają opodal. Myśl ewangelii. Wahabitów. *Piszę imię swoje na piasku i drugie inne* (Juliusz-Marya). Zabicie dwóch gołębi pod wioską palmową pijących wodę. Siut. Łódź pełna modlących się Arabów« etc. Zob. *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 343.

co mu się później — we Florencyi — przypomnieć miało podczas pisania poematu *W Szwajcaryi,* i czemu zawdzięczamy te wiersze, w których powiada poeta:

I nie wiem, gdzie iść, i gdzie oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym?
I stoję blady, *i kreślę jej rysy*
Lub imię piszę na piasku wilgotnym.

To samo uczucie natchnęło go także do pisania teraz *Na Nilu* wiersza *Do**, w którym zwraca się myślą do Maryi, a który początkiem swym przypomina trochę napisane niegdyś w Veytoux *Rozłączenie:*

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy,
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie; i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia bardzo dawno utraconej.
Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie? czy jeszcze
Smutną pod płaczącemi wierzbami zastaje
Biały księżyc? itd., itd. [1]).

To wspomnienie owych dni szczęścia, spędzonych w Szwajcaryi z Maryą, miało być w ciągu tej Słowackiego podróży po Wschodzie, jak owa wstążka niebieska, którą widział nieraz wplecioną w warkocz swej »czarnobrewej panienki«. Niestety, »na zwierciadło marzeń, ktoś chuchnął i zamglił szkło«. Tym kimś była Eglantyna Patteg, która mu doniosła o zamążpójściu Maryi.

Tymczasem, dnia 19 listopada, zatrzymano się w mieście Denderah, słynnem ze swoich ruin, największych po piramidach. Tutaj też, prawie niespodziewanie, nastąpiło spotkanie ze Stefanem i Aleksandrem Hołyńskimi [2]). Ledwo przypłynęli do Denderah, dowiedzieli się od miejscowej straży (bo za przybyciem do każdego miasteczka lub wioski, pokazywali przedewszystkiem *firman* Baszy [3]), w który ich zaopatrzył konsul w Kairze, a który Arabi z największem uszanowaniem odczytywali), dowiedzieli się, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu. Usłyszawszy to Słowacki, wziął fuzyę na ramiona — bo bez broni ruszać się tu ani na krok nie było można — i puścił się z jednym Arabem naprzód, wyprzedzając łódkę, która płynęła wolniej, wzdłuż brzegu; chciał się mieszkańców sąsiedniej wioski wypytać o owych cudzoziemców. Po godzinie drogi, ujrzał

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 344. [2]) *Listy*, I, 255. [3]) Tamże, I, 256.

zdaleka, w jednym z kanałów Nilowych, dwa pawilony i dwóch młodych mężczyzn, w europejskich ubiorach, na piasku. Poznawszy w jednym z nich Aleksandra Hołyńskiego (starszego jego brata, Stefana, nie znał), począł pędem biedz ku nim. W tejże chwili, młody Hołyński, spostrzegłszy go i poznawszy, również zaczął biedz na jego spotkanie. Skoro się uściskali i powitali, »dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów«, i kiedy Hołyński przedstawił Słowackiemu brata swojego, Stefana, bardzo sympatyczne czyniącego na pierwszy rzut oka wrażenie, nadpłynęła łódź z Zenonem, którego już Arab uprzedził był o spotkaniu się poety z tymi, których od chwili wyjazdu z Kairu szukali; poczem, po pierwszej gorączkowej wymianie słów, powierzywszy straż nad łódkami służącym, już wszyscy razem, weseli i szczerze uradowani tem spotkaniem, ze strzelbami na plecach, udali się do oddalonej o kilka wiorst osady Denderah, na obejrzenie ruin. O ogromie ich, przechodzącym wszystko, nie mieli najmniejszego wyobrażenia; chodzili więc, jak powiada Słowacki, pomiędzy temi olbrzymiemi kolumnami (tu niechaj sobie czytelnik wyobrazi dekoracyę z pierwszego i ostatniego aktu *Aidy)* jak odurzeni, uważając zgodnie, że z pięknością tych zwalisk nie mogą iść w porównanie ani greckie, ani rzymskie ruiny [1]).

Siedząc na kamieniach, w cieniu tych ścian i nieprzejrzanych kolumnad, od góry do dołu ozdobionych różnorodnymi wizerunkami Ozyrysów, Apisów, faraonów, wojowników, kapłanów etc., rozmawiali »z litością« o wojażerach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; a tych parę godzin, spędzonych pośród ruin w Denderah, miało taki skutek, że odchodząc od nich, wszyscy czterej »zamknęli do serca dzień pamiątek tak cudownych«, dzień, który nawet łączące ich uczucie przyjaźni silniejszem, serdeczniejszem uczynił.

Tymczasem słońce zachodziło zwolna, rzucając jakby garście roztopionego złota na ruiny, co im poprostu nadawało jakąś cechę bajeczną; należało więc, nie zapominając o tej poezyi, pomyśleć również i o tak prozaicznej rzeczy, jak obiad.

Jakoż pamiętali o nim Hołyńscy, zapraszając Słowackiego i jego towarzysza na skromny posiłek do swojej łodzi. Wywdzięczając się za to, Słowacki i Brzozowski,

---

[1]) Grecya, pełna ruin przecudownych podobała mi się bardzo i bardziej, niż Rzym mię zachwyciła. Egipt zatarł Grecyę w mojej pamięci: nic cudowniejszego, aniżeli ruiny nad Nilem będące *(Listy*, I, 3).

zaprosili ich po skromnym obiedzie do siebie — na poncz; po ponczu zaś, który na humory mógł wpłynąć tylko dodatnio, udano się przy świetle księżyca, który się czarownie odbijał w kanale Nilowym, do bliskiego miasteczka Kennech, gdzie pod koronami palm, jak powiada Słowacki, »egipskie Almee otaczały nas wiankami po ulicach«. Ta sentymentalno-awanturnicza wycieczka *au clair de lune* do Kennech, utwierdziła ich w przekonaniu — a niemało przyczyniły się do tego niezawodnie owe egipskie Almee — że prawdą jest to, co powiadają ludzie wschodni, mianowicie: że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to, jeżeli może, coprędzej powraca do niego, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży: takie tam, w porównaniu z europejskiem, »dziwne i *lekkie* życie«. Lekkie dla młodych zwłaszcza, jak oni, którzy mieli dużo... pieniędzy, którzy, nie potrzebując liczyć się z groszem, myśleli o rozrywkach jedynie i którzy mogli sobie na takie nawet pozwalać zbytki, żeby ich Almee wiankami otaczały po ulicach, czego pewno nie robiły zadarmo. Wobec tego dziwić się nie można, że im się ten jeden dzień, wspólnie w Denderah przebyty, i ta noc księżycowa w Kennech, nader mile zapisały w pamięci.

Niestety, czas naglił i trzeba było się rozstać; Hołyńscy bowiem, którzy wracali już z katarakty, musieli płynąć do Kairu, kiedy oni jechali dopiero, ażeby te katarakty obejrzeć. Dlatego, choć z niekłamanym smutkiem, o godzinie 1-ej po północy, powiedziano sobie: »Do widzenia w Kairze!« zaczem rozjechano się: jedni w jedną, drudzy w drugą stronę. Łodzie Hołyńskich, jako płynące z biegiem wody, oddalały się szybko, rozbrzmiewając wesołym śpiewem majtków; okręcik tymczasem Brzozowskiego i Słowackiego, jako mający prąd rzeki przeciwko sobie, posuwał się wolniej znacznie; po niejakim czasie stracono się wzajemnie z oczu i słychać było tylko równomierny plusk rozbijanej wiosłami fali, która, wysrebrzona światłem miesięcznem, mieniła się, jak roztopione srebro [1]).

Z Denderah, po całotygodniowej podróży Nilem, podróży wśród tylu świetnych gmachów, ruin świątyń, pomników egipskich, że aż oczy bolały od ciągłego patrzenia, a głowa od nadmiaru wrażeń, ujrzano pierwszą kataraktę pod Siène (Assuan). O tej części wycieczki, która należała do najciekawszych, nie czuł się Słowacki na siłach zdać — w liście do matki — szczegółowej relacyi. Opisywać wszyst-

---

[1]) *Listy*, I, 18, 19.

kich gmachów, pisał, niepodobna: wojaż jaki lepiej to uczyni, niż list krótki. W każdym razie (dodaje), miło mu miło było polować na piaskach, rysować szkice pomników, gmachów, chatek, dumać i myśleć o tem, że się jest w Egipcie, że się coraz to inne ogląda miejscowości, dawne pałace faraonów, ich letnie rezydencye, ich grobowce, a wszystko przy najpiękniejszej pogodzie, w pełnem słońcu, albo też — na czem starożytne ruiny zwłaszcza zyskiwały — w romantycznem oświetleniu księżycowem.

Przyjechawszy do katarakty, wynajęli osiołki, poczem ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, aby tam — oprócz czarnych mieszkańców tej krainy — obaczyć wysepkę Philae, jeden z cudów ziemi Egipskiej. Nie darmo dawni Faraonowie mieli tu swoją letnią rezydencyę! Ruiny, z tych czasów pozostałe, a bardzo dobrze zachowane aż po dziś dzień, wprawiły Słowackiego w zachwyt. Oglądał je w dniu 26 listopada.

W trzy dni później, w same imieniny matki, o których, jak zapewnia, bardzo pamiętał, zbliżał się już z powrotem do Teb, na których obejrzenie (a jest tu co widzieć, gdyż ruiny Teb wszystko przechodzą ogromem) poświęcił cały następny dzień 30 listopada. Jak sam zaręcza w jednym ze swoich listów [1]), najbardziej podobała mu się tutaj statua Memnona i druga przy niej stojąca. Wyrysował je nawet w swoim sztambuchu, w chwili, kiedy słońce zachodzi pomiędzy niemi i kiedy te olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, cicho siedzące na ogromnem polu, z twarzami obróconemi na Wschód, zdają się, jakby żywe giganty. »Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy; jeden z tych przed wiekami zmarłych wojażerów napisał na granicie: »słyszę Memnona«; i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka«. Przez tego biednego człowieka rozumiał Słowacki siebie, o refleksyach zaś, jakie w jego duszy obudził ten granitowy posąg Memnona i ten na nim przed wiekami wyryty napis Rzymianina, daje niejakie wyobrażenie następujący, tutaj, w Tebach, pod wrażeniem ruin ich, napisany wiersz, którego początek przypomina monologi Hamleta, a zakoń-

---

[1]) *Listy*, I, 256. Obszar, na którym rozrzucone są ruiny Teb, jest tak wielki, że nie sposób zwiedzać ich pieszo. Słowacki i Brzozowski zwiedzali je na wynajętych osiołkach. »Za osiołkiem moim, powiada Słowacki, biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzowa dziewczynka, która umiała jedno tylko słowo, nibyto włoskie: *Mangoria*, i z litośną minką o takie mangorie upominała się«.

czenie nastrojone jest na nutę *Hymnu o zachodzie słońca na morzu:*

Czyż dla ziemskiego tutaj wojownika
Walka jest wieczną? Czyliż dni człowieka
Nie są na ziemi, jak dni najemnika?
A jako sługa odpoczynku czeka,
A robotnik czeka swej zapłaty,
Tak mnie miesiące, co przynoszą straty,
Dałeś, o Boże, i stroskane noce!
A gdy położę się, myślę o wstaniu,
I myślę tylko o prędkiem świtaniu,
I pytam, kiedy słońce zamigoce,
A skórę moją robactwo już natacza,
I proch jest na niej, i w kawały pada [1]).

Niemniej smutne myśli przychodziły mu do głowy, kiedy stał przy obelisku Luxora, »który także teraz samotny — jak on — zdaje się tęsknić po swym rówieniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błąkać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc na ten obelisk« [2]). I zdawało mu się, że jedną można tylko z pomników tych »wyssać« naukę: o próżnościach światowych. Marność nad marnościami i wszystko marność: to ostateczna konkluzya wszelkich dumań. Wszystko mija, wszystko się kończy rozłąką, wszystko jest podobne ot do tych żórawi, na które patrzał w tej chwili: jeden się porwał i wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit, i wkrótce jęku ich nawet słychać nie było [3]).

---

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 345. [2]) *Listy*, II, 18. [3]) *Listy*, II, 9. W roku 1847, w swojej platońskiej rozprawie na temat metampsychozy *(Wykład nauki)* pisał Słowacki o tej chwili swego życia, co następuje: »Pamiętasz, Izys, moja, jak z bratem twoim, Sezakiem (za tysiąc lat dopiero miał się Chrystus pojawić) stałaś w Tebach, na prawej stronie Nilu? Wiek był wielki, rok tysiącowy. Karnak się budował i kilka tysięcy kolumn z różanego granitu przywieziono ze Syenny. Duch twój, wpół wyduchowiony już cierpieniem i miłością, a po pas jeszcze przez glinę cielesnych form owinięty... wymyślił ową Sfinksa postać, wylawszy ją w bronzie z całej tajemniczości wspomnień wyrwaną. Bo Sfinks — to ty sama, z piersią przecudownej Afrodytowej piękności, z ciałem łani, z ogonem węża, który się gdzieś w morzu natury zanurza, ze skrzydłami, które otwarte już, a jeszcze do nieba nie lecą... Stwórz więc, mówię, wśród lasu wstających kolumn Syeny, które, jak palmy, z różanego granitu, w słońcu kąpią swe złoto-różowe wierzchołki, i widzisz lud twój, pracujący nad gwiazdą sfinksowych alei, które łączą cztery przez Nil patrzące na siebie kościoły, i dalej idą, aż pod tę górę żółtą piaskowców, gdzie kopią owe podziemne groby, podobne do kaskad i sal, coraz dalej lecących w Plutonowe ciemności królestwo«.

W innem miejscu, w tym samym rękopisie, na marginesie, dopisał Słowacki:

W takiem uczuciu opuścił Słowacki Teby, i począł zdążać z powrotem do Kairu. Przestrzeń tę, ponieważ posuwano się z biegiem rzeki, odbyto znacznie prędzej, aniżeli w tamtą stronę: tak, iż dnia 10 grudnia ujrzano znów trójkątne sylwety piramid. W końcu ukazały się minarety Kairu, gdzie młodzi podróżni obiecywali sobie, spędzić w towarzystwie Hołyńskich, jeszcze kilka takich przyjemnych dni, jak owych kilkanaście godzin, wspólnie spędzonych w Denderah i Kennech. Na nieszczęście Brzozowski nabawił się na Nilu silnego zapalenia oczu[1]) i musiał się leczyć u doktora-rodaka, który mu przedewszystkiem — ażeby nie narażać wzroku na zbytnie stykanie się z blaskiem słonecznym — zalecił siedzenie w domu przez cały dzień. Słowacki był zdrów, jak ryba. Nie czuł się nawet znużony trzydziestodniową, równie przyjemną, jak utrudzającą, podróżą wodną. Żeby się zabawić, nie miał nic przeciwko temu; a że i Hołyńscy nie mogli się uskarzać na brak zdrowia, humoru i najszczerszych chęci używania rozkoszy wschodniego życia, więc byli bardzo za tem, ażeby tych kilka dni, które miano jeszcze w Kairze dla odpoczynku zabawić, nie stracić napróżno, ale o ile możności aż do ostatniej kropli wychylić czarę przyjemności. Jakoż nie zaniechano niczego, ażeby się zabawić, ażeby użyć *der schönen Tage ganz nach freier Lust;* a jak się bawiono, o tem najwymowniej świadczy fakt, że młodszy Hołyński z tych awanturniczych wycieczek do siódmego nieba Mahometa — nie wyszedł cało[2]). Traf zrządził, że jedna z hurys, jakaś arabska Almea, potrafiła go

---

I dalej idąc, zaszedłem w komnaty,
Które większały coraz — jakieś sale —
A wszędzie śmierci straszydła i kwiaty,
Turkusy wlane w ścianę, i opale,
I twój sarkofag, już zjedzony laty,
I twój obelisk, który doskonale
Straż tę wiekową odprawiał nad ciałem.

O tymże obelisku wspomina Słowacki raz jeszcze w swoim *Wykładzie nauki*, kiedy mówi: »Oto go masz przy alabastrowym sarkofagu *przy obelisku twoim*, pokutującego za grzechy miłości. Podnieś głowę *z tej trumny*, a ujrzysz go we włosiennicy (jako pustelnika Thebaidy)«. Do tego pustelnika zwraca się Słowacki — w innem miejscu — w te słowa: »Nie dziwię się więc, że uciekłaś w pustynie Thebaidy, do ludzkich dawnych grobów, z księgą bożą, z dyscypliną od krwi zakrzepłej stężałą. Powiedz mi, Helois? czy ty nie pamiętasz, jak ten święty Antoni, bał się ducha twego i oczu twoich? Choć ty, nieszkodząca, ale owszem piękna, jak tęcza, po starych alejach Sfinksowych chodząca, stawałaś o blaskach xiężyca — słuchałaś jak trawy rosną na posągach i palmy szeleszczą, dorastając kolumn Syeńskich«. Ostatnie słowa są niewątpliwie osobistem wspomnieniem poety samego.

[1]) *Listy*, I, 253. [2]) Tamże, II, 6.

urokiem swych wdzięków tak silnie przykuć do siebie, że postanowił rozstać się z towarzyszami i zostać w Kairze przy swojej odalisce. Nie zdały się na nic perswazye brata i przyjaciół: odbijały się od jego szalonej miłości, jak groch od ściany. Widząc to, starszy Hołyński, nie chcąc brata zostawiać samego, zaniepokojony tym jego erotyzmem, postanowił zostać przy nim i mieć nań oko. Słowackiego i Brzozowskiego prosił, ażeby się nimi nie krępowali, tylko jechali naprzód: oni ich dogonią, jeżeli płomień namiętności Aleksandra zgaśnie dość prędko. Niestety, nie zanosiło się na to bynajmniej.

IV.

Ostatni dzień w Kairze upłynął Słowackiemu i Brzozowskiemu (któremu już było na oczy znacznie lepiej) na przygotowaniach do podróży. A podróż ta, jakkolwiek lądem nie zapowiadała się wcale łatwiejszą, aniżeli żegluga po Nilu: przeciwnie, należało się po niej spodziewać jeszcze większych niewygód, ponieważ chodziło o przebycie olbrzymiej pustyni Suez (tej, którą tak cudownie opisał Sienkiewicz w swoich *Listach z Afryki)* na wielbłądzie, która to lokomocya nie należy do najmniej męczących. Tyle tylko, że zarówno dla Słowackiego, jak i dla jego towarzysza, posiadała urok nowości. Sama myśl, że mają odbyć podróż na wielbłądzie, całą karawaną, nie mogła się im nie uśmiechać. Od czegóż byli młodzi, żądni wrażeń i przygód nadzwyczajnych? Zakupiwszy więc, co było potrzeba na drogę (Słowacki między innemi kupił dla matki bardzo ładny płaszczyk tunetański z miękkiej flaneli [1]), który jej po powrocie do kraju miał wręczyć Zenon Brzozowski) dnia 15 grudnia, po serdecznem pożegnaniu z Hołyńskimi, z owym doktorem-rodakiem, który leczył Brzozowskiego, i z owymi kilku ziomkami-emigrantami, którzy im *ciceronowali* po Kairze, puścili się na Wschód, do Gazy.

Czas był najpiękniejszy, a jazda przez pustynię, w cieniu namiotu, rozpiętego na grzbiecie wielbłąda, z dwoma służącymi i w otoczeniu Beduinów, zapowiadała się bardzo oryginalnie. Już samo dosiadanie wielbłąda dostarczyło im niemało powodu do śmiechu. Trudno wymyśleć coś zabawniejszego! »Nie wystawisz sobie, droga, pisał o tem

---

[1]) *Listy*, II, 15.

Juliusz do matki, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i, wstając na nogi, trzy razy rzuca człowieka w różne strony. Lecz nieprzyjemniej jeszcze jest siedzieć na nim, kiedy klęka: zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali«. Swoją drogą podobało mu się to wszystko. W swoim białym płaszczu flanelowym arabskim, który sobie kupił na wyjezdnem w Kairze, a w którym wyglądał jak krzyżak (porównanie tem trafniejsze, że jechał przecie do Jerozolimy) uważał, że »życie takie i podróż taka ma dziwny powab«. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym amaryntem; podróżny zamienia się w pasterza; Beduini śpiewają; gdzie spojrzeć, wszędzie pustynia, piaski, spiekła trawa, kaktusy; gdzieniegdzie stoi palma samotna, jakby smutna: w powietrzu mignie od czasu do czasu jastrząb; słońce grzeje, ale nie dokucza; aż wreszcie, nad wieczorem, zachodzi przepysznie; i tak upływa cały dzień. Z nastaniem zmroku, karawana się zatrzymuje; wielbłądy przyklękają; podróżni zsiadają; Beduini rozpalają ogniska, paląc krzaki cierniowe, które płoną lekkim płomykiem, jak koronki brabanckie; potem zaczyna się gotowanie wieczerzy i rozbijanie namiotów, najczęściej pod jaką palmą albo skałą; aż wreszcie, po spożytym posiłku, nocleg na ziemi, na kocach, podesłanych mchem, pod osłoną namiotu, przy migotaniu gwiazd i wyciu szakali, podobnem do nocnego ujadania naszych psów wiejskich.

Pierwszą noc spędzono w miejscu tak oryginalnem, że, istotnie, tylko na pustyni można sobie w ten sposób lekceważyć ponury majestat śmierci: wychodząc z zasady, że spać pod jakimkolwiek dachem musi być lepiej, aniżeli pod gołem niebem w namiocie, zdecydowano się nocować — w grobie jakiegoś Szeika, czyli świętego tureckiego. Była to biała kapliczka z kopułką, jakby mały meczecik, złożona z dwóch izdebek, cienkim murem przedzielonych, z dwoma okienkami w murze, przez które, wszedłszy do jednej izdebki, widziałeś co się dzieje w drugiej. W jednej leżał trup Szeika, w drugiej ułożono posłanie dla Słowackiego i Brzozowskiego. Na dworzu, przed grobowcem, koło ognia, leżały, żując paszę, rozjuczone wielbłądy. Przy wielbłądach spali służący i Beduini. Nad kapliczką rosło wielkie czarne drzewo figowe, w którem przez całą noc śpiewał puszczyk [1]).

Nocleg ten, najexcentryczniejszy niezawodnie, jaki wymyśleć można (którego w naszych czasach nie powstydzi-

[1]) Por. *Listy*, I, 257; *Bibl. Warsz.*, 1891, IV. 346.

łaby się nawet Sarah Bernhardt, sypiająca w trumnie) tak się wraził Słowackiemu w pamięć — nic dziwnego — że po latach jeszcze, pisząc *Beniowskiego,* kazał bohaterowi swemu w podobnym grobowcu Szecha jedną noc przepędzić; przyczem, nie omieszkał napomknąć, że i jemu zdarzyło się kiedyś coś podobnego.

Wschodnie przebiegając kraje,
Kiedy mnie noga wielbłądów niekuta
Niosła w piekielne stepy albo raje,
Stanąłem na noc raz w grobie, i dobrze
Spałem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha
Zasnąć, a jeszcze większa: wstać o wschodzie
I otrząść włosy senne z prochu Szecha
I zostawić go w mogilnej gospodzie,
Nie dawszy mu za nocleg nic, prócz echa
Z tej pieśni, w obcym, dalekim narodzie
Śpiewanej.

W mogiłce Szecha — był to grób osobny
Na górach, z białą kopułą glinianą —
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związano;
A nad nim śpiewał nocy ptak żałobny,
Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą,
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę:
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy na pałac. Jej ogromne liście
Ciągle po głowie grobowca łopocą;
Ptak umiłował ją sercem ogniście
I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.
W grobie podwójne także było wnijście
I dwie izdebki; w jednej się szamocą
Owe Tatarki, strzegące dziewczyny,
W drugiej Beniowski, skrępowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha:
Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?
Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!
Pod nim umarły! Wspomniał o upiorze,
Potem — weselszą myślą myśl odpycha —
O tej dziewczynie, co w drugiej komorze
Leży i rączki może białe poda[1]).

Trudno o plastyczniejszy przykład owego procesu przetwarzania się w umyśle poety *Wahrheit* na *Dichtung*.

Słowacki tymczasem, nie wiedząc jeszcze, że mu z czasem nocleg ten rymami unieśmiertelnić przyjdzie, zbu-

[1]) *Beniowski*, Część druga, Pieśń IX, Pisma pośm. II, 63.

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

dziwszy się rano, o wschodzie, »otrząsnął włosy senne z prochu Szecha« i w dalszą z całą karawaną puścił się drogę. I szli tak, tą pustynią, którą przed wieki Mojżesz prowadził za sobą lud Izraela z niewoli egipskiej, tydzień przeszło, aż w końcu, dnia 22 listopada stanęli na granicy Egiptu i Syryi, nieopodal miasteczka El-Arish.

Tutaj czekała ich kwarantanna. Albowiem, jak w swojej przedmowie do *Ojca Zadżumionych* powiada Słowacki, wymysłem to jest dziwnym Mohameda-Ali, że między dwoma swoimi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tem miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczej nie mogą się dostać z Egiptu do Palestyny. Słowacki, przybywszy tu, kiedy mu powiedziano, że musi wśród tej smutnej równiny piaszczystej przez dwa tygodnie blizko zamieszkać, nie mógł pojąć zrazu — sam to przyznaje — jak miejsce puste, bez żadnego domu, gładkie, jak stół, otoczone dokoła wzgórkami piaszczystemi i nic więcej, może prawu ludzkiemu podlegać; ale, powiada, miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie nad głową jego przewodników Arabów, bo, przybywszy na dolinę kwarantanny, zaraz kazali wielbłądom uklęknąć, »a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka«. Po niejakim czasie zjawił się doktor miejscowy, pan Steble, emigrant włoski, zrewidował ich, osztukał, opukał, wyznaczył miejsce, gdzie mogli rozpiąć namioty, określił obręb, za który nie wolno im było przechodzić, a dowiedziawszy się (od Brzozowskiego zapewne), że jednym z podróżnych jest poeta, obiecał wszelkich starań dołożyć ze swojej strony, ażeby im pobyt pod otwartem niebem o ile możności jak najmniej dokuczliwym uczynić. W tym celu, widząc, że mają tylko jeden namiocik, kazał ze składu wydać jeszcze dwa inne, dla nich i Arabów, (choć tym ostatnim dostał się tak podarty, że »słońce było w nim panem«), poczem przyrzekł przysyłać im codziennie świeże pieczywo, nie wspomniawszy nawet, że to rączki jego żony grzęznąć będą w białej i srebrnej mące, ażeby dogodzić nieznajomym pielgrzymom i nie zostawiać ich bez europejskiego chleba.

Po odejściu doktora, z którym mieli się w ciągu tej kwarantanny bliżej zapoznać, ile że przyjemnie mu było odwiedzać ich od czasu do czasu i rozmawiać o Europie, o Włoszech, i mieć przytem do czynienia z cywilizowanymi, inteligentnymi ludźmi, rozbito namioty, wygrzebano w piasku małą kuchenkę, Słowacki rozlokował się w namiocie

pana Steble, Brzozowski w swoim własnym, aż wreszcie, skoro zdołali się każdy u siebie urządzić, nie pozostawało im nic innego, tylko siedzieć, czekać i... przywykać powoli do smutnego widoku, jaki ich otaczał. »Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów. Od północy, błękitna szarfa Morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam, w jego lochach, składano umarłych z dżumy. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych oryentalnych ubiorach«.

W środku doliny, niby stożec gliniany, wystrzelał w górę minaret, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkość Boga, rano, wieczorem i w nocy, a którego żółtawa białość nadawała mu z daleka pozór kościotrupa. Dokoła żadnego mieszkania, gdzieby się można schronić na przypadek deszczu; słowem, pustynia, kraina zastygła, przerażająca swą odrętwiałością, pełna martwoty, pustynia, o którejby powiedział Sienkiewicz, że odczujesz w niej wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia [1]).

Atoli spokój ten, pomimo swojego smutku, na skołataną duszę Słowackiego oddziaływał kojąco, zbawiennie; do tego stopnia, że jeszcze w cztery lata później, w liście do autora *Irydiona,* umieszczonym na czele *Lilli Wenedy,* z niejaką lubością przypominał sobie »złote pustynie Suez, na których, jak powiada, tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował«. Ta cisza »piaskowego stepu«, zakłócana jedynie melancholijnym szumem morza, do którego mu chodzić pozwalano, gdy wziął ze sobą jednego ze strażników kwarantanny, rozmarzała go, nastrajała rzewnie, »podnosiła«. Błękit morski przypominał błękit jeziora Genewskiego, a ze wspomnieniem Lemanu szło nieodłącznie w parze wspomnienie Maryi. I zapominając o tem, że niedługo może dowie się o jej ślubie, takich doznawał uczuć, jak te, które później opisał w pieśni VIII *Beniowskiego;* bo myślał o sobie i o swoich samotnych dumaniach nad brzegiem morza w El-Arish, kiedy pisał następujące oktawy:

---

[1]) *Listy z Afryki,* I, 23.

Smutno! o, smutno samemu
Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą,
Śpiewając ciągły hymn Nieśmiertelnemu,
Który pustynię roześwieca bladą
Gorącem słońcem! Smutno tam jednemu
Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca
Błądzić z strzaskanem sercem lub, bez serca...

Jednak jest jakaś duma, co podnosi
Czoło północnych ludzi, gdy po świecie
Wicher nieszczęścia ich, jak liście, nosi,
Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie
Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi
Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, wziąwszy pod swych skrzydeł loty,
Jak zwiewa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie,
Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola
Osłania groblę; że zawsze i wszędzie
Dusze kochanków, jak harfy Eola
Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łabędzie,
Latają razem, choć je smutna dola
Rozłącza tu na ziemi i rozgania;
Wiedział to i te wszystkie porównania.
Pełny więc melancholii szedł po brzegu [1]).

Czy nie ludził się, kiedy myślał, że tam ktoś w Polsce, błądząc nad stawem — w Służewie — pamięta o owym kapryśnym, ba, często »nieznośnym« towarzyszu wycieczki w Alpy? Czy nie był w błędzie, kiedy mu się zdawało, że tam ktoś Boga prosi za niego? To były pytania, na które odpowiadał sobie twierdząco, a które (sądząc z późniejszych opowiadań o nim Maryi) jego »czarnobrewa panienka« wolałaby może pozostawić bez odpowiedzi, ażeby mu nie odbierać reszty illuzyi [2]). Pewny, że tak nie jest, Słowacki dawał się rozmarzać myślom o Maryi, znajdując w tem rodzaj duchowego pokarmu, którym zasilał swoją imaginacyę. Na takich dumaniach, przerywanych długiemi gawędami z Brzozowskim, lub z doktorem Steble, który ich odwiedzał często, upływał mu cały dzień. Podczas jednej z takich pogadanek, opowiedział im doktor Steble tragiczną historyę pewnego starca, który siedząc tu przez trzy miesiące na kwarantannie, utracił żonę i ośmioro dzieci i został

---

[1]) *Beniowski*, Część druga, pieśń VIII, Pism. pośm. II, 40, 41. Por. z tem *Rozłączenie* (Rozłączeni, lecz jedno o drugiem pamięta) oraz *Listy*, tom II, str. 34. [2]) Zob. list dzisiejszej pani Maryi Orpiszewskiej do dr. H. Biegeleisena w jego studium p. t. *Juliusz Słowacki i Marya Wodzińska. Bibl. Warsz.*, 1893, IV, 207, 208.

w końcu sam z bratem[1]). Opowiadanie to uczyniło na Słowackim wstrząsające wrażenie. Mimowoli przypomniał mu się *Ugolino* Dantego; wyobraźnia jego, wprawiona w ruch, poczęła sobie uprzytomniać ten wypadek na pustyni — i tak zrodził się pomysł *Ojca zadżumionych*.

Surowym materyałem również, z którego dałby się niejeden wysnuć poemat wschodni — w rodzaju Moore'a — były opowiadania dragomana ich, Solimana, pięknego Araba, z długą brodą, który nieraz, bywało, chodząc ze Słowackim nad morzem i zbierając z nim muszle, opowiadał mu swoim włosko-francusko-anglo-arabskim językiem różne legendy miejscowe, jak np. o Machomecie i jego rozmowie z sarną i wielbłądem; o podaniu, przywiązanem do wyspy nilowej Philae, a które jeden z poetów arabskich, Hara Filedżiat, wyśpiewał bardzo pięknie; i wreszcie, o powstaniu w górnym Egipcie, w którem on, Soliman, brał czynny udział.

Początek powstaniu temu — mówił Soliman — dał drobny i na pozór niewiele znaczący wypadek. Jakiś Turek (a Turcy byli ciemiężycielami Egiptu) usiłował zgwałcić jakąś młodą kobietę. Na krzyk podniesiony przez nią, przybiegł Szech-Achmet, przyszły prowodyr powstania, i stanął w obronie nieszczęśliwej. Ztąd przyszło pomiędzy nim a owym Turkiem do bójki, która się skończyła porażką ostatniego. Turków nienawidzono w całym kraju, a że niechęć do nich, tłumiona oddawna, była w tej chwili, jak beczka, pełna prochu, więc wystarczała jedna drobna iskierka, ażeby nastąpił wybuch. Tą iskierką była owa bójka Szech-Achmeda z Turkiem. Jeszcze tego samego wieczoru powstała cała wioska Szecha. Było to w pobliżu Denderah. W kilka dni później powstał cały kraj od Siutu do Assuanu (Siene). Szech-Achmet stanął na czele całego ruchu, a zapał, jaki go w tej walce o wyswobodzenie Arabów z pod jarzma tureckiego ożywiał, dokazywał cudów prawdziwych. Wszystkim, którzy stanęli pod jego sztandarem, dawał amulety, broniące od śmierci, a głodnych karmił w ten sposób, że — jak Chrystus — zastawiał stoły niewyczerpane w jadle. Ale nie pomogły i cuda. Niewola uczyniła lud egipski tak podłym, że wolał ucisk Turków, aniżeli mężnie wytrwać do końca. Widząc to Szech-Achmet, zniechęcony niegodziwością i tchórzostwem swojej załogi, rzucił sprawę. Tymczasem wybuchło powstanie w Kai-

[1]) Przedmowa do *Ojca Zadżumionych* i notatka w raptularzu, ogłoszonym w *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 346, 347.

rze, a zaczęło się bardzo pomyślnie, bo od wysadzenia w powietrze cytadeli tureckiej [1]).

Tak opowiadał Soliman, a poeta słuchał i przeprowadzał w myśli paralellę pomiędzy tem powstaniem Arabów w Kairze, a rokiem 1831 u nas.

Wieczorem przychodził Brzozowski do namiotu Słowackiego i, akompaniując sobie na czekaniku, śpiewał mu różne piosenki i kolendy, których on, siedząc po turecku na dywaniku i paląc wschodnią lulkę, otulony swoim płaszczem arabskim, słuchał z rozczuleniem. Co wieczór też prawie musiał im Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłómaczem Champolliona, Roselini'ego, Fresnela i wielu innych, opowiadać o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły z ich życia podczas podróży (i ze mnie, myślał sobie Słowacki, zbiera on zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników), albo też, usiadłszy na ziemi u wnijścia do namiotu, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewać monotonne płaczliwe strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiały i smutna nuta kołysały ich do snu. »A wtenczas, powiada Słowacki, może mnie Anioł znów okrywał płaszczem Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka, śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnej«. Ze dworu tymczasem, od strony pustyni, dolatywały »hyjen przeraźliwe wycia« [2]). Zresztą »cisza ogromna« zalegała namiot. »Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła; zgoła innego jęku ni szelestu« [3]).

— Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym z życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacyę Oriona, tak podobną do gwiaździstej lutni, zawieszonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia: przeminął [4]).

Zanim przeminął jednak, zakłóciła tę niezmąconą jego ciszę... szalona burza. Było to w samą wilię Bożego Narodzenia. Brzozowski grał na czekaniku i śpiewał kolendy:

---

[1]) Według notatek w raptularzu Słowackiego. *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 347. [2]) *Ojciec Zadżumionych:*

»Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyjen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami.. I słuchałem blady,
Jak nad trupami płaczą trupojady.

[3]) *Ojciec Zadżumionych.* [4]) Przedmowa do *Ojca Zadżumionych.*

Słowacki, słuchając, był myślami w domu, w Krzemieńcu, przywodząc sobie na pamięć owe dni, które spędzał dawniej na ucztach w gronie rodzinnem [1]); kiedy nagle, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, nadciągnęła straszna nawała chmur; nastała ogromna ciemność, rozświecana tylko co chwila oślepiającemi błyskawicami; zerwał się wiatr, który, wyjąc głucho, począł pruszyć piaskiem do wnętrza namiotu: po chwili ryknęły pioruny; aż wreszcie przyszła ulewa, najokropniejsza, na jaką się Słowackiemu zdarzyło patrzeć w życiu. »W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie«.

— Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą.

I tak przez całą noc prawie. Grom spadał, hucząc, po gromie — jak opowiada nieszczęśliwy Ojciec zadżumionych — a wszystkie tak były bliskie, że każda chwila zdawała się ostatnią. Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot Słowackiego chwiał się nad nim, a zaczerwieniony od piorunów, wydawał się, jak powiada poeta, ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem. Świeca, pokilkakroć zapalana, zawsze gasła; a po niejakim czasie, wilgotny knot wcale zapalić się nie chciał i trzeba było poprzestać na świetle błyskawic. W końcu, deszcz przedarł się przez płótno namiotu; na ziemi, gdzie leżały posłania, potworzyły się kałuże, które, podmywając pościel, zniewoliły Juliusza, że zwinął wszystko w jeden pakiet i, jak powiada dowcipnie, sam musiał się zamienić w parasol swoich rzeczy. Ale nie na dowcipkowanie zbierało mu się w tej chwili, bo prawdziwie, że »wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni«, burza, której obraz znalazł się później odbity w *Ojcu Zadżumionych*, gdzie go Słowacki, jak powiada, we właściwszem jeszcze pokazał świetle czytelnikowi, albowiem kazał mu patrzeć na niego... przez łzy ludzkie.

Po córce w pięć dni, o Boże mój, Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję, i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze

[1]) Przedmowa do *Ojca Zadżumionych*.

I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężałem wzrok, serce i ucho,
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie:
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie.

Ale skończyła się wreszcie ta bezsenna noc zgrozy. Nad rankiem, kiedy Słowacki wyszedł z namiotu, aby zobaczyć, co się z towarzyszem jego stało, i kiedy sobie winszowali, że wyszli cało z tego piekielnego koncertu piorunów, deszczyk drobny »zasmucał powietrze«. Szare niebo zdawało się wisieć nad samą ziemią. Wiatr ustał. Tylko morze rozbijało się z grobowym hukiem o wybrzeże. Przekonani, że po tem, co było, nic gorszego nastąpić już nie może, zziębnięci i przemokli do nitki, Słowacki i Brzozowski poczęli przemyśliwać o śniadaniu i... suszeniu rzeczy; kiedy nagle, przeraźliwy krzyk Arabów o nowem uwiadomił ich niebezpieczeństwie. Co się stało? Oto rzeczka owa, gdzie wczoraj drobna zaledwie toczyła się nitka wody po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, poczęła wzbierać gwałtownie, przerywać brzegi i białemi, krągłemi falami, podobnemi do pletw srebrnych, rozlewać się po dolinie. Na widok takiego *perriculum in mora* rzucili się obaj wraz z Arabami ratować czemprędzej nieobeschłe jeszcze z nocy namioty, które się im też szczęśliwie na najbliższy wzgórek przenieść udało; a ledwo je uprzątnęli, zaraz przyszła woda i napełniła owe kręgi, które jako ślady ich zerwanych domów widniały na piasku. Ponury, głodny, szczękający zębami z zimna, drżący, jak w febrze, patrząc ze wzgórza na tryumf tej nędznej rzeczułki, szczególnego uczucia doznawał Słowacki, uczucia, które później, w przedmowie do *Ojca Zadżumionych* określił w następujący sposób: »Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do blizkiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem; a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli«.

Podobne refleksye snuły mu się po głowie przez całe pierwsze Święto Bożego Narodzenia, które im przeszło smutno, najprzód na suszeniu garderoby, a następnie na rozbijaniu namiotów. Nauczeni doświadczeniem, wybrali teraz

na obóz najwyższy wzgórek, jaki był w okolicy. Pierwszą noc jednak, pomimo wysiłków, nie zdążyli się uporać z namiotami, tak, iż spać musieli pod gołem niebem, na wilgotnym piasku, nakrywszy go rogożą i dywanami.

Ale wyjaśniło się nareszcie niebo i nastał szereg dni pogodnych, jak wymarzonych,

> Słońce wschodziło w upały czerwone,
> Jak jakaś krwawa pożaru pochodnia;

toń morska wygładziła się znowu; ziemia poczęła się miejscami zielenić; pod laskiem palmowym (do którego było także Słowackiemu wolno chodzić w towarzystwie strażnika) ukazały się kwiaty, w rodzaju hyacyntów. Tak zastał poetę w El-Arish Nowy Rok, poprzedzony bardzo silnem trzęsieniem ziemi. O dobrym humorze, w jakim Słowacki był tego dnia 1-go stycznia, świadczy następujący wiersz *Z powinszowaniem Nowego Roku,* posłany Brzozowskiemu na Dzień dobry:

Wielmożny Panie!
Powinszowanie
Nowego Roku,
Co pęta w kroku
Na tej pustyni,
Niech Cię uczyni
Bardzo wesołym.
Że okiem gołem
Widać, jak rusza
Ten czas i dusza
Na życie wieczne
Bardzo bezpieczne,
Gdzie ani panna,
Ni kwarantanna
Nie przyda troski,
Ani też włoski,
Panie Brzozowski,
Znudzi makaron.
Tymczasem Charon
Niechaj nieprędko
Złowi cię wędką
I na łódź wsadzi,
I tam prowadzi,
Gdzie idą inni,
Bo iść powinni.
Żyj mi lat krocie
I przyjm w namiocie
Moją kolendę;
A ja przybędę
Sam, osobiście,
Harbuza liście
W maśle smażone,
Słodkie i słone,

Jeść na śniadanie.
Ściskam Cię, Panie!

Z dniem 2 stycznia nakoniec upływał termin kwarantanny i dalsza droga stała otworem. Rano przyszedł doktor Steble, zbadał ich, a uznawszy, że są zdrowi zupełnie, oświadczył, że mogą jechać. Przedtem wszakże, na pożegnanie, prosił, czy nie chcieliby wypić z nim razem w jego domu, filiżanki kawy. Ale wielbłądy, już okulbaczone i osiodłane, czekały już na nich, klęcząc, więc, ponieważ trudno się było oprzeć prośbom klęczących wielbłądów, podziękowali doktorowi za gościnność, przeprosili, że z niej korzystać nie chcą i, wymówiwszy się pośpiechem, pożegnali El-Arish i pana Steble, nie wypiwszy u niego kawy, ani podziękowawszy jego żonie za pieczywo, które, jak mówiono, sama dla nich piekła codziennie. Nie wiedzieli, jak sroga za niedelikatność tę miała ich spotkać kara. Ale dowiedzieli się o tem wkrótce i nie mogli sobie pośpiechu, z jakim opuszczali El-Arish, darować. Bo cóż się okazało? Oto, że panią doktorową Steble była słynna piękność na Wschodzie, panna Malagamba, o której Lamartine w pierwszym tomie swojego *Voyage en Orient* z takiem uniesieniem rozpowiada, a którą odwiedzić, poznać i przekonać się, czy rzeczywiście, jest tak piękna, jak ją opisuje autor *Jocelina*, miał Słowacki specyalnie polecone od Hersylki. Kiedy wyjeżdżał z Neapolu, wciąż mu przypominała, ażeby złożył swą czołobitność pannie Malagamba; przyrzekł, że to uczyni, tymczasem w chwili, kiedy się dowiedział, że panna Malagamba została panią doktorową Steble, było już, niestety, zapóźno, ażeby popełniony błąd naprawić [1]). Tłomacząc się z tego później przed Hersylką, nie mógł odżałować tej jakiejś obojętności dziwnej, która go nie natchnęła ciekawością poznania młodej pani Steble, a uczuciu temu dał w liście swym, do Januszewskich z Liworno pisanym, następujący wyraz: »Pani doktorowa podałaby mi zwyczajem wschodnim kawę i nawet pocałowałaby mię

---

[1]) O pannie Malagamba zob. u Słowackiego w *Listach* t. II str. 5, oraz w przedmowie do *Ojca Zadżumionych*. Lamartine rozpisuje się o pannie Malagamba w swoim *Vayage en Orient* bardzo obszernie i, istotnie, jak powiada Słowacki, z wielkiem uniesieniem. (Zob. *Voyage en Orient* pod datą 15 Octobre 1832, Syrie, Galilée). Oto, co niej pisze między innemi: »Aucun poëte n'a jamais dépeint une si ravissante apparition. L'Haïdée de lord Byron, dans *Don Juan*, à quelque chose de Mlle Malagamba, mais elle est loin encore de cette perfection de grâce, d'innocence, de douce confusion, de voluptueuse langueur et d'éclatante serenité, qui se confondent dans ces traits encore enfentints«.

w rękę, bo taki jest zwyczaj na Wschodzie [1]). I to wszystko opuścić przez jakiś dziwny pośpiech! Ale przynajmniej — pocieszał się po niewczasie — jadłem chleb jej najpiękniejszemi rączkami pieczony. A dyabeł-że mógł wiedzieć, że jest teraz panią doktorową kwarantanny i że na pustyni mieszka między Gazą a Kairem!«

[1]) Szczęśliwszym pod tym względem od Słowackiego był Lamartine, którego panna Malagamba zwyczajem wschodnim pocałowała w rękę na pożegnanie, jak o tem świadczy następujący ustęp z jego *Voyage en Orient:* »Nous nous levâmes et nous fûmes forcés, pour obeir eux usages du pays, de laisser Mme et Mlle Malagamba approcher leurs lèvres de nos mains, et nous remontâmes à cheval«.

ROZDZIAŁ V.

W ZIEMI ŚWIĘTEJ.

I. Wyjazd z El-Arish. Nastrój religijny. Przyjazd do Ghazzeh. Wspomnienia Tassa. Jaffa. Droga i przyjazd do Jerozolimy. Spotkanie z Aleksandrem Spitznaglem (2 — 13 stycznia 1837). II. Przechadzki po Jerozolimie. Wrażenie. Ich odbicie w *Beniowskim*. Noc u grobu Chrystusa. O. Maksymilian Ryłło. Pobyt w Betleem. Jerycho. Nad morzem Martwem. Jordan. Dolina Józafata. II. Wyjazd do Nazaretu. Refleksye na temat swojej misyi. Wrażenie z Nazaretu. Pobyt w Kanie Galilejskiej. Nad jeziorem Genezaretańskiem. Tyberiada. Wspomnienia Chrystusa. Prologomena do poematu *W Szwajcaryi* i do *Anhellego*.

I.

Nic rzewniejszego, jak ów końcowy ustęp przedmowy do *Ojca Zadżumionych*, w którym Słowacki opisuje swój wyjazd z El-Arish. »Wielbłądy moje, powiada, znów uklękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku Wschodowi i obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony, obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że wyszedł na miejsce wysokie, aby mię pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też namiot sam, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku: dość, że powiewał za mną jednem skrzydłem, pokazując mi swoje łono czarne i puste. I odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie; a wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilie białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy, i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chry-

stus do uczniów swoich, aby, patrząc na lilie, które Bóg odziewa, nie troszczyli się o jutro i o rzeczy z tego świata«. Od tej chwili, podobnie, jak na widok onych lilii, rosnących przy drodze, wszędzie, którędy przejeżdżał, na cokolwiek patrzał, stawała mu przed oczyma promienna postać Chrystusa; nie sposób bowiem, wjeżdżając do Ziemi Świętej, nie myśleć o Tym, który tutaj narodził się, żył i umarł, i którego idealny obraz każdy z nas nosi od dziecka w duszy. Słowacki, w którym uczucie religijne, w ostatnich czasach — zwłaszcza od czasu pobytu w Rzymie — powoli stawało się coraz silniejszem, i który nadto artystyczną jeszcze znajdował rozkosz w czytaniu smętnych opowieści Nowego Testamentu, musiał mimowolnego doznawać wzruszenia, kiedy się zastanowił, że niebawem ujrzy te góry, doliny i miasta, wśród których narodziła się najwznioślejsza ze wszystkich nauk: nauka o miłości bliźniego.

Tymczasem droga ciągnęła się przez pustynię i żadnego prawie dzięki jednostajności swej nie budziła interesu. Dopiero dnia 4 stycznia, kiedy się na horyzoncie ukazały minarety i kopuły meczetów miasta portowego Ghazzeh, znalazła wyobraźnia Słowackiego odpowiedni w tem pokarm dla siebie; dla niego bowiem, który prawie na pamięć umiał *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa (w tłómaczeniu Piotra Kochanowskiego), nie mógł nie przedstawiać szczególniejszego interesu widok miasta, od którego opisu zaczyna się przecież XVII pieśń tej romantycznej epopei.

Gaza, nad morzem miasto położone,
Jest na gościńcu, tuż przy Palestynie,
Ku Damiacie, a ma niezmierzone,
Przyległe piasku suchego pustynie,
Które tak wichry mieszają szalone,
Jako wiatr morze; i często tam ginie
Niejeden pielgrzym, zasuty piaskami.

I dziś nie wiele się tu zmieniło pod tym względem: zwykłe miasto wschodnie, brudne i nieciekawe, przedstające się najlepiej, kiedy oglądane zdaleka, ile, że łatwiej sobie wtedy wyobrazić na jego tle opisany przez Tassa przegląd wojsk egipskich. Na Słowackim i Brzozowskim nie zrobiła zdaje się Gaza silniejszego wrażenia, skoro jej poeta w liście do matki tyle tylko poświęcił słów, ile koniecznie potrzeba na pominięcie czegoś milczeniem. »Nie będę ci opisywał Gazy...« Nic więcej! Być może, iż spodobałaby się im bardziej, gdyby ją oglądali przy pogodzie, w oświetleniu słonecznem, a nie w deszcz ulewny, z jakim tu przyjechali i z jakim ztąd, o ile mogli najspieszniej, wyjechali. Dodać wypada, że przybywszy do Gazy całą kara

waną, na wielbłądach, opuścili ją konno, z mniejszym pocztem służby i przewodników.

Drugiem miastem, w którem się po drodze do Jerozolimy zatrzymali, była Jaffa, za którą przemawiały głównie wspomnienia historyczne, a która, zwiedzana w czasie słoty, z najgorszej znów przedstawiła się im strony. Bo nic prozaiczniejszego, jak miasto wschodnie w deszcz. Znika wówczas egzotyzm, a pozostaje tylko błoto, o jakiem nie może mieć wyobrażenia, kto nie był na Wschodzie i kto w jego błocie ulicznem nie brodził po kostki. Słowackiemu i Brzozowskiemu przeznaczone było Jaffę w takich właśnie oglądać warunkach. Nie dziw więc, że podobnie, jak Gazą, nie byli nią zachwyceni. Bo nie wystarcza, ażeby miasto jakieś uznać godnem podziwu, pamiętać, że tutaj, przed wiekami, Perseusz uwolnił Andromedę, że tutaj, jak głosi miejscowe podanie, Noë wsiadł do arki, że tutaj spoczywają zwłoki syna jego Jafeta (ztąd, według niektórych, nazwa miasta), że tutaj Ryszard Lwie Serce odniósł zwycięztwo nad wojskami Saladyna, że ztąd właśnie, z Jaffy, wypłynęły floty Króla-proroka, udające się po cedry Libanu i purpurę Sydonu, i że na tych wzgórzach Napoleon, pobiwszy Turków w roku 1799 pod El-Arish i wziąwszy w kilka dni potem Jaffę szturmem, oglądał zadżumionych w szpitalach i kazał rozstrzelać 3000 jeńców. Wszystko to nie potrafiło zatrzeć ujemnego wrażenia, jakie czyniła rzeczywistość. Nędzna gromada domów, w kształcie amfiteatru, na pochyłości wysokiego wzgórza wzniesiona, poprzecinana mnóstwem uliczek wązkich, krętych i niechlujnych, nie przypomina w niczem — w niepogodę zwłaszcza — że dawniej zwała się *Joppe*, co znaczy: piękna albo przyjemna. To też, przybywszy tu, Słowacki zarówno, jak i jego towarzysz, zamiast myśleć o oglądaniu osobliwości miasta, jak słynne ogrody np. albo mieszkanie Tabity, którą św. Piotr wskrzesił [1]), myśleli tylko o Olesiu Spitznaglu, bracie Ludwika, a przyjacielu uniwersyteckim poety, o którym wiedzieli, że jest wice-konsulem w Jaffie. Niestety, kiedy po wielu trudnościach dopytali się nareszcie o jego adres — co przy opłakanej administracyi wschodniej nie należy bynajmniej do przedsięwzięć łatwych — powiedziano im, że pan wice-konsul pojechał do Jeruzalem, na greckie Święta, i że ztamtąd udać się ma do góry Synai [2]). Dla Słowackiego, który serdecznie pragnął zobaczyć się z bratem swojego najlepszego przyjaciela młodości, był zawód ten

---

[1]) *Dzieje Apost.*, IX. 36. [2]) *Listy*, I, 25.

jednem rozczarowaniem więcej. Zmartwiony myślą, że, będąc raz w życiu w Jaffie, musi wyjeżdżać ztąd, nie zobaczywszy się z człowiekiem, którego tak widzieć pragnął, osładzał sobie zawód ten nadzieją, że wynagrodzi go sobie w Jerozolimie. Na to jednak, ażeby nie doznać zawodu po raz drugi, trzeba było czemprędzej, nie zwłócząc, jechać dalej. Jakoż opuścili Jaffę nazajutrz, skoro świt.

Droga z Jaffy do Jerozolimy, choć nie długa, należy (jak świadczą ci, co ją przebyli) do kategoryi najmonotonniejszych w świecie. »Jednostajność krajobrazów, rzadko gdzie urozmaicona wegetacyą, głębszą przepaścią lub malowniczem urwiskiem, tem łatwiej powoduje, że do fizycznego zmęczenia podróżnego zbyt prędko przybywa obojętność duchowa«. Ta obojętność duchowa musiała z natury rzeczy towarzyszyć także w przeprawie tej i Słowackiemu, odkąd, kołysząc się senny na siodle, jechał wśród nieurodzajnych spadzistości dawnej Judei. Przemoczony, zziębły, niewywczasowany, zmęczony konną jazdą, do której nie był przyzwyczajony, nie doznawał — zdaje się — silniejszego wzruszenia na myśl, że jedzie np. wzdłuż potoku, z którego odważny Dawid, pasterz z Betleem, miał obrać sobie pięć gładkich kamieni, szykując się do walki z Goliatem; albo, że wjeżdża do Emaus, »które było na 60 stajań od Jeruzalem«, jak mówi Pismo, i gdzie Chrystus objawił się dwóm uczniom swoim, zaraz pierwszego wieczora po zmartwychwstaniu.

Nareszcie po całodziennej podróży wśród wichru, słoty i zimna, zatrzymano się o godzinie dziewiątej wieczorem (dnia 13 stycznia) u bram Jerozolimy. Ale bramy były zamknięte. Dokoła panowała grobowa cisza, od czasu do czasu przerywana żałosnem ujadaniem psów miejskich. Deszcz ustał. Wiatr rozpędzał chmury, z za których chwilami wyglądał pucołowaty księżyc, oświecając romantycznie mury Świętego miasta i przywodząc na myśl »jakieś wspomnienia krzyżackie«, nietylko z *Jerozolimy* Tassa, ale i z *Grażyny* Mickiewicza. Lecz wszystko to, pomimo całej poetyczności sytuacyi, ustępowało na ostatni plan, wobec dojmującego uczucia niepewności, czy nie wypadnie stać tak u tych wrót Grodu Dawidowego do samego rana, czy przyda się na co gwałtowne stukanie do bramy, i czy wreszcie, jeżeli się nawet zjawi jaki strażnik, firmany baszy, jakie mieli przy sobie, uczynią im o tej porze wolnym wstęp do miasta? W przeciwnym razie musianoby nocować w polu? Te i tym podobne pytania dręczyły ich przez dwie godziny przeszło, po których upływie otworzono im

nakoniec bramę i pozwolono — po obejrzeniu firmanów — wjechać do środka.

Stosownie do zwyczaju, jaki panował podówczas, kiedy o hotelach nie miano w Jerozolimie wyobrażenia, zajechali na noc do jednego z miejscowych klasztorów. Przypadek zdarzył, że w tym samym klasztorze mieszkał właśnie i Spitznagel, który, nie śpiąc jeszcze, skoro usłyszał głos cudzoziemców, rozmawiających po polsku, schodzi na dół. Słowacki, widząc go i poznawszy odrazu, rzuca mu się w ramiona, wita, mówi: »Oleś, jak się masz?« Ale Oleś, osłupiały ze zdziwienia, milczy: nie poznaje Julka. Ten ostatni pyta go kilkakrotnie: »Jakto? Czy mię nie znasz?« i w odpowiedzi na to słyszy, co? »Niech pan daruje, ale, prawdziwie, nie przypominam sobie«. Wobec tego, nie pozostawało nic, tylko ze ściśnionem sercem, jak powiada, wymówić swoje imię i nazwisko. Ale i to nie na wiele się przydało; Oleś bowiem, dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, nie przestał być zimnym i sztywnym, a na propozycyę Julka, żeby o pół dnia chociażby przedłużył swój pobyt w Jerozolimie, odpowiedział, że nie może. Dziwne zaiste było to zachowanie się pana wice-konsula: rzekłbyś, że zdziczał na Wschodzie, że zatracił w sobie to ciepło serdeczne, które przy takiem, jak obecne, spotkaniu z dawnym towarzyszem zabaw i szaleństw studenckich powinno było przecież objawić się jakoś, wybuchnąć. Nie wybuchło. Poetę dotknęło to boleśnie; wszystkiego się spodziewał, tylko nie takiego obrotu sprawy. To też, widząc, że na rozmowie z nim nie zależy panu wice-konsulowi tak bardzo, że wiadomościami z kraju i z Europy nie interesuje się zbytnio, uważał za stosowne nie narzucać mu się, za czem poszło, iż wcześniej nierównie, aniżeliby przypuścić zdołał, powiedzieli sobie *Dobranoc*.

Następnego dnia, raniutko, rozstali się na zawsze. Skoro pan wice-konsul, już gotowy do podróży, a taksamo, jak wczoraj, zimny i sztywny, wszedł do celi Juliusza, ażeby mu powiedzieć do zobaczenia, Juliusz, odpowiedziawszy na jego chłodne uściśnienie dłoni nie wiele co gorętszem, odrzekł z dość gorzkim uśmiechem, że jeśli się mają rozstać w tej chwili, »to już zapewne nie do zobaczenia żegnać się trzeba«.

Cokolwiekbądź ta scena pożegnania ze Spitznaglem wprawiła poetę na samym zaraz wstępie w zły humor, i kto wie, czy nie to było powodem, że Jerozolima, ze swojemi ulicami, pamiątkami i zabytkami, nie zrobiła na uim szczególnego wrażenia. Na taki wniosek przynajmniej, oprócz listów do matki, w których o Jerozolimie, jako

mieście niema ani słowa, naprowadzają notatki, jakie tu sobie Juliusz w raptularzu swoim porobił, a które nie wynoszą nawet dwóch wierszy [1]). Z notatek tych wynika, że przedewszystkiem oglądano bramy jerozolimskie: bramę Jaffy, którą wjechali, bramę Damaszku, bramę św. Szczepana, prowadzącą do góry Oliwnej, i wreszcie, najpiękniejszą ze wszystkich, tak zwaną *Złotą bramę,* prowadzącą do meczetu Omara, która jest zamurowana, a którą, jak głosi podanie, Chrystus, idąc z »Betfagie«, miał odbyć swój ostatni uroczysty wjazd do Jerozolimy, na osiołku, przyczem, jak mówi św. Mateusz w rozdziale XXXI swej Ewangelii, »rzesza bardzo wielka słali szaty swoje na drodze, a drudzy obcinali gałązki z drzew i na drodze słali, a rzesze, które uprzedzały i które pozad szły, wołały, mówiąc: Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie! Hosanna na wysokościach!«

II.

Już to wogóle melancholijne słowa Nowego Testamentu przypominały się tutaj Słowackiemu na każdym kroku. Często pod wrażeniem tego przypomnienia, miał oczy zamknięte na teraźniejszość, a natomiast widział niemi, niby na jawie, w całej ozdobie, tę przeszłość boską, którą tu uświęconym się zdawał każdy zabytek, każdy kamień. Koło niego przechodzili różni ludzie w zawojach i szarych płaszczach — żydzi w ciemnych szlafrokach, kobiety, otulone muszlinowemi zasłonami, dzieci nawpół nagie, żebracy trędowaci, wielbłądy, konie, osiołki — on zaś, jakby senny, chodził pośrodku tego gwaru i zgiełku, nie widząc nic, myślą bowiem, duszą całą, w innym przebywał świecie: w świecie z przed tysiąca ośmiuset lat, kiedy po tych ulicach, po tej ziemi chodził Pan Jezus, otoczony uczniami, uzdrawiający chorych, opowiadający przypowieści i roztaczający dokoła siebie jakąś dziwną poezyę i słodycz, które rzeczywiście nie z tego były świata. Bo jak tu nie myśleć o Chrystusie! Jak nie zamarzyć o Nim, nie widzieć Go wewnętrznym wzrokiem ducha, idąc np. przez t. zw. *Via dolorosa,* skoro się wie, że tędy prowadzony był z ogrodu getsemańskiego na sąd przed Piłata a potem na Golgotę; że tutaj upadł trzy razy pod ciężarem krzyża; że tutaj,

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 352.

z tego okna, jak powiadają, rzekł Piłat swoje: *Ecce homo;* że tutaj, »gdy Go wiedli na śmierć, schwycili Szymona Cyrenejczyka, idącego z pola, i włożyli nań krzyż, aby go niósł za Jezusem«; że tutaj wreszcie, w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi, blady i wyczerpany, szedł chwiejnym osłabionym krokiem, wśród urągowiska bezmyślnej ciżby, i — jak Go nam ukazuje Sienkiewicz w swojej nowelli-poemacie: *Pójdźmy za Nim* — w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, oderwany już od ziemi, niebaczny na okrzyki nienawiści, nad miarę ludzkich przebaczań przebaczający i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie zło wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

Podobne uczucia budzić musiały w Juliuszu także i inne pamiątki Jerozolimy. »Z pod oliw Chrystusa, (czytamy w jednym z listów) wziąłem ziemi na moje martwe oczy«. W tymże liście powiada, że »okropną jest dolina Józafata«, ale (dodaje) żeby opisać wszystkie te szczególne wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcąc ziemię Palestyńską, trzebaby na to dzieła. »A ziemia to, o droga moja, jak piękna! Jakiemi karbunkułami ognistego koloru i błękitnej farby okryta, jakie narcyzy, jakie irysy, jak podobna do pięknego kobierca! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, nadają temu miastu straszną fizyognomię«.

Co się także do nadania fizyognomii tej pogodnego wyrazu nie przyczynia bynajmniej, to ów niewidzialny miecz Mahometa, jaki tu w tej stolicy Chrześcijaństwa panuje wszechwładnie, to owe meczety, minarety i półksiężyce, królujące nad całem miastem, a królujące tak despotycznie, że nie znoszą obok siebie ani jednego krzyża, nawet nad kościołem Grobu Chrystusowego! Ta przemoc brutalna, oburzająca i wołająca o pomstę, natchnęła Słowackiego — po latach — do napisania następujących oktaw:

O! ileż razy, ognisty proroku
Boga, wśród twoich wielbłądów klęczących,
Z księżycem srebrnym w rozgorzałem oku
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy pot nakształt obłoku
I szedł po stepie... Królu konających,
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo żórawi!

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiewające imię;

Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,
Na piersiach twoich odalisk zadrzymie,
Na falach twoich flota twoja drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe
Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniałe.

Próżno, o próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;
Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli pod bicze
Dani, jak Chrystus, kiedy w nich konało
Serce; i gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę, gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,
Zabłądzonemu w twoich palm zacisze
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,
Ale się podłem ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki, a w pustyni
Pod namiotami kiedyś, Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
Twe księżycowe śpiewając sztandary:
Gdy z wiatrem nieśli je Sallahedyni
Przeciwko złotym krzyżom innej wiary.
Araby ogień obsiędą stepowy
I słuchać będą, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
Które od wieków nie zmieniły chodu
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,
I takie same po zgonie narodu.
Tymczasem płomyk wstający z kulbaki
Palcami gasi olbrzymi król ludu,
I gaśnie państwo białego księżyca
Jak w poemacie *Dziadów* druga świeca[1]).

To »państwo białego księżyca« wyciska tu swoje piętno nawet w pobliżu samego Kościoła Grobu Świętego, który, jak wszystko w Jerozolimie, nietylko, że pozostaje pod policyjnym dozorem wyznawców koranu, ale służy jeszcze za tło całemu szeregowi scen charakterystycznych *à la Teniers,* scen, które na człowieka religijnego muszą przygnębiająco oddziaływać swoim rażącym kontrastem.

[1]) *Beniowski,* Część druga (pośm. wyd.) str. 33, 34.

Pomijając już licznych przekupniów, którzy u wnijścia do świątyni rozłożyli swoje stragany z różańcami, medalionami, obrazkami, wyrobami z perłowej macicy, z drzewa oliwnego etc., stoi tu zawsze kilkunastu żołnierzy tureckich, których zadaniem: przestrzegać porządku podczas natłoku pielgrzymów i o ile możności obchodzić się z nimi nie jak z ludźmi, ale jak z trzodą owiec.

W Słowackim dokonała ta bytność przy Grobie Chrystusowym doniosłego przewrotu moralnego, tak dalece, iż możnaby prawie powiedzieć o nim, że innym tu wszedł człowiekiem, a innym — lepszym — wyszedł. W jego życiu duchowem jest ta noc z dnia 14 na 15 stycznia, spędzona *samotnie* u grobu Chrystusa, chwilą przełomu, pod religijnym względem przynajmniej, odtąd bowiem, nietylko się utwierdził stanowczo w zasadach wiary, ale i katolicyzm jego nabrał hartu, siły przekonania i »dumy« [1]).

Ażeby zrozumieć owo głębokie wzruszenie, jakiemu tu, pod wpływem świętości otaczającej atmosfery, uległa dusza Słowackiego, trzeba sobie uprzytomnić to miejsce.

Kościół Grobu Świętego wznosi się dziś, według wszelkiego prawdopodobieństwa na temsamem wzgórzu, które się ongi nazywało Golgotą, a na którem ukrzyżowano Chrystusa Pana. Przybytek ten, oświecony mnóstwem lamp, jest niezmiernie tajemniczym. »Panuje tam ciemność, bardzo — zdaniem Chateaubrianda — sprzyjająca pobożności i skupieniu ducha. Księża chrześcijańscy, rozmaitych wyznań, mieszkają w rozmaitych częściach tego gmachu, zbudowanego w kształcie krzyża. Z wysokości arkad, pośród których zagnieździli się, jak gołębie, księża różnych wyznań, rozlegają się pieśni we dnie i w nocy: od rana do wieczora słychać organy zakonników katolickich, dzwonki księży abisyńskich, śpiewy mnichów greckich, żałosne pieśni Kofta. Nie wiemy, zkąd pochodzą te dźwięki; oddychamy wonią kadzideł, nie widząc ręki, która je zapala; i postrzegamy tylko, jak pośród kolumn przesuwa się i ginie w ciemnościach świątyń kapłan, który odprawiać będzie najświętsze tajemnice, w tychsamych miejscach, gdzie się spełniły niegdyś«. Przy wnijściu do kościoła leży płyta z czerwonego marmuru, przezwana *kamieniem namaszczenia,* na niej bowiem, jak głosi podanie, przed złożeniem do grobu ciała Chrystusowego, Józef z Arymatei namaścił je aloesem i myrrhą. Nie dalej, jak o jakie trzydzieści kroków, na

[1]) »Dziwna rzecz, jak we mnie katolicyzm jest dumny«. Zob. List z Florencyi, datowany d. 21 sierpnia 1838 r.

prawo, prowadzą drzwi do wielkiej rotundy, gdzie w samym środku, pod główną kopułą, jakby kościół w kościele, stoi kaplica Grobu Świętego. Wszedłszy tu, jest się olśnionym bogactwem i blaskiem różnokolorowych marmurów, srebra, złota i najprzedziwniejszych ozdób architektonicznych. Kaplica ta, na podobieństwo grobów wschodnich, składa się z dwóch komnat; na miejscu jednej z nich, większej, »Anioł Pański, zstąpiwszy z nieba, przystąpił i odwalił kamień odedrzwi i usiadł na nim. A kiedy w wieczór sobotni przyszła Marya Magdalena i druga Marya oglądać grób, Anioł, którego wejrzenie było jako błyskawica, a odzienie jego jako śnieg, rzekł, odpowiadając niewiastom: »Nie bójcie się wy. Bo wiem, iż Jezusa, który ukrzyżowan jest, szukacie. Nie masz go tu: albowiem powstał, jako powiedział. Chodźcie, a oglądajcie miejsce, gdzie był położony Pan« [1]). Do właściwego grobu prowadzi mały otwór prostokątny. W samym grobie może się pomieścić najwyżej cztery, do pięciu osób. Ściany są wyłożone śnieżnej białości marmurem. Pośrodku leży płyta marmurowa, rodzaj sarkofagu, pęknięta przez pół. Z sufitu, nad sarkofagiem, zwiesza się 48 lamp złotych i srebrnych, ciągle płonących; są to podarunki rozmaitych narodów z różnych czasów.

Powiada Słowacki, że sama myśl o tem, iż ma spędzić część nocy *sam jeden* u grobu Chrystusa, tak dalece wpłynęła na rozigranie jego nerwów, że w chwili, kiedy próg tego *sanctissimum* przestąpił, rzęsiste łzy rzuciły mu się z oczu; poczem, jak sam opisuje w swym sześciowierszowym fragmencie, pod wpływem tego uczucia skreślonym (ołówkiem w notesie)

rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!

i skarżył się grobowi, »a ta skarga była ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu« [2]). O godzinie 7-ej wieczór zamknięto kościół. Poeta został sam, i klęcząc, czytał przyniesioną z sobą biblię. Nad nim płonęło 48 lamp; i tak upłynęło mu 5 godzin. O wpół do 12-ej weszli do grobu: jakaś młoda kobieta i mężczyzna, zdaje się małżonkowie, którzy — jak się o tem poeta dowiedział później — mieszkali w klasztorze i zrobili *votum* odmawiać codzień w nocy pacierz na grobie Zbawiciela. Jakoż pomodlili się chwilę, poczem, ucałowawszy kamień, podeszli do Juliusza, i poca-

[1]) *Ewangelia św. Mateusza.* Rozdział 28. [2]) Pisma pośm. t. I, str. 189.

łowali go oboje w rękę. Zmieszany tem, nie wiedząc nawet jak się zachować wobec nich, czy przemówić co, czy milczeć, ani się spostrzegł, kiedy wyszli, zostawiając go znowu samego. O północy dał się słyszeć odgłos dzwonu drewnianego, zwołujący księży na modlitwę. Zakonnicy różnych wyznań, z których każde ma swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, zaczęli się budzić; grecka bogata kaplica — najbogatsza ze wszystkich — oświeciła się mnóstwem lampek różnokolorowych; ormiański kościółek na górze także zapalił świece i zaczął swoje śpiewy; Koft, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do pokrywającego grobowiec święty katafalku, począł również — jak to Słowacki dostrzegł przez szczeliny — dmuchać na żar i gotować kadzidło; katolicy w dalekiej (a nie tak ozdobnej jak grecka) kaplicy, zaśpiewali jutrznią: słowem, z uderzeniem północy, zbudziło się wszystko, ażeby, każde na swój sposób, modlić się i błogosławić Pana. Potem przyszła kolej na Mszę św. Najpierw odprawili ją Grecy (bo ci, nie wiedzieć na zasadzie jakiego przywileju, wszędzie mają tu pierwszeństwo), po Grekach Ormijanie, po Ormijanach zaś, o godzinie 2-ej w nocy, wyszedł z zamówioną przez Słowackiego Mszą św., za pomyślność Ojczyzny, Jezuita-rodak O. Ryłło (Maksymilian), któremu poeta klęcząc na tem miejscu, gdzie Anioł biały powiedział Magdalenie: »Niema Go tu, zmartwychwstał«, służyć miał do Mszy św.[1]).

---

[1]) Oto, co o O. Rylle pisze X. Semenenko (z Rzymu, d. 5-go marca 1838 r., do X. Krzyckiego): »O. Ryłło, z Telszewskiego, od kilkunastu lat do Włoch przybyły bez paszportu, odbył nowicyat i został Jezuitą. Stał się dość głośnym we Włoszech przez kazania, dawane rekolekcye etc. Był też profesorem retoryki w Collegium Romanum (w Rzymie). Przed rokiem (w 1836) został wysłany na Misyonarza na Wschód. Wszędzie go tam pełno było: w Egipcie, Jeruzalem, Syryi, Armenii, aż pod samą Rosyę. Trzeba (go) było widzieć pierwszego dnia, kiedy do Rzymu przyjechał, w zawoju i długiej złoconej szacie, którą mu pasza jakiś darował, z poważną brodą, fajką, żółtemi trzewikami z nosami do góry, etc. W O. Rylle będziesz miał towarzysza, jakiego tylko życzyć sobie możesz. W Jeruzalem, przy żłobie Pańskim, kiedy Mszę mówił, Słowacki Juliusz służył mu do Mszy«. Ob. ks. Paweł Smolikowski C. R. *Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, (Kraków, 1893), t. II, str. 78—80). Tamże załączony piękny portret O. Ryłły (w zawoju).

W swoich jowialnych *Preliminaryach Peregrynacyi do Ziemi Swiętej J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki* wyprowadza Słowacki kilkakrotnie O. Ryłłę, wymieniając go nawet po nazwisku. Np. »Ja, panie kochanku, żadnych nie mam powodów (do peregrynacyi do Ziemi Świętej) tylko, że mię świerzbi gdzieś, to chcę użyć przejażdżki: chcę zobaczyć, czy wiele durniów na świecie. Bo, że Jerozolima w ręku Turków, to, *jak mówi ksiądz Ryłło Jezuita*, nawet dobrze, a wiesz dlaczego? Bo, panie kochanku, gdyby chrześcijanie katolicy grzeszyli w ziemi, gdzie Chrystus Pan poniósł mękę na krzyżu, toby się Bóg gniewał;

Po skończonej Mszy, skoro wybiła trzecia, powrócił Słowacki, znużony i wyczerpany, do klasztoru, do swojej celi, gdzie po niejakiej chwili usnął »snem dziecka, które się zmęczy łzami«.

Drugą Mszą, która nim wstrząsnęła równie silnie, była ta, którą w kilka dni później zamówił w Betleem, a podczas której modlił się gorąco za matkę swoją i za Ojczyznę [1]). Tym sposobem zdarzyło mu się wysłuchać jednej Mszy św. w miejscu, gdzie Syn Człowieczy umarł, i jednej, gdzie się narodził, gdzie stał ów żłóbek, w którym Boskie Niemowlę złożono. I dziękował Bogu, że mu te święte zabytki oglądać pozwolił; albowiem — słowa są jego własne — wszystko to napełnia serce jakąś prostotą i świętością, albowiem »miło jest być w prostej grocie, gdzie Anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana«, i widzieć wieśniaka (Araba) orzącego przed tą grotą; nie mówiąc już o tem, że miło jest, oprócz świętości Betleemu, podziwiać także i słynne z uroku kobiety betleemskie, o których powiada Chateaubriand, że regularność ich rysów, piękność kształtów i sposób noszenia zasłony, przypominają posągi kapłanek i Muz. Swoją drogą, dodaje tenże pisarz, nie stosuje się to do wszystkich. Te piękne posągi są częstokroć osłonięte łachmanami; piękną kibić psuje brud; słowem, nie trzeba na nie patrzeć bardzo zblizka, ale poprzestawać na ogólnem wrażeniu i nie wdawać się w szczegóły.

Z drugiej strony zaprzeczyć się nie da, że miło jest chodzić po takiem mieście, sprawdzając osobiście, czy słynne z piękności jego mieszkanki, zasłużoną cieszą się sławą, taksamo, jak miło jest widzieć w pobliżu »wioseczkę Jerycho, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza boskiego«. Ciekawem tylko byłoby zbadać, co do wyobraźni

---

a że Turcy grzeszą, to się nie gniewa. Exemplum, panie kochanku, jak pies podejmie nogę czwartą w Pańskim pokoju, to się pan Wojewoda nie obrazi; lecz gdyby człowiek jaki, choćby kolligat, popełnił taką niegrzeczność, tobym ja mu sam kazał wylizać podłogę. Czy rozumiesz parabolę, panie kochanku? Turcy to psy«. — »Ksiądz Ryłło ma racyę, J. O. książę, ma słuszną racyę«. — »Ksiądz Ryłło nie wie, co gada, a ja wolę księdza gwardyana, co tu ze mną pił przez godzinę, choć ma reumatyzm. Ksiądz Ryłło, kiedym mu pokazywał Najświętszą Pannę na księżycu, to jej nie spostrzegł! Ślepy mój żóraw widział Najświętszą Pannę na księżycu i nie zadał mi kłamstwa przed ludźmi. Ksiądz Ryłło ma przysłowie: *wolno wierzyć, wolno nie*, a to gorsze dla moich uszu, niż kiedy Skorubski mówi: Bóg mój, wszystko moje, oprócz... A i to także kłamstwo, bo Nieśwież nie jego, ale Radziwiłłów. Więc pan Skorubski ma racyę, a nie ksiądz Ryłło. Gadałbym z tobą dłużej, ale mi ksiądz Ryłło zadał pokutę, a już późno«.

[1]) *Listy*, I, 261; II, 4.

Słowackiego i Brzozowskiego bardziej przemawiało: czy Jerycho ze swojemi wspomnieniami z zamierzchłej przeszłości, czy też Betleem ze swojemi powabnemi przedstawicielkami teraźniejszości?

Cokolwiekbądź, widok Morza Martwego zrobił na nich przygnębiające wrażenie. Jego ponura dzikość i martwota, jego wybrzeża skaliste, bez drzew, bez trawy, ba, bez mchu nawet, jego woda spokojna, szklista, jak rozwarta źrenica człowieka umarłego, jego bagna i ławice piaszczyste dokoła, przejmują jakiemś niepojętem uczuciem trwogi, zwłaszcza, jeżeli się komuś taka tutaj wydarzy przygoda, jak Słowackiemu. »Będąc tam (pisał o tej przygodzie w liście do matki), cała kawalkada nasza konno wjechała na trzęsawicę i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę. Widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go przedniemi nogami na krzaku, przypominający ów ustęp z Biblii, gdzie pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska. Towarzyszący nam Arab na pysznym koniu, walcząc z zapadającą się głębią, prawdziwie był podobny do jakiego bałwochwalskiego króla«.

III.

Po obejrzeniu Betleem, Morza Martwego, Jordanu, oraz wioski i doliny Jerycho — ojczyzny słynnych róż jerychońskich — co wszystko razem, wraz z doliną Józafata, stanowi jednodniową wycieczkę z Jerozolimy, pożegnano święte miasto Grobu Chrystusowego, i udano się konno do odległego ztąd o 20 mil Nazaretu.

Na wyjezdnem z Jerozolimy zdarzył się Słowackiemu wypadek, który mu niemało dał do myślenia, w jego mniemaniu bowiem, był to poprostu jeden dowód więcej, stwierdzający istnienie jakiejś misyi, do której spełnienia na ziemi powołał go Pan Bóg. Oto Kurd jeden, który mu konie wynajmował, kiedy się szykowali w drogę do Nazaretu, nazywał się Kirkor, taksamo, jak ów Kirkor, który wykrzykuje w *Balladynie*, że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby Zbawcę. Dlaczego rycerz ten pokazał mu się teraz właśnie, w Jerozolimie? [1]).

---

[1]) *Listy*, II, 135. W tymże liście, z d. 30 listopada 1844 r., bezpośrednio po tem opowiadaniu o Kirkorze, czytamy, co następuje: »Rzeczy te, małe (same przez się), uważane, dowodzą, że *spełniamy jakąś missyę*, że nas *trzeba było*, abyśmy byli, a nie będzie, jak nie będzie potrzeba«.

Pytanie to nie dawało mu spokoju przez cały czas podróży do Nazaretu. Myśl, że zesłany jest od Boga, ażeby spełnił jakąś misyę, tłukła mu się po głowie, jak ptak w klatce, i nie mógł się jej pozbyć w żaden sposób; przeciwnie, przypominały mu się różne inne zdarzenia w życiu, których sobie wytłómaczyć na razie nie umiał, do których w pierwszej chwili niewielką przywiązywał wagę, a które jednak, rozważone razem, kazały się domyślać jakiegoś niewytłómaczonego związku jego osoby ze światem nadprzyrodzonym.

Naprzykład ten wypadek z Salmonem w Silii, bohaterem jednej z jego młodzieńczych tragedyi o Wandzie. Nie upłynął rok od czasu jej napisania, kiedy istotnie jakiś Salmon zabił Juliusza w lesie, nie dla pieniędzy, ale *tak, jak w tragedyi,* dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane [1]).

Albo to dziwne spotkanie się jego nazwiska z nazwą jego rodzinnego miasteczka — w jednej strofie *Jerozolimy wyzwolonej.* Ktoby mógł przypuścić, że w tym poemacie Tassa, na dwa wieki przed jego przyjściem na świat przełożonym na polski przez Piotra Kochanowskiego, znajdzie się wzmianka o Słowackim i o Krzemieńcu, i to w jednej strofie! Zkąd w poemacie Tassa sposobność do wymienienia tych dwóch nazwisk, Słowackiego i Krzemieńca w XVI wieku! A jednak, choć to się tak wydawało nieprawdopodobnem, nikt zaprzeczyć nie mógł, że jest w Kochanowskiego przekładzie *Jerozolimy wyzwolonej* taka strofa, w której, w ostatnich czterech wierszach znajduje się nazwisko Słowackiego obok wzmianki o Krzemieńcu. Mniejsza o to, że oba nazwiska są wymienione w innem znaczeniu — inaczej być nie mogło — ale sam fakt, że w XVI wieku, pisarz, który po upływie 200-tu lat stanie się ulubionym pisarzem jednego ze swoich następców po lutni, wypisuje jego nazwisko, obok nazwy jego rodzinnego miasta, w jednem zdaniu, w jednym poetycznym okresie: czyż taki fakt nie może dać do myślenia? Czyż poeta, nazwiskiem Słowacki, urodzony w Krzemieńcu, nie ma prawa być dziwnie uderzony tym szczególnym przypadkiem, kiedy wziąwszy swego ulubionego autora do ręki, znajdzie w nim między innemi, taki ustęp:

Blisko **Słowackim** *bił się Woyskiem iezdnym*
Ernest postawą srogi y zuchwały:

---

[1]) *Listy,* II, 135.

Przed nim, kęs dalej, widać Aldoarda,
Kiedy z **Krzemieńca** *gnał króla Lombarda.*

A jednak strofa taka znajduje się w *Jerozolimie* Tassa przekładania Piotra Kochanowskiego [1]).

Albo to dziwne uczucie, którego doznawał raz po raz, w czasie swej podróży po Grecyi i Egipcie. Co obejrzał jaką dolinę, jaką górę, jakie ruiny, zawsze zgadywał, co będzie dalej. Pojąć nie mógł, zkąd mu na myśl przychodziły obrazy okolic, które zwiedzał pierwszy raz w życiu. A jednak faktem było, że zawsze zgadywał, co będzie dalej, i podróżując po tych starożytnych ziemiach, wciąż doznawał uczucia, że już zwiedzał kiedyś te kraje, że je zna zkądciś, że się w nich oryentuje, jak w dobrze znanej sobie okolicy. I teraz, w Ziemi Świętej, często doświadczał podobnego uczucia. Jak sobie to wytłómaczyć? [2]).

Cokolwiekbądź, nie można było nie brać wypadków takich w rachubę; że dowodziły czegoś, o tem nie wątpił.

Zawitano nareszcie — po całodziennej podróży — do Nazaretu. Jakie w Słowackim pobyt w tem mieście rodzinnem Najwiętszej Maryi Panny obudził uczucia, o tem głucho w jego listach do matki; w jednym tylko, w r. 1845 pisanym [3]), powiada, że kiedy był w Nazarecie, to, poszedłszy do lasu oliwnego, siadł przy studni i czekał, ażali mu się jaka postać podobna do Matki Boskiej między Nazaretankami nie zjawi. A wyobrażał ją sobie podobną« nie do żadnej włoskiej Madonny, ale taką, jaką widział niegdyś na cudownym obrazie berdyczowskim, w tęczowych kolorach, z niebieską przejrzystością i blaskiem«.

Z Nazazetu pojechano do miasta Bir-Napluza, zkąd Jozue klął Samarytance. Po drodze oglądano słynną Kannę Galilejską [4]). Ale miejscowości te, pomimo wspomnień, jakie są przywiązane do nich, z czasów Chrystusa i wojen krzyżowych, zastały Słowackiego znużonym, i co za tem

---

[1]) *Curiosum* to znajduje się w księdze XVII, strofa 73, na str. 517 edycyi krakowskiej z roku 1687. W oryginale włoskim brzmi ten ustęp, jak następuje:

Non lunge ferocissimo in aspetto
Fea contra **schiavi** *Ernesto opre leggiadre:*
Ma innanzi alui l'intrepida Aldvardo
Da Monselce *escludeva il re Lombardo;*

Tym sposobem, w tłomaczeniu polskiem, ze *Schiavi* zrobili się Słowacy, a z *Monselce* (mons-silex) — Krzemieniec. [2]) Zob. Michała Budzyńskiego *Wspomnienia mojego życia*, cytowane w mojej książce *O Słowackim i Krasińskim* (Kraków, 1895) str. 329. Psychologiczne, a raczej fizyologiczne wytłómaczenie tego szczególnego zjawiska podaje Th. Ribot w swoich *Chorobach pamięci*. [3]) *Listy*, II, 147. [4]) *Listy*, I, 4.

idzie, mniej wrażliwym na mnóstwo rzeczy, któreby go może uderzyły tutaj, gdyby się zetknął z niemi w innem usposobieniu.

Dopiero kiedy stanęli nad brzegiem jeziora Genezaretańskiego, odzyskał dawną wrażliwość, chwilowo przytępioną nadmiarem wrażeń, i znów go wszystko, co widział, poczęło zachwycać, rozczulać. Nadewszystko zachwycony był widokiem jeziora Genezaretańskiego: widok zaś »martwej a świeżo zmarłej« Tyberyady, niewielkiego miasteczka leżącego w gruzach po ostatniem trzęsieniu ziemi (tem, które Słowacki odczuł w El-Arish), obudził w nim głębokie współczucie, zwłaszcza, kiedy mu powiedziano, że pod gruzami temi znalazło śmierć 500 osób, z których jeszcze nie wszystkie nawet wydobyto. Na szczęście, zatarła to bolesne wrażenie pogodna piękność Genezaretańskiego jeziora, które mu od pierwszej chwili przypomniało błękitne wody Lemanu i pannę Wodzińską; a myśląc o niej, mógł śmiało zastosować do siebie to, co z czasem włożył w usta swojemu *Królowi-Duchowi,* mianowicie:

Iryda za kosą
Wlokąca tęcze, gwiaździce i róże,
Nie jest mi piękną tak, gdy z niebios spada,
Jak to wspomnienie;

więc opadła go znowu szalona, głębokiemi westchnieniami ujawniająca się tęsknota po tych krótkich a niepowrotnych zapewne dniach szczęścia, kiedyto w towarzystwie Maryi zrywał stokrótki w Paquis...

A kiedy blaski zeszły z mego czoła
Zdawało mi się, żem cały *tęsknotą*
Omdlewał w sercu po blaskach *Anioła*,
Jak po tej, która przez aleję *złotą*
Pełnym księżycem na wieczność odeszła [1]).

Wyrażenie »kiedy blaski zeszły z mego czoła«, znaczy w tym razie: kiedy zaszło słońce i kiedy nad jezioro wytoczył się z za gór blady księżyc.

---

[1]) Z wierszem tym, *napisanym w Ziemi Świętej*, a po raz pierwszy w *Bibl. Warsz.* (1893, II, 185) ogłoszonym, trzeba porównać koniecznie (ażeby zrozumieć, jak się w umyśle poety pod wpływem tęsknoty za Maryą Wodzińską wytwarzał poemat *W Szwajcaryi)* pierwszą zwrotkę tego utworu:

Odkąd zniknęła, jak sen jaki *złoty*
Usycham z żalu, *omdlewam z tęsknoty;*
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do *Aniołów*,
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej, i do tej kochanki.

Chcąc zrozumieć psychologię Słowackiego w ciągu tej cichej nocy księżycowej, spędzonej i przemarzonej nad Genezaretańskiem jeziorem, gdzie Chrystus niegdyś, siedząc w łodzi, nauczał skupione dokoła Niego rzesze, wystarcza przeczytać list poety do matki, pisany już po powrocie z Ziemi Świętej (z Livorno 11 lipca 1837), a gdzie obok innych, nie mniej poetycznych, i chciałoby się rzec, *anhellicznych* ustępów, znajduje się i następujący: »Nad jeziorem Genezaretańskiem spałem pod gołem niebem, bo się wszystkie domy przez trzęsienie ziemi były zapadły, i choć byłem z głową nakryty od rosy, obudził mię wschód księżyca. *Jakato była chwila! Ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichem Genezaretańskiem jeziorem, tego wypowiedzieć nie mogę!*«

O jakiej chwili, o jakich pamiątkach myśli tu Słowacki? Dla wtajemniczonych w dzieje jego serca, odpowiedź na to pytanie bardzo łatwa. Wystarcza poprostu zajrzeć tylko do poematu *W Szwajcaryi*, a klucz do rozwiązania zagadki znajdzie się sam, jak gdyby od niechcenia.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą...
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi biały pierścionek Dyanny;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą:
Jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą.
Jeżeli o czem zapomnieć, zapomną.

O takiej chwili zdarzało mu się nieraz przepraszać z Maryą, jeśli ich w ciągu dnia przypadkiem »różowa poróżniła sprzeczka«; o takiej chwili siadywali często w sielskich progach wiejskiego domu pani Patteg, i rozmawiając »o rzeczach anielskich«, patrzyli we wschodzący z za śnieżnej kopuły Mont-Blanc księżyc.

Oto były owe »pamiątki«, które mu tenżesam księżyc oświecał teraz nad Genezaretańskiem jeziorem, a których »wypowiedzieć nie mógł« w liście do matki. Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, że już po nich nie przyszły z kolei inne, niemniej rozmarzające, niemniej rzewne. Na pytanie zaś: cóżby mu jeszcze mogło się tu przypomnieć? odpowie, sądzę, zadowalniająco zupełnie *Anhelli*, którego pomysł, kto wie, czy się nie urodził w głowie poety tutaj właśnie, podczas tej cichej nocy nad jeziorem Genezaretańskiem

spędzonej. Bo nie ulega wątpliwości, że rozdział V, jeden z najpiękniejszych w tym przepięknym poemacie, powstał pod wpływem tej właśnie nocy [1]). Czytając go, oddycha się że tak powiem, atmosferą Genezaretańskiego jeziora, »nad którem niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć cierpiał w głębi serca« [2]). Jednego wieczora, czytamy tam naprzykład, przechodzili Szaman z Anhellim około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen. A Szaman, ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej, rzekł: Oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła; a teraz opowiada siostrom swoim na dnie, że zobaczyła niebo, i opowiada o niebie różne rzeczy, i z tego ma sławę między inszemi rybkami. Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku. Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi rozpowiadającymi o Bogu i niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawani są«. Takie rybki, jak te (o których przypowieść powyższa tak wyraźnie wzorowana jest na przypowieściach Chrystusowych) widział Słowacki nietylko nad jeziorem Genezaretańskiem po zachodzie słońca, ale i na jeziorze Genewskiem. Raz nawet — i ta chwila właśnie stanęła mu przed oczyma najżywiej — przypatrywał się im tam o niezwykłej dnia godzinie, bo o świcie, po owym balu u państwa Wodzińskich, na którym, z powodu chłodnej obojętności, z jaką dlań była tego wieczoru panna Maryanna, nie bawił się dobrze. Smutne przypomnienie! [3]). Na widok rybek, żwawo pluskających się w wodzie i połyskących srebrną skrzelą, dziwne — pamiętał — przesuwały mu się wtedy przez głowę porównania: myślał o swojej doli i żałował, że nie jest taką płotką. Co szczególniejsze, to, że i dzisiaj nie był dalekim od podobnych refleksyi: pozierając na spokojne, jakby uśpione wody Genezaretańskiego jeziora, sam nie wiedząc czemu, »poddawał się smutkowi i tracił nadzieję«, a »zamyślony zbytnio o rzeczach duszy«, jak Anhelli, w żaden sposób nie mógł zapomnieć o tej, którą uważał przez pewien czas za swoją »siostrę na wygnania ziemi«, a której wspomnienia tkwiły w nim jeszcze (pomimo, że

---

[1]) W rodziale VIII *Anhellego*, czytamy między innemi co następuje: I przyszli nad jezioro podziemne i postępowali brzegiem ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzieniegdzie od światła kagańców. I rzekł Szaman: *Jestże to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?* [2]) *Listy*, I, 253. [3]) *Listy*, I, 210.

rok już minął dawno, jak się rozstali) tak silnie, że mimowoli był im tu powolniejszy o wiele, aniżeli innym wspomnieniom, ogólniejszym, idealniejszym, bardziej z miejscowością związanym, wspomnieniom, które mu nad jeziorem Genezaretańskiem powinny były być przytomne w pamięci przedewszystkiem. Bo tutaj przecież — jak o tem nie zapominał zresztą — rozgrywały się najpiękniejsze, najrzewniejsze sceny w życiu Chrystusa; tutaj, nad tem jeziorem, »wyszedłszy Jezus, ujrzał rzeszę wielką: i był ruszony miłosierdziem nad nimi, iż byli jako owce niemające pasterza, i począł je uczyć wiela rzeczy« [1]); tutaj, »wziąwszy pięcioro chleba i dwie rybie, i wejrzawszy w niebo, błogosławił i łamał chleb, i dawał uczniom swoim, aby przed nie kładli: i dwie rybie podzielił wszystkim. I jedli wszyscy, a najedli się. I zebrali ostatki, ułomków dwanaście koszów pełnych, i z ryb. A tych, którzy jedli, było pięć tysięcy mężów« [2]); tutaj, na tych samych wodach, tak spokojnych teraz, kiedy uczniowie Jego, zaskoczeni burzą i wiatrem przeciwnym, w żaden sposób nie mogli dobić do brzegu, On »przyszedł do nich, *chodząc po morzu,* i chciał je minąć. A oni, skoro ujrzeli Go chodzącego po morzu, mniemali żeby była ułuda i zakrzyknęli. Albowiem wszyscy Go widzieli, i zatrwożyli się. A natychmiast mówił z nimi, i rzekł im: Ufajcie, jamci jest, nie lękajcie się. I wstąpił do nich w łódź, i ustał wiatr« [3]). Wszystkie te sceny nie mogły nie zaprzątać umysłu i wyobraźni Juliusza podczas owego noclegu nad brzegiem Genezaretańskiego jeziora; było to nieuniknione, taksamo, jak nieuniknionem było do pewnego stopnia, aby podniosłe wrażenia, odebrane w ciągu tej nocy, nie odbiły się z czasem w którym z utworów poety.

Jakoż odbiły się istotnie w *Anhellim,* w rozdziale V, gdzie Szaman, otoczony gromadą Sybirców, którzy łowią ryby w jeziorze, tak uderzająco podobnym jest do Chrystusa. Istotnie, jest niepodobieństwem poprostu niepomyśleć o Chrystusie nad jeziorem Genezaretańskiem, kiedy się czyta w *Anhellim* o owych rybakach, którzy »spostrzegłszy Szamana, przybyli ku niemu, mówiąc: Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc Ciebie między nami. Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy Ci łoże w łodzi (jak uczniowie Chrystusa swojemu Mistrzowi). Usiadł więc Szaman na

---

[1]) *Ewangelia św. Marka,* VI, 34. [2]) Tamże, V, 41, 42, 43, 44. Ob. nadto: *Listy,* I, 261. »Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami. Na jednej z nich stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów«. [3]) *Ewangelia św. Marka,* VI, 48, 49, 50, 51.

ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe«. Tosamo da się powiedzieć także o scenie, w której Szaman, ulegając prośbom kobiet i dzieci, sprawia, że na wołanie jednego z dzieciątek, wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite, i skrzydła białe na ramionach, duch, który ujrzawszy się wolnym, »poszedł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe«. Że, pisząc tę scenę, wyobrażał sobie Słowacki Anhellego podobnym do promiennej postaci Zbawiciela, chodzącego po morzu Genezaretańskiem, na to znajduje się dowód w liście poety z Florencyi z dnia 10 lipca 1838 r., gdzie powiedziano jest o Anhellim wyraźnie, że »melancholiczną i *trochę Chrystusową ma twarz*«. Można też być pewnym niemal, że pisząc tę scenę, miał Słowacki żywo w pamięci ową noc, nad jeziorem Genezaretańskiem wspólnie z Brzozowskim przebytą, a gdzie, jak sam powiada, przez cały czas prawie »Chrystus mu był przed oczyma. Zdawało mi się (mówi), że postać Jego spokojna stoi jeszcze na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami«.

ROZDZIAŁ VI.

W SYRYI. POWRÓT DO EUROPY.

I. Przyjazd do Damaszku. Tragedya *burlesque* o O. Rylle. Przeprawa przez Liban i Antiliban. Ruiny Balbeku i Palmiry. Przyjazd do Bayrutu. Słowacki nie chciał jechać do Konstantynopola. Rozstanie z Brzozowskim (luty 1837). II. Tydzień w Bayrucie. O. Ryłło. Malarz-Włoch. Poeta przenosi się do klasztoru Betchesz-ban. Wspomnienia Lemanu. Harmonijne życie w klasztorze. Legendy miejscowe. Myśli o wstąpieniu do klasztoru. Sen o Ludwice Śniadeckiej. Listy matki. Romansowe źródło. Pomysł *Anhellego*. Spowiedź wielkanocna. D. 29 marca 1837 r. Powrót do Bayrutu. Pożegnanie z księżmi (kwiecień 1837). III. Oczekiwanie na okręt. Znajomość z konsulem francuskim. Zabijanie nudów — książkami. Spotkanie ze Stefanem Hołyńskim. Jemu dedykowany *Anhelli*. Wspólne życie w Bayrucie. Cmentarz turecki. Jego opis w *Beniowskim*. Piękności wschodnie. Ostatni wieczór w Bayrucie. »Feta« w domu konsula francuskiego. Rozstanie z Hołyńskim. Powtóre spotkanie w Tripoli. Piękny dzień. Powtórne rozstanie. 40 dni na morzu. Życie na okręcie. Cypr. Sycylia. Hymn do Najświętszej Panny. Myśl o autorze *Irydiona*. Wyspa Elba. Przyjazd do Livorno. Kwarantanna. Tęsknota za Wschodem. Korzyści odbytej podróży. Wyrzuty sumienia. Trzy listy. Wiersz *Do księgarza* (kwiecień — 11 lipca 1837).

I.

Z Tyberyady, po pięciu dniach podróży konnej wśród okolicy malowniczej i górzystej, bramowanej śnieżnemi szczytami Libanu na dalekim horyzoncie, przybyli Słowacki i Brzozowski do Damaszku. Powiada Słowacki, że mu się to miasto, swoim charakterem wschodnim przypominające Kair, nie bardzo podobało. Nie uważał, żeby było interesujące; może dlatego, że miast takich widział już przedtem kilka, że nie znalazł tu nic nowego. Arabi, uwijający

się konno lub na wielbłądach po ulicach; kobiety z przesłoniętemi twarzami, elektryzujące przechodnia-Europejczyka powłóczystemi spojrzeniami swoich wielkich, czarnych oczu; bazary, kawiarnie, kawa z fusami, kopuły meczetów, śpiewy muezinów, wysmukłe minarety: wszystko to straciło już dlań pierwotny urok nowości i, co zatem idzie nieodbicie, przestało zajmować i bawić. W szczęśliwszem położeniu, o tyle przynajmniej, że mu się tu nie nudziło, był Zenon Brzozowski, dla którego Damaszek był przedewszystkiem największem na Wschodzie targowiskiem koni arabskich, i który pragnął ztąd zaprowadzić do kraju kilka pięknych rumaków. Jakoż udało mu się zamiar swój doprowadzić do skutku; chwile zaś, w których ze Słowackim razem oglądali, targowali i próbowali różnych potomków słynnego rodu końskiego Nedżów, kto wie, czy nie były z czasem przytomne w pamięci Słowackiemu, kiedy kreśląc przygody Beniowskiego w Krymie, pisał następujące oktawy:

...Pod wieżą stały dwa piękne rumaki.
Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:
»Wybierz, obydwa latają jak ptaki,
Obydwa z Nedżów i mają swój rodnik
W złotym woreczku na przodzie kulbaki;
Jeden drugiemu jest jak współzawodnik
Równy: więc wybór zostawuję Waści.
Weź, który lepiej się podoba z maści«.

Czarnego wybrał Beniowski i skoczył
Na siodło drogim sadzone kamieniem;
Potem na piasku koło nim zatoczył...
Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem
I piasku wcale morskiego nie tłoczył,
Dumny szlachetnem swojem urodzeniem
I tą metryką, co go z Nedżów wiodła,
W złotym woreczku wiszącą u siodła[1]).

Damaszek jednakże, jak wiadomo, słynie szeroko w świecie nietylko ze swego targu końskiego, ale i ze swoich fabryk broni, w których wyrabiano owe sławne klingi damasceńskie, tak pożądane przez naszych Karmazynów. Słynna »rózeczka« Maćka nad Maćkami, którą jak knot ze świecy obcinał bagnety z rur karabinów moskiewskich, pewno była rodem z Damaszku! Słowacki, będąc tu z Brzozowskim, musiał oglądać te fabryki, musiał, zwiedzając miejscowe bazary, widzieć na nich, porozkładane w nieładzie, przepyszne, drogiemi kamieniami wysadzane rękojeści pistoletów, krzywe szable tureckie, połyskujące

[1]) Pism. pośm. II, 84.

w słońcu, jak gdyby uśmiechające się złowrogo etc. Jest nawet jedna w *Beniowskim* oktawa, która poniekąd naprowadza na ten wniosek:

Broń była cudna: rubinów płomienie
Po pistoletach szły jak iskier sznurek;
Rura u strzelby z drutów, a w desenie
Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;
Nie był to *Lepaż*, lecz taką na ścianie
Wolałbym wieszać dziś, niż sto dwururek
Paryskich. Szabla także była krzywa;
A tak się zdała żądać krwi, jak żywa [1]).

Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że znalazłszy Damaszek »nieinteresującym«, Słowacki nudził się w jego murach lub był w niedobrym humorze; bo jeżeli o humor chodzi, to miał go tu więcej, niż gdziekolwiek indziej. Mieszkając — jak i w innych wschodnich miastach — w klasztorze (bo niema prawie miasta na Wschodzie, gdzieby się nie znajdował choć jeden klasztor chrześcijański) nie długiego potrzebował czasu, żeby się z miejscowymi zakonnikami zaprzyjaźnić i być z nimi wkrótce na takiej stopie, jakby się znali oddawna. Nie inaczej też miała się rzecz i z księdzem Ryłło, owym Jezuitą-misyonarzem, któremu do Mszy św. służył w Jerozolimie, a z którym teraz zjechawszy się przypadkiem w Damaszku, pod jednym mieszkali dachem, w tym samym klasztorze. Jakkolwiek znali się z sobą od niedawna i widzieli raz czy dwa wszystkiego, stosunek, jaki od samego początku zapanował pomiędzy nimi, równał się prawie poufałości, do czego głównie przyczynić się musiał sam Ryłło, człowiek wesoły z natury i sensat, który po sumiennem spełnieniu swych obowiązków kapłańskich lubił się rozerwać w przyjemnem towarzystwie. A że Słowacki i Brzozowski potrafili być, kiedy chcieli, przyjemnymi towarzyszami, co i o zakonnikach owego damasceńskiego klasztoru powiedzieć było można, więc bawiono się chwilami — zwłaszcza przy stole — wcale nie źle, jak za dobrych czasów Boccaccia. Któregoś wieczoru, po kolacyi, Słowacki, który w tych czasach, jak sam przyznaje [2]), był dziwnie skłonnym do improwizacyi, zaimprowizował o księdzu Rylle »tragedyę burlesque«, która tragicznością swą bardzo korzystnie przyczyniła się do strawienia spożytego niedawno klasztornego obiadu. Nawiasem mówiąc, od obiadów tych wstawał Słowacki zazwyczaj głodny, co — jak powiada dowcipnie w jednym

[1]) Pism. pośm. II, 83. [2]) *Listy*, II, 30.

z listów do matki — usposabiając go wyjątkowo poetycznie i podniecając znakomicie jego władze imaginacyjne, o tyle silniej rozbudzało w nim improwizatorską wenę.

Z Damaszku, razem z tabunem zakupionych przez Brzozowskiego koni, które pędzono przodem, puszczono się w drogę do Bayrutu. Przeprawa ta, stanowczo jedna z najprzyjemniejszych w całej podróży, raz, że odbywali ją przy najcudniejszej pogodzie, a powtóre, że za tło służyły jej malownicze doliny, przepaści, skały i śniegi Libanu, rozmarzyła Słowackiego i rozpoetyzowała. »Śniegi gór, powiada, także mię dalekiemi napełniły wspomnieniami«. Czego zaś, jakich chwil były to wspomnienia? Samo się przez się rozumie, że Szwajcaryi i owej wycieczki z rodziną Wodzińskich w Alpy Berneńskie.

Nakoniec, przebywszy śnieżny Antiliban, znaleźli się »między ruinami prześlicznemi Balbeku«. Zwaliska te, jedne z najpiękniejszych na świecie, podobały się Słowackiemu niezmiernie. »Pamiętasz, droga (pisał o nich między innemi do matki), że kiedyś, a temu bardzo dawno, leżało u nas na fortepianie dzieło wielkie, z ogromnemi sztychami, o ruinach Balbeku i Palmiry. Stojąc między kolumnami rzeczywistemi teraz, przypomniałem sobie te chwile dzieciństwa, kiedy to przeglądałem je na obrazku, i serce moje było pełne smutku«. Całe szczęście, że smutek ten — zapewne nie wielki — nie mógł trwać długo, odkąd bowiem zjechali z gór w dolinę, powitała ich najrozkoszniejsza wiosna, morze zieloności. Jedne drzewa nie potraciły jeszcze dawnych liści, drugie przystrajały się właśnie w świeże; migdały prószyły kwiatem; słońce opromieniało wszystko jakąś grecką pogodą: poprostu Ziemia Obiecana, mlekiem płynąca i miodem.

A w takim razie Bayrut mógłby uchodzić za jej stolicę. Bo nic piękniejszego, jak położenie tego miasta, które rzucone na egzotyczne tło śnieżnych szczytów Libanu z jednej a morza z drugiej strony, wśród najcudowniejszej roślinnności, ma sławę na całym Wschodzie ze swego klimatu łagodnego i swoich pięknych kobiet (których widoku Słowacki zawsze był żądny, czem zresztą nie różnił się zapewne i od swego towarzysza). Przybywszy tu, zmęczony dwumiesięczną podróżą na koniu, postanowił Słowacki odpocząć (co wobec »mnóstwa cudownie pięknych twarzyczek«, spotykanych na ulicy, podwójny przedstawiało dlań urok) i rozłączyć się z Brzozowskim. Ten ostatni chciał jeszcze — głównie ze względu na zakupione w Damaszku konie — być w Konstantynopolu. Słowacki koni nie kupował, odprowadzać ich nad Bosfor, ażeby je

ztamtąd wytransportować okrętem do Odessy, nie potrzebował, a Konstantynopola nie był ciekawy. Czemu? Przedewszystkiem uważał, że dosyć się już napatrzył miastom wschodnim, od których Konstantynopol mógł być co najwyżej brzydszym, a powtóre, rzecz szczególna! miał jakieś uprzedzenie do tego miasta. Czemu? Nie chcę utrzymywać napewno, ale zdaje mi się, że odpowiedzi na to pytanie szukać należy w trzeciej pieśni *Podróży na Wschód,* w której to pieśni znajdują się między innemi i następujące strofy, widokiem Leukady natchnione:

Znałem, lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki, a uszy *w Konstantynopolu.*

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna nad brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

Jakiekolwiek były zresztą powody, dla których Słowacki nie miał ochoty jechać do Konstantynopola, skończyło się na tem, że postąpił sobie, jak zadecydował: Brzozowski, wypocząwszy dzień jeden, puścił się dalej na północ ku Bosforowi; on zaś, »nie bardzo smutny z rozstania«, został w Bayrucie, ażeby, przeczekawszy tu burze wiosenne, wsiąść na okręt i popłynąć do Europy, do Włoch, gdzie miał zamiar osiąść na czas dłuższy we Florencyi, a dokąd towarzysz podróży (może w chęci starania się raz jeszcze o rękę panny Moszczyńskiej?) także wybierał się za kilka miesięcy.

II.

Słowackiemu tymczasem, od wyjazdu Brzozowskiego, nie było źle w Bayrucie. Znalazł tu kilku znajomych (emigrantów zapewne); w domu konsula francuskiego, gdzie przedstawiwszy się, bardzo gościnnego doznał przyjęcia, zabrał bardzo miłą, bo artystyczną znajomość z pewnym malarzem-Rzymianinem, malującym obrazy do miejscowego kościoła katolickiego; a że i O. Ryłło przyjechał z Damaszku na czas jakiś do Bayrutu, na nudy więc, ani na

brak towarzystwa, nawet polskiego, nie miał się powodu uskarżać. Mimo to, nie myślał zabawić tu dłużej, nad kilka dni. Stęskniony za ciszą, a nie znajdując jej w Bayrucie, hałaśliwym, jak wszystkie miasta wschodnie, usłuchał namowy swego towarzysza-malarza, z którym się bardzo zaprzyjaźnił, a który się wybierał właśnie na dwumiesięczny pobyt do klasztoru libańskiego Bet-chesz-ban (co w języku syryjskim oznacza: spoczynek umarłych) i zdecydował się pojechać z nim razem. Życie klasztorne, myślał sobie, da mu możność spędzenia dłuższego czasu w zaciszu, na rozmyślaniu; będzie mógł sobie marzyć, może zdoła nawet co napisać; o ile zaś uprzykrzy mu się samotność, pójdzie pogawędzić z zakonnikami ormiańskimi, albo — jak Dante z Giottem w Fiesole — ze swoim malarzem-Włochem; okolica, w której leży klasztor rzeczony, podobno jedno z najładniejszych miejsc w Syryi, nakarmi jego wyobraźnię nowemi obrazami; nerwy, trochę skołatane i nadwerężone kilkomiesięczną podróżą na koniu, wielbłądzie, okręcie, osiołkach i mułach, wypoczną należycie; a tymczasem pogoda ustali się i podróż morska przestanie być, jak o tej porze, niebezpieczną i ryzykowną.

Jakoż w tydzień niespełna po swem przybyciu do Bayrutu (a stanęli tu z Brzozowskim w dniu 15 lutego) znalazł się już w zaciszu klasztornem, na stokach Libanu. Do klasztoru tego, który przylgnąwszy do skały, robi zdaleka wrażenie jaskółczego gniazda, mógł Słowacki śmiało zastosować następujące słowa Szamana, wyrzeczone do Anhellego; »Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i niebezludną[1]). Tu przylatują mewy i gnieżdżą i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna«. Ale Słowacki myślał inaczej i dlatego, patrząc z okna swojej celi, zkąd był rozległy widok na szafirowe morze, i widząc stada mew białych, jak — różowe w promieniach zachodzącego słońca — odlatywały gdzieś, jakby na północ: nieraz (ach, jakże często!) miał je ochotę zapytać, jak Anhelli: »Gdzie wy lecicie, o mewy?« I zdawało mu się, jak Anhellemu, że w jęku ptaków słyszał głos, odpowiadający mu: Lecimy do ojczyzny twojej. Czy każesz nam pozdrowić kogo?[2]). I słuchając płaczliwego skomlenia mew, mógł

---

[1]) Że pisząc te słowa, mógł mieć Słowacki ten klasztor libański na myśli, do tego upoważnia następujący wyjątek z listu do matki: »Miejsca prawdziwie *bezludne*, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi (mewy w *Anhellim)* wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie«. *(Listy*, t. I, 264). [2]) *Anhelli*, Rozdział XVI.

powiedzieć o sobie, jak Anhelli, że na ten smutny głos ptaków kruszyło się w nim serce i myślał o matce swojej: co porabia? pewno się niepokoi o niego? Czy doszły ją wszystkie jego listy? Czy mu nie wyrzuca czasem tej wędrówki? Dzięki podobnym rozmyślaniom, miewał o niej co noc prawie różne sny dziwne, które, jeżeli smutne i zatrważające, wprawiały go »w jakieś obłąkanie«, a jeżeli pogodne i normalne, stawały się przyczyną dobrego usposobienia na cały dzień [1]).

Podobny wpływ wywierały na niego i inne sny, mianowicie: jeżeli mu się śniła panna Wodzińska, o której myślał tu bardzo dużo, ciche bowiem życie klasztorne, literalnie niczem nie zamącone, przypominało spokojność i ustronność domu pani Patteg w Genewie. Tam widział z okna błękitne wody Lemanu, tu patrzał na błękit morza Śródziemnego. Tam, chodząc po ogródku z Maryą lub Eglantyną, zbierał fiołki i stokrótki; tu spacerując po ogrodzie klasztornym, albo wyszedłszy w góry, zrywał najcudowniejsze karbunkuły, storczyki, narcyzy i mnóstwo kwiecia, któremu nawet nie umiał nadać nazwy właściwej. Tam, o tejsamej porze, co teraz, na wiosnę, oddychał zapachem lip kwitnących; tutaj pachniały mu migdały i mirty, całe białe od kwiatu. Tylko że tutaj był sam, odcięty od świata, od życia, kiedy tam czuł się otoczony sympatyą, graniczącą niemal z miłością siostrzaną i macierzyńską, a może i więcej nawet, niż siostrzaną tylko, jeżeli chodziło o Eglantynę...

Na szczęście brak tego ciepła rodzinnego nie dał mu się prawie uczuć i tutaj na Libanie; od pierwszej chwili bowiem, jak zamieszkał w klasztorze, potrafił sobie do tego stopnia zaskarbić odrazu sympatyę zakonników (których inaczej nie nazywa nigdy w swoich listach, tylko »*dobrzy* księża ormiańscy«), że o serdeczniejszej atmosferze w podobnych warunkach marzyć poprostu było trudno. W rozmowach swoich z nimi, we włoskim przeważnie prowadzonych języku, mógł być jak na spowiedzi otwartym, najmniejszej bowiem nie widział potrzeby ukrywania się z czemkolwiek wobec nich, lub dyplomatycznego przedstawienia się im w jakiemś odmiennem, sztucznem świetle. Zarówno on, jak i oni, wiedzieli doskonale, z kim mają do czynienia, z czego wynikało najnaturalniej, że obie strony mogły się odnosić do siebie z wyrozumiałością pewną. Oni radzi słuchali jego opowiadań o Europie, o Rzymie, o Ojcu

---

[1]) *Listy*, I, 265.

świętym, o klasztorach na górach szwajcarskich; kiedy on, przyznawszy się im otwarcie, że jest poetą, prosił, ażeby mu opowiadali w zamian różne legendy miejscowe, w których mogło się znaleść dlań niemało poetycznego materyału. Jakoż znalazło się istotnie.

Niektóre z legend tych, niezawodnie te, które najbardziej przemawiały mu do wyobraźni, zapisał sobie Słowacki w swoim raptularzu [1]). Jedna z nich, najpiękniejsza, przypomina bardzo historyę Eloi Alfreda de Vigny, tej Anielicy nieszczęśliwej, która »zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowawszy jednego z nich, poleciała za nim w ciemność, a teraz jest wygnaną i ukochała mogiły i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie, się, lecz śpijcie«. Bohaterką tej legendy (legendy, która na utworzenie się w wyobraźni Juliusza postaci Eloi niemały wywarła wpływ) jest Hiszpanka pewna, imieniem Marya, która zakochawszy się w dyable, wyrzekła się dlań Chrystusa; kiedy ją prosił jednak, aby odmieniła imię swoje chrzestne, nie chciała na to zezwolić. Nareszcie, po długich naleganiach szatana, zezwoliła na odjęcie ostatniej litery i została *Mari*. Potem, na ponowne prośby, oddała mu jeszcze jedną literę, aż na koniec zostało jej tylko *M* i odtąd nazywała się *Ema*. Otóż dziewczyna ta, znajdując się raz w teatrze na jakiejś świętej tragedyi Kalderona, krzyknęła głośno z rozczulenia i od tej chwili przestała być opętaną przez szatana [2]). Równie poetyczne były dwie inne legendy, które tu Słowackiemu opowiedzieli »dobrzy księża«, a których on sobie zanotować nie omieszkał: jedna o skamieniałych rybach na Libanie, które Chrystus tam u rybaków chcąc dostać, gdy Mu powiedzieli, że to są kamienie, istotnie w kamienie przemienił; druga o pewnej Maryi, która mając się za mężczyznę, żyła w grocie pomiędzy pustelnikami Libanu i raz przez kobietę nierządną oskarżona, że była ojcem syna tej kobiety, musiała syna tego za karę jak swojego wychowywać i żywić z jałmużny; dopiero, kiedy umarła, okazało się, że grzechu tego popełnić nie mogła, o który ją oskarżano; więc została uznaną za świętą.

Po za tem schodziły mu dnie całe na dumaniu, na rozpamiętywaniu swojej przeszłości, swojej teraźniejszości i swojej przyszłości — tak niepewnej i zagadkowej — i nie-

---

[1]) Zob. *Bibl. Warsz.*, 1891, VI, 352. [2]) Zob. *Anhelli*, Rozdział XI: A Szaman zapatrzywszy się w gwiazdy, rzekł: Zaprawdę, że jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły«.

raz powracał do owej *idée fixe,* która go już w Genewie absorbowała niekiedy, ażeby wstąpić do zakonu i zamieszkać w jakim cichym klasztorze; odcięty od świata i jego pokus, znalazłby dla swej duszy skołatanej i nieszczęśliwej, odpoczynek i uspokojenie. W klasztorze, myślał sobie, żyłby tak, jak ci oto dobrzy księża ormiańscy: sadziłby kwiaty, uprawiał ziemię, modlił się, czytywał żywoty Swiętych Pańskich, a czasami pisywał proste, anielskie poezye, proste i słodkie, jak przypowieści Chrystusa, jak książka św. Tomasza à Kempis *O naśladowaniu,* jak hymny świętego Franciszka z Assyżu lub nieśmiertelne *Fioretti* jego uczniów. Do takiego życia po za obrębem rzeczywistości (wmawiał w siebie) on był stanowczo, jakby stworzony; zdawało mu się, że w takiej rezygnacyi, w takiem dobrowolnem wyrzeczeniu się wszystkiego co ziemskie, doczesne, znalazłby może, czego dotąd szukał napróżno: szczęście. Zniknęłaby dlań wtedy cała przeszłość, wszystkie wspomnienia, wszystkie marzenia dzieciństwa; i żyłby w jakiejś sferze czystej, niebiańskiej, w jakiemś zachwyceniu pokrewnem temu, w jakiem żył np. taki Fra Angelico; i modląc się, za Polskę, zapomniałby o wielu rzeczach, o których dzisiaj, niestety, zapomnieć nie mógł w żaden sposób, choć pragnął[1]).

Czegoby np. nie dał za to, żeby wymazać z duszy wspomnienie Ludki! A jednak myślał o niej ciągle. Gniewało go, że się tem interesuje, że mu to wszystko nie jest obojętne zupełnie, starał się, żeby tak nie było, ale nadaremnie! Postać tej kobiety, niegodnej nazywać się jego »kochanką pierwszych dni«, nie dawała mu spokoju nietylko w dzień, na jawie, ale i w nocy, we śnie: śnił o niej raz po raz. Któregoś dnia, powiada, miał o niej nawet sen dziwny. Oto zdawało mu się, że usta jej składają na czole jego pierwszy pocałunek. Zbudziwszy się, ponieważ księża byli blizko, uważał za stosowne wyspowiadać się z tego »grzechu pamięci«, poczem wyszedłszy na jednę z największych skał, rzucił swej Dulcynei »ogromne przekleństwo«, a wracając ztamtąd, śmiał się sam z siebie i litował, że jest taki »smutny waryat«[2]).

Szczęściem, oprócz przyszłej żony Sadyka paszy, grały we wspomnieniach poety i inne osoby nie mniej ważną rolę, pierwsze zaś miejsce w tym razie należało się bezwa-

---

[1]) Przez podobne fazy psychiczne przechodziło wielu emigrantów, nietylko Słowacki; z tych uczuć zrodziła się skłonność do mistycyzmu, która znalazła swój wyraz w założeniu zakonu Zmartwychwstańców i — w Towiańszczyźnie.
[2]) *Listy*, II, 10.

runkowo matce. W liście do niej pisanym w kilka miesięcy później z Florencyi dnia 3 października 1837 r., powiada Słowacki między innemi: »Gdybyś ty wiedziała, jak ja któregoś chmurnego dnia na Libanie w klasztorze, wydobyłem cały pakiet twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześcioletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nad tobą i nad sobą! Każdy człowiek ma jakiś skład, który w testamencie nazywa: moje papiery! Otóż ja, który w kominie palę często mojemi bazgraninami, nie mam przy sobie nic więcej prawie, jak twoje listy, droga! One jedne błądzą ze mną po świecie — widziały Kair i były tam, gdzie pisane Słowo Boże«.

W taki sposób upływały mu dnie w tym »spoczynku umarłych«. Wieczorami, o zachodzie, chadzał do małego źródła, nieopodal klasztoru, gdzie dziewczęta wiejskie przychodziły z dzbankami na głowach czerpać wodę, i rozmawiał z niemi po arabsku (jak Chrystus z Samarytankami), uchodząc w ich oczach — niejednokrotnie bardzo pięknych — za doktora; na Wschodzie bowiem każdy Europejczyk uważany bywa za doktora. Dzięki tej reputacyi, zdarzało się nieraz, że stare matrony i młode Rebeki syryjskie podawały mu rękę, ażeby je brał za puls, co jego »dziwnie bawiło«, a niekiedy nie było i bez przyjemności, zważywszy, że kobiety w tych stronach słyną ze swej urody. Żałował tylko, że cały jego zasób słów składał się z dwustu wokabuł »bez spojeń słów i przypadkowych zakończeń«, co mu wielce utrudniało konwersacyę. Mimo to jednak dawał sobie jakoś radę i regularnie co wieczór widywano go przy tem romansowem źródle.

I tak upłynęło mu sześć tygodni; a że duszę miał zawsze najwrażliwszą na wpływy otoczenia, więc i ten pobyt w cichym odludnym klasztorze, »wpośród wspomnień religijnych i tej majestatycznej samotności«, pobudzał go do rozmyślań na temat cierpień ludzkich, cierpień, na których dnie, jak powiada Józef Reitzenheim, »okryta całunem grobowym, stawała mu zawsze przed oczyma jego Ojczyzna« [1]).

Ztąd pomysł *Anhellego*. Poemat ten, zdaniem niektórych, a między innemi i Zygmunta Krasińskiego, ze wszystkiego, co Słowacki napisał w życiu, najpiękniejszy, najgłębszy, nosi na sobie wyraźne piętno mistycznej atmosfery, wśród której został poczęty, przedewszystkiem zaś — pomijając już całą stronę artystyczną i nie symboliczną — jest

[1]) *Juliusz Słowacki*, napisał Reitzenheim Józef. Paryż, 1862 r.

doskonałym wyrazem owych Słowackiego pojęć i wyobrażeń, które się w nim ostatecznie urobiły i skrystalizowały tutaj, w Ziemi Świętej.

Pomysł jednak, osnuty około tej mesyanicznej idei odkupienia, nie wyskoczył odrazu, jak Minerwa z głowy Jowisza, w tej, w jakiej go znamy dzisiaj, biblijnej formie. Pierwotny plan i pierwsze rozdziały tego poematu, który się miał nazywać nie *Anhelli*, lecz *Posielenie*, pisane były tercynami, stylem, aż do złudzenia naśladującym styl *Boskiej Komedyi* Dantego. Sam Dante miał nawet ważną bardzo w poemacie całym odgrywać rolę, bo analogiczną do tej, jaką w jego wędrówce po kręgach Piekła i Czyśćca grał boski piewca *Eneidy* [1]). Bohaterem poematu, obliczonego na dwadzieścia ośm pieśni, miał być poeta, tłem zaś, na którem go nam Słowacki ukazać pragnął, miał być obraz Polski po roku 1831, ze wszystkiemi Jej nieszczęściami i cierpieniami, przez jakie przechodzić musi »pod chłostą trzech mocarzy«, a które czynią z Niej jedną wielką nieprzejrzaną dolinę łez, ponurą i beznadziejną, jak śnieżne pustynie Sybiru. Cała niedola, będąca nieuniknionym wy-

---

[1]) Oto w dosłownem brzmieniu plan tego poematu o »posieleniu«. (Ob *Bibl. Warsz.*, 1891, t. IV, 348, 349). PIEŚŃ I. Zgon poety. Cisza. Ksiądz Ostatnia godzina. Jezioro (genewskie?). Zachód słońca. PIEŚŃ II. Obudzenie się. Dante. Kraj nowy. Wicher płacze. PIEŚŃ III. Dzieci. Tonio. PIEŚŃ IV. (Zob. *Anhelli*, Rozdział III., scena popa z dziećmi). Spalenie się człowieka na koniu. Próchno. PIEŚŃ V. Forteca. Obłąkany, trują go. (Zob. *Anhelli*, Rozdział VII). PIEŚŃ VI. Chata. Jabłoń gwiazd. (Zob. *Anhelli*, Rozdział VI, scena pomiędzy celnikiem a ostatnim konfederatem barskim). PIEŚŃ VII. Uczta jeńców pijących (Zob. *Anhelli*, Rozdział XII). PIEŚŃ VIII. Noc. Życie poety. (Zob. *Anhelli*, Rozdział XV). PIEŚŃ IX. Wilki. Ciało jeńca. PIEŚŃ X. Jama. Historya. (Zob. *Anhelli*, Rozdział VIII, Chodźcie, a pokażemy wam tę wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim itd.). PIEŚŃ XI. Dalszy ciąg. Zgon kobiety. PIEŚŃ XII. Druga śmierć. Ostatnie światło (Zob. *Anhelli*, Rozdział XIII, Śmierć Ellenai). PIEŚŃ XIII. Mewy. Słońce na Wschodzie. Boże Narodzenie (Zob. *Anhelli*, Rozdział XVI, Więc spojrzał na nie Anhelli i zawołał: gdzie wy lecicie, o mewy itd.). PIEŚŃ XIV. Cień matki. Przeczucie. Koło ogniste. (Zob. *Anhelli*, Rozdział XV. Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim itd.). PIEŚŃ XV. Cmentarz. Gil. Palą kości (Zob. *Anhelli*, Rozdział XI, A to jest kość moja, ta kość spróchniała. Ja znałem matkę jego matki, gdzie jest? gdzie są gile itd.). PIEŚŃ XVI. Uczta duchów. Zorza północna. Anieli Piasta (Zob. *Anhelli*, Rozdziały XIV i XV). PIEŚŃ XVII. Omdlenie śmierci. Dante i Anioł. PIEŚŃ XVIII. Orzeł Świętych. Dante tłómaczy. PIEŚŃ XIX. Dante znika (jak Wergili u Dantego przy końcu Czyśćca). Anioł w podziemne prowadzi kraje (jak Beatrice do Raju). PIEŚŃ XX. Sen jeńców. Zgon księdza (w *Anhellim* śmierć Szamana). PIEŚŃ XXI. Rąbanie skał rozżarzonych. Spalenie nogi. PIEŚŃ XXII. Odpoczynek nad Solnem jeziorem (w *Anhellim* Rozdział V). PIEŚŃ XXIII. Przez rózgi. Starzec łańcuchami bity (w *Anhellim* Rozdział IX). PIEŚŃ XXIV. Wielki kolos. PIEŚŃ XXV. Świecznik biblijny. PIEŚŃ XXVI. Gwiazda sumienia. PIEŚŃ XXVII. Drzewo pod deszczem ognistym.

nikiem fatalnego położenia politycznego, w jakiem się znalazł naród nasz od czasu ostatniego rozbioru, wszystkie następstwa tej wyjątkowej sytuacyi, tak okropnej, że »nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy, gdyby z grobów powstali«, i ten stan, o którym powiada słusznie X. Kalinka, że »wśród chrześciańskich i europejskich ludów tak jest niezwykłym, tak wyjątkowym, w dziejach świata niebywałym, że go w zupełności tylko ci pojąć mogą, którzy jego cząstkę stanowią«: wszystko to, owiane mistyczną mgłą symbolizmu i allegoryi, miało być zawartem w tym poemacie.

Ale, czy to, że obrana początkowo forma dantejskiej tercyny zbyt krępujące nakładała wędzidła natchnieniu, czy też, że pomysł nie był jeszcze dojrzały zupełnie: dość, że pisanie szło Słowackiemu tym razem trudno nadzwyczaj, tak dalece, że po niejakim czasie zniechęcił się i, odłożywszy pisanie tego poematu o *Poselenin* na później, zaczął, jak się zdaje, przerabiać i wykończać swoje dawniejsze, niedrukowane jeszcze utwory, pomiędzy któremi prym trzymała *Balladyna.*

Zresztą nie działo się w jego życiu nic, coby na nazwę wypadku zasługiwać mogło, i jedynem zdarzeniem, które mu monotonność tego pobytu w klasztorze przerwało, była spowiedź, którą odbył w dzień Wielkiejnocy przed umyślnie przybyłym z Bayrutu O. Maksymilianem [1]).

---

[1]) Słowacki korespondował z O. Ryłłą, odkąd się zapoznali z sobą na Wschodzie. (Zob. X. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zm. Pańskiego*, t. II.). Być może, iż teraz napisał do O. Ryłły, przebywającego w Bayrucie, aby doń przybył wyspowiadać go i razem spędzić Wielkanocne Święta. W opisie Święconego, w *Preliminaryach do peregrynacyi J. O. księcia Radziwiłła Sierotki* gra O. Ryłło pierwszorzędną rolę. Oto odnośne ustępy:

»Tu wystąpił ks. Ryłło, Jezuita, już nie udając gniewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: »Nie godzi się, książę panie, z tworów boskich czynić takie igraszki! Oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuł i grzech na sumieniu«. — »Ja to sam wymyślił, rzekł książę, *więc będę pokutował w Jeruzalem*«. Z Jerozolimy powrócę (rzekł J. O. książę), jeżeli mi Pan Jezus nie każe zostać królem w Jerozolimie, na złość księdzu Ryłło, co mnie ma za dyabła, gorszego od Zygwulskiego starosty«.

...Po niejakim czasie, książę pan, pokazując digito na farfurkę pana Drzymały, zawołał, niby z przestrachem: »Księże Ryłło, weź waćpan stułę i kropidło i poświęć stół, bo tu dyabli siedzą i łykają Święcone. Ja nie widziałem nigdy, aby jaki człowiek tak jadł, jak ta farfurka: więc to musi być dyabeł, którego Chrystus Pan wpędził w świnię nad Genezaretańskiem jeziorem.

...Przychodziło już do bitwy, gdy ksiądz Ryłło, wystąpiwszy naprzód, rzekł poważnie: »Książę panie, wybierasz się na wędrówkę do grobu świętego, a dopuszczasz tu, aby dla żartu krew się lała; — ani to na twoją uczoność przystoi, mości Duninie, żartować tak z tego grzesznika, *kiedy się nie spowiadał*

Zrazu, kiedy mu się ten ostatni ofiarował sam na spowiednika, nie wielką zdradzał do tego aktu skruchy ochotę. W końcu jednak — czytamy w jednym z listów — przyjacielskie jego nalegania tyle sprawiły, że wyspowiadałem mu się ze wszystkich grzechów mego życia. Ale, kiedy w szarej godzinie poranku uklęknąłem przed nim, chcąc wymówić pierwsze słowo, rozpłakałem się, jak dziecię, tak mi to przypomniało dawne czasy, dawną niewinność, wszystko od czego mię później długie lata oddzieliły. Po skończonej spowiedzi ksiądz wstał, uderzył mnie po ramieniu i rzekł: »Idź w pokoju, wiara twoja zbawiła ciebie« [1]).

O tymsamym czasie, dnia 29 marca, o godzinie 8-ej wieczorem, jak to sam dokładnie w raptularzu swoim zapisał, miał — patrząc w niebo gwiaździste — chwilę zamyślenia nad swoją przeszłością, a że na tle tej przeszłości, niby oaza wśród pustyni, rysowały się owe dni szczęścia w Paquis, pospołu z Maryą spędzone, z tą Maryą, która była z twarzy podobną trochę i do jego »dziecka kochanki«, takie same, jak tamta, mając włosy i oczy; więc ogarnęła go znowu szalona tęsknota po niej, tęsknota i smutek, których poetycznym wyrazem są niewątpliwie następujące, w rozdziale XI zawarte żale Anhellego: »Otom zobaczył Anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem«. Ze przez tego Anioła rozumiał Słowacki pannę Wodzińską, o tem taksamo wątpić niepodobna, jak i o tem, że tą niewiastą, którą kochał Anhelli, będąc dzieckiem, była Ludwika Śniadecka. »A miłowałem ją w czystości serca mego: dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości. Bo, oto, byłem przy niej jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć była blisko: jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny. Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy tesame, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegóż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą [2]), dlaczego ja żyję? Oto już jednego włosa nie ma

---

i nie komunikował w dni boskiego umęczenia« (jak to uczynił Słowacki w klasztorze na Libanie, dzięki ks. Ryłło) itd.

[1]) Dnia 20 i 21 lipca 1838 r. pisał (z Rzymu) X. Semeneńko do Zaleskich i Jańskiego (w Paryżu): »Słowacki z Florencyi dziś pisał do O. Ryłło. Ma mieć dobre usposobienie duszy, lubo trochę wolniejsze, jak z listu widać, niżeli rok temu, kiedy przy grobie Pańskim służył Ojcu Ryłło do Mszy *i na Libanie rekollekcye odprawiał*«. Zob. X. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zm. Pańsk.*, II, 139. [2]) W podobny sposób skarży się René Chateaubrianda, który mówi:

na mojej głowie z tych, które były dawniej, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam. A nie ma jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc: oto już nie narodzę się raz drugi. Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać: trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas, jak matka. Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego Anioła«.

Na szczęście, takie smutki poetów bywają dla nich zazwyczaj krynicą poetyckiego natchnienia. Tak się też stało i tym razem ze Słowackim. Ze smutku tego urodziła się postać Eloi, postać, której w pierwotnym planie poematu nie było [1]), a która, lubo zapożyczona z poematu Alfreda de Vigny (na co już Krasiński zwrócił pierwszy uwagę), jest przecież w *Anhellim* jedną z jego największych piękności [2]). Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że oprócz utworu Alfreda de Vigny i oprócz owej legendy o Hiszpance, która się dla miłości dyabła wyrzekła Chrystusa, ma Eloe Słowackiego jeszcze coś i z biblijnej postaci Racheli [3]), opłakującej w Rhamie wygnanych synów Ojczyzny; taksamo, jak Ellenai ma dużo cech pokrewnych ze świętą Magdaleną.

Na początku kwietnia zdecydował się Słowacki pożegnać »dobrych księży ormiańskich« i rozstać się z nimi, prawdopodobnie na zawsze. Bo zkądżeby mieli się spotkać tu kiedy raz jeszcze? Myśl o tem, że już tych ludzi nie spotka nigdy, przejmowała go smutkiem, i dlatego niezapomniane, jak powiada, zrobiło na nim wrażenie, kiedy ostatniego ranka, zbudziwszy się, usłyszał stukanie do drzwi, którem budzono śpiących po celach zakonników. »Tak było wczoraj, myślał sobie, tak jest dziś, tak będzie

---

»Człowieku, czas twojej wędrówki jeszcze nie przyszedł; zaczekaj *aż wiatr śmierci się podniesie*, wtedy rozwiniesz lot twój ku tym krainom nieznanym, do których serce twoje tęskni. *Powstańcież, powstańcież prędko burze pożądane, które unieść macie Renégo w przestrzenie innego życia*« itd. *Levez vous vite, orages désirés, qui devez emporter René dans les espaces d'une autre vie!*

[1]) Zob. pierwotny plan *Anhellego (Posielenie)* na str. 298. [2]) Zygmunt Krasiński w liście do Gaszyńskiego (z Wenecyi d. 18 listopada 1838 r.) pisze z powodu *Anhellego* między innemi, co następuje: »Ostatnią mu towarzyszką został anioł Eloe, stworzony przez Alfreda de Vigny, a przez Słowackiego zagnany na śniegi biegunowe« etc. Por. nadto: *Ateneum*, 1892, III, 50—55, »Geneza i znaczenie Eloi u Słowackiego«, przez Ign. Matuszewskiego, oraz *Świat* 1893, Nr. 17, 18 i 19 »Czas powstania *Anhellego* i znaczenie poematu« przez Dra Henryka Monata. [3]) Jeremiasz, XXXI, 15.

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

jutro«. I kiedy oni, spokojni o to jutro, nie potrzebowali drżeć na myśl o przyszłości, on wyjeżdżał oto do Bayrutu, gdzie miał wsiąść na okręt, i ruszać do Europy, gdzie nikt go nie czekał, gdzie on niczego się nie mógł spodziewać dla siebie, gdzie go czekała proza życia powszedniego, na obczyźnie, w otoczeniu pospolitych »zjadaczów chleba« lub też, gdyby mu przyszła ochota przenieść się ostatecznie z Florencyi do Paryża, wśród wrzawy sejmików emigracyjnych. Tymczasem jednak, kiedy go od Europy oddzielał cały bezmiar wód Morza Śródziemnego, wypadało podziękować »dobrym księżom« za gościnę i powiedzieć im do widzenia na dolinie Józafata. To pożegnanie z nimi opisał Słowacki matce obszernie w jednym z listów, a opisał je, jak powiada, na dowód, do jakiego stopnia udało mu się pozyskać przyjaźń i sympatyę cichych mieszkańców klasztoru. »Dobrzy ojcowie, mówi Juliusz, zasmuceni, że ich porzucam, dali mi wszelkie prowizye na drogę i wino; lecz, kiedy przyszło osła, dźwigającego rzeczy, ładować, pokazało się, że ogromnego butla wina udźwignąć nie mógł. Radosny byłem z tego zdarzenia, bo myślałem, że się zdołam wymówić od przyjęcia podarunku; ale, niestety, księża wysłali człowieka, który na żylastych ramionach przyniósł za mną, trop w trop lecąc, butel aż do Bayrutu«. Nareszcie, po długich i serdecznych pożegnaniach, siadł na konia; przewodnicy i muły z rzeczami szli za nim, potem człowiek z butlem na plecach. W innych warunkach, każdego innego, mogłaby »cała krotochwilność takiego orszaku« w dobry wprawić humor; on tymczasem, opuszczając ten klasztor, doznawał smutnego uczucia niepewności, pomięszanego z jakąś dziwną tęsknotą za czemś nieokreślonem, tak zupełnie, jak gdyby mu z łatwością przyjść mogło »życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić« [1]). Kiedy ujechał z jaką stają drogi, obejrzał się po za siebie, chcąc raz jeszcze rzucić okiem na te mury, w których obrębie tak mu dobrze upłynęło te sześć tygodni. »Byłem na dole, powiada; klasztor rysował się na niebie, a na dachu klasztornym, płaskim, stały małe, czarne figurki. Byli to księża, którzy mię oczyma przeprowadzali«.

---

[1]) Zob. List z Florencyi z d. 19 maja 1838 (II, 39).

III.

Powróciwszy do Bayrutu, nie znalazł tu Słowacki, jak się był tego spodziewał, okrętu do Europy, tak, iż nie pozostawało nic innego, tylko zamieszkać w hotelu i czekać cierpliwie. Nie przeczuwał tylko, że mu tu czekać wypadnie około sześciu tygodni. Ale i brak tego przeczucia, i nadzieja, że niebawem będzie mógł ztąd odpłynąć, nie przyczyniały się wcale do urozmaicenia pobytu w tem, równie pięknie położonem, jak nudnem mieście. Jedyny dom europejski, w którym go podejmowano gościnnie, dom konsula francuskiego, p. Guys, tego samego, który tu podejmował przed pięcioma laty Lamartina z rodziną, był jak niewielka oaza pośród nieprzejrzanej pustyni najnieznośniejszych nudów. Z obawy jednak, ażeby nie powiedziano, że się narzuca swoją osobą, umyślnie korzystał z oazy tej rzadziej, aniżeli na to pozwalał nawet konwenans; a choć zdarzało się czasem, że zaproszony do państwa Guys, przesiedział u nich kilka godzin, to przecież nie wypełniało mu to jeszcze całego dnia, z którym nie wiedział nigdy, co zrobić. Czytanie książek francuskich, które mu p. Guys pożyczał do domu, także nie zaradzało zawsze złemu; zwłaszcza, że bilioteka konsula składała się przeważnie z dzieł specyalnych, najczęściej z zakresu etnografii, w której on, jako poeta, mniej znajdował upodobania. Tem się tłómaczy też, że przez czas pobytu swojego w Bayrucie, w początkach przynajmniej, czytał — z nudów jedynie — i takie dzieła nawet, jak de Morie: *Histoire critique de la créance et des coutumes des nations du Levant,* z którego znajduje się nawet w jego raptularzu kilka wyciągów [1]).

Koniec dopiero nudom tym położyło przybycie do Bayrutu: najprzód dwóch Polaków, w służbie u baszy będących, którzy tu, niestety, zabawili parę dni tylko; a następnie — Stefana Hołyńskiego, który przyjechał z Jerozolimy (sam, albowiem brat jego, Aleksander, wciąż jeszcze bawił w Kairze przy swojej odalisce).

Stefanowi Hołyńskiemu poświęcił zczasem Słowacki *Anhellego* »na pamiątkę spotkania się w Ziemi Świętej i pod górami Libanu«. Tak brzmi dedykacya, świadcząca wyraźnie, że spotkanie to musiało ich bardzo zbliżyć do siebie i serdecznym węzłem wzajemnej sympatyi ściśle po-

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1891, IV, 351.

łączyć. Jakoż skończyło się na tem istotnie, pomimo, że zrazu, w pierwszej chwili, nie obiecywał sobie poeta po towarzyszu swym zbyt wiele: wątpił poprostu, czy w towarzystwie takiego, jak Hołyński, człowieka, będzie znajdował przyjemność *à la longue*. Na szczęście jednak, Hołyński, mało znany Słowackiemu (bo znali się tylko o tyle, o ile spędzili razem owych kilka godzin w Denderah i potem parę dni w Kairze) był, jak się o tem poeta miał niebawem sposobność przekonać, nierównie lepszym towarzyszem, aniżeli brat jego, Aleksander. Natura prosta i szczera, prawdziwie ukraińska, zdolna do melancholii — jak przystało na nieodrodne dziecię stepów — wielki przytem, jak się okazało, talentu Słowackiego wielbiciel, nie dziw, że niedługiego potrzebował czasu, ażeby pozyskać jego zaufanie i przyjaźń [1]). Mieszkając w jednym hotelu — bo nie było wówczas drugiego w całym Bayrucie — odcięci od Europy, od swoich, znalazłszy się razem na dalekim Wschodzie, w mieście, gdzie, oprócz kilku konsulów i ich rodzin, nie widziałeś prawie białych, europejskich twarzy, już przez tosamo, że z jednych i tychsamych mniejwięcej pochodzili stron, że mieli mnóstwo wspólnych znajomych, o których mogli rozmawiać, i, co najgłówniejsza, jak w danym wypadku, że mogli o nich mówić po polsku, co zawsze zbliża niezmiernie na obczyźnie, musieli, chcąc nie chcąc, jak najwięcej przebywać wspólnie i nie żałowali tego bynajmniej; przeciwnie, po kilku dniach byli już ze sobą, jak bracia. Hołyński, widząc w Słowackim wielkiego poetę, a w sobie tylko zwykłego obywatela ziemskiego, był dlań z całem należnem mu uszanowaniem, co go nadzwyczaj dobrze zapisało odrazu w oczach poety; ten ostatni zaś, aż nadto może o wyższości swej przeświadczony, lubił, ażeby ją drudzy w nim uznawali. (Tem się tłomaczy, że tak mało miał w życiu prawdziwych przyjaciół, i że tak łatwo zrażał się do ludzi). Hołyński tymczasem, podobnie, jak i Krasiński, był dlań z najwyższem uznaniem, i dlatego, nie wiedząc nawet, kiedy i jak, podbił go sobie raz na zawsze. Najlepszy dowód, że mu się Słowacki na pamiątkę

---

[1]) Oto, co o Hołyńskim pisał z Rzymu d. 31 stycznia 1839 r. X. Piotr Semeneńko do Jańskiego: »Dałby Pan Bóg, żeby wszyscy ze szlachty naszej, co dziś tak Boga i Kościół smucą, byli na obraz jego (Dernałowicza). Tak z Hołyńskim, 23-letnim chłopcem, po moskiewsku wychowanym, a polskim patryotyzmem wszystkie pory mającym przejęte, też religijnym, ale w sposób, iż wolałbym, żeby nie było religii, niż żeby miała prowadzić do skutków, do jakich Jezuici prowadzą, ma się rozumieć pod względem ojczystym. Bogaty chłopak i wpływ swój w kraju mieć mogący;« Zob. X. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zm. Pańsk.*, II, 194.

tych kilku tygodni w Bayrucie spędzonych, nie zawahał się przypisać jednego ze swoich najpiękniejszych i, dodać należy, najbardziej ulubionych utworów. Podobny zaszczyt spotkał odtąd jednego tylko człowieka, a człowiekiem tym był autor *Irydiona.*

O tym ostatnim, o swoich »szalonych spacerach« z nim po Rzymie i jego okolicach, myślał Słowacki niejednokrotnie, chodząc po Bayrucie z Hołyńskim. Taksamo bowiem, jak rok temu z Zygmuntem, upływały mu dziś ze Stefanem całe godziny na ożywionej rozmowie; a że w jednym, jak i w drugim wypadku, ową tajemniczą nicią, która łączyła go z towarzyszem, była sympatya, więc i o różnicy pomiędzy genialnym Zygmuntem a poczciwym Stefanem zapominał często. Spędzając z nim dnie całe razem, »chodząc na spacery, rzucając ukradkiem spojrzenia na zakryte piękności wschodnie«, uważał Słowacki (o czem zresztą wspomina sam wyraźnie w listach do matki), że dobrze im z tem było, i jednemu, i drugiemu, ponieważ jeden zarówno jak i drugi mógł — jak Słowacki — z czystem sumieniem napisać do swoich, że znalazł przyjaciela [1]).

Ulubionym celem ich spacerów — wieczornych — był miejscowy »ładny cmentarz turecki«, gdzie, jak powiada Słowacki, co wieczoru siadali razem »na marmurowym turbanie, patrząc na morze, i słuchając płaczu tureckich kobiet, które na grobowcach znajomych rozścielały bukiety kwiatów, niezmordowane w oddawaniu czci zmarłym, *wierniejsze, niż nasze kobiety, wspomnieniom.* Marzyłem kiedyś, będąc dzieckiem, o takich cmentarzach, o takich cyprysach, jakie teraz widziałem na oczy«. Pisząc słowa powyższe, (zwłaszcza kiedy pisał o tem, że kobiety wschodnie są wierniejsze wspomnieniom, aniżeli nasze) miał Słowacki niezawodnie na myśli pannę Wodzińską, która, jak uważał, swoim wspomnieniom genewskim sprzeniewierzyła się bardzo prędko, skoro go już o niej doszły wieści, że za mąż idzie! Za kogo? Pytanie to nie dawało mu spokoju przez cały czas podróży. A nie wiedział: za kogo?

Tymczasem »błądził między róże i cyprysy« i widział w tym melancholijnym smutku tureckich cmentarzy dużo poezyi. Oto, co o nich pisze w *Beniowskim:*

Ludzie z księżycową twarzą
W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

---

[1]) *Listy*, I, 266.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki [1])
Czasem przez wieczne nakażą zapisy
Karmić ptaszęta, zkąd są ciągłe krzyki
Wróblów, i ciągle pełne ziarna misy,
I ciągle różom miłosne słowiki
Na cmentarzowe latają cyprysy,
I ciągle szpaki po grobach gawędzą
O trupach, którzy karmią i... nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa
Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy
I słyszeć różne ich o zmarłych łgarstwa,
Bo pochlebiają; i posępne sowy,
Grobów latarnie, senatory carstwa,
Z grobów posępne pokazują głowy
I zegarowe, wielkie, krągłe lice,
I oczy, co się palą, jak dwie świece.

...Taką pieśń dziwnej do smutku podniety
Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,
Tuląc skrzydłami wygnańce.

Być bardzo może, iż przez wygnańców tych rozumie tutaj Słowacki siebie i Stefana Hołyńskiego na cmentarzu tureckim w Bayrucie.

Meczety

I groby z dawnym koranu napisem;
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,
Jakby wstawały na sąd przed Elbisem:
Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smętny półksiężyc blaszany
Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany
Meczetu, jako pochodnie jarzące,
Palą się ogniem do Pana nad Pany,
O Jego życiu i ranach i męce
I o tem, jako z ludzi był najkrwawszy,
Pierwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy...

Każda tych liter nieznajomych zgłoska
Zda się w ten kamień coraz więcej wrywać.
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,
Że umiem serca zranione odkrywać:
Ty na ten księżyc, który się tak troska
O groby swoje, musisz przelatywać
I w ogniu zorzy, jak róża Jeryho,
Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho.

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,
Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz

---

[1]) Aluzya do owego noclegu w grobowcu Szecha po wyjeździe z Kairu.

I słuchasz sosen smętnego hałasu,
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,
Aż groby, życia płaczące i czasu,
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów [1]).

I tak upłynęło im sześć tygodni blisko, na spacerach, na rozmowach, na odwiedzaniu cmentarza — co Słowackiemu przypominało jego rozmowy platońskie z Krasińskim w Rzymie na grobach Shelley'a i Keatsa — aż wreszcie od tak dawna oczekiwany okręt do Europy zarzucił kotwicę pod Bayrutem i trzeba było się rozstać. Nie na długo! Hołyński bowiem, poprostu zakochany w Słowackim, tembardziej, że była to miłość na wzajemności oparta, obiecał mu przyjechać do niego wkrótce, do Florencyi. Teraz, po wyjeździe Juliusza, zamierzał odbyć jeszcze wycieczkę po Syryi, poczem miał jechać do Grecyi, ażeby się tam spotkać z bratem, jeżeli się ten ostatni wyrwać z Kairu potrafi. Niestety, liczyć na niego z pewnością i przysiądz, że się stawi w Atenach na umówiony termin, było więcej, niż ryzykownem, jeśli się zważy, że powodem, dla którego Aleksander tak sobie upodobał Kair, była kobieta.

Stefan tymczasem, rozsądniejszy od swego młodszego brata, choć i on lubił — jak to widać z listu Słowackiego — »rzucać ukradkiem spojrzenia na zakryte wschodnie piękności«, kłopotał się nietylko o Aleksandra, ale i o Juliusza. Mianowicie zdawało mu się, że ten ostatni ma niedosyć pieniędzy na drogę, a nie śmie prosić go o pożyczkę. Będąc w szczęśliwszem pod tym względem położeniu, postanowił przyjść mu z pomocą. Nie wiedział tylko, w jaki sposób dać to przyjacielowi swemu delikatnie do zrozumienia, tak, żeby go nie obrazić podobną propozycyą. Bo, że Juliusz był w najwyższym stopniu drażliwy i nadzwyczaj czuły na tym punkcie, o tyle go zdołał już poznać. Nareszcie, po kilkodniowych daremnych usiłowaniach, ażeby z nim wszcząć dyskurs o pieniądzach, jednego wieczoru zdobył się na odwagę, zaczął mówić, zająknął się i przestał. »Ścisnąłem go za rękę, powiada Słowacki, i dokończyłem sam zaczętą przez niego frazę. Dobry chłopiec! Rzucił mi się na szyję i rozpłakał się rzewnemi łzami, usiłując mnie zmusić koniecznie, abym wziął 2000 franków. Z największą trudnością wymówiłem się od tego i musia-

[1]) *Beniowski*, Pieśń VII. (Pisma pośm. II, 29. 30).

łem go przekonać, że mam pieniądze, wystarczające mi na powrót do Europy. Ale łez tych nigdy nie zapomnę, i ty go, droga moja, za to, wiem, że kochać będziesz«. Całe to zajście świadczy bardzo pochlebnie o Słowackim, zarówno jak i o Hołyńskim.

Na ostatni wieczór, który spędzić mieli w Bayrucie, zaprosił ich pan Guys do siebie na bal. Ładna-to, jak na Bayrut, była feta, powiada Słowacki, który z zabawy tej nader miłe wyniósł wspomnienie. Bo i co się tam nie znalazło! Dość powiedzieć, że puszczano balon z bibułki angielskiej, i spalono mnóstwo fajerwerków. Na Słowackim jednak większe nierównie, aniżeli balon i fajerwerki, robiły wrażenie tego wieczoru żony konsulów miejscowych, oraz »kilka kobiet wschodnich w arabskich ubiorach«, z któremi rozmowa i taniec na tle uiluminowanego różnokolorowemi lampionami ogrodu, przy dźwiękach pozytywki (bo fortepiany, choć są, lecz aby je nastroić, do Europy instrument posyłać trzeba), nie mogła nie mieć dlań pewnego egzotycznego uroku; tembardziej, że, jako pierwszy poeta, który był w Bayrucie po Lamartinie, stanowczo był wyróżniany przez te panie i honorowany. Ztąd poszło, że wszystkie damy ubiegały się jedna przez drugą, aby z niemi »gadał«, czego im też nie myślał odmawiać. A że następnego dnia miał być na pełnem morzu, więc była w tem wszystkiem, jak powiada, jakaś poetyczność, której nawet określić nie potrafił.

Nazajutrz (d. 4 maja) raniutko, odwoził Hołyński Słowackiego do okrętu, chciał bowiem, jak się z tem nie ukrywał zresztą przed Julkiem, być do ostatniej chwili z nim razem, i tak się urządzić, ażeby po jego odjeździe ani godziny dłużej w Bayrucie nie zostawać, ponieważby mu to miasto nieznośnem wydało się bez niego. Jakoż pożegnali się prawie ze łzami; poczem Słowacki — jak Romeo do okna Julii — wdrapał się po spuszczonej mu z góry drabince sznurowej na pokład; Hołyński zaś, powiewając chustką, odpłynął powoli do Bayrutu, gdzie wsiadłszy niezwłocznie na konia (rzeczy już był pierwej wyprawił) ruszył w góry Libańskie do cedrów Salomona, w przekonaniu, że jeżeli mu się uda znów zobaczyć poetę, to nie prędzej, aż dopiero za kilka miesięcy, we Florencyi.

Tymczasem los zdarzył inaczej. Okręt bowiem, który miał Słowackiego odwieść do Europy, zamiast płynąć wprost, wstąpił jeszcze po drodze — choć właściwie było mu to z drogi — po ośmiu godzinach żeglugi, do miasta portowego Tripoli, gdzie miał jakiś interes do załatwienia. Tym sposobem, niespodziewanie zupełnie, znalazł się Słowacki

w Tripoli, i miał tu zabawić, nie z własnej woli bynajmniej, dwa dni. Idąc za przykładem reszty towarzystwa, zamiast nudzić się przez cały dzień na okręcie, wolał nudzić się w nieznanem sobie mieście, wśród rajskich prawdziwie jego okolic. Zajechawszy do jednego z klasztorów, smutny, myśląc o świeżem rozstaniu ze Stefanem, do tego stopnia czuł się nieusposobiony do oglądania osobliwości Tripoli, że odłożył to na dzień następny: dziś nęciła go bardziej cisza klasztorna i ogródek »gdzie mała fontanna, cytryny i pomarańcze, owocem okryte, i białe lilie kwitnące, dziwnie *balsamowały* powietrze i klasztorowi temu romantyczną nadawały postać«. To też nie wyszedł ztąd, aż dopiero nad wieczorem, zapewne, ażeby popatrzeć trochę na zakryte piękności wschodnie.

Nazajutrz jednak spotkała go niespodzianka. Ledwo się zbudził, kiedy wpada do klasztoru lokaj. Czyj? Hołyńskiego, który przybywszy wczoraj do Tripoli i w innym zamieszkawszy klasztorze, dowiedział się przypadkiem, że i towarzysz jego z Bayrutu znajduje się tutaj chwilowo. Przysyła więc, ażeby mu dać znać, że go oczekuje. Dla Słowackiego była to nowina nad wszelki wyraz pożądana. Jakoż spędzili cały dzień razem, włócząc się po cudownych okolicach tego miasta, porównywając jego ładny cmentarz muzułmański z ich ulubionym cmentarzem w Bayrucie; i tak upłynął im czas aż do zachodu słońca, o którym uścisnęli się na nowo, w tem przeświadczeniu, że ten ostatni dzień w Tripoli spędzony był jednym z najpiękniejszych dni w całej ich podróży; poczem każdy udał się w swoją drogę: Słowacki okrętem do Cypru, Hołyński konno do cedrów Libańskich.

Po wyjeździe z Tripoli czekało Słowackiego 40 dni podróży morskiej, »sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem». A jednak, pomimo, że w ciągu tak długiego czasu nie trudno spotkać się na morzu z burzą, z huraganem, a wreszcie w okolicach Grecyi, z korsarzami, czyhającymi na cudzą własność i życie: on odjeżdżał spokojny o siebie; spokojny, albowiem posiadał tę samą wiarę w swoje przeznaczenie, w swoją misyę, jaką posiadali wszyscy wielcy ludzie; jaką miał Cezar, kiedy mówił przewoźnikowi, że wiezie Cezara i jego szczęście; jaką miał Napoleon, kiedy w odmęcie bitwy, wśród gradu kul powiedział: *La balle, qui me tuera, n'est pas encore fondue.* I Słowacki, jak oni, wierzył w swą »gwiazdę opiekuńczą«. »O droga moja, pisze raz do matki [1]), dlaczegoś ty się lękała o mnie? Czy

[1]) *Listy*, II, 4.

ty nie widzisz, że ja mam jakąś gwiadeczkę nad głową, dla której złe nie przemoże nademną, aż Bóg mnie zawoła«? W innym znów liście powiada, że »tasama gwiazda, która go strzegła na morzu i na pustyni, świeciła także nad górą Bony« (w Krzemieńcu)[1]. Ufny w opieką Boską nad sobą, wierząc, że na szachownicy swego narodu, nie jest zwyczajnym pionkiem, że nie spełnił jeszcze wszystkiego, do czego był powołany i co mu spełnić na tej ziemi było przeznaczone, że na barki jego »włożony jest ciężar większy, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie« i że on ciężar ten uniósł dotychczas na pół drogi zaledwie, nie przewidywał żadnego dla siebie niebezpieczeństwa w tej podróży, tak dalece, że go aż to zadziwiło samego[2].

Jakoż przewidywania jego sprawdziły się w zupełności. Pogoda była przez cały czas żeglugi, jak wymarzona. Morze, spokojne i wyzwierciedlone, chciało mu, rzekłbyś, duszę nauczyć pokoju[3], tak spokojne, że aż za spokojne, bo zdarzały się dni takiej ciszy na wodzie i w powietrzu, że posuwanie się naprzód było niemożebne i nie pozostawało nic, tylko stać w miejscu i czekać na wiatr. Że takie przystanki, nieraz trwające po parę dni, dawały się we znaki, to się rozumie samo przez się. Bo póki okręt był w ruchu, póki żagle, pomyślnym wiatrem wydęte, robiły wrażenie skrzydeł łabędzich, dopóty i w duszy było jakoś raźniej.

W ogóle przedstawiało życie na statku mało urozmaicenia, nużąc swą jednostajnością. Dzień do dnia podobny; niebo czyste bez chmurki; rano wschód słońca, wieczorem zachód, zawsze piękny, zawsze olśniewający swym — jeżeli się tak o zachodzie słońca lub wschodzie wyrazić można — weneckim kolorytem; dokoła, jak okiem sięgnąć, wszędzie morze i morze, zawsze błękitne, zawsze gładkie, jak szyba szklanna; a ta jego gładkość mimowoli oddziaływała niwelująco na wszystko, co jest myślą, rozleniwiała poprostu,

---

[1]) *Listy*, II, 6. [2]) »Dziwnie, że siadając na okręt, nie przeszła mi przez głowę myśl nawet, że może być jakie niebezpieczeństwo. *(Listy*, I, 267). *Uznaję ja nad sobą samym opiekę Boga i ufam*, że ją nietylko nademną, ale i nad tobą rozciągnie, bo inaczej cobym ja robił na ziemi«? *(Listy*, I, 270). »Kiedym był na Wschodzie, smutno mi było nie odbierać listów od ciebie, ale ta myśl, że to jest niepodobnem, ufność nareszcie w jakąś gwiazdę opiekuńczą, czyniły mię spokojnym« (z Florencyi 24 listopada 1837). [3]) Pisał tak Słowacki w roku 1844, w liście do matki z d. 14 maja. »Patrz na te fale i pomyśl, że ja przez czterdzieści dni na takich samych wabałem się, a nic mi się złego nie stało; owszem, spokojne było morze i wyzwierciedlone, jakby chciało mi duszę nauczyć pokoju. Ach, droga! piękny, szeroki świat! lecz piękny aż wtenczas, gdy się człowiek uczuje duchem, panem jego!«

obezwładniała. Co gorsza, że chwilami wpływała wprost przeciwnie, bo rodziła przywidzenia i pokazywała duszy dziwne obrazy, pobudzając do myślenia, »a myśląc, nie można być panem imaginacyi«. Ztąd powód do różnych urojonych niepokojów, złych przeczuć, niczem nieuzasadnionych obaw etc., wszystko to zaś miało swe źródło w znudzeniu, bo podróż morska bywa przyjemną o tyle, o ile nie jest długą, o ile nie trwa dłużej, nad tydzień najwyżej.

Słowacki tymczasem był w drodze sześć tygodni. Przez sześć tygodni, codzień, wstawał przed wschodem słońca i obserwował gwiazdy, w których się przez czas tej podróży głęboko, jak powiada, zaciekał, często pomagając oku teleskopem okrętowym. Przez sześć tygodni, codzień, przypatrywał się wschodzącemu słońcu, od chwili, kiedy się niebo czerwienieć zaczynało na horyzoncie, aż do chwili, kiedy promienie słoneczne, przemienione ze szkarłatu w złoto, zalały całą przestrzeń, cały bezmiar wód. Przez sześć tygodni, codzień, słuchał o wschodzie słońca piania kogutów, nie przeczuwających, że są przeznaczone na rzeź, a których głos, przypominając spokojność życia wiejskiego, dziwnie brzmiał pośród morskiego odmętu. Przez sześć tygodni, codzień, o jednej i tej samej godzinie porannej, wychodził na jego spotkanie kot okrętowy, wesoły i żywy, kiedy się z nim bawiono, a zwłaszcza, kiedy go drapano po łebku. Przez sześć tygodni, codzień, o jednej i tejsamej godzinie widział sześciu mnichów, rzucających spokojne łoże i idących na pokład odmawiać ranne modlitwy. Przez sześć tygodni, codzień, zasiadał z temisamemi osobami do śniadania, do obiadu i do kolacyi. Przez sześć tygodni, codzień, słuchał, jak o godzinie piątej cały okręt odmawiał głośno różaniec N. Panny, prosząc o wiatr pomyślny. Przez sześć tygodni, codzień, starał się skracać sobie czas czytaniem książek z biblioteki okrętowej lub marzeniami o niebieskich migdałach. Przez sześć tygodni, codzień, grywał w warcaby z jednym mnichem. Przez sześć tygodni, co niedzielę — nie codzień — częstował mnichów owem winem, które mu dali na drogę »dobrzy księża ormiańscy«, a że wino było w wyborowym gatunku, więc i humory ożywiały się przy niem. Przez sześć tygodni, codzień, bawiło się towarzystwo widokiem trzech baranów, które zjedzono w końcu. Śmierć ostatniego, powiada Słowacki, była opłakaną rzewnemi łzami przez okrętowego chłopczyka, który się był do zwierzęcia przywiązał, jak do braciszka, zyskawszy i ze strony barana podobne przywiązanie, tak dalece, że *baś* biedny, póki żył, jak pies biegał za nim. Przez

sześć tygodni wrzeszcie, codzień, wzbudzał podziw pomiędzy marynarzami swoim strojem wschodnim. Bo, wracając ze swojej pielgrzymki zupełnie odarty, w koszulach, które, jakby się wyraziła jego babka, nosiły każda pięć ran Chrystusowych, chcąc być ubranym przyzwoicie i nie świecić dziurami, posługiwał się przez cały czas swoim kostyumem oryentalnym. Na ranne wstanie, zamiast szlafroka, miał płaszcz arabski wełniany, od którego białości śnieżnej bardzo efektownie odbijały skarpetki perskie z różnokolorowej wełny, bardzo gustowne, które mu służyły za meszty. Tak przystrojony, w swojej czapeczce greckiej na głowie, siadał na dywaniku tureckim, w Kairze kupionym, który mu i za pościel służył czasami, i żeby już wszystkiem przypominać Araba, rozkładał przed sobą *szysze* czyli *nargille,* t. j. rodzaj szklannej lulki, z której się pali tytuń. W stroju tym było mu bardzo do twarzy, a że zdawał sobie z tego sprawę doskonale, więc starał się tym egzotycznym ubiorem działać na imaginacyę pewnej (nieznanej nam bliżej) osóbki, której »różową i uśmiechającą się twarz« chętnie widywał »koło siebie«, a na którą ten jego strój oryentalny zdawał się oddziaływać, jak magnes.

Tak przeszła mu cała podróż, zresztą nieobfita w wypadki. Wypadkiem takim był raz np. żółw morski, którego ułowiono śpiącego na wodzie i z którego nazajutrz przyrządzono potrawę dla pasażerów. Wypadkiem również — choć z początku tylko — były ogromne tłumy delfinów, płynące za okrętem; albo wielkością zbliżające się do wielorybów t. zw. *caprodylio,* ryby, które, jak wieloryby, w ten sposób wodę z paszcz na powietrze wypuszczają, iż zdaje się, że to wielkie, szerokie fontanny strzelają z fali. Do wypadków też, niestety bardzo rzadkich, należały chwile, w których się mijało różne wyspy, jak Cypr, Sycylię, Elbę wreszcie. Kiedy przepływali koło Sycylii, księża śpiewali właśnie — jak o tem wiemy z listu do autora *Irydiona* — hymn do Najświętszej Panny. Słowacki zaś »stał z wlepionemi w ogień Etny oczyma, smutny, że go fala znów *tylko do Europy* odnosiła« [1]).

Nierównie weselej było mu za to w duszy, kiedy mijali Elbę i kiedy o uszy jego obijał się donośny odgłos salw armatnich, jakiemi okręt ich witał inne napotykane okręty. Strzały te zwiastowały bliskość Europy, bliskość Liworna, w którem miano wylądować, w którem tylko,

[1]) Zob. List pierwszy do autora *Irydiona.* Dedykacya *Balladyny.*

niestety, przed wylądowaniem czekało jeszcze pasażerów — trzy tygodnie kwarantanny.

Słowackiego na samą myśl o niej zawczasu już ogarniała rozpacz. »I naznaczono mi nowych dni czterdzieści«! Te tragiczne słowa *Ojca Zadżumionych* dały się obecnie zastosować i do jego autora, odkąd, zawitawszy 17 czerwca do portu w Livorno, musiał przyglądać mu się z pokładu okrętu aż do 11 lipca. Istotnie, sytuacya nie do pozazdroszczenia! Dokuczliwszej męczarni psychicznej nie mógł sobie Słowacki na razie wyobrazić. Po dziesięciu miesiącach wędrówki, w ciągu których odcięty od świata, nie miał żadnych ani o matce, ani o innych swoich krewnych wiadomości, przyjeżdża nareszcie do miasta, do którego kazał adresować list *poste restante,* i wie, że listów tych musi już nań czekać tutaj kilka, (od matki, od Filów, od Eglantyny); widzi gmach pocztowy, w którym się listy te znajdować muszą, listy, które mogły być zwiastunami dobrych zarówno, jak i najgorszych nowin; i nie wolno mu się do nich dostać, nie wolno, chociażby na parę godzin opuścić fatalnego pokładu, i musi na nim nudzić się i włóczyć z kąta w kąt przez całe trzy tygodnie, trzy wieki!

Niejeden, dla takich trzech tygodni, wyrzekłby się dziesięciu miesięcy podróży, nie chciałby widzieć ani Grecyi, ani Egiptu, ani Ziemi świętej! On miał je już (niestety!) za sobą i dlatego mógł teraz z całą swobodą (choć, ile go ta swoboda kosztowała, o tem wiedział on sam jedynie) rozmyślać o wszystkiem, co widział, i porządkować swe wrażenia, jakkolwiek przyznawał, że nie było to bynajmniej zadanie łatwe! Przedewszystkiem, tyle nowych obrazów tkwiło mu teraz w pamięci, że chwilami sam pojąć nie mógł, »jak oczy jego mogły wydołać zmysłowi wzroku«. Cokolwiekbądź — myślał sobie — był dlań ten rok wędrówki po Wschodzie jedną z »najjaśniejszych« epok w życiu, epoką, o której do śmierci zawsze z pewnem uczuciem tęsknoty rozmyślać będzie. Bo, jak powiada, »czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia« i tak przywykł do tego życia Wschodniego, tak je polubił, że mu się dziś z pewną trudnością przychodziło pogodzić z myślą, iż niebawem — jak się tylko skończy ta przeklęta kwarantannna — będzie znów musiał wrócić i naginać się do zwyczajów europejskich, »widzieć, że znakiem uszanowania nie jest już zdjęcie trzewików, lecz zwykłe odkrycie głowy, że obrusa nie kładą pod stołem, ale na stole, że ludzie nie jedzą palcami, że pozdrawiając kogo, nie przytykają ręki do ust i do czoła, ani do serca, jak w ziemiach

arabskich«. Wszystko to, widziane w tej chwili przez pryzmat wspomnienia, nabierało dla niego nowego poetycznego uroku i wydawało się piękniejszem o wiele, aniżeli na razie, kiedy było bezpośredniem wrażeniem. I nie dziw! Bo wrażenie, to fotografia, kiedy wspomnienie, to obraz, malowany przez artystę-poetę. To też, nigdy może, jak teraz w Livorno, nie trafiało mu tak do przekonania to, co powiadają ludzie wschodni: że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, wraca tam zawsze, *pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży*. Takie tam »dziwne i lekkie życie«, że ot niedaleko szukając, i jemu się dziś Europa »ciemną« wydawała: »poczerniały domy, zgęstniało powietrze, na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło«. I mimowoli budziło się w nim pragnienie, ażeby jeszcze raz być kiedy na Libanie [1]); pod warunkiem jednak, ażeby już nie potrzebował, tak, jak w ciągu tej podróży, wciąż niepokoić się o matkę, która zamknięta w Krzemieńcu, pewno się tam troskała o niego. »A ty, droga moja, (pisał do niej, dopływając do Livorno), ile ja ciebie niespokojnych nabawiłem nocy moją podróżą? Ty mi nieraz wyrzucać musiałaś moją wędrówkę? Tobie się zapewne strasznemi wydawały morza, które ja bez żadnego niebezpieczeństwa przebyłem?« Niemniej pełnemi niebezpieczeństw wydawały się jej prawdopodobnie i te piaski afrykańskie, gdzie mu »tak było wygodnie, jak na spacerze w lekkiej lektyce niesionemu, bo siodło kołysane na wielbłądzie do snu łagodnie zachęca«.

Zaprzeczyć się nie da również, że podróż ta znaczny i pod niejednym względem korzystny wywarła wpływ na jego charakter. Nie mając osobnego pokoju, gdzieby się mógł zamykać, nauczył się być z kimś ciągle razem. Następnie przywykł do wielu niewygód; przekonał się (powiada), że obiad bez mięsa obejść się może i że należy czasem pościć. A posty takie musieli sobie z Zenonem wyprawiać dosyć często, żyjąc niejednokrotnie przez cały dzień garsteczką ryżu, jak się im to zdarzyło w El-Arish naprzykład, albo przy niedzieli jedząc tylko kury, albo, jak w Grecyi, świeżo upieczoną nad świeżo rozpalonym ogniem baraninę ze świeżo zabitego jagnięcia. Nauczył się także zgodności, do której dawniej tak mało był skłonny, a która w podróży, jeśli się nie podróżuje samemu, jest konieczną. Nieraz zdarzyło się, że był innego zdania, jak Zenon, a jednak najczęściej ustępował mu, taksamo, jak i Zenon jemu

[1]) *Listy*, II, 19 (Florencya 24 list. 1837).

ustępował niekiedy. W ogóle przez cały czas zupełna pomiędzy nimi panowała harmonia; jeżeli się posprzeczali kiedy, tak, iż przestali mówić do siebie (bo i tak bywało czasami), to nie trwała taka niezgoda nigdy dłużej, nad jeden dzień lub kilka godzin. O korzyściach zaś, jakie z podróży tej wyniósł, jako poeta, mówić zbyteczna. Wyobraźnia jego mieniła się obecnie całym blaskiem wschodniego kolorytu, i nie potrzebowała już, jak dawniej, marząc o Wschodzie, widzieć go przez pryzmat jedynie poematów Byrona lub Moora.

Szkoda tylko, że oprócz tylu widocznych korzyści z podróży tej wyniesionych, miał jeszcze pewne skrupuły co do matki, o której nie wiedział nawet, czy aprobowała tę awanturniczą wędrówkę, czy zgodziłaby się na nią, gdyby ją pytał o radę, o pozwolenie? Czy nie uważałaby, że jest to zbytek, na który on nie powinien sobie pozwalać, zważywszy, że te 1000 rubli, które pożyczył, oddać będzie musiała Brzozowskiemu ona, nie on. A na to, żeby się z takiego długu uiścić, wypadnie sięgnąć do kapitału, z którego i tak już czerpała nieraz na jego wydatki, nie na swoje. Bo sama chodziła w podartym szlafroku i nieraz, przez oszczędność jedynie, miała u siebie zimno w pokoju. A on tymczasem podróżował sobie po Wschodzie. Nie dziw więc, że po powrocie ztamtąd, musiał niejednokrotnie słuchać przykrych wyrzutów sumienia, które mu i w czasie podróży szeptało raz po raz, że właściwie powinien był zostać z Filami w Neapolu, odprowadzić ich potem do granicy, poczem mógłby osiąść albo we Florencyi, albo powrócić do Genewy. Bez podróży na Wschód można się było doskonale obyć.

Jedna w każdym razie rzecz najmniejszej nie ulegała wątpliwości, że myśl o matce długo mu nie dawała spokoju. »Czasem okropne myśli przechodzą przez moją głowę i serce (pisał jeszcze w lutym z Bayrutu). Potem ufam w Bogu i spokojniejszy jestem. Napiszcie mi obszernie, aby mi list wasz wynagrodził tę długą niespokojność. Jeden tylko list z Genewy odebrałem w Kairze; zresztą nie wiem wcale, co się dzieje ze znajomymi. Co też Filowie, powróciwszy, nagadali o mnie? Czy mię *jeszcze trochę kochają?* (Widocznie, że i pod względem nich nie miał zupełnie czystego sumienia). A ty, droga moja, czy mię także kochasz i *nie masz mi za złe tej podróży?* Czy listy moje, do tak dalekiego echa podobne, *nie bardzo smutno brzmią w twoich cichych pokoikach?* Bo powiedz, droga, cóż ja mam robić na tym świecie? Trzeba lecieć, gdzie wiatr mię poniesie i modlić się u Chrystusa, aby mi dał kiedyś ciszę i spo-

kojność, a *mam ufność, że ta podróż zupełnie bezużyteczną nie będzie,* choćby tylko promień wspomnień takich pięknych miał upaść na starość moją, jeżeli dożyję starości. Kiedyś, usiadłszy z tobą na cmentarzyku Krzemienieckim, będę ci opowiadał o grobach dawnych i wielkich ludzi i o pomnikach starych wieków. A słuchając moich wspomnień, będziesz się tak uśmiechała, jak niegdyś, słuchając marzeń moich o przyszłości«.

Nie przypuszczał tylko Słowacki, kreśląc ten sielankowo-poetyczny obraz sceny na Krzemienieckim cmentarzu, że dręczące go oddawna przeczucia o możliwości wymówek ze strony matki, aż nadto są uzasadnione. Ale przekonał się o tem wcześniej, aniżeli się mógł nawet spodziewać, bo tegosamego dnia jeszcze, kiedy wyszedł z kwarantanny.

Jak to było do przewidzenia, pierwszą jego czynnością po opuszczeniu okrętu i po zainstalowaniu się w hotelu (w tymsamym, w tymsamym pokoju nawet, w którym stał przed półtora rokiem, jadąc do Rzymu) było pójście na pocztę po listy. Były trzy: jeden z domu, od matki; drugi z Genewy, od Eglantyny; trzeci z Paryża, od Januszkiewicza. Z bijącem sercem rozpieczętował pierwszy i, przeczytawszy, omal nie wypuścił go z ręki. List był zimny, cierpki, niedługi i pełen wyrzutów, że »kiedy Zenon mógł siostrze o sobie wiadomość dawać, on zaniedbał korzystać z tej drogi«. List ten, datowany dnia 21 kwietnia, dowodził tylko, że pani Becu nie otrzymała jego listów, pisanych z Aten i Aleksandryi, ani dwóch innych, które pisał z Bayrutu, a których przesyłką zajął się Brzozowski. Cokolwiekbądź, nie wyobrażał sobie, ażeby zaraz, na samym wstępie z taką spotkał się przykrością. Strapiony, rozżalony, bał się (powiada), żeby się nie rozpłakać na ulicy i dlatego, o ile tylko mógł najspieszniej, podążył do hotelu »zgryść boleść, jaką go napełniło takie powitanie«, jego, który przez dziesięć miesięcy słowa jednego nie miał z domu i który nie mając w pamięci czulszych listów matki, nie dziw, jeżeli na razie zwątpił o jej miłości dla syna. Niedarmo, (myślał sobie) wyskakując z łódki po wyjściu z kwarantanny, upadł, co mu zaraz dało do myślenia (bo był przesądnym z natury), tak, iż ogarnęła go niepojęta trwoga, jakby się spotkać miał lada chwila z jakiemś nieszczęściem. Teraz wiedział już, czego to było wróżbą!

W hotelu, z przeczytanych listów Eglantyny i Januszkiewicza także niewiele mógł zaczerpnąć pociechy. Z listu Eglantyny przekonał się, że nie otrzymała jego ostatniego listu, który przed wejściem do kwarantanny

razem z listem do matki powierzył był kapitanowi okrętu, aby go ofrankował i przesłał. »Łajdak! pewnie dla zatrzymania kilku groszy nie wypełnił zlecenia!«

Co zaś do listu Januszkiewicza, to uważam, że nie wypada mi własnemi słowy opowiadać jego treści, skoro to już znacznie wcześniej odemnie uczynił pisarz tej miary, co Klaczko, który w swoim pięknym, ciepło skreślonym życiorysie Eustachego Januszkiewicza [1]), powiada o jego listach do Juliusza, że ścigały go po całym świecie »z upomnieniami do pracy, do pisania, do drukowania«. Znał wydawca — słowa są Klaczki — to biedne serce Juliusza, pełne miłości własnej, autorskiej próżności, literackiej zawiści, i wiedział, w co uderzyć. Na wpół żartem, na wpół seryo, donosił mu (w liście, o którym mowa), że »poetycznej Muzy gachy« korzystają z jego nieobecności i obsadzają Parnas, zalegając wszystkie prasy. Na jeden z takich listów odpowiedział Juliusz z kwarantanny pod Livornem, owym wierszem *Do księgarza,* prawdziwie rymotwórczem *Capriccio,* w którym zebrał najexcentryczniejsze, i najexotyczniejsze zarazem, dźwięki i końcówki.

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa dyabła warta,
Jeszcze morskie czuję strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy,
Zamiast płócien, palm i nieba.
Mój Eustachy.

Lecz ty wyrwiesz mię z letargu,
Ty pomięszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięczny za to:
Przypomnisz mi Kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi, jak stoją
Poetycznej Muzy gachy,
I co piszą, i co broją,
Mój Eustachy.

[1]) Drukowanym w *Czasie* z r. 1874.

Dla nich rosły świeże laury
I szczękały druku blachy,
Gdym ja gonił Kofty, Maury,
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc »Te Deum«,
Żem rok zgubił, budząc Grachy
I Scypiony w Kolizeum,
Mój Eustachy.

Lecz się wmięszam do Antyfon,
Na egipskie klnę się płachy,
Na kościoły, gdzie Bóg Tyfon,
Mój Eustachy.

Klnę się tobie i na Ator,
Co w Tentyrze ma swe gmachy,
Że się porwę, jak gladyator,
Mój Eustachy [1]).

---

[1]) Wiersz ten, w którym, jak w kalejdoskopie, przesuwają się wszystkie widziane przez Słowackiego obrazy Rzymu, Grecyi, Egiptu i Syryi, jest naśladowaniem podobnego wiersza *Do księgarza*, jakim lord Byron uczcił raz w przystępie dobrego humoru wydawcę swojego, Murraya, a którego każda zwrotka kończy się wykrzyknikiem: *My Murray*, podobnie jak u Słowackiego kończy się zawsze na: »Mój Eustachy«.

ROZDZIAŁ VII.

WE FLORENCYI.

Florencya. I. Usposobienie poety. Brak towarzystwa. Atmosfera stolicy Toskanii. Wędrówki po kościołach i galeryach. Spacery po mieście. Kobiety florenckie. Studya nad Calderonem. Stosunki towarzyskie: Zdzisław Zamoyski, Józef i Herman Potoccy, Bernard Zajdler, Zenon Brzozowski. Wspomnienia z podróży na Wschód. Przyjaźń z Zajdlerem. Nowe mieszkanie z belwederem. Sąsiadki poety. *Anhelli*. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Psychologiczna geneza poematu *W Szwajcaryi*. Słowacki w roli »przyjemnego człowieka«. Księżna Survilliers. Potrzeba kochania. Wieść o zamążpójściu Maryi Wodzińskiej za Chopina. Rozmarzenie poety. Produkcya poetycka. Spleen. (18 lipca 1837 — 21 sierpnia 1838). II. Aniela Moszczyńska. Niepomyślne wiadomości z domu. Aresztowanie pani Becu. III. Przyjazd Zygmunta Krasińskiego do Florencyi. Zdanie autora *Irydiona* o *Anhellim*. Wiersz Słowackiego do Krasińskiego. Wyjazd Słowackiego do Paryża (21 sierpnia — 4 grudnia 1838).

W swoim — bardzo pięknym zresztą — opisie Florencyi powiada nieczytany już ostatniemi czasy przez nikogo Józef Kremer, że gród ten, jak był przez długie wieki dla świata, dla wszystkich ludów »piastunem twórczego artyzmu i tego wszystkiego, co wielkie i zacne, jak był ojcowizną Danta, Michała Anioła, Giotta, Leonarda, Galileusza«, tak i dziś jeszcze, zaledwie wstąpisz w jego poważne mury, »czujesz sercem obecność wielkich ludzi, wiecznie żyjących, choć umarłych od wieków. Od świątnic i pałaców florenckich powiewa duch nieśmiertelnych mistrzów-budowniczych, a na rynkach publicznych, na otwartych ulicach, wśród gwaru powszedniego życia, stanęły marmurowe postaci, stworzone niegdyś potęgą promienną geniuszów« [1]).

[1]) *Podróż do Włoch*, t. III, str. 137 (Warszawa, 1878).

I.

Wobec tego, dziwić się nie można, że i na Słowackim, od pierwszej chwili, kiedy tu — dnia 18 lipca 1837 roku — przybył z Livorno, zrobiła urocza stolica Toskanii dodatnie pod każdym względem wrażenie, i że, pomieszkawszy tu czas jakiś, nabrał przekonania, że, według niego, jest to najmilsze miasto w całych Włoszech. »Ładna, bardzo ładna Florencya, donosił matce w kilka tygodni po swoim przyjeździe nad Arno, a jednak smutno mi w niej«. Czemu? Dlatego niezawodnie, że brak mu było tutaj — w początkach przynajmniej — odpowiedniego towarzystwa młodych ludzi, z którymiby mógł żyć po przyjacielsku, jak żył w Paryżu np. z Michałem Skibickim, albo w Genewie z młodymi Wodzińskimi; a powtóre, że zadużo był sam, zamało miał sposobności spędzać czas w gronie rodziny, do czego przywykł w Paquis, a od czego każdemu człowiekowi, nietylko Słowackiemu, odzwyczaić się najtrudniej. Tam, kiedy napadł nań smutek, była Eglantyna, była pani Patteg, które go pocieszały, tuliły »rozżalonego, jak dziecko«. Tutaj nie widział, ani starał się otrzeć nikt jego łez, jeżeli płakał. To też, pomimo, że mu się Florencya, jako miasto i jako »raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem«, bardzo podobała, nieraz medytował nad tem, czyby nie usłuchać próśb Eglantyny, która go w listach wciąż namawiała i zaklinała, ażeby wracał do nich, i nie rozstać się z Włochami, przynajmniej na zimę. Tutaj, na *Via del Banchi*, kto wie, jak mu będzie, w samotnym, źle opalonym pokoju podczas długich wieczorów zimowych; tam, wiedział, że znajdzie swój dawny kominek, przy którym się wygrzewał tak mile! znajdzie szczere, kochające serca, o których przywiązaniu dla siebie nie mógł wątpić, (nawet dzieci w Paquis wspominały go czule i pragnęły, żeby powrócił), kiedy tu, w tem najartystyczniejszem mieście na świecie, kto wie, czy znajdzie jaką żywą istotę, coby go »trochę lubiła«, to znaczy kochała tak, jak Eglantyna, »jak siostra, a może i więcej, niż siostra«. Jak dotąd, nie zanosiło się na nic podobnego; tak dalece, że nawet nie miał z kim mówić po włosku, choć wcale nieźle poduczył się był tego języka w czasie podróży po Wschodzie. Z drugiej strony zachęcało go do pozostania we Florencyi a zniechęcało do powrotu do Genewy »przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolnił się«, a które pociągała za sobą niepodzielana przez

niego miłość Eglantyny. Skończyło się na tem, że chęć uniknienia tych nieprzyjemności, oraz »bardzo miłe życie w spokojnej i ładnej Florencyi« obroniły go od tęsknoty po jeziorze Genewskiem (a przyczyniły się do tego w znacznej mierze także i częste listy z Paquis, w których go, jak niewolnika naglono, aby *koniecznie* porzucił Florencyę i nad jezioro wracał) tak, iż odpisał ostatecznie Eglantynie w ten sposób, że zaprzestała nalegać dłużej.

Tymczasem miła, rozkoszna Florencya, ta arena powszechnej sławy, jak ją nazywa Burckhardt, dzięki owej atmosferze duchowej, która jej jest właściwa, zaczęła na poetę z dniem każdym coraz silniejszy wywierać urok. »Dosyć mi dobrze we Florencyi«. Oto słowa, które się niejednokrotnie napotyka w jego listach z tego czasu, a które świadczą, że mu istotnie dobre strony mieszkania na *Via del Banchi* pod nr. 4216 o dobrych stronach Paquis zupełnie pozwalały zapomnieć. Jakoż miał tu śliczne dwa pokoje za 27 franków miesięcznie, z dobrym fortepianem za 2 skudy na miesiąc, z widokiem na malowniczy plac przed kościołem *Santa Maria Novella,* kościołem, który uchodzi za arcydzieło Alberti'ego, a który Michał Anioł, nieskory do pochwał, nazywał swoją »narzeczoną a kochanką«. Widok tego kościoła z wspaniałym portalem, zakończonym półkolem, z facyatami po obu stronach portalu, ozdobionemi — każda — czterema krągłemi arkadami, spoczywającemi na wysmukłych kolumnach, rozmarzał Słowackiego: zwłaszcza wieczorem, kiedy księżyc oświecał te gotyckie mury i kiedy cisza zalegała rynek. Bo w dzień panował tu hałas i rozgardyasz, jak na wszystkich ulicach i placach Florencyi.

Drugim ulubionym Słowackiego kościołem była katedra, *il Duomo,* słynna kopułą Brunelleschi'ego i smukłą, eteryczną dzwonnicą Giotta, »ubraną w rzeźbioną historyę ludzkości«. Na placu, przed kościołem, na kamieniu, umieszczonym w bruku, wyryto wyrazy *Sasso di Dante,* ponieważ tutaj siadywał niegdyś i wpatrywał się w te marmurowe mury świątyni twórca *Boskiej Komedyi.* Słowacki, używający tu często »księżycowego spaceru«, nieraz marzył sobie, powiada, że tak chodził po tych kamieniach zamyślony Dante [1]). Tutaj też (można być pewnym) zrodził się pomysł do *Poematu Piasta Dantyszka o piekle.*

We dnie, zawsze prawie, ile razy wyszedł sam na miasto, na przechadzkę, wstępował do kościoła *Santa Croce,*

[1]) *Listy*, II, 7.

tego Panteonu florenckiego, szczycącego się, że mieści w sobie grobowce takich ludzi, jak Dante, Michał Anioł, Machiavelli, Galileo Galilei, Alfieri; i tu, przed pomnikiem Danta, którego posąg ponury, jak powiada, patrzący na niego z wysoka, zdawał mu się mówić jakieś wyrazy natchnienia [1]), stawał, w zadumie pogrążony, i stał tak, sam często nie wiedząc, jak długo.

W podobną zadumę wtrącały go i seraficzne freski błogosławionego Fra Angelica de Fiesole w Dominikańskim klasztorze św. Marka, w którym mieszkał niegdyś i żył Savanarola. Freski te przemawiały mu szczególnie do duszy swoją prerafaeliczną, iście biblijną prostotą i słodyczą, i kto wie, czy i one także nie wpłynęły na kompozycyę niektórych rozdziałów *Anhellego,* poematu, ktorego mistyczna słodycz tak jest pokrewną anielskiej słodyczy obrazów Fra Angelica.

Pałace *Ufizzi* i *Pitti* widywały autora *Anhellego* (a napisał go właśnie w tych czasach) w obrębie swoich poważnych, średniowiecznych murów, również często; szczególnie pałac *Ufizzi,* którego jedna sala jest świątynią Medycejskiej Wenus. Słowacki zakochał się w tym posągu [2]). Boska harmonia tych kształtów niewieścich, zakutych w marmur pentelikoński, czarowała go i rozmarzała swoim wdziękiem i swoim powabem; jako artysta zaś, nigdy nie zapominający o swojej sztuce, wpatrywał się w to marmurowe ciało bogini nietylko pożądliwym, zmysłowym wzrokiem mężczyzny, któryby chciał ożywić i posiąść tę Galateę, ale i z myślą także, aby piękność jej przeszła do jego duszy tak, »żeby się wszystko potem podług niej tworzyło« [3]).

Niemniejszym — choć innego rodzaju — zachwytem przejmował go posąg opłakującej stratę swych dzieci Niobe, posąg, przed którym urodził się w wyobraźni poety *Ojciec Zadżumionych.* Widok tej tragicznej postaci matki, rozpaczającej nad trupami wszystkich swoich synów i córek, (którą to chwilę tak pięknie opisał Owidyusz w księdze VI-ej swoich *Przemian),* przypomniał mu naprzód Ugolina, potem *Treny* Kochanowskiego i księgę Hioba, a w końcu

---

[1]) *Listy*, II, str. 15. Rzecz godna uwagi, że w całem *l'oeuvre* Słowackiego, zarówno w jego poezyach, jak listach, ani jedna — o ile wiem — nie znajduje się wzmianka o Michale Aniele Buonarotti'm. Widocznie, że go Słowacki nie odczuwał, podobnie, jak Chopin nie odczuwał Beethoven'a. Dlatego i grobowiec Medyceuszów w kościele St. Lorenzo we Florencyi nie zrobił na nim, zdaje się, szczególniejszego wrażenia. [2]) »*Na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiej?* na co się zapatrzyłem na posąg Danta, stojący w Santa Croce? etc.« (Florencya, 1 maja 1838). [3]) *Listy*, II, 15.

opowiadanie doktora w El-Arish o pewnym starcu, który, siedząc w kwarantannie przez trzy miesiące, »9 osób utracił na zawsze i został sam z bratem« [1]); i tak, tu, w galeryi pałacu *Ufizzi,* przed posągiem płaczącej Niobe, powstało największe arcydzieło poezyi Słowackiego, które napisane w ciągu zimy, w szczęśliwej równowadze ducha, miało być jedynym jego utworem, wolnym od wszelkiego zarzutu.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to obcowanie z dziełami sztuki florenckiej odwodziło poetę od życia florenckiego, od tej rzeczywistości, która w tem »najbardziej włoskiem mieście z pośród wszystkich miast włoskich«, w tem mieście średnich wieków, kupieckiem, republikańskiem, arystokratycznem, gwelfowskiem, gibelińskiem, słowem, o wszystkich kolorach« [2]), niemniej jest uroczą i ponętną, a do pewnego stopnia nawet i poetyczną. To też Słowacki, pomimo, że — jak mówił — w zetknięciu z rzeczywistemi rzeczami opadały mu skrzydła i był smutny, jak gdyby miał umrzeć [3]), tutaj stykał się z temi rzeczywistemi rzeczami *con amore* i nietylko nie był smutny, jak gdyby miał umrzeć, ale cieszył się dobrym humorem i zdrowiem, i myślał o wszystkiem z wyjątkiem śmierci. Kiedy wychodził z domu na miasto (a nawiasem mówiąc, takie włóczenie się często bez wyraźnego celu po ludnych ulicach Florencyi *en artiste flâneur,* większą mu po pewnym czasie sprawiać zaczęło przyjemność, aniżeli przesiadywanie w domu), uwagi jego nie absorbowały wyłącznie stare pałace i kościoły, ale zwracał ją też i na to, co się *działo* dokoła niego. Na placu *della Signoria,* który jest tem dla Florencyi, czem np. Rynek główny dla Krakowa, nie przypatrywał się jedynie słynnym, na smukłych filarach wspartym arkadom gotyckim *loggii dei Lanzi,* pod której sklepieniem *Perseusz* Benvenuta Cellini'ego trzyma w ręku uciętą głowę Meduzy, ani zachwycał się wyłącznie średniowiecznym majestatem imponującego *pallazo Vecchio,* strzeżonego przez *Dawida* Michała Anioła i *Herkulesa* Bandinellego, tego zarozumiałego współzawodnika — w mniemaniu własnem — wielkiego Buonarotti'ego; przeciwnie, zdarzało się niejednokrotnie, że wszystkie te cuda architektury i rzeźby uchodziły jego baczności, ile, że baczność ta zwróconą była w tej chwili na przechodzące ulicą (z wachlarzem w ręku) »ładne i zgrabne Florentynki«, które, jak

[1]) Zob. *Bibl. Warsz.*, 1891, listopad, str. 346 — 7. [2]) Zob. *Listy, Zyg. Krasińskiego,* II, str. 24. (List Konst. Danielewicza do Sołtana). [3]) List II do autora *Irydiona* (Przedmowa do *Lilli Wenedy).*

sam przyznaje, często mu sprawiały dystrakcyę. Podobnie się rzecz miała i w galeryach obrazów, w pałacu *Pitti* lub *Ufizzi*, gdzie, zamiast podziwiać takie obrazy, jak portret Juliusza II-go, lub *Madonna del Cardinello* Rafaela, jak dwie Wenery Tycyana lub *Madonna di San Francesco* mistrza Andrzeja del Sarto, i takie rzeźby, jak słynny *Achilles* umierający lub grupa dwóch *Zapaśników*, podziwiał kształtne »figurki« nadobnych Florentynek, o których powiada Dante w pieśni XXIII Czyśćca, że »chodzą po Florencyi, szyje i piersi pokazując nagie«, a które jego, Słowackiego, w taki wprawiały zachwyt, że nawet w listach do matki (choć matki takie rzeczy obchodzić nie powinny) powstrzymać się nie mógł, ażeby im dłuższego nie poświęcić ustępu. »Nigdy podobnych figurek nie widziałem, pisał, i wybrałbym łatwo sto dziewcząteк, w które, żeby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdej ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie, jak są, przyciągają moje oczy, ale nie serce«. Lecz i ta siła magnetyczna, jaką na same tylko oczy jego, bez udziału serca, wywierały kobiety florenckie, wystarczała, ażeby spędzał wieczory poza domem: bądź na bulwarze *Lung-Arno*, w okolicach *Ponte Vecchio*, gdzie o zachodzie słońca pewna część mieszkańców stolicy odbywała promenadę i gdzie spojrzenia różnych czarnych oczu krzyżowały się w powietrzu na podobieństwo błyskawic; bądź na przechadzce po *Via Calzajolo*, która »napełniona ładnemi osóbkami«, również magnetyczny wywierała na niego wpływ; bądź w której z eleganckich kawiarń na *Piazza del Duomo*, które »wieczorem, w niedzielę, tak są pełne ładnych kobiet i strojnych elegantów, że każdy salon ma pozór sali balowej«.

Nie odwodziło go to wszakże i od poważniejszych zajęć. Przeciwnie: na wszystko potrafił znaleść dość czasu i wszystko umiał z sobą pogodzić, harmonizować. Choć wrażliwy na piękność różnych Medycejskich Wener, żywych i marmurowych, nie przestawał mimo to chodzić np. codzień regularnie do biblioteki publicznej, gdzie spędzał zawsze po parę godzin na czytaniu dzieł Calderona, usypiając się jego brylantową, jak mówi, i świętości pełną imaginacyą [1]). Oprócz dramatów wielkiego Hiszpana, zapoznawał się tam i z dziełami nowoczesnych poetów włoskich, jak Alfieri [2]) (którego wpływu nie trudno dopatrzyć się

[1]) *Listy*, II, str. 15. [2]) W liście II do autora *Irydiona*, dedykując mu *Lillę Wenedę*, pisze Słowacki między innemi: »Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada, *a czasem szczebiocze Alfierego językiem*«.

w *Lilli Wenedzie*, a nawet i w *Maryi Stuart)*, lub też — co się nam dzisiaj niezrozumiałem wydaje — powracał do swojego ulubionego Chateaubriand'a, którego *Atala, René, Les Natschez* upajały go dźwięcznością swej poetycznej (dla nas pretensyonalnej i napuszonej) prozy, i który na twórczość jego z tych czasów florenckich wywrzeć miał wpływ tak silny.

W poważny sposób również, choć nie zawsze, spędzał Słowacki czas w gościnnym domu młodego, świeżo ożenionego Zdzisława hr. Zamoyskiego, który, słysząc o nim dużo w Warszawie jeszcze, sam żądał go poznać, albowiem hr. Z. był synem tego Zamoyskiego, u którego mieszkał Ant. Edw. Odyniec (mogąc z jego łaski patrzeć na Ogród Saski). Otóż z tym Zamoyskim, człowiekiem bardzo sympatycznym i niepospolicie inteligentnym, prowadził Juliusz nieraz godzinami całemi »rozmowy podobne do platońskich«, prawdziwe *Causeries florentines* o sztuce, poezyi, renesansie włoskim, etc. Pani Zdzisławowa Zamoyska, młoda, piękna brunetka, mało mieszała się do tych rozmów: wolała słuchać. Dodać wypada, że pani Zamoyska powierzchownością swoją przypominała trochę poecie pannę Wodzińską; dlatego »patrząc na jej czarne oczy, smutnego doznawał uczucia«.

Nie mniej przyjemnie upływały mu chwile, spędzane u Józefa i Hermana hr. Potockich na *Via Reggio*, dobrych znajomych (zdaje się kolegów szkolnych) Teofila Januszewskiego, który, będąc niedawno we Florencyi, często bywał u nich z żoną [1]).

W towarzystwie tem, do którego dodać należy jeszcze Bernarda Zajdlera, artystę-malarza, stale mieszkającego we Florencyi, i Zenona Brzozowskiego, który tu — wkrótce po przyjeździe Słowackiego — przybył ze Stambułu, nie dziw, że się Słowackiemu nie przykrzyło nad Arnem, że miał z kim gawędzić, bawić się, chodzić do teatru, zwiedzać powozem lub pieszo okolice Florencyi, grać w wista wieczorem i »trochę się zgrywać«, i że ostatecznie zasmakował w takiem życiu »pełnem i pustem zarazem«, o którem jednak nie mógł nic innego powiedzieć, tylko, że było dla niego »nie bez jakiegoś harmonijnego dźwięku, nie bez upojenia«. Zaprawą wszystkiego był dobry humor, pewna trzpiotowatość, która pożądając przyjemności i okazyi zabawienia się, lękała się, jak dyabeł święconej wody, tylko jednej rzeczy: spleenu.

---

[1]) *Listy*, II, 6, 7.

Jakoż, w początkach przynajmniej, nie mógł się Słowacki na napady jego uskarżać. Ponieważ wracał ze Wschodu, co w owych czasach uchodziło za pewien rodzaj bohaterstwa, budził więc, chcąc nie chcąc, zainteresowanie powszechne: dokąd tylko poszedł, kogokolwiek spotkał, wszędzie, każdemu musiał opowiadać o Grecyi i Egipcie, o Palestynie. Ledwo przyjechał, zaraz na kilka obiadów zaproszony, musiał, powiada, często z łyżką podniesioną odpowiadać na mnogie o Wschodzie pytania: »to mię tak znudziło, że przyrzekłem sobie po upłynieniu dni 40 nic już o Egipcie nie gadać, bojąc się, aby mi w nałóg to bajanie nie weszło i nie zrobiło ze mnie indywidualnej i nudnej machiny, która zawsze jeden kurant śpiewa«. Mimo to, zaprzeczyć nie mógł, że ten tytuł »wojażera egipskiego« i pielgrzyma do Ziemi Świętej niemało mu pomagał w towarzystwie, że go te awanturnicze przygody — w oczach kobiet zwłaszcza — stawiały bardzo wysoko, i że dzięki opowiadaniom o nich, doświadczał na sobie tego samego, co Szekspirowski Otello, kiedy prawił uroczej Desdemonie o swoich »strasznych przygodach na morzu i lądzie« [1]). »Mogę czasami, pisał w tej mierze do matki, poprawiać Lamartine'a [2]), czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa, czasem robić się mistyczną anegdotą rodzajem Giaura, czasem karykaturując siebie, włazić na kark wielbłąda, słowem, że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek«. Nieinaczej postępował też i Zenon Brzozowski, który się raz np. wybrał ze Słowackim z wizytą do Zamoyskich — po wschodniemu; »i bardzo się im podobała ta Zenonka maskarada«.

Z nikim jednak, ani z Zenonem Brzozowskim, który zresztą po kilku tygodniach pobytu we Florencyi (nic nie wskórawszy u panny Anieli Moszczyńskiej) wyjechał do Wiednia, ani ze Zdzisławem Zamoyskim, ani z Potockim, nie był Słowacki tak dobrze, jak z Zajdlerem.

Człowiek to był nieszczęśliwy, złamany. Ożeniony z kobietą piękną, ale pustą i »niegodną«, przekonał się wkrótce, że ani on stworzony na męża dla swojej żony, ani ona stworzona na żonę dla artysty: co ją bawiło, jego nudziło, i naodwrot. Po kilku latach takiego pożycia skończyło się na tem, że go żona porzuciła, a porzuciwszy, doprowadziła do tego, że i »prawna zaszła separacya« [3]). Niedość na tem: wytoczono mu jeszcze proces, z którego

---

[1]) *Otello*, Akt I, scena III. [2]) Dowód, że przed wyjazdem na Wschód czytał Lamartine'a *Voyage en Orient*. [3]) *Listy*, II, 16.

przypadł na niego obowiązek (ciężki, jak dla artysty) płacenia pewnej sumy rozwódce. Nie od rzeczy też będzie napomknąć, że go żona opuściła chorego tak, iż kiedy do niego przyszedł poeta — a było to właśnie po katastrofie rozwodowej — znalazł go »podobnego trupowi« [1]).

Od tej chwili datowała się ich przyjaźń, która z czasem, po upływie paru miesięcy, takim serdecznym połączyła obu węzłem, że się Słowacki wprowadził do domu Zajdlera, ażeby mieszkać z nim razem. Mieszkanie to, na trzeciem piętrze, złożone z ładnego saloniku z dwoma oknami i szklanemi drzwiami, (wychodzącemi na obszerny, ładny taras, przybrany statuami, »gdzie w lecie nastawiwszy kwiatów, można zrobić sobie prześliczny drugi salonik, nakrywszy się od słońca płóciennym dachem«), z sypialnego pokoju, ciepłego, bo z oknami na południe, i małego obserwatoryum, t. j. wieżyczki, nazwanej belwederem, w którym była mała kwadratowa stancyjka z czterema oknami na cztery strony świata, »z najpiękniejszym widokiem na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy, nad Toskanią świecące«, mieszkanie to nęciło go poetycznością tej właśnie »wieżyczki«, w której zamierzał, otulony płaszczem, samotne wieczory księżycowe przepędzać.

Wchodziło się do niej po krętych, jak grajcarek, schodach, a trud ten opłacał sowicie nieporównany w swoim rodzaju *coup d'oeil* na Florencyę i okolice. Z jednej strony zielona dolina między błękitnemi górami, tak błękitnemi, jakby je malował Leonardo da Vinci, na północ góry piramidalne Fiesole i mnóstwo domków na zboczach, domków, których szyby o zachodzie słońca wyglądały, jak »rzęsiste karbunkuły«, płonące we mgle niebieskawej; na wschód, na szafirowem tle nieba włoskiego, zasłaniając sobą część horyzontu, rysowały się dachy budynków sąsiednich, kopuły kościołów i śliczna, jak »cacko z cukru« dzwonnica katedralna Giotta; na zachód wreszcie, po drugiej stronie rzeki, już za miastem, widziałeś szmaragdowe wzgórza, zjeżone cyprysami, które razem z białymi marmurami pomników miejscowego *Campo Santo,* »jak horyzonty Rzymu, pięknie się malowały na łunie zachodu«. W belwederze tym, odkąd się wprowadził do Zajdlera, spędzał Słowacki sam, albo z nim razem, jak Dante z Giottem, długie wieczory jesienne i zimowe, i słuchając muzyki swego gospodarza, który mu grał na gitarze (choć bywały dni, w których »strasznie rzępolił«), dziękował Bogu, że mu pozwolił

[1]) *Listy*, II, 10, 21, 30.

w życiu coraz to piękniejszemi karmić oczy obrazami, co wpływało na niego o tyle korzystnie, że odbierając jego samotności »żądło gryzące, zamieniało ją w słodką melancholię [1]). W belwederku tym, który miał dwie tylko, ale wielkie, wady »latarni«, mianowicie, że w nim w zimie dla zimna, a w lecie dla gorąca siedzieć nie zawsze było można, przyjmował Słowacki nawet i odwiedzających go gości (z czasem będzie tu długie prowadził rozmowy z Zygmuntem Krasińskim), co mu w następstwie, jako lokatorowi takiej »wieży astronomicznej«, często z gwiazdami rozmawiającemu, zjednało w gronie znajomych, szczególnie pomiędzy damami, żartobliwy przydomek... astrologa [2]). Jakkolwiek bądź, nie mógł się żadną miarą na mieszkanie to uskarżać, Zajdler bowiem, jak przystało na dobrego gospodarza i przyjaciela w jednej osobie, nietylko że mu wysłał salonik pięknym dywanem, ale pozawieszał w nim jeszcze swoje obrazy, niektóre w złoconych ramach, niektóre bez ram, co razem wzięte tak przyozdobiło cały pokój, że, jak powiada Słowacki, kobiecie mógłby służyć do przyjęcia gości. Cóż dopiero poecie!

Wywdzięczając się za to, wszelkich dokładał starań, ażeby Zajdlerowi dolę jego osłodzić i żeby »różnymi sposobami podnieść z prochu tego człowieka«. Jakoż udało mu się »cudu« tego dokazać. Ze »strasznej i zwiędłej mary«, (bo i do takiego stanu potrafi mężczyznę doprowadzić zła żona!) na którą patrząc, lękał się o siebie i o swoją przyszłość; ze »straszącego widziadła«, które widząc go elegancko ubranego, wyświeżonego i w dobrym humorze, powtarzało mu, »jak dzwon pogrobowy: i ja tak niegdyś byłem«; ze »straszydła nędzy« i wcielonej rozpaczy, od której nieraz radby był się odwrócić, taką mu widok jej sprawiał wyraźną przykrość; z człowieka, który się nie wstydził chodzić w dziurawych butach, w pomiętym, wypłowiałym kapeluszu, w poplamionym — farbami olejnemi — surducie, w który wycierał penzle; z artysty-Cygana, któremu dziury w łokciach rękawów nie kazały myśleć o krawcu, tak samo, jak mieszkanie w pracowni wśród »brudu i pyłu «żadnej nie budziło aspiracyi do porządku i schludności; z człowieka, który niczego się już po tem życiu nie spodziewał, bo zwątpił o wszystkiem — potrafił Słowacki wpływem swoim, jaki wywierał na niego, nietylko »podnieść jego czoło«, tak, iż ci, którzy go znali pierwej,

---

[1]) *Listy*, II, 20. Ob. mój artykuł p. t. *Słowacki potomkiem astrologów*, drukowany w *Tyg. illustr.* z r. 1894 str. 294. [2]) Tamże, 23.

wydziwić się nie mogli tej odmianie; ale sprawił nadto, że się pan Bernard zaczął stroić, nosić rękawiczki, kwiatek w butonierce, używać perfum, świecić czystą bielizną, a nawet lepiej wyglądać na twarzy, nabierać humoru, cery, słowem: wracać do równowagi.

Słowacki tymczasem, nauczony smutnem doświadczeniem swego »totumfackiego« (tak nazywa Zajdlera w jednym z listów do matki), starał się o ile możności sam równowagi tej nie utracić i dlatego, choć chętnieby się zakochał w kim, »ostrożny« był w wyborze przyszłej Beatrice, mając zawsze na myśli »widziadło straszące» swojego gospodarza. Ostrożność ta, dodać wypada, była do pewnego stopnia konieczną nawet, chociażby tylko ze względu na młode i piękne sąsiadki z pierwszego piętra, z któremi zabrał wkrótce znajomość, aby »gadać po włosku«, a z któremi po niedługim przeciągu czasu potrafił zżyć się do tego stopnia, że je w końcu, »chcąc te panienki ubawić«, zaprosił kilka razy do siebie i dał im mały wieczorek w swoim saloniku. Tańcowały, jadły ciasteczka, a widząc w mieszkaniu jego mebelki eleganckie, lampę, którą dla nich zapalił, fortepian, posadzkę, wybitą dywanem, piękne obrazy na ścianach, nie mogły wyjść z podziwu. Było ich sześć, a wszystkie ładne, powabne, zalotne, prostoduszne. Jak prostoduszne, tego dały najlepszy dowód swojem zachowaniem się względem poety, na którego poczęły niebawem siatki zarzucać. Jedna zwłaszcza postanowiła wydać się za niego *coute que coute*. W tym celu sama mu któregoś dnia — na schodach — zrobiła oświadczenie miłości, prosząc go o rękę. A Słowacki? Cóż on na to? »Rozśmiałem się, powiada, tak, że się zatrzęsła moja wieżyczka z belwederem, i zostawiłem zmięszaną Cyrce z otwartą gębą. Dotąd pojąć nie mogę tak śmiesznego głupstwa tej rodziny, przekonany bowiem jestem, że matka sama (może nawet i ojciec) należała do spisku dziewcząt. Na miejscu tych Włoszek-Sabinek w odwrotnem znaczeniu, dziewczątka francuskie albo niemieckie lubiłyby mię i wspominały długo, jak odjadę; a ja właśnie tego chciałem, bawiąc je, aby kiedyś, po kilku latach, wspomniały o mnie, zobaczyły oczyma wspomnień mój salonik, mój fortepianik, moją lampę przed lustrem, i powiedziały do siebie: »Jak my się dobrze zabawiły u tego *forestiere!* kto on taki? zkąd? gdzie zniknął?« Żadnej delikatności uczuć nie znają tutaj. Wszystko ma jeden cel: złapać cudzoziemca, jeżeli się da; a wszystko wypływa z jednego źródła, to jest: że osądzili już dawno Włosi w swojem sercu, że każdy cudzoziemiec jest Anglikiem, a wyraz *inglese* znaczy teraz u nich: głupi.

Otóż po deklaracyi Włoszki zamknąłem moje drzwi i czekam spokojnie, aż dziewczyna umrze z miłości, bo powiedziała mi wyraźnie, że nie przeżyje ciosu. Ale dotychczas zdrowa i spuszcza oczy, ilekroć mię zobaczy«. W takich warunkach nie dziw, że go »serca interesowane i głowy bardzo puste« tych sąsiadek znudziły ostatecznie, że mu zbrzydł w domu ich niedostatek połączony ze skąpstwem [1]), że mu się rodzina ta sprzykrzyła, wydała »prawie chłopską« i że nakoniec zerwał z nimi.

Co innego zresztą było mu w głowie tej jesieni. Nie zapominając, w jakim celu postanowił tu przezimować: że zamiarem jego było, popracowawszy trochę, na wiosnę pojechać do Paryża, »z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem, i znów oddać wielki ukłon swojej królowej Sławie, jako wierny jej do śmierci błazen«, i że grzechem było dla niego trawić czas bezczynnie, na wizytach i spacerach, na pustych rozmowach z damami w salonach lub z mężczyznami w kawiarniach, w czem ostatecznie taką, jak powiada, widział czczość i nudę, że nie mógł się przymusić, aby zapomnieć i nie myśleć o tem, co daleko, a po szalonemu używać tego, co blizko, ograniczył swoje stosunki, przymusił się — co mu zrazu nie przyszło tak łatwo — żeby więcej przesiadywać w domu, przy stoliku, aniżeli w mieście, w gronie znajomych, i zabrał się do pracy. Dotychczas, oprócz listów do matki w Krzemieńcu, do Teofilów w Perniatynie, do Zygmunta Krasińskiego w Wiedniu, do Zenona Brzozowskiego tamże, do Eglantyny w Paquis i do Eustachego Januszkiewicza w Paryżu, od których otrzymywał częste listy i którym odpisywał na nie regularnie, nie pisał nic innego. Teraz zdecydowany był pracować, ażeby się znów przypomnieć narodowi, ażeby znów zakołatać do wrót Sławy i spróbować — po raz trzeci — zali mu się tym razem twierdzy jej zdobyć nie uda. Wszak: »Kołaczcie, a będzie wam otworzono«, mówi Pismo.

Przyznawał wprawdzie, że mu się trudno było z początku opędzić zwątpieniu i sceptycznemu niedowierzaniu, ażeby ten trzeci szturm »do Sławy grodu« pomyślniejszym został uwieńczony skutkiem, aniżeli poprzednie, i że ciężkiej »boleści wieszcza w chwili tworzenia«, o której mówi Karol Baliński w swoim *Farysie* [2]), osładzać mu

---

[1]) *Listy*, II, 27.

[2]) Bo boleść wieszcza w chwili tworzenia —
To boleść matki w chwili porodu:

nie będzie nadzieja niezawodnego zwycięstwa; mimo to, zdecydował się »niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką«, rzucić tom czwarty »w tę otchłań milczącą«, która trzy pierwsze pochłonęła [1]).

Że decyzyę tę powziął z ogromnym smutkiem w sercu, z przeświadczeniem prawie, że i teraz jeszcze, jak ów ślepy harfiarz grecki z wyspy Scio, śpiewać będzie pustemu morza brzegowi [2]), o tem świadczy następujący wyjątek z listu do matki: »Wczoraj [3]) od Zamoyskiego (Zdzisława) dowiedziałem się, że nareszcie Baliński drukuje historyę grodu Gedymina. Biedny człowiek! Jak jemu źle być musi, kiedy, jak tonący, sławy się chwyta! Ja przynajmniej, że młody, to podobny jestem do Ofelii, która nachylając się po kwiaty, upadła w strumień, i długo ją szata napełniona powietrzem utrzymywała pływającą na wodzie, aż utonęła i pieśń jej ucichła«.

Pomimo tego zniechęcenia jednak zaczął pisać *Anhellego;* najpierw dantejską tercyną, lecz ostatecznie, skoro mu forma tercyny zbyt wiele technicznych czysto nasuwała trudności, zdecydował się na prostotę biblijnej prozy [4]). Pisanie tego poematu, a zwłaszcza tych jego rozdziałów, w których Anhelli opowiada Szamanowi o swojem dziecińśtwie, o swojej młodości, o swojej pierwszej miłości, a w końcu o tej niewieście, która mu przypominała tamtą »dziecka kochankę«, rozdziałów, które były osobistemi wynurzeniami Słowackiego samego, nie mogącego zapomnieć o Ludwice Śniadeckiej (pomimo wszystkiego, co mu o jej sposobie życia w Konstantynopolu mógł opowiadać po powrocie ztamtąd Zenon Brzozowski), a zwłaszcza o Maryi Wodzińskiej, której czar trwał nad nim aż do tej chwili; pisanie tego poematu uprzytomniło mu w pamięci wszystkie szczęśliwe chwile, przeżyte w Paquis z Maryą, za czem poszło, że serce jego wezbrało niewysłowioną tęsknotą po tym czarującym — we wspomnieniu — romansie. Podobnie jak w Rzymie i Neapolu, tak samo i tu, we Florencyi, wszędzie musiał walczyć z tem promiennem wspomnieniem Maryi, której widmo senne zdawało się nie odstępować go

---

Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wziął życia z swego istnienia.

[1]) Por. Przedmowę do trzeciego tomu paryskiego wydania. [2]) Ob. List I do autora *Irydiona* (przedmowa do *Balladyny).* [3]) Zob. list z d. 21 sierpnia 1837 r. [4]) Zob. *Beniowski,* Pieśń V.

»Kiedym chciał zamknąć Północ w tryjolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą
Odjemną — mówi *Tygodnik* (poznański) — o zgrozo!« etc.

ani na krok. Kiedy grał na fortepianie — a grywał w tych czasach po kilka godzin dziennie — przypominała mu się gra panny Wodzińskiej. Na ulicy, każda spotkana Florentynka, jeżeli była brunetką i miała wielkie czarne oczy, zdawała mu się podobną do owej genewskiej *brune fille d'Euterpe*. Kiedy czytał listy od Teofilów ze wsi, listy, jakby wonne zapachem świeżego siana, brzęczenia pszczół i »dzwonienia wracającej trzody«, mimowoli przypominała mu się Szwajcarya[1]), drewniane domki na górach szwajcarskich, tamtejsze murawy, dzwonki krów szwajcarskich, których melancholijnej *pastorale* słuchał razem z Maryą; i widział się z nią na lodowcach Alp, nad błękitami jezior, pod tęczami wodospadów, a myśląc o tem, wyobrażał sobie, że myśli o jakimś raju utraconym, z którego los nieubłagany wypędził go na pustynię i którego odzyskać mu, jak Adamowi, nie sądzono nigdy. Każdy list Eglantyny z Paquis, jako pisany ztamtąd, gdzie on się młodym czuł i szczęśliwym, przyprawiał go o smutek i melancholię. Kto wie nawet, czy nie te wspomnienia głównie były przyczyną, dla której wolał nie wracać do Genewy, gdzieby mu o tyle boleśniej było *ricordarsi del tempo felice nella miseria*.

Cokolwiekbądź, wspomnienia tych dni szczęścia, spędzonych z Maryą, nie przestawały go ścigać, pomimo, że od chwili, jak się ta sielanka zakończyła rozłączeniem na zawsze, upłynęły już dwa lata przeszło. A jednak, dziwna rzecz, nic ich nie było w stanie zatrzeć: przeciwnie, wszystko zdawało się je odżywiać, odświeżać. Tak np. kiedy któregoś dnia zaprosili poetę Herman i Józef Potoccy, ażeby się wybrał z nimi do Walambrozy, przez cały czas trwania tej wycieczki myślał o owym »wojażu« z rodziną Wodzińskich po Alpach berneńskich. Kiedy przyszedł na *Via Reggio* (o 6-ej po południu) i ujrzał przed domem ogromny powóz, zaprzężony czterema mułami, w powozie — dzieci, guwernantkę, guwernera, panów i panie, wszystkich ubranych po podróżnemu, doznał chwilowego złudzenia, że widzi rodzinę Wodzińskich, z którą się wybiera w góry: bo i z nimi jeździł takimi powozami, zaprzężonymi w muły. Kiedy, wyruszywszy w końcu, pojechali na noc do miasteczka, leżącego u stóp góry, na której stoi klasztor Walambroza, i kiedy, zajechawszy do jakiejś oberży, cały wieczór spędzili na jedzeniu, wesołej pogawędce, a wreszcie — gdy się damy i dzieci udały na spoczynek — na graniu w wista, jemu

[1]) *Listy*, II, 9.

przesuwały się przed oczyma duszy (jak powiedział Hamlet) owe noclegi w oberżach i hotelach szwajcarskich, z Wodzińskimi. Nazajutrz, o godz. 7-ej zrana, kiedy, wziąwszy małą *karjolkę* z koniem dla guwernantki i dzieci, oraz dwa konie dla mężczyzn, przybyli po trzechgodzinnej podróży — wśród najpiękniejszych okolic Toskanii — do klasztoru, doznał tego samego uczucia, co wczoraj: oto zdawało mu się, że otoczony gronem rodziny Wodzińskich, wstępuje w progi klasztoru św. Bernarda, że widzi przeora, wychodzącego na ich spotkanie i uśmiechającego się do dam; i tak podczas całej wycieczki, z której wróciwszy do domu, rozmarzony, i opisując ją matce (w liście z dnia 3 października 1837 r.), pisał między innemi, co następuje: »Podróż ta melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, gdyż przypomniała mi moją wędrówkę po Szwajcaryi: albowiem było coś w gwarze tej licznej familii przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, *ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało*«. A ponieważ, dodaje, przyjęcie klasztorne mnichów pobudziło go do myślenia o swojej pielgrzymce do Ziemi świętej, więc mógł w tej małej wycieczce, jak w zwierciadełku, widzieć różne *najpoetyczniejsze* godziny swego życia. »Jak też mię Bóg wysłuchał! — są słowa tegoż listu — ja Go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie; to też On wszystko teraz tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami; prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych, *i na góry chmurami okryte*, i na szczyty piramid. Chwała Mu za to i dzięki!« Kończąc zaś opis tej wycieczki do Walambrozy, nie tai poeta przed matką, że wrócił z niej, jakby *lepiej nastrojony*. »Bardzo jestem kontent — pisze — z dnia wczorajszego: piękne niebo włoskie, kryształowe powietrze jesienne, ogromne lasy sosnowe koło klasztoru, błękitne góry w odległości, a wreszcie cicha atmosfera życia klasztornego, wszystko to upoiło mię i w spokojne pogrążyło dumania«.

Z dumań tych, niby Afrodyte z morskiej piany, wyłonił się najpiękniejszy w naszej literaturze poemat miłosny *W Szwajcaryi*, poemat osnuty na tle wspomnień genewskich o owej »młodej panience czarnobrewej«, której, żałował, że nie było na tej wycieczce do Walambrozy, a o której nie mógł zapomnieć. I stało się z nim, co z owym Królem-Duchem, którego, jak powiada, jakaś smętność znów ogarnęła, tak, iż »westchnęło łono za jakąś dawno w błękitach zjawioną«; znów zaczął w nim wybuchać »jakiś wulkan« tęsknoty i żalu; serce jego poczęło się znowu napełniać »jakiemiś nieograniczonemi zachceniami«, tak, iż

znów musiał pracować i silić się, ażeby zapanować nad niem; aż wreszcie skończyło się na tem, że mu, jak Fantazemu z *Nowej Dejaniry,* chodzić zaczęły po głowie »same jakieś światła«, czerwone, jak lodowce Alp o zachodzie słońca, zielone, jak szmaragd łąk szwajcarskich, błękitne, jak wody Lemanu; na tem tle malowniczem zarysował się obraz dwojga kochanków, trochę podobnych do Romea i Julii, do Pawła i Wirginii, do Chactasa i Atali, do Don Juana i Haidée, a przedewszystkiem do samego autora i panny Wodzińskiej, obraz, wytworzony »z imaginacyi i sennego przypomnienia« [1]), a poetyczny i piękny tak, że piękniejszym, poetyczniejszym żaden z narodów europejskich poszczycić się nie może.

Jednocześnie z tym »romansem« *W Szwajcaryi* dojrzewały w umyśle poety *Ojciec Zadżumionych* i *Dantyszek,* a praca nad niemi miała się przeciągnąć aż do wiosny roku przyszłego.

Tymczasem, dzięki pracowitości swej, która mu mniej, aniżeli z początku, pozwalała udzielać się światu, zasłużył sobie w kole swoich znajomych na opinię »dzikiego«. Opowiadano sobie o nim, że tęskni do Wschodu, że mu w Europie duszno i ciemno, że marzy o zostaniu mnichem na Libanie, itp. On zaś nie zaprzeczał temu; przeciwnie, zapytany, czy to prawda, odpowiadał, że istotnie »na zwierciadło jego marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło«. Tą swoją »dzikością« jednak, niechcący zupełnie, zainteresował sobą damy florenckie: opowiadała mu pani Potocka, że gadają o nim, i że te, które go nie znają, jak np. księżna Survilliers, koniecznie pragną zbliżyć się do niego. Jakoż udało się im to po pewnym czasie; z chwilą zaś, kiedy go wciągnęły pomiędzy siebie, potrafiły mu tak przekonywająco wytłómaczyć, że poecie, jak on, nie godzi się stronić od towarzystwa, cóż dopiero, towarzystwa wytwornego, arystokratycznego, prawdziwie renesansowego, jedynego, które rozumie i naprawdę ocenia wielkich poetów i artystów, że ani się spostrzegł nawet, jak się dał porwać temu wirowi życia towarzyskiego, jak zaczął prowadzić życie pełne roztargnienia (co go męczyło i nudziło), i jak rozrywany na wszystkie strony, zaczął nie znajdywać czasu na pisanie.

Ale już po kilku tygodniach przestało go to bawić. Nieraz żałował, że został na zimę we Florencyi, i »z rozpaczą

---

[1]) Napisany wkrótce po *Anhellim* poemat *W Szwajcaryi,* zaczyna się od słów: »Odkąd zniknęła, jak *sen* jaki złoty«.

myślał o swoim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych«. Albowiem co miał z tego? Czyż miał możność, rozmawiając z ludźmi, nawzajem się od nich czegoś dopytać, dowiedzieć? Nie: powracał zwykle zmęczony i pozbawiony swoich marzeń, bo taka rozmowa salonowa — przelewanie z pustego w próżne — to było dla niego pole, gdzie swoje »złote myśli«, swoje samotne rojenia, na zdawkową rozmieniał monetę i rozsypywał marnotrawnie. »Skutek ten sam: zawsze moją miłą własność tracę«. W ten sposób upływały mu wieczory, które niedawno jeszcze przesiadywał spokojnie w domu, przy pracy. Żeby mu choć dni pozostawiono wolne! Niestety, »biada temu, którego w towarzystwie osądzą za przyjemnego człowieka!« Taki musi nietylko wieczorem, ale i w ciągu dnia być na usługach tych, którzy (a raczej które) mu ten tytuł *przyjemnego człowieka* przyznały, i musi, otwierając »wszystkie zakamarki rozumu, wypuszczać z nich na świat władze, które trzymał pod kluczem, jak waryaty, aby nie chodziły po mieście«. Takiemu *przyjemnemu człowiekowi* nie godzi się np. odmawiać, jeżeli go damy chcą mieć za *cicerona* przy zwiedzaniu miejscowych galeryi, nie godzi się, choćby mu nawet wstręt sprawiało włóczyć się i rozprawiać o rzeczach, które każdy czuć powinien swojem czuciem i widzieć swojemi oczyma [1]). Zjednałby sobie tem niepochlebny przydomek człowieka źle wychowanego, a takim być *przyjemnemu człowiekowi* nie wolno. Więc »włóczył się« z damami po galeryach i muzeach, jaką zaś znajdował w tem przyjemność, tego najlepsze wyobrażenie daje sposób, w jaki później to *ciceronowanie* swoje opisywał matce. »Ale dość już skarg, pisze np. w liście z dnia 2 stycznia 1838 r. Nie, jeszcze jedna! Oto muszę przerwać ten list do mojej drogiej i iść do galeryi Pitti, *gdzie sześć bab chce mię koniecznie mieć ciceronem.* Będę więc musiał suszyć głowę, *aby coś nowego o starych obrazach powiedzieć,* bo jeżeli nie, to całe grono, mające za organ księżnę Survilliers, powie, żem nie zasłużył na reputacyę przyjemnego człowieka, jaką mi niedawno te same osoby przyznały. *O tortury!* Będę utrzymywał paradoksy, będę błyskał sprzecznościami, wskrzeszał umarłych malarzy, *i to wszystko zje mi ranek, którybym mógł weselszemi zająć myślami*«. W tymże liście, pisanym z myślą o tych torturach, jakie go wkrótce czekają z sześciu babami w galeryi Pitti (nawiasem mówiąc, *babami* temi były same młode, nieraz bardzo piękne, jak np. księżna

[1]) *Listy*, II, 47.

Survilliers, osóbki z arystokratycznego *high life'u*), uskarża się rozdrażniony poeta matce, że nietylko wizyty, ale i znajomi *dręczą go* mnogiemi listami, na które nie wie najczęściej, co odpowiadać: »Tak, wystawcie sobie, że nawet szambelan Skibicki z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego siedzi z żoną, *ni z tego ni z owego wypalił do mnie list esencyonalnie poetyczny o pochylonej wieży, o Campo Santo, o profesorze prawa, o Dancie i o wszystkich rzeczach, które jego są*, a ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią, *a najprzód nad tytułem, który na wierzchu listu prześwietnemu korespondentowi należy się*«.

Swoją drogą, pomimo takich skarg i utyskiwań na te »próżności światowe«, o których naukę powinien był, powiada, z pomników egipskich wyssać, a która poszła w las, dalekim był od wycofania się z tego wiru wielkoświatowego życia i najczęściej nie żałował owych wizyt i owych wspólnych — w towarzystwie *bab* — przechadzek po galeryach. Nawet tego dnia, kiedy mu tak trudno było przerwać list »do swojej drogiej« i kiedy mu się tak nie chciało iść do galeryi *Pitti* ciceronować sześciu *babom*, nawet wtedy upłynął mu tam czas wcale nieźle; najlepszy dowód, że nazajutrz, kończąc zaczęty wczoraj list do matki, nie zawahał się napisać: »Otóż przepędziłem wczorajszy ranek w galeryi z *damami* (już ich nie nazywa babami) i dosyć się dobrze ubawiłem«. Kiedy zaś bezpośrednio potem dodaje: »Dziś za to siedzę w domu, deszcz czarny pada i melancholiczne światło panuje w moim saloniku«, to mimowoli bierze ochota posądzić go, iż wolałby w tej chwili, zamiast siedzieć w domu sam, opowiadać sześciu babom coś nowego o starych obrazach. I tak było prawie zawsze. Sam przyznawał, że często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie »wiele gadał«, przypominał sobie talent matki swej, jaki w tak wysokim posiadała stopniu, talent bawienia gości, i że nieraz zdarzało mu się dziękować Bogu, iż i na niego również trochę z niej tego daru gawędzenia spadło. Wiedział, iż potrafił być interesującym w rozmowie — zwłaszcza z kobietami — że był wymowny, że myśl przyoblekała się u niego z łatwością w wykwintną formę, zależnie od tematu, że go kobiety wyróżniały, że mu nadskakiwały, że go psuły, nie tając się przed nim z powziętą dla niego sympatyą, że gdzie on był, tam inni młodzieńcy ustępować musieli na ostatni plan, że zaćmiewał wszystkich, że trudno było mierzyć się z nim w oczach kobiet, że przemawiały za nim mała sława i tytuł poety (jednego z największych w narodzie), że istotnie potrafił, jeżeli chciał być *przyjemnym człowiekiem*: a wszystko to, razem wzięte, pochlebiało

mu, mile łaskotało jego miłość własną; nie dziw więc, że o ile z jednej strony tęskno mu było do pracy, o tyle z drugiej wyrzec się dobrowolnie tych salonowych sukcesów poprostu nie miał siły.

Przyczyniła się do tego między innemi także i osoba księżny Survilliers, młodej, 30-letniej zaledwie, a bardzo pięknej, czarnobrewej wdówki, której uczucie gorącej sympatyi, jaką powzięła dla młodszego od siebie o parę lat poety, niemało dawało mu do myślenia. Zapoznał się z nią bardzo prostym sposobem. Przedewszystkiem nie szukał tej znajomości, co już było pewną podnietą dla zalotnej, a trochę sentymentalnej wdówki. Postanowiła więc ona go poszukać i, bądź co bądź, ozdobić nim swoje »środy«, na których zbierała się śmietanka florenckiego towarzystwa. Jakoż znalazła go niebawem. Przejeżdżając raz przez miasto, i spostrzegłszy poetę (widocznie znała go już z widzenia), idącego razem z Hermanem Potockim, kazała stangretowi przystanąć, czem dała Potockiemu do zrozumienia, że chce z nim pomówić, a kiedy ten ostatni podszedł do niej, zażądała wprost, ażeby jej zaprezentował swego towarzysza. »Musiałem więc z nią, powiada Słowacki, w karecie siedzącą, zrobić znajomość«. Odtąd spotykali się bardzo często, księżna Survilliers bowiem była duszą całego florenckiego *beau monde'u* i bywała wszędzie, między innemi także i u pani Komarowej, którą Słowacki znał jeszcze z Drezna, a która tu spędziła parę miesięcy z dwiema córkami (zadziwiającemi całą Florencyę swoją pięknością), zapraszając poetę »dość często« na wyprawiane przez siebie rauty [1]). Na rautach tych, podobnie, jak i na środowych *five o'clock'*ach u księżny Survilliers, miał Słowacki aż nadto sposobności kokietowania czarującej wdówki, prowadzenia z nią »rozmów o niebieskich migdałach«, rozmów, któremi rzucał zgubny posiew w jej wrażliwe serce, a podczas których, choć udawał czasami Werthera, zimny był, jak mozartowski *Don Juan*. »Żadna pasya, pisał o tym swoim szczególnym romansie z księżną, nie odkrywa mojej draperyi, żaden wicher nie rozwiewa mi włosów, żadna iskra nie błyszczy mimowolnie w źrenicy; aż mi wstyd, że takim jestem; lecz to nie moja wina«. Księżna tymczasem, choć śmiała i kostyczna w obejściu z innymi mężczyznami, np. z Hermanem Potockim, który się w niej kochał bez pamięci i bez nadziei, jedynie względem niego, w jego towa-

[1]) Jeden z takich rautów u pani Komarowej opisał Słowacki w liście do matki z d. 22 lutego 1838 r. (T. II, str. 29—39).

rzystwie, podczas rozmowy z nim była nieśmiała, jakby zalękniona. Okrzyczana za dowcipną i sprytną, na różne złośliwe przycinki poety odpowiadała smutnem spojrzeniem, które zdawało się mówić: »Com panu zawiniła, że się tak znęcasz nademną?« Jemu zaś sprawiało dokuczanie jej szczególnego rodzaju przyjemność, tak dalece, że, jak powiada, *przy niej* odzyskał swoją dawną uszczypliwość w rozmowie [1]), czemu się nawet dziwił, sądził bowiem, że ją już utracił na zawsze. Szczęściem, umiał odróżnić złe od dobrego i tylko w ostatniej potrzebie używał swoich »szkodzących władz«. Drugą, na jej miejscu, zraziłaby do niego ta uszczypliwość (istota taka miała się nawet znaleść niebawem), ją onieśmielała i podniecała. Kiedy, w teatrze, podczas opery, wszedł do niej, do loży, cieszyła się bardzo, zdawała się uważać to sobie za zaszczyt, prosiła, żeby został przez następny akt i zapominała o innych swoich gościach, którzy ją tu przyszli odwiedzić w czasie antraktu. Nieprzyjemność taka spotkała raz — na przedstawieniu *Normy* — Hermana Potockiego, który ledwo się nie skręcił z zazdrości, widząc, jak księżna jest rada Słowackiemu; Słowackiego zaś, kiedy odgadł, co się w tej chwili dzieje z Hermanem, »bawiły jego oczki tatarskie, świecące w głębi ciemnej loży, jak ogniki, w nieruchomej i bladej twarzy«.

Na środowych rautach u księżny przypadał poecie zaszczyt, że go pani domu mianowała »mistrzem ceremonii«, ponieważ, jako nieodrodny syn swej matki, doskonale umiał prezydować rozmowie, rządząc nią, jak Eol wiatrami. Jeżeli nie widziała go kilka dni, dopytywała się o niego wszystkich znajomych. Swoje »środy« kazała mu przez różne osoby przypominać po kilka razy na tydzień. Ilekroć nie przyszedł — a nie przychodził czasami umyślnie — wymawiała mu to zaniedbanie. Kiedy wychodził, powtarzała mu kilkakrotnie, na pożegnanie: »Kiedyż się zobaczymy znowu?« Upoważniła go nadto, że ją odwiedzał nietylko we środy, ale i w inne, nierecepcyjne dni, i to nie w zwykłych godzinach przyjęć, ale rano. Zastawał ją wtenczas rysującą pejzaże — wielką bowiem była amatorką sztuk pięknych — i przepędzał z nią, w jej buduarze, godzinę albo i dłużej na miłej, *intime* pogawędce, a że »jakiś zapach dawnej wielkości« napełniał ten buduar kobiecy, pełny medalionów, portretów, biustów familijnych (prócz tego ze 20 przynajmniej bogatych sztambuchów leżało na stolikach), więc były dla niego te wizyty ranne u księżny nie bez

---

[1]) *Listy*, II, 32.

pewnego rycersko-romantycznego uroku. Nie przeszkadzało mu to przecież uważać tego stosunku za prostą rozrywkę, i niepomny przysłowia francuskiego, że *on ne badine pas avec l'amour*, używał czasami najniegodniejszej »szarlataneryi«, aby zaimponować księżnie swojem pańsko-eleganckiem wychowaniem i swoimi — nietylko literackimi — talentami. Niekiedy, powiada, szkic ruiny w Egipcie, pokazany zgrabnie, przekonywał ją *fałszywie*, że, gdyby chciał, mógł nietylko poetą być, ale i malarzem. Raz znowu, na wieczorze u Potockich, kiedy księżna była w drugiej sali, przy kolacyi, zasiadł do fortepianu i zaczął grać »z melancholią« jakąś fantazyę Chopina, którą jednak uciął zgrabnie w miejscu, gdzie trudniejszy pasaż »odkryłby z pod skóry wołowej jego oślątka uszy«. Księżna brała to wszystko za dobrą monetę i nie zdawała sobie sprawy bynajmniej, że poeta pozuje *quelque fois devant le monde*, jak gdyby do portretu, tj. *en trois quarts;* a nie podejrzewając go o coś podobnego, pozwalała mu wywierać na siebie jakby wpływ magnetyczny, tak dalece, że nie wahała mu się naznaczać czasami romansowego *rendez vous* w którym z mniej odwiedzanych ogrodów publicznych, gdzie niczem niestrwożeni, sami, jak owi kochankowie z poematu Juliuszowego, mogli swobodniej rozmawiać o niebieskich migdałach.

Serce poety jednakże pozostawało wciąż zimne i puste. Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, minął karnawał, a jemu ciągle brak czegoś było do szczęścia. Na wigilii, na którą go zaprosili Zdzisławowie Zamoyscy, myślał przez pierwszą połowę wieczoru o przeszłości: o prefekcie Jarkowskim, u którego jadł niegdyś wigilię, dzieckiem będąc, o piekarni u babki, o czeladzi śpiewającej kolędy, o wertepie krzemienieckim; a kiedy, dawnym zwyczajem, wyciągnął źdźbło siana z pod obrusa i wyciągnął je bez kwiatka, co go zasmuciło tak, iż, widząc to, pani domu, wyciągnęła mu drugie, krótkie bardzo, ale z kłosem na końcu, w czem on zaraz widział wróżbę, iż dni jego będą krótkie, ale kłos zostanie po nich: od tej chwili, aż do samego końca wieczoru, myślał już o swojej przyszłości jedynie.

Tylko teraźniejszość żadnego nie potrafiła wzbudzić w nim interesu. Nowy Rok zastał go »cichszym i smutniejszym«, niż lat poprzednich; karnawał zaś, z niemniejszą obchodzony we Florencyi pompą, aniżeli w Rzymie, nie zrobił na nim dziś żadnego prawie wrażenia. Korowody i maskarady, przeciągające po ulicach, po błocie z roztopionego śniegu, a przedstawiające Tryumf Cezara, wywoływały mu gorzki uśmiech na usta i co najwyżej pobudzały do dowcip-

ków w rodzaju tego, że ten Brutus, jadący na przedzie orszaku, żeby użyć kalemburu Szekspira w Hamlecie, nie Cezara w Kapitolu, ale kapitalne zabił cielę, pod tymi bowiem rzymskimi kostyumami ukrywali się aktorowie albo rzeźnicy. Dziwna rzecz! Kiedy inni — a w ich liczbie i księżna Survilliers — weselili się, bawili, śmiali, on czuł w sercu (oprócz pustki) jakąś tęsknotę, z której się otrząść nie mógł.

Co było przyczyną tej tęsknoty? Odpowiedzi na to pytanie szukać trzeba w liście do matki d. 22 lutego 1838 roku, gdzie czytamy między innemi co następuje: »Dosyć mi dobrze we Florencyi, tylko mi brak jakiej miłej osóbki, coby mię trochę zelektryzowała. Ale tego mi zawsze brak było oddawna: ochwaciłem się«. W innem miejscu znowu, w liście z dnia 2 stycznia 1838 roku, pisze: »Dziwna jakaś, czcza melancholia dręczy mię: chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. To jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego życia teraz. Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham. Co to będzie? Poznałem tu ładną, jak Anioł, Amerykankę, i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem chwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej ciągła wesołość, ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem się więc znowu, jak ptak, głowę pod skrzydło i pogrążyłem w moje sny melancholiczne«. I nietylko, że nie miał nikogo, coby go »ożywił i podniósł trochę« — snadź księżna Survilliers nie potrafiła sztuki tej dokazać — ale otrzymywał jeszcze z różnych stron różne smutne wiadomości (niedawno np. doniesiono mu z domu o śmierci dziadka), wiadomości, które na humor jego oddziaływały zabójczo.

Najsmutniejszą z pomiędzy wszystkich tych »smutnych wiadomości« była niezawodnie wiadomość o Maryi Wodzińskiej, o której przez całe dwa lata nie mógł się niczego dowiedzieć, a z którą, jak mu o tem doniesiono teraz, ożenił się podobno Fryderyk Chopin. Wieść ta, spadłszy na Słowackiego znienacka, jak piorun z jasnego nieba, wstrząsnęła nim do głębi; bo, pomijając już, że zadrasnęła boleśnie jego miłość własną, ale, co gorsza, trafiła na niewystygłe w nim jeszcze, a nawet grą wyobraźni bardziej podniecone, uczucie miłości prawdziwej, miłości spotęgowanej tęsknotą, a widzianej przez tęczowy pryzmat wspomnień, co ją upiększało i jakby otaczało aureolą poezyi.

A i o tem także nie godzi się zapominać, że poemat

W Szwajcaryi, pisany z myślą o Maryi, właśnie był na warsztacie, już ukończony prawie. Raptem donoszą poecie, że ta Marya, o której on wyrażał się zawsze: »moja Marya«, którą opiewał teraz w osobnym, jej poświęconym poemacie, którą widział ciągle, jakby przed sobą, której czarowi ulegał dotąd, choć zniknęła dla niego »jak sen jaki złoty«, o której marzył przez cały czas podróży, w Grecyi, w Egipcie, w Ziemi Świętej, której imię obok swojego pisał na piasku pustyni w Kairze [1]), której miłość miał »nakształt słońca« w pamięci swojej, że ta Marya wyszła za mąż za Chopina. Mówiono wprawdzie, że wyszła za niego »trochę z przyjaźni« dla swojego genewskiego wielbiciela, do którego Chopin, jak głosiła wieść, miał być jak dwie krople wody podobnym, ale to jeszcze postaci rzeczy nie zmieniało — choć mogło do pewnego stopnia *dorer la pilule* Słowackiemu — skoro została panią Chopin, co było w przekonaniu Juliusza taką samą partyą, ani gorszą, ani lepszą, jak gdyby została panią Słowacką. Nie dziw więc, że taki epilog jego szwajcarskiego romansu niezwykłą sprawił mu przykrość, że go dotknął boleśnie i że — co było nieuniknionem przy jego sarkastycznem usposobieniu — zatargał w nim strunę właściwej mu dokuczliwej, mefistofelesowskiej ironii, która go jednak tym razem dużo kosztowała, kiedy, dzieląc się z matką wieścią o zamężciu Maryi, pisał: »Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się Anioł jeden po śmierci. Ale w tym wypadku niech Marysia na mnie nie liczy: wolę się do innej jakiej istoty w niebie przylepić: dla niej dosyć Orfeusza! Skrzydła tego Anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki«. Gryząca ta jednak ironia niewielką przynosiła mu ulgę. Wiadomość, że Marya została żoną innego (dopiero później dowiedział się Słowacki, że była to wiadomość mylna), przeszyła mu serce, jak grot zatruty. Po otrzymaniu jej, kiedy wyczytał w tym nieszczęsnym liście (najprawdopodobniej od Eglantyny Patteg z Genewy, z Paryża), że pani Chopin nie zapomniała przecież owego walca Chudoby, którego jej on, Słowacki, grywał w Paquis na fortepianie — jej fortepianie — pierwszą czynnością jego było zasiąść do fortepianu i przegrać tego walca. Potem przypomniały mu się owe wiersze, które napisał w Veytoux po

[1]) *Bibl. Warsz.*, 1891, listopad, str. 343.

rozłączeniu się z Maryą i pod wpływem tęsknoty po niej. W uszach mu brzmiało:

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta,
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści.

Wiersz ten wraził mu się teraz w umysł tak silnie, że nawet, pisząc do matki, bezpośrednio po owym sarkastycznym ustępie o Maryi i Chopinie i po wzmiance o owym walcu, którego Marya nie zapomniała, a którego grywała także i pani Becu, nie mógł się oprzeć pokusie, ażeby o tym wierszu nie wspomnieć: »Takim sposobem — pisał — (grając to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie), znajduję jakiś mistyczny sposób połączenia się z wami, i przychodzi mi na myśl wiersz jeden z jakiejś mojej poezyi: »*Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku i nosi ciągłe wieści*«. Nadmienić wypada również, że cała druga połowa tego listu, począwszy od ustępu o zamężciu panny Wodzińskiej, pisana jest »jakimś tonem smutnym serca«, w który poeta wpadł mimowoli. Podobnym tonem odznaczał się i list następny, który świadczy, jakiego przyczyną smutku i spleenu stała się ta fatalna wiadomość o Maryi. Miła Florencya zaczęła mu się odtąd wydawać »smutną, jak grobowiec«. Jak Dantemu po śmierci Beatrix Portinari zdał się gród ten odrazu »miastem wymarłem«, podobnie i jemu chciało się dziś — również jak Dantemu — z biblijnym prorokiem zawołać: *Quomodo sedet sola civitas plena populo!* »Wszystko pusto koło mnie« — powiada w liście z d. 19 maja. Poczem na innem miejscu — w tymże liście — dodaje, że czczość jakaś często mu teraz pokazuje błahość wszelkich smutków i tęsknot. A jednak, mimo to przeświadczenie, oprzeć się im nie mógł, nie potrafił, i wystarczało mu, ażeby się z listu Eglantyny dowiedział, że porzuciły już z matką Paquis, *pour n'y jamais revenir,* że zamieszkały w mieście, nad samem jeziorem, w domu z pięknym tarasem, z którego *on decouvre un panorama magnifique*[1]), ażeby pod wrażeniem tęsknoty. jaka go po odebraniu tej wiadomości z Genewy napadła, napisać do matki, co następuje: »Więc już wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdziem sobie przez trzy lata marzył, zamiast odpocząć w pokoiku, gdziem przywykł był leżeć spokojnie, *zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, gdziem latał po murawach z młodziutką*

[1]) Słowa listu Eglantyny Patteg do Słowackiego.

Maryą, co mię kochała krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczęta kochają, zamiast tego wszystkiego, znajdę dom w mieście czarnem i posępnem. Ogród mój dawny przez sztachety żelaznej bramy zobaczę napełniony innemi dziećmi może, co będą, jak ja niegdyś, odsyłały sobie wolanta po błękitnem powietrzu. O, nie wrócę do Genewy, a nawet przyjechać tam na krótko smutno mi będzie«: tak samo, jak mu teraz dziwną jakąś, niewymowną tęsknotą wzbierało serce, kiedy wspomniał te błogie czasy genewskie.

A myślał o nich ciągle. Najpiękniejsze widoki Szwajcaryi, a na ich tle postać Maryi, wyidealizowana dwuletniem niewidzeniem, przesuwały mu się w wyobraźni, jak w kalejdoskopie: widział się z nią razem na błękitnych wodach Lemanu, wśród śniegów św. Bernarda, wśród leszczyn Giesbachu, pod lodowemi sklepieniami grot w Rosculanen, przy kaplicy Tella [1]); o tem zaś, jak dokładnie sobie przypominał wszystko, świadczy chociażby ta tylko wzmianka w tymże liście z dnia 19 maja o pani George Sand, którą, powiada, spotkał raz po mężku ubraną na Genewskiem jeziorze, ale, dodaje, tak miał wtedy serce *innemi rzeczami zajęte* (oczywiście ma tu pannę Wodzińską na myśli), że się do niej nie zbliżył. »A kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać *innego kierunku moim uczuciom: serce moje było w tych czasach, jak glina miękka i zdatna do przyjęcia innego kształtu*«.

W takim stanie uczuć zastała poetę wiosna 1838 roku, wiosna zimna i dżdżysta, tak zimna, że jeszcze w kwietniu musiał wieczorem zapalać ogień na kominku, ażeby nie

---

[1]) W tym czasie niezawodnie (w maju 1838 r.) wykończył poeta ostatecznie swój poemat *W Szwajcaryi*. W tymże czasie, w liście do Jańskiego, datowanym z Rzymu d. 22 kwietnia 1838 roku pisali o Słowackim X. Hieronim Kajsiewicz i X. Piotr Semeneńko, co następuje: »Pożyczyliśmy... u Wołkońskiej pismo *Moskowskij nabliudatiel* (postrzegacz), gdzie był artykuł: *Nowiejszaja poezya u Poliakow*, gdzie Słowacki bardzo zachwalony, ale artykuł mierny zupełnie«. Zob. X. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zm. P.*, II, 115. O ile w tym czasie zainteresowanie się Słowackim wzrastało pomiędzy emigrantami, dowodem list do Jańskiego XX. Kajsiewicza i Semeneńki (z Rzymu 12 maja 1838 r.), w którym jest taka rada dla młodych kleryków, mających przyjechać do Rzymu (X. Smolikowski, *Op. cit.*, II, 126): »Niechże bracia nie zapomną wziąć papieru owego papieskiego. Przytem Mickiewicza dzieła, Słowackiego (jeśli można), *Komedyę* i *Irydiona* (koniecznie) i to dwa egz. *Komedyi*. Niech nie zapomną i drobiazgów: Garczyńskiego, Hieronima (Kajsiewicza) *Sonety* i ową powiastkę Góreckiego«. Należy zwrócić uwagę na to, że tu Słowackiego wymieniono zaraz po Mickiewiczu, a przed Krasińskim. Dowód to, że Słowackiego nie uważano za hetkę pętelkę. Zaraz po Mickiewiczu wskazywano na Słowackiego, jak na największego po nim.

marznąć w ręce, grając na fortepianie lub pisząc. A pisał znowu w tym czasie więcej, niż kiedykolwiek: raz dlatego, że często nuda — choć między dziewięciu Muzami nie położono Nudy — napędzała go do pracy, a powtóre, że miał zamiar przenieść się wkrótce do Paryża, a dał sobie słowo, że do swoich kolegów nadsekwańskich »z niczem nie powróci«. To też, o ile mógł tylko, przysiadywał fałdów po kilka godzin dziennie — nieraz i północ zastawała go jeszcze pochylonego nad stolikiem — tak, iż po niejakim czasie nietylko się uporał z *Anhellim*, którego zaraz po przepisaniu na czysto posłał do Paryża, do drukarni panien Pinard (korekty obiecał mu dojrzeć Eustachy Januszkiewicz), ale i inne poematy, które tu pozaczynał we Florencyi, jak *Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi, Dantyszek,* a także i *Wacław,* nie były dalekie od tego, ażeby pod każdym z nich wypisał w końcu uroczyste *Finis.* Jedynie ze względu na nie, na te, jak powiada, swoje »marzenia nie ubrane w ciało«, nie wyrwał się dotąd z tej dżdżystej Florencyi, która mu się już przykrzyć zaczynała, jak siwiejąca kochanka, i której w tych wstęgach i »warkoczach deszczowych«, przez które, niby przez szarą woalkę, patrzał na nią od kilku tygodni, wcale nie było do twarzy. Niebo »żelaznego koloru« także nie przydawało jej ozdoby: słowem, pilno mu już było pożegnać uroczą stolicę Toskanii. Chodząc »jak mara piekielna« albo jak Dantyszek po piekle, po ulicach, po błocie, pod parasolem, wśród przejmującego, bo wilgocią przesyconego chłodu, albo patrząc ze swego belwederu na szare, brudne chmury (przeciągające tak nisko, że nurzał się w nich niekiedy wierzchołek kopuły katedralnej), znudzony tem wszystkiem i zniechęcony, myślał, że »umrze ze spleenu«, i marzył wtedy, jak o Arkadyi, o Paryżu, gdzie spodziewał się znaleść odmienne od florenckiego towarzystwo, »więcej zachcenia do pracy, więcej porady«. Tutaj nie miał nikogo, kogoby się mógł zapytać, ażali to, co napisał, dobre jest, czy złe. A sobie nie wierzył [1]).

[1]) Nadto tęsknił do ziomków. Oto wyjątek z listu X. Semeneńki, pisanego d. 20 i 21 lipca 1838 r. do Zaleskich (w Paryżu): »Słowacki z Florencyi dziś pisał do O. Ryłło, a razem przez jego pośrednictwo i nas nie zapomniał, bowiem Hieronim do niego parę miesięcy temu kilka słów napisał. *Jedzie do Paryża, bo mu już za Polakami tęskno.* Dobrzeby było, by się tam zetknął z bracią. Ciekawiśmy, co to ten jego *Anhelli.* Może Marsylii w przejeździe dotknie. O. Ryłło z ostatniego waszego listu *i z listu Słowackiego* dowiedział się, że Hieronim też poetą *szorstkich Sonetów*«. Prawie słowo w słowo to samo pisali tegoż dnia do Jańskiego: »Dziś pisał do O. Ryłło Słowacki, w którem pisaniu nie przepomniał i listu Hieronima przed parą miesięcy doń pisanego. Wy-

Gdyby mu ktoś powiedział wtedy, że z projektów tych nic nie będzie, że tylko patrzeć, jak ich zaniecha, jak mu z czasem trudno przyjdzie myśleć o wyjeździe z Florencyi, tak trudno, że w końcu zostać tu postanowi: takiego człowieka zmierzyłby wzrokiem pełnym politowania i niedowierzania. A jednak słuszność byłaby po stronie tamtego, nie jego; on bowiem, chociaż w tej chwili nie przewidywał nic podobnego, miał jeszcze pół roku zabawić we Florencyi.

II.

Co było przyczyną tej zwłoki? a raczej *kto* był przyczyną tej zwłoki? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, najlepiej przypomnieć owo francuskie przysłowie, które zawsze i wszędzie radzi *cherchez la femme*. Ale przysłowie to, jak się okaże niebawem, jest niewystarczające, jak w danym razie, albowiem każe szukać *kobiety*, wyraźnie w liczbie pojedynczej; tymczasem w danym wypadku, ażeby doradzało dobrze, powinnoby doradzać poszukiwania nie jednej kobiety, ale dwóch; gdyż dwie kobiety były przyczyną, że Słowacki, zamiast wyjechać z Florencyi już w maju, jak zamierzał pierwotnie, wyjechał w grudniu.

Pierwszą była Włoszka, Florentynka, drugą — Polka; pierwsza była »prostą dziewczyną« z ludu, druga należała do sfery arystokratycznej. Już to samo pozwala się domyślać, że innego rodzaju miłość potrafiła w poecie wzbudzić ta pierwsza, a inną — ta druga.

Jakie było imię i nazwisko Włoszki? Słowacki nazywa ją swoją Fornariną, czem odrazu daje do zrozumienia, że stosunek, jaki go łączył z nią, przypominał stosunek Rafaela do Fornariny, to znaczy, iż pierwszą i główną rolę grały w nim — zmysły. Dla Słowackiego, który dotychczas »czystsze życie wiódł, niż inni, znajdując w tem *jakąś dumną pociechę dla duszy*«, posiadała ta przygoda romansowa, nie na platonizmie oparta, nadzwyczajny urok, bo urok czegoś, czego aż do tej pory doświadczał mało, za mało nawet, jak na 29-letniego mężczyznę. To też, kiedy mu się udało na swojej drodze spotkać taką Fornarinę, która

prawia się do Paryża, bo mu już tęskno za Polakami. Życzyć należy i zdaje się rzeczą naturalną, że się spotka z Adamem (Mickiewiczem) i z wami (domkiem Jańskiego). Ciekawiśmy jego *Anhellego*, ale o jego przesłanie już i prosić nie śmiemy«. X. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zmartw. Pańsk.* II, 139, 142.

była »piękniejsza od tej, którą malował Rafael«, nie dziw, że zapoznawszy się z nią bliżej, poprostu oszalał dla niej, że w jednej chwili z dawnego roztropnego młodzieńca, który się »rozważnie prowadził i wszelkich niebezpieczeństw — ze strony kobiet — *z dziwną zręcznością* unikał«, stał się, jakby za dotknięciem jakiejść różdżki Afrodyty, »młodym chłopcem *szalonym*, który, *pomimo przestróg rozumu*, zakochał się z całą pasyą serca swego«, przekonany ostatecznie, że tylko taka miłość, takie upojenie zmysłów jest coś warte naprawdę i że taka Fornarina, choć była prostą dziewczyną, jeżeli kocha i oddaje się z prawdziwej miłości, może dać więcej niezaprzeczalnego szczęścia, aniżeli wszystkie idealne i platoniczne miłości, które, razem wzięte, ostatecznie »jak próchna, świecą«, i nic więcej. Byle kochała, naturalnie, i byle była piękna, jak grzech. Jego Fornarina florencka była piękna, jak grzech. Dość powiedzieć, że »zupełnie odpowiadała pięknym okolicom włoskim«. Oczy jej, szafirowe przy świetle wieczornem, stawały się we dnie, przy słońcu, czarnemi, »jak kamienie w powieściach wschodnich«. Kształtna, wysmukła, z piersiami jawnemi, jakby się wyraził Jan Kochanowski, z różowemi, cudownie rozchylonemi ustami, stworzonemi do pocałunków, i które, jak usta owej pieszczotki Mickiewicza, tylkoby się chciało całować, całować, całować! posiadała coś czystego w sobie, co ją — w oczach rozkochanego poety — czyniło podobną do Nimfy mitologicznej, a co go przykuwało do niej, pociągało, jak magnes, przyprawiało o »szał«. Zwłaszcza, że, kiedy on szalał bez opamiętania, ona chwilami wydawała mu się »nieco zimna z charakteru«, co go rozpłomieniało tembardziej. Zupełnie wyszedł z normalnej kolei. Dawno — a może nigdy w życiu — nie czuł się tak opętany miłością. Dotychczas bywał niekiedy, jak Anhelli, »opętany przez anioła«, teraz był opętany przez kobietę rzeczywistą, o pięknem ciele i krwi południowej. Nie poznawał się poprostu w tych »ekscentrycznych chwilach«. Nie przypuszczał, że był zdolny do takiej »burzy serca«. Stanowczo była to najgwałtowniejsza burza, przez jaką przechodził kiedykolwiek, burza, którą miotany i rozkołysany, czuł się szczęśliwy, jak nigdy, a podczas której, jak Rafael, upojony pocałunkami i pieszczotami Fornariny, z lubością wspominał:

Quanto fu dolce el giogo e la catena
De suoi candidi braci al col mio volti.

Pod wpływem tego rafaelowskiego rozigrania zmysłów, zapomniał, iż ten romans jego to ostatecznie »rzecz pospolita bardzo«, a że miał wyobraźnię bujną, jak mało

kto, która najpospolitszą rzeczywistość umiała przystroić w najczarowniejsze girlandy najbardziej rozmarzającej poezyi, więc zaczął to «swoje bóstwo« florenckie osnuwać w coraz idealniejsze szaty, a przedewszystkiem zaprzestał myśleć o wyjeździe z Florencyi, którą niedawno zamierzał opuścić dla Paryża. Kto wie bowiem, myślał sobie, czy ta florentynka nie jest ostatnią różą na wątłej łodydze jego »wdowiego życia?« W jakim celu więc, mogąc jeszcze długo upajać się odurzającym zapachem tej przewonnej róży, zrywać ją zbyt prędko? Niech kwitnie! A Paryż? Paryż nie ucieknie. Tak rozumując, choć od trzech miesięcy wybierał się w podróż, bo miał dość ważne interesy, które go przywoływały nad Sekwanę, siedział nad Arnem przy swojej Fornarinie i ostatecznie »wybrać się nie mógł«. Strasznie mu się nie chciało odjeżdżać od tej dziewczyny.

Ale wszystko musi mieć swój koniec, wszystko, nie wyłączając samej miłości. Jeżeli kobieta-kochanka zadawalnia tylko zmysły, jeżeli jest tylko piękną, to choćby nawet była »piękniejszą od tej, którą malował Rafael«, przesyt musi nastąpić prędzej, czy później. Co innego, jeśli pod powłoką tego ciała Fryny mieszka dusza Aspazyi! Zdaje się jednak, iż za Fornariną Słowackiego, jak za Fornariną Rafaela, przemawiała tylko piękność zewnętrzna. Ostatecznie była to »prosta dziewczyna«. Nie dziw tedy, iż po upływie trzech miodowych miesięcy Słowacki powoli zaczynał ostygać w swoim zapale, a natomiast zaczął się bać tego zakochania się swego w prostej dziewczynie, zaczął się lękać, ażeby go ono nie pozbawiło mocy charakteru i panowania nad sobą, i żeby go w końcu »do jakich szaleństw« nie przywiodło. Ta obawa to był początek końca. Po niejakim czasie zaczynał się poeta czuć zmęczonym tą romansową idylą *à la Rafael,* poczem przyszła kolej i na to, że go ten romans coraz bardziej zaczął »napełniać czczością«. Uważał, iż należy pomyśleć o zręcznem wycofaniu się z tego zaczarowanego koła miłości. Niestety, wszystko rozbijało się o to, że Fornarina zdawała się inaczej na tę sprawę zapatrywać: poprostu nie myślała o zerwaniu. Po co? Czy im było źle z sobą?

W takiem usposobieniu, któregoś wtorku, jednego z pierwszych dni lipca, wynajął Słowacki — ażeby swej Fornarinie sprawić przyjemność — jednokonny *tilbury* i pojechali na spacer. Dokąd? Do *Pratelino.* Jest to ogród angielski, położony trochę za miastem, a mniej uczęszczany w dnie powszednie, zwłaszcza w porze południowej. Dzień był prześliczny, upalny; słońce świeciło i dopiekało; w powietrzu panowała cisza. Słowacki był w doskonałym hu-

morze, Fornarina także. Bawiła ich ta przejażdżka we dwoje. W południe wysiedli z powoziku, który pewno zostawili w jakim zajeździe, gdzie się prawdopodobnie i posilili także, poczem pieszo udali się na spacer po parku. Ponieważ park był pusty o tej porze, więc niczem niestrzeżeni, sami, mogli być swobodni, nieskrępowani, biegać po murawach, gonić się, chować jedno przed drugiem — jak w poemacie *W Szwajcaryi* — zrywać róże, odpoczywać w cieniu i chłodzie grot, w których mruczały strumienie — jak w poemacie *W Szwajcaryi* — słowem, używać pięknego dnia *ganz nach freier Lust,* jakby powiedział Goethe, i doznawać czarującego złudzenia, że są »nowym Numą z Egeryą«. W ten sposób upłynął im cały dzień wesoło, pogodnie i płocho, jak sobie tylko życzyć można. Niczem marzenie! Poeta zapomniał o czczości, która mu się ostatniemi czasy dawała uczuć, i znowu była mu ta Fornarina »miłą«, jak dawniej.

Epilog jednak, który miał zakończyć ten spacer, wypadł mniej szczęśliwie. Gdyby nie szczęście w nieszczęściu, mogła przygoda, która im się przytrafiła, skończyć się o wiele gorzej. Stało się tak. Kiedy wracali z Pratolino, oboje weseli i rozbawieni, szczęśliwi i zakochani, Słowacki, który powoził, zajęty rozmową z Fornariną, która siedziała przy nim, zagadał się, zapomniał o lejcach, które należało trzymać krócej: dość, że koń, poczuwszy, iż nie jest trzymany silną ręką, wziął na kieł, a wreszcie poniósł. Dopiero teraz spostrzegł Słowacki, że są w niebezpieczeństwie. Widząc, że konia nie zdoła powstrzymać w biegu, nie namyślając się długo, skręcił gwałtownie, tak, żeby wywrócić, a wywrócił tak szczęśliwie, że wolancik przełamał się na pół, koń z przedniemi kołami uciekł (ale go złapano zaraz), a oni znaleźli się na ziemi, na trawie. Egerya upadła na Numę, lecz tyle było i nieszczęścia; przekonali się bowiem, kiedy powstali z ziemi, że oboje są zdrowi i cali, że im się nic nie stało; nawet siniaków uniknęli. Najgorzej na tej katastrofie wyszedł koń, który się pokrwawił, i kabryolet, za którego naprawienie musiał Słowacki zapłacić kilka skudów. Zresztą nie wpłynęło to nieprzewidziane *intermezzo,* które się mogło skończyć prawdziwem nieszczęściem, na pogorszenie humoru kochanków: tyle tylko, że musieli — jak niepyszni — wracać pieszo. Swoją drogą wracali weseli i podochoceni: Słowacki dowcipkował, Fornarina się śmiała; Słowacki dowodził, że »można w Azyi i Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino spotkać się z królową ostatecznych przestrachów, jak mówi Pismo święte«; a For-

narina pocieszała go, że, choć nieszczęśliwy do koni, przecież nie zginie od nich (prędzej od kobiet). Tak żartując i śmiejąc się, powrócili do domu.

Słowackiemu jednak, który był zawsze przesądny trochę, dał wypadek ten, jakkolwiek błahy sam przez się, niemało do myślenia. Kto wie (myślał sobie), czy to nie była symboliczna przestroga ze strony Opatrzności? czy nie znaczyło to, że należy zaprzestać tych przejażdżek z Fornariną, jeśli się chce uniknąć nieszczęścia. Skończyło się na tem, że zaczął »widzieć przestrogę w tem zdarzeniu«. Niedawno, niedalej, jak kilka dni przed tym spacerem, kiedy się wahał, czyby temu romansowi nie położyć końca, powiedział sobie, po dłuższym namyśle: »Niech się stanie, jak się Bogu podoba«. Widocznie, że się Panu Bogu nie podobało to jego »zakochanie się w prostej dziewczynie«, skoro go przestrzegł tym wypadkiem z koniem. Być może, że inny na miejscu Słowackiego nie uważałby na taką przestrogę; ale Słowacki uważał i »opuścił« swą Fornarinę. Obawiał się, żeby nie skończyć, jak Rafael. Pragnąc jednak, ażeby pokusie ujść stanowczo, ażeby już nie powrócić do swej florentynki, ażeby nie zatęsknić przypadkiem »do tych dni ognistych *różowego koloru*«, które tej Fornarinie zawdzięczał, i po pewnym czasie nie wrócić do nich, postanowił dłużej nie zwlekać ze swym wyjazdem do Paryża. Tym sposobem, przekonany był, uniknie recydywy, która w miłości jest niebezpieczniejszą o wiele, aniżeli w jakiejkolwiek innej chorobie.

Bądź co bądź, wyjeżdżając z Florencyi, będzie mógł powiedzieć o sobie:

— I ja też miałem Fornarinę moją!

Nie wyjechał przecież. A czemu? Bo go zatrzymała we Florencyi inna Fornarina. Tą Fornariną była panna Aniela Moszczyńska, ta sama, w której się przed wyjazdem na Wschód kochał Zenon Brzozowski. Poznali się niedawno; mniej więcej w lipcu 1838 roku; a że poznanie to (nie wiemy, w jakich okolicznościach) przypadło w czasie, gdy Fornarina już się poecie zaczynała przykrzyć, a zaczęło odżywać wspomnienie Maryi Wodzińskiej, które, jako marzenie, powoli zaczęło w duszy Słowackiego brać górę nad rzeczywistością, której on nigdy nie umiał ocenić należycie, dopiero wtedy, kiedy ta rzeczywistość przestała być rzeczywistością, więc serce jego, kiedy mu na drodze stanęła panna Aniela Moszczyńska — z twarzy trochę podobna do Maryi Wodzińskiej — odrazu zabiło żywiej, a jak się okazało, silniej, niż kiedykolwiek.

Ale bo też dziwna to była panna. Na mężczyzn od-

działywała magnatyzująco, i pomimo, że »strzelna nie była źrenicami zgoła«, kochało się w niej bardzo wielu, a wszyscy bez nadziei. Słowackiemu zaimponowała tem głównie, że on jej nie imponował: ani swoim talentem, ani swoją sławą literacką, ani swojem pańsko-eleganckiem wychowaniem, ani swoim wzrokiem, któremu przypisywał »palącą własność«, ani swoją uczuciową melancholijną grą na fortepianie, ani swoją zdolnością malowania pejzażów, ani swoim tytułem wojażera egipskiego i pielgrzyma do Ziemi Świętej, ani swojem pozowaniem *en trois quarts*, ani swoją umiejętnością bawienia gości, ani swoim darem opowiadania, ani swoją wytworną powierzchownością angielskiego *petit maitre:* słowem, niczem tem, czem np. potrafił zaimponować księżnie Survilliers. A jednak, choć nie okazywała mu tego z początku, spodobał się jej odrazu, od pierwszego wejrzenia, i postanowiła go sobie podbić, choć nie można było powiedzieć o niej, żeby

kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków przed wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem [1]).

przeciwnie,

Dla zalotników zwyczajnych, jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta. —

nie bardzo zdawała się dbać o to, ażeby się podobać młodzieży. W obejściu z młodymi ludźmi nadzwyczajnie pewna siebie (pewności tej nadawało jej trochę i to, że miała przeszło milionowy posag), posiadała w sobie coś, co jakby onieśmielało względem niej, do tego stopnia, że »zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli«. Wykształcona wszechstronnie, wychowana w atmosferze wielkopańskiej, w zbytkach, pieszczona jako jedynaczka, i psuta przez rodziców, którzy w niej widzieli uosobienie wszelkich doskonałości, a którymi ona »samowładnie rządziła«, będąc rzeczywistą »panią domu«, do której woli i kaprysów musieli się wszyscy, nie wyjmując państwa, stosować; jednem słowem: natura energiczna, niepozbawiona pewnej — jeżeli się tak wyrazić wolno — męzkości, panna Moszczyńska, »miała cudowną postawę,

W noszeniu głowy cudną lekkość, włosy
A l'antique, barwy troszeczkę bladawe
Oczy skier pełne«,

[1]) *Beniowski*, pieśń I, (str. 363 wyd. lw. II).

duże, czarne, które »paliły czoła« i których spojrzenia, jakby przeszywającego nawskróś, trudno było wytrzymać. Że im to szczególnego w imaginacyi poety dodawać musiało uroku, niepodobna wątpić. Zresztą »kształtna«, wysmukła, z różowemi ustami, wyższa trochę od pani Hersylii (Januszewskiej), trochę podobna do niej, nieco zimna z charakteru. Dumna i nieskazitelna, (czytamy o niej w *Beniowskim),* chodziła jako łabędź lub anieli, kołysząc się na giętkiej stopie, a tak lekko, że na fale wejść mogła.

Jej ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała,

co dobrze świadczyło o temperamencie panny.

Włosy jej, długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.

A ta sama głowa, powiada o niej Słowacki w *Beniowskim,* gdzie Aniela jest wiernym portretem panny Moszczyńskiej (nawet jej imienia nie zastąpił innem)

Ta sama głowa miała kształty święte
I uświęcone snycerską powagą:
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Że takie »dziewczę z białą szyją«, któremu nadto, jak się o niem pięknie wyraził Piotr Chmielowski, laury zdobiące skronie Juliusza nie pochylały czoła ku ziemi, że taka panna mogła się stać niebezpieczną dla poety, że musiała (cóż dopiero, jeśli postarała się o to!) na umysł jego wpłynąć niezwykle silnie, to się rozumie chyba samo przez się. On, który — jak trafnie wyraził się o nim wyżej wspomniany autor[1]) — dotąd napotykał same istoty słabe, czułe, łatwo poddające się wpływom, rozkochane w nim od samego początku (choć nie można tego żadną miarą powiedzieć o pannie Wodzińskiej), co, naturalnie, musiało zmniejszać i ostudzać jego uczucia bardzo prędko, musiał na widok istoty, która mu uledz nie chciała, przeciwnie, pragnęła aby on spokorniał, czuć się przedewszystkiem urażonym w swojej ambicyi człowieka, który »lubił kruszyć serca«, i któremu się zdawało, że glina, z jakiej go Pan Bóg ulepił, miała w sobie coś magnetycznego, co mu jednało serca

[1]) Por. Piotr Chmielowski, *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego* (Warszawa 1886 r., wyd. trzecie) str. 142.

panien; a następnie, musiał w nim ten opór, stawiany jego woli (wyrażenie prof. Chmielowskiego), podbudzić zapał, i, co za tem idzie, zająć najprzód wyobraźnię, a po wyobraźni serce, i wyrugować z niego wspomnienie panny Wodzińskiej.

Wprowadzony do domu Moszczyńskich, potrafił tu sobie Słowacki po bardzo niedługim przeciągu czasu zjednać sympatyę wszystkich. Stary Moszczyński, »dobry i wiele gadający człowiek«, dużo mający wspólnych cech z hrabią Respektem z *Nowej Dejaniry*, któremu służył za model, »wielki komplimencista«, szczerem uznaniem przejęty dla Słowackiego, polubił go serdecznie, a ponieważ znajdował przyjemność w rozmowach z nim i chętnie go u siebie ugaszczał, więc »do tyla mu robił grzeczności, że nareszcie przełamał jego zwyczaj samotnika i przyzwyczaił, że co wieczora na rozmowie z nim czas tracił«. Pani Moszczyńska, która z czasem posłużyć miała Słowackiemu za model do hrabiny Respektowej, »dla wszystkich dosyć zimna«, była w obejściu z poetą »dobrze i nawet z szacunkiem«. W czasach, kiedy Juliusz zaczął bywać u nich, wypadło jej właśnie pojechać dla interesów na Ukrainę, gdzie (mówiła, wyjeżdżając) nie omieszka być w Krzemieńcu, ażeby poznać panią Becu i dużo jej dobrego o synu powiedzieć; przyczem stary Moszczyński dodał, że on wyjedna u niej przez żonę upoważnienie macierzyńskie, aby mu pozwoliła nad swym synem ojcowską rozciągnąć opiekę i »wziąć go pod rząd samowładny«. Słowacki, widząc, że mówili to z serca, z niekłamanej życzliwości dla niego, godził się na te pertraktacye pani Moszczyńskiej z matką, do której pisząc o tem, prosił (choć to było zbyteczne), ażeby była z nią uprzejmą, i źle o nim nie mówiła — snać nie miał zupełnie czystego sumienia — bo oni go tu »za bardzo dobre stworzenie« mają, i lubią, i kochają, i zachęcają do pozostania we Florencyi, gdzie (jak się wyraził przy stole, podczas obiadu, stary Moszczyński) niech tylko popracuje nad sobą i zakocha się, to już on go ożeni. Panna Aniela, słysząc to, płonęła, jak piwonia, a kuzynka jej, panna Helena, uśmiechała się znacząco, również spuszczając oczy. Ta panna Helena, osoba w wieku już, nabożna i słaba, grała w domu Moszczyńskich podobną rolę, jak panna Marcelina Łempicka w domu państwa Ankwiczów, rodziców Mickiewiczowskiej *Ewuni*. Kiedy Słowacki przychodził, także się uśmiechała mile, a kiedy pani Moszczyńska wyjechała na Ukrainę, ona, widząc, że poeta jest panną Anielą zajęty, że panna (choć udawała, że zajmuje stanowisko odporne) także mu sprzyja, że każde jego przyjście sprowa-

dza rumieniec na jej lica[1]), starała się im wzajemne do siebie zbliżenie się ułatwić, co się jej zresztą w zupełności udawało.

Tymczasem zaczął się na wszystko przez inny zapatrywać pryzmat: ten sam dom, który z początku wydawał mu się »domem egoizmu i zimną napełnionym atmosferą złota«, stał mu się teraz ze wszystkich we Florencyi najmilszym, a jego gospodarze — najsympatyczniejszymi. I dziwić się temu nie można, bo, jak na podstawie osobistego zapewne doświadczenia wyraził się później w *Beniowskim*, wnętrze domów dopiero wtedy poetycznem jest, »jeśli miłość oświeci, wonną je napełni mirrą«. Panna Aniela, którą posądzał z początku, że nigdy nie zapomina o swoich milionach, zdawała mu się teraz »Nimfą mitologiczną«; od serca jej, jak powiada, »wiało mu tyle woni i tyle światła«[2]), że czuł się wonią tą odurzony, a światłem tem, niby blaskiem słońca oślepiony.

Tymczasem nadeszły na św. Jana piękne fety, illuminacye, fajerwerki, wyścigi konne itd., po których »burza serca« jego, już i tak groźna, rozszalała jeszcze bardziej, do tego stopnia, że postanowił zostać we Florencyi. Któż mu zaręczy, myślał sobie, że panna Moszczyńska nie jest »w przeznaczeniu życia jego« ostatnią, że przez resztę dni, jakie ma przebyć jeszcze na ziemi, nie będzie skazany »na suchą nudę wdowiego życia?«. Pocóż więc, skoro tak mało spodziewać się może po przyszłości, zrywać tak prędko tę ostatnią różę? Czemuby miał jej odurzającym zapachem nie upajać się dłużej? Kto mu broni? W Paryżu nie jest pewien, czy znajdzie kogo, coby mu sprzyjał. Tu go przyjmują z otwartemi rękoma, kochają, szanują. Więc zostanie.

Cóżkolwiekbądź, o jednem nie wątpiono powszechnie: że Słowacki stara się o pannę. On tylko jeden nie zdawał sobie sprawy, że, sam nie wiedząc, kiedy i jak, »znalazł się w położeniu aspiranta«, i że ludzie go za takiego uważają. Ani mu przez myśl przeszło coś podobnego. Kochał pannę, chociaż chwilami wypierał się tego uczucia sam przed sobą, ponieważ nie był pewien wzajemności; z przyjemnością spędzał i tracił czas w jej towarzystwie, na to jednak, żeby sobie ze stosunku tego prorokować związek małżeński, był pomimo całej zarozumiałości swojej za skromny[3]). Jakto on, człowiek bez majątku, bez pozycyi,

---

[1]) *Listy*, II, str. 55. [2]) *Beniowski*, pieśń II, (w wyd. lw. II, str. 370).

[3]) Lecz zakochany w cudownej Anieli,
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się.

posiadający jedynie na Parnasie włości, miałby się »posuwać tam, gdzie dwóch ładnych chłopców i bogatych otrzymało arbuzy?« Że się pannie podobał *Anhelli*[1]), którego mu przysłano w tych czasach z Paryża już w drukowanej szacie; że stary Moszczyński nie mógł się poematu tego dość nachwalić przed księżną Survilliers, przybyłą tu na parę dni z kąpieli morskich, gdzie bawiła właśnie; że pani Moszczyńska chciała się widzieć w Krzemieńcu z jego matką; że wreszcie, co najgłówniejsza, panna zdawała się go lubić; to jeszcze nie dowód, żeby chciała wyjść za niego, żeby rodzice jej, ludzie, tak wielkie przywiązujący znaczenie do majątku w ogóle, a do swoich milionów w szczególności, zgodzili się wydać córkę za ubogiego literata.

Te i tym podobne skrupuły przeważyły ostatecznie na szali tak, iż poeta, któremu już te »wszystkie niepewności kokietowanego człowieka«, nie wiedzącego co o tem sądzić, zaczęły dokuczać w końcu, postanowił, nie mogąc rozplątać tego gordyjskiego węzła niepewności, rozciąć go, t. j. opuścić Florencyę. Jakoż, uznawszy to raz za najwłaściwsze, zaczął się już pakować i składać pożegnalne wizyty, kiedy ni ztąd, ni zowąd wpada do niego Zajdler, z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono mu propozycyę, żeby wpłynął na niego, ażeby się zatrzymał i aspirował do panny Moszczyńskiej. Na takie *dictum acerbum*, poeta, lubo nie wierzył wcale (tak przynajmniej powiada w liście do matki), żeby to być mogło prawdą, mimo to jednak postanowił zostać i przekonać się, jak rzeczy stoją. Nadzieja poślubienia Anieli nie mogła mu się nie uśmiechać; został więc, a został dlatego, żeby, jak powiada, nie miał kiedyś na sumieniu, iż się po szczęście w ludzkiem rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy leżało na drodze[2]).

Tego samego dnia odwiedził go stary Moszczyński, a z rozmowy z nim, »choć zgrabnie bardzo prowadzonej«, wywnioskował Juliusz, że zatrzymanie się jego we Florencyi mile będzie przyjęte. Tylko tyle? Odtąd zaczął w domu Moszczyńskich bywać codziennym niemal gościem, ale zamiast robić postępy i nabierać pewności, że konkury te pomyślnym w końcu będą uwieńczone skutkiem, począł fatalnego nabierać przeświadczenia, że gdyby się oświad-

[1]) Zob. *Młoda Polska*, z dnia 10 sierpnia 1838 roku. Nr. 22, dodatek. Wzmianka o *Anhellim*, z którego, »aby zalecić to dzieło czytelnikom«, przedrukowano cały Rozdział II. [2]) *Listy*, II, 56 (Paryż, listopad, 1839).

czył, panna z pewnościąby go odrzuciła. Myśl ta nie dawała mu spokoju, a za jej sprawą nastąpił jakby zwrot w usposobieniu poety. Dotychczas, póki był »łudzony snem, w który uwierzyć nie mógł«, czuł dla panny Anieli — oprócz miłości — jeszcze i wdzięczność za to, że »to było w niej chwilową myślą, aby go wybrać z tłumu i uczynić szczęśliwym«, wdzięczność, która wynikając z miłości, nadawała pannie w jego oczach »postać litośnego Anioła«. Teraz, na miejsce tej wdzięczności zaczęła się u niego wyradzać »gorycz w sercu« i podejrzenie, czy się ci ludzie nie śmieją przypadkiem z jego aspiracyi, czy mu nie urągają? Kto wie, czy przez pamięć o swoich milionach, panna go sobie nie lekceważy trochę? A może się nim bawi tylko? I tu zaczęła się w nim buntować jego duma, jego pycha! Nie przestając bywać u panny, zaczął być względem niej opieszały, zimny, co ją naturalnie dziwiło, drażniło niemile, choć z drugiej strony powinna była — zdaniem poety — zrozumieć pobudki, dla których on »tak nienatarczywie« starał się o nią. Powinna to była zrozumieć! A ponieważ nie rozumiała lub udawała przynajmniej, że nie rozumi, więc zaczął ją posądzać zaraz o brak szlachetniejszych uczuć. Co gorsza, zdawało mu się chwilami, że serce jego jest zupełnie zimne, że musi niem być, skoro widzi wszystkie wady w pannie.

Ale było to tylko złudzenie: serce poety nie pozostało zimne; przeciwnie, zajęło się ono tym razem daleko gorętszym płomieniem, aniżeli mu się to kiedykolwiek zdarzyło; najlepszy dowód, że kiedy »niedyskretność osoby, użytej do pierwszych propozycyi, była przyczyną, że się do sprawy tej inni ludzie wmieszali, co sprowadziło ostateczne oziębienie całego stosunku«, że podobny obrót rzeczy niesłychanie boleśnie dotknął poetę, który, donosząc o tem matce — po roku — pisał: »na moje *nieszczęście*« wmieszali się do tego inni ludzie etc. etc.

Bądź co bądź, sytuacya, w jakiej się znalazł, nie była do pozazdroszczenia. Śmiertelnie urażony w swoich najdroższych uczuciach, nabrał przekonania, że wszystko to uważać należy »za sen i przywidzenie« z jego strony, że sobie zadrwiono z niego!

W tem uczuciu doznanej krzywdy i obrażonej dumy, napisał Słowacki owe dwa namiętne, a goryczą zaprawne sonety *Do Anieli Moszczyńskiej*, sonety, które są tak wymowną illustracyą jego uczuć z tego czasu, że niepodobna ich — dla dokładności obrazu — nie przytoczyć na tem miejscu *in extenso*.

Biblioteka Akademii ... Generalnego

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je *łzami zaprószyć!*
O tak, zaprawdę, że, chcąc serce *skruszyć*,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne!

Lecz go *łzy* dotąd nie otruły *setne*,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, nim miałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,

Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niem jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej, w trumnie leży!

* * *

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić *tę rzecz tak zhańbioną*

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem,
A ty myślałaś, że ja, z tem ognistem
Sercem, nazwę Cię kochanką i... żoną?

O, pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A, niż całować twe usta rozumne,

I twoje białe marmurowe ciało
Owionąć ogniem, i żyć z taką skałą,
Jaką ty jesteś, zimna! Lepiej w trumnę!!! [1]).

Do tej czary goryczy, którą mu wychylić sądzone było aż do dna, dolał poecie los nieubłagany jeszcze jedną kroplę — trucizny. Trucizną tą, a raczej ciosem bolesnym, który nań spadł, jak grom z czystego nieba, była wiadomość o aresztowaniu pani Becu i Teofila Januszewskiego, o przeniesieniu ich do Żytomierza, o śledztwie, któremu tam mieli być poddani. Co? Zkąd? Jakim sposobem zostali skompromitowani? Był to rok 1838, czasy emisaryuszostwa Konarskiego, który do swej sprawy potrafił wciągnąć prawie całą młodzież Litwy i Wołynia, większą część słuchaczów akademii medyko-chirurgicznej wileńskiej oraz prawie wszystkich Polaków, uczęszczających na Uniwersytet św.

[1]) Pod pierwszym z sonetów tych podpisał Słowacki: »październik, 1838 Florencya«.

Włodzimierza w Kijowie, gdzie głównymi pomocnikami i agitatorami Konarskiego byli Borowski i Beaupré (przyjaciel Słowackiego), a oprócz nich Maszkowski i Zenon Michalski (z Wierzchówki). Teofil Januszewski także należał do sprzysiężenia. Skończyło się na tem, że sprawa się wykryła: Konarskiego — po okropnych mękach — powieszono w Wilnie, a Borowskiego, Beaupre'go, Michalskiego i Maszkowskiego, także skazanych na śmierć, ułaskawiono wspaniałomyślnie, śmierć zamieniając na dożywotnią katorgę. Wszystkich zesłano na Sybir. Teofil Januszewski został na kilka lat wysłany na osiedlenie w Kałudze. Pani Becu, przez cały czas była trzymana w Żytomierzu pod ścisłym nadzorem, w więzieniu, raz po raz wleczona przed sąd, indagowana, badana, śledzona. W końcu zdołała się uniewinnić, ale zaraz po śledztwie wracać do Krzemieńca nie mogła. A kiedy wróciła, nie przestała być śledzoną, szpiegowaną. Wskutek tego każdy list od Julka-emigranta, otrzymany z zagranicy, mógł ją kompromitować, mógł być pożądanym dokumentem dla p. Bibikowa i jego szajki. Należało przerwać wszelką korespondencyę z synem, zabronić mu, ażeby, broń Boże, nie pisywał do niej, dopóki nie otrzyma upoważnienia do tego. Dopóki to nie nastąpi, niech milczy, jakby nie miał matki.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie na Słowackim musiała podobna wiadomość uczynić wrażenie. Jak dla niego bowiem, był to poprostu najokropniejszy ze wszystkich ciosów, jaki go mógł spotkać. Jeżeli pani Becu zostanie skompromitowaną, wówczas straci emeryturę, jaką pobierała, jako wdowa po dwóch profesorach, a wtedy z czego będą żyć? Z czego on będzie żył? Czy potrafi zapracować na życie, on, który dotąd wszystko zawdzięczał matce, który żył z tego, co miał od niej.

Te i tym podobne pytania, które mu spać nie dawały, od których o mało co nie oszalał, ostatecznie zaważyły na szali, że się zdecydował wyjechać do Paryża. Tam będzie mógł myśleć o zarobku! Tutaj narażał się tylko, bywając u Moszczyńskich, że ludzie powiedzą, że będąc w biedzie, usiłował sobie polepszyć sytuacyę — bogatym ożenkiem. To nie leżało w jego zamiarach (może dlatego, że nie miał nadziei dostania panny), więc nie namyślając się długo, w kilka dni po otrzymaniu tej smutnej wiadomości, opuścił Florencyę. Z panną pożegnał się zimno, jakby mu była obojętną zupełnie, jakkolwiek nie była mu obojętną. Ale duma nie pozwalała postąpić inaczej.

III.

Zwiastunem tej bolesnej wiadomości o aresztowaniu pani Becu i Teofila, wiadomości, po której otrzymaniu — w październiku 1838 roku — Słowacki długo nie mógł się uspokoić, był Zygmunt Krasiński, w przejeździe bawiący we Florencyi, a jadący z Warszawy, w towarzystwie ojca swego, do Neapolu (gdzie miał się poznać z panią Delfiną Potocką). Z nim też, z Krasińskim, spędził Słowacki ostatnie dni pobytu swego nad Arnem.

Smutne to było spotkanie. Krasiński był pod świeżem wrażeniem gwałtownego (za sprawą ojca) zerwania z panią Bobrową, zerwania, które nie było zgodnem z jego pojęciami o honorze i uczciwości mężczyzny względem kobiety, sprowadzonej przezeń na bezdroża miłości nielegalnej; jechał więc, dręczony wyrzutami sumienia, bez owej »świeżości młodzieńczej«, jaka mu dawniej była właściwa; pełen »nieskończoności, goryczy, smutku, wstrętu« do życia; »z przekleństwem, wiszącem mu nad głową«, za to, że tę kobietę dowiódł do nieszczęścia, że postępowaniem swojem »zabijał ojca, sam zabijany« przez niego; w najwyższym rozstroju psychicznym; będąc bardziej uosobioną troską i tęsknotą«, aniżeli tym Zygmuntem, jakim był jeszcze podczas owych »romantycznych wędrówek« ze Słowackim po okolicach Rzymu w r. 1836; zmieniony do niepoznania, blady, wycieńczony na ciele i duszy, chory na oczy; słowem, postarzały nie o dwa, ale o kilkanaście lat; złamany i wątpiący o wszystkiem. Jeszcze gorszem było położenie Słowackiego, zwłaszcza, odkąd Krasiński przywiózł owe fatalne wieści o jego matce. Oprócz tego miał i inne powody, dla których był smutny i skwaszony. Przedewszystkiem był najgorzej usposobiony »po tej całej awanturze« z Anielą Moszczyńską, którą kochał, choćby się tego najbardziej wypierał, a która swoim marmurowym chłodem skały mogła go ostatecznie doprowadzić do rozpaczy i zwątpienia o sobie. Jednem słowem, usposobienie, w jakiem go zastał, a które pogorszył Krasiński, było jaknajgorsze, a jaknajmniej odpowiednie do tego, ażeby, jak to bywało w Rzymie, przed dwoma laty, trochę ożywić i rozweselić swego przyjaciela i towarzysza spacerów do Willi Mills. Inne były czasy wtedy! Obecnie, choćby chcieli, nie mogli się spotkać w gorszych warunkach. Wówczas myśleli o jednem tylko, o zabawach, spacerach i rozrywkach, bo mieli wolne głowy. Przynajmniej Słowacki mógł to powiedzieć o sobie.

Dzisiaj zmieniły się okoliczności. Obaj byli, jak poważeni. Nie dziw więc, że nastrój rozmów, jakie teraz prowadzili ze sobą, był poważny, nacechowany smutkiem. Ponieważ Krasiński był z ojcem, którego obecność nie mogła go nie krępować, więc zamiast, jak dawniej, przyjmować Juliusza u siebie, wolał przebywać u niego, w jego mieszkaniu, w owym belwederze [1]), gdzie mogli być sami i rozmawiać swobodnie. Poza tem spotykali się u Potockich, u Zamoyskich, lub chodzili, wziąwszy się pod ręce, z cygarami w ustach, po ludnych ulicach Florencyi, mając sobie zawsze niezmiernie dużo do powiedzenia, szczególnie w sprawach, dotyczących literatury i sztuki. Bo o sprawach osobistych wolał każdy z nich milczeć.

Obfitego tematu do rozmów dostarczył im między innemi świeżo wyszły Słowackiego *Anhelli,* którym autor *Irydyona* był poprostu zachwycony. »Nie znam nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego, pisał Krasiński o tym poemacie do Gaszyńskiego [2]). Trudno było w elegię smętną, a jednak pełną barw Moorowskich, przetworzyć Sybir; poeta tego dokazał. Po przeczytaniu tego utworu zapadłem jakby w sen magnetyczny, i wyśniły mi się wszystkie gwiazdy, wszystkie tęcze, o których tam mowa [3]); gwiazdy i tęcze, nie takie, jak u nas, ale podobne do świateł, nicość oświecających, gdyby można pojąć świat nicości«. Dzieło samo z »wielką sztuką wypracowane«, wydało się Krasińskiemu najpiękniejszem ze wszystkiego, co wyszło z pod pióra Juliusza, tak dalece, że był zdania, iż na pomniku jego kiedyś winni rodacy ten tylko położyć napis: *Autorowi Anhellego.* Styl poematu, »przejrzysty, spokojny, kryształowy« wprawiał go w zachwyt swoją biblijną prostotą. Myśl zaś, zawarta w tym arcytwo-

---

[1]) »A kiedy mówię *wdzięczny*, to wdzięczny ze łzą w oku, z tą samą, co nieraz może niewidoma tobie, ale dotkliwa mnie, przesunęła się pod moją powieką tego samego wieczora, kiedym raz ostatni patrzał na drogę Bolońską i żegnał Ciebie! W tej wieżyczce (ma tu Krasiński na myśli ów belweder Słowackiego) ciemno było, możeś nie spostrzegł, żem płakał«. Zob. *Listy*, III, 6, 7 (do Słowackiego). [2]) Zob. Listy do K. Gaszyńskiego, str. 138, 139; do Romana Załuskiego, t. III, str. 60, 61; oraz *Kilka słów o Juliuszu Słowackim.* [3]) Słowacki, przesiadując w swoim belwederze, często »z gwiazdami rozmawiał«. (Zob. List z Florencyi z d. 2 stycznia 1838). Te rozmowy wieczorne »z gwiazdami« odbiły się w poematach Juliusza, napisanych we Florencyi. *W Szwajcaryi* czytamy, że się kochankowie »za gwiazd chwycili łańcuchy«. *Ojciec Zadżumionych* powiada, że »śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć« etc. Nigdy Słowacki nie wspomina tak często gwiazd, jak w *Anhellim*, *Dantyszku*, *Ojcu Zadżumionych*, *W Szwajcaryi*. Widoczny wpływ owej »wieży astronomicznej, gdzie często z gwiazdami rozmawiał«. I w listach do matki (z Florencyi) raz po raz pisze o gwiazdach, o konstelacyi Oryona etc.

rze Juliusza, wydawała mu się nietylko piękną, ale i prawdziwą. »Anhelli, to pokolenie, które przemarnieje we łzach, w boleści, w daremnych żądach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten Anhelli, taki samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznego naszego przeznaczenia«. Pojedyncze sceny rozmarzały go swoją melancholią. Tak śmierć Ellenai np. uważał, że jest »po mistrzowsku, z boską prostotą opisana«.

Że Słowackiemu taki szczery, niekłamany zachwyt, jaki wzbudzić potrafił w przyjacielu, pochlebiał bardzo i że go bardziej jeszcze przywiązał do Zygmunta, to jest naturalne i do zrozumienia łatwe. W każdym razie, tych kilka dni, spędzonych z Zygmuntem, było jakby oazą, w której cieniu znajdował ukojenie dla swojej duszy zbolałej i spokój. To też, kiedy odjeżdżał Zygmunt, kiedy ostatni raz, stojąc w jednem z czterech okien belwederu, spoglądali na drogę Bolońską, którą niebawem miał się twórca *Nieboskiej komedyi* w dalszą puścić podróż, Słowacki nie zawahał się go na pożegnanie nazwać swoim »archaniołem wiary«, który, jak anioł z nieba zesłany, przyszedł z sercem jego »robić czary«; za dowód zaś, że to, co mówił, było szczere, z serca płynące, posłużyć może ów wiersz *Do Zygmunta*, napisany przez Słowackiego już na wyjezdnem z Florencyi, a który brzmi jak następuje:

Żegnaj mi, żegnaj, Archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę,
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu,
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności.
Lecz, jeśli ducha nadchodzą morderce,
Lecz, jeśli walka jest: dałeś mi serce.

Wierszem tym, napisanym dnia 4 grudnia 1838 roku, zamknął poeta swój pobyt we Florencyi [1]).

[1]) Wyjeżdżając z Florencyi, zabrał Słowacki z sobą mnóstwo drobiazgów, przeznaczonych przez damy florenckie dla bazaru polskiego w Paryżu. Przyjechawszy do Paryża (w końcu grudnia 1838 r.) zlecił Słowacki oddanie tych rzeczy księżnej Czartoryskiej Hipolitowi Błotnickiemu, do którego w tej sprawie napisał d. 21 grudnia następujący liścik (dziś będący w posiadaniu p. Ludomira Gadona w Paryżu, a ogłoszony niedawno w *Bibl. Warsz.*, (1895, paź-

dziernik, przez p. Biegeleisena, w art. p. t. *Ze stosunków rodzinnych Juliusza Słowackiego):* »Kochany Błotnicki. Posyłam Ci rzeczy, przeznaczone przez damy florenckie dla bazaru polskiego w Paryżu. Racz je złożyć Księżnie. Spodziewam się, że się znajdzie regestrzyk w listach, które ci wczoraj oddałem. Między rzeczami temi znajduje się tabakierka, mająca inne przeznaczenie, niż dywaniki włóczkowe. Jest to dar księżnej Survilliers dla pana Niemcewicza. Zapewne i o tej tabakierce znajduje się w listach wzmianka; inaczej wypadałoby względem tej tabakierki dokładniejszych zasięgnąć wiadomości, albowiem oddana mi była w chwili wyjazdu mego przez Hermana Potockiego, a choć mówił mi, dla kogo przeznaczona, głowę tak miałem zbałamuconą (Anielą Moszczyńską), że teraz nie jestem pewny, komu ją oddać. Zdaje mi się jednak zawsze, że Niemcewiczowi. Ściskam Cię, drogi nauczycielu. Twój *Juliusz Słowacki.* NB. Z donoszeniem o mnie Matce mojej: ostrożnie!!! albowiem lękam się, aby *ją* (tak!) gorzej nie skompromitować. *Flor...* Niech to będzie świadectwem mojego roztargnienia: zacząłem pisać *Florencya*, a powinienem (niestety!) *Paryż*, d. 21 grudnia 1838 r. Kiedy Książę jedzie do Londynu, donieś mi.

355

Koniec tomu drugiego.


BIBLIOTEKA NAUKOWA AJG

SPIS RZECZY.

KSIĘGA CZWARTA

W Szwajcaryi. 1833 — 1836.

Str.

Rozdział I. *Eglantyna Patteg.*— Jezioro Leman. I. Pensyonat pani Patteg. Charakterystyka Eglantyny. Jej uczucie dla Słowackiego. Eliza Morin. Krytyka poezyi Słowackiego w *Revue Européenne*. Towarzystwo w Paquis. Polacy w Genewie. Tryb życia. Trzy oazy na pustyni jednostajności. Ostateczna praca nad *Lambrem*. *Godzina myśli*. Pisanie *Kordyana*. II. Psychologia Słowackiego w roku 1833. Spleen. Wspomnienia dzieciństwa. Tęsknota za krajem. Uczucie niepokoju. Potrzeba kochania 3

Rozdział II. *Marya Wodzińska.*— Willa przy ulicy Beauregard. I. Marya Wodzińska i jej rodzina. Atmosfera w domu Wodzińskich. Książę Ludwik Napoleon. Pierwsze wrażenie Słowackiego. Fatalny list. *Kordyan*. Wielkanoc 1834 roku. Wyjazd Eglantyny. *Pont du Mont Blanc*. Prologomena przyszłej miłości. Pogoda umysłu. Rozczytywanie się w dziełach Jana Kochanowskiego i Platona. »Trzeba się kochać« (1834). II. Wycieczka w Alpy. Towarzystwo. Wyjazd z Genewy. Villeneuve. Bex. Zwiedzanie salin. Droga przez Simplon. Klasztor św. Bernarda. Louèche-les-Bains. Na szczycie Gemmi. Lodowce. Interlacken. Giessbach. Lauterbrunn i Grindenwald. Faulhorn. Wodospad Aary. Lucerna. Kaplica Tella. Na Rigi-Kulm. Powrót do Genewy (31 lipca — 20 sierpnia). III. Zbliżenie się do rodziny Wodzińskich. Geneza *Mazepy*. Wychodzi *Pan Tadeusz*. Pomysł sześciu kronik dramatycznych. *Balladyna*. Stosunek do Maryi. Myśl o ożenieniu. Zabawy u Wodzińskich, »Prawie familijne« wieczorki. Poświęcenie pomnika J. J. Rousseau. Wiersz w sztambuchu Maryi (1834 — 1835). IV. Zżycie się z Wodzińskimi. Pamiętny bal. Romans się zaczyna klecić. Pierwszy pocałunek. Rozmowy o rzeczach anielskich. Obiad wiejski. Powrót w czasie burzy. »Różowe sprzeczki«. Stokrotki. Rojenia o »młodej, ładnej i *bogatej* żonie«. Zazdrość i choroba Eglantyny. Pożegnanie z Maryą. Wyjazd do Veytoux. Wyrzuty sumienia (1835) 33

Str.

Rozdział III. *Osamotnienie i tęsknota.*— Położenie Veytoux. I. Mieszkanie poety. Jego uczucia. Usycha z żalu, omdlewa z tęsknoty. *Rozłączenie. Stokrotki. Przekleństwo. Wspomnienie Laury.* Minister protestancki. Geneza *Lilli Wenedy*. Filozofia sztuki. Zamek Chillon. Poemat Byrona. Przyjazd Eglantyny do Veytoux. Wiadomości o Maryi. Powrót do Genewy. II. Jesień roku 1835. Kajocki. Stosunek do Eglantyny. Modlitwy o paszport do Włoch. Przedostatnia scena z Eglantyną. Pożegnanie. Wyjazd do Rzymu (luty 1836 roku) 111

KSIĘGA PIĄTA.

Wanderjahre 1836—1838.

Rozdział I. *W Rzymie.*— Początek niedokończonej powieści humorystycznej. Podróż ze Szwajcaryi do Rzymu. *Marya Krystyna.* Noc na morzu. Przybycie do Civita Vechia. Wylądowanie na ląd rzymski. Wschód słońca. Refleksye filozoficzne (22 lutego 1836). I. Hotel *Babuino.* Teofilowie Januszewscy. Franciszek Skibicki, »Polak, Szambelan Jego Cesarskiej Mości i Katolik«. Jego karykatura w *Nowej Dejanirze.* Psychologia Słowackiego w Rzymie. Doznane wrażenia i *Beniowski.* Słowacki i Rafael. *Causeries romaines* na temat sztuki. Portret Słowackiego, malowany przez Teofila Januszewskiego. Pejzażomanja. Znajomości z malarzami. Suchodolski i jego żona. Brzozowski. Stosunki towarzyskie. Ówczesna kolonia polska w Rzymie. Stosunek z »Filami«. Początki rozczarowania Rzymem. II. Znajomość z Zygmuntem Krasińskim. Psychologia Słowackiego i Krasińskiego. Różnica temperamentów i ideałów artystycznych. Co Krasiński myślał o Słowackim w roku 1836. Słowackiego uczucie dla Krasińskiego. *Irydion* i *Balladyna.* Wspólne przechadzki po Rzymie. Nad grobem Shelley'a i Keats'a. Rozmowy w willi Mills. Muzyka Konst. Danielewicza. Pani baronowa Richthoffen. III. Psychologiczna geneza tragedyi *Beatrix Cenci.* Dyssonanse w stosunku do Teofila i Hersylki. Przyjazd Gajów z Wilna. Wyjazd do Neapolu (5 czerwca 1836 r.) 131

Rozdział II. *W Neapolu i Sorrento.*— Hotel Vittoria. Widok z balkonu. Życie na ulicy Św. Łucyi. »Ciche przy białym księżycu rozmowy«. Tryb życia. Teatr neapolitański. Myśli o przyszłości. I. Teraźniejszość. Studya nad Dantem. Pompei i Herkulanum. *Grota di lazura.* Grób Wergiliusza. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Wycieczka na Wezuwiusz. Myśli o ożenieniu. Wspomnienia Genewy (5 — 22 czerwca). II. Wyjazd do Sorrento. Rozłączenie z Teofilami. Pragnienie samotności. Życie wiejskie. Młoda gospodyni i jej serenady. Sielanka w stylu *Elegii Rzymskich* Goethego. Spacery nad brzegiem morza z panią Suchodolską. Studya nad Szekspirem. »Pisałem trochę«. Pierwszy objaw zwrotu ku religii. III. Powrót do Neapolu (w końcu lipca). Psychologiczny zwrot w uczuciach dla Teofilów. Myśl o rozstaniu z nimi. Samotne medytacye na balkonie. »Ścigająca myśl« o Maryi Wodzińskiej. Zenon Brzozowski i Aleksander Hołyński wybierają się w podróż na Wschód. Namawiają do niej Słowackiego. Trzy tygodnie wahania. Wpływ Biblii na powzięcie stanowczej decyzyi.

Str.

Pożegnanie Neapolu. Pierwsza pieśń *Podróży na Wschód*. Uczucia przed wyjazdem. Ostatni obiad z Teofilami. List do matki. Początek dziennika. Wyjazd z Neapolu (24 sierpnia 1836 r.) . . 170

Rozdział III. *W Grecyi.*— Usposobienie Słowackiego, w jakiem się puszczał w podróż. Przyczyny melancholii Zenona Brzozowskiego (24 sierpnia 1836 r.). I. Cztery dni w Otranto. Przybycie do Korfu. Wspomnienia Odysseusza i Nauzykai. Druga pieśń »rymowego baletu«. Podróż statkiem parowym. Życie na pokładzie. Kapitan okrętu. »Hraf Salomon z Zante«, poeta grecki. Interesująca pasażerka. Noc na morzu. Skała Leukady. Wspomnienia Safony i Ludwiki Śniadeckiej. Itaka. Przyjazd do Zante. Pierwsze wrażenia Grecyi. Przyjazd do Patras. Odwiedziny u Kanarisa. Podróż brzegiem Lepantu. Nocleg w Vostizzy (12 września). II. Klasztor Megaspileon. Harmonie i dyssonanse. Droga do Tripolis. Arkadia. Chęć zwiedzenia Sparty. »Neapol w miniaturze«. Argos. Ruiny Mycen. Grób Agamemnona (18 września). III. Ruiny Nemei. Pobyt w Koryncie. Wyjazd w nocy do Kalamaki. Noc na łódce. Rozmowy z majtkiem. Legenda o harfiarzu z wyspy Scio. Wschód słońca nad Salaminą. Przyjazd do Aten. Tydzień w grodzie Minerwy. Medytacye na stopniach świątyni Jowisza (20 — 27 września) 191

Rozdział IV. *W Egipcie.*— I. Wyjazd z Aten. Wyspa Syra. Hermupolis. Przepisywanie »rymowego baletu«. Wyjazd do Aleksandryi. Tydzień na morzu. »Smutno mi, Boże!« Aleksandrya. Pierwsze wrażenie Wschodu. Hotel *Pod złotym orłem*. Pierwszy wieczór w Aleksandryi. Wiersz *Do Teofila Januszewskiego*. Opisy Wschodu w *Beniowskim*. Kolumna Pompejusza. Igła Kleopatry. (27 września — 28 października). II. Wyjazd do Kairu. Wrażenie Kairu. List z Genewy. Wiadomość otrzymana »na piramidzie«, że panna Wodzińska idzie za mąż. *Odwiedziny Piramid*. Wiersz *Piramidy. Pieśń na Nilu. Rozmowa z Piramidami*. Nocleg w grobie Ramzesa. Powrót do Kairu. Towarzystwo Ziomków. Wyjazd do Teb. (28 października — 6 listopada). III. Podróż Nilem. Wiersz *Na Nilu*. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Jej imię »na piasku wilgotnym«. Denderah. Spotkanie z Hołyńskimi. Ruiny. Almee. Katarakta Nilu. Teby. Posąg Memnona. Powrót do Kairu. Powtórne spotkanie z Hołyńskimi. Używanie życia. Aleksander Hołyński i Arabka. Rozstanie z Hołyńskimi (6 listopada — 15 grudnia). IV. Droga przez pustynię. Nocleg w grobowcu Szecha. Przybycie do El Arish. Doktor Steble. Geneza *Ojca zadżumionych*. Opowiadanie dragomana. Burza. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Panna Malagamba. Wyjazd z El Arish (15 grudnia — 2 stycznia) 221

Rozdział V. *W Ziemi Świętej.*— I. Wyjazd z El-Arish. Nastrój religijny. Przyjazd do Ghazzeh. Wspomnienia Tassa. Jaffa. Droga i przyjazd do Jerozolimy. Spotkanie z Aleksandrem Spitznaglem (2 — 13 stycznia 1837). II. Przechadzki po Jerozolimie. Wrażenie. Ich odbicie w *Beniowskim*. Noc u grobu Chrystusa. O. Maksymilian Ryłło. Pobyt w Betleem. Jerycho. Nad morzem Martwem. Jordan. Dolina Józafata. II. Wyjazd do Nazaretu. Refleksye na temat swojej misyi. Wrażenie z Nazaretu. Pobyt w Kanie Galilejskiej. Nad jeziorem Genezaretańskiem. Tyberiada. Wspomnienia Chrystusa. Prologomena do poematu *W Szwajcaryi* i do *Anhellego* 268

Str.

Rozdział VI. *W Syryi. Powrót do Europy.* — I. Przyjazd do Damaszku. Tragedya *burlesque* o O. Rylle. Przeprawa przez Liban i Antiliban. Ruiny Balbeku i Palmiry. Przyjazd do Bayrutu. Słowacki nie chciał jechać do Konstantynopola. Rozstanie z Brzozowskim (luty 1837). II. Tydzień w Bayrucie. O. Ryłło. Malarz-Włoch. Poeta przenosi się do klasztoru Betchesz-ban. Wspomnienia Lemanu. Harmonijne życie w klasztorze. Legendy miejscowe. Myśli o wstąpieniu do klasztoru. Sen o Ludwice Śniadeckiej. Listy matki. Romansowe źródło. Pomysł *Anhellego*. Spowiedź wielkanocna. Dnia 29 marca 1837 r. Powrót do Bayrutu. Pożegnanie z księżmi (kwiecień 1837). III. Oczekiwanie na okręt. Znajomość z konsulem francuskim. Zabijanie nudów — książkami. Spotkanie ze Stefanem Hołyńskim. Jemu dedykowany *Anhelli*. Wspólne życie w Bayrucie. Cmentarz turecki. Jego opis w *Beniowskim*. Piękności wschodnie. Ostatni wieczór w Bayrucie. »Feta« w domu konsula francuskiego. Rozstanie z Hołyńskim. Powtórne spotkanie w Tripolis. Piękny dzień. Powtórne rozstanie. 40 dni na morzu. Życie na okręcie. Cypr. Sycylia. Hymn do Najświętszej Panny. Myśl o autorze *Irydiona*. Wyspa Elba. Przyjazd do Livorno. Kwarantanna. Tęsknota za Wschodem. Korzyści odbytej podróży. Wyrzuty sumienia. Trzy listy. Wiersz *Do księgarza* (kwiecień — 11 lipca 1837) 288

Rozdział VII. *We Florencyi.* — Florencya. I. Usposobienie poety. Brak towarzystwa. Atmosfera stolicy Toskanii. Wędrówki po kościołach i galeryach. Spacery po mieście. Kobiety florenckie. Studya nad Calderonem. Stosunki towarzyskie: Zdzisław Zamoyski, Józef i Herman Potoccy, Bernard Zajdler, Zenon Brzozowski. Wspomnienia z podróży na Wschód. Przyjaźń z Zajdlerem. Nowe mieszkanie z belwederem. Sąsiadki poety. *Anhelli*. Wspomnienia Maryi Wodzińskiej. Psychologiczna geneza poematu *W Szwajcaryi*. Słowacki w roli »przyjemnego człowieka«. Księżna Survilliers. Potrzeba kochania. Wieść o zamążpójściu Maryi Wodzińskiej za Chopina. Rozmarzenie poety. Produkcya poetycka. Spleen. (18 lipca 1837 — 21 sierpnia 1838). II. Fornarina. Aniela Moszczyńska. Niepomyślne wiadomości z domu. Aresztowanie panu Becu. III. Przyjazd Zygmunta Krasińskiego do Florencyi. Zdanie autora *Irydiona* o *Anhellim*. Wiersz Słowackiego do Krasińskiego. Wyjazd Słowackiego do Paryża (21 sierpnia — 4 grudnia 1838) 319

355

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
17507 2